

REDAKCJA I WYBÓR

# GEORGE R.R. MARTIN



WYPRAWA  
NASÓW



Redakcja i wybór

# GEORGE R.R. MARTIN

## WYPRAWA ASÓW

**Powieść mozaikowa**

**Autorzy:**

Stephen Leigh  
John J. Miller  
Leanne C. Harper  
Kevin Andrew Murphy  
Gail Gerstner-Miller  
Walton Simons  
Edward Bryant  
Lewis Shiner  
Carrie Vaughn  
Victor W. Milán  
Melinda M. Snodgrass  
Michael Cassutt

Przełożył  
Michał Jakuszewski

---

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

---

Stephen Leigh John J. Miller Leanne C. Harper Kevin Andrew Murphy Gail Gerstner-Miller  
Walton Simons Edward Bryant Lewis Shiner Carrie Vaughn Victor W. Milán Melinda M.  
Snodgrass Michael Cassutt  
Wyprawa asów  
Powieść mozaikowa  
ISBN: 978-83-65521-16-3

TYTUŁ ORYGINAŁU: Wild Cards IV: Aces Abroad

PRZEKŁAD: Michał Jakuszewski

Copyright © 1988 by George R.R. Martin  
Expanded edition © 2014 by George R.R. Martin and The Wild Cards Trust  
All rights reserved  
Copyright © 2016 for the Polish translation by Zyski S-ka  
Wydawnictwo s.j., Poznań  
Cover art copyright © Michael Komarck

Redaktor: Robert Cichowlas

Wydanie I

**Zyski S-ka Wydawnictwo**

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26  
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl) [www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

# Spis treści

# Odcień nienawiści

## Prolog



Odcień nienawiści

Część pierwsza





Zwierzęta juczne



Odcień nienawiści

Część druga





Z brodawkami i całą resztą

Odcień nienawiści

Część trzecia





Odcień nienawiści

Część czwarta







Odcień nienawiści

Część piąta















W Pradze zawsze jest wiosna





## Legendy





Z „New York Timesa”

Posłowie

Nota wydawnicza

*Dla Terry'ego Matza,  
mojego bliskiego przyjaciela od tak dawna,  
że wolę o tym nie myśleć*

# Odcień nienawiści

STEPHEN LEIGH

## Prolog

Czwartek, 27 listopada 1986, Waszyngton

Migotliwy blask telewizora firmy Sony padał na kolację, którą Sara kupiła sobie na Dzień Dziękczynienia — paczkowanego indyka od Swansona, leżącego w folii na stoliku. Na ekranie tłum pokracznych dzókerów maszerował przez Nowy Jork prążący się w słońcu letniego popołudnia. Z ich poruszających się ust płynęły bezgłośnie krzyki i przekleństwa. Obraz był niewyraźny, a ruchy postaci urywane, jak na starym filmie. Nagle kamera przesunęła się, ukazując przystojnego, trzydziestoparoletniego mężczyznę. Rękawy miał podwinięte, krawat luźno zawiązany, a marynarkę przerzucił sobie przez ramię — tak senator Gregg Hartmann wyglądał w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Przedostał się przez kordon policji zastępujący drogę demonstrantom, odpychając próbujących go powstrzymać ochroniarzy i krzycząc na policjantów. Potem stanął w pojedynkę między przedstawicielami władzy a nadciągającym tłumem, gestem nakazując dzókerom się cofnąć.

Następnie kamera przesunęła się na tłum demonstrantów, w którym doszło do zamieszania. Obraz był zamazany. Pośrodku znajdowała się aska prostytutka znana jako Sukub. Jej ciało sprawiało wrażenie zrobionego z rtęci, a wygląd zmieniał się nieustannie. Dzika karta dała jej klątwę seksualnej empatii. Sukub potrafił przybrać postać najbardziej przypadającą do gustu każdemu klientowi, ale obecnie ta zdolność wyrwała się spod kontroli. Otaczający Sukuba ludzie reagowali na tę moc, próbując go pochwycić. Na ich twarzach malowała się niezwykła żądza. Kobieta otwierała szeroko usta w błagalnym krzyku, ale tłum ścigających — zarówno policjanci, jak i dzókerzy — w końcu ją dopadł. Wyciągnęła ręce, prosząc o pomoc. Kamera cofnęła się nagle. Na ekranie znowu pojawił się Hartmann, gapiący się na ofiarę. To do niego wyciągała ręce, to jego błagała. Potem tłum ją przykrył. Na kilka sekund zniknęła całkowicie. Później tłuszcza cofnęła się z przerażeniem na twarzach. Kamera zrobiła zbliżenie na Hartmanna, który przedzierał się między otaczającymi mi Sukuba ludźmi, gniewnie odpychając ich na bok.

Sara sięgnęła po pilota i wcisnęła pauzę, zatrzymując odtwarzacz na tej chwili, która ukształtowała całe jej życie. Czuiła gorące łzy spływające jej po twarzy.

Sukub leżał w kałuży krwi. Ciało kobiety było zmasakrowane, a zwrócona ku Hartmannowi twarz gapiła się z ekranu na Sarę, odbijając jej przerażenie niczym w lustrze.

Sara знаła twarz, którą Sukub — kimkolwiek mógł być naprawdę — przybrał w chwili śmierci. Wspomnienie tego oblicza prześladowało ją od dzieciństwa. Sukub nosił oblicze Andrei Whitman.

Starszej siostry Sary, brutalnie zamordowanej w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym,

w wieku trzy nastu lat.

Sara wiedziała, kto na tak wiele lat zachował w pamięci młodzieńczą twarz Andrei. Wiedziała, kto nałożył jej rysy na nieskończenie plastyczne ciało Sukuba. Potrafiła sobie wyobrazić, że prostytutka mogłaby nosić tę twarz, kiedy z nią spał. Ta myśl bolała ją najbardziej.

— Ty skurwysynu — wyszeptała do senatora Hartmanna dławiącym się głosem. — Ty cholerny skurwysynu. Zabiłeś moją siostrę, ale nawet po śmierci nie dałeś jej spokoju.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

30 listopada, Dżokerowo

Nazywam się Xavier Desmond i jestem dżokerem. Dżokerzy wszędzie są obcy, nawet na ulicy, przy której się urodziłem, a ja mam odwiedzić cały szereg egzotycznych krajów. W ciągu pięciu najbliższych miesięcy zobaczę sawanny i góry, Rio i Kair, Przełęcz Chajberską i Cieśninę Gibraltarską, australijski busz i Champs-Élysées. Wszystko to są bardzo odległe miejsca dla człowieka, którego często zwano burmistrzem Dżokerowa. Rzecz jasna, Dżokerowo nie ma burmistrza. To tylko dzielnica, w dodatku getto, a nie prawdziwe miasto. Jest ono jednak czymś więcej niż miejscem. To sytuacja, stan umysłu. Być może w tym sensie zasłużyłem sobie na ów tytuł.

Byłem dżokerem od samego początku. Przed czterdziestu laty, gdy Śmig zginął na niebie nad Manhattanem, wypuszczając na świat dziką kartę, miałem dwadzieścia dziewięć lat, pracowałem w banku inwestycyjnym, miałem piękną żonę, dwuletnią córkę i czekała mnie świetlana przyszłość. Miesiąc później, gdy w końcu wypisano mnie ze szpitala, byłem monstrem z różową słoniową trąbą wyrastającą pośrodku twarzy zamiast nosa. Na końcu tej trąby mam siedem w pełni funkcjonalnych palców i z biegiem lat nauczyłem się bardzo sprawnie posługiwać tą swoją „trzecią ręką”. Jestem przekonany, że gdybym nagle odzyskał tak zwaną normalną ludzką postać, stałoby się to dla mnie przeżyciem równie traumatycznym jak amputacja kończyny. Jak na ironię, trąba czyni mnie czymś nieco lepszym od człowieka, a zarazem czymś nieskończenie gorszym.

Piękna żona opuściła mnie niespełna dwa tygodnie po moim wyjściu ze szpitala. Mniej więcej w tym samym czasie bank Chase Manhattan poinformował mnie, że nie będzie już potrzebował moich usług. Dziewięć miesięcy później przenieśli mnie do Dżokerowa, gdy eksmitowano mnie z mieszkania przy Riverside Drive „z powodów zdrowotnych”. Ostatni raz widziałem córkę w roku czterdziestym ósmym. Wyszła za mąż w czerwcu sześćdziesiątego czwartego, rozwiodła się w roku sześćdziesiątym ósmym i ponownie wyszła za mąż w czerwcu siedemdziesiątego drugiego. Wygląda na to, że lubi czerwcowe śluby. Nie zaprosiła mnie jednak na żaden z nich. Prywatny detektyw, którego wynająłem, poinformował mnie, że moja córka mieszka obecnie z mężem w Salem w stanie Oregon i że mam dwoje wnucząt, chłopca i dziewczynkę, po jednym z każdego małżeństwa. Szczerze wątpię, by któreś z nich wiedziało, że ich dziadek jest burmistrzem Dżokerowa.

Jestem założycielem i emerytowanym prezesem Dżokerskiej Ligi przeciw Zniesławieniu, czyli DLZ, najstarszej i największej organizacji walczącej o prawa obywatelskie ofiar wirusa



dzikiej karty. DLZ poniosła kilka porażek, ale w sumie zrobiła wiele dobrego. Odniosłem również umiarkowany sukces w biznesie. Jestem właścicielem jednego z najslawniejszych i najbardziej eleganckich klubów nocnych w Nowym Jorku, Gabinetu Luster, w którym już od ponad dwóch dziesięcioleci dzokerzy, natole i asowie mogą wspólnie oglądać występy najlepszych dzokerskich artystów kabaretowych. Od pięciu lat Gabinet Luster regularnie przynosi straty, ale nie wie o tym nikt poza mną i moim księgowym. Nie zamykam lokalu, bo to w końcu Gabinet Luster i gdyby przestał funkcjonować, Dżokerowo stałoby się uboższe.

W przysłym miesiącu skończę siedemdziesiąt lat.

Lekarz mówi mi, że nie dożyję do siedemdziesiątych pierwszych urodzin. Przerzuty pojawiły się, nim udało się rozpoznać raka. Jednakże nawet dzokerzy uparcie czepiają się życia. Już od pół roku poddaję się chemio- i radioterapii, ale nowotwór nie wykazuje oznak remisji.

Lekarz uważa, że wyprawa, na którą się wybieram, zapewne skróci moje życie o całe miesiące. Przepisano mi leki i będę skrupulatnie połykać tabletki, ale podróż dookoła świata wyklucza radioterapię. Pogodziłem się z tym.

Często rozmawialiśmy z Mary o takiej wyprawie w dniach przed dziką kartą, gdy byliśmy młodzi i zakochani. Nigdy by mi się nie śniło, że wyruszę w tę podróż bez niej, u schyłku życia, na koszt rządu, jako delegat uczestniczący w rozpoznawczej ekspedycji zorganizowanej i sfinansowanej przez Senacką Komisję do spraw Asów i Zasobów Analogicznych, oficjalnie sponsorowanej przez ONZ i Światową Organizację Zdrowia. Dotrzemy na każdy kontynent oprócz Antarktydy i odwiedzimy trzydzieści dziewięć różnych krajów, choć w niektórych zatrzymamy się tylko na kilka godzin. Naszym oficjalnym zadaniem jest zbadanie sposobów traktowania ofiar dzikiej karty w różnych kulturach na całym świecie.

W sumie jest dwudziestu jeden delegatów, w tym pięciu dzokerów. Przypuszczam, że ten wybór to wielki zaszczyt, wyraz uznania dla moich zasług oraz mojego statusu jako przywódcy naszej społeczności. Podejrzewam, że powinienem za to podziękować mojemu dobremu przyjacielowi doktorowi Tachionowi.

Ale z drugiej strony powinienem podziękować temu mojemu przyjacielowi za bardzo wiele rzeczy.

# Odcień nienawiści

## Część pierwsza

Poniedziałek, 1 grudnia 1986, Syria

Zimny, suchy wiatr docierający na pokrytą żwirem i wulkanicznymi skałami pustynię Badiyat Ash-sham z gór Państwa Alawitów targał szczytami płóciennych namiotów skupionych wokół wioski. Z powodu wichury wszyscy ludzie na targowisku mocniej zacisnęli szarfy szat dla ochrony przed zimnem. Pod dwuspadzistym dachem największego z budynków z niewypalanej cegły płomień pod emaliowanym imbrykiem zamigotał pod wpływem nagłego powiewu.

Drobna kobieta opatulona w czador, czarny strój noszony przez muzułmanki, nalała herbaty do dwóch małych filiżanek. Nie nosiła żadnej biżuterii oprócz licznych jaskrawoniebieskich paciorków zdobiących stroik na jej głowie. Podawała filiżankę drugiej osobie znajdującej się w pokoju — kruczowłosemu mężczyźnie średniego wzrostu. Pod lazurową szatą z grubego brokatu jego cało lśniło migotliwym, szmaragdowym blaskiem. Czują ciepło promieniujące od niego.

— Przez kilka następnych dni będzie zimniej, Nadżibie — powiedziała, popijając łyk straszliwie słodkiej herbaty. — Wreszcie poczujesz się lepiej.

Nadżib wzruszył ramionami, jakby jej słowa były pozbawione znaczenia. Zacisnął usta, przesywając ją intensywnym spojrzeniem ciemnych oczu.

— To obecność Allaha lśni — oznajmił tonem nawykowej arogancji. — Nigdy nie słyszałaś, żebym się skarzył, Miszo, nawet w najgorętsze dni lata. Masz mnie za kobietę, wykrzykującą ku niebu swe daremne żale?

Misza przy mrużyła widoczne nad zasłoną oczy.

— Jestem kahlina, jasnowidząca, Nadżibie — odparła, pozwalając, by w jej głosie zabrzmiała nuta wyzwania. — Znam wiele ukrytych prawd. Wiem, że kiedy upał rozgrzewa kamienie, mój brat Nadżib wolałby nie nosić tytułu Nur al-Allah, Światło Allaha.

Nadżib uniósł gwałtownie rękę i uderzył siostrę w twarz grzbietem dłoni. Jej głowa odskoczyła na bok. Wrzątek oparzył jej rękę i nadgarstek, a filiżanka rozbiła się, gdy kobieta upadła na dywany. Oczy Nadżiba, nieprzeniknione czarne na tle świetlistej twarzy, skierowały się na nią, gdy uniosła dłoń do piekącego policzka. Wiedziała, że nie ośmieli się powiedzieć nic więcej. Uklęka, nie odzywając się ani słowem, zebrała skorupy filiżanki i wytarła kałużę słodkiego płynu obrąbkiem szaty.

— Sajjid przyszedł do mnie dziś rano — oznajmił Nadżib, obserwując ją. — Znowu się na ciebie skarżył. Powiedział, że nie spełniasz obowiązków żony.

— Sajjid to tuczona świnia — odpowiedziała Misza, choć nie odważyła się unieść spojrzenia.

— Mówi, że jest zmuszony brać cię siłą.

— Jak dla mnie nie musi się trudzić.

Nadżib skrzywił się wściekle.

— Też coś! — burknął z niesmakiem. — Sajjid dowodzi moją armią. To jego strategia pozwoli zepchnąć kafirów do morza. Allah dał mu ciało boga i umysł zdobywcy. Co więcej, okazuje mi posłuszeństwo. Dlatego właśnie mu ciebie oddałem. Koran mówi, że mężczyźni mają władzę nad kobietami, ponieważ Allah uczynił ich doskonalszymi. Dobre kobiety są posłuszne. Drwisz z daru Nur al-Allaha.

— Nur al-Allah nie powinien był oddawać tego, co go dopełnia. — Tym razem uniosła wyzywająco wzrok, trzymając skorupy w małych dłoniach. — Byliśmy razem w łonie matki, bracie. Tak właśnie stworzył nas Allah. Ciebie dotknął swym światłem i głosem, mnie zaś ofiarował dar swego wzroku. Jesteś jego ustami, prorokiem, ja zaś jestem jego wizją przyszłości. Postępujesz głupio, zamykając na to oczy. Duma przywiedzie cię do zguby.

— Zatem wysłuchaj słów Allaha i bądź pokorna. Ciesz się, że sajjid nie nalega na purdah dla ciebie. Wie, że jesteś kahiną, i dlatego nie zamyka cię w domu pod przymusem. Nasz ojciec popełnił błąd, wysyłając cię do Damaszku, byś zdobyła wykształcenie. Trucizna niewiernych jest podstępna. Miszo, postaraj się zadowolić sajjida. Wtedy ja również będę zadowolony. Moja wola jest wolą Allaha.

— Tylko czasami, bracie...

Przerwała. Jej spojrzenie skierowało się w dal. Zaciśnęła palce i krzyknęła, gdy porcelana przecięła jej skórę. Z płytkich ran popłynęła krew. Misza zachwiała się z jękiem i jej oczy odżyły klarowny wyraz.

Nadżib zbliżył się do niej o krok

— Co to jest? Co zobaczyłaś?

Przy cisnęła zranioną dłoń do piersi. Jej źrenice zrobiły się wielkie z bólu.

— Liczy się tylko to, co dotyka ciebie, Nadżibie. Nieważne, że ja czuję ból albo nienawidzę męża, ani że Nadżib i jego siostra Misza ztratili się w rolach, jakie przeznaczył im Allah. Liczy się tylko to, co kahina może powiedzieć Nur al-Allahowi.

— Kobieto... — zaczęła Nadżib ostrzegawczym tonem. Tembr jego głosu nabrał nieodpartej głębi. Misza uniosła głowę i otworzyła usta, gotowa przemówić, okazać posłuch bez zastanowienia. Zadrżała, jakby dotknął jej dmący na dworze wicher.

— Nie używaj daru przeciwko mnie — rzekła z irytacją. W porównaniu z głosem jej brata jej własny głos brzmiał twardo i ochryple. — Nie jestem jedną z twoich wyznawczyń. Jeśli zbyt często będziesz mnie przymuszał za pomocą języka Allaha, możesz się przekonać, że utraciłeś

jego oczy, odebrane ci moją własną ręką.

— Zatem bądź kahiną, siostrze — odparł Nadżib, tym razem tylko własnym głosem. Misza podeszła do inkrustowanej skrzynki, wyjęła pasmo tkaniny i powoli obandażowała sobie dłoń. — Powiedz mi, co przed chwilą widziałas. Czy to była wizja dżihadu? Czy ujrzałaś, jak trzymam w ręce berło kalifa?

Misza zamknęła oczy, przywołując wspomnienie krótkiego snu na jawie.

— Nie — zaprzeczyła. — To było coś nowego. Ujrzałam w oddali sokół na tle tarczy słonecznej. Gdy ptak się zbliżył, zobaczyłam, że w jego szponach porusza się setka ludzi. Poniżej, na szczycie góry, stał olbrzym dzierżący w dłoniach łuk. Wyrzucił do ptaka i zraniony sokół zakrzyknął gniewnie. Ci, których trzymał w szponach, również krzyczeli. Olbrzym nałożył na cięciwę drugą strzałę, ale łuk wygiął się nagle w jego rękach i strzała wbiła się w pierś tego, kto ją wypuścił. Widziałam, jak olbrzym upadł... — Misza otworzyła oczy. — To wszystko.

Nadżib skrzywił się z niezadowolaniem i przesunął przed oczami i świetlistą dłoń.

— Ale co to oznacza?

— Nie wiem. Allah zsyła mi sny, ale nie zawsze towarzyszy im zrozumienie. Może ten olbrzym to sajjid...

— To był tylko twój sen, nie Allaha. — Nadżib oddalił się od niej. Dostrzegła jego gniew. — Ja jestem sokółem, który trzyma w szponach wiernych — skwitował. — Ty jesteś olbrzymem, wielkim, ponieważ należysz do sajjida, który również jest wielki. Allah przypomina ci o konsekwencjach sprzeciwu. — Odwrócił twarz od siostry i zasunął żaluzje, odcinając jaskrawe promienie pustynnego słońca. Z wioskowego meczetu dobiegł głos muezina. „*Allahu akbar. Aszhadu ana la ilaha illa 'llah'* Allah jest wielki. Wyznaję, że nie ma Boga prócz Allaha”.

— Pragniesz tylko podbojów, spełnienia marzeń o dżihadzie — odparła Misza ze złośliwością w głosie. Nie zaakceptujesz żadnej innej interpretacji.

— Inszallah — odparł Nadżib. Jeśli Allah zechce. Nie chciał patrzeć na siostrę. — Na niektórych ludzi Allah spuścił swe straszliwe Plagi. Zgnilizna wypaczyła ich ciała, przypominając im o popełnionych grzechach. Innych, jak sajjida, wyróżnił, zsyłając im dary. Każdy otrzymał to, na co zasłużył. Wybrał mnie na przewodnika wiernych. Robię tylko to, co konieczne. Mam sajjida, który dowodzi moimi armiami, a także ukrytych wojowników, takich jak al-Muezzin. Ty również dowodzisz. Jesteś kahiną, a także fqihas, tą, do której kobiety zwracają się z prośbą o przewodnictwo.

Człowiek zwany Światłem Allaha ponownie zwrócił się twarzą ku wnętrzu pokoju. W półmroku za zasuniętymi żaluzjami wyglądał jak widmo.

— Jak ja spełniam wolę Allaha, tak ty musisz spełniać moją.

## Poniedziałek, 1 grudnia 1986, Nowy Jork

Na konferencji prasowej zapanował chaos.

Senator Gregg Hartmann zdołał wreszcie skryć się w pustym kącie za jedną z choinek. Jego żona, Ellen, i jego asystent, John Werthen, podążyli za nim. Gregg rozejrzał się po pomieszczeniu z wyraźnym marszem na czole. Potrząsnął głową, spoglądając na asa z Departamentu Sprawiedliwości, Billy'ego Raya — Carnifexa — a potem na rządowego ochroniarza, który również chciał do nich dołączyć, a potem machnął ręką, każąc obu się oddalić.

Gregg ostatnią godzinę poświęcił na odpieranie ataków reporterów, uśmiechanie się bez wyrazu do kamer i mruganie pośród nieustannych błysków fleszy. Salę wypełniał hałas wykrzykiwanych pytań oraz furkot szybko strzelających nikonów. Z sufitowych głośników płynęły bożonarodzeniowe melodyjki.

Największa grupa dziennikarzy skupiała się obecnie wokół doktora Tachiona, Poczwarki i Sokolicy. Szkarłatne włosy Takizjanina odbijały się od tłumy swym blaskiem, a Sokolica i Poczwarka zdawały się rywalizować o to, która przybierze bardziej prowokacyjną pozę przed kamerami. Stojącego nieopodal Jacka Brauna — Złotego Chłopca, Asa Judasza — ostentacyjnie ignorowano.

Tłum przeredził się nieco, gdy personel Hirma Worchestera z Wieży Asów rozstawił stoły bufetowe. Niekórzy dziennikarze zagarnęli porządnie wypełnione tace wyłącznie dla siebie.

— Przykro mi, szefie — odezwał się stojący obok Gregga John. Choć w sali było chłodno, asystent się pocił. W kropelkach potu perlących się na jego czole odbijały się migoczące bożonarodzeniowe światła: czerwone, potem niebieskie, a następnie zielone. — Któryś z pracowników lotniska wszystko wygadał. — To nie miało tak wyglądać. Powiedziałem im, że chcę, by dziennikarzy wprowadzono do środka, gdy już wszyscy zajmiecie miejsca. Zadaliby kilka pytań, a potem... — Wzruszył ramionami. — Winę biorę na siebie. Powiniem był się upewnić, że wszystko zrobiono jak trzeba.

Ellen przeszła Johna pełnym złości spojrzeniem, ale nic nie powiedziała.

— Jeśli John przeprasza, każ mu błagać o wybaczenie, senatorze. Cóż za bajzel — rozległ się szept w uchu Gregga. Druga z jego wieloletnich asystentów, Amy Sorenson, krążyła w tłumie jako jeden z ochroniarzy. Jej nadajnik radiowy łączył się bezpośrednio z odbiornikiem w uchu senatora. Amy przekazywała mu informacje, podawała nazwiska ludzi, których spotykał, oraz ważne dane na ich temat. Gregg miał niezłą pamięć do nazwisk i twarzy, ale wsparcie Amy było bardzo cenne. Wspólnymi siłami zapewniali, że prawie nigdy się nie zdarzało, by zapomnieli przywitać kogoś ważnego.

John bał się gniewu Gregga. Ten strach był jak jaskrawo fioletowa plama pulsująca pośród jego innych emocji. Senator wyczuwał też spokojną, tępą akceptację Ellen, zabarwioną lekką

nutą irytacji.

— Wszystko w porządku, John — uspokoił asystenta, choć pod powierzchnią kipiła w nim gniew. Ta część jego jaźni, którą zwał Lalkarzem, szarpała się niespokojnie, błagając o pozwolenie na zabawę z wypełniającymi salę emocjami. Połowa z nich to nasze lalki, możemy nad nimi zapanować. Popatrz, tam przy drzwiach Ojciec Kałamarnica próbuje uciec przed tą reporterką. Łatwo zobaczyć jego szkarłatne skrępowanie, mimo że się uśmiecha. Chciałby odpełznąć, ale jest na to zbyt uprzejmy. Moglibyśmy rozpalic jego frustrację, zmienić ją w gniew, spowodować, że przeknie dziennikarkę. Moglibyśmy się tym nakarmić. Wystarczyłoby lekko trącić...

Gregg jednak nie mógł tego zrobić, nie w obecności tych wszystkich asów, tych, z których nie odważy się zrobić swoich lalek, ponieważ mieli własne mentalne talenty albo po prostu dlatego, że byłoby to zbyt ryzykowne: Złotego Chłopca, Fantazji, Mistral, Poczworki. I tego, którego bał się najbardziej ze wszystkich, Tachiona. *Jeśli zaczną podejrzewać, że Lalkarz istnieje, jeśli się dowiedzą, co robię, by go nakarmić, Tachion zwoła stado i załatwi mnie tak samo jak masonów.*

Gregg odetchnął głęboko. Kąt wypełniał przemożny zapach choinki.

— Dziękuję, szefie — mówił John. Jego liliowy strach bladł już. Senator zauważył, że Ojciec Kałamarnica wreszcie uwolnił się od reporterki i powlókł się smętnie na swych maczkach do bufetu Hirama. W tej samej chwili reporterka zauważyła Gregga i wlepiła w niego dziwnie przeszywające spojrzenie. Ruszyła w jego stronę.

Amy również to zauważyła.

— Sara Morgenstern, korespondentka „New York Post” — wyszeptła do ucha Gregga. — Nagroda Pulitzera w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, za relację z Wielkich Zamieszek w Dżokerowie. Współautorka tego wrednego artykułu o SKAZA w lipcowym „Newsweeku”. Zmieniła makijaż. Wygląda teraz zupełnie inaczej.

Ostrzeżenie Amy zaskoczyło Gregga. Nie rozpoznał dziennikarki. Pamiętał ten artykuł. Był bardzo bliski zniesławienia. Sugerował, że Gregg i asowie ze SKAZA współdziałali z rządem w wysiłkach mających na celu ukrycie faktów dotyczących ataku Matki Roju. Pamiętał Sarę Morgenstern z różnych konferencji prasowych. Zawsze zadawała agresywne pytania, a w jej głosie pobrzmiwała ostra nuta. Mógłby z niej zrobić lalkę, po prostu z czystej złości, ale nigdy nie podchodziła do niego blisko. Gdy byli razem na sali, zawsze zachowywała dystans.

Teraz jednak szła prosto ku niemu. Na moment zamarł w bezruchu. Rzeczywiście się zmieniła. Zawsze miała szczupłą, chłopięcą budowę, ale dziś wieczorem jeszcze to podkreśliła. Włożyła czarne, obcisłe spodnie i przylegającą do ciała bluzkę. Włosy ufarbowała sobie na blond, a makijaż podkreślał kości policzkowe i wielkie, jasnoniebieskie oczy. Wyglądała niepokojąco znajomo.

Gregg nagle wypełniły chłód i strach.

Wewnątrz jego jaźni Lalkarz zawył, przy pominiąjąc sobie, co stracili.

— Gregg, nic ci nie jest?

Dłoń Ellen spoczęła na jego barku. Gregg zdrzął, czując dotyk żony, i potrząsnął głową.

— Wszystko w porządku — zapewnił obcesowo. Rozciągnął usta w profesjonalnym uśmiechu i opuścił kąt. Ellen i John szli u jego boków w ramach wyćwiczonej choreografii.

— Pani Morgenstern — rzekł ciepło, narzucając swemu głosowi spokój, którego nie czuł. Wyciągnął rękę. — Zapewne zna pani Johna, a to moja żona Ellen...

Sara Morgenstern skinęła od niechcienia głową, lecz nie spuszczała spojrzenia z Gregga. Na jej twarzy malował się dziwny, nerwowy uśmieszek, który zdawał się w połowie wyzwaniem, a w połowie zaproszeniem.

— Senatorze, mam nadzieję, że cieszy się pan na tę podróż równie mocno jak ja.

Uścisnęła jego rękę. Lalkarz wykorzystał chwilę kontaktu. Podobnie jak w przypadku wszystkich nowych lalek, prześledził ścieżki nerwów aż do mózgu, otwierając drzwi, które potem będą go wpuszczały z oddali. Odnalazł zamknięte bramy jej emocji, burzliwe kolory kłębiące się za nimi, a potem ich dotknął, chciwie i zachłannie. Otworzył zamki, odsunął zasuwę i otworzył szeroko drzwi.

Wylała się zza nich czerwono-czarna nienawiść. Zatoczył się do tyłu. Cała ta wrogość była skierowana przeciwko niemu. Furia tego zupełnie niespodziewanego uczucia nie przypominała niczego, z czym do tej pory się spotkał. Lalkarz westchnął w jego umyśle, ale Gregg maksymalnym wysiłkiem woli zdołał niczego po sobie nie okazać. Puścił jej rękę, słysząc pod czaszką jęki Lalkarza. Strach, który dotknął go przed chwilą, stał się dwakroć silniejszy.

*Wygłąda jak Andrea, jak Sukub. Podobieństwo jest zdumiewające. I nienawidzi mnie. Boże, cóż to za furia.*

— Senatorze? — powtórzyła Sara.

— Tak bardzo się cieszę — potwierdził machinalnie. — W ostatnim roku podejście naszego społeczeństwa do ofiar wirusa dzięki karty zmieniło się na niekorzyść. Ludzie tacy jak wieloebny Leo Barnett chcieliby, abyśmy wrócili do opresji z lat pięćdziesiątych przynajmniej pod niektórymi względami. A w mniej oświeconych krajach sytuacja jest nieporównanie gorsza. Możemy zaofiarować im zrozumienie, nadzieję i pomoc. I sami przy tym się czegoś nauczymy. Obaj z doktorem Tachionem podchodzimy do tej podróży z wielkim optymizmem. W przeciwnym razie nie zabiegalibyśmy tak mocno o jej urzeczywistnienie.

Słowa wypływały z jego ust z dobrze wyćwiczoną gładkością, pozwalając mu odzyskać równowagę. Słyszał przyjazny, niezobowiązujący ton własnego głosu, poczuł, że jego usta rozciągają się w dumnym uśmiechu. Ale nic z tego nie wpływało na jego jaźń. Ledwie mógł się powstrzymać przed beczelnym gapieniem się na Sarę. Na tę kobietę, która tak bardzo

przy pominała mu Andreę Whitman i Sukuba.

*Kochałem ją. Nie mogłem jej uratować.*

Sara najwyraźniej wyczuła jego fascynację. Przechyliła głowę na bok z tym samym wyrazem dziwnego wyzwania.

— To zarazem całkiem niezła chałtura. Trzymiesięczna podróż dookoła świata na koszt podatnika. Towarzyszy panu żona, a także pana kumple, tacy jak doktor Tachion i Hiram Worchester...

Gregg poczuł irytację stojącej u jego boku Ellen. Miała zbyt wiele wprawy jako żona polityka, żeby zareagować, wyczuł jednak jej nagłą uwagę, jak u pantery wypatrującej słabych punktów ofiary. Wytrącony z równowagi senator zmarszczył brwi o chwilę za późno.

— Dziwi mnie, że tak doświadczona dziennikarka wierzy w podobne bzdury, pani Morgenstern. Wyprawa oznacza rezygnację z wakacji. Normalnie po zakończeniu sesji Kongresu wróciłbym do domu. Oznacza odwiedziny w miejscach, których raczej nie polecają przewodnicy Fodora. Oznacza spotkania, odprawy oraz tonę papierkowej roboty, bez której z pewnością mógłbym się obejść. Zapewniam, że to nie wycieczka dla przyjemności. Mam ciekawsze zajęcia niż śledzenie obrad i codzienne przesyłanie do domu ty sięca słów.

Poczuł, że czarna nienawiść znowu w niej wzbiera. Ukryta w nim moc domagała się użycia. *Pozwól mi ją wziąć. Pozwól mi ugasić ten ogień. Zabierz jej tę nienawiść, a powie ci wszystko, co wie. Rozbrój ją.*

*Jest twoja* — zgodził się Gregg. Lalkarz rzucił się do ataku. Gregg nieraz już spotykał się z nienawiścią, ale nigdy nie była ona skierowana osobiście przeciwko niemu. Kontrola nad tym uczuciem wymykała mu się z rąk, nienawiść Sary stawiała mu opór niczym żywe, dotykalne stworzenie, odpierając ataki Lalkarza.

*Co ona ukrywa, do licha? Jaki jest powód tej wściekłości?*

— Próbuje się pan tłumaczyć, senatorze — stwierdziła Sara. — Jako dziennikarka nie mogę się jednak powstrzymać przed myślą, że głównym celem tej wyprawy, zwłaszcza dla potencjalnego kandydata w wyborach prezydenckich w osiemdziesiątym ósmym, może być wymazanie pamięci o wydarzeniach sprzed dziesięciu lat.

Gregg nie mógł się powstrzymać przed nagłym wciągnięciem oddechu. *Andrea, Sukub.* Sara odsłoniła zęby w uśmiechu drapieżnika. Przygotował się do kolejnego ataku na jej nienawiść.

— Mam wrażenie, że Wielkie Zamieszki w Dżokerowie stały się obsesją dla nas obojga, senatorze — ciągnęła zwodniczo lekkim tonem. — Uświadomiłam to sobie, gdy skończyłam pisać artykuł o nich. A pańskie zachowanie po śmierci Sukuba kosztowało pana utratę nominacji Partii Demokratycznej. Ale w końcu to była tylko dziwka, nieprawdaż, senatorze? Niewarta pańskiego... hmm... drobnego załamania. — Zaczerwienił się na to wspomnienie. — Idę do zakładu, że oboje



codziennie myśliły o tej chwili — ciągnęła Sara. — Minęło dziesięć lat, a ja nadal pamiętam.

Lalkarz wycofał się z głośnym wrzaskiem. Zaskoczony Gregg milczał. *Mój Boże, co ona wie? Co daje do zrozumienia?*

Nie miał czasu sformułować odpowiedzi. W jego uchu znowu rozległ się głos Amy.

— Senatorze, pędzi tu kłusem Kopacz Downs. Pracuje dla magazynu „Aces!”. Pisze o celebrytach. Okropna hiena, jeśli mnie pan o to pyta. Pewnie zobaczył Sarę Morgenstern i pomyślał sobie, że podsłucha prawdziwą dziennikarkę...

— Hej, kochani — głos Downsa przerwał Amy, nim zdążyła skończyć. Gregg odwrócił na moment wzrok od Sary i zobaczył niskiego, bladego młodzieńca. Downs wiercił się nerwowo i pociągał nosem, jakby był przeziębiony. — Droga Saro, czy nie masz nic przeciwko temu, że drugi reporter się wtrąci?

Ingerencja Downsa była straszliwie irytująca. Był chamski i fałszywie przyjazny. Najwyraźniej wyczuł zaniepokojenie Gregga, bo uśmiechnął się i odwrócił wzrok od Sary, spoglądając na niego. Ellen i Johna ignorował całkowicie.

— Chyba już powiedziałam wszystko, co chciałam powiedzieć — odparła Sara. — Na razie.

Nie odrywała od Gregga spojrzenia jasnoniebieskich oczu, a na jej twarzy widniał dziecinny wyraz fałszywej niewinności. Odwróciła się zgrabnie i ruszyła ku Tachionowi. Gregg śledził ją wzrokiem.

— Laseczka nieźle dziś wygląda, zgadza się pan, senatorze? — Downs znowu się uśmiechnął. — Proszę o wybaczenie, pani Hartmann. Hej, pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Kopacz Downs z magazynu „Aces!” i będę wam towarzyszył podczas tej małej wyprawy. Będziemy się widywali bardzo często.

Gregg, przyglądający się, jak Sara znika w tłumie otaczającym Tachiona, zorientował się, że Downs dziwnie się na niego gapi. Wyśiłkiem woli oderwał spojrzenie od dziennikarki.

— Miło mi pana poznać — rzekł.

Od sztucznego uśmiechu rozboleły go mięśnie twarzy.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

1 grudnia, Nowy Jork

Podróż zaczęła się pechowo. Już całą godzinę czekamy na pasie startowym lotniska Tomlin International na pozwolenie na start. Poinformowano nas, że do problemów doszło nie tutaj, ale w Hawanie, czekamy więc cierpliwie.

Nasz samolot to wykonany na zamówienie boeing 747, przezwany przez prasę „Ułożoną Talią”. Całą centralną kabinę przebudowano stosownie do naszych potrzeb, siedzenia ustąpiły miejsca małemu laboratorium medycznemu, sali redakcyjnej dla dziennikarzy z prasy oraz miniaturowemu studiu telewizyjnemu dla ich odpowiedników z mediów elektronicznych. Samych dziennikarzy zakwaterowano w tylnej części. Poczuli się tam jak w domu. Zajrzałem do ich pomieszczenia przed dwudziestoma minutami i zauważyłem, że już zaczęli grać w pokera. W kabinie klasy biznesowej siedzi cała zgraja asystentów, sekretarek, rzeczników prasowych oraz ochroniarzy. Pierwsza klasa miała być przeznaczona wyłącznie dla delegatów.

Ponieważ jest nas tylko dwudziestu jeden, ludzie co chwila zmieniają miejsca. Nawet tu utrzymują się jednak getta. Dżokerzy siedzą z dżokerami, natole z natolami, a asowie z asami.

Hartmann jest jedynym człowiekiem na pokładzie, który czuje się w pełni swobodnie w towarzystwie wszystkich trzech grup. Na konferencji prasowej przywitał mnie serdecznie, a parę chwil po wejściu na pokład przysiadł się do mnie i do Howarda, żeby opowiedzieć nam z powagą o nadziejach, jakie wiąże z tą podróżą. Trudno byłoby nie lubić senatora. Wygrywał w Dżokerowie przygniatającą większością głosów podczas wszystkich swych kampanii, nawet wtedy, gdy był jeszcze burmistrzem. Nic w tym dziwnego, bo żaden inny polityk nie zrobił tak wiele dla obrony praw dżokerów. Hartmann daje mi nadzieję. Jest żywym dowodem na to, że między dżokerami a natolami mogą istnieć zaufanie i wzajemny szacunek. To porządny, honorowy człowiek, a w obecnych czasach, gdy fanatycy tacy jak Leo Barnett ozywają stare nienawiści i uprzedzenia, dżokerzy bardzo potrzebują przyjaciół w sferach władzy.

Doktor Tachion i senator Hartmann współprzewodniczą delegacji. Tachion przybył ubrany jak zagraniczny korespondent z jakiegoś klasycznego filmu noir: trenaż pełen pasów, guzików i epoletów, a na głowie zawadiacko przekrzywiona fedora z zawiniętym rondem. Ale ten kapeluszek zdobi długie czerwone pióro, a nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie można kupić jasnyniebieski trenaż z gnionego weluru. Szłoda, że te wszystkie filmy o zagranicznych korespondentach były czarno-białe.

Tachion lubi sobie wyobrażać, że jest równie wolny od uprzedzeń wobec dżokerów jak Hartmann, ale nie jest to do końca prawda. Trudzi się bezustannie w swej klinice i nikt nie może

wątpić, że jest głęboko zaangażowany w swoją pracę... wielu dzókerów uważa go za świętego, za bohatera... ale gdy ktoś zna doktora tak długo jak ja, na jaw wychodzą głębiej ukryte prawdy. W jego umyśle skrywa się nigdy nie ubrane w słowa przekonanie, że jego praca w Dzókerowie stanowi pokutę. Ze wszystkich sił stara się to ukryć, ale nawet po tylu latach wciąż można dostrzec w jego oczach odrazę. Jesteśmy z doktorem Tachionem „przyjaciółmi”, znamy się od dziesięcioleci i wierzę z całego serca, że szczerze mnie lubi, ale nigdy, nawet na sekundę, nie poczułem, że uważa mnie za równego sobie, tak jak Hartmann. Senator traktuje mnie jak człowieka, i to wpływowego, zabiega o moje względy, jak o względy każdego polityka, który może zapewnić mu głosy. Dla doktora Tachiona zawsze będę tylko dzókerem.

Czy to jego tragedia, czy moja?

Tachion nic nie wie o raku. Czy to znak świadczący, że nasza przyjaźń jest równie chora jak moje ciało? Być może. Nie jest moim osobistym lekarzem już od wielu lat. Mój lekarz jest dzókerem, tak samo jak mój księgowy, mój adwokat, mój makler, a nawet mój bankier. Świat zmienił się od czasów, gdy zwolniono mnie z Chase Manhattan, a jako burmistrz Dzókerowa mam obowiązek brać udział we własnej wersji akcji afirmacyjnej.



Właśnie otrzymaliśmy zezwolenie na start. Skończyło się przesiadanie z fotela na fotel i wszyscy zapięli pasy. Wygląda na to, że wszędzie, dokąd się udam, towarzyszy mi Dzókerowo, jako że najbliżej mnie siedzi Howard Mueller. Jego fotel przebudowano, by pomieścić wysoką na blisko trzy metry postać o długich ramionach. Jest powszechnie znany jako Troll i pracuje jako szef ochrony w szpitalu Tachiona, zauważyłem jednak, że nie usiadł razem z doktorem wśród asów. Pozostała trójka dzókerskich delegatów — Ojciec Kalamarnica, Poczwarła i poeta Dorian Wilde — również zajęła miejsca w środkowej części kabiny pierwszej klasy. Czy to przypadek, przesady, czy wstyd sprawił, że usiedliśmy tutaj, na miejscach najbardziej oddalonych od okien? Obawiam się, że dzókerzy wykazują na tym punkcie lekką paranoję. Politycy zarówno krajowi, jak i z ONZ, skupili się po prawej stronie, a asowie z przodu (asowie do przodu, no jasne) i z lewej. Muszę przestać pisać, bo stewardesa poprosiła mnie, żebym złożył stolik.

Lecimy. Nowy Jork i lotnisko Tomlin International zostały daleko za nami. Czeka na nas Kuba. Sądząc z tego, co słyszałem, nasz pierwszy postój będzie łatwy i przyjemny. Hawana jest prawie tak samo amerykańska jak Las Vegas czy Miami Beach, choć jest tam zdecydowanie więcej dekadencji i występku. Niewykluczone, że mam tam przyjaciół, bo niektórzy z czołowych dzókerskich artystów, którzy rozpoczynali karierę w Gabinetach Luster albo w klubie „Chaos”, występują potem w kasynach Hawany. Muszę jednak pamiętać, by trzymać się z dala od hazardu, bo dzókerzy słyną z braku szczęścia.



Gdy tylko zgasł napis nakazujący zapiąć pasy, grupka asów udała się na górę, do baru pierwszej klasy. Słyszę ich śmiech dobiegający ze szczytu spiralnych schodów: Sokolica, młoda ładna Mistral — gdy zdejmie swój strój do latania, wygląda jak studentka college'u, którą faktycznie jest — hałaśliwy Hiram Worchester oraz Asta Lenser, tancerka z Amerykańskiego Teatru Baletowego, która jako aska nosi imię Fantazja. Zdążyli już stworzyć grupę „rozrywki” osób, których nie może spotkać nic złego. Złoci ludzie, a Tachion bardzo do nich pasuje. Zastanawiam się, czy przyciągają go asowie czy kobiety? Nawet moja droga przyjaciółka Angela, która po dwudziestu paru latach nadal bardzo go kocha, przyznaje, że gdy w grę wchodzi kobiety, doktor Tachion myśli głównie penisem.

Jednakże i wśród asów zdarzają się outsiderzy. Jones, czarny siłacz z Harlemu (podobnie jak Troll, Hiram W. i Sokolica, potrzebuje specjalnego fotela, w jego przypadku z powodu olbrzymiego ciężaru), siedzi sobie z piwem w ręku, czytając „Sports Illustrated”. Radha O'Reilly również jest sama i wygląda przez okno. Robi wrażenie bardzo cichej. Billy Ray i Joanne Jefferson, dwoje asów z Departamentu Sprawiedliwości, którzy dowodzą naszą grupą ochrony, nie są delegatami i w związku z tym siedzą w drugiej sekcji.

Jest jeszcze Jack Braun. Otaczające go napięcie jest niemal dotykalne. Większość pozostałych delegatów traktuje go uprzejmie, ale nikt nie okazuje mu przyjaźni, a niektórzy otwarcie go unikają, na przykład Hiram Worchester. Dla doktora Tachiona Braun najwyraźniej nie istnieje. Zastanawiam się, kto wpadł na pomysł, żeby zrobić go delegatem? Z pewnością nie Tachion, wydaje się też, że to zbyt politycznie niebezpieczne, żeby odpowiedzialny mógł być Hartmann. Być może to gest mający udobruchać konserwatystów ze SKAZA. A może w grę wchodzi jakieś inne czynniki, których nie uwzględniłem?

Braun od czasu do czasu spogląda na schody do baru, jakby gorąco pragnął dołączyć do spędzającej tam przyjemnie czas grupy. Nie rusza się jednak z miejsca. Trudno uwierzyć, że ten chłopak o gładkiej twarzy i blond włosach ubrany w szytą na zamówienie kurtkę w stylu safari naprawdę jest osławionym Asem Judaszem z lat pięćdziesiątych. Jest w moim wieku albo niewiele młodszy, ale wygląda najwyżej na dwadzieścia lat... taki chłopak mógłby przed paru laty zaprowadzić młodą, ładną Mistral na pierwszy bal, a potem odprowadzić ją do domu długo przed północą.

Jeden z reporterów, człowiek nazwiskiem Downs z magazynu „Aces”, był tu niedawno i próbował namówić Brauna na udzielenie wywiadu, ale ten stanowczo odmówił i po pewnym czasie Downs dał za wygraną. Rozdał tylko obecnym egzemplarze najnowszego numeru „Aces” i poszedł do baru, z pewnością zwracać głowę komuś innemu. Nie jestem stałym czytelnikiem tego pisma, ale przyjąłem numer i zasugerowałem Downsowi, że jego wydawca powinien rozważyć pomysł założenia siostrzanego magazynu pod nazwą „Jokers”. Nie wyglądał na zbyt

zachwyconego tym pomysłem.

Na okładce jest przyciągające wzrok zdjęcie skorupy Żółwia, widocznej na tle czerwono-pomarańczowego zachodu słońca. Napis głosi: „Żółw — martwy czy żywy?”. Nikt nie widział Żółwia od września, od Dnia Dzikiej Karty, kiedy rzucono na niego napalm i wpadł do Hudson River. Na dnie rzeki odkryto później spalone i powykręcane fragmenty skorupy, ale nie udało się odnaleźć ciała. Kilkaset ludzi rzekomo widziało Żółwia przed świtem następnego dnia, jak leciał w starszej skorupie nad Dżokerowem, ale ponieważ od tego czasu już się nie pojawił, niektórzy uważają, że była to tylko zbiorowa histeria i pobożne życzenia.

Nie mam żadnego zdania w tej sprawie, choć bardzo bym się zmartwił, gdyby Żółw naprawdę zginął. Wielu dżokerów wierzy, że to jeden z nas, a jego skorupa ukrywa jakąś straszliwą dżokerską deformację. Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, przez bardzo wiele lat był dobrym przyjacielem Dżokerowa.

Nasza wyprawa ma jednak pewien aspekt, o którym nikt nie wspomina, choć artykuł Downsa odnosi się do tej sprawy. Być może to mnie przypadnie w udziale poruszyć temat tabu. Prawda wygląda tak, że cały ten śmiech dobiegający z baru brzmi nieco nerwowo i nie jest przypadkiem, że naszą podróż, o której mówiono już od wielu lat, zorganizowano tak szybko w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Chcą się nas pozbyć z miasta na pewien czas. Nie tylko dżokerów, lecz również asów. Można by nawet powiedzieć, że zwłaszcza asów.

Ostatni Dzień Dzikiej Karty był katastrofą dla Nowego Jorku i dla wszystkich ofiar wirusa na całym świecie. Przemoc sięgnęła szokujących rozmiarów. Gazety w całym kraju pisały tylko o tym. Nadal nierozwiązana sprawa zabójstwa Wyjca, rozszarpanie na strzępy młodocianego asa pośrodku wielkiego tłumu pod Mauzoleum Śmiga, atak na Wieżę Asów, zniszczenie Żółwia (a przynajmniej jego skorupy), masowa rzeź w Cloisters Park, gdzie znaleziono kilkanaście poćwiartowanych ciał, poprzedzająca świt bitwa powietrzna, której blask padł na całą East Side. Po wielu dniach, a nawet tygodniach władze nadal nie były pewne, czy znają pełną liczbę ofiar.

Pewnego staruszka znaleziono dosłownie wtopionego w gruby ceglany mur. Kiedy zaczęto go stamtąd wykuwać, okazało się, że nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna ściana. Sekcja wykazała, że wewnątrz również panował makabryczny chaos. Narządy wewnętrzne stopiły się w jedną całość z ceglami, które je przeniknęły.

Reporterowi „New York Post” udało się zrobić zdjęcie uwięzionego w murze staruszka. Wyglądał tak słodko i niewinnie. Policja ogłosiła później, że on także był asem, a co więcej — osławionym przestępcą odpowiedzialnym za zabójstwo Dinochłopca i Wyjca, usiłowanie zabójstwa Żółwia, zaatakowanie Wieży Asów, bitwę nad East River, makabryczne krwawe rytuały odprawione w Cloisters oraz cały szereg pomniejszych przestępstw. Grupa asów potwierdziła tę relację, ale opinia publiczna chyba nie dała się przekonać. Sondaże wskazują, że

większość ludzi wierzy w teorię spiskową wysuniętą przez „National Informer”. Mówi ona, że zabójstwa były niepowiązаныmi ze sobą incydentami, a winnymi są potężni asowie, znani i nieznani, którzy wykorzystali okazję do załatwienia prywatnych porachunków, używając swych mocy z pełnym lekceważeniem dla prawa i bezpieczeństwa publicznego. Ci sami asowie mieli później na spółkę z policją zatuszować swe zbrodnie, zwalając całą winę na kalekiego staruszkę, który szczęśliwym dla nich zbiegiem okoliczności również zginął, z pewnością z rąk jakiegoś asa.

Zapowiedziano już wydanie kilku książek na ten temat, a każda z nich ma rzekomo ujawniać całą prawdę o wydarzeniach. Niemoralny oportunizm wydawców nie zna granic. Koch, jak zwykle świadomy, skąd wieje wiatr, rozkazał wznowić śledztwo w kilku sprawach i polecił IAD zbadać rolę policji.

Dżokerzy są żałośni i wstrętni. Asowie dysponują wielką mocą i po raz pierwszy od wielu lat znaczna część społeczeństwa zaczęła się ich obawiać i nie ufać ich możliwościom. Nic dziwnego, że demagogdy w rodzaju Leo Barnetta zdobyli ostatnio tak silną pozycję.

Jestem więc przekonany, że nasza wyprawa ma również ukryty cel: zmycie krwi odrobiną „dobrego atramentu”, jakto mówią, złagodzenie obaw, odzyskanie zaufania i sprawienie, że ludzie zapomną o Dniu Dzikiej Karty.

Przyznaję, że mam mieszane uczucia co do asów. Niektórzy z nich z pewnością nadużywają swych mocy. Niemniej jednak jako dżoker żywię rozpaczliwą nadzieję, że nam się uda... i rozpaczliwie obawiam się konsekwencji niepowodzenia.

# Zwierzęta juczne

JOHN J. MILLER

*Od zawiści, nienawiści i niechęci, od wszelkich złych pragnień, ocal nas, dobry Boże.*

— Litania, Modlitewnik powszechny

Jego szczątkowe organy płciowe nie były funkcjonalne, ale wierchowce zawsze uważały, że jest płci męskiej, być może dlatego, że jego skarlłowaciałe, wyniszczone ciało przypominało raczej mężczyznę niż kobietę. On sam uważał się za zamkniętą książkę. Nigdy nie przekazywał komunikatów o takich sprawach.

Nie miał imienia, poza pożyczonym z folkloru przez jego wierchowce — *Ti Malice* — i właściwie nie obchodziło go, jak się do niego zwracają, dopóki traktowały go z szacunkiem. Lubił ciemność, ponieważ jego słabe oczy były nadmiernie wrażliwe na światło. Nigdy nie jadł, nie miał bowiem zębów, którymi mógłby rozdrabniać pokarmy, ani języka, którym czułby smak. Nie pił alkoholu, gdyż prymitywny worek, jakim był jego żołądek, nie mógłby go strawić. Seks nie wchodził w grę.

Mimo to mógł się cieszyć wyszukаныmi potrawami, najlepszymi winami, drogimi trunkami oraz wszelkimi możliwymi rodzajami seksu. Miał od tego wierchowce.

I cały czas szukał nowych.

## I

Poczwarka mieszkała w slumsach w Dżokerowie, gdzie miała swój bar, była więc przyzwyczajona do widoku nędzy i cierpienia. Dżokerowo było jednak slumsem w najbogatszym kraju na świecie, a Bolosse, slumsowa dzielnica Port-au-Prince, bezładnego skupiska, jakim była położona na brzegu morza stolica Haiti, leżało w jednym z najuboższych.

Widziany z zewnątrz, szpital wyglądał jak scenografia na planie horroru klasy B opowiadającego o osiemnastowiecznym domu dla obłąkanych. Otaczał go kruszący się kamienny mur, na prowadzącym do niego chodniku leżały zmurszałe betonowe płyty, na murach budynków nagromadziły się zaś wieloletnie warstwy ptasich odchodów oraz brudu. W środku wyglądał gorzej.

Ściany były pokryte abstrakcyjnymi plamami odlażącej farby oraz pleśni. Nagie deski skrzypiały złowrogo pod stopami, a w pewnej chwili fragment jednej z podłóg załamał się pod ciężarem Mordecaia Jonesa, ważącego dwieście kilogramów asa zwanego Młotem Harlemu.

Jones spadłby na niższe piętro, gdy Hiram Worchester nie wykazał się przytomnością umysłu i nie zmniejszył jego ciężaru do jednej dziesiątej. Smrodu unoszącego się w korytarzach nie sposób było opisać, w przeważającej części składał się jednak z rozmaitych odorów śmierci.

Poczwarła doszła do wniosku, że najgorsi są pacjenci, a zwłaszcza dzieci. Leżały bez słowa skargi na nagich, brudnych materacach, cuchnących potem, moczem i pleśnią, a ich rozdęte z głodu ciała trawiły choroby dawno już wytępione w Ameryce. Gapiły się na grupę gości bez zainteresowania i zrozumienia. Ich oczy wypełniał spokój pogodzenia się z losem.

*Lepiej być dzokerem*, pomyślała, choć nienawidziła tego, co wirus dzikiej karty uczynił z jej pięknym ongiś ciałem.

Nie była już w stanie dłużej znosić widoku cierpienia, na które nic nie można było poradzić. Opuściła szpital po przejściu przez pierwszy oddział i wróciła do czekającej kolumny samochodów. Kierowca dżipa, do którego przydzielono Poczwarkę, obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Kiedy czekali na pozostałych, nucił skoczną melodyjkę, od czasu do czasu śpiewając fałszywie po kreolsku kilka kluczowych fraz.

Tropikalne słońce mocno prażyło. Poczwarła, opatulona w płaszcz z kapturem, chroniący jej delikatne ciało i skórę przed palącymi promieniami, obserwowała grupkę dzieci bawiących się po drugiej stronie ulicy. Po jej plecach spływały strumienie potu i niemalże zazdrościła prawie gołym dzieciakom chłodu oraz swobody. Najwyraźniej próbowały coś wyłowić w głębinach biegnącego pod ulicą kanału. Minęła chwila, nim Poczwarła zrozumiała, co właściwie robią, ale gdy już to się stało, zazdrość ulotniła się bez śladu z jej myśli. Wyciągały wodę z kanału i wlewały ją do poobtłukiwanych, zardzewiałych garnków albo pudełek. Czasami przerywały na chwilę, by wypić mały łyżeczek.

Odwróciła wzrok, zadając sobie pytanie, czy nie popełniła błędu, przyłączając się do wędrownej trupy Tachiona. Gdy ją zaprosił, wydało się to jej dobrym pomysłem. Miała szansę wyruszyć w podróż dookoła świata na koszt rządu, a w dodatku nawiązać kontakty z wieloma ważnymi i wpływowymi ludźmi. Nie sposób przewidzieć, jakie interesujące informacje zbierze po drodze. Tak jest, pomyślała wtedy, że to świetny pomysł...

— No cóż, moja droga, gdybym nie widział go na własne oczy, powiedziałbym, że masz za słaby żołądek na takie rzeczy.

Uśmiechnęła się bez śladu wesołości, gdy Dorian Wilde wdrapał się do dżipa i usiadł obok niej. Nie miała nastroju na słuchanie sławnych powiedzonek poety.

— Nie spodziewałam się takiego traktowania — odparła z wypracowanym brytyjskim akcentem. Doktor Tachion, senator Hartmann, Hiram Worchester, wraz z grupą towarzyszących im ważnych i wpływowych polityków oraz asów, szli ku czekającym na nich limuzynom, podczas gdy Poczwarła, Wilde i inni ewidentni dzokerzy uczestniczący w podróży musieli siedzieć



w brudnych, poobtłukiwanych dżipach podążających z tyłu kolumny.

— A powinnaś — rzekł Wilde. Był masywnym mężczyzną o delikatnych rysach twarzy tracących stopniowo atrakcyjność z powodu nadmiaru tłuszczu. Miał na sobie garnitur w stylu edwardiańskim, stanowczo potrzebujący wyprania i wyprasowania, zużył też tyle żelu pod prysznic o kwiatowym zapachu, że Poczwarzka bardzo się cieszyła, że jadą otwartym samochodem. Mówiąc, machał ospale lewą ręką, a prawą trzymał w kieszeni marynarki. — W końcu dżokerzy są Murzynami świata. — Wydął usta i zerknął na kierowcę, który był czarny, podobnie jak dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców Haiti. — Na tej wyspie brzmi to ironicznie.

Poczwarzka złapała za oparcie fotela kierowcy, gdy dżip zjechał nagle z krawężnika, podążając za resztą oddalającej się od szpitala kolumny. Ukrytą głęboko pod kapturem twarz dżokerki muskał chłodny powiew, ale resztę jej ciała zlewał pot. Przez całą, trwającą godzinę drogę przez wąskie, kręte ulice Port-au-Prince marzyła o zimnym drinku i długotrwałej, chłodnej kąpieli. Gdy wreszcie dotarli do Royal Haitian Hotel, wysiadła na ulicę, nim dżip zdążył się do końca zatrzymać, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w chłodnym holu. Niemal natychmiast otoczyło ją jednak morze ludzi gadających coś po kreolsku z błaganiem malującym się na twarzach. Nie rozumiała, co mówią żebracy, ale nie musiała znać ich języka, by dostrzec niedostatek i desperację w ich oczach, podartych ubraniach oraz wychudłych ciałach.

Tłum żebraków przycisnął ją do drzwi dżipa. Litość, którą w pierwszej chwili poczuła na widok ich nędzy, ustąpiła miejsca strachowi przywołanemu przez żalodne, błagalne głosy oraz dziesiątki wyciągających się ku niej chudych jak patyki rąk.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć albo zrobić, kierowca sięgnął do skrytki i wyciągnął z niej cienki kij, przypominający skrócony kij od mioty. Następnie wysiadł i zaczął okładać nim żebraków, wykrzykując krótkie, ostre frazy po kreolsku.

Poczwarzka usłyszała i zobaczyła, jak chude ramię młodego chłopaka złamało się po pierwszym uderzeniu. Drugie rozcięło skórę na głowie staruszka, trzecie zaś okazało się niecelne, ponieważ ofiara zdążyła się uchylić.

Kierowca uniósł kij, by uderzyć raz jeszcze. Poczwarzką, zwykle pełną ostrożnej rezerwy, zawiądnął nagły gniew.

— Przezań! Przezań natychmiast! — zawołała, zwracając się ku niemu. Kaptur spadł z jej głowy pod wpływem nagłego ruchu, po raz pierwszy odsłaniając twarz dżokerki. A przynajmniej tę jej część, która była widoczna.

Skóra i ciało Poczwarzki były przezroczyste jak szkło najwyższej jakości, pozbawione szlak i pęcherzyków. Poza mięśniami przylegającymi do czaszki i żuchwy widoczne były jedynie wargi — ciemnoczerwone plamy na tle błyszczącej czaszki. Oczy, unoszące się w pustych

oczołoch, były błękitne jakskrawki nieba.

Kierowca wlepił w nią spojrzenie. Żebracy, których błagania przed chwilą zmieniły się w jęki strachu, umilkli jak jeden mąż, jakby niewidzialna ośmiornica zamknęła im usta swymi maclami. Cisza trwała przez kilka dobrych uderzeń serca.

— *Madame Brigitte* — wyszeptał wreszcie jeden z nich cichym, przepojonym bojaźnią głosem.

To imię szerzyło się w tłumie niczym szeptana inwokacja, aż wreszcie nawet ci, którzy tłoczyli się wokół innych pojazdów z kolumny, zaczęli wyciągać czyje, chcąc ją zobaczyć. Wcisnęła się w drzwi dżipa. Spojrzenia tłumu żebraków, pełne strachu, bojaźni i zachwytu, budziły w niej lęk. Żywy obraz trwał przez chwilę, nim kierowca rzucił ostrym tonem jakieś zdanie i machnął kijem. Tłum rozproszył się natychmiast, ale część nędzarzy obrzuciła jeszcze Poczwarkę pożegnalnymi spojrzeniami, w których lęk mieszał się z uniesieniem.

Poczwarka spojrzała na kierowcę. Był wysokim, czarnoskórym chudzielcem, miał na sobie tani, niedopasowany garnitur z niebieskiej serży oraz rozpiętą pod szyją koszulę. Gapił się ponuro na dżokerkę, ale ciemne okulary uniemożliwiały jej odczytanie wyrazu jego twarzy.

— Mówisz po angielsku? — zapytała.

— *Oui*. Trochę.

Usłyszała ostrą nutę strachu w jego głosie i zadała sobie pytanie, skąd się tam wzięła.

— Dlaczego ich biłeś?

Wzruszył ramionami.

— To wieśniacy. Hołota z prowincji. Przybywają do Port-au-Prince, by żerować na łaskawości osób takich jak pani. Kazałem im odejść.

— Mów głośno i miej przy sobie gruby kij — odezwał się z ironią w głosie siedzący na tylnym siedzeniu dżipa Wilde.

Poczwarka przeszła go wściekłym spojrzeniem.

— Bardzo mi pomogłeś.

Ziewnął.

— Nie mam zwyczaju uczestniczyć w ulicznych bijatykach. To wulgarne.

Prychnęła pogardliwie i ponownie zwróciła się w stronę kierowcy.

— Kim jest „*Madame Brigitte*”? — zapytała.

Kierowca wzruszył ramionami w wyraźnym francuskim geście. Choć Haiti było politycznie niezależne od blisko dwóch stuleci, więzy kulturowe łączące je z Francją nadal się utrzymywały.

— To loa, żona Barona Samediego.

— Barona Samediego?

— To najpotężniejszy z loa. Pan i strażnik cementarza. Władca skrzyżowania dróg.

— A co to są loa?

Zmarszczył brwi i ponownie wzruszył ramionami, tym razem niemal gniewnie.

— Loa to duch, fragment Boga, bardzo potężny i nadprzyrodzony.

— A ja jestem podobna do tej *Madame Brigitte*?

Nie odpowiedział, lecz nadal gapił się na nią zza ciemnych okularów. Pomimo tropikalnego upału Poczwarła poczuła, że po jej plecach przebiegł dreszcz. Czowała się naga, choć miała na sobie obszerny płaszcz. To nie była cielesna nagość. W gruncie rzeczy często pokazywała się publicznie półnago. To był jej prywatny obsceniczny gest pod adresem świata. Chciała się upewnić, że ci, którzy na nią patrzą, zobaczą to, co sama widziała, przeglądając się w lustrze. Miała poczucie duchowej nagości, jakby wszyscy gapiący się na nią ludzie starali się odkryć, kim jest, przeniknąć drogocenne tajemnice będące dla niej jedynymi maskami. Rozpaczliwie pragnęła skryć się przed tymi wścibskimi spojrzeniami, ale nie zamierzała od nich uciekać. Potrzebowała całej swej odwagi, całego spokoju, który mogła w sobie zebrać, by dojść do drzwi hotelu nienerwowym, miarowym krokiem.

Wewnątrz było chłodno i ciemno. Poczwarła przystanąła przy krześle o wysokim oparciu, wyglądającym, jakby wykonano je w ubiegłym stuleciu i odkurzone jakieś dziesięć lat temu. Zaczepnęła głęboki, uspokajający oddech i wypuściła powoli powietrze z płuc.

— O co w tym wszystkim chodziło?

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Sokolica przygląda się jej z z troskaniem w oczach. Skrzydłata kobieta jechała w jednej z limuzyn na czele kolumny, ale najwyraźniej widziała przedstawienie, które rozegrało się wokół dżipa Poczwarłki. Piękne skrzydła o atlasowych piórach dodawały tylko egzotyki jej gibkiemu, opalonemu ciału. Poczwarła pomyślała, że powinno być łatwo jej zazdrościć. Wirus dzięki karty dał Sokolicy sławę, popularność, a nawet własny program telewizyjny. Aska sprawiała jednak wrażenie szczerze z troskanej i zaniepokojonej, a Poczwarła potrzebowała czyjś rozumienia.

Nie mogła jednak wyjaśnić Sokolicy czegoś, co sama rozumiała tylko częściowo. Wzruszyła ramionami.

— O nic. — Rozejrzała się po holu, szybko wypełnianym się personelem towarzyszącym ich wyprawie. — Przydałoby mi się parę chwil spokoju. I coś do picia.

— Mnie też — zabrzmiał męski głos, zanim Sokolica zdążyła odpowiedzieć. — Znajdźmy jakiś bar, a zapoznam cię z niektórymi szczegółami dotyczącymi życia na Haiti.

Obie kobiety odwróciły się w stronę mężczyzny, który przemówił. Miał mniej więcej metr osiemdziesiąt i był silnie zbudowany. Wdział na siebie garnitur z cienkiej tkaniny, nieskazitelnie czysty i pięknie wyprasowany. Jego twarz miała w sobie coś dziwnego. Jej rysy nie pasowały do siebie. Podbródek był za długi, a nos zbyt szeroki. Oczy były różnobarwne i błyszczały za mocno.

Poczwarła znalazła go wyłącznie z reputacji. Był asem Departamentu Sprawiedliwości, członkiem ekipy ochroniarzy przydzielonej przez Waszyngton do wyprawy Tachiona. Jakś znający łacinę mądryła z Departamentu Sprawiedliwości nadał mu przydomek Carnifex. To spodobało się Billy'emu Rayowi. Był z niego prawdziwy twardziel.

— Nie rozumiem — odparła Poczwarła. Ray rozejrzał się po holu, poruszając nerwowo ustami.

— Znajdźmy bar i pogadajmy. Na osobności.

Poczwarła zerknęła na Sokolicę. Skrzydłata kobieta odczytała prośbę w jej oczach.

— Mogę wam towarzyszyć? — zapytała.

— Hej, oczywiście — odparł Ray, spoglądając z nieskrywanym podziwem na gibkie, opalone ciało Sokolicy oraz na letnią sukienkę w czarno-białe pasy, odsłaniającą tak znaczną jego część. Obliznął wargi. Poczwarła i Sokolica wymieniły pełne niedowierzania spojrzenia.

O tej porze dnia ruch w hotelowym barze nie był zbyt wielki. Znaleźli pusty stolik, otoczony innymi pustymi stolikami, i przekazali zamówienie odzianemu w czerwony uniform kelnerowi, który nie był w stanie zdecydować, na którą z kobiet się gapić. Wszyscy czekali w milczeniu do chwili, gdy wrócił z drinkami i Poczwarła wypila odrobinę amaretto, które jej przyniósł.

— Wszystkie turystyczne broszury zapewniają, że Haiti to cholerny tropikalny raj — oznajmiła tonem wskazującym, że jej zdaniem broszury kłamią.

— Kochanie, zabiorę cię do raju — odparł Carnifex.

Poczwarła lubiła, gdy mężczyźni zwracali na nią uwagę. Czasami aż za bardzo. Uświadomiła sobie, że często wchodzi w związki z niewłaściwych powodów. Nawet Brennan (Yeoman, powiedziała sobie, Yeoman. Musi pamiętać, że nie powinna znać jego prawdziwego nazwiska) stał się jej kochankiem dlatego, że go do tego zmusiła. Była przekonana, że po prostu lubi poczucie władzy, panowania nad sytuacją, jakie ją ogarniało, gdy to mężczyźni przychodzili do niej. Dzięki swemu nawykowi nieustannej autoanalizy uświadamiała też sobie, że skłanianie ich do uprawiania miłości z jej ciałem było dla niej kolejnym sposobem na ukaranie czującego do niej odrazę świata. Ale Brennan (Yeoman, do cholery) nigdy nie uważał jej za odrażającą. Nigdy nie kazał jej gasić światła, zanim ją pocałował, i zawsze kochał się z nią z otwartymi oczami, patrzył, jak jej serce bije, płuca się poruszają, a oddech gromadzi się za zaciśniętymi mocno zębami...

Ray poruszył stopą pod stołem, dotykając jej stopy. To wyrwało ją z myśli o tym, co minęło. Uśmiechnęła się do niego leniwie, jej zęby błyszczały w równie błyszczącej czaszce. Ray miał w sobie coś niepokojącego. Za głośno mówił, zbyt często się uśmiechał, a jakaś część jego ciała — dłonie, stopy albo usta — zawsze się poruszała. Słyszał z tego, że jest skłonny do przemocy. Poczwarła nie miała nic przeciwko przemocy, pod warunkiem że nie była ona skierowana przeciwko niej. Nie potrafiła już zliczyć, ilu ludzi Yeoman wysłał na tamten świat, odłąd przybył

do miasta. Ale Yeoman — paradoksalnie — nie był gwałtownym człowiekiem, natomiast Ray ponoć miał skłonności do wpadania w szał. W porównaniu z Brennanem był egocentrycznym nudziarzem. Zadała sobie pytanie, czy od tej pory będzie porównywała wszystkich mężczyzn, których spotka, do swojego łucznika, i poczuła nagły przypływ irytacji połączonej z żalem.

— Mój drogi chłopcze, wątpię, byś potrafił mnie zabrać do najpaskudniejszej nory w najbardziej części Dżokerowa, nie wspominając już o raju.

Sokolica stłumiła ironiczny uśmiešek i odwróciła wzrok. Poczwarka poczuła, że Billy cofnął stopę. Następnie wlepił w nią twarde, groźne spojrzenie. Miał już zamiar powiedzieć coś wrednego, ale przerwał mu doktor Tachion, który klapnął nagle na wolne krzesło obok Sokolicy. Poczwarka wyczytała z oczu Raya, że mężczyzna z pewnością nie zapomni jej tych słów.

— Moja droga.

Takizjanin pochylił się nad dłonią Sokolicy, ucałował ją i pozdrowił pozostałych skinieniem głowy. Powszechnie wiadano, że podoba mu się skrzydlata celebrytka, ale przecież to samo dotyczyło większości mężczyzn. Tachion miał jednak wystarczająco wiele pewności siebie, by kontynuować swe wysiłki, a także uporę potrzebnego, by nie dać za wygraną pomimo licznych uprzejmych odmów Sokolicy.

— Jak się udało spotkanie z doktorem Tessierem? — zapytała skrzydlata kobieta, wysuwając delikatnie dłoń z uścisku Takizjanina, który wyraźnie nie miał ochoty jej puścić.

Tachion zmarszczył brwi — Poczwarka nie potrafiła określić, czy z powodu rozczarowania uporczywym chłodem Sokolicy, czy na wspomnienie wizyty w haitańskim szpitalu.

— To było okropne — wyszeptał. — Po prostu okropne. — Zauważył kelnera i przywołał go skinieniem. — Proszę mi przynieść coś chłodnego z mnóstwem rumu. — Rozejrzał się wokół. — Ktoś jeszcze coś chce?

Poczwarka stuknęła pociągniętym czerwonym lakierem paznokciem — wyglądał jak płatek róży unoszony na kości — o pusty kieliszek po likierze.

— Tak Więcej czego?

— Amaretto.

— Amaretto dla pani.

Kelner podszedł ostrożnie do Poczwarki i podniósł stojący przed nią kieliszek, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Wyczuwała jego strach. Było na swój sposób zabawne, że ktoś mógł się jej bać, ale gniewało to ją w niemal równym stopniu, jak poczucie winy, które widziała w oczach Tachiona, gdy tylko na nią spojrział.

Takizjanin teatralnym gestem przecesał palcami długie, rude włosy.

— Nie zauważyłem zbyt wielu przypadków zarażenia wirusem dzikiej karty. — Przerwał i westchnął głośno. — Sam Tessier również nie przejmował się tym zbytnio. Ale cała reszta... na

Ideał, cała reszta...?

— Co masz na myśli? — zapytała Sokolica.

— Byłaś tam. Szpital był zatłoczony jak bar w Dżokerowie w sobotni wieczór. Warunki sanitarne również były podobne. Chorzy na tyfus leżeli obok chorych na gruźlicę, sioniowacinę i AIDS, a także pacjentów cierpiących na pół setki innych chorób, których w całym cywilizowanym świecie od dawna już się nie spotyka. Podczas mojej prywatnej rozmowy z administratorem szpitala dwukrotnie wyłączono prąd. Próbowiałem zadzwonić do hotelu, ale telefony nie działały. Doktor Tessier powiedział mi, że brakuje im krwi, antybiotyków, środków przeciwbólowych i właściwie prawie wszystkich leków. Na szczęście Tessier i inni lekarze po mistrzowsku opanowali sztukę wykorzystywania leczniczych właściwości haitańskiej flory. Tessier pokazał mi parę rzeczy, których potrafi dokonać za pomocą wyciągów ze zwykłych ziół. To było naprawdę nadzwyczajne. Ktoś powinien napisać artykuł o lekach, które udało im się wyprodukować. Niektóre z ich odkryć zasługują na uwagę szerokiego świata. Jednakże mimo swych wysiłków i poświęcenia nadal przegrywają tę walkę. — Kelner przyniósł Tachionowi drinka w wysokim, smukłym kieliszku, ozdobionego plasterkami świeżych owoców oraz papierową parasolką. Takizjanin wyrzucił wszystkie dodatki i przełknął połowę zawartości kieliszka jednym haustem. — Nigdy nie widziałem tak wiele nędzy i cierpienia.

— Witaj w Trzecim Świecie — rzekł Ray.

— W rzeczy samej.

Tachion dopił drinka i wlepił w Poczwarkę spojrzenie liliowych oczu.

— Co to było za zamieszanie przed hotelem?

Dżokerka wzruszyła ramionami.

— Kierowca zaczął okładać żebraków kijem...

— *Cocomacaque*.

— Słucham? — zapytał Tachion, zwracając się w stronę Raya.

— To się nazywa *coco macaque*. Naoliwiona laska, twarda jak żelazna sztaba. Paskudna broń.

— W głosie Carnifexa pobrzniwała aprobata. — Tonton Macoute takie noszą.

— Kto? — zapytały trzy głosy jednocześnie.

Ray rozciągnął usta w uśmiechu, dumny z tego, że przerasta ich wiedzę.

— Tonton Macoute. Tak ich nazywają chlopi. To znaczy mniej więcej „straszydła”. Oficjalna nazwa brzmi VSN, Volontaires de la Securitate Nationale. — Miał okropny akcent. — To tajna policja Duvaliera. Dowodzi nimi człowiek znany jako Charlemagne Calixte. Jest czarny jak wnętrze kopalni węgla o północy i brzydki jak grzech. Ktoś próbował go kiedyś otruć. Przeżył, ale na twarzy pozostały mu straszliwe blizny. Tylko dzięki niemu Baby Doc nadal pozostaje u władzy.

— Duvalier wyznaczył agentów swej tajnej policji na naszych szoferów? — zdumiał się

Tachion. — A w jakim celu?

Ray spojrział na niego jak na dziecko.

— Żeby mogli nas obserwować. Oni śledzą wszystkich. Na tym polega ich praca. — Parsknął nagle, warkliwym śmiechem. — Łatwo ich rozpoznać. Wszyscy noszą ciemne okulary i niebieskie garnitury. To ponieważ symbol ich urzędu. Jeden z nich tam siedzi.

Carnifex wskazał na przeciwny kąt sali. Tonton Macoute siedział sam za stolikiem. Przed nim stała butelka rumu i wypełniony do połowy kieliszek. Choć pomieszczenie było słabo oświetlone, mężczyzna miał na nosie ciemne okulary. Jego niebieski garnitur był równie niechlujny jak stroje noszone przez Dorianą Wilde'a.

— Zajmę się tym — odezwał się Tachion pełnym oburzenia głosem. Zaczął się podnosić, ale opadł z powrotem na krzesło, gdy potężnie zbudowany, łypiący groźnie spode łba mężczyzna wszedł do baru i ruszył wprost do ich stolika.

— To on — wyszeptał Ray. — Charlemagne Calixte.

Nie musiał im tego mówić. Calixte miał bardzo ciemną skórę i był wyższy oraz szerszy w barach niż większość Haitańczyków, jakich Poczwarka do tej pory widziała. A także brzydszy. Jego krótkie, wełniste włosy upstrzyły plamki bieli, oczy ukrywał za ciemnymi okularami, a większą część prawej połowy jego twarzy pokrywała pomarszczona tkanka bliznowata. Jego postawa i zachowanie wyrażały władzę, pewność siebie i bezlitosną skuteczność.

— *Bonjour* — przywitał ich z płytkim, precyzyjnym ukłonem. Głos miał niski i obrzydliwie chrapliwy, jakby trucizna, która pożarła mu połowę twarzy, uszkodziła również język i podniebienie.

— *Bonjour* — odparł Tachion w imieniu ich wszystkich, kłaniając się o milimetr płyciej, niż zrobił to Calixte.

— Nazywam się Charlemagne Calixte — przedstawił się mężczyzna chropawym głosem odrobinę głośniejszym od szeptu. — Dożywotni prezydent Duvalier nakazał mi zapewnić wam bezpieczeństwo podczas waszego pobytu na tej wyspie.

— Niech pan do nas dołączy — zasugerował Tachion, wskazując puste krzesło.

Calixte potrząsnął głową z taką samą precyzją, z jaką się uklonił.

— Niestety, nie mogę, *msie* Tachion. Mam po południu ważne spotkanie. Wpadłem tylko na chwilę, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku po tym niefortunnym incydencie przed hotelem.

Mówiąc te słowa, patrzył prosto na Poczwarkę.

— Absolutnie wszystko — zapewnił Tachion, zanim zdążyła mu odpowiedzieć. — Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, dlaczego Tomtom...

— Tonton — poprawił go Ray.

Takizjanin zerknął na niego.

— Oczywiście. Tonton, czy jakich tam zwał, to znaczy pańscy ludzie, nas obserwują.

Calixte obrzucił go spojrzeniem pełnym uprzejmego zdumienia.

— Ależ po to, by uchronić was przed takimi zajściami jak to dzisiajse.

— Uchronić? — obruszyła się Poczwarka. — On mnie nie chronił, tylko bił żebraków.

Calixte wlepił w nią spojrzenie.

— Ci ludzie mogli wyglądać jak żebracy, ale do miasta przybyło ostatnio wiele niepożądanych elementów. — Rozejrzał się po niemal pustej sali. — No wiecie, chodzi mi o komunistyczne elementy — dodał ledwie słyszalnym szeptem. — Komuniści są niezadowoleni z postępowych rządów dożywotniego prezydenta Duvaliera i grożą, że je obalą. Ci „żebracy” z pewnością byli komunistyczni i agitatorami próbującymi wywołać incydent.

Poczwarka milczała, zdając sobie sprawę, że jej słowa i tak niczego by nie zmieniły. Tachion również miał niezadowoloną minę, ale postanowił nie drążyć tematu. W końcu spędzą tu tylko jeden dzień, zanim wyruszą do Dominikany, położonej na drugim końcu wyspy.

— Mam także was poinformować, że na dzisiejszej kolacji w Palais National obowiązują stroje wieczorowe.

— A po kolacji? — zapytał Ray, wlepiając w Calixte’a szczere spojrzenie.

— Słucham?

— Czy przewidziano też coś na po kolacji?

— Ależ oczywiście. Przygotowano kilka atrakcji. Zakupy wyrobów miejscowego rękodzielnictwa na Marché de Fer, Żelaznym Rynku. Musée National będzie otwarte do późna dla tych, którzy zechcą zapoznać się z naszym dziedzictwem. Mamy tam kotwicę „Santa Marii”, która przybiła do naszych brzegów podczas pierwszej wyprawy Kolumba do Nowego Świata. Oczywiście, odbędą się też gale w kilku naszych sławnych na całym świecie klubach nocnych. A osobom zainteresowanym naszymi bardziej egzotycznymi zwyczajami możemy zaproponować wycieczkę do *hounfour*.

— *Hounfour*? — zapytała Sokolica.

— *Oui*. Świątyni. Kościoła. Kościoła voodoo.

— To brzmi interesująco — przyznała Poczwarka.

— Z pewnością będzie ciekawsze niż oglądanie kotwic — poparł ją z dezynwolturą Ray.

Calixte uśmiechnął się, ale jego wesołość kończyła się na ustach.

— Jak pan uważa, *msie*. Muszę już iść.

— A co z tymi policjantami? — zapytał Tachion.

— Nadal będą was strzegli — odparł lekceważącym tonem Calixte i oddalił się.

— Nie musicie się nimi przejmować, dopóki jestem przy was — zapewnił Ray, przybierając



świadomie heroiczną pozę. Zerknął na Sokolicę, kóra wpatrywała się w drinka.

Poczwarła żałowała, że nie może się czuć tak pewna siebie jak Ray. Tonton Macoute, siedzący w kącie sali, przyglądał się im zza ciemnych okularów ze spokojną cierpliwością węża. Spokojną i złowrogą. Poczwarła nie uwierzyła, że jest tu po to, by ich ochraniać. Nawet przez jedną sekundę.



Ti Malice szczególnie lubił wrażenia związane z seksem. Gdy miał ochotę na podobne doznania, z reguły dosiadał kobiety, ponieważ potrafiły one — zwłaszcza te wprawione w sztuce samozaspokajania — podtrzymać stan przyjemności znacznie dłużej niż jego wierzchowce płci męskiej. Rzecz jasna, istniały odcienie i niuans seksualnych wrażeń, niekiedy delikatne jak pociągnięcie jedwabiu po wrażliwej sutce, w innych zaś chwilach dobitne jak eksplozja orgazmu u duszonego mężczyzny. Różne wierzchowce były biegłe w rozmaitych praktykach.

Tego popołudnia nie miał ochoty na nic szczególnie egzotycznego, przytwierdził się więc do młodej kobiety obdarzonej szczególnie wrażliwym dotykiem. Gdy cieszył się tym, jak ona cieszyła się sobą, przyszedł jego wierzchowiec z meldunkiem.

— Wszyscy zjedzą dziś kolację, a potem grupa się podzieli, by obejrzeć rozmaite atrakcje. Nie powinno być trudno zdobyć jednego z nich. Albo i więcej.

Całkiem dobrze rozumiał słowa wierzchowca. W końcu to był ich świat i musiał się przystosować do niektórych jego aspektów, na przykład nauczyć się przypisywać znaczenie słowom płynącym z ich ust. Rzecz jasna, nie mógł odpowiedzieć słownie, nawet gdyby chciał. Po pierwsze, jego wargi, język i podniebienie nie były odpowiednio ukształtowane, a po drugie jego usta były i zawsze musiały być przytwierdzone do boku szyi wierzchowca, a wąska, pusta rura języka wnikała do tętnicy szyjnej.

Dobrze jednak znał swoje wierzchowce i z łatwością potrafił odczytać ich potrzeby. Na przykład ten, który przyniósł wiadomość, miał dwie. Jego oczy skupiły się na nagości gibkiej kobiety zajętej sprawianiem sobie przyjemności, ale pragnął również jego pocałunku.

Ti Malice machnął bladą, chudą rączką. Wierzchowiec zbliżył się z radością, ściągnął spodnie i włożył na kobietę. Kiedy w nią wszedł, stęknęła gwałtownie.

Wzdłuż języka dzokera spłynął strumień śliny, który wnikał do tętnicy szyjnej wierzchowca, zamykając otwór. Ti Malice wdrapał się ostrożnie na plecy mężczyzny na podobieństwo kruchej, białoskórej małpy, objął jego ramiona i wsunął język na miejsce tuż poniżej skupiska tkanki bliznowatej z boku szyi.

Mężczyzna chrząknął z przyjemnością większą niż seksualna, gdy dzoker wprowadził trochę jego krwi do swego ciała, by zdobyć potrzebny mu do życia tlen i substancje odżywcze. Jechał na grzbiecie mężczyzny, gdy ten ujeżdżał kobietę. Wszystkich troje połączyły łańcuchy

niewy słowionej rozkoszy.

Wtem tętnica szyjna żeńskiego wierzchowca eksplodowała niespodziewanie, co niekiedy się zdarzało. Wszystkich troje załala pulsująca fontanna krwi — ciepłej, lepkiej i czerwonej. Nie przerwali jednak. To było nadzwyczaj ekscytujące i przyjemne doświadczenie. Gdy było już po wszystkim, uświadomił sobie, że będzie mu brakowało żeńskiego wierzchowca, który miał niewiarygodnie wrażliwą skórę. Żal złagodziła jednak niecierpliwość.

Niecierpliwość na myśl o nowych wierzchowcach, obdarzonych nadzwyczajnymi umiejętnościami.

## II

Palais National dominował nad północnym końcem wielkiego placu położonego nieopodal centrum Port-au-Prince. Architekt oparł projekt na założeniach waszyngtońskiego Kapitolu. Zaprojektowany przez niego budynek miał taki sam portyk z kolumnami, długą białą fasadę oraz centralną kopułę. Naprzeciwko, na południowym końcu placu, znajdowało się coś, co wyglądało na koszary, i rzeczywiście nimi było.

Wnętrze pałacu ostro kontrastowało ze wszystkim, co Poczwarła widziała w Haiti. Można je było opisać tylko jako bogate. Na podłogach leżały grube dywany o długim, gęstym włosiu, wszystkie meble i ozdoby w korytarzu, którym prowadzili ich gwardziści w zdobnych mundurach, były autentycznymi antykami, a żyrandole pod wysokimi kopułami sufitów wykonano z pięknie ciętego kryształu.

Dożywotni prezydent Jean Claude Duvalier i jego żona, *madame* Michele Duvalier, czekali, gotowi ich przywitać, razem z innymi haitańskimi dygnitarzami i urzędnikami rządowymi. Baby Doc Duvalier, który odziedziczył władzę nad Haiti w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym, gdy umarł jego ojciec, François „Papa Doc” Duvalier, wyglądał jak gruby chłopak, który wyrósł z za ciasnego smokingu. Poczwarce wydał się raczej naburmuszony niż inteligentny, raczej chciwy niż sprytny. Trudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób utrzymuje władzę w kraju ewidentnie stojącym na skraju całkowitej ruiny.

Tachion, odziany w absurdalny brzoskwiniowy smoking z gniecionego weluru, stanął po prawej stronie Duvaliera, by przedstawić go swym towarzyszom podróży. Gdy przyszła kolej na Poczwarkę, Baby Doc ujął ją za rękę i wpatrzył się w nią jak mały chłopiec zafascynowany nową zabawką. Wyszpełał uprzejmie coś po francusku i nie przestawał się na nią gapić, gdy przesuwiała się wzdłuż kolejki.

Obok prezydenta stała Michele Duvalier, cechująca się wystudiowanym wyglądem supermodelki. Była wysoka, szczupła i miała bardzo jasną cerę. Nosiła nieskazitelny makijaż, a jej suknia była najnowszym dziełem kogoś ze sławnych projektantów mody. W uszach, na

szy i na nadgarstkach kobieta miała mnóstwo drogiej, krzykliwej biżuterii. Sumy, jakie wydawała na stroje, wzbudziły podziw Poczwarki, lecz z pewnością nie można było tego powiedzieć o jej guście.

Gdy dzokerka podeszła bliżej, Michele Duvalier cofnęła się o krok i skinęła głową w zimnym, precyzyjnym co do milimetra geście. Nie podała jej ręki. Poczwarka odpowiedziała skróconym dygnięciem i ruszyła w dalszą drogę. *Suka* — pomyślała.

Następny był Calixte, demonstrujący w ten sposób swą wysoką pozycję w reżimie Duvaliera. Nic nie powiedział Poczwarcie i w żaden sposób nie okazał, że w ogóle ją dostrzega, czuła jednak na sobie jego spojrzenie aż do końca kolejki. To było bardzo niepokojące wrażenie, kolejny przykład władzy i charyzmy Calixte'a. Zastanawiała się, dlaczego tolerował obecność marionetki, jaką był Duvalier.

Reszta kolejki połączyła się dla niej w dezorientujący chaos twarzy oraz uścisków dłoni. Na koniec Poczwarka dotarła do drzwi prowadzących do ogromnej sali jadalnej. Długie, drewniane stoły nakryto płóciennymi obrusami, sztucce były srebrne, a pośrodku ustawiono wazony z wonnymi orchideami i różami. Gdy już zaprowadzono ją do przydzielonego jej krzesła, przekonała się, że razem z innymi dzokerami — Xavierem Desmondem, Ojcem Kałamarnicą, Trollem i Dorianem Wilde'em — siedzi u samego końca stołu. Szeptano, że *madame* Duvalier zażądała, by posadzono ich jaknajdalej od niej, żeby widok dzokerów nie popsuł jej apetytu.

Jednakże gdy podano wino oraz rybę („płazą ruż”, jak mówił kelner, lucjana czerwonego ze świeżą fasolką szparagową i smażonymi ziemniakami), Dorian Wilde wstał i wyrecytował improwizowaną, w wykalulowany sposób przesadną odę na cześć *madame* Duvalier, cały czas gestykulując masą drżących, wijących się, ociekających słuzem macek jaką była jego prawa dłoń. Twarz prezydentowej przybrała barwę zieleni tylko nieco mniej jadowitej niż maź skapująca z witek Wilde'a. Zauważono, że od tej chwili Michele Duvalier jadła bardzo niewiele. Gregg Hartmann, siedzący razem z innymi VIP-ami obok Duvalierów, kazał swemu dobermanowi, Billy'emu Rayowi, zaprowadzić Wilde'a z powrotem na miejsce. Od tej chwili kolacja przebiegała w spokojniejszy, bardziej nudny sposób.

Po ostatnim daniu podano alkohole i goście podzielili się na małe, pogrążone w rozmowie grupki. Kopacz Downs podszedł do Poczwarki, podsuwając jej aparat fotograficzny pod samą twarz.

— Mogę cię prosić o uśmiech, Poczwarko? Czy może raczej powinienem powiedzieć Debro-Jo? Czy zechciałabyś opowiedzieć moim czytelnikom, jak to się stało, że rodowita mieszkanka Tulsy w stanie Oklahoma mówi z brytyjskim akcentem?

Poczwarka uśmiechnęła się nerwowo, ukrywając szok i gniew, które poczuła. Znała jej tożsamość! Wniknęła w jej przeszłość, poznał jej najstaranniej skrywaną, choć nie najważniejszą

tajemnicę. *Jak tego dokonał?* — zadała sobie pytanie. *Co jeszcze wie?* Rozejrzała się wokół, ale najwyraźniej nikt nie poświęcał im najmniejszej uwagi. Najbliżej stali Billy Ray i Asta Lenser, aska-baletnica zwana Fantazją, oboje jednak sprawiali wrażenie zaabsorbowanych swą małą konfrontacją. Billy położył dłoń na jej chudym boku i przyciągnął ją do siebie. Fantazja rozciągnęła powoli usta w enigmatycznym uśmiechu. Poczwarzka ponownie przeniosła swą uwagę na Kopacza.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi — odparła, z wysiłkiem maskując gniew.

Kopacz uśmiechnął się do niej. Był niechlujnym mężczyzną o pożółkłej cerze. Poczwarzka kontaktowała się z nim w przeszłości i wiedziała, że gdy raz coś zwęszy, nigdy nie daje za wygraną, zwłaszcza gdy chodziło o sensacyjny bądź skandalizujący materiał.

— Spokojnie, panno Jory. Wszystko to jest w twoim wniosku paszportowym.

Mogłaby odetchnąć z ulgą, ale wolała zachować kamienny, nieprzyjazny wyraz twarzy. Na jej wniosku faktycznie widniało prawdziwe nazwisko, ale jeśli Kopacz nie dotarł dalej, nic jej nie grozi. Przez jej głowę przemknęły jadowite myśli o rodzinie. Kochali ją, kiedy była małą dziewczynką o długich blond włosach i niewinnym uśmiechu. Nic nie mogło być dla niej za dobre. Kucyki, lalki, kręcenie batutą, lekcje tańca i gry na pianinie — ojciec kupował jej to wszystko za pieniądze zarobione na oklahomskiej ropie. Matka zabierała ją wszędzie — na recitale, spotkania w kościele i herbatki towarzyskie. Ale w chwili pokwitania zaatakował ją wirus. Jej skóra i ciało zrobiły się przezroczyste, stała się chodzącym plugastwem. Zamknęli ją w skrzydle domu na ranczo, oczywiście, dla jej własnego dobra. Zabrali jej kucyki i lalki, odcięli od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym. Spędziła w zamknięciu siedem lat. Siedem lat...

Przerwała strumień nienawistnych wspomnień przepływający przez jej umysł. Uświadomiła sobie, że Kopacz nadal jest dla niej groźny. Musi skupić się na nim całkowicie, zapomnieć o rodzinie, którą obrabowała i od której uciekała.

— Te informacje są poufne — oznajmiła zimno Kopaczowi.

Roześmiał się w głos.

— Bardzo zabawne jest usłyszeć to od ciebie — odparł, lecz nagle spowaźniał, ujrawszy wyraz niepowstrzymanej furii na jej twarzy. — Rzecz jasna, prawdziwa opowieść o twojej przeszłości mogłaby nie zainteresować moich czytelników — dodał z pojednawczą miną na bladej twarzy. — Wiem, że śledzisz wszystko, co dzieje się w Dżokerowie. Może dowiedziałaś się czegoś ciekawego o nim?

Wskazał podbródkiem i spojrzeniem na senatora Hartmanna.

— Dlaczego o nim?

Hartmann był potężnym i wpływowym człowiekiem, zagorzałym obrońcą praw dżokerów, jednym z nielicznych polityków, których Poczwarzka wspierała finansowo dlatego, że

odpowiadały jej jego poglądy, a nie w zamian za korzyści.

— Chodźmy pogadać w jakieś bezpieczne miejsce.

Kopacz wyraźnie nie chciał rozmawiać o Hartmannie publicznie. Zaintrygowana Poczwarzka zerknęła na antyczną broszkę przy piętą nad gorsecikiem jej sukni.

— Za dziesięć minut muszę stąd iść. — Uśmiechnęła się jak halloweenowy szkielet. — Jadę obejrzyć ceremonię voodoo. Gdybyś wybrał się z nami, moglibyśmy znaleźć czas, żeby omówić sprawy i dojść do porozumienia w kwestii tego, czy moja przeszłość jest dobrym materiałem dla prasy.

— To brzmi nieźle — przyznał z uśmiechem Kopacz. — Ceremonia voodoo, tak? Będą wbijać igły w lalki i tak dalej? A może złożą kogoś w ofierze?

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

— Będą mieli coś przeciwko temu, żeby m robił zdjęcia?

Uśmiechnęła się bez wyrazu. Ubolewała nad tym, że nie przebywa na znajomym terenie, żałowała, że nie ma nic na tego wścibskiego wężyciela, ale nade wszystko zadawała sobie pytanie, dlaczego tak nagle zainteresował się Greggiem Hartmannem?



Pod wpływem nagłego sentymentu Ti Malice wybrał jednego ze swych najstarszych wierzchowców, mężczyznę o ciele niemalże równie wątym i zwiędłym jak jego własne. Choć jednak powłoka cielesna wierzchowca była stara, zawarty w niej mózg zachował sprawność. Ti Malice nigdy w życiu nie zetknął się z silniejszą wolą. Nawet dla jego własnej niepowstrzymanej woli poskromienie starego, upartego rumaka było niełatwym zadaniem. Mentalna szermierka towarzysząca jeździe była wyjątkowo przyjemnym doświadczeniem.

Na miejsce spotkania wybrał loch. To było stare pomieszczenie, ciche i wygodne, pełne przyjemnych widoków, zapachów i wspomnień. Światło było tu słabe, a powietrze chłodne i wilgotne. Na podłodze w sympatycznym nieładzie walały się jego ulubione narzędzia oraz szczątki kilkorga ostatnich partnerów w doznaniach. Kazał wierzchowcowi podnieść pokryty zakrzepłą krwią nóż myśliwski i wypróbować go na pokrytej stwardnieniami skórze wewnętrznej powierzchni dłoni, a potem pogrążył się w przyjemnych wspomnieniach, aż wreszcie z korytarza dobiegł dźwięk brzącający jak parsknięcie zmieszane z rykiem. Przybył Taureau.

Taureau-trois-graines, jak nazwał tego wierzchowca, był potężnie zbudowanym mężczyzną o ciele napakowanym mięśniami. Miał długą, kosmatą brodę, a przez rozdarcie w wyblakłej na słońcu koszuli roboczej wylazły kosmyki czarnych, szorstkich włosów. W kroczu znoszonych, wystrzępionych dżinsów uwidaczniał się potężny wzwód. Jak zawsze.

— Mam dla ciebie zadanie — kazał powiedzieć swemu wierzchowcowi Ti Malice. Taureau

ryknął, podrzucił głowę i potarł krocze przez spodnie. — Na drodze do Petionville będzie na ciebie czekało kilka nowych wierzchowców. Weź drużynę zobopów i przywiodź wszystkie tutaj.

— Kobiety? — parsknął Taureau, śliniąc się potężnie.

— Być może — odparł Ti Malice za pośrednictwem wierzchowca. — Ale ich nie dostaniesz. Może później.

Taureau ryknął z rozczarowaniem, wiedział jednak że lepiej się nie sprzeciwiać.

— Bądź ostrożny — ostrzegł go Ti Malice. — Niektóre z tych wierzchowców mogą mieć moc.

Mogą być silne.

Taureau wydał z siebie ryk, który potrząsnął rozpadającym się półszkieletem wiszącym we wnętrzu obok niego.

— Nie takie silne jak ja! — zawołał i wałnął się w pierś pokrytą zrogowaciałą skórą dłonią.

— Może tak, a może nie. Bądź ostrożny. Chcę dostać wszystkie. — Przerwał, by wypowiedziane przez jego wierzchowca słowa w pełni dotarły do Taureau. — Nie zawieź mnie, bo w przeciwnym razie nigdy już nie zaznasz mojego pocałunku.

Taureau ryknął jak wół prowadzony na rzeź, wycofał się z pokój, kłaniając się wściekle, i odszedł.

Ti Malice i jego wierzchowiec czekali.

Po chwili do środka weszła kobieta o skórze barwy ławy zmieszanej pół na pół z mlekiem. Włosy, gęste i rozczochrane, opadały jej do talii. Była bosa i łatwo można było zauważyć, że pod cienką, białą suknią jest naga. Ramiona miała szczupłe, piersi duże, a nogi gibkie i muskularne. Jej oczy były czarnymi tęczęwkami pływającymi w kałużach czerwieni. Ti Malice uśmiechnąłby się na jej widok, gdyby mógł. Była jego ulubionym rumakiem.

— Ezili-je-rouge — zamruczał przez usta wierzchowca. — Musiałś zacząć, aż Taureau sobie pójdzie. Gdybyś znalazła się w tym samym pomieszczeniu co byk, nie przeżyłabyś tego.

Uśmiechnęła się, odsłaniając równe, nieskazitelnie białe zęby.

— To mogłaby być interesująca śmierć.

— Mogłaby — przyznał Ti Malice. Nigdy jeszcze nie doświadczył śmierci podczas stosunku. — Ale potrzebuję cię do innych celów. *Blancs*, którzy przybyli do nas z wizytą, są ważni i bogaci. Mieszkają w Ameryce i jestem pewien, że mają dostęp do wielu interesujących wrażeń niedostępnych na naszej ubogiej wyspie.

Ezili skinęła głową, oblizując czerwone wargi.

— Przygotowałem plany mające sprawić, że niektórzy z tych *blancs* będą należeć do mnie, ale chcę, żebyś zagwarantowała, że mi się uda. Pójdź do ich hotelu, weź jednego z pozostałych i przygotuj go na mój pocałunek. Wybierz jednego z tych silnych.

Ezili skinęła głową.

— Zabierzesz mnie ze sobą do Ameryki? — zapytała nerwowo.

Ti Malice nakazał wierzchowcowi wyciągnąć starczą, zwiędłą dłoń i popieścić wielkie, jędrne piersi Ezili, która zadrżała z uniesienia, gdy poczuła jego dotyk

— Oczywiście, ukochana, oczywiście.

### III

— Limuzyna? — zapytała z lodowatym uśmiechem Poczwarzka szczerzącego do niej zęby mężczyzną w ciemnych okularach, który otworzył przed nią drzwi samochodu. — To bardzo miło z waszej strony. Spodziewałam się czegoś z napędem na cztery koła.

Wsunęła się na tylne siedzenie limuzyny. Kopacz podążył za nią.

— Ja bym się nie skarżył — skwitował. — Oni nigdzie nie wpuszczają prasy. Szkoda, że nie widziałeś, przez co musiałem przejść, żeby się dostać na przyjęcie. Chyba nie za bardzo lubią tu reporterów...

Gdy Kopacz usiadł obok Poczwarzki i zauważył wyraz jej twarzy, zamilkł. Kobieta gapiała się na siedzenie zwrócone ku nim oraz na dwóch zajmujących je mężczyzn. Pierwszym był Dorian Wilde. Wyglądał na porządnie ubzdryngolonego i głąkał *cocomaque* podobną do tej, którą widziała po południu. Pałka z pewnością była własnością mężczyzny, który siedział obok niego i gapił się na Poczwarzkę z przerażającym, nieruchomym uśmiechem, nadającym jego naznaczonej bliznami twarzy wygląd śmiertelnej maski.

— Moja droga Poczwarzka! — zawołał Wilde, gdy limuzyna ruszyła w noc. — I przedstawiciel wspaniałej czwartej władzy. Wykopał pan ostatnio jakieś ciekawe plotki?

Kopacz przeniósł spojrzenie z Poczwarzki na Wilde'a, a następnie na mężczyznę siedzącego obok poety. Doszedł do wniosku, że najlepszą odpowiedzią będzie milczenie.

— Zachowałem się nieuprzejmie — podjął Wilde. — Nie przedstawiłem naszego gospodarza. Ten zachwycający mężczyzna nosi urocze nazwisko Charlemagne Calixte. Jest chyba policjantem albo kims w tym rodzaju. Jedzie z nami do *hounfour*.

Kopacz skinął głową. Calixte odpowiedział precyzyjnym, niewyraźnym przesadnego szacunku ukłonem.

— Jest pan wyznawcą voodoo, *monsieur* Calixte? — zapytała Poczwarzka.

— To przesady wieśniaków — odparł chrapliwym głosem przypominającym warknięcie, dotykając z namysłem palcami blizn na prawym policzku. — Aczkolwiek ujrawszy panią, mógłbym niemalże uwierzyć.

— Dlaczego?

— Wygląda pani jak loa. Mogłaby pani być *Madame* Brigitte, żoną Barona Samediego.

— Ale nie wierzy pan w to, prawda?

Calixte wybuchnął śmiechem, ostrym i chrapliwym, równie niemiłym jak jego uśmiech.

— Nie, ale ja jestem wykształconym człowiekiem. Wiem, że to choroba nadała pani ten wygląd. Widziałem podobne przy padki.

— Innych dzókerów? — zapytał Kopacz z typowym dla siebie brakiem taktu.

— Nie wiem, o co panu chodzi. Widziałem nienaturalnie wypaczonych ludzi. Tylko garstkę.

— I co się z nimi stało?

Calixte uśmiechnął się tylko.

Nikt nie miał zbyt wielkiej ochoty na rozmowę. Kopacz obrzucał Poczwarzkę pytającymi spojrzeniami, ale nie potrafiła nic mu powiedzieć. Zresztą nawet gdyby wiedziała, co tu jest grane, raczej nie mogłaby o tym mówić przy Haitańczyku. Wilde bawił się pałką Calixte'a i wyłudzał od niego kolejne łyki z flaszki *clairin*, taniego białego rumu, z której Haitańczyk sam tęgo pociągał. W ciągu dwudziestu minut Calixte wyżył połowę butelki. Pijąc, nie spuszczał przekwionych oczu z Poczwarzki.

Pragnąc uniknąć jego spojrzenia, wyjrzała przez okno i z zaskoczeniem zauważyła, że opuścili miasto. Droga, którą zmiierzali, biegła przez gęste lasy.

— Dokąd właściwie jedziemy? — zapytała Calixte'a, starając się nadać swemu głosowi spokojne, wolne od strachu brzmienie.

Haitańczyk wyjął butelkę *clairin* z rąk Wilde'a, pociągnął łyki i wzruszył ramionami.

— Do *hounfour*. Do Petionville, małej osady położonej pod Port-au-Prince.

— A w stolicy nie można znaleźć *hounfour*?

— Żadne z nich nie zapewnią równie efektownego widowiska — odparł Calixte ze swym złowrogim uśmiechem.

Znowu zapadła cisza. Poczwarzka wiedziała, że mają kłopoty, ale nie potrafiła odgadnąć, czego chce od nich Calixte. Czuiła się jak pionek, nawet niezdarzący sobie sprawy, że uczestniczy w jakiejś grze. Zerknęła na pozostałych. Kopacz sprawiał wrażenie całkowicie zdezorientowanego, a Wilde był pijany. Niech to szlag. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem pożałowała, że porzuciła znajome, wygodne Dzókerowo i wyruszyła z Tachionem w tę szaloną, beużyteczną podróż. Jak zwykle mogła polegać jedynie na sobie. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Część jej umysłu szeptała, że kiedyś miała Brennana, ale ona nie chciała tego słuchać. Gdyby nadeszła chwila próby, okazałby się równie mało godny zaufania jak cała reszta. Była tego pewna.

Kierowca zjechał nagle na pobocze i zatrzymał limuzynę. Poczwarzka wyjrzała przez okno, ale widziała bardzo niewiele. Było ciemno i pobocze tylko z rzadka rozświetlał blask księżyca w kwadrze wyglądającego zza zasłony gęstych chmur. Miała wrażenie, że zatrzymali się na skrzyżowaniu, przy padkowym spotkaniu dwóch wąskich dróg biegnących na oślep przez haitańską



puszczę. Calixte otworzył drzwi po swojej stronie i wysiadł zwinnie z limuzyny. Trzymał się pewnie na nogach mimo, że w niespełna pół godziny wypił większą część butelki mocnego rumu. Kierowca również wysiadł, oparł się o bok pojazdu i zaczął wybijać szybki rytm na ostro zakończonym bębunku, który nagle skądś wydo był.

— Co się stało? — zapytał Kopacz.

— Silnik się zepsuł — odrzekł krótko Calixte i cisnął pustą butelkę między drzewa.

— A kierowca wzywa Haitański Automobilklub — odezwał się z chichotem rozwalony na siedzeniu Wilde.

Poczwarła szturchnęła Kopacza, nakazując mu gestem wysiąść. Posłuchał jej, rozglądając się wokół ze zdumieniem. Podążyła za nim. Nie chciała być uwięziona w pojeździe podczas tego, co miało się wydarzyć. Na zewnątrz będzie przynajmniej miała szansę ucieczki, choć zapewne nie zdoła umknąć zbyt daleko w sięgającej stóp sukni i butach na wysokich obcasach. W dżungli. Ciemną nocą.

— Hej. — W głosie Kopacza zabrzmiało zrozumienie. — To jest porwanie. Nie możecie tego zrobić. Jestem dziennikarzem.

Calixte wyjął z kieszeni marynarki mały rewolwer o tępo zakończony lufie i wymierzył go od niechcenia w Kopacza.

— Zamknij się — rozkazał.

Downs zachował się rozsądnie i posłuchał go.

Nie musieli czekać długo. Od strony drogi przecinającej tę, którą tu przybyli, dobiegł rytmiczny odgłos kroków maszerujących ludzi. Poczwarła odwróciła się w tamtą stronę i zobaczyła coś, co wyglądało jak kolumna kołyszących się w górę i w dół świetlików zmierzających ku nim. Minęła chwila, nim sobie uświadomiła, że to po prostu oddział maszerujących ludzi. Wszyscy mieli na sobie długie, białe szaty, a nad ich głowami świeciły świece przytwierdzone do czół opaskami z tkaniny. To właśnie tworzyło efekt świetlików. Na twarzach mieli maski. Było ich około piętnastu.

Na czele kolumny szedł potężnie zbudowany mężczyzna o zdecydowanie krwim wyglądzie. Miał na sobie tanie, wystrzępione ubranie haitańskiego wieśniaka. Był jednym z największych mężczyzn, jakich Poczwarła w życiu widziała. Gdy tylko ją zauważył, ruszył prosto ku niej. Stał przed nią, śliniąc się i pocierając krocze. Poczwarła ze zdumieniem i trwogą zauważyła tam wielką wypukłość rozciągającą wytartą tkaninę.

— Jezu — mruknął Kopacz. — Mamy kłopoty. To as.

— Skąd wiesz? — zapytała kobieta, zerkając na niego.

— Hmm, wygląda na asa, prawda?

Faktycznie wyglądał na człowieka dotkniętego wirusem dzięki karty, ale to jeszcze nie czyniło

go asem. Nim jednak zdążyła zadać Kopaczowi kolejne pytanie, człowiek-byk powiedział coś po kreolsku.

— *Non* — warknął gardłowo Calixte w odpowiedzi.

Człowiek-byk sprawiał przez chwilę wrażenie gotowego sprzeciwić się rozkazowi, ale w końcu postanowił ustąpić. Nadal jednak typał złowrogo na Poczwarkę i dotykał krocza, mówiąc coś do dziwnie ubranych ludzi, którzy mu towarzyszyli.

Trzech z nich podeszło do limuzyny i wyciągnęło z tylnego siedzenia próbującego się wyrwać Doriana Wilde'a. Oszołomiony poeta rozejrzał się wokół, zatrzymał mętne spojrzenie na człowieku-byku i zachichotał.

Calixte skrzywił się z niezadowoleniem i wyrwał z rąk Wilde'a *cocomacaque*.

— *Masisi* — warknął i dzielił poetę pałką.

Cios trafił w punkt, gdzie szyja przechodzi w bark. Wilde jęknął i osunął się bezwładnie. Trzech trzymających go ludzi nie było w stanie udźwignąć jego ciężaru i poeta zwałił się na ziemię. W tej samej chwili rozpętało się piekło.

Z listowia przy drodze dobiegły trzaski wystrzałów z małokalibrowej broni palnej. Dwóch ludzi z niezwykle świecącymi na głowach zwałiło się na szosę. Kilku innych rzuciło się do ucieczki, choć większość pozostała na miejscu. Człowiek-byk ryknął wściekle i popędził w stronę krzaków. Poczwarka, która padła na ziemię, usłyszawszy pierwszy wystrzał, zobaczyła, że oberwał w tułów co najmniej dwa razy, ale nawet się nie zachwiał. Wpadł w chaszczę i po chwili z jego rykiem zmieszały się przenikliwie krzyki bólu.

Calixte przykluczył za limuzyną i ze spokojem odpowiedział ogniem na ogień. Kopacz, podobnie jak Poczwarka, przykleił się do gruntu, a Wilde po prostu leżał i jęczał. Kobieta doszła do wniosku, że pora zademonstrować, iż odwaga powinna iść w parze z rozważą, i wczółgała się pod limuzynę. Zakłęła, czując, że jej droga suknia zaczepiła o coś i tkanina się rozerwała.

Calixte padł na ziemię i złapał kobietę za lewą nogę, ale zdołał pochwycić tylko but. Poczwarka obróciła stopę. But się zsunął i była wolna. Przeczółgała się wzdłuż całej limuzyny, wyszła spod niej po drugiej stronie i przetoczyła się w gęste listowie.

Znieruchomiała na parę chwil, by odzyskać dech w piersi, a potem wstała i rzuciła się do ucieczki. Po paru chwilach była już daleko od potyczki, sama, bezpieczna i — jak szybko sobie uświadomiła — całkowicie, beznadziejnie zagubiona.

Powiedziała sobie, że powinna była pobiec wzdłuż drogi zamiast gnać na osłep w las. Powinna była zrobić bardzo wiele różnych rzeczy, na przykład spędzić zimę w Nowym Jorku, zamiast wyruszać w tę szaloną podróż. Było już jednak za późno na takie myśli. Pozostało jej tylko brnąć naprzód.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że tropikalna dżungla może być aż takim pustkowiem. Nie

widziała żadnego ruchu poza kołysaniem się gałęzi na wietrze i nic też nie słyszała poza szumem tegoż wiatru. Taka samotność była przerażająca, zwłaszcza dla kogoś przyzwyczajonego, że ze wszystkich stron otacza go miasto.

Czołgając się pod limuzyną, straciła broszkę z zegarkiem i teraz jedynym, co pozwalało jej mierzyć upływ czasu, były narastające bóle ciała oraz suchość w gardle. Z pewnością minęło wiele godzin, nim, czystym przypadkiem, natrafiła na ścieżkę. Szlak był kręty, wąski i wyboisty, ewidentnie wydeptany przez ludzi. Jego widok przywrócił Poczwarce nadzieję. Ścieżka świadczyła o tym, że ktoś tu mieszka. Musiała dokąś prowadzić. Wystarczy, że nią podąży, a prędzej czy później odnajdzie pomoc.

Ruszyła szlakiem, zbyt zaabsorbowana bieżącymi trudnościami, by mogła się zastanawiać nad motywami, które skłoniły Calixte'a do zawiezienia ich na skrzyżowanie dróg, tożsamością dziwnie ubranych ludzi ze świecami na głowach, a także tajemniczych zbawców, zakładając, że grupa, która wciągnęła porywaczy w zasadzkę, rzeczywiście zamierzała uratować ich ofiary.

Szła przez ciemność.

To było trudne. Na samym początku wędrówki zdjęła prawy but dla zachowania równowagi, i po pewnym czasie go zgubiła. Na ziemi pełno było patyków, kamieni i innych ostrych przedmiotów. Wkrótce nogi rozboleły ją jak diabli. Zapamiętała ze szczegółami wszystkie swe dolegliwości, by wiedzieć dokładnie, jak wysoką rekompensatę wyciągnąć od Tachiona, jeśli uda się jej wrócić do Port-au-Prince.

*Nie jeśli* — powtarzała sobie. *Kiedy. Kiedy. Kiedy.*

Wyśpiewywała to słowo jako krótką, urywaną piosenkę marszową, gdy nagle uświadomiła sobie, że ktoś zmierza ku niej ścieżką z naprzeciwka. Trudno było to określić w słabym świetle, ale miała wrażenie, że to mężczyzna. Wysoki, wąty mężczyzna niosący na ramieniu motylkę, łopatę albo coś w tym rodzaju. Szedł prosto na nią.

Zatrzymała się, oparła o pobliskie drzewo i wypuściła z płuc powietrze w długim westchnieniu ulgi. Przez głowę przebiegła jej myśl, że to może być członek dziwaczного gangu Calixte'a, ale — o ile potrafiła to ocenić — był ubrany jak chłop i dźwigał jakieś rolnicze narzędzie. Zapewne był miejscowym wieśniakiem wracającym późno z pola. Nagle ogarnął ją strach, że jej wygląd może go odstraszyć, zanim zdąży poprosić go o pomoc, ale uświadomiła sobie, że z pewnością już ją zauważył i nadal idzie prosto na nią.

— *Bonjour* — zawołała, wykorzystując niemal całą swą znajomość francuskiego. Mężczyzna sprawiał wrażenie, że jej nie usłyszał. Mijał spokojnie drzewo, o które się opierała.

— Hej, czy jesteś głuchy?

Wyciągnęła rękę i złapała go za ramię. Kiedy go dotknęła, zatrzymał się, odwrócił i wlepił w nią oczy.

Poczwarka poczuła się tak, jakby w jej serce wbił się odprysk nocny. Przeszył ją zimny dreszcz i przez długą chwilę nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Nie mogła oderwać spojrzenia od jego oczu.

Były otwarte. Poruszały się, kierowały w różne miejsca, a od czasu do czasu przesłaniały je nawet mrugające powieki. Ale nic nie widziały. Twarz, w której były osadzone, przypominała oblicze czaszki w niemal równym stopniu, co jej własna. Łuki brwiowe, oczodoły, kości policzkowe, żuchwa i podbródek rysowały się z najmniejszymi szczegółami pod rozciągniętą czarną skórą, jakby między nimi nie było warstwy ciała. Poczwarka potrafiła policzyć żebra pod występiłą koszulą równie łatwo, jak ktoś mógłby policzyć jej własne. Gapiła się na niego, a on wpatrywał się w nią. Oddech zamarł w jej piersi, gdy sobie uświadomiła, że mężczyzna nie oddycha. Krzyknęłaby, uciekła albo zrobiła coś w tym rodzaju, ale po chwili zaczerpnął przeciągły, płytki oddech, od którego jego zapadnięta pierś ledwie się poszerzyła. Gapiła się na niego z uwagą i po jakichś dwudziestu sekundach odetchnął znowu.

Nagle sobie uświadomiła, że nadal trzyma go za podarty rękaw. Puściła go. Mężczyzna kierował spojrzenie ku niej jeszcze przez chwilę czy dwie, a potem odwrócił się i ruszył w dalszą drogę.

Poczwarka przez moment wpatrywała się w jego plecy. Drżała, choć było ciepło. Uświadomiła sobie, że przed chwilą widziała zombi, mówiła do niego, a nawet go dotykała. Mieszkała w Dżokerowie i sama była dżokerką, myślała więc dotąd, że już się uodporniła na niezwykłość, przywykła do dziwaczności. Najwyraźniej jednak tak nie było. Nigdy w życiu tak się nie bała, nawet wtedy, gdy jako ledwie dwudziestoletnia dziewczyna włamała się do sejfów ojca, by sfinansować swą ucieczkę z więzienia, jakim stał się jej dom.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Zombi czy nie zombi, mężczyzna z pewnością dokąś szedł. Do jakiegoś miejsca, gdzie będzie mogła znaleźć innych... prawdziwych... ludzi.

Podążyła za nim trwożnie, ponieważ nie pozostało jej nic innego, co mogłaby zrobić.

Droga nie była długa. Wkrótce mężczyzna skręcił w węższą, mniej wydeptaną ścieżkę, wijącą się wokół stromego wzgórza. Po minięciu ostrego zakrętu Poczwarka zauważyła przed sobą światło.

Mężczyzna ruszył w jego kierunku, a ona podążyła za nim. To była lampa naftowa, zatknięta na tyłce przed małą, rozpadającą się chatą przyklepioną do podstawy stromego zbocza. Przed chatą znajdował się mały ogródek, a przed nim stała wpatrująca się w noc kobieta.

Była najzamoźniej wyglądającą Haitanką, jaką Poczwarka widziała poza Palais National. Można ją wręcz było nazwać pulchną. Jej perkalowa suknia była porządnie wyprana i wyglądała na nową, a na głowie kobieta miała jaskrawopomarańczową bandanę. Uśmiechnęła się na widok upiornego mężczyzny i podążającej za nim Poczwarki.

— Ach, Marcelu, kogo dziś do nas przyprowadziłeś? — Zachichotała. — Samą *Madame* Brigitte, jeśli mnie wzrok nie myli. — Dygnęła, całkiem zgrabnie pomimo pokaźnej tuszy. — Witaj w moim domu.

Marcel minął kobietę, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Zmierzał ku tyłowi chaty. Poczwarła zatrzymała się przed Haitanką, która wlepiła w nią miłe, otwarte spojrzenie zawierające też sporą dawkę dobroduszej ciekawości.

— Dziękuję — rzekła z wahaniem dzółerka. Mogłaby powiedzieć tysiąc różnych rzeczy, ale najpierw musiała poznać odpowiedź na pytanie płonące w jej umyśle. — Muszę cię zapytać... no wiesz... o Marcela.

— Tak?

— On chyba nie jest prawdziwym zombi?

— Pewnie, że jest, dziecko, pewnie, że jest. Chodź. Chodź. — Poruszyła rękami w geście naśladującym zbieranie. — Muszę wejść do chaty i powiedzieć mojemu mężczyźnie, żeby odwołał poszukiwania.

Poczwarła odsunęła się od niej.

— Poszukiwania?

— Szukaliśmy cię, dziecko. — Kobieta potrząsnęła głową, cmokając raz po raz. — Nie powinnaś uciekać w ten sposób. To kosztowało nas mnóstwo kłopotów i niepokoju. Baliśmy się, że kolumna zobopów może znowu cię złapać.

— Zobopów? A co to jest zobop?

Dla Poczwarki brzmiało to jak nazwa jakiejś odmiany fana jazzu. Ledwie zdołała powstrzymać historyczny śmiech na tę myśl.

— Zobopowie to... — Kobieta poruszyła rękami w niejasnym geście, jakby próbowała opisać prostymi słowami bardzo skomplikowane pojęcie. — ...pomocnicy *bokora*, złego czarnoksiężnika, którzy sprzedali mu się w zamian za korzyści materialne. Wykonują wszystkie jego rozkazy i często porywają wybrane przez *bokora* ofiary.

— Rozumiem. A kim ty jesteś, jeśli wolno zapytać?

Kobieta roześmiała się dobrodusnie.

— Pewnie, że wolno, dziecko. Wykazałaś się godną podziwu ostrożnością. Jestem Mambo Julia, kapłanka i *première reine* miejscowej kapituły Bizango. — Najwyraźniej prawidłowo odczytała niepewną minę Poczwarki, albowiem znowu roześmiała się w głos. — *Blancs* są tacy zabawni! Wydaje się wam, że wszystko wiecie. Przylatujecie na Haiti swoim wielkim samolotem, spędzacie tu jeden dzień, a potem udzielacie nam magicznych rad, które rozwiążą wszystkie nasze problemy. A żaden z was nawet nie opuścił Port-au-Prince! — Mambo Julia roześmiała się znowu, tym razem z nutą wzgardy. — Nic nie wiecie o prawdziwym Haiti. Port-au-Prince jest

gigantycznym rakiem, w którym kryją się pijawki wysysające soki z ciała całego kraju. Za to wieś, ach, wieś jest sercem Haiti! No cóż, moje dziecko. Powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć, żeby zacząć rozumieć. Wszystko, a nawet więcej, A teraz chodź do mojej chaty. Odpocznij. Napij się. Zjedz coś. I słuchaj.

Poczwarła rozważyła propozycję kobiety. W tej chwili jej własne kłopoty obchodziły ją bardziej niż problemy Haiti. Pragnęła dać odpocząć obolałym stopom i napić się czegoś zimnego. Myśl o posiłku również wydawała się atrakcyjna. Czuła się, jakby od lat nic nie jadła.

— Zgoda — powiedziała i poszła za Mambo Julią do chaty. Nim zdążyły wejść do środka, z tyłu domostwa wyjrzał mężczyzna w średnim wieku, chudy jak większość Haitańczyków, z przedwcześnie pobielałą czupryną

— Baptiste! — zawołała Mambo Julia. — Nakarmiłeś zombi? — Mężczyzna skinął głową i ukłonił się uprzejmie Poczwarce. — To dobrze. Powiedz reszcie, że *Madame* Brigitte sama trafiła do domu.

Pokłonił się raz jeszcze. Obie kobiety weszły do chaty.

Wnętrze było proste, schludne i wygodnie urządzone. Mambo Julia zaprowadziła Poczwarkę do stołu z grubo ciosanych desek, podała jej chłodną wodę oraz wiele świeżych i soczystych owoców tropikalnych. Większość z nich nie wyglądała znajomo, ale wszystkie były smaczne.

Na dworze zabrzmiał bęben, wysyłający w noc skomplikowane rytmy. Wewnątrz chaty Mambo Julia zaczęła mówić.



O północy jeden z wierzchowców Ti Malice przyniósł wiadomość od Ezili. Udało się jej wykonać zadanie. Nowy wierzchowiec spał w Royal Haitian Hotel oszołomiony narkotykami, czekając na pierwszy pocałunek

Podeksytowany jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek Ti Malice zdecydował, że nie będzie czekał w forticy na wierzchowce, po które wysłał Taureau. Pragnął nowej krwi i pragnął jej natychmiast.

Zamienił swego ulubieńca na innego wierzchowca, dziewczynkę niewiele większą od niego. Czekala już w specjalnym pudełku, które kazał zbudować z myślą o sytuacjach, gdy będzie musiał się poruszać w przestrzeni publicznej. Miało ono wielkość dużej walizki i było w nim ciasno oraz niewygodnie, ale zapewniało mu prywatność, niezbędną podczas tego typu wypadów. Choć wymagało to odrobiny ostrożności, udało się przemyścić niepostrzeżenie Ti Malice na drugie piętro Royal Haitian Hotel. Ezili, naga i z rozpuszczonymi włosami, zaprowadziła go do pokoju, a potem się odsunęła. Rumak, który go tu przyniósł, otworzył pokrywę i pozwolił Ti Malice przejść z piersi dziewczynki na wygodniejsze miejsce na swych plecach i barkach.

Ezili zaprowadziła go do sypialni. Nowy wierzchowiec spał spokojnie.

— Zapragnął mnie, gdy tylko mnie ujrzał. Łatwo było go skłonić, by mnie tu przyprowadził, a jeszcze łatwiej wsypać proszek do jego napoju, po tym, jak mnie posiadał. — Wydęła wargi, dotykając wielkiej, ciemnej sutki swej lewej piersi. — Był szybkim kochankiem — dodała z pewnym rozczarowaniem.

— Potem spotka cię nagroda — zapewnił Ti Malice przez usta wierzchowca.

Ezili uśmiechnęła się radośnie, gdy Ti Malice nakazał swemu wierzchowcowi zanieść go blisko kózka. Rumak wykonał rozkaz i pochylił się nad śpiącym, pozwalając swemu władcy szybko przejść na nowe miejsce. Ti Malice położył się na piersi śpiącego i wcisnął twarz w jego szyję. Oszołomiony narkotykiem mężczyzna poruszył się i jęknął cicho. Ti Malice znalazł miejsce, którego szukał, i ugryzł je swym jedynym, ostrym zębem. Następnie wsunął język do tętnicy.

Nowy rumak znowu jęknął i unióśł słabo rękę, próbując sięgnąć do szyi. Ale Ti Malice usadowił się już pewnie i zmieszał swą ślinę z krwią wierzchowca. Ten uspokoił się, jak kąpryśne dziecko, któremu śniło się coś lekkiego nieprzyjemnego. Ponownie zapadł w głęboki sen, podczas gdy Ti Malice uczynił go swoim.

To był wspaniały wierzchowiec, silny i potężny. Jego krew miała cudowny smak

#### IV

— Zawsze istniały dwa różne Haiti — mówiła Mambo Julia. — Miasto, Port-au-Prince, którym włada rząd i jego prawa. I wieś, gdzie rządy sprawuje Bizango.

— Słyszałam już od ciebie to słowo — zauważyła Poczwarzka, ocierając z brody słodki sok tropikalnych owoców. — Co ono oznacza?

— Podobnie jak twój szkielet, który tak wyraźnie widzę, utrzymuje w całości twoje ciało, tak Bizango jest więzią łączącą ludzi mieszkających poza miastem. To jest organizacja, stowarzyszenie, sieć zobowiązań i źródło ładu. Nie wszyscy są jego członkami, ale każdy ma w nim swoje miejsce i wszyscy podporządkowują się jego decyzjom. Bizango rozstrzyga spory, które w przeciwnym razie rozerwałyby nas na strzępy. Czasami jest to łatwe. W innych przypadkach trudne, na przykład wtedy, gdy kogoś skazuje się na zostanie zombi.

— Bizango skazało Marcela na ten los?

Mambo Julia skinęła głową.

— Był złym człowiekiem. Na Haiti jesteśmy w niektórych sprawach bardziej tolerancyjni od Amerykanów. Marcel lubił dziewczęta. To normalne. Wielu mężczyzn ma po kilka kobiet i nie ma w tym nic złego, dopóki potrafią utrzymać je wszystkie, a także ich dzieci. Ale Marcel lubił młode dziewczęta. Bardzo młode. Nie potrafił się powstrzymać, więc Bizango osądziło go i skazało na zostanie zombi.

— Zmienili go w zombi?

— Nie, moja droga. Osądzili go. — Mambo Julia odrzuciła aurę sympatycznej wesołości. — Ja uczyniłam go tym, czym jest teraz, i utrzymuję go w tym stanie, codziennie podając mu proszki. — Poczwarzka położyła niedojedzony owoc z powrotem na talerzu. Nagle opuścił ją apetyt. — To najrozsądniejsze rozwiązanie. Zamiast krzywdzić młode dziewczęta, Marcel pracuje niestrudzenie dla dobra społeczności.

— I już na zawsze pozostanie zombi?

— No cóż, istniało kilku zombi *savane*, ludzi pochowanych i odkopanych jako zombi, którzy w jakiś sposób zdolali wrócić do stanu życia. — Mambo Julia uszczyptała się z namysłem w brodę. — Ale zawsze już byli nieco... upośledzeni.

Poczwarzka z wysiłkiem przełknęła ślinę.

— Doceniam to, co dla mnie zrobiłaś. Nie... nie jestem pewna, co chciał ze mną uczynić Calixte, ale z pewnością nie było to nic dobrego. Skoro jednak odzyskałam już wolność, chciałabym wrócić do Port-au-Prince.

— Pewnie, że byś chciała, dziecko. I wrócisz. W gruncie rzeczy, na to właśnie liczymy.

Poczwarzka ucieszyła się, słysząc te słowa, ale nie była pewna, czy spodobał się jej ton, jakim je wypowiedziano.

— A co to znaczy? — zapytała.

Mambo Julia spojrzała na nią z powagą.

— Ja również nie jestem pewna, po co potrzebował cię Calixte. Wiem, że kolekcjonuje ludzi takich jak ty. Ludzi, którzy się zmienili. Nie mam pojęcia, co im robi, ale potem należą do niego. Wykonują dla niego zadania, których nie chcą się podjąć nawet Tonton Macoute. A on ma dla nich mnóstwo roboty — dodała przez zaciśnięte zęby. — Charlemagne Calixte jest naszym wrogiem. To on sprawuje rządy w Port-au-Prince. Ojciec Jean-Claude Duvaliera, François, był na swój sposób wielkim człowiekiem. Był bezlitosny i ambitny. Odnalazł drogę prowadzącą do władzy, a następnie utrzymywał ją przez wiele lat. To on założył Tonton Macoutes, a oni pomogli mu wypełnić kieszenie bogactwem całego kraju. Ale Jean-Claude nie przypomina ojca. Jest głupcem o słabej woli. Pozwolił, by prawdziwa władza przeszła w ręce Calixte'a. Ten diabeł zaś jest tak chciwy, że może wysać życie z nas wszystkich niczym *loup garou*. — Potrząsnęła głową.

— Trzeba go powstrzymać. Jego ucisk musi zniknąć, by żyłami Haiti mogła znów popłynąć krew. Ale podstawy jego władzy sięgają głębiej niż karabiny Tonton Macoutes. Albo sam jest potężnym *bokorem*, albo jakiś potężny *bokor* pracuje dla niego. Magia tego *bokora* ma olbrzymią moc. Pozwoliła Calixte'owi przeżyć kilka zamachów. Choć przynajmniej po jednym zostały mu głębokie ślady — dodała z wyraźną satysfakcją.

— A co to wszystko ma wspólnego ze mną? — zapytała Poczwarzka. — Powinniście się zwrócić do Narodów Zjednoczonych albo do mediów, by świat dowiedział się o waszej sytuacji.



— Świat o niej wie — odparła Mambo Julia. — Ale nic go to nie obchodzi. Nie zasługujemy na jego uwagę. Może to zresztą i lepiej. Będziemy mogli rozwiązać nasze problemy na swój własny sposób.

— To znaczy jak? — zapytała Poczwarła, choć nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

— Bizango jest silniejsze na wsi niż w mieście, ale mamy agentów nawet w Port-au-Prince. Obserwowaliśmy was od chwili waszego przybycia, przekonani, że Calixte może okazać się wystarczająco śmiały, by spróbować wykorzystać obecność grupy wpływowych *blancs*, a nawet uczynić jedno z was swoim agentem. Gdy publicznie sprzeciwiłaś się Tonton Macoutes, wiedzieliśmy, że Calixte zechce się na tobie odegrać. Obserwowaliśmy cię uważnie i udało nam się udaremnić próbę porwania cię. Ale udało mu się dopaść twoich przyjaciół.

— Nie są moimi przyjaciółmi — sprzeciwiła się Poczwarła. Zaczynała sobie uświadamiać, dołąd znierva monolog Mambo Julii. — A nawet gdyby nimi byli, nie pomogłabym wam ich uratować. — Uniosła rękę, szkieletową dłoń spowitą siecią więzadeł, ścięgien i naczyń krwionośnych. — Oto, co uczynił mi wirus dzikiej karty. Nie dał mi żadnych specjalnych mocy ani zdolności. Potrzebujecie kogoś takiego jak Billy Ray, Czarna Lady albo Złoty Chłopiec...

Mambo Julia potrząsnęła głową.

— Potrzebujemy ciebie. Jesteś *Madame* Brigitte, żoną Barona Samediiego.

— Z pewnością w to nie wierzysz.

— Nie wierzę — przyznała. — Ale *chasseurs* i *soldats*, którzy mieszkają w małych, rozproszonych wioskach, nie umieją czytać, nigdy nie oglądali telewizji i nic nie wiedzą o tym, co zwiesz wirusem dzikiej karty, na twój widok poczują odwagę potrzebną, by zrobić to, co muszą zrobić dzisiejszej nocy. Być może oni również nie uwierzą do końca, ale będą chcieli uwierzyć i nie będą myśleli o tym, że nie mają szans pokonać *bokora* i jego potężnej magii. Poza tym — dodała z nutą nieodwołalności — tylko ty możesz być przynętą w naszej pułapce. Tylko tobie udało się uciec przed kolumną zobopów. Tylko ciebie wpuszczają do swojej twierdzy.

Słowa Mambo Julii wypełniły Poczwarłę dreszczem pomieszany m z gniewem. Dreszcz brał się stąd, że nie chciała już nigdy więcej widzieć Calixte'a. Nie miała najmniejszego zamiaru oddać się w jego ręce. Gniewała się zaś dlatego, że nie chciała angażować się w problemy tych ludzi ani zginąć za sprawę, o której prawie nic nie wiedziała. Zajmowała się prowadzeniem lokalu i handlem informacjami. Nie była jakąś wścibską aską, wtykającą nos w nie swoje sprawy. W ogóle nie była aską.

Odsunęła krzesło od stołu i wstała.

— Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc. Co więcej, nie mam pojęcia, dołąd Calixte zabrał Kopacza i Wilde'a.

— Ale my to wiemy — odparła Mambo Julia z uśmiechem pozbawionym wszelkich śladów

wesołości. — Ty się wymknęłaś *chasseurs* wysłanym ci na ratunek, ale kilku zobopów nie zdołało dokonać tej sztuki. Wymagało to odrobiny perswazji, ale w końcu jeden z nich powiedział nam, że twierdzą Calixte'a jest Fort Mercredi. To ruiny fortecy górującej nad Port-au-Prince. Tam właśnie znajduje się ośrodek jego magii. — Mambo Julia również wstała i podeszła do drzwi. Przed chatą stała grupa mężczyzn. Wszyscy wyglądali na wieśniaków. Mieli proste ubrania, stwardniałe dłonie i stopy oraz szczupłe, muskularne ciała. — Dzisiejszej nocy *bokor* umrze na dobre — oznajmiła im.

Gdy ujrzeni Poczwarzkę, z ich ust wyrwał się chóralny szepot zaskoczenia i bojaźni. Większość pokłoniła się nisko na znak szacunku i hołdu.

Mambo Julia zawołała coś po kreolsku i wskazała na Poczwarzkę. Odpowiedzieli jej donośnym, pełnym radości krzykiem. Po chwili zamknęła drzwi i spojrzała z uśmiechem na dzókerkę.

Poczwarzka westchnęła. Doszła do wniosku, że nierozsądnie byłoby spierać się z kobietą, która dowiodła, że potrafi zmieniać ludzi w zombi. Ogarnęło ją poczucie bezradności, które świetnie pamiętała z młodych lat. W Nowym Jorku miała kontrolę nad wszystkim, tutaj zaś cały czas pozostawała pod władzą innych. To się jej nie podobało, ale nie mogła zrobić nic poza wysłuchaniem planu Mambo Julii.

Był on dość prosty. Dwóch *chasseurs* — Mambo Julia wyjaśniła, że w Bizango oznacza to rangę łowcy — włoży szaty i maski zobopów, zdobyte wieczorem, zaprowadzi Poczwarzkę do fortecy Calixte'a i powie mu, że wytropili ją w lesie. Gdy nadarzy się szansa (dzókerka nie była zadowolona z niejasnego charakteru, jaki przybierał plan w tym punkcie, ale doszła do wniosku, że lepiej się nie odzywać), wpuszczą do twierdzy swych towarzyszy i zniszczą Calixte'a oraz jego sługi.

To nie spodobało się Poczwarzce, choć Mambo Julia zapewniła ją nonszalancko, że nic jej nie zagrozi, bo loa będą nad nią czuwać. Dla dodatkowej ochrony — całkowicie zbędnej, jak zapewniła — kapłanka dała jej małe zawiniątko opakowane w impregnowany papier.

— To jest *paquets congo* — oznajmiła. — Zrobiłam je sama. Zawiera bardzo silną magię, która obroni cię przed złem. Jeśli zagrozi ci jakieś niebezpieczeństwo, otwórz pakunek i rozsyp jego zawartość wokół siebie. Ale nie pozwól, by cokolwiek z niej cię dotknęło! To silna magia, naprawdę bardzo silna. Możesz jej używać tylko w najprostszy sposób.

Następnie Mambo Julia odesłała ją razem z *chasseurs*. Było ich dziesięciu, może dwunastu, wszyscy młodzi albo w średnim wieku. Jednym z nich był Baptiste, mężczyzna Mambo Julii. Wszyscy nieustannie gadali ze sobą i żartowali, jakby wybierali się na piknik Poczwarzkę traktowali z wielkim szacunkiem i atencją, pomagając jej na trudnych odcinkach szlaku. Dwaj mieli szaty zabrane przedtem zobopom z kolumny.

Ścieżka, którą szli, doprowadziła ich do wyboistej drogi, gdzie czekał na nich rozklekotany

samochód, jakiegoś rodzaju mikrobus albo furgonetka. Sprawiał wrażenie ledwie zdolnego do jazdy, ale gdy wszyscy już wsiedli, silnik zapalił bez problemu. Jechali powoli, a samochód ciągle podskakiwał na wyboistej drodze. Wreszcie dotarli do szerszej, oznakowanej szosy prowadzącej do Port-au-Prince i mogli przyśpieszyć.

W mieście panował spokój, choć od czasu do czasu mijali inne pojazdy. Sceneria wydała się Poczwarce znajoma. Po chwili uświadomiła sobie, że jadą przez Bolosse, dzielnicę slumsów, gdzie znajdował się szpital, który odwiedzili dziś rano. Wydawało się jej, że od tego momentu minęło z tysiąc lat.

Mężczyźni śpiewali piosenki, rozmawiali, śmiali się i opowiadali kawały. Trudno było uwierzyć, że planują zamach na najpotężniejszego człowieka w haitańskim rządzie, człowieka, który ponoć był również złym czarnoksiężnikiem. Można by raczej pomyśleć, że wybierają się na mecz piłkarski. Albo cechowali się godną podziwu brawurą, albo był to efekt uspokajającej obecności *Madame* Brigitte. Bez względu na powody ich optymizmu Poczwarcka go nie podzielała. Była śmiertelnie przerażona.

Kierowca zjechał nagle na bok. Zapadła cisza, gdy zaparkował mikrobus na wąskiej uliczce pełnej ruder. Potem wyciągnął rękę i powiedział coś po kreolsku. *Chasseurs* zaczęli wysiadać. Jeden z nich uprzejmie posłużył ręką Poczwarce. Przez chwilę myślała o ucieczce, ale zauważyła, że Baptiste ją obserwuje, dyskretnie, lecz uważnie. Westchnęła pod nosem i dołączyła do szeregu idących cicho ulicą ludzi.

Wspinaczka na strome wzgórze była żmudna. Po chwili Poczwarcka zorientowała się, że zmierzają ku ruinom fortu, które zauważyła, gdy przejeżdżali tędy rano. Mambo Julia mówiła, że to Fort Mercredi. W świetle poranka wydawał się Poczwarce malowniczy, ale teraz stał się złowrogim cieniem otoczonym aurą przyczajonej groźby. Kolumna zatrzymała się w małym zagajniku poniżej ruin. Dwóch *chasseurs*, w tym również Baptiste, włożyło stroje i maski zobopów. Kochanek Mambo Julii skinął uprzejmie na Poczwarckę, każąc jej ruszać naprzód. Zaczepnęła głęboki oddech, wielkim wysiłkiem woli powstrzymała drżenie nóg i posłuchała go. Ujął jej rękę powyżej łokcia, w zasadzie po to, by zademonstrować, że wzięli ją do niewoli, ale i tak ucieszyła się z ludzkiego dotyku. Do jej serca wróciła plama nocy. Stała się teraz większa, spowiła całą jej klatkę piersiową mroczną, lodowatą zasłoną.

Fortecę otaczała sucha fosa. Przerzucono nad nią rozklekotany drewniany most. Gdy się do niego zbliżyli, zatrzymał ich głos, który wykrzyczał jakieś pytanie po kreolsku. Baptiste udzielił zadowolającej odpowiedzi, podając krótkie hasło. Poczwarcka pomyślała, że to z pewnością kolejna informacja wyciągnięta z pechowych zobopów, którzy wpadli w ręce Bizango. Przeszli na drugą stronę fosy.

Siedziało tam dwóch mężczyzn w półoficjalnych niebieskich garniturach Tonton Macoutes.

Ciemne okulary sterczały im z kieszeni na piersiach. Baptiste opowiedział im jakąś długą, skomplikowaną historię. Najwyraźniej zrobił na nich wrażenie, bo przepuścili ich przez zewnętrzne fortyfikacje cytadeli. Na położonym dalej dziedzińcu znowu ich zatrzymano i ponownie przepuszczono. Jeden z drugiej pary wartowników zaprowadził ich do wnętrza rozsypującego się fortu.

Poczwarłkę doprowadzał do szaleństwa fakt, że nie rozumie, co mówią otaczający ją ludzie. Napięcie narastało, jej serce wypełniał coraz większy chłód, a strach wypełniał ją niczym coraz silniej napinana sprężyna. Nie mogła jednak nic zrobić. Pozostało jej tylko spróbować to przetrwać i liczyć na najlepsze, choćby nawet wbrew rozsądkowi.

Wnętrze fortecy było w stosunkowo niezłym stanie, ale oświetlenie było tu w zdecydowanie średniowiecznym stylu — pochodnie ulokowane z rzadka w niszach w ścianach. Mury i podłogi były kamienne, suche i chłodne w dotyku. Korytarz kończył się krętymi, pozbawionymi poręczy schodami z kruszących się kamieni. Tonton Macoute poprowadził ich w dół.

W umyśle Poczwarłki zatańczyły obrazy podmokłego lochu. Wilgotne powietrze cuchnęło stęchlizną. Schody były śliskie od jakiegoś niezidentyfikowanego szlamu i trudno się po nich szło w zrobionych ze starych opon sandałów, które dostała od Mambo Julii. Pochodni było niewiele, a plamy rzucanego przez nie światła nie zachodziły na siebie. Często musieli iść przez obszary całkowitej ciemności.

Schody prowadziły do wielkiej sali, w której stała tylko garstka rozklekotanych drewnianych mebli. Odchodziło od niej wiele mniejszych pokoiów i Tonton Macoute zaprowadził ich do jednego z nich.

Pomieszczenie było kwadratem o boku długości sześciu metrów. Oświetlenie było tu lepsze niż w korytarzach, przez które przechodzili przed chwilą, ale sufit, kąt i niektóre obszary pod tylną ścianą spowijał gęsty mrok. W migotliwym blasku rzuconym przez pochodnie trudno było zobaczyć szczegóły. Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, Poczwarłka doszła do wniosku, że tak zapewne jest lepiej.

To była izba tortur, pełna antycznych urządzeń, wyglądających na zadbane i niedawno używane. Pod jedną ze ścian spoczywała na wpół otwarta żelazna dziewica. Kolce w jej wnętrzu pokrywały płatki rdzy albo zakrzepłej krwi. Narzędzia, takie jak pogrzebaczce, tasaki oraz zgniatacze kciuków i stóp, leżały na stole ustawionym obok czegoś, co wyglądało na koło męczarni. Poczwarłka nie była tego pewna. Nigdy nie widziała tego instrumentu, nie spodziewała się, że kiedykolwiek go zobaczy, a już z całą pewnością nie pragnęła go oglądać.

Odrzuciła wzrok od narzędzi tortur i skupiła go na grupce sześciu mężczyzn widocznej z tyłu pokoju. Dwaj Tonton Macoutes z radością przyglądali się trwającej procedurze. Poza nimi byli tam Kopacz Downs, Dorian Wilde, człowiek-byk, który dowodził kolumną zobopów, oraz

Charlemagne Calixte. Downsą przykuto do ściany w niszy sąsiadującej z zajmowaną przez butwiejący szkielet. Wilde był w centrum uwagi wszystkich.

Z tylnej ściany lochu, tuż pod sufitem sterczała gruba, solidna belka równoległa do podłogi. Zawieszono na niej kołowrotek z ostro zakończoną haką o groźnym wyglądzie zwiślał sznur. Kołysał się nim Dorian Wilde, trzymający się go rozpaczliwie obiema rękami. Próbował podciągnąć się w górę, ale brakowało mu siły mięśni. Nie mógł nawet porządnie się chwycić szorstkich konopi, bo zamiast prawej dłoni miał skupisko macek. Pocił się, wybałuszał oczy i wyteżał mięśnie, kołysząc się rozpaczliwie, podczas gdy Calixte kręcił korbą opuszczającą sznur, aż wreszcie podeszwy bosych stóp Wilde'a znalazły się tuż nad rozżarzonymi węgielkami w niskim piecyku koksowym stojącym na podłodze pod kołowrotkiem. Dżoker wymachiwał rozpaczliwie nogami, próbując odsunąć je od żaru. Calixte unosił go nieco, by dać mu chwilę wytchnienia, po czym opuszczał go znowu. Zatrzymał się nagle, gdy człowiek-byk spojrział w stronę wejścia, zauważył Poczwarzkę i ryknął.

Calixte skierował wzrok na nią. Ich spojrzenia się spotkały. Na jego twarzy widniał wyraz szalonego uniesienia. Pocił się intensywnie, choć w lochu panowały chłód i wilgoć. Uśmiechnął się i powiedział coś po kreolsku do Tonton Macoutes, którzy podbiegli do Wilde'a i zdjęli go ze sznura. Potem rzekł coś do Baptiste'a i do drugiego *chasseurs*. Najwyraźniej Baptiste udzielił mu satysfakcjonującej odpowiedzi, bo Calixte skinął głową, a następnie kazał im odejść krótkim słowem i gestem.

Pokłonili się i ruszyli do wyjścia. Poczwarzka instynktownie postąpiła jeden krok za nimi, ale nagle stanął przed nią człowiek-byk. Dyszał ciężko i przyglądał się jej dziwnie. Z nagłym atakiem młodości zauważyła, że jego potężny wzwód nadal się utrzymuje.

— No cóż — warknął Calixte po angielsku. — Znowu się spotykamy. — Podeszedł do Poczwarzki, położył rękę na ramieniu byka i odepchnął go na bok — Zrobiliśmy sobie małą zabawę. Ten *blanc* mnie obraził i postanowiłem nauczyć go manier. — Wskazał głową na Wilde'a, który skulił się na wilgotnej kamiennej podłodze, oddychając spazmatycznie. Calixte ani na moment nie odrywał od Poczwarzki spojrzenia błyszczących, rozgorączkowanych oczu. Gorzało w nich niewysłowione podniecenie oraz przyjemność. — Ty również sprawiłaś mi trudności. — Uszczypnął się w bliznowatą tkankę na policzku, lśniąca w blasku pochodni niczym szkło. Sprawiał wrażenie głęboko pograżonego w szalonych myślach. — Chyba również powinnaś otrzymać nauczkę. — Nagle podjął decyzję. — Dostanie pozostałych. Nie sądzę, by miał coś przeciwko temu, jeśli ciebie zużyjemy. Taureau.

Zwrócił się w stronę człowieka-byka i powiedział parę słów po kreolsku.

Nawet gdy mówił po angielsku, Poczwarzka ledwie go rozumiała. Jego słowa były niewyraźne i bełkotliwe, jeszcze bardziej niż zwykle. Był kompletnie pijany, okrutnie naćpany albo całkowicie

szalony. Być może wszystkie te trzy rzeczy naraz, uświadomiła sobie. Ogarnęło ją porażające przerażenie. *Chasseurs* nie mieli sobie pójsć, myślała rozgorączkowana. Mieli zabić Calixte'a! Serce biło jej szybciej niż bębny, których rytm niedawno wypełnił haitańską noc. Mroczny strach gromadzący się w jej piersi w każdej chwili mógł wypłynąć i zalać całą jej jaźń. Na chwilę zachwiała się na skraju nieracjonalności. Potem Taureau ruszył ku niej, śliniąc się i prychnając. Rozpiął potężną dłoń rozporęki Poczwarka uświadomiła sobie, co powinna zrobić.

Ścisnęła paczuszkę, którą dostała od Mambo Julii, i dygoczącymi nerwowo palcami ściągnęła papier, odsłaniając mały, skórzany woreczek zawiązany tasiemką. Przerwała ją i drżącymi dłońmi cisnęła w Taureau woreczkiem razem z całą jego zawartością.

Mieszek trafił go prosto w twarz. Ekspłodowała z niego chmura szarawego proszku i człowiek-byk wszedł prosto w nią. Substancja pokryła jego dłonie, ramiona, pierś i twarz. Zatrzymał się na moment, prychnął, potrząsnął głową i znowu ruszył naprzód.

Poczwarka straciła panowanie nad sobą. Odwróciła się, łkając, po czym rzuciła się do ucieczki, myśląc jednocześnie, że dała się nabrać, że Mambo Julia jest sprytną oszustką, że to, co się wydarzy, jest niczym w porównaniu z tym, co przyniosłoby jej całe życie pod dominacją Calixte'a. Potem usłyszała straszliwy, oghuszający ryk, który sparaliżował wszystkie nerwy, mięśnie i ścięgna w jej ciele.

Odwróciła się. Taureau stanął jak wryty, ale dygotał od głowy aż po palce nóg. Wszystkie potężne mięśnie jego ciała ogarnęły spazmy. Wlepione w Poczwarkę oczy omal nie wyszły mu z czaszki. Wydawał z siebie straszliwy, przeciągły ryk, nawet w najmniejszym stopniu nieprzywołujący ludzkiego głosu. Zaciskał i rozluźniał dłonie, a potem zaczął orać sobie twarz grubymi, czarnymi paznokciami o tępych zakończeniach, wyrывая z policzków długie pasy mięsa. Nie przestawał wyć niczym potępiona dusza w piekielnym ogniu.

Przez umysł Poczwarki przemknęło wspomnienie: chłodny, pogrążony w półmroku bar, smaczny likier i krótka opowieść Tachiona o haitańskiej medycynie ziołowej. *Paquets congo* Mambo Julii nie zawierało magicznego proszku przyrządzonego w trakcie straszliwego rytuału i poświęconego mrocznym loa. To po prostu była jakaś mieszanka ziołowa, neurotoksyna o szybkim działaniu, wywołująca ściśle określone rezultaty. Tak przy najmniej sobie mówiła i niemal udało się jej w to uwierzyć.

Straszliwy żywy obraz utrzymanywał się tylko przez chwilę. Potem Calixte warknął jakieś słowo do Tonton Macoutes gapiących się ze zdumieniem na Taureau. Jeden z nich podszedł do człowieka-byka i położył rękę na jego ramieniu. Taureau odwrócił się, szybko jak kot napakowany adrenaliną, złapał mężczyznę za nadgarstek i bark, a potem wyrwał mu rękę z tułowia. Tonton Macoute jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, a następnie osunął się, łkając, na podłogę, bezskutecznie próbując zahamować ocalałą dłoń tryskającą mu z barku

fontannę krwi.

Taureau uniósł urwaną rękę nad głowę niczym krwawiącą maczugę, po czym potrząsnął nią przed twarzą Poczwaruki. Jej policzki zalała krew. Kobieta przełknęła podchodzącą jej do gardła żółć.

Calixte wyryczał jakiś rozkaz po kreolsku. Poczwaruka nie wiedziała, czy był on skierowany do Taureau czy do jego drugiego człowieka, ale Tonton Macoute uciekł z pomieszczenia, a człowiek-byk kręcił się szaleńczo, próbując skierować wy bałuszone z szaleństwa i strachu oczy na wszystkich jednocześnie.

Calixte nie przestawał krzyczeć na Taureau, który drżał i dygotał od straszliwych spazmów targających jego mięśniami. Jego twarz stała się obliczem udręczonego szaleńca, ciemna skóra robiła się coraz ciemniejsza, a wargi wyraźnie posiniały. Powłókł się w stronę Calixte'a, wykrzykując coś. Choć Poczwaruka nie знаła jego języka, wiedziała, że te słowa to zwykły bełkot.

Calixte spokojnie wy ciągnął pistolet, wymierzył go w Taureau i znowu coś powiedział. Dżoker się nie zatrzymał. Calixte wystrzelił. Kula trafiła Taureau w pierś, wysoko po lewej stronie, ale to go nie zatrzymało. Calixte wystrzelił jeszcze trzy razy, zanim oszalały byk pokonał dzielący ich dystans. Ostatnia kula trafiła prosto między oczy.

To również nie powstrzymało Taureau. Dżoker puścił trzymaną w dłoni kończynę, złapał Calixte'a i w ostatnim spazmie niewiarygodnej siły cisnął nim o tylną ścianę pomieszczenia. Calixte krzyknął. Wy ciągnął rękę, próbując złapać zwisający z belki sznur, ale chybił. Nie ominął jednak rzeźnickiego haka, z którego zwisał sznur.

Hak wbił mu się w brzuch, przebił przeponę i wniknął w prawe płuco. Z ust mężczyzny trysnęła fontanna krwi zmieszanej z krzykami. Wierzgające nogi Calixte'a tworzyły kontrast ze spazmatycznymi drgawkami jego ciała.

Taureau zatoczył się, złapał za zdruzgotane czoło i runął na pełen płonących węgielków piecyk. Po chwili jego ryki umilkły. Rozległo się ostre skwierczenie, któremu towarzyszył słodki zapach pieczonego mięsa.

Poczwarukę dopadły gwałtowne mdłości. Po chwili otarła usta grzbietem dłoni, uniosła wzrok i zobaczyła, że Dorian Wilde stanął przed bezwładną, kołyszącą się postacią Charlemagne'a Calixte'a. Uśmiechnął się i zaczął recytować.

*O, jakże słodko jest przy skrzypiec wtórze*

*Tanecznym krokiem iść w miłość i życie,*

*Przy wtórze fletów i przy wtórze lutni*

*Jakże to słodko, jakże znamienicie!*

*Ale jak gorzko — młodą, zwinną stopą*

Kopacz Downs zagrzechotał bezsilnie łańcuchami.

— Niech ktoś mnie stąd wy dostanie — błagał.

Poczwarzka usłyszała odgłos strzałów z małokalibrowej broni, dobiegający z górnych pięter fortecy. *Chasseurs* z Bizango spóźnili się jednak *Bokor* kołyszący się na rzeźnickim hału nad podłogą lochu już nie żył.



Rzecz jasna, sprawę wy ciszono.

Senator Hartmann poprosił Poczwarzkę, by zachowała milczenie. Miało to pomóc w rozproszeniu strachu przed wirusem dzikiej karty szalejącym w Ameryce. Nie chciał żadnych wzmianek o ingerencji amerykańskich dzokerów i asów w politykę innych krajów. Zgodziła się z dwóch powodów. Po pierwsze, chciała, by miał wobec niej dług, a po drugie, zawsze unikała przyciągania publicznej uwagi. Nawet Kopacz nic o tym nie napisał. Z początku stawał okoniem, ale senator Hartmann odbył z nim prywatną rozmowę. Kopacz wyszedł z niej zadowolony, uśmiechnięty i dziwnie małowówny.

Śmierć Charlemagne'a Calixte'a przypisano naglej, niespodziewanej chorobie. O kilkunastu innych ciałach znalezionych w Fort Mercredi nie napomknięto ani słowem. Około czterdziestu zagadkowych śmierci i samobójstw wśród urzędników państwowych, do których doszło w ciągu następnego tygodnia, nikt nigdy nie połączył ze zgonem Calixte'a.

Jean-Claude Duvalier został sam na sam z niezadowoloną, żyjącą w nędzy ludnością swego kraju. Bardzo się ucieszył z braku publicity, ale pod koniec całej sprawy odkrył coś zagadkowego i przerażającego, co bardzo starannie zachował w tajemnicy.

Jedno z ciał znalezionych w Fort Mercredi należało do bardzo starego człowieka. Gdy Jean-Claude je zobaczył, jego twarz zrobiła się niemal zupełnie biała. Rozkazał bezzwłocznie pochować je na *Cimetière Extérieur*, nocą, bez żadnych ceremonii, nim ktokolwiek zdąży je rozpoznać i zapyta, jak to się stało, że François Duvalier, zmarły ponoć piętnaście lat temu, jeszcze całkiem niedawno był żywy.

Jedyna osoba, która mogłaby odpowiedzieć na to pytanie, nie przebywała już na Haiti. Zmierzała do Ameryki z nadzieją, że czekają ją tam długie, interesujące i produktywne poszukiwania nowych, ekscytujących wrażeń.



# Z dziennika Xaviera Desmonda

8 grudnia 1986, Meksyk

Dziś wieczór czeka nas kolejna uroczysta kolacja, ale udało mi się wymówić pod pretekstem choroby. Bardzo się ucieszyłem z możliwości kilkogodzinnego relaksu w pokoju hotelowym oraz uzupełnienia dziennika. Co więcej, moje dolegliwości nie są bynajmniej wyimaginowane. Obawiam się, że przeładowany program oraz napięcia towarzyszące podróży dają się we znaki. Nie udało mi się zatrzymać w żołądku wszystkich posiłków, ale robię, co tylko mogę, żeby nikt nie zauważył moich problemów. Gdyby Tachion zaczął coś podejrzewać, zażądałby, żebym pozwolił mu się zbadać, a gdyby prawda wyszła na jaw, mogliby mnie odesłać do domu.

Nie pozwolę na to. Pragnąłem zobaczyć wszystkie te odległe, baśniowe krainy, o których ongiś marzyliśmy wspólnie z Mary, ale nie ulega już wątpliwości, że to, czym się zajmujemy, jest znacznie ważniejsze od wszelkiej turystyki. Kuba nie była Miami Beach, nie dla tych, którym chciało się wystawić nos poza Hawanę. Więcej dżokerów umiera na polach trzciny cukrowej niż występuje na scenach kabaretów. A Haiti i Dominikana są nieporównanie gorsze, o czym już pisałem na kartach tego dziennika.

Reprezentacja dżokerów, ich wyraźnie słyszalny głos — nasza wyprawa rozpaczliwie tego potrzebuje, jeżeli ma cokolwiek osiągnąć. Nie pozwolę, żeby wyeliminowano mnie ze względów medycznych. Już w tej chwili jest nas mniej. Dorian Wilde wrócił do Nowego Jorku, zamiast jechać z nami do Meksyku. Przyznaję, że mam w tej sprawie mieszane uczucia. Już od samego początku żywiłem niewiele szacunku dla „poety laureata z Dżokerowa”, którego tytuł jest równie wątpliwy jak moje burmistrzostwo. Za to jego Nagroda Pulitzera z pewnością jest autentyczna. Wilde zdaje się czerpać perwersyjną radość z wymachiwania wilgotnymi, lepкими wtkami przed twarzami ludzi, popisowania się swą deformacją w świadomym celu sprowokowania reakcji. Podejrzewam, że motywem owej agresywnej nonszalancji jest ten sam wstręt do samego siebie, który tak wielu dżokerom każe nosić maski, a w kilku smutnych przypadkach skłonił ich do amputowania zniekształconych części ciała. Co więcej, Wilde ubiera się prawie tak samo niegustownie jak Tachion. Ta jego edwardiańska poza jest naprawdę śmieszna, a nigdy niewyraźny w słowach fakt, że woli perfumy od mydła, sprawia, że jego towarzystwo jest uciążliwe dla każdego, kto posiada zmysł węchu. Niestety, mój węch jest bardzo czuły.

Wątpię, by został delegatem, gdyby nie uznanie, jakie zdobył dzięki Nagrodzie Pulitzera. Bardzo niewielu dżokerom udało się uzyskać podobne zaszczyty. Jego poezja również nie wzbudza we mnie zbyt dużego entuzjazmu, a ciągłe afektowane recytacje wydają mi się wręcz odrażające.

Niemniej jednak muszę wyznać, że czuję dla niego pewien podziw z powodu

improwowanego występu przed Duvalierami. Podejrzewam, że otrzymał z tego powodu surową reprimendę od polityków. Gdy opuszczaliśmy Haiti, Hartmann odbył długą rozmowę w cztery oczy z „Boskim Wilde’em”, i Dorian sprawiał potem wrażenie mocno przygnębionego.

Choć nie zgadzam się z większością tego, co Wilde ma do powiedzenia, uważam, że powinien mieć prawo wyrażania swych poglądów. Będzie go nam brakowało. Żałuję, że nie wiem, dlaczego wyjechał. Zapytałem go o to i próbowałem namówić, żeby został, dla dobra wszystkich dzókerów, ale jego odpowiedzią była obraźliwa sugestia dotycząca seksualnych zastosowań mojej trąby, ubrana w formę małego, plugawego wierszyka. Osobliwy człowiek.

Pod nieobecność Wilde’a pozostaliśmy z Ojcem Kałamarnicą jedynymi autentycznymi wyrazicielami punktu widzenia dzókerów. Howard M. (dla świata Troll) wygląda bardzo imponująco. Ma blisko trzy metry wzrostu, jest niewiarygodnie silny, a jego zielonkawa skóra jest twarda jak róg. Wiem też, że to bardzo porządny i kompetentny człowiek, któremu nie brakuje inteligencji, ale... jest z natury podwładnym, nie przywódcą, a także ma w sobie pewną nieśmiałość, powściągliwość, która nie pozwala mu zabierać głosu publicznie. Wzrost uniemożliwia mu wtopienie się w tłum, ale czasami odnoszę wrażenie, że tego właśnie pragnie najbardziej.

Natomiast Poczwarka nie ma żadnych tego rodzaju problemów i jest obdarzona niezwykłą charyzmą. Nie mogę zaprzeczyć, że należy do szanowanych przywódców naszej społeczności, jest jednym z najbardziej widzialnych (to nie jest zamierzona gra słów) i najpotężniejszych dzókerów. Mimo to nigdy jej zbyt nie lubiłem. Być może to tylko uprzedzenia wynikające z interesowności. Rosnąca popularność Kryształowego Pałacu ma bardzo wiele wspólnego ze schyłkiem Gabinetu Luster. Są też jednak ważniejsze powody. Poczwarka ma w Dzókerowie znaczną władzę, ale korzysta z niej wyłącznie we własnym interesie. Zawsze była agresywnie apolityczna, starannie dystansowała się od DLZ i wszystkich ruchów walczących o prawa dzókerów. Gdy czasy wymagały pasji i zaangażowania, ona pozostawała chłodna i zdystansowana, ukrywała się za swymi cygarniczkami, alkoholami i arystokratycznym brytyjskim akcentem.

Poczwarka przemawia wyłącznie we własnym imieniu. Troll w ogóle rzadko się odzywa, więc reprezentować dzókerów musimy ja i Ojciec Kałamarnica. Robiłbym to z chęcią, ale jestem tak strasznie zmęczony...



Zasnąłem wcześniej i obudziły mnie głosy wracających z kolacji delegatów. Jak rozumiem, poszło im raczej dobrze. To znakomicie. Potrzeba nam paru triumfów. Howard powiedział mi, że Hartmann wygłosił przy posiłku piękną mowę, która zrobiła duże wrażenie na prezydencie de la Madrid Hurtado. Uwagę reszty obecnych mężczyzn przyciągnęła ponoć Sokolica. Zastanawiam

się, czy pozostałe kobiety są zazdrosne. Mistral jest całkiem ładna, taniec Fantazji wywiera hipnotyzujące wrażenie, a Radha O'Reilly jest naprawdę fascynująca. Zawdzięcza egzotyczną urodę mieszance krwi indyjskiej i irlandzkiej. Jednakże Sokolica przyćmiewa je wszystkie. Co o niej sądzą?

Mężczyznom wśród asów z pewnością się podoba. „Ułożona Talia” jest ciasnym światłem i plotki szybko wędrują jej korytarzami. Podobno doktor Tachion i Jack Braun czynili już jej propozycje, ale spotkali się ze stanowczą odmową. Sokolica wydaje się najbliższej związana ze swym kamerzystą, natolem, który jest zakwaterowany z resztą reporterów. Mają kręcić film dokumentalny o naszej podróży. Hiram również blisko się z nią przyjaźni, ale choć w ich nieustannym przekomarzaniu się widać lekko złotą nutę, ich związek ma raczej platoniczny charakter. W życiu Worchestera jest tylko jedna prawdziwa miłość — jedzenie. W tę sprawę jest zaangażowany bardzo głęboko. Wydaje się, że zna wszystkie najlepsze restauracje w każdym odwiedzonym przez nas mieście. Miejscowi szefowie kuchni ciągle zawracają mu głowę, zakradają się do jego pokoju hotelowego o każdej porze dnia i nocy, błagając, żeby poświęcił im choć chwilę, raczył skosztować, wyraził uznanie. Hiram nie tylko się nie sprzeciwia, ale jest wręcz zachwycony.

Na Haiti znalazł kucharza, którego sztuka przypadła mu do gustu tak bardzo, że natychmiast go zatrudnił i przekonał Hartmanna do wykonania paru telefonów do Urzędu do spraw Imigrantów celem załatwienia mu wizy i pozwolenia na pracę. Widzieliśmy przelotnie tego człowieka na lotnisku w Port-au-Prince, gdy taszczył wielką skrzynię pełną żeliwnych naczyń kuchennych. Hiram zmniejszył ciężar skrzyni, tak by jego nowy pracownik (który nie mówi po angielsku, ale Worcester zapewnia, że przyprawy są uniwersalnym językiem) mógł ją nieść na jednym ramieniu. Howard opowiadał mi też, iż podczas dzisiejszej kolacji Hiram uparł się, że musi odwiedzić kuchnię, by dostać od kucharza przepis na kurę w sosie mole, a gdy już tam się znalazł, przyrządził jakiś płonący deser na cześć gości.

W zasadzie nie powinienem lubić Hiram Worchestera, który popisuje się swymi mocami asa bardziej niż kogośkolwiek, kogo znam, ale trudno mi nie czuć sympatii do kogoś, kto tak bardzo cieszy się życiem i dzieli się swą radością z tymi, którzy go otaczają. Poza tym dobrze wiem, że łoży anonimowo na wiele dobroczynnych instytucji działających w Dżokrowie, choć bardzo stara się to ukryć. Hiram czuje się w towarzystwie takich jak ja podobnie skrępowany jak Tachion, ale jego serce jest równie wielkie co reszta jego postaci.

Jutro nasza grupa znowu się podzieli. Senatorzy Hartmann i Lyons, kongresman Rabinowitz oraz Ericsson ze Światowej Organizacji Zdrowia spotkają się z przywódcami PRI, partii rządzącej w Meksyku, natomiast Tachion i nasza ekipa medyczna odwiedzą klinikę, która ponoć odniosła nadzwyczajne sukcesy w zwalczaniu wirusa letrylem. Nasi asowie mają zjeść obiad

w towarzystwie trojga swych meksykańskich odpowiedników. Z zadowoleniem przyjąłem fakt, że zaproszono również Trolła. Przynajmniej w niektórych częściach świata nadludzka siła i niemal całkowita niewrażliwość na ciosy powodują, że jest uważany za asa. To oczywiście niewielki postęp, ale zawsze coś.

Reszta delegatów pojedzie na Jukatan i do Quintana Roo obejrzeć ruiny miast Majów oraz kilka miejsc, w których ponoć doszło do masowych pogromów dżokerów. Wygląda na to, że meksykańska wieś nie jest tak oświecona jak stolica kraju. Reszta grupy dołączy do nas pojutrze w Chichén Itza i ostatni dzień pobytu w Meksyku poświęcimy na zwiedzanie.

Następnie polecimy do Gwatemali... być może. Dzienniki pełne są doniesień o powstaniu, które tam wybuchło. Indianie zbuntowali się przeciw centralnemu rządowi. Kilku z naszych dziennikarzy już się tam udało, wyczuwając, że to będzie większa sensacja niż nasza podróż. Jeśli sytuacja będzie wyglądała na zbyt niestabilną, zapewne zostaniemy zmuszeni do pominięcia tego etapu.

# Odcień nienawiści

## Część druga

Wtorek, 9 grudnia 1986, Meksyk

„Jestem w *El Templo de los Jaguares*, Świątyni Jaguarów w Chichén Itza. W palących promieniach jukatańskiego słońca brama robi imponujące wrażenie. Dwie masywne kolumny ukształtowane na podobieństwo gigantycznych węży. Między ich wielkimi, stylizowanymi głowami znajduje się wejście, a połączone ze sobą ogony podtrzymują nadproże.

Tysiąc lat temu, jak mówią nam przewodniki, kapłani Majów dopingowali tu graczy na *El Juego de Pelota*, boisku do gry w piłkę, ulokowanym ponad siedem metrów poniżej. Ta gra wydałaby się znajoma każdemu z nas. Gracze podbijali twardą, gumową piłkę kolanami, łokciami oraz biodrami, zdobywając punkty, gdy piłka przelatowała przez obręcze umieszczone w długich kamiennych murach z obu stron wąskiego pola. Tę prostą grę uprawiano ku czci boga Quetzalcoatl, czy Kukulcána, jak zwali go miejscowi.

Kapitana zwycięskiej drużyny w nagrodę prowadzono do świątyni, gdzie kapitan pokonanych obcinał mu głowę obsydianowym nożem, odsyłając go do wspaniałych zaświatów. Według naszych kryteriów to dość dziwny sposób na uhonorowanie zwycięzcy.

Za bardzo obcy, byśmy mogli go zaakceptować bez przeszkód.

Gdy patrzę na ten starożytny zabytek, widzę, że jego mury nadal są brązowe od krwi, nie jest to jednak krew Majów, lecz dzokerów. Epidemia dzikiej karty dotarła tu późno, ale była gwałtowna. Niektórzy uczeni przypuszczają, że sposób myślenia ofiar wpływa na działanie wirusa. Nastolatek zafascynowany dinozaurami zmienia się w Dinochłopca. Otyły szef kuchni, taki jak Hiram Worchester, staje się kimś, kto panuje nad grawitacją. Doktor Tachion, gdy go o to zapytano, unikał jednoznacznej odpowiedzi, ponieważ sugerowałaby ona, że zdeformowani dzokerzy w jakiś sposób sami siebie ukarali. Podobna informacja stałaby się emocjonalnym paliwem, które wykorzystaliby do swoich celów reakjoniści, tacy jak fundamentalistyczny kaznodzieja Leo Barnett albo fanatyczny « prorok » Nur al-Allah.

Być może jednak nie powinien nas zaskakiwać fakt, że na ziemiach z dawien dawna zamieszłanych przez Majów pojawił się co najmniej tuzin pierzastych węży, żywych obrazów samego Kukulcána. Gdyby w Meksyku główną rolę grali ci, w których żyłach płynie indiańska krew, nawet dzokerów traktowano by tu dobrze, ponieważ zdeformowanych ludzi uważa się za pobożogłównionych przez bogów. Ale ludzie pochodzący od Majów tu nie rządzą.

W Chichén Itzá zaledwie przed rokiem zamordowano ponad pięćdziesięciu dzokerów.

Większość z nich (choć nie wszyscy) była wyznawcami nowej religii Majów. Te ruiny były ich miejscem kultu. Myśleli, że wirus jest znakiem zapowiadającym powrót dawnych zwyczajów. Nie uważali się za ofiary. Bogowie wypaczyli ich ciała, czyniąc ich innymi i świętymi.

Ich religia była atawizmem, powrotem do gwałtownej przeszłości. A ponieważ byli aż tak bardzo inni, budzili strach. Meksykanie hiszpańskiego i europejskiego pochodzenia nienawidzili ich. Krążyły pogłoski o ofiarach ze zwierząt, a nawet ludzi, o krwawych rytuałach. Nie ma znaczenia, czy cokolwiek z tego było prawdą. To nigdy się nie liczy. Byli inni. Ich sąsiedzi połączyli siły, by uwolnić się od tego pasywnego zagrożenia. Opierające się z wrzaskiem ofiary wywleczono z okolicznych wiosek

Związanych, błagających o zmiłowanie dzokerów z Chichén Itzá ułożono w tym miejscu i poderżnięto im gardła w brutalnej parodii obrządków Majów. Tryskająca krew pokryła kamienne węże czerwonymi plamami. Ciała ciśnięto na boisko na dole. Kolejny akt okrucieństwa, kolejny incydent w « wojnie natoli z dzokerami ». Stare uprzedzenia dodające siły nowym.

Niemniej to, co się tu wydarzyło — choć straszliwe — nie jest gorsze od tego, co spotyka dzokerów u nas. Wy, czytelnicy tych słów — albo inni, których znacie — zapewne jesteście winni uprzedzeń takich samych jak te, które stały za tą masakrą. My również nie jesteśmy wolni od strachu przed innością”.

Sara wyłączyła magnetofon kasetowy i położyła go na szczycie głowy węża. Gdy przymrużyła powieki, osłaniając oczy przed jasnym blaskiem słońca, wypatrzyła główną grupę delegatów pod Świątynią Brodacza. Piętrząca się dalej Piramida Kukulcána rzucała na trawę długi cień.

— Kobieta tak bardzo skłonna do współczucia powinna zachowywać otwarty umysł, nieprawdaż?

Po plecach Sary przebiegły ciarki paniki. Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła, że patrzy na nią senator Hartmann. Minęła dość długa chwila, zanim zdołała odzyskać panowanie nad sobą.

Hartmann uśmiechnął się przepaszająco.

— Błagam o wybaczenie, że zakradłem się tu tak niespodziewanie. Daję słowo, że nie miałem zamiaru pani przestraszyć. Jeśli zaś chodzi o innych, powiedziałem Hiramowi, że muszę odbyć z panią prywatną rozmowę. To mój dobry przyjaciel. Pomógł mi uciec. — Uśmiechnął się łagodnie, jakby rozbawiła go jakaś skrywana myśl. — Ale nie mogłem uciec od wszystkich. Na dole stoi Billy Ray, mój sumienny ochroniarz.

Sara zmarszczyła brwi na widok jego uśmiechu. Podniosła magnetofon i schowała go do torebki.

— Nie sądzę, byśmy mieli o czym ze sobą rozmawiać, senatorze. Jeśli pan wybaczy ...

Ruszyła ku wejściu do świątyni, omijając Hartmanna. Przez chwilę obawiała się, że on może spróbować ją zatrzymać. Napięła mięśnie, ale on usunął się uprzejmie na bok.

— Mówiłem poważnie o tym współczuciu — dodał, gdy zbliżyła się już do schodów. — Wiem, dlaczego mnie pani nie lubi. Wiem, dlaczego wydaje mi się pani tak bardzo znajoma. Andrea była pani siostrą.

Jego słowa uderzały w Sarę niczym pięści. Wciągnęła powietrze z bólu.

— Wierzę, że jest pani sprawiedliwą osobą — ciągnął Hartmann, a każde słowo było kolejnym ciosem. — Myślę, że jeśli wreszcie usłyszycie pani prawdę, zrozumiecie pani.

Z ust Sary wyrwał się krzyk, który w połowie był łkaniem. Nie była w stanie go powstrzymać. Położyła dłoń na chłodnym, szorstkim kamieniu i odwróciła się. Przeraziło ją współczucie, które zobaczyła w oczach Hartmanna.

— Proszę mi dać spokój, senatorze.

— Jesteśmy na siebie skazani podczas tej podróży, pani Morgenstern. Nie ma sensu, żebyśmy byli wrogami, jeśli nie ma po temu żadnego powodu.

Jego głos brzmiał łagodnie i przekonująco. Był przepojony dobrocią. Sarze byłoby łatwiej, gdyby ją oskarżał. Gdyby próbował ją przekupić albo jej groził. Wtedy bez trudu mogłaby stawić mu opór, napawać się swoją furią. Ale on stał tylko z opuszczonymi rękami i — ni mniej, ni więcej — smutną miną. Wyobrażała go sobie na wiele różnych sposobów, ale nigdy tak.

— Skąd... — zaczęła i zorientowała się, że ściska ją w gardle. — Kiedy się pan dowiedział o Andrei?

— Po naszej rozmowie na konferencji prasowej. Kazałem mojej asystentce, Amy, sprawdzić pani przeszłość. Dowiedziała się, że urodziła się pani w Cincinnati, a pani panińskie nazwisko brzmi Whitman. Mieszkała pani dwie przecznice ode mnie. Andrea była siedem, może osiem lat starsza od pani. Jest pani do niej bardzo podobna. Tak właśnie by wyglądała, gdyby dorosła. — Uniósł dłonie do twarzy i potarł kąciki oczu palcami wskazującymi. — Nieszczerze lubię kłamstwa i uniki, pani Morgenstern. To nie w moim stylu. Nie wydaje mi się też, by pani je lubiła, sądząc po szczerych artykułach, jakie pani pisze. Sądzę, że rozumiem, skąd wzięła się pani wrogość. Wiem też, że jest pani w błędzie.

— Zatem uważa pan, że to moja wina.

— Nigdy nie zaatakowałem pani w prasie.

— Nie kłamię w swych artykułach, senatorze. Są uczciwe. Jeśli ma pan problem z faktami, które podaję, proszę mi o tym powiedzieć, a przedstawię panu dowody.

— Pani Morgenstern... — zaczął Hartmann z nutą irytacji w głosie. Wtem, niespodziewanie, odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. — Boże, znowu wracamy do tego samego — rzekł z westchnieniem. — Naprawdę czytałem pani artykuły. Nie zawsze się z panią zgadzam, ale

pierwszy przyznam, że są dobrze napisane i oparte na faktach. Myślę nawet, że mógłbym polubić osobę, która je napisała, gdybyśmy tylko mieli szansę porozmawiać i się poznać. — Jego szaroniebieskie oczy spotkały się z jej oczami. — Ale stoi między nami duch pani siostry.

Jego ostatnie słowa odebrały jej dech w piersi. Nie potrafiła uwierzyć, że je wypowiedział. Nie tak niedbale, nie z takim niewinnym uśmiechem, nie po tych wszystkich latach.

— Zabił ją pan — wydyszała. Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa na głos, dopóki nie zobaczyła szoku na twarzy Hartmanna. Jego oblicze zbieleżało na moment. Otworzył usta, po czym zamknął je gwałtownie. Potrząsnął głową.

— Z pewnością pani w to nie wierzy — odparł. — Roger Pellman ją zabił. Sprawa była oczywista. Biedny niedorozwinięty chłopak... — Hartmann potrząsnął głową. — Jak mogę to wyrazić delikatnie? Wybiegł z lasu nago i wył, jakby goniły go wszystkie demony piekła. Pokrywała go krew Andrei. Przyznał się do jej zabójstwa.

Twarz Hartmanna nadal była blada. Na jego czole perlił się pot, a spojrzenie pozostawało nieobecne.

— Cholera, byłem tam, pani Morgenstern. Stałem na podwórku swojego domu, kiedy bełkoczący Pellman przebiegał ulicą. Uciekł do siebie. Wszyscy sąsiedzi się na to gapili. Słyszeliśmy krzyki jego matki. Następnie przyjechali gliniarze. Weszli do domu Pellmanów i zabrali Rogera ze sobą do lasu. Widziałem, jak przynieśli owinięte ciało. Moja mama objęła pani matkę, która zawodziła histerycznie. Udzieliło się to nam wszystkim. Wszystkie dzieciaki płakały, mimo że nie wiedzieliśmy, co właściwie się dzieje. Założyli Rogerowi kajdanki i zabrali go...

Zdumiona Sara gapiała się na udręczoną twarz Hartmanna. Senator zaciskał w pięści zwisające luźno dłonie.

— Jak może pani mówić, że ją zabiłem? — zapytał cicho. — Nie wie pani, że byłem w niej zakochany? Zadurzyłem się tak mocno, jak to tylko możliwe dla jedenastoletniego chłopaka. Nigdy w życiu bym jej nie skrzywdził. Potem przez wiele miesięcy dręczyły mnie koszmary. Byłem wściekły, kiedy zamknęli Pellmana w szpitalu psychiatrycznym Longview. Chciałem, żeby zawisnął za to, co zrobił. Chciałem być tym, kto pociągnie za dzwignię.

To niemożliwe. Jej głowę wypełniał pulsujący rytm zaprzeczenia, ale gdy spojrzała na Hartmanna, poczuła pewność, że z jakiegoś powodu się myli. Wątpliwości zaczęły gasić ogień jej nienawiści.

— Sukub — powiedziała, czując w gardle straszliwą suchość. Oblizła wargi. — Był pan tam, a Sukub miał twarz Andrei.

Hartmann z wysiłkiem zaczerpnął głęboki oddech. Odwrócił na chwilę wzrok, spoglądając na północną świątynię. Sara podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła, że grupa turystów



z „Ułożonej Tali” weszła do środka. Na boisku zrobiło się pusto i cicho.

— Znałem Sukuba — odezwał się wreszcie Hartmann, nadal nie patrząc na Sarę. Słyszała drżenie emocji w jego głosie. — Poznałem go pod koniec jego publicznej kariery i nadal spotykaliśmy się od czasu do czasu. Nie byłem wtedy żonaty, a Sukub... — Odwrócił się ku niej i z zaskoczeniem zauważyła, że jego oczy pełne są łez. — Rozumie pani, Sukub mógł się stać kimkolwiek. Był idealną kochanką dla każdego. Kiedy z kimś był, zmieniał się w tego, kogo ten ktoś pragnął.

W tej właśnie chwili Sara domyśliła się, co powie Hartmann. Zaczęła już potrząsać głową w geście zaprzeczenia.

— Dla mnie bardzo często był Andreą — wyznał Hartmann. — Nie myliła się pani, twierdząc, że oboje mamy obsesję. Obsesję na punkcie Andrei i jej śmierci. Gdyby do niej nie doszło, mógłbym po jakichś sześciu miesiącach zapomnieć o swym zadurzeniu, podobnie jak o innych młodzińczych fantazjach. Ale czyn Rogera Pellmana wytrawił w moim umyśle obraz pani siostry. Sukub grzebał w ludzkich umysłach i wykorzystywał to, co tam znalazł. W moim wnętrzu znalazł Andreę. Dlatego kiedy ujrzał mnie podczas zamieszek i błagał mnie o ratunek, wybrał twarz, którą zawsze mi pokazywał. Nie zabiłem pani siostry, pani Morgenstern. Przyznaję, że snulem o niej erotyczne marzenia, ale na tym koniec. Była dla mnie ideałem. Nie mógłbym jej zrobić nawet najmniejszej krzywdy.

*To niemożliwe.*

Sara przypomniała sobie wszystkie dziwne powiązania, jakie odkryła w ciągu kilku miesięcy po tym, jak po raz pierwszy zobaczyła zapis śmierci Sukuba. Myślała, że wreszcie uwolniła się od dławiącego kultu, jakim otaczali Andreę jej rodzice, że na resztę życia będzie mogła zostawić za sobą wspomnienie o nieżyjącej siostrze. Twarz Sukuba całkowicie zniszczyła te nadzieje. Nawet po tym, jak z drżeniem napisała artykuł, który dał jej Pulitzera, myślała, że to po prostu pomyłka, okrutna sztuczka losu. Ale Hartmann tam był. Od początku wiedziała, że senator pochodzi z Ohio. Potem odkryła, że nie tylko wywodzi się z Cincinnati, ale mieszkał nieopodal i chodził z Andreą do tej samej szkoły. Nagle zrodziły się w niej podejrzenia i zbadała sprawę dokładnie. Tajemnicze zgony i akty przemocy towarzyszyły Hartmannowi od bardzo dawna. Na studiach prawniczych, gdy był nowojorskim radnym, burmistrzem, a wreszcie senatorem. Żadna z tych śmierci nie była jego winą. Zawsze był ktoś inny, kto miał motywy, ale...

Zaczęła kopać głębiej. Dowiedziała się, że pięcioletni Hartmann był z rodzicami na wakacjach w Nowym Jorku w dniu, gdy zginął Śmig i na niczego nieświadomy świat wypuszczono wirusa. Do całej rodziny uśmiechnęło się szczęście. Żadne z nich nigdy nie wykazało objawów infekcji. Niemniej jeśli Hartmann był ukrytym asem, „asem w rękawie”, jak mawiano potocznie...

To były tylko poszlaki. Nic konkretnego. Reporterski instykt Sary krzyczał: „Bądź obiektywna!”

do jej emocji. To jednak nie przeszkadzało jej nienawidzić Hartmanna. Zawsze czuła intuicyjną pewność, że to on jest winien. Nie Roger Pellman i nie inni, których skazano, ale Hartmann.

Wierzyła w to od z górą dziewięciu lat.

Ale w tej chwili senator nie wydawał się jej zły ani niebezpieczny. Czełał cierpliwie — nieatrakcyjna twarz, wysokie czoło z początkami łysiny, spocony od strasliwego żaru, szeroki w pasie po latach spędzonych za administracyjnymi biurkami. Pozwolił jej gapić się na siebie, patrzył jej w oczy z całkowitym spokojem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by mógł kogokolwiek zabić czy choćby skrzywdzić. Ktoś, kto lubił zadawać ból, okazałby to po sobie w jakiś sposób: w języku ciała, oczach czy głosie. U Hartmanna nie wyczuwała niczego w tym rodzaju. Miał charyzmę, to prawda, ale nie robił wrażenia niebezpiecznego.

*Czy opowiedziałby ci o Sukubie, gdyby go to nie zraniło? Czy morderca otworzyłby się tak bardzo przed kimś, kogo nie zna, przed wrogo nastawioną reporterką? Czyż przemoc nie towarzyszy w życiu każdemu z nas? Przyznaj mu przynajmniej tyle.*

— Muszę... muszę się zastanowić — rzekła.

— To wszystko, o co proszę — odparł cicho i zaczerpnął głęboki oddech, spoglądając na spalone słońcem ruiny. — Pewnie powinienem dołączyć do grupy, zanim wszyscy zaczną gadać. Downs ciągle węszy wokół mnie i na pewno jest zdolny rozpuszczać najrozmaitsze plotki.

Uśmiechnął się ze smutkiem i ruszył ku świątynnym schodom. Sara śledziła go spojrzeniem, marszcząc brwi pod wpływem sprzecznych myśli kłębiących się w jej głowie. Przechodząc obok, senator się zatrzymał.

I dotknął jej barku.

Jego dotyk był ciepły i delikatny, a twarz pełna współczucia.

— To ja dałem Sukubowi twarz Andrei. Przykro mi, że sprawiłem pani ból. Mnie również dręczy to wspomnienie. — Opuścił rękę. Bark Sary w miejscu jego dotyku był chłodny. Senator spojrział na węzowe głowy po obu stronach bramy. — Pellman zabił Andreę. Nie kto inny. Ja tylko przypadkowo zaplątałem się w pani historię. Myślę, że lepiej dla nas będzie, jeśli zostaniemy przyjaciółmi, a nie wrogami.

Wahał się przez chwilę, jakby czekał na odpowiedź. Sara patrzyła na piramidę, nie ufając sobie na tyle, by cokolwiek powiedzieć. Wezbrały w niej wszystkie skonfliktowane uczucia związane z Andreą: wściekłość, bolesny żal, gorycz i tysiąc innych. Odwróciła wzrok, nie chcąc, by Hartmann to zauważył.

Gdy już się upewniła, że sobie poszedł, usiadła na ziemi, dotykając plecami węzowej kolumny, wsparła głowę na kolanach i pozwoliła popłynąć łzom.



U podstawy schodów Gregg zatrzymał się i uniół wzrok, spoglądając na świątynię.

Wypełniała go złowroga satysfakcja. Pod koniec poczuł, że nienawiść Sary rozplywa się niczym mgła w promieniach słońca, pozostawiając po sobie tylko błądy cień. *Dokonałem tego bez twojego udziału — rzekł żyjącej w nim mocy. Jej nienawiść cię odrzuciła, ale to nie ma znaczenia. Ona jest Sukubem, jest Andreą. Sprawię, że do mnie przyjdzie. Jest moja. Twoja pomoc będzie zbędna.*

Lalkarz milczał.

## Prawa krwi

LEANNE C. HARPER

Młody Indianin z plemienia Lakandonów rozkaszał się od dymu, którego niesione wiatrem kłęby sunęły za nim przez świeżo oczyszczone pole. Ktoś musiał tu zostać i obserwować, jak zebrany przez nich chrust zmienia się w popiół, którym nakarmią grunt *milpy*. Ogień palił się spokojnie, młodzieniec mógł więc wycofać się poza zadymiony obszar. Wszyscy w wiosce poza nim zapadli w popołudniowy sen. Wilgotny upał sprawiał, że on również czuł się senny. Przyglądził długą, białą szatę opadającą mu na gołe nogi i zjadł zimne *tamales* będące jego kolacją.

Gdy tylko położył się w cieniu, przymrużył oczy i wkrótce znowu pogrążył się we śnie. Już od czasów, gdy był małym chłopcem, sny prowadziły go do królestwa bogów, rzadko się jednak zdarzało, by pamiętał, co mu powiedzieli albo co zrobili. José, stary szaman, bardzo się gniewał, gdy się okazało, że jego uczeń zapamiętał z wizji tylko towarzyszące jej uczucia albo beużyteczne szczegóły. Jedyłą nadzieją był fakt, że sen za każdym razem stawał się coraz bardziej wyrazisty. Młodzieniec nie przyznawał się przed José, że sen powraca. Czekał na chwilę, gdy zapamięta wystarczająco wiele, by zaimponować nawet jemu. Szaman jednak nie dał się nabrać.

Sen zabrał młodzieńca do Xibalby, domeny Ah Pucha, Pana Śmierci. Zawsze cuchnęło tam dymem i krwią. Indianin zaczął kasłać, gdy do jego płuc wniknęła atmosfera śmierci. Kaszel go obudził. Minęła chwila, nim sobie uświadomił, że już nie przebywa w świecie podziemnym. Oczy zachodziły mu łzami. Odsunął się od ognia, wychodząc poza zasięg dymu, wysyłanego przez wiatr w pościg za nim. Być może przodkowie też się na niego gniewali.

Wpatrzył się w dogasające już powoli płomienie i podszedł nieco bliżej do ogniska rozpalonego pośrodku *milpy*. Z zaleśnieniem w oczach przykucnął przed ogniem, by obserwować go z bliska. José raz po raz mu powtarzał, że powinien iść tam, do kąd prowadzi go intuicja. Tym razem posłucha szamana. Bał się, lecz jednocześnie cieszył się z tego, że nikt go nie widzi.

Obiema rękami odgarnął czarne włosy za uszy, sięgnął po ulistnioną gałąź leżącą na skraju sterty chrustu i położył ją przed sobą na ziemi. Lekko drżącą lewą ręką wyciągnął maczetę z zabrudzonej skórzanej pochwy, którą miał u boku. Następnie zgiął prawą rękę i unosił ją przed

sobą na wysokość piersi. Zaciśnął zęby i odwrócił nieco głowę, by nie patrzeć na kończynę. Spływający po czole pot zalewał mu oczy i skapywał z koniuszka arystokratycznego nosa. Młodzieniec ciął się maczetą w wewnętrzną powierzchnię prawej dłoni.

Nie wydał z siebie żadnego dźwięku ani się nie poruszył, gdy czerwona krew spływała mu po palcach i skapywała na ciemnozielone liście. Przymrużył tylko powieki i uniósł nieco podbródek. Gdy krew pokryła już całą gałąź, uniósł ją lewą ręką i cisnął w płomienie. Powietrze ponownie wypełnił odór Xibalby oraz starożytnych rytuałów jego przodków. Powrócił do świata podziemnego.

Jak zwykle przywitał go króliczy skryba, mówiący w starożytnym języku jego ludu. Przyciskając do porośniętej futrem piersi papier amate oraz pędzelek, rozkazał mężczyźnie dziwnym, cichym głosem podążyć za sobą. Czekał na niego Ahau Ah Puch.

Lakandon poczuł smród płonącej krwi.

Ruszył za królikiem przez opuszczoną wioskę, pełną krytych strzechą chat, podobnych do tych, które znał ze swojej osady. Tu jednak w strzechach widniały spore dziury, puste otwory drzwi wyglądały jak rozdziawione usta czaszek, a błoto i trawa odpadały od ścian niczym ciało od gnijącego trupa.

Królik poprowadził go między wysokimi kamiennymi murami boiska do gry w piłkę. Powyżej głowy mężczyzny rozmieszczono w nich rzeźbione kamienne obręcze. Nie przypominał sobie, by był tu przedtem, ale wiedział, że potrafiłby tu grać, że grał tu i zdobywał punkty. Znowu poczuł, jak twarda gumowa piłka uderza w opaskę na jego łokciu i zatacza łuk ku wężowym zwojom wyrzeźbionym w kamiennej obręczy.

Oderwał wzrok od węża i spojrzał na twarz Pana Śmierci. Ah Puch siedział na trzcinowej macie rozłożonej na podwyższeniu u końca boiska. Jego oczy były czarnymi otworami w białej opasce otaczającej czaszkę. Usta i nos Ahau otwierały się na wieczność. Otaczał go intensywny smród krwi i gnijącego mięsa.

— Hunapu. Gracz w piłkę. Wróciłeś do mnie.

Mężczyzna ukląkł i dotknął czołem kamiennej nawierzchni, kłaniając się Ah Puchowi. Nie czuł jednak strachu. W tym śnie nie czuł absolutnie nic.

— Hunapu. Synu.

Mężczyzna uniósł głowę, usłyszawszy dobiegający z lewej głos starej kobiety. Ix Chel i jej — jeszcze starszy — mąż, Itzamna, siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na trzcinowych matach. Krzątała się wokół nich króliczy skryba. Ich podium wspierało się na dwóch ogromnych żółwiach. Tylko mrugające sporadycznie powieki świadczyły, że stworzenia żyją.

— Cykl się kończy — podjęła staruszka. — Dla *hach winik* nadchodzi zmiana. Biali ludzie z patyków sami zgotowali sobie upadek Ty, Hunapu, bracie Xbalanquego, jesteś posłańcem. Idź

do Kaminaljuyu i spotkał się ze swoim bratem. Twoja ścieżka stanie się dla ciebie jasna, graczu w piłkę.

— Nie zapominaj o nas, graczu w piłkę — dodał Ah Puch głosem okrutnym i głuchym, jakby przemawiał spod maski. — Twoja krew jest naszą krwią. Krew twoich wrogów jest naszą krwią.

Po raz pierwszy przez odrętwienie Hunapu przebił się prawdziwy strach. Jego dłoń wypełniał ból, pulsujący w rytm słów Ah Pucha. Mimo to wstał z kłęczek i spojrzął w nieskończoną ciemność oczu Ahau.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, powietrze przeszła piłka o powierzchni składającej się z ostrych jak brzytwa noży. Leciła prosto na niego. Xibalba zniknęła, a on znowu znalazł się przy wygasłym już ognisku. Uszy wypełniało mu brzmienie pożegnalnego słowa starego boga.

— Pamiętaj.



Krępy majański robotnik stał w pograżonym w cieniu wejściu jednego z namiotów, obserwując, jak rozprasza się ostatnia grupa studentów i wykładowców archeologii. Gdy wszyscy udali się już do swoich namiotów, by położyć się spać, skrył się jeszcze głębiej we wnętrzu. Klasyczny majański profil świadczył, że jest czystej krwi Indianinem i w związku z tym należy do najniższej klasy w społecznej hierarchii Gwatemali. Tutaj jednak, wśród jasnowłosych studentek, był pożądaną zdobyczą. Rzadko się zdarzało, by którejś z badaczek przeszłości udało się przespać z żywym przedstawicielem rasy królów-kapłanów. Robotnik, odziany w za duże niebieskie dżinsy i brudny T-shirt z napisem „University of Pennsylvania”, nie widział powodu, by rozpraszać to wrażenie, lecz jednocześnie starał się stać możliwie najmniej atrakcyjny, by obserwować ich pożądanie pomieszczone z odrazą. Ruszył ostrożnie przejściem między namiotami do baraku z blachy falistej.

Indianin raz jeszcze upewnił się, że nikt go nie obserwuje, po czym wsadził wytrych w otwór kłódki. Przymrużył powieki w migotliwym świetle ogniska i kilkakrotnie próbował otworzyć zamek, nim wreszcie mu się to udało. Odsłonił jasne zęby, oglądając się z pogardą na namiot wykładowców. Schował kłódkę do kieszeni dżinsów, uchylił drzwi i wsunął się bokiem do środka. W przeciwieństwie do archeologów nie musiał się schylać.

Zaczął chwilę, by oczy przyzwyczyliły mu się do ciemności, nim wyciągnął z tylnej kieszeni latarkę. Jej blask tłumił oderwany kawałek tkaniny zabezpieczony gumką. Krąg słabego światła przesuwiał się po pomieszczeniu niemalże przypadkowo, nim wreszcie zatrzymał się na półce pełnej obiektów zabranych z grobowców i wykopów w mieście. Złodziej przesunął się bokiem przez wąskie przejście pośrodku baraku, uważając, by nie potrącić naczyń, posążków oraz innych częściowo oczyszczonych artefaktów spoczywających na półkach po obu stronach. Wybrał kilka małych garnków i miniaturowych posążków. Żaden z nich nie leżał z przodu półki ani nie zaliczał

się do najpiękniejszych, ale wszystkie były nietknięte, nawet jeśli ucierpiały wskutek długiego pobytu w ziemi. Schował je do bawelnianego worka zawiązanego tasiemką.

Niski mężczyzna uśmiechnął się do szeregów ceramiki i jadeitowych posążków, zastanawiając się, dlaczego *norteamericanos* przeklinają rabusiów grobów z dawnych czasów, choć sami bardzo skutecznie robią to samo. Podkraść się do wyjścia, chwytając po drodze czerwono-czarny garnek stojący blisko brzegu półki, który zakłysał się niebezpiecznie, kiedy go trącił. Szybkim ruchem złapał poobtukiwany jadeitowy koleczyk, po czym raz jeszcze przesunął światło latarki po wąskim wnętrzu. Jego uwagę przyciągnęły dwa obiekty — kolec płaszczki oraz butelka ginu Tanqueray, schowana tu przed robotnikami.

Przycisnął kolec i butelkę do piersi, a następnie wyteżył słuch, wspierając głowę o drzwi. Usłyszał wyłącznie stłumione odgłosy uprawiania miłości, dobiegające z pobliskiego namiotu. To chyba była ta wysoka ruda. Upewniwszy się, że nikt go nie zauważy, wysunął się na zewnątrz i powiesił kłódkę z powrotem na miejscu.

Zaczął z otwarciem butelki do chwili, gdy wdrapał się na jedno z większych wzgórz. Wykładowcy mówili, że we wszystkich tych budynkach kryją się świątynie. Widział ich rysunki, przedstawiające dawny wygląd tego miejsca. Nie uwierzył w to, co mu pokazywali: place i wysokie świątynie zwieńczone grzebieniami, wszystkie pomalowane na żółto i czerwono. A już szczególnie nie uwierzył w wysokich i szczupłych mężczyzn zarządzających tymi świątyniami. Nie przypominali wyglądem jego ani nikogo, kogo znał, a nawet ludzi przedstawionych na muralach zdobiących ściany niektórych świątyń. Wykładowcy powiedzieli mu jednak, że to jego przodkowie. To było typowe dla *norteamericanos*. Niemniej znaczyło to, że okradając ich, po prostu odzyskuje własne dziedzictwo.

Kiedy się pochylił, by otworzyć butelkę, coś ukuło go w bok. Wyjął z kieszeni kolec płaszczki. Jedna z blondynek... nie, to była ta ruda... opowiedziała mu, co robili dawni królowie. Stwierdziła, że to było obrzydliwe. Osobiście zgadzał się z tą opinią. *Norteamericanas*, z którymi sypiał, zawsze zadawały mnóstwo pytań o zwyczaje starożytnych. Zdawały się sądzić, że tylko dlatego, że jest Indianinem, powinien posiadać wiedzę *brujo*. *Gringas*. Dowiedział się od nich więcej niż od kogokolwiek z członków rodziny. Nauczyły go, co jest wartościowe, a także — co ważniejsze — czego zniknięcie zostanie natychmiast zauważone. Zgromadził już całkiem niezłą małą kolekcję. Gdy sprzeda to wszystko w Guatemala City, będzie bogaty.

Dżin był dobry. Niski mężczyzna oparł się o pień pobliskiego drzewa i wlepił wzrok w księżyc. Boginią księżycą była Ix Chel, Stara Kobieta. Bogowie starożytnych byli brzydki, nie to co Najświętsza Panienka, Jezus czy nawet Bóg z kościoła, w którym się wychowywał. Wziął w rękę kolec płaszczki. Bardzo dawno temu ktoś przyniósł go do tego położonego na wyżynach miasta. Na całej długości kolca wyrzeźbiono skomplikowane wzory. Przyłożył go sobie do nogi. Był równie

długi, jak jego udo. Wszystkie te opowieści. Sięgnął po butelkę, ale nie trafił w nią. Przechylił się do przodu i wsparł się wolną ręką o ziemię. Był pijany.

Zdjął T-shirt i zwinął go niezbyt starannie. Jego spocony tors lśnił w blasku księżycy. Przerzucił sobie koszulkę przez prawe ramię. Zamknął oczy, zatoczył się w lewo, a potem je otworzył, mrugając pośpiesznie. Spróbował złożyć nogi w pozycję, którą widział na tak wielu obrazach. To było trudne. Musiał oprzeć się o skałę i przytrzymać nogi wolną ręką. Złapał koszulkę w zęby, żeby nie spadła z uniesionego ramienia.

Mimo stanu upojenia uniósł kolec pewnym ruchem i przekłuł sobie prawe ucho.

Wciągnął gwałtownie powietrze i zaklął z bólu, który wypełnił jego ciało, przeganiając alkohol i przynosząc ze sobą euforię. Krew wypływająca z rozszarpanego płatka wsiąkała w T-shirt. Zadrżał na skutek oszołomienia. To było lepsze niż alkohol, lepsze niż marihuana, którą mieli podyplomowi studenci, a nawet niż kokaina, którą kiedyś ukradł jednemu z wykładowców.

Do jego pograżonego w cieniu umysłu dotarło wrażenie, że nie jest już sam w świątyni. Otworzył oczy. Nie wiedział, kiedy je zamknął. Na moment ujrzał w blasku księżycy świątynię taką, jaką była kiedyś. Jaskrawą czerwień łagodziło słabe oświetlenie. Żona klęczała obok niego. Przez język przeciągnęła sobie sznur z cierni. Otaczali ich pomocnicy. Ciężkie, ornamentalne nakrycie głowy zasłaniało mu oczy. Zamrugał.

Świątynia była stosem kamieni porośniętym przez dżunglę. Nie było żony ozdobionej jademitem ani pomocników. Znowu miał na sobie brudne dzinsy. Potrząsnął gwałtownie głową, żeby uwolnić się od resztek wizji. To zabolalo, *auuu*, ależ go zabolalo. Wszystko to na pewno przez dżin i słuchanie tych kobiet. Sądząc z tego, co mu powiedziały, tak spieprzył starożytny rytuał. To płonąca krew ponoć miała w sobie moc.

Koszulka zsunęła mu się z ramienia. Zrobiła się czerwona i mokra od jego krwi. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem wyjął zapalniczkę ukradzioną jednemu z wykładowców i spróbował podpalić T-shirt. Okazał się on jednak zbyt wilgotny i płomienie zaraz zgasły. Postanowił wykorzystać jako opał leżące na ziemi patyki. Gdy wreszcie zapłonęło niewielkie ognisko, wrzucił do niego koszulkę. Z palącej się krwi buchał gęsty dym. Omal się nie porzygał od smrodu. Usiadł przy ognisku, raczej dla żartu, w pozycji naśladowczej tę, którą widział na tak wielu garnkach — skrzyżowane nogi i jedna ręka wyciągnięta w kierunku płomieni. Zaczynał się czuć bardzo zmęczony i blask ognia go zahipnotyzował.

Nie wiedział o Xibalbie zbyt wiele, był jednak przekonany, że jest mroczna i pełna płomieni, podobnie jak piekło, którym straszili go zakonnicy w dzieciństwie. Okazało się to nieprawdą. Najbardziej przypominała odległą wioskę, której mieszkańcy nadal żyli w zgodzie ze starymi zwyczajami. Nie było tu anten telewizyjnych ani odbiorników radiowych grających najnowsze kawałki rockandrollowe z Guatemala City. Wszędzie panowała cisza. Nie było tu nikogo. Idąc



przez niewielkie słupisko chat, nie zauważył nic ruchomego poza nietoperzem, który wyleciał z niskich drzwi jednej z krytych strzechą chat. Dachy były tu pochyle, jak sufity w świątynnych salach, wysokie i wąskie, zwięzające się niemal do punktu. To było tak, jakby znalazł się wewnątrz jednego z murali zdobiących ściany świątyn. Wszystko wydawało mu się dobrze znajome. Uznysłowił sobie, że żaden z jego alkoholowych snów nie był podobnie wyrazisty.

Rytmiczne *ga-pou, ga-pou* przywabiło go do boiska do gry w piłkę. Na szczycie jednej ze ścian siedziały trzy postacie. Poznał w nich Ah Pucha, Itzamnę oraz Ix Chel — Boga Śmierci, Starego Mężczyznę i Starą Kobietę — trzy najważniejsze bóstwa majańskiego panteonu, o ile można było twierdzić, że niektóre z nich są ważniejsze od innych. Tę trójkę otaczały zwierzęta grające rolę skrybów i służących. Przeniósł spojrzenie z kamiennych murów na ubitą ziemię boiska i zobaczył źródło hałasu. Stworzenie będące pół człowiekiem, pół jaguarem nie raczyło go zauważyć, zajęte podbijaniem piłki. Próbowano ją przerzucić przez jedną ze zdobnie rzeźbionych kamiennych obręczy ulokowanych wysoko na ścianach. W ogóle nie posługiwało się łapami, lecz próbowało przerzucić piłkę przez obręcz wyłącznie za pomocą głowy, bioder, łokci albo kolan. Jaguar ze swymi kłami wzbudził strach w złodzieju. To było pierwsze, co poczuł od chwili początku snu, pomijając ciekawość i rozważanie pytania, czy dałby radę ukraść te obręcze. Patrzył na mięśnie poruszające się pod pokrytą czarnymi cętkami skórą, zadając sobie pytanie, dlaczego nic z tego nie wydaje mu się dziwne. Po chwili uniósł głowę i spojrział na troje obserwatorów.

Kątem oka zauważył, że piłka leci w jego stronę. W serii ruchów, które wydały mu się równie znajome jak wioska, którą przed chwilą widział, odsunął się na bok i uderzył piłkę łokciem, wysyłając ją ku najbliższej obręczy. Przeleciała przez nią, nie dotykając kamienia. Obserwatorzy wciągnęli nagle powietrze i wymienili kilka szeptów. Był również zaskoczony jak oni, ale doszedł do wniosku, że lepiej się z tym nie ujawniać.

— Ajaj! Nieźle! — zawołał do nich po hiszpańsku. Władca Śmierci potrząsnął głową i spojrział na towarzyszącą mu parę starsuszków. Itzamna przemówił do złodzieja w czystym języku majańskim. Choć nigdy przedtem w nim nie mówił, poznał ten język i zrozumiał każde słowo.

— Xbalanque, witaj w Xibalbie. Jesteś równie znakomitym graczem, jak twój imiennik

— Nie nazywam się Xbalanque.

— Od tej chwili tak brzmi twoje imię.

Czarna maska śmierci zasłaniająca twarz Ah Pucha skierowała się ku niemu.

Złodziej przełknął planowaną odpowiedź.

— Si, to jest sen, a ja się nazywam Xbalanque. — Rozpostarł ręce i skinął głową. — Jak sobie życzysz.

Ah Puch odwrócił wzrok

— Jesteś inny od wszystkich. Zawsze o tym wiedziałeś.

Ix Chel uśmiechnęła się do niego — nie jak babcia, ale jak krokodyl. Odważemnił uśmiech i pomyślał, że chciałby się obudzić. Wtymchmiast.

— Jesteś złodziejem.

Zaczął się zastanawiać nad tym, jak uciec z tego snu. Przypomniał sobie bardziej niepokojące aspekty starożytnych mitów — dekapitacje, domy pełne rozlicznych okropności...

— Powinieneś wykorzystać swe zdolności, by zdobyć moc.

— Hej, zrobię to. Masz rację. Żaden problem. Jaktylko wrócę.

Jeden z królików usługujących trojgu bogom przyglądał mu się uważnie. Przechylił głowę na bok i poruszał nozdrzami. Od czasu do czasu notował coś gorączkowo przy pominającym pędzelek piórem na dziwnej, złożonej karcie papieru. To wszystko przypominało mężczyźnie pewien komiks, *Alicję w krainie czarów*. We śnie Alicji również były króliki. Zaczynał robić się głodny.

— Idź do miasta, Xbalanque.

Itamna miał piskliwy głos, jeszcze cieńszy od głosu jego żony.

— Hej, czy nie powinienem mieć brata? — zapytał złodziej, przypominając sobie kolejne fragmenty mitu.

— Znajdziesz go. Idź już.

Boisko zamigotało przed jego oczami. Łapa jaguara uderzyła go w tył głowy.

Xbalanque stęknął z bólu, gdy głowa zsunęła mu się z kamienia, którego najwyraźniej używał jako poduszki. Wstał, opierając się plecami o szorstką, wapienną skałę. Sen nadal mu towarzyszył, uniemożliwiając skupienie spojrzenia. Kiedy spał, księżyc zdążył zejść. Było bardzo ciemno. Odsłonięte kamienie ruin świeciły własnym blaskiem niczym kości poruszone w grobie. Kości minionej chwały jego ludu.

Pochylił się, by podnieść ukradzione skarby, i opadł na jedno kolano. Nie mogąc się powstrzymać, wymiotował dżin i zjedzone tortille. *Madre de Dios*, czuł się okropnie. Po opróżnieniu żołądka złapało go drżenie. Wyprostował się i chwiejnie zaczął schodzić z piramidy. Może sen udzielił mu słusznej rady. Może powinien się stąd wynieść, wyjechać do Guatemala City. Zabrać ze sobą to, co zdobył. To wystarczy, by mógł przez pewien czas żyć dostatnio.

Jezu, ależ bolała go głowa. Miał kaca, ale jeszcze nie wytrzeźwiał. To było niesprawiedliwe. Ostatnią rzeczą, którą zabrał, był kolec płaszczki o zadziarach nadal pokrytych jego krwią. Xbalanque uniósł rękę i dotknął ostrożnie ucha. Z bólem i niesmakiem wsadził palec w dziurę w jego płatku. Kiedy cofnął rękę, pokrywała ją krew. To z pewnością nie była pozostałość snu. Ponownie zachwiał się na nogach i przeszukał kieszenie. Po chwili udało mu się znaleźć koleczyk. Spróbował wetknąć go sobie do ucha, ale ból był zbyt wielki, a rozdarty płatek nie mógł utrzymać jego ciężaru. O mało znowu nie wymiotował.

Xbalanque spróbował przypomnieć sobie niezwykły sen, ale jego wspomnienie już zanikało. Przez chwilę pamiętał tylko tyle, że zalecał mu on powrót do miasta. Nadal miał wrażenie, że to dobry pomysł. To kuśtykając w dół stoku, to ześlizgując się z niego, postanowił, że ukradnie dżipa i wróci z klasą. Może nie zauważą braku samochodu. Z takim bólem głowy i tak nie dałby rady wrócić na piechotę.



W mrocznym, pełnym dymu wnętrzu krytej strzechą chaty José z powagą wysłuchiwał relacji z wizji Hunapu. Skinał głową, gdy młodzieniec opowiedział o swej audyencji u bogów. Hunapu skończył mówić i spojrzał na starca, prosząc o interpretację i przewodnictwo.

— To była prawdziwa wizja, Hunapu. — José wyprostował się i zsunął z hamaka na klepisko. Stanął obok przykucniętego młodzieńca i rzucił do ognia trochę kopalowej żywicy. — Musisz postąpić tak, jak nakazali ci bogowie, bo w przeciwnym razie ściągniesz na nas wszystkich nieszczęście.

— Ale dokąd mam pójść? Co to jest Kaminaljuyu? — Zbity z tropu Hunapu wzruszył ramionami. — Nic nie rozumiem. Nie mam brata, tylko same siostry. Nie umiem grać w tę ich piłkę. Dlaczego ja?

— Zostałeś wybrany i dotknięty przez bogów. Oni widzą to, czego my nie potrafimy dostrzec. — José położył dłoń na ramieniu młodzieńca. — To bardzo niebezpieczne sprzeciwić się im. Łatwo wpadają w gniew. Kaminaljuyu to Guatemala City. Tam właśnie się udasz. Ale najpierw musimy cię przygotować. — Szaman spojrzał gdzieś za jego plecy. — Wyśpij się dziś dobrze. Jutro wyruszyś w drogę.

Gdy Hunapu wrócił rankiem do chaty szamana, zebrała się tam większa część mieszkańców wioski, pragnąca uczestniczyć w magicznym wydarzeniu, do którego doszło. Kiedy młodzieniec ruszył w drogę, José towarzyszył mu do dżungli, niosąc pakunek. Gdy tylko wioska zniknęła im z oczu, szaman owiązał łokcie i kolana młodzieńca bawełnianą tkaniną, którą ze sobą przyniósł. Wytłumaczył mu, że tak właśnie wyglądał, gdy przyśnił mu się wczoraj. To był kolejny znak świadczący, że wizja Hunapu jest prawdziwa. José ostrzegł go, by opowiadał o swej misji tylko ludziom godnym zaufania i będącym Lakandonami, tak samo jak on. Jeśli *Ladinos* się o niej dowiedzą, mogą spróbować go powstrzymać.



Xepon był małą osadą. Może ze trzydzieści różnobarwnych domów skupiających się wokół placu i kościoła. Różowa, niebieska i żółta farba, którą je pomalowano, wyblakła już, wyglądały, jakby przykucnęły, zwrócone plecami do deszczu, który zaczął padać rano. Xbalanque wjechał do wioski wyboistą górską drogą i ucieszył się na widok *cantiny*. Postanowił, że pojedzie najmniej uczęszczanymi trasami, jakie znalazł na starej mapie samochodowej ukrytej pod siedzeniem

kierowcy.

W pierwszej chwili chciał się zatrzymać przed *cantina*, ale doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie zaparkować dżipa z boku budynku, z dala od oczu cieławskich. Pomyślał, że to dziwne, że nie widział dotąd w wiosce ani jednej osoby, ale pogoda nie była odpowiednia dla nikogo, a już zwłaszcza dla niego z jego kacem. Jego reeboki, kolejny dar od *norteamericanos*, młaskały na mokrym drewnianym chodniku prowadzącym do drzwi *cantiny*. Ów dźwięk brzmiał niepokojąco pośród ciszy mączonej jedynie odgłosem skapującej wody oraz bębnieniem deszczu o blaszane dachy. Nawet półmrok panujący na dworze nie przygotował go na spotkanie z ciemnością panującą w lokalu oraz smrodem papierosowego dymu odkładającym się od wielu lat między wątlmami ścianami budynku. Z szarego sufitu zwisało kilka wystrzępionych i wyblakłych pororców na *Feliz Navidad*.

— Czego chcesz? — zaatakowały go wypowiedziane po hiszpańsku słowa płynące z za długiego baru ulokowanego pod lewą ścianą. Głowa go rozboleła od siły i agresywności tych słów. Z za baru łpała na niego ze złością stara, zgarbiona Indianka.

— *Cerveza*.

Nie pytając go o dalsze preferencje, wyjęła butelkę z chłodziarki pod barem i zdjęła kapsel. Gdy podszedł bliżej, postawiła butelkę na pełnym plam i bruzd kontuarze. Kiedy Xbalanque sięgnął po flaszkę, staruszka zacisnęła na niej drobną, sęlatą dłoń i wskazała na niego brodą. Wyciągnęła z kieszeni trochę zmiętych quetzali i położył je na kontuarze. W pobliżu zabrzmiał grom i oboje napięli mięśnie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że jej wrogość może nie mieć nic wspólnego z faktem, że jest wczesnym klientem. Porwała pieniądze z baru, jakby chciała okazać, że nie czuje strachu, i schowała je za szarfę otaczającą brudny *huipil*.

— Co masz do jedzenia?

Cołkolwiek się tu działo, z pewnością nie mogło mieć z nim nic wspólnego. Piwo było dobre, ale nie tego naprawdę potrzebował.

— Zupę z czarnej fasoli — oznajmiła kobieta tonem dalekim od zaproszenia. W dolinie znowu zagrzmiało.

— I co jeszcze?

Xbalanque rozejrzał się wkoło i z opóźnieniem uświadomił sobie, że coś tu jest naprawdę bardzo nie w porządku. We wszystkich *cantinas*, jakie w życiu odwiedził, choćby najmniejszych i położonych na największym odludziu, można było znaleźć kilku starych pijaków czelających na to, aż ktoś postawi im kolejkę. Poza tym w barach w małych wioskach rzadko pracowały kobiety, nawet takie stare jak ta.

— Nic.

Jej twarz niczego nie wyrażała i nie był w stanie z niej wyczytać, co właściwie się tu dzieje.

Kolejne uderzenie pioruna przeszło w cichy warkot silnika ciężarówki. Oboje zwrócili głowy ku drzewom. Xbalanque odsunął się od baru i rozejrzał w poszukiwaniu tylnego wyjścia. Nie było żadnego. Gdy znowu spojrzął na staruszkę, odwróciła się już do niego plecami. Podbiegł do drzwi.

Żołnierze w zielonych mundurach zeskakiwali na ziemię z dwóch wojskowych ciężarówek stojących pośrodku placu. Przejeżdżając przez maleńki park, pojazdy pozostawiły za sobą ślad z połamanych ławek i krzewów. Żołnierze unosili już karabiny maszynowe, gotowi otworzyć ogień. Dwuosobowe grupki oddzielały się od reszty, by przeszukać stojące przy placu domy. Inni ruszali zbadać resztę wioski.

Xbalanque przycisnął rozpostarte dłonie do tynku, posuwając się wzdłuż zewnętrznej ściany *cantiny* ku bocznej uliczce. Jeśli zdoła dotrzeć do dżipa, będzie miał szansę ucieczki. Gdy jednak znalazł się przy rogu budynku, zauważył go jeden z żołnierzy. Kiedy krzyknął do niego, rozkazując mu stać, Xbalanque pognał w stronę dżipa, ślizgając się po błocie.

Seria uderzyła w grunt przed nim, opryskując go błotem. Xbalanque uniósł rękę, by osłonić oczy, i padł na kolana. Nim zdążył wstać, jeden z żołnierzy złapał go za ramię i zawlókł z powrotem na plac. Stopy Xbalanquego ślizgały się po gęstym błocie.

Jeden z młodych *Ladinos* uniósł uzi i wycelował w głowę jeńca. Indianina obalono na błoto twarzą w dół i przeszukano. Skradzione artefakty schował w dżipie, ale żołnierze znaleźli zwitek quetzali ukrytych w reebokach. Jeden z nich pokazał je dowodzącemu oddziałem porucznikowi. Ten skrzywił się z niesmakiem na widok kiepskiego stanu banknotów, ale i tak schował je do kieszeni. Xbalanque nie protestował. Od chwili, gdy spróbował ucieczki, jego głowę przeszywał paraliżujący ból. Gorączkowo zastanawiał się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Jeśli zorientują się, że ukradł dżipa, będzie trupem.

Usłyszawszy kolejne strzały, skulił się, wciskając twarz w błoto. Następnie uniósł lekko głowę i uderzył nią o lufę karabinu. Trzymający broń żołnierz uniósł ją nieco, pozwalając mu zobaczyć drugiego jeńca, którego wywleczono z rozsypującego się żółtego budynku szkoły po zachodniej stronie placu. Xbalanque usłyszał dobiegający ze środka płacz dzieci. Pojmany mężczyzna również był Indianinem. Na wąskiej twarzy miał przekrzywione od uderzenia okulary. Dwaj prowadzący go żołnierze pozwolili mu wstać, zanim zaprezentowali go porucznikowi. Nauczyciel poprawił okulary, a potem spojrzął prosto w lustrzane szkła przeciwsłonecznych okularów porucznika. Xbalanque uświadomił sobie, że ma kłopoty. Nauczyciel wyraźnie starał się rozgniewać oficera. To musiało się zakończyć konsekwencjami gorszymi niż te, które i tak już ich czekały.

Porucznik uniósł szpicrutę i strącił okulary z twarzy nauczyciela. Gdy ten się schylił, chcąc je podnieść, porucznik uderzył go w skroń. Na białą, europejską koszulę nauczyciela spłynęła krew. Włożył okulary z powrotem na nos, ale prawe szkło pękło. Xbalanque zaczął wypatrywać drogi

ucieczki. Miał nadzieję, że nowy jeniec odwróci uwagę jego strażnika, ale gdy zerknął z ukosa na młodzieńca z uzi, zauważył, że chłopak nie odrywa od niego spojrzenia.

— Jesteś komunistą — rzekł nauczycielowi porucznik. W jego ustach zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz jak stwierdzenie faktu. Nim nauczyciel zdążył odpowiedzieć, oficer zerknął z irytacją na szkołę. Dzieci nie przestawały płakać. Oficer wskazał szpicrutą na mały, żółty budynek i skinął głową do żołnierza stojącego po lewej. Ten nie próbował celować, a po prostu przejechał serią z karabinu maszynowego po ścianie szkoły, rozbijając szyby i robiąc dziury w tynku. Ze środka dobiegło kilka krzyków. Potem zapadła cisza.

— Jesteś zdrajcą i wrogiem Gwatemali.

Uderzył szpicrutą w drugą skroń nauczyciela. Znowu popłynęła krew. Xbalanque poczuł mdłości.

Coś z nim było nie tak

— Gdzie są inni zdrajcy?

— Nie ma innych zdrajców.

Nauczyciel wzruszył z uśmiechem ramionami.

— Fernandez, kościół — warknął porucznik do palącego papierosa żołnierza, który opierał się o jedną z ciężarówek. Fernandez odrzucił papierosa i ujął w ręce grubą rurę opartą obok niego. Kiedy celował, inny żołnierz włożył do wyrzutni pocisk.

Xbalanque skierował spojrzenie na stary, kolonialny kościół i po raz pierwszy zobaczył miejscowego księdza, który wyszedł na dwór i spierał się z dowódcą grupy żołnierzy trzymających w rękach srebrne świeczniki. Rozległ się huk wystrzału, a po ułamku sekundy nastąpiła eksplozja. Kościół zapadł się w siebie. Stojący przed wejściem żołnierze zauważyli, co się dzieje, i wszyscy padli na ziemię. Ksiądz leżał obok nich, ranny bądź obalony podmuchem. Xbalanque czuł, że ból wypełnia już wszystkie jego stawy i mięśnie.

Deszcz mieszał się z krwią na twarzy nauczyciela i, spływając w dół, barwił jego koszulę na różowo. Xbalanque nic już więcej nie widział. Bolało go tak bardzo, że skulił się w błocie, podciągając kolana do piersi. Coś się z nim działo. Na pewno dlatego, że nigdy przedtem tak się nie bał. Wiedział, że umrze. Cholerne starzy bogowie wysłali go na śmierć.

Ledwie usłyszał rozkaz zaprowadzenia jego i nauczyciela pod ścianę szkoły. Porucznika w ogóle nie obchodziło, kim był. Z jakiegoś powodu fakt, że oficer nawet nie zadał sobie trudu, by go przesłuchać, wydał mu się najgorszą zniewagą.

Xbalanque drżał, opierając się plecami o już naznaczony śladami kul mur. Żołnierze postawili ich tam i odsunęli się poza linię strzału. Ból napływał teraz falami, przeganiając strach i wszystko inne poza straszliwym ciężarem cierpienia przytłaczającym mu ciało. Patrzył na żołnierzy ustawiających się w pluton egzekucyjny. Słońce wreszcie wyszło zza chmur i między zielonymi

jak jadeit szczytami gór pojawiła się tęcza. Nauczyciel poklepał go po ramieniu.

— Dobrze się czujesz?

Nauczyciel naprawdę wyglądał na ztroskanego. Xbalanque milczał, zbierając w sobie siły potrzebne, by nie osunąć się na ziemię.

— Widzisz, Bóg ma poczucie humoru.

Szalenięc uśmiechnął się do niego, jak do płaczącego dziecka. Xbalanque przeklął go w języku kicze, którym mówiła jego babka. Przed snem o Xibalbie sam go nie znał.

— Giniemy za życie naszego ludu.

Nauczyciel uniósł dumnie głowę, spoglądając na unoszących karabiny żołnierzy.

— Nie! Nie znowu to samo!

Kiedy wystrzelili, Xbalanque rzucił się do szarży tak gwałtownie, że obalił nauczyciela na kolana. Biegając, jakąś niewielką częścią mózgu uświadomił sobie, że porażający ból ustąpił. Kule mknęły ku niemu, ale on czuł się coraz silniejszy, potężniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

Gdy uderzyły, zawahał się, zatrzymał na moment, czekając na nieuchronny ból i ostateczną ciemność. Nic takiego nie nadeszło. Spojrzał na żołnierzy. Gapił się na niego, wytrzeszczając szeroko oczy. Niektórzy biegli ku ciężarówkom. Inni rzucili karabiny i po prostu uciekali. Kilku nie oddało pola i strzelało nadal, spoglądając na porucznika, który cofał się powoli ku ciężarówkom i wołał Fernandeza.

Wojownik podniósł z ulicy cegłę, wykrzyczał swe imię ze strachem połączonym z uwiesieniem, i z całej siły rzucił nią w jedną z ciężarówek. Po drodze cegła otarła się o jednego z żołnierzy, miażdżąc mu głowę. Jego uciekających towarzyszy zbrzyzdzała krew i mózg. Zderzenie spowolniło lot cegły, która opadała już, zmierzając ku ciężarówce. Trafiła w bak i wehikuł eksplodował.

Xbalanque przerwał pościg, gapiąc się na ogień. Płonący ludzie — żołnierze, którzy zdążyli się skryć w ciężarówce — krzyczeli przeraźliwie. Scena wyglądała jak żywcem wyjęta z jednego z amerykańskich filmów, które oglądał w mieście. Ale na filmach nie było zapachu benzyny, odoru trawionego ogniem brezentu i gumy, a nade wszystko smrodu płonących ciał. Zaczął się cofać.

Poczuł, że ktoś łapie go za ramię — wrażenie było odległe, jak przez grubą wyściółkę. Odwrócił się, gotowy powalić wroga. Nauczyciel przyglądał mu się zza sztucznych okularów.

— *Se habla español?* — zapytał wyższy mężczyzna, prowadząc go w boczną uliczkę.

— *Si, si.*

Xbalanque miał wreszcie czas, by zacząć się zastanawiać nad tym, co się wydarzyło. Wiedział, że nigdy przedtem nie był w stanie robić podobnych rzeczy. Coś tu było nie w porządku. Co mu zrobiła wizja? Odprężył się mimo woli i poczuł, że moc z niego odpływa. Spróbował się

oprzeć o ścianę domu, pokrytą obłazkami, jasnoczerwonym tyńkiem.

— *Madre de Dios*, musimy stąd zwięzać. — Nauczyciel pociągnął go za ramię.

— Sprowadzą artylerię. Z kulami sobie radzisz, ale czy potrafisz powstrzymać rakiety?

— Nie mam pojęcia...

Żłódziej zatrzymał się na moment, by zastanowić się nad tą kwestią.

— Później o tym pomyślimy. Chodź.

Xbalanque uświadomił sobie, że nauczyciel ma rację. Było to jednak bardzo trudne. Gdy strach przed śmiercią minął, poczuł się tak, jakby opuściła go nie tylko nowa moc, lecz również zwyczajna siła. Spojrzał na widoczny z przodu lesisty stok górski, znacznie górujący nad wioską. Między drzewami znajdzie bezpieczeństwo. Żołnierze z pewnością nie będą go ścigali w lesie, gdzie partyzanci mogliby wciągnąć ich w zasadzkę. Nagły odgłos strzału przywrócił go do rzeczy wistości.

Nauczyciel odciągnął Xbalanque od domu i — nadal trzymając go pod rękę — poprowadził do zielonego azylu. Skręcili w lewo, przeszli między dwoma małymi domami, a potem ruszyli wąskim, błotnistym zaułkiem. Xbalanque szedł już o własnych siłach, ślizgając się po brązowym błocie. Za położonymi na zapleczu chat ogrodami zaułek przeszedł w ścieżkę wiodącą między drzewa porastające strome zbocze. Od skraju lasu dzieliło ich jednak co najmniej piętnaście metrów całkowicie odsłoniętej przestrzeni.

Xbalanque wpadł na swego towarzysza, który zatrzymał się nagle, by wyjrzeć zza rogu chaty po lewej stronie zaułka.

— Czysto. — Nauczyciel nadal nie puszczał jego ramienia. — Dasz radę biec?

— Si.

Po krótkim sprincie przerażony Xbalanque osunął się na ziemię kilka metrów za skrajem lasu. Dżungla była wystarczająco gęsta, by nikt nich nie zauważył, jeśli tylko zachowają ciszę i ostrożność. Słyszeli głosy żołnierzy kłócących się u podstawy wzgórza. Wreszcie zjawił się sierżant i kazał im wracać na plac. Ktoś w wiosce zginie za nich. Nauczyciel pocił się, wyraźnie podenerwowany. Xbalanque zastanawiał się, czy chodzi o ich niewinną ofiarę, czy o niespodziewane ocalenie. Kula w plecy nie była takromantyczna jak pluton egzekucyjny.



Powleki się naprzód, zapuszczając się coraz głębiej w wilgotną dżunglę, gdzie nie znajdują ich żołnierze. Towarzysz Xbalanquego przedstawił się mu. Nazywał się Esteban Akabal i był zagorzałym komunistą oraz bojownikiem o wolność. Xbalanque wysłuchał bez komentarza długiego monologu o przewinach obecnego rządu i o nadchodzącej rewolucji. Zadawał sobie pytanie, skąd Akabal czerpie energię potrzebną, by iść dalej. Gdy nauczyciel wreszcie zwolnił, zdyszany od wspinaczki po stromej ścieżce, Xbalanque zapytał go, dlaczego współpracuje



z *Ladinos*.

— Wszyscy musimy trudzić się razem dla wspólnego dobra. Podziały między Kicze i *Ladinos* sieje i wzmacnia represyjny reżim, pod którego uciskiem cierpimy. Te podziały są fałszywe i kiedy już znikną, nic nie będzie stało na przeszkodzie naturalnemu pragnieniu robotników marzących o jedności ze swymi braćmi.

Na bardziej równym odcinku ścieżki obaj mężczyźni zatrzymali się na chwilę, by odpocząć.

— *Ladinos* nas wykorzystują, ale nic nie zmienia ich uczuć. Ani moich. — Xbalanque potrząsnął głową. — Nie pragnę się przyłączyć do twojej armii robotników. Jak mam dojechać do miasta?

— Nie możesz skorzystać z głównej drogi. Żołnierze natychmiast cię zabiją. — Akabal przyjrzał się ranom i siniakom zebrany przez Xbalanquego podczas wspinaczki. — Twój talent ma chyba bardzo selektywny charakter.

— Nie sądzę, by to był talent. — Xbalanque otarł z dzinsów część zakrzepłej krwi. — Miałem sen o bogach. Dali mi imię i moce. Po tym śnie mogłem robić... to, co zrobiłem w Xeponie.

— *Norteamericanos* dali ci moce. Jesteś tym, co zwą asem. — Akabal przyjrzał mu się uważnie. — Słyszałem tylko o nielicznych asach tak daleko na południe od Stanów Zjednoczonych. W rzeczywistości to choroba. Przyniósł ją na Ziemię rudy kosmita. Tak przynajmniej twierdzą, bo wojny biologicznej zabroniono. Większość z tych, którzy zachorowali, umarła. Ale niektórzy się zmienili.

— Widziałem takich ludzi, jak żebrali w mieście. Niektórzy wyglądali paskudnie. — Xbalanque wzruszył ramionami. — Ale ja jestem inny.

— Bardzo nieliczni stają się kimś więcej niż byli przedtem. *Norteamericanos* otaczają asów czcią. — Akabal potrząsnął głową. — To typowy przykład wyzysku mas przez faszystów władających mediami. No wiesz, mógłbyś być bardzo przydatny dla naszej walki. — Nauczyciel pochylił się ku niemu. — Element mityczny. Wiąż z przeszłością naszego ludu. To byłoby dla nas korzystne. Bardzo korzystne.

— Nie sądzę. Wybieram się do miasta. — Xbalanque przypomniał sobie ze złością skarb, który zostawił w dziupie. — Ale najpierw muszę wrócić do Xeponu.

— Lud cię potrzebuje. Mógłbyś zostać wielkim przywódcą.

— Już to kiedyś słyszałem. — Xbalanquego ogarnęła niepewność. Oferta brzmiała atrakcyjnie, ale on chciał stać się kimś więcej niż tylko marionetką postawioną na czele armii ludowej. Pragnął dokonać czegoś dzięki swej mocy. Czegoś, co da mu pieniądze. Ale najpierw musiał dotrzeć do Guatemala City.

— Pozwól, bym ci pomógł.

Na twarzy Akabala pojawił się wyraz intensywne pożądanie, podobnie jak u studentek

pragnących się przespać z majańskim królem-kapłanem albo przynajmniej — jak powiedziała jedna z nich — z jego współczesnym sobowtórem. W połączeniu z krwią pokrywającą mu twarz ta mina nadawała Akabalowi wygląd samego diabła. Xbalanque odsunął się o parę kroków.

— Nie, dziękuję. Rano wrócę do Xeponu, zabiorę dżipa i odjadę. — Ruszył z powrotem w dół szlaku. — Dziękuję za pomoc — dodał, spoglądając przez ramię na Akabala.

— Zaczekaj. Robi się już ciemno. Nocą nie zdołasz zejść na dół. — Nauczyciel usiadł na głazie leżącym przy ścieżce. — Dotarliśmy już tak daleko, że nie odważyliby się nas ścigać, nawet gdyby mieli więcej ludzi. Zostańmy tu na noc. Rano będziemy mogli wrócić do wioski. To będzie bezpieczne. Porucznik będzie potrzebował co najmniej doby, żeby wytłumaczyć się z utraty ciężarówki i wezwać posiłki.

Xbalanque zatrzymał się i odwrócił.

— Nie będziemy już mówić o armiach?

— Nie. Daję słowo.

Akabal z uśmiechem wskazał Xbalanquemu sąsiedni głaz.

— Masz coś do jedzenia? Okropnie zgłodniałem.

Xbalanque nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł tak wielki głód, nawet w najgorszych okresach dzieciństwa.

— Nie mam, ale gdybyś był w Nowym Jorku, mógłbyś pójść do restauracji zwanej Wieżą Asów. Stworzono ją specjalnie dla ludzi takich jak ty...

Podczas gdy Akabal opowiadał mu o życiu asów w Stanach Zjednoczonych, Xbalanque zebrał trochę gałęzi, by osłonić się przed wilgotnym gruntem, i położył się na nich. Zasnął na długo przed tym, nim nauczyciel zakończył przemowę.

Ruszyli w powrotną drogę na dół jeszcze przed świtem. Akabal znalazł trochę orzechów i jadalnych roślin, ale Xbalanquego nadal dręczył straszliwy głód połączony z bólem. Mimo to zejście do wioski zajęło im znacznie mniej czasu niż wczorajsza wspinaczka na górę.



Hunapu przekonał się, że grube bawełniane opaski przeszkadzają podczas wędrówki, a do tego są za ciepłe. Dlatego związał je razem i zawiesił sobie na plecach. Szedł przez cały dzień i całą noc bez chwili snu, nim wreszcie dotarł do małej indiańskiej wioski, tylko odrobinę większej niż jego rodzina. Zatrzymał się i związał opaski w taki sam sposób, jak zrobił to José. *Strój wojownika i gracza w piłkę*, pomyślał z dumą i uniósł wysoko głowę. Tutejsi mieszkańcy nie byli Lakandonami i spoglądali nań podejrzliwie, gdy przybył ze wschodzącym słońcem.

Na główną ścieżkę biegnącą między krytymi strzechą chatami wyszedł stary mężczyzna i pozdrowił Hunapu w języku podobnym do języka jego ludu, ale nieco od niego innym. Lakandon przedstawił się *t'o'ohilowi*, podchodząc do niego. Strażnik wioski gapił się na młodzieńca

przez dobrą minutę, pogrążony w kontemplacji, nim wreszcie zaprosił go do swej chaty. Hunapu nigdy w życiu nie był w większej.

Większość wioski zgromadziła się wokół chaty strażnika, czekając na jego opinię o porannym przybyściu. Tymczasem obaj mężczyźni rozmawiali ze sobą i pili kawę. Z początku rozmowa szła opornie, ale wkrótce Hunapu nauczył się rozumieć wymowę staruszka i był w stanie opowiedzieć mu o sobie, a także o swojej misji. Kiedy młodzieniec skończył, *t'o'ohil* usiadł prosto i zawołał swych trzech synów. Wszyscy stanęli za nim i słuchali, gdy przemówił do przybyścia.

— Wierzę, że jesteś Hunapu, który powrócił do nas. Zbliży się koniec świata i bogowie przysłali do nas posłańców. — *T'o'ohil* skłamał na jednego ze swych synów, karła, nakazując mu podejść bliżej. — Chan K'in pójdzie z tobą. Jak widzisz, bogowie go nazaczyli i może przemawiać do nich w naszym imieniu. Jeśli jesteś *hach*, prawdziwy, będzie o tym wiedział. Jeśli nim nie jesteś, o tym również się dowie.

Karzeł podszedł do Hunapu, spojrział na ojca i skłamał głową.

— Bol również będzie ci towarzyszył. — Najmłodszy syn poderwał się nagle na te słowa i przeszył ojca wściekłym spojrzeniem. — Nie lubi dawnych zwyczajów i nie uwierzy ci. Ale szanuje mnie i będzie bronił brata podczas waszych wędrówek. Bol, weź pistolet i spakuj wszystko, czego potrzebujesz. Chan K'inie, zostań tu jeszcze. Muszę z tobą porozmawiać. — Staruszek odstawił kawę i wstał. — Opowiem ludziom z wioski o twoich wizjach i twojej podróży. Może niektórzy z nich również zechcą ci towarzyszyć.

Hunapu wyszedł razem z nim na dwór i słuchał w milczeniu, jak *t'o'ohil* mówił swoim ludziom, że młodzieniec podąża za wizją i należy mu się szacunek. Większość wieśniaków potem odeszła, ale kilku zostało i Hunapu opowiedział o swej podróży. Choć byli Indianami, czuł się skrępowany, przemawiając do nich, ponieważ nosili spodnie i koszule, jak *Ladinos*, nie długie tuniki Lakandonów.

Gdy Chan K'in i Bol wrócili, odziani na drogę w tradycyjne stroje wieśniaków i dźwigający zapasy, słuchało go już tylko trzech mężczyzn. Hunapu wstał i wszyscy trzej odeszli, rozmawiając ze sobą. Chan K'in był spokojny. Jego twarz nie okazywała żadnych uczuć. Nie sposób było odgadnąć, czy ma opory przed wyruszeniem w podróż, która z pewnością sprawi ból jego wypaczonemu ciału. Bola jednak rozkaz ojca wyraźnie rozgniewał. Hunapu zadał sobie pytanie, czy wyższy brat nie strzeli mu po prostu w tył głowy przy pierwszej okazji, by powrócić do swego życia. To jednak nie miało znaczenia. Musiał zmierzać ścieżką, którą wskazali mu bogowie. Niemniej nie bardzo podobała mu się myśl, że wybrano na jego towarzyszy mężczyzn ubierających się tak krzykliwie. Był przyzwyczajony do prostych szat swych współplemieńców i uważał, że jaskrawe czerwone i fioletowe hafty oraz szarfy tych mężczyzn przypominają raczej odzież *Ladinos* niż przyzwoite stroje noszone przez prawdziwych ludzi. Z pewnością

podczas poszukiwań brata ujrzy jeszcze wiele rzeczy, których nigdy w życiu nie widział. Miał nadzieję, że jego brat wie, jak się ubierać.



Zejsście z gór wymagało znacznie mniej czasu niż wspięcie się na nie. Wyruszyli o świcie i już po kilku godzinach znaleźli się w Xeponie. Tym razem w osadzie było pełno ludzi. Xbalanquego wypełniła duma na widok szczytów ciężarówek pozostawionych na placu, wokół którego skupiała się cała aktywność. Dopiero z opóźnieniem zaczął myśleć o cenie, jaką wioska zapłaciła za jego ucieczkę. Być może jej mieszkańcy nie będą nim aż tak zachwyceni jak Akabal. Gdy nauczyciel prowadził go przez tłum, widzieli gniewne spojrzenia niektórych mężczyzn oraz pełną łez nienawiść wielu kobiet. Ludzi było bardzo dużo, a Akabal mocno trzymał go za ramię, nie miał więc szans pobiec do dżipa i uciec. Dotarli do *cantiny*, która była dziś miejscem spotkania mieszkańców wioski.

Na ich widok podniósł się rwetes. Niektórzy mężczyźni domagali się jego śmierci, inni zaś zwali go bohaterem. Xbalanque milczał. Bał się otworzyć usta. Stanął z boku, wspierając się plecami o twardą krawędź drewnianego baru. Tymczasem Akabal wdrapał się na kontuar i zaczął przemawiać do grupy mężczyzn kłębiących się wewnątrz *cantiny*. Przez kilka chwil wymieniano krzyki oraz obelgi w języku kicze i po hiszpańsku, nim wreszcie udało mu się przyciągnąć uwagę wszystkich obecnych.

Xbalanque był tak zajęty obserwowaniem tych, którzy obserwowali jego, w poszukiwaniu oznak nadchodzącej przemocy, że dopiero po pewnym czasie słowa Akabala zaczęły mieć dla niego sens. Nauczyciel znowu mieszał majański z hiszpańskim, a jego przemowa skupiała się na Xbalanquem i jego „misji”. Połączył jego słowa z chrześcijańskim wyobrażeniem drugiego przyjscia oraz końca świata, zgodnego z przepowiedniami starożytnych kapłanów.

Xbalanque, gwiazda poranna, był zwiastunem nowego wieku, w którym Indianie odzyskają swe ziemie i będą nimi władać, jak przed stuleciami. Nadchodząca katastrofa spadnie na *Ladinos* i *norteamericanos*, nie na Majów, którzy odziedziczą ziemię. Kicze nie będą już musieli słuchać cudzoziemców — socjalistów, komunistów albo demokratów. Muszą wyłonić własnych przywódców albo zginąć na wieki. Xbalanque był znakiem. Bogowie dali mu moc. Zbity z tropu Xbalanque przypomniał sobie, jak Akabal tłumaczył mu, że jego moc jest rezultatem choroby. Ale nawet ten syn bogów nie zdołał sam pokonać faszystowskich najeźdźców. Prysłano go tu, aby zdobył zwolenników, wojowników, którzy będą walczyli u jego boku, aż wreszcie Indianie odzyskają wszystko, co *Ladinos* ukradli im w ciągu stuleci.

Akabal skończył mówić i wciągnął Xbalanquego na kontuar. Następnie zeskokczył na podłogę, zostawiając krępego mężczyznę w brudnym T-shircie i niebieskich dżinsach sam na sam z wypełniającym pomieszczenie tłumem. Nauczyciel spojrzał na niego, uniósł pięść i zaczął

sładować imię „Xbalanque”. Powoli, z narastającym ferworem, wszyscy podążyli za jego przykładem. Wielu trzymało w uniesionych rękach karabiny.

Skonfrontowany z tłumem wykrzykującym jego imię Xbalanque przełknął nerwowo ślinę. Zapomniał o głodzie. Niemalże żałował, że ma na głowie również inne sprawy poza armią. Nie czuł się jeszcze gotowy zostać przywódcą, o jakim mówili mu bogowie. Wyobrażał to sobie zupełnie inaczej. Nie miał na sobie wspaniałego munduru, który zaprojektował w wyobraźni, i to nie była dobrze wyszkolona oraz biegle dowodzona armia, mająca zaprowadzić go do władzy i do pałacu prezydenckiego. Wszyscy gapili się na niego z minami, jakich nigdy w życiu nie widział. Wyrażały uwielbienie i zaufanie. Powoli, z drżeniem, on również uniósł zaciśniętą pięść, oddając honor swym zwolennikom oraz bogom. Modlił się przy tym bezgłośnie do tychże bogów, by nie pozwolili mu spieprzyć sprawy.

Mały, brudny człowiek, koszmar *Ladinos*, obudził się do życia. Wiedział, że on również nie jest tym, o czym śnili ci ludzie. Nie dbał o to, czy jest przypadkowym wytworem choroby zawleczonej tu przez *norteamericanos*, czy też dzieckiem bogów. Modlił się do wszystkich bóstw, które znał, majańskich i europejskich, do Jezusa, Maryi i Itzamny, by pomogli mu zrobić dla tych ludzi wszystko, co będzie w jego mocy.

Jego bratu Hunapu z pewnością było łatwiej.



Tuż za wioską, gdy Hunapu zdejmował bawelnianą zbroję, dołączył do nich jeden z mężczyzn, z którym przedtem rozmawiał. Ruszyli bez słowa przez dżunglę Petén, każdy z nich pogrążony we własnych myślach. Ze względu na Chan K'ina posuwali się naprzód powoli, ale nie aż tak bardzo, jak spodziewał się tego Hunapu. Najwyraźniej karzeł umiał sobie radzić z tylko niewielką pomocą towarzyszy. W rodzinnej wiosce Hunapu nie było karłów, ale wiadano, że przynoszą oni szczęście i są głosem bogów. Małych ludzi darzono szacunkiem. José często powtarzał, że Hunapu powinien być karłem, ponieważ dotknęli go bogowie. Młodzieniec cieszył się na myśl, że nauczy się czegoś od Chan K'ina.

Gdy słońce znalazło się u szczytu swej drogi, zatrzymali się na odpoczynek. Kiedy Hunapu wpatrzył się w słońce, swego imiennika, wiszące w najwyższym punkcie nieba, Chan K'in podszedł do niego. Twarz karła nadal nic nie wyrażała. Siedzieli razem w milczeniu przez kilka minut, zanim Chan K'in wreszcie się odezwał:

— Jutro o świcie nadejdzie czas ofiary. Bogowie chcą się upewnić, czy jesteś godny.

Wielkie, czarne oczy Chan K'ina wpatrywały się w Hunapu, który skinął głową na znak zgody. Karzeł wstał i wrócił do brata. Bol nadal sprawiał wrażenie, że pragnie śmierci młodzieńca.

Upalne popołudnie ciągnęło się bez końca. Droga była trudna. Dokuczały im kąśliwe owady i nie mogli w żaden sposób sobie z nimi poradzić. Gdy wreszcie dowlekli się do Yalpiny, było już

prawie ciemno. Karzeł pierwszy wszedł do wioski, by porozmawiać ze starszą. Gdy ta zgodziła się ich przyjąć, wysłał dziecko z wiadomością do czekających w dżungli towarzyszy. Młodzieniec wdział swą zbroję i ruszył na małeńki centralny plac osady. Wszyscy się zebrali, by wysłuchać przemów Chan K'in oraz Hunapu. Nie ulegało wątpliwości, że znają karła. Jego reputacja przydawała wiarygodności zapewnieniom młodzieńca. Dzieci chichotały, naśmiewając się z bawełnianej zbroi Hunapu i jego gołych nóg, aż wreszcie uspokoiły je matki. Gdy jednak młodzieniec zaczął mówić o tym, że poszukuje swego brata, by razem z nim przystąpić do przywrócenia do życia indiańskiej kultury, wieśniacy dali się oczarować jego wizji. Oni również widzieli znaki.

Piętnaście lat temu urodziło się tu dziecko o barwnym upierzeniu ptaka z dżungli. Dziewczynę przy prowadzono do niego przez tłum. Była piękna, a pióra zastępujące włosy tylko dodawały jej urody. Powiedziała, że czekała na tego, kto ma przyjść, i Hunapu z pewnością nim jest. Ujął ją za rękę i stanęła u jego boku.

Tej nocy wielu mieszkańców osady przyszło do domu rodziców dziewczyny, gdzie zatrzymali się Hunapu i Chan K'in, by porozmawiać z nimi o przyszłości. Dziewczyna, Maria, ani na moment nie oddalała się od młodzieńca. Gdy ostatni z wieśniaków już sobie poszedł i obaj goście położyli się przy palenisku, Maria czuwała nad ich snem.

Przed świtem Chan K'in obudził Hunapu i obaj oddalili się do dżungli, zostawiając w chacie Marię, by przygotowała się do wyruszenia w drogę. Młodzieniec miał tylko swoją maczetę, ale jego towarzysz zabrał ze sobą w podróż cienki europejski nóż. Hunapu wziął nóż od karła, ukłęknął i uniósł przed sobą ręce, zwracając dłonie wnętrzem ku górze. Nóż trzymał w lewej. Prawa dłoń, zagojona już po cięciu maczetą przed trzema dniami, drżała trwożnie. Młodzieniec nawet się nie wzdygnął. Bez chwili wahania przebił prawą dłoń nożem i zatrzymał go w ranie. Głowa opadła mu do tyłu i ciałem zawładnęło drżenie ekstazy.

Bez żadnego ruchu, pomijając nagle poszerzenie i tak już wielkich źrenic, Chan K'in patrzył, jak jego towarzysz wciągnął gwałtownie powietrze, a z dłoni popłynęła mu krew. Potem ocknął się z zamyślenia i położył ręcznie tkaną bawełnianą szmatę na ziemi pod rękami młodzieńca. Następnie stanął u jego boku, uniósł mu głowę i spojrzął w ślepe oczy Hunapu, jakby chciał w ten sposób wnikać w jego umysł.

Po kilku minutach Hunapu osunął się na ziemię, a Chan K'in podniósł nasiąkniętą krwią tkaninę, by za pomocą krzemienia i stali rozpalić niewielkie ognisko. Gdy młodzieniec odzyskał przytomność, karzeł cisnął ofiarę do ognia. Hunapu podczołgał się bliżej i obaj wpatrzyli się w dym, unoszący się ku niebu na spotkanie wschodzącego słońca.

— Co widziałeś? — zapytał wreszcie Chan K'in. Jego nieruchoma twarz nie zdradzała kryjących się za nią myśli.

— Bogowie są ze mnie zadowoleni, ale musimy działać szybciej i zebrać więcej ludzi. Chyba widziałem, jak.. Xbalan que prowadzi całą armię. — Hunapu skinął do siebie głową i splótł dłonie. — Tego właśnie chcę.

— Zaczyna się. Ale przed nami nadal długa droga i musimy wiele zrobić, zanim zwy ciężemy.

Hunapu spojrział na Chan K'ina. Karzeł siedział na ziemi, wyciągając przed siebie krótkie nogi i wspierając podbródek na dłoni.

— Najpierw wróćmy do wioski coś zjeść. — Wstał z wysiłkiem. — Widziałem kilka samochodów. Weźmiemy jeden z nich i od tej pory będziemy jechać szosą.

Ich rozmowę przerwała Maria, która wbiegła zdyszana na polanę.

— Kacyk chce z wami pomówić. Przybył goniec z sąsiedniej wioski. Armia przeczesuje okolicę w poszukiwaniu buntowników. Musicie natychmiast zniknąć.

Spojrziała na niego błagalnie. Jej pierze lśniło w blasku wczesnego poranka.

Hunapu skinął do niej głową.

— Spotkamy się w wiosce. Przygotuj się do wyruszenia z nami. Będiesz znakiem dla innych.

Ponownie zwrócił się ku Chan K'inowi i zamknął w skupieniu oczy. Drzewa otaczające polanę zaczęły się zmieniać w domy Yalpiny. Wioska jakby wyrastała wokół niego. Ostatnim, co zobaczył, było zdumienie na twarzy Chan K'ina oraz Maria padająca na kolana.

Gdy Chan K'in i Maria dotarli do Yalpiny, przygotowano już dla nich transport. Zdążyli jeszcze zjeść śniadanie, po czym odjechali starym pikapem marki Ford na południe, szosą biegnącą do stolicy. Towarzyszyła im Maria, a także sześcioro mężczyzn z Yalpiny. Inni, którzy również przyłączyli się do ich sprawy, ruszyli do pozostałych indiańskich wiosek w Petén, a także w położonym na północy meksykańskim stanie Chiapas, gdzie czekały na nich dziesiątki tysięcy Indian wygnanych ze swych domów przez *Ladinos*.



Armia Xbalanquego stawała się coraz liczniejsza w miarę zbliżania się do Guatemala City. Opowieści o jego czynach w Xeponie rosły w podobny sposób. Kiedy próbował im zaprzeczać, Akabal tłumaczył mu, że to bardzo ważne, by jego ludzie wierzyli w te fantastyczne pogłoski. W końcu Xbalan que dał za wygraną. Odnosił wrażenie, że cały czas po prostu akceptuje decyzje Akabala. Nie taksobie wyobrażał życie przywódcy ludowego.

Jego dżip i ukryty w nim skarb były nietknięte. Jechali razem z Akabalem na czele kolumny starych, grzechoczących pojazdów najróżniejszych rodzajów. Zgromadzili już kilkuset zwolenników, a wszyscy z nich byli uzbrojeni i gotowi do walki. W Xeponie otrzymał w darze spodnie i koszulę uszyte w tej wiosce, ale w każdej osadzie, którą odwiedzali, obowiązywał inny styl. Gdy kobiety dawały mu ubrania razem ze swymi mężami i synami, czuł się zobowiązany je nosić.

Podążały za nimi również kobiety. Większość towarzyszyła swym mężczyznom i dbała o ich potrzeby, ale nie brakowało też takich, które chciały walczyć. Xbalanquemu nie podobało się to zbyt, ale Akabal był zadowolony. Najwięcej czasu zajmowały im próby wykarmienia armii oraz zamartwianie się o to, w której chwili zaatakują ich siły rządowe. Obaj zgodzili się, że do tej pory szło im zbyt łatwo.

Obsesją Akabala stały się próby skłonienia reporterów z telewizji, radia i prasy do przyłączenia się do marszu. Gdy tylko dotarli do wioski, w której był telefon, nauczyciel natychmiast z niego korzystał. W rezultacie opozycyjna prasa wysłała do nich tylu ludzi, ilu tylko mogła bez budzenia podejrzeń tajnej policji. Liczyli na to, że przynajmniej kilku zdoła dotrzeć do Xbalanquego, unikając aresztowania.

Pod Zacualpą dotarła do nich wiadomość. Jakiś chłopak powiedział im, że armia ustawiła na szosie blokadę z dwoma czołgami i pięcioma transporterami opancerzonymi. Dwustu ciężko uzbrojonych żołnierzy czekało, by powstrzymać ich marsz za pomocą lekkiej artylerii i pocisków rakietowych.

Xbalanque i Akabal zwołali zebranie z udziałem wodzów partyzanckich mających doświadczenie w walce. Broń, którą mieli — stare karabiny i śrutówki — nie mogła się mierzyć z M16 i pociskami rakietowymi żołnierzy. Szansę mogło im dać jedynie wykorzystanie partyzanckich metod. Ich siły podzielono na drużyny, które następnie rozmieszczono na wzgórzach otaczających Zacualpę. Do osady położonej za Zacualpą wysłano kurierów, w nadziei, że uda się zebrać bojowników z terenów leżących za liniami rządowej armii. Kurierzy poruszali się jednak bocznymi ścieżkami i minie sporo czasu, zanim zdążą dotrzeć na miejsce i wrócić. Xbalanque stanie się podstawą oporu oraz inspiracją. To będzie dla niego prawdziwa próba. Jeśli zwycięży, dowiedzie, że nadaje się na ich przywódcę. Jeśli polegnie, zginą razem z nim.

Xbalanque wrócił do dżipa i wyjął kolec płaszczki ze skrytki pod siedzeniem kierowcy. Akabal chciał iść z nim do dżungli, ale on kazał mu zostać. Armia miała snajperów i nie powinni obaj narażać się jednocześnie.

To była właściwie tylko wymówka. Xbalanquego przerażała myśl, że moc może nie wrócić. Potrzebował czasu, by złożyć kolejną ofiarę, czegokolwiek co pozwoliłoby mu się skupić na mocy, którą miał w tamtej chwili i która go opuściła. Wiedział, że Akabal niemal na pewno każe go śledzić, ale musiał być sam.

Znalazł małą polanę otoczoną kręgiem drzew i usiadł na ziemi. Starał się przywołać to, co czuł przed poprzednią wizją, ale nie udało mu się wynieść z obozu choć jednej butelki piwa. Co jeśli to alkohol był kluczem? Wszystko musiało się odbyć tak, jak opisywali mu studenci, albo wszyscy towarzyszący mu ludzie zginą. Zabrał ze sobą jedną z białych bawełnianych koszul,



kórkę dano mu po drodze. Skomplikowane wzory wyszyto na niej wyłącznie jaskrawoczerwoną nicią. To wydawało się odpowiednie. Położył kórkę na ziemi między swoimi nogami.

Ucho zagoiło mu się bardzo szybko. Już od paru dni nosił w nim kolczyk. Skąd tym razem utoczy krwi? Wyrecytował w myślach listę świętych miejsc na swym ciele, których tradycyjnemu używano w tym celu. Tak to będzie w sam raz. Wytarł w kórkę rzeźbiony kołek, a potem wysunął dolną wargę. Modląc się do wszystkich świętych imion, które pamiętał, wbił kołek w wargę i przeciągnął przez nią część jego długości, czując, jak zadziory rozszarpują jego ciało. Następnie pochylił się nad kórkę, pozwalając, by krew spływała po czarnym kołcu i skapywała na białą kórkę, tworząc po drodze nowe wzory.

Gdy na kórkę spadały już tylko pojedyncze krople jego krwi, przeciągnął kołek przez wargę i wyrwał go z ciała. Usta wypełnił mu przypływający o młodości miedziany smak krwi. Zakrzuszył się. Zamknął oczy i zacisnął pięści, próbując nie dopuścić do gardła krwi wypełniającej mu usta. Za pomocą tej samej zapalniczki, co poprzednio, podpalił kórkę, przykładając ogień z czterech stron zabrudzonej tkaniny.

Tym razem nie było snów o Xibalbie. Ani w ogóle żadnych snów, które by zapamiętał. Dym i utrata krwi odebrały mu przytomność. Kiedy się ocknął, księżyc stał wysoko na niebie. Minęła już ponad połowa nocy. Nie było też kaca ani bólu. Jego mięśnie przystosowały się już do sił, których przedtem nie znały. Czuł się dobrze. Cudownie.

Wstał, podszedł do najwyższego drzewa, rosnącego po drugiej stronie polany, i uderzył pięścią w jego pień. Drzewo eksplodowało, syjąc na wszystkie strony drzazgami i gałęziami, zanim padło na ziemię. Uniósł wzrok ku niebu i podziękował bogom.

Wracając do obozu, zatrzymał się, gdy jakiś mężczyzna wyszedł zza drzewa i przeciął mu drogę. Przez chwilę obawiał się, że znalazła go armia, ale tamten uklonił mu się nisko, a potem zaprowadził go z powrotem do obozu, unosząc wysoko karabin.

Przez pozostałą część nocy odgłosy przygotowań do wymarszu nie pozwalały spać nikomu poza najbardziej doświadczonymi żołnierzami. Akabal chodził w tę i w tę obok dżipa, słuchając ryku silników czołgów, które ciągle zmieniały pozycję, by wymierzyć działa w kolejny nieuchwytny cel. Te dźwięki niesły się echem pośród wzgórz. Xbalanque przez pewien czas przyglądał się mu bez słowa.

— Mogę ich załatwić. Czuję to — odezwał się wreszcie, próbując dodać nauczycielowi odwagi. — Muszę tylko celnie rzucać kamieniami.

— Nie zdołasz ochronić wszystkich. Zapewne nawet samego siebie. Mają pociski raketowe, całe mnóstwo. Mają czołgi. Jak sobie poradzisz z czołgiem?

— Słyszałem, że słabym punktem są gąsienice. Je zniszczę najpierw — odparł i wskazał głową na nauczyciela. — Akabal, bogowie są z nami. Ja jestem z wami.

— Ty jesteś z nami, ale odkąd to zostałeś bogiem?

Akabal tytnął za złością na towarzysza, opierającego się o kierownicę dżipa.

— Mam wrażenie, że zawsze o tym wiedziałem. Po prostu trzeba było czasu, by inni dostrzegli moją moc. — Rozmarzony Xbalanque spojrział na niebo. — Gwiazda poranna. No wiesz, to ja.

— Jezus Maria! Oszalałeś!

Akabal przestał na chwilę spacerować i potrząsnął głową.

— Nie sądzę, by któkolwiek z nas powinien mówić takie rzeczy. To... nie uchodzi. Zważywszy wszystko razem.

— Zważywszy wszystko razem? Czyżby...

Przerwał im goniec przybywający z osady oraz kolejne odgłosy aktywności dobiegające z dołu.

Raz jeszcze naradzili się pośpiesznie z partyzanckimi dowódcami. Akabal opisał rolę, jaką miał w planie odegrać Xbalanque.

— Puste ciężarówki pojadą za tobą na most, by przyciągnąć ogień nieprzyjaciela. — Były nauczyciel wpatrzył się w spokojną, obojętną twarz człowieka, którego widział przed sobą. Xbalanque nie czuł strachu. Euforia maskowała w nim wszelkie inne uczucia. — Ale po kilku minutach będą potrzebowali bardziej aktywnego przeciwnika. Ty nim będziesz. Twoje pociski zapewnią osłonę naszym snajperom na wzgórzach.

Jego kamienie załadowano na proste włóki, które przywiązał od tyłu do dżipa i do pierwszej ciężarówki w konwoju. W obozie robiło się coraz jaśniej. Wszyscy zajęli pozycje. Partyzanccy kierownicy włączyli silniki. Akabal podszedł do dżipa.

— Postaraj się nie dać się zabić. Potrzebujemy cię.

Wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Nie przejmuj się. Nic mi się nie stanie. — Xbalanque dotknął ramienia Akabala. — Ukryj się wśród wzgórz.

Ruszył naprzód, dając sygnał całej kolumnie. Samochody posuwały się jeden za drugim po wąskiej szosie. Droga przed nimi nie była długa. Gdy wyjechali zza zakrętu, Xbalanque ujrzał most. Po drugiej stronie stały czołgi, mierzące w nich z dział. Gdy wystrzeliły, wyskoczył z dżipa i przetoczył się. Zwiększony ciężar jego ciała pozostawił wgłębienia w nawierzchni. Pojazd eksplodował i niektóre odłamki pomknęły w jego kierunku. Poczłwał moc wypełniającą każdą część jego ciała, gdy metalowe szrapnele odbijały się od skóry. Nadal nie unosząc głowy, poczołwał się do włók, gdzie leżała jego amunicja. Złapał kamień, podrzucił go w górę i uderzył w niego otwartą dłonią. Pocisk przeszył ze świstem powietrze, mknąc ku stokowi wzgórza nad pozycjami żołnierzy. Posypała się na nich fontanna ziemi, ale na tym koniec. Musi lepiej celować. Następny rzut okazał się bardzo celny. Kamień zniszczył gąsienicę lewego czołgu. Trzeci uszkodził

wieźczykę, uniemożliwiając jej obracanie. Indiancy bojownicy również zaczęli strzelać. Żołnierze padali na ziemię. Cisnął w ich szeregi kolejne kamienie, powalając wielu wrogów. Lała się krew, więcej krwi niż sam mógłby ofiarować. Pojawiła się wyrzutnia, ale indiański snajper załatwił trzymającego ją żołnierza, nim ten zdążył wystrzelić. On zaś rzucał kamienie tak szybko i mocno, jak tylko mógł.

Kule trafiały go od czasu do czasu, ale odbijały się od jego skóry. Xbalanque zapomniał o ostrożności. Stał naprzeciwko wroga, nie próbując się kryć. Ciskane przez niego kamienie powodowały straty, ale więcej żołnierzy zabijali Indianie ukryci na stołach. Ludzie dowodzący oddziałem zauważyli to i przenieśli większą część ostrzału na wzgórza. W miejscach, gdzie uderzyły pociski, w dżungli pojawiały się wielkie luki. Pomimo swej siły Xbalanque nie był w stanie powstrzymać drugiego czołgu. Kąt był nieodpowiedni i rzucone przez niego pociski nie mogły osiągnąć celu.

Do hałasu bitwy dołączył nowy dźwięk. Zbliżał się śmigłowiec. Xbalanque uświadomił sobie, że obserwacja z powietrza może dać armii przewagę, która doprowadzi do śmierci jego ludzi. Śmigłowiec leciał szybko i trzymał się nisko nad ziemią. Indianin sięgnął po kolejny kamień, ale przekonał się, że zostały mu już tylko maleńkie odłamki. Obmacał gorączkowo grunt wokół siebie w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby rzucić. Nie znalazłszy niczego, złapał kawałek wykręconego metalu pochodzący ze szczątków dżipa i cisnął nim w śmigłowiec. Trafiona maszyna eksplodowała w locie. Odłamki zasypały obie walczące strony. Kula ognia spadła do wąwozu. Płomienie wystrzeliły w górę, sięgając wyżej niż most.

Drugi czołg wrzucił tylny bieg i zaczął się cofać. Żołnierze schodzili mu z drogi. Oni również rozpoczęli odwrót. Xbalanque mógł teraz bez trudu celować w transportery opancerzone. Zniszczył dwa z nich, wykorzystując kolejne kawały metalu oderwane od dżipa. Potem jednak zobaczył coś, co wyleczyło go z marzeń o zostaniu wielkim wojownikiem. Jakiś chłopak skoczył ze skały na wycofujący się czołg, otworzył kłapę od zewnątrz i rzucił do środka granat, zanim zdążył go zastrzelić. Przed wybuchem nastąpiła chwila, gdy ciało chłopaka leżało na otworze wejścia niczym flaga na trumnie. Później wszystko ogarnęły płomienie.

Gdy żołnierze już się wycofali i walki na moście ustały, Indianie zaczęli schodzić ze wzgórz. Zapadła cisza, mącona tylko jękami rannych oraz głosami wracających do gniazd ptaków.

Alabal zeskoczył na drogę i dołączył do Xbalanquego. Śmiał się w głos.

— Zwyciężyliśmy! Udało się! Byłeś wspaniały!

Były nauczyciel objął Xbalanquego i spróbował nim potrząsnąć, ale przekonał się, że nie jest w stanie ruszyć mniejszego mężczyzny z miejsca.

— Za dużo krwi.

Po śmierci chłopaka Xbalanquego opuściło pragnienie świętowania zwycięstwa.

— Ale to była krew *Ladinos*. To jest najważniejsze — stwierdził jeden z poruczników ich armii, podchodząc bliżej.

— Nie tylko.

— Ale było jej wystarczająco wiele. — Porucznik przyjrzał się uważniej Xbalanquemu. — Nigdy dotąd nie widziałeś czegoś takiego, prawda? Nie możesz pozwolić, żeby ludzie zobaczyli cię w takim stanie. Jesteś bohaterem. To twój obowiązek.

— Starzy bogowie najedzą się dziś do syta. — Xbalanque spojrział na ciała leżące po drugiej stronie mostu. — Być może tylko o to im chodziło.

Strumień ludzi biegnących na drugi koniec mostu porwał go ze sobą. Nie miał czasu, by się zatrzymać i poszukać ciała chłopaka, prawdziwego niszczyciela czołgu. Tym razem to jego ludzie go prowadzili.



Prasa odnalazła ich szybciej niż armia. Hunapu, Chan K'in i Bol stanęli przed namiotem w chłodzie wczesnego poranka, by obserwować dwa śmigłowce nadlatujące z nad wzgórz na zachodzie. Jeden z nich wylądował na otwartej przestrzeni, gdzie poprzedniego wieczoru tańczono i słuchano przemówień. Drugi opadł na ziemię blisko koni. Hunapu widywał niekiedy przelatujące samoloty, ale tego typu niezwykle maszyny ujrzął po raz pierwszy. To była kolejna perwersja *Ladinos*, mająca im umożliwić dorównanie bogom.

Wokół dwóch śmigłowców zaczęli się zbierać gapie. Obóz składał się z kilku namiotów oraz garstką rozklekotanych pikapów i ciężarówek, ale mieszkały już w nim setki ludzi. Większość spała na ziemi. Wielu z nich dotknęli bogowie i inni musieli im pomagać. Smutno mu było patrzeć na tak wiele cierpienia, ale nie ulegało wątpliwości, że bogowie zaczęli się bardziej interesować życiem ludzi, jeszcze zanim go wybrali. Towarzyszyło mu bardzo wielu tych, którzy byli bliscy bogom, i dzięki temu czuł się silny i zdeterminowany. Z pewnością zmierzał ścieżką bogów.

Maria podeszła do niego i położyła dłoń na jego ramieniu. Jej małeńkie piórka muskały lekko jego skórę.

— Czego od nas chcą? — zapytała zaniepokojona dziewczyna. Widziała już przedtem, jak *Ladinos* reagują na widok tych, którzy dotknęli bogowie.

— Pragną zrobić z nas jeden ze swoich cyrków, widowisko dla mas — odparł gniewnie Chan K'in. Ta ingerencja w ich marsz do Kaminaljuyu z pewnością była niepożądana.

— Przekonamy się, czego chcą, Mario. Nie bój się ich. To tylko ludzie z patyków, nie mają siły, jaką dają prawdziwe dusze. Hunapu pogłaskał ją po ramieniu. — Zostań tu i pomóż uspokoić ludzi.

Hunapu i Chan K'in ruszyli w stronę śmigłowca, który wylądował pośrodku obozowiska. Bol podążył za nimi, jak zwykle milczący. Trzymał w rękach karabin i przyglądał się uważnie ludziom

z kamerami, którzy wysiedli z helikoptera i wpatrywali się w milczący tłum gapiów. Odkład wirnik się zatrzymał, zapadła niemal całkowita cisza.

Trzej mężczyźni powoli posuwali się naprzód przez tłum. Starali się nie iść za szybko, by wszyscy mieli czas zejść im z drogi. Ci, obok których przechodził Hunapu, wyciągali ku niemu ręce, lapy, skrzydła bądź wypaczone kończyny. Próbował dotknąć każdego, ale nie miał czasu, by się zatrzymać i z nimi porozmawiać. W przeciwnym razie nigdy nie dotarłby do śmigłowca.

Wreszcie znaleźli się na miejscu. Na bokach i pod spodem maszyny wypisano ręcznie wielkimi literami słowo PRASA. Reporterzy tłoczyli się wokół niej, widział w ich oczach strach i odrazę. Gdy jeden z dotkniętych przez bogów podszedł bliżej, wszyscy się odsunęli. Nie rozumieli, że dotknięci przez bogów są prawdziwszymi ludźmi od nich. To było typowe dla *Ladinos*, zawsze ślepych na prawdę.

— Jestem Hunapu. Kim wy jesteście i po co tu przybyliście? — zapytał najpierw w języku Majów, a potem po hiszpańsku. Stał przed reporterami i kamerzystami, mając na sobie bawełnianą zbroję. Kamery zaczęły filmować, gdy tylko zauważono go w tłumie.

— Jezu, on naprawdę uważa się za jednego z Heroicznych Bliźniaków — odezwał się któryś ze stojących przed nim mężczyzn. Mówił kiepsko po hiszpańsku. Młodzieniec przyjrzał się skulonej grupce. Nawet widok człowieka, którego szukali, nie złagodził ich niepokoju.

— Jestem Hunapu — powtórzył.

— Ja jestem Tom Peterson z Biura Środkowoamerykańskiego NBC. Słyszeliśmy, że macie tu kruczającą dzókerów. Czy raczej dzókerów i Indian. To najwyraźniej prawda. — Wysoki blondyn spojrział na tłum kłębiący się za plecami Hunapu. Mówił po hiszpańsku z dziwnym akcentem, cedząc powoli słowa. Lakandon nigdy nie słyszał podobnej wymowy. — Jak rozumiem, pan tu dowodzi. Chcielibyśmy porozmawiać o pana planach. Czy jest tu jakieś spokojniejsze miejsce?

— Będziemy rozmawiać tutaj.

Chan K'in wbił spojrzenie w mężczyznę odzianego w biały bawełniany garnitur w europejskim stylu. Peterson do tej pory ignorował karła stojącego obok Hunapu. Ich spojrzenia się spotkały i to blondyn odwrócił wzrok.

— W porządku. Może być tutaj. Joe, dopilnuj, żeby dźwięk był dobry.

Między Petersona a Hunapu wszedł drugi mężczyzna. Trzymany w ręce mikrofon wymierzył w blondyna, czekając na jego kolejne słowa. Uwagę Hunapu odciągnęło jednak coś innego.

Reporterzy z drugiego śmigłowca zauważyli, co się dzieje pośrodku obozowiska, i zaczęli się przepychać przez ciżbę, by również tu dotrzeć. Hunapu spojrział na tych ludzi, trzymających swój sprzęt poza zasięgiem tłumy, jakby przepawali się przez rzekę.

— Stójcie. — Choć przemówił po majańsku, przyciągnął uwagę nie tylko swoich ludzi, lecz również reporterów. Wszyscy się zatrzymali, kierując ku niemu spojrzenia. — Bol, przy prowadź

ich tutaj.

Bol zerknął na brata, zanim ruszył ku przybyszom. Tłum rozstał się przed nim, gdy siedł do dziennikarzy, a potem znowu, kiedy wracał z nimi. Mężczyzna skinął trzymanym w ręce karabinem, każąc im zostać na miejscu, po czym wrócił do Hunapu i Chan K'ina.

Peterson znowu zaczął zadawać pytania.

— Dokąd zmierzacie?

— Do Kaminaljuyu.

— To tuż pod Guatemala City, prawda? Dlaczego akurat tam?

— Tam się spotkał z bratem.

— A co pan zamierza zrobić później?

Zanim Hunapu zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się jedna z kobiet z drugiego helikoptera.

— Maxine Chen, CBS. Co pan sądzi o zwycięstwie sił pańskiego brata, Xbalanquego, nad żołnierzami, którzy mieli go powstrzymać?

— Mój brat walczy z armią?

— Nie słyszał pan o tym? Maszeruje przez wyżyny, pociągając za sobą wszystkie istniejące grupy indiańskich rewolucjonistów. Jego armia pokonała siły rządowe we wszystkich dotychczasowych starciach. Na całych wyżynach ogłoszono stan wyjątkowy, ale to nawet nie spowodowało marszu Xbalanquego.

Azjatka, również niska jak Hunapu, przyjrzała się jego zwolennikom.

— Na wyżynach za każdym drzewem kryje się buntownik. Tak było od lat. Ale tutaj, w Petén, zawsze było spokojnie. Do tej pory. Co jest pańskim celem? — zapytała, ponownie kierując spojrzenie na Hunapu.

— Kiedy spotkał się z bratem, Xbalanquem, zdecydujemy, czego chcemy.

— A tymczasem co zamierza pan zrobić w sprawie oddziałów wysłanych, by zatrzymać pana?

Hunapu wymienił spojrzenia z Chan K'inem.

— O tym również pan nie słyszał? Jezu, oni są tylko kilka godzin stąd. Jak pan sądzi, dlaczego aż tak nam się śpieszy, żeby z panem porozmawiać? O zachodzie słońca może już pana tu nie być.

Karzeł zaczął wypytywać Maxine Chen.

— Ilu ich jest i jak daleko stąd?

— Może z sześćdziesięciu albo trochę więcej. W tej okolicy nie utrzymują znaczących sił...

— Maxine! — Peterson zapomniał o dziennikarskiej neutralności. — Nie mieszaj się w to, na Boga. Wszystkich nas przez ciebie aresztują.

— Wypchaj się, Peterson. Wiesz równie dobrze jak ja, że tu od lat trwa ludobójstwo. Ci ludzie wreszcie zaczęli stawiać opór. I bardzo dobrze.

Uklęka i zaczęła rysować na ziemi mapę na użytek Hunapu i Chan K'ina.

— Znikam stąd.

Peterson pomachał uniesioną ręką i wirnik śmigłowca zaczął się obracać. Reporterzy i kamerzyści wchodzili do maszyny albo biegli do drugiej, stojącej obok koni.

Maxine oderwała wzrok od mapy i spojrzała na swego kamerzystę.

— Robert, zostań ze mną, a dostaniemy wyłączne prawa.

Kamerzysta wyrwał sprzęt dźwiękowy gotowemu zwiacznikowi i przypiął go do swego ubrania.

— Maxine, któregoś dnia zabiją mnie przez ciebie. Potem będę cię straszył.

Dziennikarka znowu zajęła się mapą.

— Ale nie dzisiaj, Robertcie. Widziałeś, czy rządowi żołnierze mają ciężką artylerię?

Wystarczyła tylko chwila, by zebrać ludzi Hunapu i sprawdzić, jak są uzbrojeni. Mieli trochę karabinów i śrutówek, ale nic cięższego. Większość posiadała też maczety. Hunapu wezwał do siebie Chan K'ina i Bola. Wspólnie ustalili, jak najlepiej postąpić. Dyskusję prowadził Bol, który zaskoczył Hunapu swą znajomością tematu. Choć mieli przeciwko sobie tylko garstkę żołnierzy, nieprzyjaciel górował nad nimi uzbrojeniem i doświadczeniem. Bol radził, by zaatakowali, gdy tylko rządowi żołnierze wyjdą z wozów na sawannę. Powinni podzielić swoich ludzi na dwie grupy, by lepiej wykorzystać teren. Hunapu zaczął się zastanawiać, skąd Bol wie takie rzeczy. Podejrzał, że wysoki, małomówny mężczyzna był już kiedyś rebeliantem.

Młodzieniec zapoznał swych ludzi z planem obrony, a resztę przygotowań powierzył Bolowi. Sam złożył kolejną ofiarę z krwi, licząc na to, że szczerze modlitwy dadzą mu siłę potrzebną, by wykorzystać daną przez bogów moc i uratować swoich ludzi. Bogowie muszą stanąć po jego stronie. W przeciwnym razie ich również czeka zagłada.

Po powrocie przekonał się, że obóz już zwinęto, a połowa wojowników mających stawić czoło armii dosiadła koni. Wdrapał się na swego wierzchowca i posadził Chan K'ina za sobą. Następnie wygłosił krótką mowę do czekających indiańskich wojowników, dodając im odwagi i nakłaniając, by dzielnie walczyli w imię bogów.

Gdy żołnierze zobaczyli zmierzających ku nim jeźdźców, zatrzymali pojazdy tuż za wylotem wąwozu i zaczęli z nich wysiadać. W tej samej chwili ukryci przez Bola w buszu snajperzy otworzyli do nich ogień. Szarży Hunapu stawił czoło tylko przeredzony szereg nieprzyjaciół. Ich uwagę odwracał widok towarzyszy broni padających pod kulami strzelców. Jedynie garstka bardziej doświadczonych mężczyzn zignorowała liczne ofiary i nie uległa się ataku wrzeszczących buntowników. Sierżant przeklinał swych żołnierzy, rozkazując im trzymać szereg i strzelać do śmierdzących Indian.

Jeźdźcy Hunapu nie byli przyzwyczajeni do prowadzenia ognia z grzbietów pędzących

wierzchowców. Ledwie byli w stanie utrzymać się w siodłach. Gdy tylko żołnierze to sobie uświadomili, zaczęli ich wykańczać jednego po drugim. Hunapu znajdował się wystarczająco blisko nieprzyjaciela, by zauważyć, że strach i zamieszanie znikają z jego szeregów, a dyscyplina powraca. Jeden z nich wstał i wycelował uzi w głowę Lakandona. Chan K'in ostrzegł go krzykiem i Hunapu zniknął. Karzeł został sam na koniu, nad którym nie był w stanie zapanować. Nieprzyjacielska kula rozszarpała mu czaszkę. W tej samej chwili Hunapu pojawił się za plecami żołnierza i poderżnął mu gardło obsydianowym nożem. Krew zbrzgała towarzyszy zabitego. Młodzieniec zniknął.

W następnej chwili uderzył kolbą karabinu w hełm mężczyzny trzymającego wyrzutnię pocisków raketowych, nim ten zdążył wystrzelić w chaszczce, w których ukrywali się snajperzy. Zanim pozostali żołnierze zdążyli zareagować, odwrócił karabin i zastrzelił go. Złapał za wyrzutnię, zniknął i niemal natychmiast wrócił, już bez niej. Tym razem zabił sierżanta.

Pokryty od stóp do głów krwią i znikający równie szybko, jak się pojawił, Hunapu wydawał się żołnierzom diabłem. Nie mogli walczyć ze zjawą. W którąkolwiek stronę skierowali lufy, on był gdzie indziej. Odwrócili się plecami do wojowników Hunapu, próbując zabić ich wodza. Nic to nie dało. Modląc się do Najświętszej Panienki i do wszystkich świętych, by nie stali się jego kolejnymi ofiarami, rzucili karabiny i ukłękli na ziemi. Nawet krzyki i kopniaki porucznika nie były w stanie zmusić ich do walki.

Hunapu wziął do niewoli trzydziestu sześciu ludzi, w tym również porucznika. Dwudziestu żołnierzy zginęło. Rebelianci stracili siedemnastu wojowników oraz Chan K'ina. *Ladinos* zostali pokonani. Nie byli niezwykłymi.

Nocą, gdy jego ludzie świętowali zwycięstwo, Hunapu opłakiwał Chan K'ina, odziany w długą białą tunikę Lakandonów. Bol przyszedł do niego po ciało brata. Wysoki Indianin powiedział mu, że Chan K'in ujrzał w wizji swoją śmierć i wiedział, jaki los go czeka. Ciało Chan K'ina owinięto w białą tkaninę, splamioną teraz jego krwią. Bol wstał, trzymając w rękach małe zawiniątko, i spojrzał nad ogniskiem na zmęczoną, smutną twarz Hunapu.

— Do zobaczenia w Kaminaljuyu. — Zaskoczony Lakandon uniósł wzrok — Mój brat mnie tam widział. Zresztą nawet gdyby tak nie było, i tak bym się tam udał. Niech obie nasze drogi przebiegają w pokoju albo niech przyniosą śmierć naszym wrogom.



Mimo zwycięstw odniesionych na początku obaj bracia ponieśli znaczne straty podczas dalszej drogi do Guatemala City. Xbalanque został ranny podczas próby zamachu, ale odzyskał zdrowie z nadnaturalną szybkością. Poległo jednak wtedy dwóch partyzanckich dowódców, którzy przyłączyli się do niego i uczyli go sztuki wojny. Z północy dobiegły wieści, że samoloty gwatemalskich sił powietrznych bombardują oraz ostrzeliwują kolumny Indian, którzy opuszczali



obozy dla uchodźców w meksykańskim stanie Chiapas, by dołączyć do pobratymców w Guatemala City. Setki ponoć zginęły, ale wciąż napływały kolejne tysiące.

Ataki elitarnych, świetnie wyszkolonych oddziałów policji i wojska również pochłaniały mnóstwo ofiar. Xbalanque musiał zwolnić marsz, ale podążających za nim tłumów nie sposób było powstrzymać. Po każdej strzelaninie zabierali broń zabitym żołnierzom. Mieli teraz wyrzutnie pocisków raketowych, a nawet czołg, porzucony przez przerażoną załogę.

Hunapu powodziło się gorzej. Jego ludzie pochodzący z Petén mieli mniej doświadczenia. W każdej potyczce z armią wielu z nich ginęło. Po bitwie, której żadna ze stron nie mogła właściwie uważać za wygraną, i która skończyła się dopiero wtedy, gdy Hunapu zdołał wreszcie zlokalizować nieprzyjacielskiego dowódcę i teleportował się, by go zabić, Lakandon doszedł do wniosku, że bezpośrednia walka z wojskiem i policją nie ma w tej sytuacji sensu. Kazał swym zwolennikom rozproszyć się i zmierzać do Kaminaljuyu pojedynczo albo małymi grupkami. Wydawało się nieuniknione, że w przeciwnym razie rząd zbierze siły wystarczające, by ich powstrzymać.



Xbalanque przybył pierwszy. Gdy jego armia zbliżyła się do Guatemala City, ogłoszono rozejm. Akabal raz po raz udzielał wywiadów, zapewniając, że ich celem nie jest obalenie rządu kraju. Z uwagi na nieustanne pytania prasy oraz zbliżającą się wizytę oenzetowskiej ekipy dzikich kart dowodzący armią generał rozkazał swym żołnierzom eskortować Xbalanquego i jego zwolenników, ale nie otwierać do nich ognia, chyba że sami zostaną zaatakowani. Xbalanque i Akabal dopilnowali, by wojsko nie znalazło do tego pretekstu. Przywódca Gwatemali pozwolił im na wstęp do Kaminaljuyu.

W ruinach zgromadziło się mnóstwo zwolenników braci. Na niskich wzgórzach rozbito namioty i wzniesiono proste szałas. Za złożonym z żołnierzy, ciężarówek i czołgów kordonem otaczającym Kaminaljuyu można było zobaczyć ciągnące się na wszystkie strony przedmieścia Guatemala City. W obozowisku mieszkało już pięć tysięcy ludzi, a wciąż napływali nowi. Oprócz Majów z Gwatemali i uchodźców z Meksyku byli tu też inni, przybywający z Hondurasu i Salwadoru.

Cały świat przyglądał się uważnie, chcąc się dowiedzieć, co się wydarzy w Guatemala City w Boże Narodzenie. Relacja Maxine Chen z bitwy między indiańskimi i dżokerskimi zwolennikami Hunapu a oddziałem gwatemalskiej armii otrzymała całą godzinę jako specjalny program w „60 Minutes”. Spotkanie Heroicznych Bliźniaków miały relacjonować wszystkie ważniejsze stacje w Stanach Zjednoczonych i w Europie.

Hunapu nigdy nie widział tylu ludzi zgromadzonych naraz w jednym miejscu. Gdy wszedł do obozu, mijając najpierw kordon żołnierzy, a potem majańskich strażników, zdumiała go jego

wielkość. Obaj z Bolem dotarli tu długą, okrężną trasą, chcąc uniknąć kłopotów. Zajął im to sporo czasu. W przeciwieństwie do ludzi z Petén zwolennicy Xbalanquego ubierali się na sto różnych sposobów, ale wszystkie ich stroje były barwne i radosne. Świąteczna atmosfera wydała się Hunapu nieodpowiednia. Ci ludzie nie sprawiali wrażenia oddających czci bogom, którzy przygotowali dla nich drogę i przyprowadzili ich tutaj. Zachowywali się raczej jak podczas karnawału. Niektórzy wyglądali wręcz na jego główną atrakcję.

Hunapu przeszedł przez jedną trzecią zatłoczonego obozu i nikt go nie rozpoznał. Blask słońca odbijający się w opalizujących piórach przyciągnął jego uwagę w tej samej chwili, gdy Maria odwróciła się i go ujrzała. Zawołała go po imieniu i wybiegła mu na spotkanie. Usłyszawszy imię drugiego z Heroicznych Bliźniaków, ludzie zaczęli się skupiać wokół niego.

Maria ujęła go za rękę i trzymała ją przez chwilę, uśmiechając się radośnie.

— Tak bardzo się martwiłam. Bałam się...

Opuściła wzrok i odsunęła się od Hunapu.

— Bogowie jeszcze z nami nie skończyli. — Lakandon pogłaskał ją po policzku. — A Bole towarzyszył mi przez większość drogi ze swej wioski.

Maria spojrzała na dłoń, którą ścisnęła, i wypuściła ją zaawstydzona.

— Na pewno chcesz się zobaczyć z bratem. On ma dom pośrodku Kaminaljuyu. Będzie dla mnie zaszczytem, jeśli pozwolisz, bym cię tam zaprowadziła.

Cofnęła się i wskazała na jakieś miejsce znajdujące się za szeregiem namiotów. Poszedł za nią. Tłum rozstępował się przed nimi. Indianie, których mijał, szepotali jego imię i podążali jego śladem.

Już po kilku krokach zaatakowali ich reporterzy. Rozbłysły flesze. Wykrzykiwano pytania po angielsku i po hiszpańsku. Hunapu zerknął na Bola i wysoki Indianin zaczął odganiać tych, którzy podeszli za blisko jego podopiecznego. Ignorowali pytania i po paru minutach kamerzyści odsunęli się, by kręcić to, co Maxine zwała ujęciami archiwalnymi. Pokazywały one, jak Hunapu idzie przez obóz i od czasu do czasu pozdrawia kogoś, kogo poznał.

Choć w większą część obozowiska w Kaminaljuyu składały się namioty oraz prowizoryczne domostwa zbudowane z tego, co akurat było pod ręką, bliźniacze chaty wzniesione na centralnym placu ruin były trwalszymi, robiącymi wrażenie budynkami. Ich dachy zdobiły pionowe grzebienie, podobne do widzianych na ruinach świątyń. Zwisały z nich proporce oraz amulety.

Gdy wyszli na otwartą przestrzeń placu, tłum przestał iść za nimi. Hunapu słyszał dźwięk pracujących kamer oraz głosy przepychających się dziennikarzy. Ruszyli we troje z Bolem i Marią do chaty znajdującej się po lewej. Nim zdążyli do niej podejść, na zewnątrz wyszedł mężczyzna odziany w czerwono-fioletowy strój noszony na wyżynach. Za nim szedł wysoki, chudy Indianin. Miał okulary na nosie i był ubrany po europejsku, pomijając tylko szarfę

okalającą pas.

Hunapu poznał Xbalanquego, którego pamiętał ze swych snów o Xibalbie. W nich jednak wydawał się młodszy. Ten mężczyzna wyglądał poważniej, Hunapu zauważył jednak drogi europejski zegarek na jego ręce oraz noszone przez *Ladinos* skórzane „buty do biegania”. Tworzyło to ostry kontrast z jego jadeitowym kołczykiem. Lakandon zastanawiał się nad tym ostatnim. Czyżby był to dar od bogów? Towarzysz Xbalanquego przerwał Hunapu przy patrywanie się bratu, łapiąc go za ramiona i zwracając ku kamerom. Xbalanque położył dłoń na lewym ramieniu Lakondona i przemówił do niego w języku wyżynnych Majów, ledwie zrozumiałym dla Hunapu.

— Najpierw musimy znaleźć dla ciebie jakieś prawdziwe ubranie. Pomachaj ręką do kamer. — Xbalanque sam podążył za swoją radą. — Potem będziemy musieli zastanowić się nad tym, jak sprowadzić do obozu więcej żywności.

Xbalanque obrócił go tak, że obaj patrzyli sobie w oczy, a następnie uściśnął jego dłoń.

— Stań tak, żeby mogli ująć nasze profile. No wiesz, słońce. Zaczynałem się już o ciebie niepokoić.

Hunapu spojrział w oczy mężczyzny stojącego naprzeciwko. Po raz pierwszy, odłód spotkał tego nieznanego, który był jego bratem, ujrzał w jego oczach te same cienie Xibalby, które — jak wiedział — można było zobaczyć w jego własnych. Nie ulegało wątpliwości, że Xbalanque musi się wiele nauczyć, jeśli chodzi o właściwe sposoby oddawania czci bogom, było jednak równie oczywiste, że — podobnie jak Hunapu — jest ich wybrańcem i przemawia w ich imieniu.

— Chodź do domu. Akabal wygłosi oświadczenie, że nasze oświadczenie będzie wygłoszone później. *Ko'ox*.

Dwa ostatnie słowa Xbalanque wypowiedział w języku Lakandonów. Hunapu pomyślał, że ten pstrokaty quetzal z wyżyn może jednak okazać się wartościowym partnerem. Przypomniał sobie o Marii i Bolu. Wchodząc do domu Xbalanquego, obejrzał się za siebie i zobaczył, jak znikają w tłumie. Brat najwyraźniej przeniknął jego myśli.

— Jest piękna i bardzo ci oddana, prawda? Zajmie się twoim ochroniarzem i nie dopuści do niego prasy, żeby mógł chwilę odpocząć. Mamy plany do omówienia. Akabal ma parę wspaniałych pomysłów, które mogą pomóc naszemu ludowi.

Przez kilka następnych dni bracia toczyli prywatne narady trwające do późna w nocy. Rankiem trzeciego dnia Esteban Akabal wyszedł przed dom i zapowiedział, że w południe, przed zagrodą, w której trzymano jeńców, zostanie odczytane oświadczenie.

Gdy słońce wisiało na niebie pionowo nad ich głowami, Xbalanque, Hunapu oraz Akabal wyszli z domu i ruszyli prosto do zagrody dla jeńców. Ze wszystkich stron otaczali ich zwolennicy

oraz reporterzy. Hunapu poczuł, że jego mięśnie napięły się nagle, gdy usłyszał warkot wojskowych śmigłowców, jak co dzień w południe przelatujących nad obozem. Ten dźwięk zawsze go niepokoił. Gdy już znaleźli się na miejscu, musieli poczekać, aż technicy wypróbują sprzęt nagłaśniający. Kilku z nich nosiło T-shirty z Heroicznymi Bliźniakami. Akabal wyjaśnił, że oświadczenie będzie wygłoszone w dwóch częściach. Pierwszą przeczyta Hunapu, a drugą Xbalanque. Będą mówili po majańsku, a on, Akabal, przełoży ich słowa na hiszpański i angielski. Hunapu nerwowo ścisnął swoją kartkę. Akabal był przerażony, gdy się dowiedział, że młodzieniec nie umie czytać. Musiał się nauczyć na pamięć całej mowy napisanej przez nauczyciela. Dziękował bogom za to, że José uczył go zapamiętywania rytuałów i zakłóć.

Podszedł bliżej do mikrofonu. Zauważył, że Maxine zamachała do niego ręką, by dodać mu odwagi. Poprosił w myśli bogów, by nie pozwolili mu zrobić z siebie durnia. Kiedy zaczął mówić, nerwowość go opuściła, zalana falą gniewu.

— Już od chwili przybycia do tego kraju mordowaliście nasze dzieci. Próbowaliście zniszczyć nasze wierzenia. Ukradliście naszą ziemię i nasze święte przedmioty. Obróciliście nas w niewolników. Zniszczyliście nasze domy i odebraliście nam prawo głosu. Jeśli próbowaliśmy się sprzeciwić, porywaliście nas, torturowaliście i zabijaliście za to, że byliśmy mężczyznami, a nie posłusznymi dziećmi, jakie chcieliście mieć. Nadszedł już koniec tego cyklu. My, *hach winik*, prawdziwi ludzie, odzyskamy wolność i będziemy mogli żyć tak, jak tego pragniemy. Od lodów dalekiej północy aż po krainy ognia na południu nadejdzie nowy świat, w którym wszyscy nasi pobratymcy będą mogli odzyskać wolność. Bogowie, którzy patrzą na nas w tej chwili, pragną, by oddawano im cześć na właściwe, starożytne sposoby. W zamian dadzą nam siłę, której potrzebujemy, by pokonać tych, którzy znowu próbują nas zmiażdżyć. Mój brat i ja jesteśmy zwiastunami nowego świata, który nadejdzie.

Odsunął się od mikrofonu i usłyszał, jak tysiące Majów zebranych w Kaminaljuyu skandują jego imię. Spojrzał z dumą na otaczające go ruiny, napawając się siłą, którą dawała mu wiara jego wyznawców. Maria wysunęła się na czoło tłumy i uniosła ręce do Hunapu w geście uznania. Setki ludzi poszło w jej ślady. Gest szerzył się po całym tłumie. Gdy wglądało na to, że już wszyscy wnieśli ramiona, błagając o jego pomoc, Lakandon skierował twarz i ręce ku niebu. Hałas nie przestawał narastać, aż wreszcie Hunapu opuścił ręce i spojrzał na swój lud. Zapadła cisza.

Na czoło wysunął się Xbalanque.

— Nie jesteśmy *Ladinos*. Nie pragniemy wojny ani więcej śmierci. Chcemy tylko tego, co prawnie nam się należy: własnej ziemi, własnego kraju. Ten kraj stanie się ojczyzną wszystkich Indian, bez względu na to, z której części Ameryki pochodzą. Mamy zamiar spotkać się z przyslaną przez WHO delegacją dzikich kart przebywającą w Guatemala City. Poproszę ją

o pomoc i wsparcie w sfinansowaniu ojczyzny *hach winik*. Ci pośród naszego ludu, którzy są dotknięci przez bogów, szczególnie potrzebują natychmiastowej pomocy. Nie prosimy was już. Żądamy. *Ko'ox!* Pozwólcie nam odejść!

Xbalanque uniósł pięść nad głowę, powtarzając lakandońską frazę raz po raz, aż wreszcie wszyscy Indianie w obozie przyłączyli się do niego. Hunapu również to zrobił i raz jeszcze poczuł przyplw w mocy. Patrząc na Xbalanquego, uświadomił sobie, że jego brat czuje to samo. To było dobre. Nie ulegało wątpliwości, że bogowie są z nimi.

Hunapu i Xbalanque stanęli po obu stronach Akabala, gdy nauczyciel tłumaczył ich słowa. Heroiczni Bliźniacy zamarli w bezruchu, nie odzywając się ani słowem, gdy nauczyciel odmówił odpowiedzi na dalsze pytania. Indianie z tłumy gapili się na nich, równie milczący i pełni stoicyzmu. Gdy Akabal poprowadził braci z powrotem do domu, gdzie mieli czekać na odpowiedź delegacji Światowej Organizacji Zdrowia, ich zwolennicy rozstępowali się bez słowa, ale zamykali przejście, nim dziennikarze zdążyli podążyć za nimi.



— No cóż, nie można ich oskarżyć o brak zmysłu politycznego.

Senator Gregg Hartmann rozprostował skrzyżowane nogi i wstał z fotela w stylu kolonialnym, by włączyć telewizor w pokoju hotelowym.

— Odrobina hucpy nigdy nie zaszkodzi, Gregg. — Hiram Worchester wsparł głowę na dłoni i spojrzął na Hartmanna. — Jak twoim zdaniem, powinna brzmieć nasza odpowiedź?

— Odpowiedź! A jakiej właściwie odpowiedzi moglibyśmy im udzielić? — zapytała senator Lyons, uprzedzając Hartmanna. — Jesteśmy tu po to, by pomóc ofiarom wirusa dzikiej karty. Nie widzę żadnego związku. Ci... rewolucjoniści, czy kim tam właściwie są, po postu próbują nas wykorzystać. Odpowiedzialność nakazuje ich zignorować. Nie możemy dać się wplątać w jakąś nacjonalistyczną awanturę!

Skrzyżowała ramiona na piersiach i podeszła do okna. Do pokoju dyskretnie wpuszczono młodą indiańską pokojówkę, która zabrała naczynia pozostałe po obiedzie. Nie unosząc głowy, zerknęła kolejno na każdego z nich, po czym wytoczyła ciężko obciążony wózek na korytarz. Hartmann potrząsnął głową do senator Lyons.

— Rozumiem pani punkt widzenia, ale czy widziała pani tych ludzi? Bardzo wielu zwolenników tych „Heroicznych Bliźniaków” to dzokrzy. Nie uważa pani, że jesteśmy odpowiedzialni za ich los? — Hartmann przesunął się do tyłu na fotelu i oparł się wygodnie. — Poza tym nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ich zignorować. Gdybyśmy udawali, że oni i ich problemy nie istnieją, to skompromitowałyby naszą misję. W tej części świata rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej niż to, do czego jest pani przyzwyczajona w domu. Nawet w rezerwach. Ludzie inaczej się zachowują. Tutejsi Indianie cierpią od czasów podboju. Patrzą na wszystko z długiej

perspektywy. Dla nich wirus dzikiej karty jest po prostu kolejnym krzyżem, który muszą dźwigać.

— Poza tym, pani senator, czy nie wierzy pani, że te chłopaki są asami, jak mówią reporterzy?

— Siedzący po drugiej stronie pokoju Mordecai Jones zerknął na senator ze stanu Wyoming.

— Muszę przyznać, że patrzę z pewną dozą sympatii na to, czego próbują dokonać. Niewolnictwo to zła rzecz, bez względu na to, jak je tu nazywają.

— Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy w to wplątani, choćby tylko z uwagi na ofiary dzikiej karty. Jeśli spotkanie z nami ułatwi im uzyskanie pomocy, mamy obowiązek zrobić, co tylko możemy — odezwał się siedzący w swoim fotelu Tachion. — Ale z drugiej strony słyszę bardzo wiele gadania o ojczyznach i prawie nic o rozwiązywaniu praktycznych problemów, takich jak nędza, w której żyją miejscowe ofiary wirusa. Wszyscy z pewnością widziecie, że potrzebują pomocy medycznej. Co o tym sądzisz, Hiram?

— Gregg ma rację. Nie możemy unikać spotkania z nimi. Sprawa stała się zbyt głośna. Poza tym naszym zadaniem jest dowiedzieć się, jak się traktuje dzokarów w innych krajach. Sądząc z tego, co widzieliśmy, moglibyśmy im pomóc, wywierając lekki nacisk na rząd. Mam wrażenie, że to najlepszy sposób. Nie musimy popierać ich działań. Wystarczy, że damy wyraz trosce.

— To brzmi rozsądnie. Pozwolę wam zadbać o politykę. Muszę pojechać na ten objazd szpitali.

— Tachion potarł skroń. — Mam już dość rozmów z rządem. Chcę na własne oczy zobaczyć, co się tu dzieje.

Otworzyły się drzwi salonu i do środka zajrzał Billy Ray.

— Wszystkie telefony rozdzwoniły się jak szalone, a reporterzy próbują dostać się do środka schodami pożarowymi. Co mamy im powiedzieć?

Hartmann skinął głową do Tachiona, zanim odpowiedział asowi z Departamentu Sprawiedliwości.

— Ci z nas, którzy zdołają wykroić odrobinę czasu z naszego bardzo napiętego harmonogramu, spotkają się z tymi „Heroicznymi Bliźniakami”. Ale proszę jasno podkreślić, że robimy to w interesie ofiar wirusa dzikiej karty, a nie z powodów politycznych.

— Świetnie. Ojciec, Poczwarła i Xavier powinni wkrótce wrócić. Pojechali obejrzeć obóz i porozmawiać z mieszkającymi w nim dzokarami. — Billy Ray uśmiechnął się do Tachiona, przewidując jego następne pytanie. — Pański samochód czeka na dole, doktorze. Ale im szybciej da mi pan oficjalne oświadczenie dla prasy, tym lepiej.

— Bezwzględnie łąkę swoim ludziom przygotować wstępną wersję, Billy. — Hartmann najwyraźniej znajdował się na znajomym dla siebie terenie. — Dostaniesz ją za godzinę.



Rankiem wszyscy się zgromadzili, skacowani i niewyspani po nocnych zabawach, ale gotowi pomaszerować na spotkanie delegacji Narodów Zjednoczonych. Gdy Hunapu i Xbalan que

wyszli ze swych domów, tłum ucichł. Xbalanque przyjrzał się ludziom, żałując, że nie mogą wszyscy pojechać z nimi do miasta. To by świetnie wyglądało na filmie, ale Akabal był przekonany, że mogłoby to dać rządowi upragniony pretekst do otwarcia ognia. Xbalanque wskoczył na maskę autobusu, który miał zawieźć ich do celu, i przemawiał przez blisko pół godziny, nim wreszcie ludzie się zgodzili, że lepiej będzie, jeśli zostaną w Kaminaljuyu.

Dotarli do Camino Real bez żadnych incydentów. Jedyнным zaskoczeniem były tłumy Indian stojących na ulicach. Wszyscy gapili się na nich w biernym milczeniu, ale ich obecność dodała sił Hunapu i Xbalanquemu. W Camino Real wyskoczyli na ziemię z ciężarówką i eskortowało ich do budynku dwóch ich własnych strażników oraz prawie dwudziestu ochroniarzy z ONZ.

Xbalanque i Hunapu ubrali się na sposób maksymalnie przypominający stroje noszone przez starożytnych królów. Włosy powiązali sobie w węzły na szczycie głowy, wdziali bawełniane tuniki oraz farbowane spódnice z tego samego materiału. Hunapu był przyzwyczajony do noszenia jedynie *xikul*, sięgającej kolan tuniki, ale było mu w tym starożytnym stroju wygodnie. Natomiast Xbalanque przez cały rano ciągle poprawiał tunikę, ponieważ z odsłoniętymi nogami czuł się głupio. Gdy jednak rozglądał się z ciekawością po hotelu, ujrzał swe odbicie w wiszącym na ścianie lustrze i omal się nie zatrzymał z zachwytem na widok spoglądającego nań odbicia majańskiego wojownika. Wyprostował się i uniośł głowę, dumnie demonstrując jadeitowy kolczyk.

Hunapu ciągle przesuwiał spojrzenie z jednego końca holu na drugi. Nigdy nie widział tak wielkiego budynku. W dodatku pełno w nim było niezwykłych dekoracji oraz dziwnie ubranych ludzi. Jakiś grubas w błyszczącej, białej koszuli i jaskrawych krótkich spodniach w kwiaty gapił się na nich ze zdumieniem. Turysta złapał za ramię żonę, noszącą suknię utkaną na tych samych krosnach co jego spodnie, i wskazał na nich palcem. Xbalanque kroczył dumnie przed siebie obok spokojnego Hunapu.

Gdy jednak weszli do pokoju ledwie odrobinę mniejszego od domu jego rodziny i drzwi zamknęły się za nimi bez ludzkiego dotyku, Lakandon tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się przed wykrzyknięciem modlitwy do bogów. Podłoga zakolysała się pod jego nogami i jedynie spokojna mina Xbalanquego przekonała go, że to nie jest zwiastun nadchodzącej śmierci. Zerknął ukradkiem na Akabala. Ubrany po europejsku Indianin rytmicznie zaciskał i rozluźniał pięści. Hunapu zastanawiał się, czy on również się modli.

Choć Xbalanque demonstrował obojętność, on pierwszy wyszedł z windy, gdy tylko dotarła na miejsce. Cała grupa ruszyła wyłożonym dywanami korytarzem ku drzwiom, których strzegli dwaj kolejni żołnierze ONZ. Po trwającej parę chwil dyskusji zgodzono się, że indiańscy strażnicy sprawdzą salę spotkań, a potem wyjdą na korytarz i zaczelają tam do końca konferencji. Heroicznym Bliźniakom pozwoli się jednak zachować ceremonialne kamienne noże.

Podczas całej rozmowy Xbalanque i Hunapu nie odzywali się ani słowem, pozwalając, by Akabal wszystko uzgodnił. Lakandon przyglądał się uważnie otoczeniu, starając się jednocześnie wyglądać jak król-wojownik. Przebywanie w zamkniętych pomieszczeniach budziło w nim niepokój. Ciągle spoglądał na brata, prosząc go o przewodnictwo.

W pokoju hotelowym czekali na nich delegaci Światowej Organizacji Zdrowia. Akabal natychmiast zauważył kamerzystę Sokolicy.

— Precz z nim. Żadnych kamer ani taśm. — Wysoki Indianin spojrział na Hartmanna. — Tak uzgodniłem. Pan na to nalegał.

— Sokolica, ta kobieta ze skrzydłami, jest jedną z nas. Chce tylko utrwalić świadectwo dla historii.

— Które będziecie mogli wypaczyć odpowiednio do swoich celów. Nie.

Hartmann wzruszył z uśmiechem ramionami, spoglądając na Sokolicę.

— Może lepiej by było, gdybyś...

— Jasne, nie ma sprawy.

Machnęła leniwie skrzydłami i kazała kamerzyście wyjść.

Xbalanque zauważył, że Akabal jest wyraźnie zaskoczony tym, że tak łatwo spełniono jego życzenie. Odwrócił się i spojrział na brata. Hunapu komunikował się z bogami. Wystarczyło na niego zerknąć, by się zorientować, że nic go tutaj nie interesuje. Xbalanque spróbował wzbudzić w sobie taką samą pewność.

— Znakomicie. Zebraliśmy się tu, by omówić... — Akabal zaczął recytować przygotowany przez siebie wstęp, ale Hartmann mu przerwał.

— Niech to będzie nieformalne spotkanie. Proszę, by wszyscy usiedli. Panie Akabal, może spoczłoby pan obok mnie? Jak sądzę, to pan będzie tutaj tłumaczył. — Hartmann zajął honorowe miejsce u początku stołu, który najwyraźniej przyniesiono tu specjalnie na wizytę, ponieważ resztę mebli przesunięto pod ściany. — Czy pozostali panowie mówią po angielsku?

Xbalanque chciał już odpowiedzieć, ale zauważył ostrzegawcze spojrzenie Akabala. Zaprowadził Hunapu do krzesła.

— Nie. Będę tłumaczył również dla nich — odparł były nauczyciel.

Hunapu gapił się otwarcie na duchownego z macłami oraz mężczyznę z nosem Chaca, długonosego boga deszczu. Ucieszył się na widok tego, że grupie towarzyszą dotknięci przez bogów. To był dobry znak. Zaskoczył go jednak widok Ojca, również pobłogosławionego w ten sposób. Być może w tym, czego próbowali go nauczyć księża, było coś więcej niż sobie dotąd wyobrażał. Wspomniał o tej myśli Akabalowi, który przemówił po angielsku do Hartmanna.

— Wśród naszego ludu ofiary dzikiej karty uważa się za wybrańców bogów. Czci się je, zamiast prześladować.



— O tym właśnie mieliśmy porozmawiać, nieprawdaż? O waszym ludzie.

Hartmann nie przestawał się uśmiechać od chwili ich wejścia do pokoju. Xbalanque nie ufał ludziom, którzy zbyt często pokazują zęby.

— Czy to wasze nowe państwo będzie otwarte dla wszystkich dzokerów? — odezwał się potem człowiek z trąbą słonia.

Xbalanque udał, że słucha tłumaczącego pytanie Akabala. Odpowiedział po majańsku, wiedząc, że były nauczyciel i tak przeinaczył jego słowa.

— Owa ojczyzna jest tylko maleńką częścią tego, co nam ukradziono. Jest przeznaczona wyłącznie dla naszych rodaków, czy to dotkniętych przez bogów, czy nie. Dotknięci przez bogów spośród *Ladinos* mają inne miejsca, w których mogą poszukać pomocy.

— Dlaczego uważacie, że konieczne jest odrębne państwo? Mam wrażenie, że gwatemalski rząd zauważył waszą demonstrację siły. Z pewnością wprowadzi reformy, których pragniecie.

Hartmann ponownie skupił się na Akabalu i Hunapu ucieszył się z tego. Wyczuwał w tym pokoju wrogość i brak zrozumienia. Kimkolwiek mogli być ci ludzie, byli również *Ladinos*. Spojrzał na Akabala, który właśnie odpowiadał na jedno z pytań zadanych przez *norteamericano*.

— Nie słuchał pan. Nie chcemy reform. Chcemy odzyskać nasze ziemie. Tylko ich małą część. Reformy przychodzą i odchodzą od czterystu lat. Mamy już dość czekania. — W głosie byłego nauczyciela pobrzmiwała nuta gwałtowności. — Czy wie pan, że większość Indian uważa wirusa dzikiej karty za kolejną postać ospy? Kolejną chorobę sprowadzoną tu przez białych, by zabić jak najwięcej naszych współplemieńców?

— To śmieszne! — Senator Lyons wyraźnie oburzyło to oskarżenie. — Ludzie nie mieli nic wspólnego z powstaniem wirusa dzikiej karty. Przybyliśmy tu dlatego, że chcemy wam pomóc. To nasz jedyny cel. Jesteśmy jednak przekonani, że nic nie osiągniemy bez pomocy waszego rządu. — Kobieta wyraźnie dała się zepchnąć do defensywy. — Rozmawialiśmy z generałem. Planuje otworzyć kliniki w dalej położonych prowincjach, a poważniejsze przypadki zakażenia dziką kartą sprowadzać na leczenie do miasta.

Bracia wymienili spojrzenia. Dla obu było oczywiste, że ci przybysze z północy w niczym im nie pomogą. Hunapu tracił już cierpliwość. Mieli zbyt wiele do zrobienia w Kaminaljuyu. Pragnął zacząć nauczać niepoinformowanych o dawnych bogach i o tym, jak oddawać im cześć.

— Nie można zmienić przeszłości. Obaj o tym wiemy. O co więc chodzi? Po co tu przybyliście?

Z twarzy Hartmanna zniknął uśmiech.

— Zamierzamy stworzyć indiańskie państwo. Ale będziemy potrzebowali pomocy — oznajmił stanowczo Akabal. Xbalanque pochwalał fakt, że były nauczyciel nie tolerował prób zmiany tematu. Nie był jednak do końca przekonany do jego planów wprowadzenia

socjalistycznej formy rządów.

— Ma pan pojęcie, czym jest Organizacja Narodów Zjednoczonych? Z pewnością nie możecie liczyć na to, że da wam broń potrzebną do prowadzenia wojny.

Usta senator Lyons zbielewały z gniewu.

— Nie chodzi nam o broń. Gdyby przyjechała pani zobaczyć naszych chorych, przekonałaby się pani, jak wielu z nich lekarze *Ladinos* odmówili leczenia, w nadziei, że umrą. Tak jest, wiem, co powiedział wam generał. Będziemy początkowo potrzebowali bardzo znaczącej pomocy medycznej, by uratować tych ludzi. Potem przyjdzie kolej na szkoły, drogi, transport i rolnictwo. Wszystko, co musi zapewnić swym obywatelom prawdziwe państwo.

— Zdaje pan sobie sprawę, że celem naszej wizyty jest jedynie zapoznanie się z faktami? Nie mamy wpływu na decyzje Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ani nawet amerykańskiego rządu, jeśli już o tym mowa. — Hartmann rozparł się wygodnie w fotelu i rozpostarł dłonie. — W obecnej chwili możemy wam zaoferować jedynie współczucie.

— Nie narazimy swej opinii w społeczności międzynarodowej w imię waszych militarnych ambicji! — Senator Lyons omiotła spojrzeniem trzech Indian. Na Hunapu nie wywarło to wrażenia. Kobiety nie powinny się mieszać do poważnych spraw. — To jest pokojowa misja. Cierpienie nie ma nic wspólnego z polityką i nie zamierzam pozwolić, byście wykorzystali wirusa dzikiej karty jako środek do przyciągnięcia uwagi — zakończyła senator Lyons.

— Wątpię, by europejscy Żydzi z czasów Holokaustu zgodzili się, że cierpienie nie ma nic wspólnego z polityką, pani senator. — Akabal zauważył grymas niezadowolenia, który nagle pojawił się na twarzy kobiety. — Wirus dzikiej karty stał się nieszczęściem dla mojego narodu. To jest prawda. Grozi nam czynne ludobójstwo. To również jest prawda. Jeśli chcecie ignorować czynnik wirusa, to proszę bardzo, ale to raczej nie jest możliwe. Czego od was chcemy? Tylko dwóch rzeczy. Pomocy humanitarnej oraz oficjalnego uznania. — Po raz pierwszy Akabala jakby opuściła pewność siebie. — Wkrótce gwatemalski rząd spróbuje nas zniszczyć. Władze zaczęły, aż opuścicie ten kraj, razem z towarzyszącymi wam reporterami. Nie zamierzamy im na to pozwolić. Dysponujemy pewnymi... atutami.

— To znaczy, że oni są asami?

Hartmann zamilkł, pogrążony w zamyśleniu.

Niektórzy z reporterów posługiwali się tym terminem, ale Xbalanque po raz pierwszy odniósł wrażenie, że może on być trafny. Czuł się jak as. On i jego brat, mały Lakandon, mogli załatwić każdego. Byli wcieleniami królów-kapłanów z czasów ich przodków, wybrańcami bogów albo stworzonej przez kosmitów choroby. Wszystko jedno czyimi. Poprowadzą rodaków do zwycięstwa. Zwrócił się w stronę Hunapu i zauważył, że brat podziela jego myśli.

— Oni uważają, że powołano ich do służby dawnym bogom i są heroldami nowego wieku,

związanymi początki nowego cyklu. Według naszego kalendarza nadejdzie on w waszym roku dwa tysiące ósmym. Mają przygotować nadejście nowego *katuna*. — Akabal spojrział na *norteamericanos*. — Ale, tak jest, wierzę, że są asami. Fakty to potwierdzają. Często się zdarza, że moce asów płyną z ich kulturowego dziedzictwa, czyż nie tak?

Rozległy się trzy ostre stuknięcia. Ktoś pukał do drzwi. Xbalanque zauważył, że do środka zajrzał szef ochrony, mężczyzna zwany Carnifexem. Indianin zadał sobie pytanie, czy wyszło to mogło być wymyślną pułapką.

— Samolot jest gotowy. Musimy odlecieć przed upływem godziny.

— Dziękuję. — Zamyślony Hartmann wsparł podbródek na dłoni. — Mówię to jedynie jako amerykański senator, ale chciałbym się przekonać, czy zdołamy dojść do porozumienia, panie Akabal. Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać na osobności?

Indianin skinął głową.

— Czy Ojciec mógłby w tym czasie podyskutować z Xbalan quem i Hunapu, jeśli macie tłumacza? Bracia mówią po hiszpańsku.

Gdy Hartmann i Akabal wrócili po krótkiej pogawędce, Xbalanque był już gotowy opuścić to miejsce. Słuchając słów Hunapu, zaczął się obawiać, że jego brat przywoła bogów tu i teraz. Wiedział, że to nie byłoby dobry pomysł.

Gdy próbował to wytłumaczyć bratu, Hartmann uściśnął na pożegnanie dłoni Akabala. Xbalanque odniósł wrażenie, że senator za długo trzyma rękę byłego nauczyciela. Północnoamerykańskie zwyczaje. Wrócił do prób przekonania Hunapu, by nie wyciągał obsydianowego noża. Poprowadził brata ku drzwiom.

Kiedy ponownie znaleźli się w windzie, eskortowani przez oenzetowskich żołnierzy, Xbalanque zapytał po majańsku Akabala, co mu powiedział Hartmann.

— Właściwie nic. „Spróbuj” powołać „komitet”, żeby „zbadać” sprawę. Chrzani jak wszyscy Jankesi. Może przynajmniej nas zobaczyli. To daje nam prawomocność w oczach świata.

— Nie wierzą, że wykonujemy wolę bogów, prawda?

Hunapu gniewał się znacznie bardziej, niż było to po nim widać. Xbalanque przyglądał mu się nieufnie.

— Zademonstrujemy im moc bogów — zapewnił, spoglądając bratu w oczy. — Zrozumięją swój błąd.



W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin opuściła ich połowa dziennikarzy, którzy podążyli za oenzetowską ekipą. Armia przesunęła na miejsce więcej oddziałów i rozpoczęła ewakuację okolicznych przedmieść. Następnie odcięto wszelką komunikację z obozem. Z ulgą pozbyli się antropologów, ale intencje armii były oczywiste dla wszystkich w Kaminaljuyu.

W obozie miało nie być cywilów.

Przez trzy dni po wizycie Hartmanna i jego towarzyszy Hunapu o świcie i w południe składał ofiarę z własnej krwi na najwyższym ze świątynnych kopców otaczających miasto. W drugim i trzecim dniu o świcie dołączył do niego Xbalanque. Zignorowano słowa Akabala, odwołującego się do zdrowego rozsądku. W miarę jak napięcie wokół Kaminaljuyu rosło, bracia coraz bardziej izolowali się od pozostałych. Omawiali swe plany wyłącznie we dwóch, nie uczestniczyli w zebraniach zwoływanych przez Akabala oraz przywódców buntowników. Maria cały czas towarzyszyła Hunapu, przygotowując ołtarz ofiarny. Bol nieustannie musztrował wojowników.

Xbalanque i Hunapu stanęli na szczycie ruin świątyni, otoczeni przez swych zwolenników. Zbliżał się świt czwartego dnia. Maria miała w rękach zdobną misę, trzymając ją między nimi. Obaj mężczyźni trzymali w rękach obsydianowe noże. Gdy wszędzie słońce, skałczą się w dłonie i mieszaają swoją krew w naczyniu, by potem spalić ją na ołtarzu, ozdobionym przez Marię figurkami oraz kwiatami. Słońce nadal kryło się za wulkanem piętrzącym się nad Guatemala City. Położona na wschodzie góra słała ku niebu obłoczki dymu, jakby nieustannie składała bogom ofiarę ze świętego tytoniu.

Pierwszy blask słońca rozbłysnął w czarnych nożach. Krew wypłynęła z dłoni i zmieszała się ze sobą, wypełniając misę. Tysiące głosów podjęło pieśń witającą dzień i błagającą bogów o zmiłowanie. Dwie kryte słomą chaty eksplodowały, gdy tylko dotknęły ich słoneczne promienie.

Na ludzi posypała się ziemia i odłamki drewna. Ci, którzy stali najbliżej chat, pierwsi zauważyli, że wystrzelona przez wojsko rakietą całkowicie zniszczyła oba schronienia. Wojownicy popędzili ku granicy obozu, by zatrzymać atakujących, natomiast ci, którzy nie mogli walczyć, zbili się w gęsty tłum na centralnym placu. Wymierzone w ten plac pociski raketowe przeleciały nad głowami kilku tysięcy ludzi, którzy kłęczeli, pogrążeni w modlitwie, albo wrzeszczeli z przerażenia, po czym spadły na ziemię nieopodal.

Maxine Chen była jedną z niewielu liczących się dziennikarzy, którzy pozostali na miejscu, by relacjonować krucjatę Heroicznych Bliźniaków. Wraz ze swoją ekipą skryła się za jednym ze świątynnych kopców, skąd rejestrowała pierwszą fazę ataku. Przed jej kamerą przebiegła indiańska dziewczynka, siedmio-, może ośmioletnia. Jej twarz i mały, haftowany *huipil* pokrywała krew. Dziewczynka krzyczała ze strachu. Maxine spróbowała ją złapać, ale chybiła i dziecko uciekło.

— Robercie...

Kobieta spojrzała na swego kamerzystę. Ten rzucił swój sprzęt specjaliście od dźwięku, który ledwie zdołał go złapać. Następnie oboje wpadli w tłum, każąc ludziom kryć się za kopcami.

Na skraju ruin bojownicy strzelali do rządowych żołnierzy, powodując spore zamieszanie, ale nie zadając im zbyt wielkich strat. Rakiety nadlatywały z miejsca położonego daleko za linią

nieprzyjaciela. Rozległ się warkot silników czołgów. Pojazdy zatrzymały się i otworzyły ogień do obrońców, zabijając niektórych i niszcząc ruiny, za którymi się kryli.

Brnąc pod prąd tłumy uciekającego ku centrum Kaminaljuyu, Xbalanque i Hunapu zdołali wreszcie dotrzeć na linię walk. Ludzie przywitali ich radosnymi okrzykami. Xbalanque wyszedł na otwartą przestrzeń i zaczął ciskać w nieprzyjaciela wszystkim, co tylko wpadło mu w ręce. Dało to pewne rezultaty. Żołnierze przed nim zaczęli się cofać, ale zatrzymano ich i rozkazano ponowić szturm. Kule rykoszetowały od jego skóry. Ten widok dodał sił broniącemu obozu Indianom. Celowali teraz dokładniej i ich strzały były skuteczniejsze. Jednakże rakiety ciągle nadlatywały i słyszeli też krzyki ludzi uwięzionych pośrodku obozu.

Hunapu przesłakiwał to tu, to tam, podryzując obsydianowym nożem gardła najbliższych żołnierzy. Zgodnie ze wskazówkami Akabala wybierał oficerów. Żołnierze walczący w pierwszej linii nie mogli jednak uciec przed demonem, ponieważ napierały na nich dalsze szeregi.

Xbalanquemu zabrakło pocisków. Schował się za jednym ze wzgórz, gdzie dołączyło do niego dwóch doświadczonych dowódców partyzanckich. Obu przeraziła masowa rzeź. To wyglądało zupełnie inaczej niż wojna w dżungli. Gdy Hunapu znowu wrócił na miejsce, Xbalanque złapał go, nim jego brat zdążył wykonać kolejny skok. Bawełniana zbroja Lakandona nasiąkała krwią żołnierzy. Nawet rebeliantów złapały mdłości od jej fetoru. Smród krwi oraz dym wystrzałów przypomniały Xbalanquemu chwilę, gdy pierwszy raz doświadczył tych woni.

— Xibalba — rzekł, zwracając się wyłącznie do brata.

— Tak — Hunapu skinął głową. — Bogowie zgłodnieli. Nasza krew im nie wystarczyła. Pragną więcej krwi, krwi, w której jest moc. Krwi króla.

— Myślisz, że wystarczy im krew generała? Wodza wojennego?

Xbalanque zerknął przez ramię na nieprzyjacielską armię widoczną za kopcem.

Partyzanci z uwagą słuchali ich rozmowy, licząc na to, że usłyszą coś, co da im nadzieję na zwycięstwo. Obaj skinęli głowami na ten pomysł.

— Jeśli dorwiesz generała, w nieprzyjacielskie szeregi wkradnie się chaos. To są poborowi żołnierze, nie ochotnicy. — Mężczyzna odgarnął z oczu czarne, zakurzone włosy i wruszył ramionami. — To najlepszy plan, jaki słyszałem.

— Gdzie jest ten wódz? — Hunapu wbił wzrok w jakiś odległy cel. — Przyniosę go tutaj. Trzeba to zrobić we właściwy sposób, bo inaczej bogowie nie będą zadowoleni.

— Na pewno będzie gdzieś z tyłu. Widzę tam ciężarówkę z mnóstwem anten. Centrum łączności. — Xbalanque spojrzął z niepokojem na brata. Coś z nim było nie w porządku. — Dobrze się czujesz?

— Służę swemu ludowi i swoim bogom.

Hunapu odsunął się o kilka kroków i zniknął z cichym *klok*.

— Nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł — stwierdził Xbalanque, zastanawiając się, co planuje jego brat.

— Masz lepszy? Da sobie radę.

Rebeliant zaczął wruszać ramionami, ale zamarł w połowie gestu, usłyszawszy warkot śmigłowców.

— Xbalanque, musisz je załatwić. Jeśli zaatakują z powietrza, będzie po nas.

Nim partyzant zdążył skończyć, Xbalanque popędził już ku środkowi Kaminaljuyu. Ujrawszy dwa hueye, uniósł z ziemi kamień wielkości swej głowy i cisnął nim w maszynę po lewej. Śmigłowiec eksplodował. Druga maszyna zawróciła, oddalając się od obozu. Indianin nie zdawał sobie jednak sprawy, w jakim punkcie znajduje się zniszczona przez niego maszyna. Płonące szczątki spadły na jego skulonych zwolenników, wywołując tyle samo cierpienia i śmierci, co pocisk rakietowy.

Xbalanque odwrócił się, przeklinając się za to, że zapomniał o swoich ludziach. W tej samej chwili zobaczył, że Hunapu stoi na szczycie najwyższego z kopców. Jego brat trzymał w rękach jakąś bezwładną postać, osuwającą się na ziemię przy zbudowanym przez Marię ołtarzu. Były złodziej popędził w stronę świątyni.

Przebywający po drugiej stronie wzgórza Akabal również zauważył Lakandona i jego jeńca. Nauczyciel stracił kontakt z bliźniakami podczas zamieszania, które nastąpiło, gdy spadł pierwszy pocisk. Odwrócił się plecami do tłumu kłębiącego się wokół centralnych kopców, ale Maxine Chen złapała go za ramię. Zatrzymał się. Twarz miała brudną i spoconą, a dwaj towarzyszący jej mężczyźni wyglądali na wynędzniałych. Robert odzyskał kamerę i filmował wszystko, co tylko mógł.

— Co tu się dzieje? — Musiała krzyknąć, by Akabal usłyszał ją przez hałas tłumów i wystrzałów.  
— Kim jest ten człowiek z Hunapu? Czy to Xbalanque?

Były nauczyciel potrząsnął głową i ruszył w dalszą drogę. Dziennikarka szła za nim. Zawahała się, ujrawszy, że Akabal zamierza się wspinać na położone na otwartej przestrzeni wzgórze, ale po chwili podążyła za nim razem z Robertem. Dźwiękowiec potrząsnął głową i przykucnął u podstawy świątyni. Xbalanque spotkał się z Marią i oboje ruszyli ku szczytowi po drugiej stronie. Kamerzysta odsunął się od pozostałych i zaczął kręcić, gdy tylko cała szóstka znalazła się na szczycie.

Ujrawszy Xbalanquego, Hunapu skierował twarz ku niebu i zaczął śpiewać. Nie miał już w ręce noża, a zakrzepła krew pokrywająca mu znaczną część twarzy wyglądała jak ceremonialna farba. Xbalanque słuchał go przez moment, a potem potrząsnął głową i zaczął się kłócić z Lakandonem, posługując się archaiczną formą majańskiego. Hunapu kontynuował pieśń, nie zważając na próbującego mu przeszkadzać brata. Maxine zapytała Akabala, co się dzieje, ale

zdezorientowany mężczyzna potrząsnął tylko głową. Maria wciągnęła gwatemalskiego generała na upany z ziemi ołtarz i zaczęła zdejmować mu mundur.

Strzały ucichły w tej samej chwili, gdy Hunapu skończył śpiewać i wyciągnął rękę do Xbalanquego. Maxine uniosła dłonie do uszu, oszołomiona nagłą ciszą. Maria uklękała obok generała, trzymając w wyciągniętych rękach ofiarną misę. Xbalanque odsunął się, potrząsając głową i Hunapu wyrwał gwałtownie rękę z jego uścisku. Spoglądając nad ramieniem brata, były złodziej zauważył, że czołgi ruszyły naprzód, rozdzierając ogrodzenie i miażdżąc Indian pod gąsienicami.

W tej samej chwili generał się ocknął. Zorientował się, że leży na ołtarzu, zaklął i spróbował się z niego stoczyć. Maria wpełzła go z powrotem na nasyp. Zauważył pióra dziewczyny i odsunął się od niej, jakby bał się zakażenia. Potem zaczął krzyczeć po hiszpańsku na Hunapu i Xbalanquego.

— Co wy wyprawiacie, do licha? Konwencja Genewska stanowi, że jeńców wojennych należy traktować z szacunkiem i godnością. Oddajcie mi ubranie!

Xbalanque usłyszał dobiegający zza jego pleców łoskot czołgów i krzyki ludzi, mieszające się z wrzaskami gwatemalskiego generała. Rzucił bratu obsydianowy nóż i złapał za ręce szarpiącego się jeńca.

— Puszczajcie mnie, dzikusy. Co wy wyprawiacie? — Hunapu uniósł nóż i generał wybałuszyl oczy. — Nie możecie tego zrobić! Mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty! Oszaleliście! Posłuchajcie, zatrzymam ich. Odwołam atak. Puśćcie mnie. Błagam. Jezu, puśćcie mnie!

Xbalanque przycisnął generała do ołtarza i podniósł wzrok. Hunapu uniósł nóż.

— Zdrowaś, Mario, łask..

Obsydianowe ostrze przecięło skórę i chrząstkę. Na braci i Marię trysnęła krew. Były złodziej gapił się na to z przerażeniem i fascynacją. Hunapu zdekapitował generała, przecinając kręgosłup, a potem rzucił jego głowę ku niebu.

Xbalanque puścił ręce zabitego *Ladino* i z drżeniem wziął z rąk dziewczyny pełną misę. Zepchnął ciało z ołtarza i podpalił krew. W tej samej chwili Maria podpaliła kopalową żywicę. Indianin odrzucił głowę do tyłu i wykrzyczał ku niebu imiona bogów. Hunapu położył głowę na ołtarzu. Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w Xibalbę.

Czołgi się zatrzymały, a następnie rozpoczęły powolny odwrót. Żołnierze rzucili karabiny i uciekli. Zastrzelili kilku oficerów, którzy próbowali ich powstrzymać. Reszta przyłączyła się do rejterady. Rządowe oddziały poszły w rozsypkę i uciekły do miasta, porzucając broń i sprzęt.

Maxine wymiotowała, gdy składano ofiarę, ale jej kamerzysta wszystko zarejestrował. Drżąc, poblada kobieta zapytała Akabala, co właściwie się tu wydarzyło. Spojrzał na nią,

otwierając szeroko oczy.

— Nadszedł czas Czwartego Stworzenia. Czas narodzin Huracana, serca nieba, naszego domu. Bogowie wrócili do nas! Śmierć wrogom naszego ludu! — Abakan kłękął i wyciągnął ręce do Heroicznych Bliźniaków. — Prowadźcie nas ku chwale, ulubieńcy bogów.



W pokoju 502 w Camino Real turysta w spodniach w kwiaty i jasnoniebieskiej poliestrowej koszuli wepchnął do walizki ostatni suvenir. Rozejrzał się po pokoju, poszukując żony, i zauważył, że stanęła przy oknie.

— Martho, następnym razem nie kupuj niczego, co nie mieści się w bagażu. — Wsparł na walizce cały swój znaczny ciężar i zdołał ją zamknąć. — Gdzie jest boy? Dzwoniliśmy już chyba pół godzin temu. Co takiego ciekawego się dzieje?

— Ludzie, Simonie. To coś w rodzaju procesji. Czyżby obchodzili jakieś religijne święto?

— Czy to zamieszki? Słyszeliśmy o niepokojach. Coś mi się zdaje, że powinniśmy jak najszybciej stąd zmiatać.

— Nie, oni po prostu dokądś idą. — Jego żona nadał gapiała się na pełną mężczyzn, kobiet i dzieci ulicę. — W dodatku to sami Indianie. Można to poznać po strojach.

— Mój Boże, jeśli stąd nie pójdą, spóźnimy się na samolot. — Łypnął ze złością na zegarek, jakby to on był temu winien. — Zadzwoń raz jeszcze, dobra? Gdzie on się podział, do licha?



# Z dziennika Xaviera Desmonda

15 grudnia 1986, w drodze do Limy

Zaniedbałem ostatnio prowadzenie tego dziennika. Wczoraj i przedwczoraj nie napisałem nic. Jedyne usprawiedliwienie, jakie mogę przedstawić, jest wyczerpanie, a także lekkie zniechęcenie.

Obawiam się, że Gwatemala okazała się potężnym ciosem dla mojego ducha. Rzecz jasna, zachowujemy ścisłą neutralność, ale gdy zobaczyłem w telewizji relacje z powstania i usłyszałem niektóre z haseł głoszonych ponoć przez majańskich rewolucjonistów, pozwoliłem sobie poczuć nadzieję. Kiedy spotkaliśmy się z indiańskimi przywódcami, na krótką chwilę ogarnęło mnie nawet uniesienie. Uważali moją obecność w pokoju za zaszczyt i dobry znak, odnosili się do mnie z takim samym szacunkiem (czy brakiem szacunku) jak do Hartmanna i Tachiona, a to, jak traktowali własnych dzókerów, natchnęło mnie optymizmem.

No cóż, jestem starym człowiekiem — a nawet starym dzókerem — i chwytam się byle czego. Majańscy rewolucjoniści ogłosili powstanie nowego państwa, ojczyzny Indian, w którym wszyscy indiańscy dzókerzy będą mile widzianymi, otoczonymi szacunkiem gośćmi. Innych dzókerów nie potrzebują. Co prawda, i tak raczej nie chciałbym zamieszkać w dżunglach Gwatemali. Nawet niezależna ojczyzna naszego rodzaju położona w tych okolicach nie wywołałaby w Dzókerowie większego zainteresowania, nie wspominając już o jakimś znaczącym exodusie. Niemniej jednak na świecie jest tak mało miejsc, gdzie dzókerzy są mile widziani, gdzie możemy mieszkać w spokoju... im dłużej podróżujemy, im więcej widzimy, tym bardziej czuję się zmuszony przyznać, że Dzókerowo jest dla nas najlepszym miejscem, naszym jedynym prawdziwym domem. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo zasmuca mnie to i przeraża.

Dlaczego zawsze musimy kreślić linie, wprowadzać podziały, naklejać etykiety i wznosić bariery? Aowie, natole i dzókerzy, kapitaliści i komuniści, katolicy i protestanci, Arabowie i Żydzi, Indianie i Latynosi, i tak dalej. Tak jest wszędzie, i oczywiście prawdziwe człowieczeństwo można znaleźć tylko po naszej stronie i uważamy, że wolno nam swobodnie gnębić, gwałcić i zabijać „tamtych”, kimkolwiek by byli.

Niektórzy na pokładzie „Ułożonej Tali” sądzą, że Gwatemalczyki dopuszczali się systematycznego ludobójstwa na swej indiańskiej ludności, i uważają powstanie nowego państwa za bardzo korzystne wydarzenie. Nie jestem tego taki pewien.



Majowie wierzą, że dzókerzy są dotknięci przez bogów, szczególnie pobłogosławieni. Z pewnością lepiej jest być otaczanym czcią, niż spotykać się z pogardą z powodu licznych

kalectw i deformacji. Z pewnością.

Ale...

Odwiedzimy także kraje islamskie... ktoś mi powiedział, że to jedna trzecia świata. Niektórzy muzułmanie są bardziej tolerancyjni od innych, ale prawie wszyscy uważają deformacje za oznakę niezadowolenia Allaha. Poglądy prawdziwych fanatyków, takich jak irańscy szyici czy sekta Nura w Syrii, są przerażające, godne Hitlera. Ilu dżokerów zamordowano, gdy ajatollah zastąpił szacha? W oczach części Irańczyków największym grzechem obalonego monarchy była tolerancja wobec dżokerów i kobiet.

A czy my, w oświeconych Stanach Zjednoczonych, gdzie fundamentaliści tacy jak Leo Barnett głoszą, że dżokerów spotkała zasłużona kara za grzechy, jesteśmy wiele lepsi? Och, jest pewna różnica, muszę o tym pamiętać. Barnett mówi, że nienawidzi grzechów, ale kocha grzeszników, i wystarczy, że wyrazimy skruchę, będziemy mieć wiarę i pokochamy Jezusa, a z pewnością zostaniemy uzdrowieni.

Niestety, obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku Barnett, ajatollah i majańscy kapłani głoszą takie samo credo — że nasze ciała są w jakimś sensie odbiciem duszy, a jakaś boska istota celowo wypaczyła nasze kształty, by okazać swe zadowolenie (Majowie) albo niezadowolenie (Nur al-Allah, ajatollah, Ogniousty). A przede wszystkim każdy z nich twierdzi, że dżokerzy są inni.

Moje osobiste credo jest przygnębiająco proste. Uważam, że dżokerzy, asowie i natole są po prostu ludźmi i powinni być traktowani stosownie do tego. W chwilach najczarniejszego przygnęбления zastanawiam się, czy jestem jedynym człowiekiem na świecie, który jeszcze w to wierzy.



Nadal czuję się przygnębiony z powodu Gwatemali i Majów. Jest jeszcze coś, o czym zapomniałem wspomnieć wcześniej. Nie mogłem nie zauważyć, że tą chwalebłą, idealistyczną rewolucją kieruje dwóch asów i jeden natol. Nawet tam, gdzie dżokerów uważa się ponoć za wybrańców bogów, asowie rozkazują, a dżokerzy słuchają.

Przed kilkoma dniami — chyba wtedy, gdy zwiedzaliśmy Kanał Panamski — Kopacz Downs zapytał mnie, czy wierzę, że dżoker zostanie kiedyś prezydentem Stanów Zjednoczonych. Odpowiedziałem mu, że zadowolilibym się kongresmanem (obawiam się, że Nathan Rabinowitz, w którego okręgu leży Dżokerowo, usłyszał moją uwagę i uznał ją za krytykę jego reprezentatywności). Potem Kopacz zainteresował się, czy wierzę, że prezydentem może zostać as. Muszę przyznać, że to bardziej interesujące pytanie. Downs zawsze wygląda, jakby zaraz miał zasnąć, ale jest bystrzejszy, niżby się zdawało, choć nie dorównuje niektórym z innych reporterów na pokładzie „Ułożonej Tali”, jak Herrmann z AP czy Morgenstern z „Washington

Post”.

Odpowiedziałem Downsowi, że przed ostatnim Dniem Dzikiej Karty mogłoby to być możliwe... choć bardzo mało prawdopodobne. Niektórzy z asów, jak Żółw (najnowsze nowojorskie gazety potwierdzają, że nadal się nie odnalazł), Sokolica, Cyklon i garstka innych, są gwiazdami pierwszej kategorii i cieszą się powszechną sympatią. Jak wiele z tej sympatii można by przenieść na arenę publiczną i w jakim stopniu mogłaby ona przetrwać brutalną kampanię prezydencką, to już trudniejsze pytanie. Bohaterstwo łatwo się ulatnia.

Jack Braun stał obok nas i usłyszał pytanie Kopacza oraz moją odpowiedź. Nim zdążyłem dokończyć — chciałem powiedzieć, że we wrześnie sytuacja się zmieniła i jedną z ofiar Dnia Dzikiej Karty była również maleńka nadzieja na to, że as mógłby mieć szanse jako kandydat na prezydenta — Braun mi przerwał.

— Rozerwaliby go na strzępy — oznajmił.

— A co, jeśli to byłby ktoś, kogo kochają? — zapytał Kopacz.

— Kochali Czwórkę Asów — usłyszał w odpowiedzi.

Braun nie jest już takim wyrzutkiem jak na początku podróży. Tachion nadal nie raczy zauważać jego istnienia, a Hiram traktuje go ze zdawkową uprzejmością, ale reszta asów sprawia wrażenie, że nie wie, kim on jest, albo ich to nie obchodzi. W Panamie często widywano go w towarzystwie Fantazji. Prowadzał się z nią tu i tam, a słyszałem też plotki o związku między Żółtym Chłopcem a sekretarką prasową senator Lyons, młodą, atrakcyjną blondynką. Z pewnością Braun jest w konwencjonalnym sensie zdecydowanie najatrakcyjniejszym mężczyzną spośród naszych asów, choć Mordecai Jones także robi wrażenie ze względu na otaczającą go posępną aurę. Obaj przyciągnęli również uwagę Downsa, który powiedział mi, że w następnym numerze „Aces” ukaże się artykuł porównujący Żółtego Chłopca z Młotem Harlemu.

# Z brodawkami i całą resztą

KEVIN ANDREW MURPHY

18 grudnia 1986, Lima

Pod bielonymi murami Museo Larco ustawiono szereg doniczkowych roślin. Płożące się sukulentki mieszały się z jednorocznymi krzewami i wysmukłymi pnączami wpinającymi się ku niebu na treliach. Kwiaty pyszniły się wszystkimi kolorami ze starych *Coloured Fairy Books* — książek z bajkami autorstwa Andrew Langa, które Howard Mueller pamiętał z dzieciństwa: Czerwona, Niebieska, Żółta, Różowa, Pomarańczowa, Karmazynowa, Liliowa i Fioletowa. Zielone były kaktusy, z reguły pomarszczone i pokryte brodawkami.

Podobnie jak Howard, większości mieszkańców Dżokerowa znany po prostu jako Troll.

Turyści robili zdjęcia roślin. Niektórzy ustawiali się tak, by objąć również jego.

Howard był do tego przyzwyczajony. Każdy, kto od dziecka był dżokerem, uczył się, że trudno jest uniknąć ciekawskich spojrzeń. A gdy ktoś miał prawie trzy metry wzrostu, stawało się to niemal niemożliwe. Na szczęście, Howard miał też bardzo grubą skórę. Przy najmniej fizycznie.

Usłyszał stukot żaluzji za swymi plecami oraz ciche głosy po hiszpańsku.

— ¡Ay, que la chingada! ¡Mira a ese puto!

Peruwiański akcent różnił się od portorykańskiego, do którego był przyzwyczajony, ale w końcu liczba przekleństw jest ograniczona, gdy zaś ktoś pracuje jako ochroniarz w szpitalu, szybko pozna wszystkie. Zwłaszcza w Dżokerowie.

Słowo *puto* dosłownie znaczyło „kurwa męska”, ale używano go jako uniwersalnej obelgi. Howard żałował, że jego znajomość hiszpańskiego nie jest lepsza.

Ponieważ miał blisko trzy metry wzrostu, nauczył się planować swoje dni stosownie do tego. W domu jego ulubionym miejscem była czytelnia Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Bibliofile interesowali się głównie swoimi książkami, a poza tym Howard nauczył się doceniać pomieszczenia, które miały łukowate sklepienia bądź też w ogóle nie miały sufitów.

Pochylił się, by wziąć broszurę z drewnianego stojaka. Wybrał jedną z tych w języku angielskim i przyjrzał się zdjęciom rozmaitych motyli oraz ciem, które można było znaleźć w ogrodach. Tekst opisywał *Caligo idomeneus*, motyla sowiego, nazwanego tak z powodu żółtych plam na skrzydłach, przypominających sowie oczy; *Copaxa sapatoza*, ładną, żółtą pawicę mającą pierzaste czułki, a na skrzydłach znaki w kształcie półksiężyców; *Ascalapha odorata* i *Thysania agrippina*, czarną ćmę czarownicę i białą ćmę czarownicę, dwa gatunki zaliczające się do największych, znane w całej Ameryce Łacińskiej pod różnymi barwnymi nazwami. *Tara*

bruja, po hiszpańsku ćma czarownica. Albo *la sorcière noire*, gdy chodziło o te czarne, jeśli ktoś znał francuski. Podobno każdy, komu taka ćma przeleciała nad głową, robił się łysy, ale ten, komu wylądowała na ręce, wygrał na loterii. Howard był łysy, odkład wyciągnął dziką kartę. Ale wygrać na loterii byłoby niezłe.

Po muzealnym ogrodzie latała garstka przedstawicieli *Lepidoptera* opisanych w broszurze. Wyglądały imponująco, zwłaszcza białe czarownice o skrzydłach wielkich jak dłonie natola.

Dłonie Howarda były większe i zielone, ale dzięki temu mogły imitować pędy kaktusów. Na jednej z nich wylądowała ćma. Howard uniósł ją do oczu.

— I co, wygram na loterii? — zapytał cicho. Biała czarownica poruszyła spokojnie skrzydłami niczym Królowa Śniegu z baśni Andersena, bawiąca się wachlarzem. Zastanawiała się przez chwilę nad jego pytaniem, a potem odleciała.

Howard odprowadzał ją wzrokiem. Po chwili zachichotał i poświęcił moment na poprawienie paska ogromnych designerskich przeciwsłonecznych okularów, które kupił w Nowym Jorku. Słowo „ogromne” miało względny charakter. Na wielu dzokarów, w tym również na Howarda, pasowały w sam raz. Były zaś „designerskie”, ponieważ trudno mu było znaleźć taki rozmiar. Prawie wszystko musiał mieć robione na zamówienie.

Ponownie zajrzał do opisującego motyle przewodnika. Kolejna nazwa nadawana ćmie czarownicy brzmiała *mariposa de la muerte*, motyl śmierci, choć tekst stwierdzał, że to określenie bardziej pasowałoby do *Lonomia obliqua*, której larwę zwano morderczą gąsienicą, ponieważ jej ostre kolce zawierały powodującą krwotoki wewnętrzne toksynę. Te owady corocznie były przyczyną kilku wypadków śmiertelnych. Jeszcze groźniejsza była *Megalopyge apercularis* — ćma flanelowa. Jej gąsienice, często przezywane „zmijami” były mniej jadowite od morderczych gąsienic, lecz miały zwodniczy urok. Na zdjęciach przypominały małe, zgubione tupeciki, ale pod ich jedwabistymi żółtymi włoskami kryły się zatrute kolce.

Howard nieszczęśliwie obawiał się jadu. Skórę miał twardą jak słoń. Jednakże gąsienice ćmy flanelowej na pewno mogły być groźne dla dzieci, mających ochotę podnosić je z ziemi i głaskać.

Natomiast ćmy czarownice były nieszkodliwe. Przynajmniej z naukowego punktu widzenia. Jednakże w Peru, w miejscowym języku kiczua, były znane jako *taparaco* i często występowały w ludowych opowieściach o *El Emisario Negro*, „Posłańcu w czerni”, mrocznym nieznanym, który ofiarował Ince Huaynie Capacowi tajemniczą szkatułkę. Gdy władca ją otworzył, ćmy oraz motyle wyleciały z niej na podobieństwo dwudziestu czterech kosów. Jednakże zamiast śpiewać dla króla albo oddziobywać nosy dziewczętom motyle przyniosły zarazę. W bajkach ludzie zawsze robią głupie rzeczy w tym rodzaju. Jeżeli lektura książek Andrew Langa nauczyła czegoś Howarda, to z pewnością tego, że jeśli ktoś daje ci tajemniczy pojemnik, lepiej go nie

otwierać. W środku nigdy nie znajdzie się nic dobrego. Wystarczy zapytać Pandorę.

Wsadził sobie broszurę do tylnej kieszeni spodni i wszedł do środka muzeum przez główne drzwi. Słyszał, jak Fantazja mówiła, że Museo Larco posiada sławną na całym świecie kolekcję prekolumbijskiej erotycznej ceramiki. A minęły wieki, odkąd ostatnio był z kobietą.

Kolekcja go nie rozczarowała. Musiał opadać na jedno kolano, by przyjrzeć się wszystkim gablotom, ale nagrodą był dla niego widok prekolumbijskich glinianych figurek w tak wielu perwersyjnych pozycjach, jak tylko było to możliwe dla natoli. Niektóre z nich przypominały nawet dzokarów — kobieta-ptak ze sterczącymi piersiami, para glinianych dzokarów w kształcie alpak (a może to były zwykłe alpaki?) oddających się dzikim igraszkom, oraz mężczyźna o twarzy czaszki i ogromnym kutasie, wyglądający, jakby głowę Charlesa Duttona osadzono na ciele prekolumbijskiego natola, przyprawiając mu penisa należącego do, no cóż, do samego Howarda, choć miał mniej brodawek i był brązowy, a nie zielony.

Howard kupił sobie album ze zdjęciami eksponatów, a potem wrócił do muzeum, by zacząć na limuzynę, która zawiezie go z powrotem do hotelu. W jednym z kątów ogrodu fioletowa bugenwilla tworzyła przyjemną altanę, a wielka urna z terakoty przewrócona na bok zastąpiła Howardowi ławkę. Wokół latały liczne motyle i ćmy. Nadal odnosił wrażenie, że gapią się na niego plamy na ich skrzydłach, przypominające sobie oczy. Wyciągnął z kieszeni koszuli cygaro — bardzo cenny podarunek, który wręczył mu Fulgencio Batista, podstarzały prezydent Kuby, podczas ich krótkiego postoju w Hawanie. Dzokar powąchał cygaro, by po raz ostatni nacieszyć się jego zapachem, a następnie odgryzł koniec krzywymi, pożółkły mi zębami, lepiej nadającymi się do tego zadania niż jakakolwiek obcinarka. Howard wypluł końcówkę w gąszcz bugenwilli i potarł zapalną o skórę.

Zdążył wciągnąć tylko jeden haust słodkiego dymu, gdy podjechała limuzyna, ozdobiona sporymi flagami ONZ. Wypuścił z westchnieniem z ust chmurę dymu, przeganiając motyle, uparcie myślące go z kaktusem. Wstał, gasząc cygaro o urnę.

Kierowca zignorował Howarda. Otworzył drzwi, wypuszczając z samochodu wysokiego — a przynajmniej względnie wysokiego — jasnowłosego mężczyznę w płóciennym garniturze, który z kolei podał dłoń drobnej, ale zdumiewająco pięknej kobiecie. Byli to Jack Braun, osławiony Złoty Chłopiec, oraz Asta Lenser, tancerka American Ballet Theatre, znana jako Fantazja, aska, której taniec budził pożądanie wszystkich mężczyzn, a nawet niektórych kobiet.

Jej plakat wisiał na ścianie sypialni Howarda. Asta w stroju Coppelii, nakręcanej lalki z baletu o tej samej nazwie. Był on pamiątką wieczoru, gdy doktor Tachion sprezentował mu bilet do Metropolitan Opera. Fryzura Asty składała się z licznych ciasno splecionych pukli mosiężnej barwy, podskakujących przy każdym jej kroku niczym sprężyny. Dzisiaj jej głowę zdobiła platynowa fryzura na punka, jak u Davida Bowiego w roli króla goblinów. Królowa goblinów i to

bardzo atrakcyjna.

— Och! — zawołała, wskazując eleganckim, lecz mocno teatralnym gestem na powietrze ponad muzeum. — Och, Jack, popatrz! Jakie to piękne!

Howard również spojrział we wskazanym kierunku. Motyle i ćmy unosiły się chmurą nad dachem byłej kolonialnej rezydencji — żółtozielone i szkarłatne, morelowe i lazurkowe, barwy siarki i fuksji, a niektóre nawet półprzezroczyste, jak kaskada konfetti oglądana przez okno Tiffany'ego, ale w magiczny sposób obdarzona życiem i poruszająca skrzydłami o wszystkich kolorach tęczy.

Turyści zwiedzający ogród gapili się na to ze zdumieniem. Dzieci śmiały się i wskazywały palcami. Howard wytrzeszczał oczy z zachwytu, nie potrafiąc odgadnąć, skąd się wziął ten nagły kalejdoskop. Motyle tańczyły i wirowały, a ich skrzydełka tworzyły ciągle się zmieniający wzór z wielobarwnych klejnotów.

Na chwilę pojawił się sabat czarnych ciem czarownic, które skupiły się w kształt przypominający zakapturzoną postać, jakby jednego z tolkienowskich upiórów pierścienia. Czarne ćmy szybko się jednak rozproszyły, ponownie stając się tylko ciemniejszymi nitkami przesywającymi chmurę ich barwniejszych towarzyszy. Nim Howard zdążył prześledzić wzrokiem, dokąd się oddalają, Fantazja zaczęła tańczyć.

Nazwać ją piękną byłoby niedopowiedzeniem. Trafniejsze byłoby określenie „nieskończenie fascynująca”. Asta była tancerką, gibką, lecz muskularną, niesamowicie zwinną i panującą nad wszystkimi ruchami swego ciała, gdy tylko oddała się nieokiełzanej radości Terpsy chory.

Howard nie znał nazw wszystkich wykonywanych przez nią ruchów — entrechat, piruet, cabriole, fouetté, wdzięczna arabeska i grand jeté — wiedział jednak, że jej pragnie. Poruszała się jak motyl, jej długa, półprzezroczysta suknia z cienkiego jedwabiu brzoskwińowej barwy miała rozcięcia odsłaniające zdumiewająco piękne nogi. Ramiona tancerki okrywał jaskrawy szal miejscowej produkcji, opadający z obu jej boków — z pewnością niedawny prezent od jakiegoś wielbiciela. W szal wszyto owoce laktusów, różowej i chabrowej barwy.

Asta uniosła szal nad głowę i załopotała nim, jakby był skrzydłami ćmy. Motyle zatańczyły wokół niej, w połowie przyciągnięte kolorami, a w połowie jej ruchami i magnetyzmem.

Wszyscy mężczyźni, łącznie z Howardem, gapili się na nią, zahipnotyzowani jej urodą, unieruchomieni jak motyle przyszpilone w gablocie. Musiała jednak być wśród nich jakaś kobieta, ponieważ Howard usłyszał cichy trzask aparatu fotograficznego. Sam nie był w stanie robić nic poza patrzeniem i poruszaniem głową, by śledzić jej ruchy. Pogrzyżył się w transie.

Spontaniczny taniec Asty wreszcie się skończył. Kobieta przycupnęła pośrodku trawnika, trzepocząc lekko szalem, jak odpoczywający motyl porusza skrzydłami. Dotknęła głową kolana i wysunęła ręce ku przodowi wzdłuż łydki, odsłaniając na zakończenie tańca wszystkie kolory

szala.

Aplauz wybuchł spontanicznie. Ćmy i motyle rozpierzchnęły się, spłoszone nagłym hałasem i ruchem. Howard otrząsnął się z resztek transu i z zażenowaniem zdał sobie sprawę, że dzinsy rozciąga mu potężny wzwód. Szczególnie zawstydzający był fakt, że jego krocze znajdowało się na wysokości oczu przeciętnego człowieka.

Fantazja wstała i ukloniła się na koniec improwizowanego występu, przesuając spojrzeniem po grupie wielbicieli. Nagle się zatrzymała, zerkając z ukosa na krocze Howarda z wyraźnym rozbawieniem w oczach.

— I pomyśleć, że nawet jeszcze nie widzieliśmy tych erotycznych rzeźb — rzekła figlarnym tonem. — Jack?

— Oczywiście, Asto.

Fantazja po prostu się roześmiała. Jack Braun mógł się cieszyć myślą, że będzie ją miał dziś w nocy, ale Asta Lenser nigdy nie będzie w pełni należała do nikogo poza sobą samą.

## 19 grudnia 1986, w drodze do Cuzco

Na pokładzie „Ułożonej Tali” pasażerowie zamieniali się miejscami równie często, jak Fantazja zmieniała partnerów. Wszyscy oprócz Howarda i Mordecaia Jonesa. Młot Harlemu potrzebował specjalnie wzmocnionego fotela, który wytrzyma jego ogromny ciężar, Howard zaś dodatkowego miejsca dla głowy, nóg i szerokiego ciała. W samolocie nie mógł nawet stanąć prosto. Dlatego większość czasu spędzał w pozycji leżącej, wpatrując się w sufit albo rozmawiając z ludźmi, którzy na tym etapie podróży zajęli miejsca obokniego.

Dziś rano byli to Ojciec Kalamarnica oraz arcybiskup Fitz morris, reprezentujący podczas wyprawy katolickie instytucje dobroczynne. Arcybiskup by natolem po sześćdziesiątce, miał białe włosy, w których gdzieniegdzie przetrwały rude pasemka, miłą okrągłą twarz oraz dwuogniskowe szkła w srebrnych oprawkach. Nic nie mogłoby wyprowadzić go z równowagi. Z wielkim zainteresowaniem kartkował kupiony przez Howarda album z prekolumbijską sztuką erotyczną.

— Ojej — zawołał. — Niektóre z tych posążków przywodzą mi na myśl pewnych mało znanych świętych. — Stuknął palcem w jedną ze stron i roześmiał się głośno. — Na przykład ten dzientelmen jest bardzo podobny do świętego Foutina.

Howard przyjrzał się fotografii. Przedstawiono na niej jednego z dzokerów z ogromnym członkiem.

— Hmm... mamy w klinice podobnego faceta.

— Naprawdę? — zapytał Ojciec Kalamarnica, poruszając mackami z nagłym zainteresowaniem. — Czy to Philip, ten nowy portier? Mówiłem mu, że dzokerskiego ciała nie



trzeba się wstydzić, ale on nie chce pokazać, co ukrywa pod tym swoim trenczem. Obawiam się, że kobiety w naszym kościele zaczęły snuć domysły.

— Nie, nie — zapewnił pośpiesznie Howard. — Nie Philip. To ktoś inny.

Arcybiskup nie przestawał zachwycać się fotografią.

— Mam nadzieję, że ten biedny dzoker nie we wszystkim przypomina świętego Foutina.

— Jest bardziej proporcjonalny — przyznał zawstydzony Howard.

— Słyszę to z przyjemnością, ale niezupełnie o to mi chodziło — uściślił arcybiskup Fitzmorris.

— W pewnej małej parafii we Francji znajduje się posążek Foutina. Kiedy kobiety myślą, że proboszcz nie patrzy, wsuwają rękę pod szatę świętego i dotykają go, żeby zapewnić sobie płodność. Czasami nawet odłupują od niego drzazgi. — Pochylił się ku rozmówcom, by kontynuować konspiracyjnym szeptem. Najwyraźniej to była jego ulubiona skandalizująca anegdota. — Można by pomyśleć, że członek świętego wytrze się całkowicie, ale on odnawia się w cudowny sposób! A może wcale nie w taki cudowny. W średniowieczu ktoś był na tyle sprytny, że wywiercił w posążku dziurę i wetknął w nią kółek. Od czasu do czasu ksiądz bierze drewniany młotek i wybija kawałek kółka na zewnątrz, na skalę odpowiednią do potrzeb.

Howard zastanowił się nad tymi słowami. Podobnie jak większość dzokerów, nie był do końca zadowolony z tego, co uczynił mu wirus dzikiej karty. Ale przynajmniej nie wsadził mu w dupkę od szczotki.

— I to jest oficjalny święty Kościoła? — zainteresował się Ojciec Kalamarnica.

— Równie oficjalny, co święty Krzysztof, choć nie cieszy się taką popularnością.

— Arcybiskup Fitzmorris sięgnął pod koloratkę i wyciągnął spod niej srebrny medalion przedstawiający brodatego mężczyznę z laską, niosącego na ramionach dziecko z aureolą wokół głowy. — Jego Świątobliwość usunął ich obu z kalendarza liturgicznego, razem z całą resztą mało znanych świętych, ale poświęcone im parafie nadal mogą obchodzić ich dni, podobnie jak inne, w których otacza się ich szczególną czcią. Na chrzcie nadano mi imię „Krzysztof” i nigdy nie latam samolotem bez opieki swego patrona. — Arcybiskup pocałował medalion i schował go na miejsce, a potem omiół Howarda dociekliwym spojrzeniem. — Wie pan co, panie Mueller? Bardzo mi pan przypomina świętego Krzysztofa. On również był olbrzymem wśród ludzi. Miał całe pięć łokci wzrostu. To chyba będzie ze dwa metry i trzydzieści centymetrów.

— Ja jestem wyższy.

— Widzę — przyznał arcybiskup. — Jeśli się nie mylę, jest pan też bardzo silny. Ale święty Krzysztof był jeszcze silniejszy, albowiem przeniósł przez rzekę na własnych plecach Dzieciątka Jezus, a wraz z nim wszystkie grzechy świata. Wątpię, by nawet pan Braun zdołał podźwignąć takie brzemię.

— Złoty Chłopiec ma wystarczająco wiele własnych grzechów do dźwigania — zauważył

Ojciec Kałamarnica.

— To prawda — zgodził się arcybiskup. — Grzech Judasza jest najcięższy ze wszystkich.

Rozmowa zaczęła przybierać nieprzyjemny obrót, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że Złoty Chłopiec siedział tylko kilka rzędów od nich, nadal flirtując z Fantazją.

— Czy święty Krzysztof również miał brodawki? — zapytał Howard, chcąc zmienić temat.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł arcybiskup Fitzmorris z wesołością w głosie — ale na najstarszych obrazach przedstawia się go z głową psa.

— W Kryształowym Pałacu pracuje taki facet — wspomniał Howard. — Nazywa się Lupo. Robi dobre martini.

— Będę musiał tam zajrzeć — stwierdził arcybiskup. — Lubię dobre martini.

— I co się stało z tą psią głową? — zainteresował się Howard.

— Gdy Krzysztof przeniósł Naszego Pana przez rzekę, ten w nagrodę dał mu ludzki wygląd. No wie pan — dodał pośpiesznie arcybiskup — ja tylko recytuję hagiografię, jakiej nauczyłem się w dzieciństwie, na długo przed pojawieniem się dzikiej karty.

— Jezus był-była dzokerem — oznajmił nabożnym tonem Ojciec Kałamarnica, poruszając lekko maczkami. — I hermafrodytą. Nie rozumiem, czemu miałyby-miałyby uważać przerobienie kogoś na natola za nagrodę.

— Kim jesteśmy, by kwestionować niezgłębianą Bożą mądrość?

— To prawda — zgodził się dzokerski kapłan. — Nie pojmuję jednak, dlaczego Kościół Święty nadal nie chce zaakceptować Kościoła Jezusa Chrystusa Dżokera jako jednej ze swych rytów, ani nawet wybrać świętego patrona dzikiej karty.

— Ojcze Kałamarnico — odparł z westchnieniem arcybiskup. — Nadal jesteś młodym kapłanem. Takie sprawy wymagają czasu. Jest już wielu świętych zajmujących się epidemiami. Roch, Sebastian, Godeberta, Kamil de Lellis. Prawdę mówiąc, minęło dopiero czterdzieści lat. Niestety, w grę wchodzi też kwestie dumy i polityki. Niektóre towarzystwa domagają się, by to ich świętemu przyznano zwierzchnictwo nad czymś tak ważnym, jak wirus dzikiej karty.

— Dzika karta to coś więcej niż zwykła epidemia — oznajmił bez ogródek Ojciec Kałamarnica.

— Zgadzam się — odparł arcybiskup Fitzmorris — ale w tym punkcie pojawia się pytanie, który ze świętych powinien zostać jej patronem? Święty Juda, który wszystko może uczynić możliwym? Święty Eustachy ze swymi towarzyszami, patron trudnych sytuacji? Święty Spirydion czyniący cuda? Osobiście radzę wszystkim, którzy mieli do czynienia z dziką kartą, by modlili się do świętej Rity z Cascia, ponieważ patronka spraw beznadziejnych wydaje się tu najbardziej odpowiednia. Ale z drugiej strony towarzystwo świętej Rity jest małe i augustiańskie, a Spirydion zajmuje się zarówno cudami, jak i epidemiami, więc on jest obecnie

najpoważniejszym kandydatem. Niemniej nigdy nie powinno się lekceważyć świętej Rity od spraw beznadziejnych.

Howard zastanowił się nad tymi słowami, próbując sobie przypomnieć, gdzie przedtem słyszał o świętej Ricie.

— Czy Fidel Castro nie wspominał kilka lat temu, że to ona pomogła Dodgersom zdobyć tytuł?

— Herezja! — oburzył się arcybiskup Fitzmorris. — To była diabelska robota! — Odkłęcił piersiówkę z dżinem, rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu czegoś, z czym mógłby go zmieszać, a nic nie znalazłszy, pociągnął łyk z gwinta. — Red Sox powinni wygrać!

— Wiedziałem, że jesteś kibicem Red Sox. — Ojciec Kałamarnica skierował na arcybiskupa swe oczy głowonoga. — Ale żeby dominikaninem?

— O czym ty gadasz? — Arcybiskup przerwał na chwilę. — Masz rację. Jestem franciszkaninem. Najważniejsze dla mnie są opieka nad ubogimi i uzdrawianie chorych. A także drażnienie jezuitów. Zwalczanie herezji powinienem zostawić dominikanom. — Poklepał dżokerskiego duchownego po ramieniu. — Jak robią tacy heretycy, jak ty, przyjacielu.

— Nie jestem heretykiem — obruszył się Ojciec Kałamarnica.

— Ona też tak mówiła — odparł ze śmiechem arcybiskup Fitzmorris.

— Jaka ona?

— Joanna d'Arc — wyjaśnił arcybiskup z błyskiem w oczach. — A teraz jest świętą. — Uniósł w toaście manierkę z dżinem. — Masz dobre towarzystwo.

## 19 grudnia 1986, Cuzco

— Tu właśnie Inka Manco Capac wbił w ziemię swą złotą laskę! — zawołała olbrzymia biała świnka morska ubrana w ponczo w tęczowe pasy, wskazując na bruk obok starej, kolonialnej fontanny. Wyglądała jak peruwiańska kuzynka pana Szczura i pana Kreta z jakiejś nieopublikowanej ilustracji Rackhama.

Po Plaza de Armas — dawnym sercu imperium Inków i współczesnym ośrodkiem turystyki — poniosły się echem chichoty oraz głosy powtarzające: „Złota laska!”. Howard nie potrafił odgadnąć, czy Peruwiańczycy szczególnie lubią aluzje do penisów, czy po prostu są mniej pruderyjni niż nowojorczycy. Zapewne i jedno, i drugie po trochu.

Nad placem dominowały dwa kościoły i jedna, większa od nich, katedra — mała Iglesia del Triunfo, nieco większa Iglesia de la Compania de Jesus oraz potężna, kamienna Catedral de Santo Domingo. Howard zauważył, że Ojciec Kałamarnica i arcybiskup Fitzmorris weszli do gotyckiego gmachu tej ostatniej, nadal dyskutując z ożywieniem.

Osobiście nie był zbyt zainteresowany kościołami, pomimo ich wysokich sufitów. Niemniej poranna przechadzka dla rozprostowania nóg wydawała mu się dobrym pomysłem po locie

samolotem i spotkaniu z kolejną parą nieudolnie zestawionych łóżek w hotelu.

Teścił za łóżkiem, które miał w domu. Gdy był nastolatkiem, miał jeszcze przed sobą okres szybkiego wzrostu i nie widział, jak wysoki wyrośnie, jego kumpel Gepard pomógł mu zmontować je z pary mosiężnych ram łóżkowych.

Gepard nauczył go też kradzieży z włamaniem, ale Howard z czasem zapłacił za te ramy, gdy już dostał swą pierwszą uczciwą robotę i zaczął pracować jako ochroniarz dla pana Mussa.

Pan Musso dawno już umarł, a jego sklep meblarski zamknięto. Howard nie miał pojęcia, co się stało z Gepardem. Oddalili się od siebie w więcej niż jednym sensie tego słowa.

Gdy człowiek przekraczał dwa metry wzrostu, szybko przyzwyczajał się do pustki wokół głowy. Nawet w Dżokerowie. Gdy jego wzrost osiągnął blisko trzy metry, jedynymi ludźmi, którym Howard patrzył prosto w oczy, byli Drzewo, Gargantua i niekiedy Pływacz — zależnie od tego, na jakiej wysokości się unosił. Na Plaza de Armas widział wokół siebie tylko kolejne motyle, część tej samej migracji, którą ujrzał w Limie. Turyści robili zdjęcia latającym owadom, a przy okazji również Howardowi. Starał się podchodzić do tego z humorem.

Spacer po placu dał mu też okazję zobaczenia innych dżokerów. Howard potrafił rozpoznawać ochroniarzy i dobrze też wiedział, jakiego rodzaju deformacje przytrafiają się ludziom. Na placu było sporo dżokerów, ale wszyscy przypominali mu personel z Gabinetu Luster. Świnia morska pracująca jako przewodniczka miała zadbane włosy, wymyte szamponem i ufryzowane, a zęby niedawno przycięte. Przypominający jaguara mężczyzna z cętkami, kłami, pazurami oraz grubym, nie w pełni ukształtowanym ogonem, stał w cieniu drzewa, po mistrzowsku zonglując motylami na kijkach. Dwugłowa lama zachwalała miseczki z owocami sprzedawane na straganie. Jedna głowa krzyczała żeńskim głosem, a druga męskim. Obie zdobiły opaski z reniferowym porożem z czerwonego filcu. Za tydzień Boże Narodzenie. A obok fontanny grupa dżokerskich muzyków w czapkach Świętych Mikołajów grała międzynarodowe świąteczne melodie przemieszane z tradycyjną andyjską muzyką fletową. Zamiast satyra na fletni Pana grała złotoskóra nimfa leśna. Flety były jej własnymi palcami. Obok niej tańczyła kobieta-wąż. Jej łuski z brązu dźwięczały niczym dzwonki. Mniej atrakcyjnych miejscowych dżokerów przegoniła policja albo właściciele sklepów przekupili ich, żeby poszli sobie gdzie indziej. Howard nie wiedział, która z tych możliwości jest prawdziwa.

— *Señors y señoritas!* — zawołała olbrzymia świnia morska. — Proszę spojrzeć na plac! Pierwszym z naszych ludowych tańców będzie *La Llamerada!* Taniec pasterzy lam!

Wszyscy tancerze — poza dwugłową lamą, która miała głowy skierowane w przeciwnych kierunkach jak Dwugłowiec z *Doktora Dolittle'a* — byli natolami ubranymi w tradycyjne kostiumy ludowe. Spodnie i spódnice mieli rdzawe, koszule i bluzki złote, a szarfy w indiańskie wzory w jaskrawych, kłócących się ze sobą barwach, tak bardzo lubianych przez peruwiańskich

tlaczy. Trójkątne kapelusze wyglądały jak coś pośredniego między rytualnymi nakryciami głowy noszonymi przez masonów, ocieplaczami na imbryki i ulubionym abażurem babci Mueller. Ich szczyty zdobiły po dwa pompony, z przodu zaś umieszczono wyciętą z filcu sylwetkę lamy, a także z jakichś niezrozumiałych dla Howarda Muellera powodów czerwoną literę U.

Muzyka była żywa, a taniec wymagał mnóstwa klaskania w dłonie, tupania i kręcenia spódnicami, a wszystko to w ramach ganiań lam po placu — a przynajmniej jednego dwugłowego dzokera w kształcie lamy. Gdy środkową część ciała dzokera zasłaniali tańczący natole, naprawdę można było go — albo ją czy może ich — wziąć za dwa oddzielne zwierzęta. Howard zastanawiał się, jak dzoker korzysta z ubikacji. Miał nadzieję, że nie wymagało to użycia cewnika.

Kupił sobie miseczkę owoców i zaczął pogryzać kawałki ananasów, melonów oraz egzotycznych różowych owoców noszących nazwę „mamey”. Przypominały smakiem dynię z dodatkiem wiśni oraz brzoskwini, ale nie do końca. Jak wszystkie dobre owoce, miały smak typowy dla siebie. Howard kupił sobie cały beżowy mamey, duży jak piłka futbolowa, i zdarł z niego skórę paznokciami, które były czarne, ostre i znacznie prostsze od jego zębów. Owoc miał dużą pestkę, jak awokado. Howard cisnął ją do kosza razem z plastikowym kubkiem wypełnionym skórkami. Wokół kosza zaroily się motyle, spijające nektar długimi językami. Nadal odnosił wrażenie, że patrzą na niego wielkimi oczami na skrzydłach.

Następnym numerem był bardziej tradycyjny *camiles*, taniec inkaskich czarowniców. Driada o fletach zamiast palców zagrała piskliwą melodię, i czarownicy odziani w poncza ze skór wikunii oraz słomiane kapelusze ozdobione kołardami zatańczyli wkoło. Ich plecaki kołysały się niebezpiecznie. Po chwili zdjęli je z pleców, demonstracyjnie rozwiązując sznurki i wyjmując oferowane na sprzedaż towary. Następnie zaczęli biegać po placu, potrząsając marakasami z tykw i próbując wciskać wiązanki ziół, ludowe amulety o podejrzanym wyglądzie, a także wypełnione jakimś napojem tykwy wszystkim gapiom, a szczególnie dzokerom.

Howard nie wiedział, z czego zrobiono napój w tykwach, pachniał jednak lukrecją i to nie tego dobrego, truskawkowego rodzaju. Zauważył, że pokryty jaguarowymi cętkami żongler kupił sobie jedną, targując się ze sprzedawcą podejrzenie głośno i szybko. Zapłacił za nią wszystkim, co zebrał do kapelusza. Gdy wypił płyn, jego cętki zniknęły jedna po drugiej, futro zanikło, pazury się wciągnęły, a kły skróciły. Nawet krótki i gruby ogon wycofał się w głąb ciała. Pozostał tylko młody, przystojny natol o metyckim wyglądzie.

— Jestem uzdrowiony! — zawołał były dzoker. — *¡Estoy curado! ¡Estoy curado!*

Peruwiański akcent był silny, ale Howard rozpoznał język hiszpański oraz drugi, który chyba był brazylijskim portugalskim. Choć nie rozumiał słów, kontekst pozwalał mu odgadnąć ich znaczenie.

Potrząsnął z westchnieniem głową. Widywał już dzokarów wyleczonych z dzikiej karty. Reakcje bywały bardzo różne. Wielu płakało. Inni mdleli. Bardzo często też podniecali się zniknięciem nadmiarowych części ciała albo pojawieniem się takich, których nigdy dotąd nie mieli. Zmiennokształtny as byłby bardzo cennym współnikiem dla oszustów sprzedających cudowne lekarstwo. Wielu dzokarskich turystów je kupiło, ale nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Jedyne u pewnej kobiety o głowie pokrytej sączącymi się strupami oraz porośniętej włosami wijącymi się na podobieństwo robaków, włosy uspokoiły się nieco. Rozpłakała się, mówiąc coś szybko po portugalsku do drugiej kobiety, która jej towarzyszyła. Raz po raz dotykała piersi pokrytą strupami dłońią.

Howard doszedł do wniosku, że efekt placebo czasem się jednak przydaje. Zignorował powtarzane przez czarowników propozycje nabycia ich magicznego napoju o zapachu lukrecji. Kupił sobie kolejną miseczkę z owocami i zaczął słuchać muzyków grających nową melodię.

— Howard, zgadza się?

— Słucham?

Opuścił wzrok. Sięgająca mu mniej więcej do pępka kobieta miała lśniące, kruczoczarne włosy, za duże designerskie okulary przeciwsłoneczne oraz płaszcz z wełny alpaki, intensywnej barwy węgla drzewnego, narzucony niczym skrzydła motyla na niebieską letnią sukienkę z mory. Błada noga, muskularna, lecz kształtna, wysuwała się spod tego stroju w pozycji tancerki. Kobieta unosiła ku niemu głowę, odsłaniając równie bladą szyję oraz kuszące fragmenty małych, jędrnych piersi.

Choć peruka była wysokiej jakości, Howard — który patrzył na nią z góry i zdobył w Dżokarowie spore doświadczenie w tych sprawach — zorientował się, że kobieta ją nosi. Wyobraził ją sobie bez peruki i płaszcza.

— Fantazja — skonkludował.

— Psst — uciszyła go konspiracyjnym szeptem, unosząc kokieteryjnie czerwony palec do ust. — Jestem tu incognito. — Opuściła okulary, kierując na niego nad oprawkami oczy intensywnej barwy heliotropu. — Mów mi „Asta”, dobra?

— Czy nie miałaś nie...

— To takizjański lila — wyjaśniła. — Szczyt mody. Uwielbiam kolorowe szkła kontaktowe. — Przesunęła okulary z powrotem na miejsce. — Widziałeś tę Haitankę? Musiałabym dodać trochę czerwieni kusicielki, chociaż u niej to chyba jest naturalny kolor.

Howard opuścił własne okulary.

— U mnie też.

Asta wyduła szkarłatne wargi w perfekcyjnym grymasie.

— Nie rozumiem, dlaczego je ukrywasz. To najbardziej uderzający szczegół twojego

wyglądu. — Zerknęła na jego krocze. — A przy najmniej jeden z najbardziej uderzających.

— Jestem trochę zbyt wrażliwy na światło — wyjaśnił Howard, przywracając okulary na miejsce. — W czym mogę ci pomóc, Asto?

— Z pewnością w kilku sprawach — odparła zalotnie — ale w tej chwili może mógłbyś mnie podnieść? Jesteś znacznie wyższy ode mnie, a ja chciałam się przyjrzeć *sijilli*.

— *Sijilli*? — powtórzył Howard.

— Tańcowi lekarzy i prawników — wyjaśniła kobieta. — To jeden z hiszpańskich tańców.

Wskazała na plac, gdzie pozycje zajmował nowy zespół tańca ludowego. Tłum gapiów tworzył barierę, która z łatwością mogłaby uniemożliwić zobaczenie czegokolwiek komuś o wzroście Asty.

Howard swego czasu chodził na koncerty i dźwigał dziewczyny na plecach, choć było to wiele lat temu.

— Nie masz pod ręką Złotego Chłopca?

— Jack to motyl, który przelatuje z kwiatka na kwiatek, prawie równie często jak ja.

— Machnęła ręką, płosząc chmurę prawdziwych motyli. — Postanowił udać się gdzie indziej.

— Kiedy się uśmiechała, robiły się jej dołeczki na policzkach. — Zresztą ty jesteś wyższy.

Howard zachichotał.

— To prawda.

Sięgnął w dół, a gdy Asta się nie opierała, objął ją w talii i posadził na swym prawym ramieniu.

— Podsadzano mnie już bardziej elegancko, ale nigdy wyżej — zauważyła z rozbawieniem w głosie. — Jeszcze zrobię z ciebie tancerza.

— To byłoby niezłe osiągnięcie — odparł Howard.

Fantazja zajęła się obserwacją zajmujących pozycje tancerzy.

— Tak sobie myślę, że mogłabym przyciągnąć do tej *sijilli* uwagę całego świata. — Mocno i sprawnie otoczyła nogami bark Howarda. — W końcu wielka Pawłowa robiła to samo z *jarabe tapatio*.

— Chyba nigdy go nie widziałem.

— Naprawdę? — Asta wsparła delikatną dłoń na jego drugim barku. — Nie widziałeś meksykańskiego tańca kapeluszy?

— Hmm, widziałem... — Howard poczuł, że się rumieni, co zawsze było zawstydzające, bo robił się wtedy ciemnozielony. — Kiedy byliśmy w Meksyku.

— *Ballet Folklórico* jest całkiem niezły, ale to już nie to, co za czasów, gdy dyrektorem był Hernández. Och, znowu jestem złośliwa. Powinnam była powiedzieć, że był cudowny. — Ścisnęła jego ramię. — Byłeś na przedstawieniu. Było cudowne, prawda?

— Hmm, tak

— Świetnie. Mam nadzieję, że moja tajemnica będzie z tobą bezpieczna. — Nogi Fantazji ścisnęły go równie mocno co zwoje Pełzaczk, kiedy Howard zabrał ją na koncert Króla Jaszczurów i Destiny. — Drzę na myśl, co by się stało, gdybym była taką szczerą w obecności Jacka...

Howard zachichotał. *Sijilla* była bardzo podobna do meksykańskiego tańca kapeluszy, to znaczy, że przypominała wszystkie hiszpańskie tańce pełne flirtowania i wirujących spódnic, ale zamiast *churros* i dziewcząt w *poblanas* były kobiety w męskich strojach, z ponczami i maskami na twarzach, przebrane za komicznych lekarzy i prawników z dawnej Hiszpanii. Mężczyźni nosili hiszpańskie stroje diabłów, z getrami z rozszczępionymi kopytami na prawej nodze, getrami z ptasimi pazurami na lewej i lubieżnie uśmiechniętymi żółtymi maskami na twarzach. Wyglądali jak cierpiące z żółtaczkę bękarty Johna Diabła Pięknej Stopy i Damy Kurzej Nóżki.

Muzyka nabrała piskliwych, przenikliwych tonów. Mężczyźni kroczyli dumnie, groźnie poruszając żółtymi maskami. Uderzali o ziemię kozimi kopytami i kurzymi stopami, posuwając się naprzód chwiejnym krokiem. Wtem lekarze zaczęli wymachiwać butelkami z czymś, co wyglądało jak patentowane lekarstwa albo może próbki moczu. W odpowiedzi prawnicy wyciągnęli papiery wyglądające na pozwy. Po krótkim czasie krążenia wokół siebie i flirtowania kobiety zaczęły ganiać mężczyzn po placu. Howard nie wiedział, co myśli o tym Asta, ale z jego punktu widzenia przypominało to Dzień Sadie Hawkins w liceum w Dżokerowie.

Świnka morska zawołała coś po hiszpańsku. Asta klasnęła w dłonie z zachwytem.

— Taniec upamiętnia pracę lekarzy na ranczach w Qosñipata oraz tamtejszą epidemię malarii.

— Tachy 'emu by się to spodobało — odezwał się Howard, kiedy lekarze i prawnicy przegnali już wszystkie duchy malarii. — Powinniśmy... — Słowa ucichły na jego ustach, gdy mężczyźni zmienili maski na przedstawiające białe, chude twarze elfów, zwieńczone długimi, rudymi włosami oraz kapeluszami ze strusimi piórami w stylu Trzech Muszkieterów. — Albo może nie...

Lekarze i prawnicy ze swymi patentowanymi medykamentami oraz pozwami w walce z wirusem dzięki karty odnieśli znacznie mniej sukcesów. Tak przynajmniej zinterpretował ten ludowy balet Howard. Takizjańskie diabły przegnały z placu wszystkich pozostałych tancerzy poza dżokerskim mistrzem ceremonii. *Sijilla* się skończyła i muzycy zrobili sobie przerwę.

Asta poklepała Howarda po ramieniu.

— Dochowajmy naszej małej tajemnicy.

— Nie mam nic przeciwko temu — zapewnił.

Parsknęła śmiechem, jednocześnie spontanicznym i wypracowanym, a potem zsunęła się na dół po jego ramieniu jak po rurze strażackiej. Spadła pewnie na nogi, opierając się o niego jedną



ręką.

Szybko ją jednak cofnęła.

— Ojej — mruknęła, uświadamiając sobie, w którym miejscu ją wsparła. — To było bardzo bezpośrednio z mojej strony.

Howard wzruszył ramionami, spoglądając na nią z góry.

— Zdarza się.

— Muszę ci to wynagrodzić. Postawię ci obiad. Czy lubisz uliczne jedzenie?

— Wszystkie mogą spróbować jeden raz — odparł z uśmiechem.

— To również i moja dewiza. — Asta spojrzała na jego krocze, potem na twarz, a później znowu na krocze. — Zaczekaj tutaj! — zwołała, oddalając się. — Wrócę w trymiga!

Motyle podążyły za nią, najwyraźniej zafascynowane równie mocno jak Howard. Gdy Asta wróciła z jedzeniem, dzóker nadal miał potężny zwód. Tym razem jednak powodem nie był jej taniec. Siedział na skraju fontanny, która przetrwała już kilka stuleci i mogła wytrzymać imponujący ciężar jego ciała.

— Mają tu naprawdę cudowne smakołyki. — Asta balansowała torebkami z brązowego papieru i dwoma kubkami z biegłością wprawnej kelnerki. — Większość jest dla ciebie, ale mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli coś sobie wybiorę. — Usiadła obok niego na brzegu fontanny, delikatna jak wróżka, i rozłożyła papierowe torby w wygodne obrusy. — *Pepián de cuy* — oznajmiła, otwierając pierwszy pojemnik — Świnia morska w sosie fistaszkowym. — Otworzyła drugi, odsłaniając smakowicie wyglądające kawałki mięsa nadzianego na patyki, spoczywające na czymś przypominającym kaszę. — I pieczona lama z pilawem z quinoa. Nigdy nie jadłam ani jednego, ani drugiego.

— Ja jadłem quinoa — przyznał Howard. — Można ją dostać w sekcji zdrowej żywności „Kosmicznej Dyni”.

— Widzę, że lubisz eksperymentować — rzekła z podziwem Asta. — To mi się podoba. — Podała mu kubek — A tu masz coś, czego w „Kosmicznej Dyni” raczej nie dostaniesz. — Uśmiechnęła się. — Zapewniam, że to w pełni ziołowe i organiczne.

Kubek, jak prawie wszystkie kubki, wydawał się bardzo mały w porównaniu z dłonią Howarda. Musiał go ująć w koniuszki palców. Herbata miała przyjemną, zielonkawożółtą barwę, jak zwykła jasna zielona herbata. Pływało w niej parę sporych liści tego samego koloru co jego skóra. Pociągnął mały łyżeczek. Smak był słodko-gorzki, ale przyjemny, słodszy niż smak zielonej herbaty, czy tego, co dzisiaj zwano ziołową herbatą, a co babcia Mueller zwykle określała słowem „ziółka”.

— To herbata z liści koki. — Asta uśmiechnęła się figlarnie i wypila łyk ze swojego kubka. — To właśnie pije się w Andach.

— Koki? — Howard opuścił rękę z kubkiem i przyjrzał się liściom. — Czy to z nich produkuje

się kokainę?

— Nie tylko, ale najczęściej — odparła ze śmiechem. — Herbatę robi się ze słodkich liści. Gorzkie zawierają więcej kokainy, ale Andyjczycy wolą słodkie, do żucia albo do picia.

Wskazała ręką na stragan, w którym sprzedawano herbatę.

Howard zauważył tam parę tubylczych dziewczyn w białych sukniach w stylu flamenco. Na rąbkach i dekoltach wszystkich wyszyto takie same zielone liście. W koszykach na ladzie leżały ich całe stopy — zarówno świeżych, jak i suszonych. Styropianowe opakowania i lizaki w choinkę wydawały się tu zupełnie nie na miejscu.

— Według opowieści pierwszy kwiat koki wyrósł w miejscu, gdzie dwaj zazdrośni kochankowie rozerwali w pół rozpustną kobietę — wyjaśniła z uśmiechem Asta. — Zabita stała się Cocamamą, inkaskim duchem zdrowia i szczęścia, boginią krzewu koki. — Pociągnęła kolejny łyk — Mówi się też, że mężczyźni nie powinni żuć jej liści, zanim nie zadowolą kobiety w łóżku. — Mrugnęła do niego znacząco. — Myślę, że ten jeden raz możemy złamać tę zasadę.

Howard przesunął się nerwowo.

— Interesujesz się folklorem?

— To moja zawodowa słabość — przyznała. — Kocham taniec, a wszystkie najlepsze balety są oparte na ludowych opowieściach. — Spojrzała na kawałki lamy z rusztu. — Wyciągnęłam kartę, kiedy byłam na drugim roku w Juilliard School. — Wybrała sobie jeden z patyczków. — Właśnie robiliśmy próby przed wystawieniem *Giselle*. — Zaczęła skubać mięso, delikatnie, ale sugestywnie. — Byłam jedną z willid.

— A co miał do tego Willis?

— Nie chodzi o Bruce'a Willisa. — Odgryzła kolejny kęs mięsa. — Chyba żeby występował w horrorze! — Roześmiała się lekko, płosząc kilka ciekawskich motyli. — Willidy to duchy porzuconych dziewcząt, zmarłych przed dniem ślubu. Krążą po lesie, a jeśli złapią jakiegoś mężczyznę, każą mu tańczyć tak długo, aż umrze. Naprawdę wczułam się w tę rolę, bo właśnie rzucił mnie chłopak Dlatego, że ja byłam w corps de ballet, a on był solistą i tańczył rolę Albrechta. — Asta ze złością odgryzła małymi, białymi zębami kawałek mięsa lamy. — Chciałam, żeby mnie pragnął, chciałam, żeby cierpiał, ale przede wszystkim chciałam, żeby przestał tańczyć. — Skinęła patyczkiem z niedojedzonym mięsem. — Od tej pory wszystko z reguły jest dobrze. — Przerwała na chwilę, żeby się zastanowić. — Chociaż, jeśli tańczę w duecie z mężczyzną, to musi być stuprocentowy gej. Sześć w skali Kinseya — przyznała, wydymając usta, a potem zerknęła na Howarda. — A jak brzmi twoja historia? Za bardzo lubiłeś baśń o trzech koziołkach?

— Lubilem, ale nie sądzę, by to miało wpływ na moją dziką kartę. — Howard zachichotał. — W dzieciństwie miałem brodawki. Okropnie się ich wstydziłem. Dzieciaki przezywały mnie

„Panem Ropuchem”. Potem złapałem wirusa. Cały pokryłem się brodawkami i do tego zrobiłem się zielony, ale nikt już mi nie dokuczał. Chociaż od „Pana Ropucha” się nie uwolniłem. — Wzruszył ramionami i wziął sobie parę patyczków z mięsem lamy. — Ale z drugiej strony zawsze lubiłem *O czym szumią wierzby*. Miałem ładne wydanie, które dostałem od babci na urodziny. Lubiałem też samochody i dlatego postanowiłem, że zostanę pierwszym dzokerskim kierowcą NASCAR. To pomaga, kiedy człowiek jest takim twardzielem, że przeżyje każdy wypadek — Spróbował mięsa i doszedł do wniosku, że lama ma smak pośredni między wołowiną a cielęcina. Krótko mówiąc, peruwiańska shoarma. — Ale dzika karta miała inne plany. Gdy tylko zrobiłem prawo jazdy, zacząłem rosnąć. — Zabrał się do jedzenia. — A gdy już zacząłem rosnąć, to naprawdę zacząłem rosnąć. Żegnaj „Panie Ropuchu”, witaj „Trollu”.

— Witaj Trollu — powtórzyła zalotnie Asta. Wzięła sobie trochę *pepián de cuy* i zaczęła jeść bez słowa komentarza. Muzycy stroili już instrumenty.

Howard zjadł resztę. Pomyślał, że świnka morska jest całkiem niezła i smakuje jak kurczak, w tym sensie, w którym królik smakuje jak kurczak — to znaczy, że smakuje jak królik.

Spojrzał na dzokerkę w kształcie wielkiej świnki morskiej i zawstydził się nagle. Kobieta ogłosiła, że teraz zobaczą *Chuchos*, taniec mieszkańców dżungli.

Asta wsparła się o ramię siedzącego Howarda.

Tańczące na placu kobiety nosiły wieńce z kwiatów, jakie widuje się na jarmarkach renesansowych, oraz trzymały długie kije ozdobione wstążkami i kwiatami z jedwabiu. Mężczyźni mieli nakrycia głowy ozdobione piórami, a na twarzach maski natoli z komicznymi wąsami. W rękach trzymali laski i każdy z nich podskakiwał w tańcu niczym peruwiański Mister Bo Jangles.

Potem pojawiły się stworzenia z dżungli. Kobiety w maskach i nakryciach głowy upodabniających je do papug, z wielobarwnymi piórami harmonizującymi z kolorami sukni, natolscy mężczyźni przebrani za niedźwiedzie i małpy oraz podobni do zwierząt dzokerzy zachowujący się jak zwierzęta. Jaguarolak ganiał świnkę morską po placu, zmieniając się po drodze z pełnego człowieka w pełnego jaguara i z powrotem. Cały czas miał jednak na sobie ponczo i spodnie, wskutek czego wyglądał jak południowoamerykańska wersja jednego z próżnych tygrysów z *Little Black Sambo* — tyle że potykał się tylko o dżinsy, zamiast zmienić się w jaguarowe masło.

Nagle zabrzmiał donośny dzwon katedry ogłaszający dziewiątą rano.

Fantazja pochyliła się ku niemu.

— Czy moglibyśmy pójść w jakieś bardziej prywatne miejsce? — wyszeptała Howardowi do ucha w tej samej chwili, gdy bito w dzwon. — Obserwują mnie.

Ostatni dzwon wybrzmiał i Howard rozejrział się wkoło. Przyglądało się im wielu ludzi, głównie natole, a także kilku dzokerów z aparatami fotograficznymi. Jak zwykle chcieli układkiem zrobić

zdjęcia olbrzymiemu dzokeroowi, udając, że fotografują katedrę albo patrząc na niego z zażenowaniem, kiedy ich przyłapał. To było normalne. Z takim samym traktowaniem spotykał się co weekend, kiedy odwiedzał zoo w Central Parku.

Nowym elementem były motyle. Ich chmury nadal krążyły wokół kosza na śmieci oraz straganu z owocami, a także na skraju górnego basenu fontanny, by pić przelewającą się przez brzegi wodę. Było tu jednak zaskakująco wiele motyli sowych oraz innych mających na skrzydłach plamy w kształcie oczu, kierujące się na niego niczym soczewki aparatów fotograficznych.

Howard przyjrzał się uważnie jednemu z nich. Po paru chwilach motyl zerwał się do lotu, jakby był to tylko przypadek i umysł dzokera wprowadzał go w błąd. Spoglądając kącikiem oka spod okularów przeciwsłonecznych, Howard zauważył jednak, że wiele innych motyli skupia się na nim jak morze fotografów.

Wstał i przeciągnął się, nie spuszczać z oczu skrzydlatych owadów. Choć niektóre koncentrowały się na nim, większość kierowała fałszywe oczy na Astę.

Howard spotykał się już z bardzo różnymi mocami asów i wiedział, że nie jest rozsądne zbywać dziwne wydarzenia jako przypadek, zamiast dopatrywać się bardziej złowieszczych przyczyn. Zwłaszcza biorąc pod uwagę zakapturzoną postać, którą dostrzegł pośród kalejdoskopu motyli pod Museo Larco. Postać, która pojawiała się dokładnie w chwili przybycia Asty.

Przypomniał sobie, jak motyle zareagowały na jego cygaro. Nie sądził, by mógł wypalić aż tyle, by oczyścić z nich cały plac, ale w pobliżu znajdowały się trzy kościoły, a katolicy kochali świece i kadzidło.

— Masz ochotę na poranną modlitwę? — zapytał Howard. — Arcybiskup Fitzmorris obiecywał, że odprawi świąteczne modły. Ojciec Kalamarnica zapewne również się zjawi.

Podobnie jak Howard, Asta nie sprawiała wrażenia kogoś, kto często chodzi do kościoła, uśmiechnęła się jednak szeroko.

— To brzmi bosko...

Catedral de Santo Domingo miała wspaniałe drzwi, jak przystało na katedrę, oraz chrzcielnicę z wodą święconą, zgodnie z oczekiwaniami. Całe szeregi identycznie ubranych zakonnice odmawiały różaniec, a księża i ministranci wymachujący kadzidlicami wypełniali powietrze zapachem kadzidła. Na ambonie stał jakiś nieznany mu biskup, posługujący się łaciną na skalę wykraczającą poza możliwości Howarda. To jednak nie miało znaczenia. Liczył się jedynie fakt, że kadzidło wywarło pożądany skutek i Asta uwolniła się od podążającej za nią świty motyli.

Katedra łączyła się też z mniejszą i bardziej tłoczną Iglesia del Triunfo. Z jakiegoś powodu, zapewne powiązanego z politycznie niepoprawną historią, znajdował się w niej posąg przedstawiający jakiegoś świętego zabijającego Inkę. Obraz Najświętszej Pani enki otaczało

mnóstwo świec wotywnych.

Zrobiło się naprawdę gorąco, gdy Howard osunął się na kolana, a potem przyklucnął, by być mniej więcej tego samego wzrostu, co Asta. Tancerka wspięła się na palce, by sięgnąć ustami do jego ucha.

— Idź na dworzec — wyszeptala. — Kup bilety do Aguas Calientes. Nie mów nikomu. Proszę, później ci wszystko wytłumaczę! — Pocałowała go w policzek — Zależy od tego życie dziewczynki!

Asta odsunęła się od niego, przeżegnała się, wrzuciła trochę pieniędzy do skrzynki na datki dla biednych i zapaliła nową świeczkę.

Howard nie przepadał zbyt za kościołami, a ten nie podobał mu się jeszcze bardziej niż inne, gdy zauważył kilka ciem unoszących się w powietrzu w kątach poza zasięgiem blasku świec.

Wstał i ruszył z powrotem ku przejściu do katedry. Zatrzymał się na moment, by zachować pozory, jakby przyszedł tu wysłuchać gościnnych kazań arcybiskupa Fitzmorrisa i Ojca Kalamarnicy, a potem wymknął się przez drzwi wejściowe, starając się zachowywać jak turysta, niepewny, co teraz powinien obejrzeć.

Leciało za nim kilka motyli i ciem, ale sprawiały wrażenie znacznie mniej zaciękwionych niż wtedy, gdy niośł Astę na ramionach. Resztki zainteresowania straciły, gdy zapalił cygaro i poświęcił sporo czasu na cieszenie się nim.

Fulgencio Batista miał znakomity gust, jeśli chodziło o cygara. To jedno wystarczyło mu na całą drogę na dworzec. Howard kupił dwa bilety, po czym usiadł na ławce i zaczął przerzucać turystyczną broszurę opisującą Aguas Calientes. Zastanawiał się, w co właściwie się wpakował. Miał dziewięć stóp wzrostu i był twardy jak nosorożec, nie martwił się więc zbyt o siebie, Asta zaś sprawiała wrażenie kobiety, która potrafi sobie poradzić, ale jeśli jakieś dziecko wpadło w kłopoty? To brzmiało paskudnie.

Na starym mosiężnym zegarze była 10:25. Do odjazdu pociągu do Aguas Calientes zostało pięć minut. Howard zauważył kilka pokrytych przypominającymi porosty plamami ciem, ledwie widocznych na zaśnieżonej tarczy zegara. Obok niego przesunęła się bezgłośnie jakaś odziana w długą szatę postać. Howard poderwał się nagle, spodziewając się ujrzeć zjawę, którą widział przedtem w chmurze ciem czarownic, ale to była tylko zakonnica.

Siostra usiadła obok Howarda i uśmiechnęła się miło do niego, a potem ponownie zwróciła się w stronę peronu. Spuszczała skromnie wzrok, przesuając paciorki różańca. Twarz miała świeżo umytą, czystą i jasną, bez śladu makijażu, a oczy wielkie i brązowe, z maleńkimi pikselami w źrenicy teatralnych szkieł kontaktowych wysokiej jakości.

Howard podał Fantazji bilet ukryty w turystycznej broszurze, ale wsiedli do pociągu osobno.

Stare pulmanowskie wagony pełne były ręcznie polerowanego drewna, mosiądzu

i staroświeckiej elegancji. Howard znalazł pusty przedział i czekał. Rozległ się gwizdek i pociąg ruszył ociężale. Prędko się jednak rozpedził i koła zaczęły stukać w uspokajającym rytmie, który szybko stał się dla niego niesłyszalny. Howard wpatrywał się w widoczny za oknem krajobraz, skaliste wzgórza pokryte rdzawą glebą, drzewa i krzewy porośnięte liśćmi w różnych odcieniach zieleni. Pociąg piął się powoli w górę, zmierzając krętą drogą do serca Andów.

Zakonnica dołączyła do niego po kilku minutach i z uśmiechem zasunęła zasłony.

Gdy już konduktor sprawdził bilety, Asta zamknęła drzwi i starannie przeszukała przedział. Nie chodziło jej jednak o elektroniczne „pluskowy”, lecz o prawdziwe, żywe owady. Po chwili usiadła prosto.

— Co jest grane z tymi motylami? — zapytał Howard.

— Mają asa — wyjaśniła Asta.

— Tyle się domyśliłem. Ale jak on się nazywa?

Wzruszyła ze złością ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? Człowiek Cma. Zbieracz Motyli. Lepidopterolog. Wybierz nazwę.

— Posłaniec w Czerni?

— Hortencio wymienił tę nazwę, ale ona nie ma sensu — odparła Asta ze zdziwioną miną.

— Gdzie ją słyssałeś, do licha?

Howard sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej broszurę z Museo Larco.

— Pierdolony folklor — mruknęła tancerka, czytając ją. — Czy wszyscy wsadzali nos w książki z baśniami, kiedy wyciągnęli dziką kartę?

— Ja nie.

— No jasne, Trollu.

Asta przewróciła oczami i oddała mu broszurę.

— Kto to jest Hortencio?

— Pamiętasz synów Batisty z Kuby?

— Uhm. Ale nie miałem okazji poznać ich zbyt dobrze.

— No cóż, ja miałam — przyznała Asta. — A przynajmniej jednego z nich. — Łypnęła ze złością na dzokera. — Nie patrz tak na mnie. Nie można powiedzieć, żebyś nie liczył na to, że tobie również się poszczęści. I kto wie, może i tak się stanie. Lubię się trochę wyładować, kiedy czuję się znudzona, zaciekawiona albo wystraszona, a muszę ci powiedzieć, że w tej chwili jestem cholernie przerażona.

Pociąg jechał naprzód, koła stukały w stałym rytmie.

— Co cię połączyło z Hortencio Batistą? — zapytał Howard.

— Seks — odparła bez ogródek — Nie ma się czym chwalić. A przynajmniej ja nie mam. On pewnie się tym chwalił. Lubi się przechwalać. Bardzo dużo mi opowiadał o kontaktach jego

rodziny z mafią, o czym przecież wszyscy wiedzą. O tym, że Rodzina Gambione prowadzi interesy z kartelami kokainowymi, w tym również z tymi, które działają w Peru. Przechwalała się też, że jakiś boss kartelu porwał córkę drugiego bossa, a Rodzina Gambione pragnie mieć coś na tego pierwszego bossa, więc albo załatwi dziewczynkę, albo porwie ją dla siebie. Jeszcze nie są pewni, co zrobią, ale wiedzą, gdzie ona jest, i jutro nadejdzie dzień ich akcji.

— Opowiedział ci to wszystko?

— Nie — odparła z niedowierzaniem, zastanawiając się nad jakąś odpowiednio ciętą odpowiedzią. — Robił mnóstwo aluzji do tego, a potem zasnął. Za mało seksu i za dużo kokainy. Wtedy przeczytałam jego dokumenty. — Wzruszyła ramionami. — Nie mogłam pójść z tym do glin. Wszyscy są skorumpowani, a nawet ci, którzy nie są, z reguły patrzą na „szerszy obraz” i nie obchodzi ich, że jedna dziewczynka ucierpi, jeśli zaskłodzi to handlowi narkotyków. Dlatego pomyślałam sobie: *Pieprzyć to! Jestem ask! Poradzę sobie!* I stworzyłam ten szalony plan. Nie osądzaj mnie. Sama nie czuję się z tego powodu zbyt dumna, ale wzięłam przykład z Almy Spreckels i doszłam do wniosku, że wolę być zabawką starca niż niewolnicą młodzieńca. Dlatego zadzwoniłam do starca, którego znam, i powiedziałam mu, że po powrocie do Nowego Jorku będę się z nim pieprzyć na wszystkie możliwe sposoby, jeśli tylko załatwi prywatny helikopter i grupę ochroniarzy, żeby zabrać mnie z Peru razem z dziewczynką, zanim dorwie ją Rodzina Gambione. — Sięgnęła pod habit i pogrzebała w kieszeni sukni. — Tylko na nią popatrz. — Wręczyła Howardowi zdjęcie. — Ma najwyżej siedem lat. Góra osiem. — Przygryzła wargę, usuwając mruganiem łzy z oczu. — Też kiedyś taka byłam. To znaczy, musiałam nosić pointy i dałabym wiele za taką ładną sukienkę... ale to tylko dziecko. Żadne dziecko nie zasługuje na śmierć.

Howard przyjrzał się zdjęciu. Asta miała rację. Dziewczynka wyglądała na sześć, siedem, góra osiem lat. Miała puciołowate policzki, ciemne oczy i indiańskie rysy twarzy. Była ubrana w przesadnie zdobną sukienkę, obszytą kryształami, cekinami i koronkami, a jej uśmiech sprawiał wrażenie raczej wymuszonego niż radosnego, niemniej była tylko dzieckiem. Fotograf użył też jakiegoś niegustownego efektu zwiększającego połysk i zdjęcie wyglądało na zrobione w jakimś perwersyjnym buduarze.

Howard odwrócił je na drugą stronę. Napisano tam imię dziewczynki, „Lorra”, a pod spodem „Cocamama”.

— Bogini krzewu koki?

— To kodowa nazwa ich operacji. — Asta wzięła zdjęcie z jego ręki. — Albo jakiś chory żart sugerujący, że rozerwą ją na dwie części.

Howard potrząsnął głową.

— I zamierzałaś zrobić to sama?

— Kurwa, nie ma mowy! — zakłęła Asta. — Chciałam, żeby Jack mi pomógł. Żółty Chłopiec

ciągle pieprzy o tym, jak skopał tyłek Peronowi. Kłopot w tym, że zapomniałam, że on nie potrafi trzymać języka za zębami, a narkotykowy boss, który porwał Lorę, albo sam jest asem, albo ma asów na swoje usługi. Jednym z nich jest ten El Emisario Negro, który potrafi szpiegować innych za pośrednictwem motyli i ciem. Co gorsza, mają też tego przerażającego żabopodobnego dzokeroasa zabójcę, który posługuje się zatrutymi strzałkami. Nazywają go Kurarą. Z nim z pewnością nie chciałabym się zmierzyć w pojedynkę. Dlatego musiałam wykonać bardzo szybki taniec, by znaleźć kogoś godnego zaufania, kto zastąpi Jacka.

— I wybrałaś mnie.

— Albo ty, albo Młot Harlemu. — Asta wzruszyła ramionami. — Nie mam nic przeciwko łysym, czarnym facetom, ale o ile mi wiadomo, Mordecai jest szczęśliwie żonaty. Nie zamierzam nikomu kraść męża. — Skrzywiła się. — A nawet gdybym zamierzała, z pewnością nie chciałabym, żeby kobieta z Harlemu wzięła mnie na muszkę.

— A co z łysymi zielonymi facetami?

— Howardzie, miałam cię na oku już od chwili, gdy zauważyłam cię na widowni, kiedy tańczyłam Coppelię — wyznała Asta. — Teraz z pewnością się boję, a droga do Aguas Calientes jest długa.

— Zdajesz sobie sprawę, że masz na sobie habit?

— Jesteś katolikiem?

— Nie.

— To dobrze. — Uśmiechnęła się. — Ja też nie. — Zaczęła rozpinać mu rozporek. — Ojej. Widzę, że żydem też nie jesteś.

Zatrzymała się, a potem dotknęła go swą małą dłonią.

Howard cierpiał. Nadeszła okropna chwila. Jego penis, choć zielony, był proporcjonalny. To jednak znaczyło, że miał ponad trzydzieści centymetrów długości, razem z brodawkami i całą resztą. Przypominał raczej spory ogórek niż część ludzkiego ciała. Sam jego widok wielokrotnie wystarczał, by zmieniać spotkania z kobietami, które mu się podobały, w „to moja wina, nie twoja”, a potem w kolejną samotnie spędzoną noc.

— Wiesz co? — Z ust Asty popłynęły słowa, których się bał. — Nie sądzę, bym zdołała pomieścić to wszystko. — Poglaskała go po drzewcu. — Ale z pewnością jestem gotowa spróbować. Uśmiechnęła się szerzej. — Widziałeś kiedyś taniec willid?

— Nie.

— Profan — skarciła go. — To trzeba zmienić.

Stała na pointach. Howardowi stanął już wcześniej.



Asta zrzuciła habit zakonnicy i płaszcz z wełny alpaki. Strój, który miała pod spodem, był intensywnie niebieski, podobnie jak włosy, ostrzyżone krótko na modłę Annie Lennox. Oczy również przybrały barwę ultramaryny, intensywną jak na bizantyńskiej ikonie. Howard nie sprawdzał, czy to szkła kontaktowe, ale pasowały do całej reszty, nadając Aście wygląd nimfy wodnej. Nie było w tym nic dziwnego, jako że powiedziała mu, że ma zatańczyć tytułową rolę w balecie *Ondyna*.

Magnetofon w dziupie grał muzykę klasyczną. Dla Howarda był to znak, by nie oglądać się za siebie. Zamiast tego sam zaczął robić trochę hałasu. Złoty Chłopiec słyszał z tego, że potrafi unieść czołg nad głowę, ale Troll nie był aż taki silny. Niemniej umiał przewrócić chevroleta na dach, a to było wystarczająco głośne.

Z domu wybiegli mężczyźni trzymający w rękach broń. Nagle jednak stanęli, wytrzeszczając oczy z zachwytem i bojaźnią, jakby nagle ujrzeli wizję transcendentnego piękna, którą zarazem gorąco pragnęli wyruchać.

Howard świetnie ich rozumiał.

Ponieważ zapchali jednocześnie drzwi wejściowe i okna, okrążył budynek i otworzył kopniakiem boczne drzwi, wyrywając je z zawiasów z satysfakcjonującym zgrzytem.

Budynek miał dwie kondygnacje. Pierwszym, co zauważył Howard, był fakt, że na ścianach wisi tu piekielnie dużo gablot z motylami. Ścisnął cygaro między zębami i zaciągnął się na wypadek, gdyby któryś z owadów nagle ożył, ale one pozostały nieruchome. Były tylko trofeami, znumifikowanymi ulubieńcami, były mi współnikami, czy co tam właściwie Posłaniec w Czerni sądził o swoich sługach.

Howard wbiegł na górę, pochylając się pod niskim sufitem. Otwierał kolejne drzwi, aż wreszcie znalazł za jednymi z nich sterty lalek i zabawek oraz dziecięce łóże z baldachimem. Siedziała na nim mała dziewczynka, kryjąca się za kobietą, która celowała w intruza z pistoletu. Odciągnęła kurek, ale Howard rzucił w nią wyrwanymi drzwiami. Kobieta i jej broń uderzyły o ścianę. Głowa jednej z lalek eksplodowała, kula wbiła się w ścianę, tynk posypał się na wszystkie strony, a kobieta osunęła się na podłogę.

Dziewczynka zaczęła krzyczeć i nie chciała się uciszyć, powtarzając coś w jakimś języku, którego Howard nie rozumiał. Wiedział jednak, że z pewnością nie jest to hiszpański.

— Wszystko w porządku — zapewnił. — Wszystko będzie w porządku, Lorro. Zabierzemy cię stąd.

Dziewczynka nie millła. Howard zerwał z łóżka pościel, zwinął w nią wyrrywające się dziecko i przytulił je do piersi. Potem zbiegł po schodach ku bocznym drzwiom, wypadł na zewnątrz, zacisnął mocno powieki i powłókł się naprzód przy akompaniamencie dźwięków muzyki Hansa Wernera Henzego. Zadanie dodatkowo utrudniały mu przenikliwie krzyki rozlegające się tuż przy

jego żebrach.

Wtem uderzył czołem w daszek nad gankiem. Z pewnością jednak nie zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Rozbił daszek głową, a potem ryknął:

— Asto! Gdzie jesteś!

— Tutaj! O kurwa, to Żaba!

— Lorro! — wychrypiał nagle czyjś głos. — Lorro!

Howard poczuł się, jakby uczestniczył w jakiejś wypaczonej zabawie w marco polo. Poczł na nodze dłoń Asty. Wskazywała mu drogę, ale nadal nie przestawała tańczyć.

— Połóż ją tutaj! — Usłyszał, że drzwi dżipa się zatrzasnęły. — Ty prowadź! Ja nadal muszę tańczyć!

— Jak mam prowadzić, kiedy nic nie widzę?

— Możesz już trochę widzieć! Tylko podsadź mnie i nie patrz we wsteczne lusterko!

Zrobił tak, jak mu powiedziała. Posadził sobie Astę na barana. Otoczyła jego szyję nogami niczym starzec morski z opowieści o Sindbadzie. Z pewnością jednak ta wersja staruchy morskiej była bardziej seksowna i perwersyjna, jako że Asta robiła to w odwrotnej pozycji. Splotła kostki pod podbródkiem dzokera, ścisnęła udami jego skronie i posadziła tyłek na jego głowie, zasłaniając mu oczy tylną częścią spódnicy.

Podejrzewał, że ortodoksyjna choreografia *Ondyny* nie przewiduje takiej pozycji, ale Asta była zdolną tancerką i świetnie potrafiła improwizować. Otworzył oczy. Moc Fantazji nie wprawiła go w trans, choć czuł, jak jej ciężar przemieszcza się na szczycie jego głowy, gdy kobieta wiała się w przód i w tył, naśladując ruchy wodospadu — nimfa jako znak firmowy Olympia Beer.

Wyrwał z samochodu przednie siedzenie. Tyłne odpowiadało mu w sam raz. Swobodnie dosięgał stopą pedału gazu. Po raz pierwszy od czasów liceum ruszył w szaloną jazdę. Gdy pędził prowadzącą przez dżunglę szosą, nadal przy grywała mu płynąca z głośników muzyka baletowa.

— Zniknęliśmy im z oczu. — Asta zsunęła mu się z głowy, przytrzymując się pałąka dachu, i usiadła obok — Jedź najszybciej, jak możesz!

Nagle coś wylądowało na masce dżipa.

— ¡Put a fea! — wychrypiała gigantyczna żaba. Ograniczona znajomość hiszpańskiego pozwoliła Howardowi zrozumieć, że stworzenie nazwało Astę jakiegoś rodzaju kurwą. — ¡Monstruo verde! Deja a Lorra!

Żaba miała wielkie, złote oczy i czarną skórę pokrytą znakami koloru electric blue. Wielkością dorównywała dziesięcioletniemu chłopcu, ale przecież nie brakowało dorosłych dzokarów o wyjątkowo małych rozmiarach. Podobnie jak tych o dużych. Stworzenie miało na sobie kostium kąpielowy równie intensywnej niebieskiej barwy. Wdrapywało się na przednią szybę,

pomagając sobie wydłużonymi palcami wyposażonymi w wielkie, lepkie przysawki. Po grzbiecie spływał mu śluz mlecznej barwy.

Kurara, jadowity, żabopodobny dzoker zabójca.

Dzokerski chłopak wysmarował sobie palce żabim śluzem i skoczył naprzód. Złapał Howarda za twarz, trzymając się przedniej szyby palcami nóg. Jad spowodował lekkie odrętwienie, ale skóra Howarda była gruba i twarda. Jedynym jego wrażliwym punktem były oczy — jak pięta Achillesa czy miejsce na plecach Zygryfda.

Żaba najwyraźniej domyśliła się tego. Błyskawicznie wysunęła lepki język, który przylepił się do prawego szła wielkich okularów. Cofnęła go, ale neoprenowa opaska przytrzymująca okulary na miejscu wytrzymała. Howard kazał ją zrobić na zamówienie w sklepie dla surferów w New Jersey, by żaden z psychiatrycznych pacjentów nie mógł mu wykręcić podobnego numeru. Uważał, że to była bardzo dobra inwestycja.

Nagle szkło wypadło z oprawy. Kurara sięgnął ku oku przeciwnika oblepionym jadem palcami.

Howard ścisnął kierownicę kolanami, złapał obiema rękami za przednią szybę, wyrwał ją, cisnął na drogę razem z żabą i odjechał.

— *¡Juan!* — krzyknęła dziewczynka za plecami Howarda. Potem rozległo się łkanie.

— *¡Cállate, pinche putita tonta!* — warknęła Asta. — *Tu amigo, la rana, se fue. Te estamos tomando a América y tendrás todas las muñecas y cosas que quieres, y todo lo que tienes que hacer es fabricar cocaína para el Señor Phuc, ¿de acuerdo?*

— *¡No lo entiendo!* — odpowiedziała dziewczynka płaczącym głosem — *¡No lo entiendo!*

— Kurwa! — warknęła Asta. — Ona nawet nie mówi po hiszpańsku!

— Co ona powiedziała? — zapytał Howard, nie przestając prowadzić. — I co ty powiedziałaś?

— Powiedziała, że nie mówi po hiszpańsku! — Asta z wściekłością wyszarpnęła kasety z magnetofonu. Muzyka z *Ondyny* ucichła. — A ja jej tłumaczyłam, że zabierzemy ją do Ameryki, gdzie nie będzie się musiała bać, że ktoś ją porwie, a miły staruszek da jej miejsce, w którym będzie mogła żyć.

— I to wszystko?

Howard był pewien, że słyszał, jak Asta nazwała dziewczynkę „kurewką”.

— Jasne! — warknęła Asta. — Pominęłam fakt, że obiecałam zrobić Kienowi laskę, jeśli opłaci jej szkołę z internatem, ale... Och, tak na pewno nie będzie! — zawołała nagle tancerka. Rozległ się odgłos wymierzonego policzka, po którym znowu nastąpił płacz. Asta wydobyla skądś kajdanki i przykuła dziewczynkę do pałaka dachu.

Howard nie zdziwił się, że jego towarzyszą ma ze sobą kajdanki, ale reszta...

— Czy to rzeczywiście konieczne? To jeszcze dziecko!

— Wolałbyś, żeby wyskoczyła z pędzącego samochodu?

Howard nie był w tej chwili pewien, co by wolał. Wcisnął mocniej gaz, pędząc drogą, którą wskazała mu przedtem Asta.

— Dlaczego twoja moc nie zadziałała na żabięgo chłopca?

— Ona nie działa na chłopców — odpowiedziała odruchowo tancerka. — Tylko na mężczyzn. Pewnie jeszcze nie dojrzał.

Howard wciągnął nagle powietrze.

— To też był dzieciak?

— A może jest gejem. Albo dziewczyną. „Kurara” to może być też żeńskie imię.

— „Kurara” tak, ale „Juan”?

— Może to jak w tej piosence *Dziewczynka zwana Johnny*? The Waterboys? Tańczyłam przy niej.

To była dobra piosenka, ale kiepskie kłamstwo.

— Przed chwilą wyrzuciłem dziecko z samochodu?

— Co to ma za znaczenie? — zawołała poirytowana kobieta. — Skurwysyn jest jadowity! Te kufafony handlują narkotykami! Myślisz, że mieliby skrupuły przed wykorzystaniem dziecka jako zabójcy?

Miała trochę racji, ale Howard nie zamierzał tego przyznać. Nie chciał skrzywdzić dziecka i miał nadzieję, że tego nie zrobił.

— Juan! — zawołała nagle dziewczynka. — Juan!

Najwyraźniej słuchała jej święta Rita od spraw beznadziejnych albo jakiś inny święty wymieniony przez arcybiskupa Fitzmorrisa jako potencjalny patron dzikiej karty, Howard ujrzał bowiem przeskakującą z drzewa na drzewo postać, czarną plamę na tle błękitnego nieba, perfekcyjnie zakamuflowaną, gdy znajdowała się na tle listowia, ale dostrzegalną, gdy przeskakiwała nad szosą. Mały dziołek skakał z niewiarygodną siłą rzekotki, ale powiększoną do ludzkiej skali. To powinno być fizycznie niemożliwe, ponieważ siła rośnie proporcjonalnie do kwadratu wielkości, a ciężar do sześćcianu, ale — podobnie jak w przypadku lotu Sokolicy — prawa fizyki przestawały mieć znaczenie, gdy do gry włączała się dzika karta.

Wśród koron drzew latały również motyle oraz ćmy podrywające się do lotu z kory, gdy ludzka rzekotka przeskakiwała z gałęzi na gałąź. Zbierała się armia, a pośród tej armii można było wypatrzeć jej generała — zamazaną sylwetkę przypominającą widmo, która pojawiała się na chwilę tam, gdzie tylko zebrały się ćmy czarownice.

Dżip wyjechał z dżungli w oślepiający blask wiszącego nad wierzchołkami drzew słońca. Przed nimi rozpościerał się otwarty widok na dolinę, wspinającą się ku Machu Picchu, starożytnej cytadeli Inków. Howard przymrużył powieki, oślepiony blaskiem. W jego okularach

przeciwslonecznych brakowało jednego szkła.

W innej sytuacji chętnie by się tu zatrzymał, by zrobić trochę zdjęć i podziwiać wspaniałość dawno opuszczonej fortecy, jej szare, kamienne mury i fortyfikacje oraz porośnięte zieloną trawą place i aleje. Ale w tej chwili liczyło się tylko jedno: helikopter czekający na centralnym placu i trzy sylwetki widoczne obok niego.

— Tam! — zawołała Asta, wyciągając rękę. — Phuc je przysłał.

Howard zadał sobie pytanie, kim właściwie jest ten Phuc. Nie pytał Asty o jej sponsora. Przyjął założenie, że to jakiś wielbiciel baletu, którego poznała na kanapie castingowej. Z tego powodu nie miał prawa jej osądzać, ale płacząca dziewczynka to zupełnie inna sprawa.

— *¡Por favor, déjenme ir!* — błagała, gdy Howard zatrzymał dżipa. — *¡Por favor!*

— Teraz mówi po hiszpańsku — skwitowała Asta, wznosząc oczy ku niebu.

— *¡No lo entiendo!*

— Daj jej spokój — odezwał się Howard. — Dość już przeszła. — Spojrzała na dziewczynkę. — Wszystko w porządku, Lorro — zapewnił, ocierając jej łzy z policzków tak delikatnie, jak tylko pozwalały na to jego szorstkie dłonie. — Wszystko w porządku.

Łzy gromadziły się na jego palcu, ale nie chciały przestać płynąć. W lukach między brodawkami jego palce robiły się nieco odrętwiałe. Howard opuścił wzrok. Przedmioty pokrywające sukienkę nie były cekinami, lecz zestalonymi łzami. Mnóstwo ich leżało w tyle dżipa. Wyglądały jak diamenty wyplakiwane przez dobrą siostrę w baśni *Wróżki*.

Howard unosił palec z łzą i dotknął nią języka. Miała słodko-gorzki, eteryczny smak, ale język zdrętwiał mu w miejscu, którym jej dotknął.

To nie były diamenty, lecz kryształy kokainy.

— Jest Cocamamą — uświadomił sobie Howard. — To nie tylko określenie kodowe. To jest jej moc.

— No dobra, skłamałam. — Asta wzruszyła ramionami. — Ale większość z tego, co powiedziałam, jest prawdą. Nie jest córką narkotykowego bossa, ale ukradziono ją współnikom Rodziny Gambione, a gdyby nie udało im się jej odzyskać, byli gotowi zabić gęś, która znosi złote jaja. Gdyby zaś ją odzyskali, zamknęliby ją w piwnicy, żeby zamieniała słomę w złoto, cukier w kokainę albo inny taki syf z baśni. I tak ją uratowaliśmy.

— Być może — przyznał Howard. — Ale kim jest ten Phuc? Czy to kolejny narkotykowy boss?

— To mądry inwestor, który zabiega o grubość portfela — wyjaśniła dyplomatycznie Asta. — I dba o swoich ludzi. Dziewczynce nie będzie niczego brakowało. I tobie również nie musi. — Uśmiechnęła się. — Kien potrafi być szczególnie wdzięczny tym, którzy posiadają jakiś wyjątkowy talent.

Howard nadal nie był przekonany.

— Posłuchaj, kiedy zadzwoniłam do niego z Kuby — dodała Asta — Kien był przerażony. Że Rodzina Gambione jest skłonna zamordować tak bardzo utalentowaną dziewczynkę tylko dlatego, że się wkurzyli, że jakiś as zebrał grupę swoich chłopaków i zagarnął ją dla siebie. — Asta zdjęła Lorze jedną obręcz kajdanek — I wcale nie wymyśliłam tego syfu o El Emisario Negro i zabie zabójcy. Cała zgraja mafiosów zaczęła krwawić z oczu, kiedy pogryzły ich jakieś cholerne gąsienice. — Asta zapięła obręcz kajdanek na własnym nadgarstku. — Hortencio przeraził się śmiertelnie.

Powietrze wokół dziewczynki zamigotało, jak obłok brokatu. Cocamama położyła dłoń na skórze tancerki.

— Nie ma mowy! — Asta spoliczkowała dziewczynkę. — Brałam więcej koki, niż jesteś w stanie wyprodukować, kochanie.

— Wypuść ją — warknął Howard.

— Mam ją zostawić tutaj, pośród zabójców? Nie sądzę. — Asta miała speszoną minę. — Jak rozumiem, nie jesteś zainteresowany wstąpieniem do organizacji Kiena?

— Na to wygląda.

— Nawet gdybyśmy od czasu do czasu mogli ze sobą sypiać?

Howard czuł pokusę. Tylko przez krótką chwilę, ale i tak poczuł się źle z tego powodu.

— Nie.

— Twoja strata. — Asta westchnęła. — Ale obawiałam się, że tak odpowiesz. Jack to gaduła i harcerzyk, ale największy problem z nim polega na tym, że jest niezniszczalny. — Uśmiechnęła się lekko. — A ty nie jesteś. — Uniosła rękę w teatralnym geście. — Panie?

Rozległ się trzask przygotowywanej do strzału broni. Howard zauważył, że trzy Azjatki stojące za plecami Asty uniosły strzelby wielkiego kalibru, zdolne bez trudu poradzić sobie ze słoniem albo z nosorożcem. Albo z trollem.

Z helikoptera dobiegły tony ogranej świątecznej melodii — *Tańca cukrowej wieszczki* z baletu Czajkowskiego *Dziadek do orzechów*. Asta stanęła na pointach.

— No cóż — dodała, gdy Howard zamarł jak sparaliżowany. — Miałam nadzieję, że sprezentuję Kienowi na Gwiazdkę również oswojonego trolla. Chyba będzie się musiał zadowolić magiczną kokainową kurwą. — Zatańczyła wokół dziewczynki i podniosła ją na kajdankach, zmuszając Lorre do stanięcia na palcach. — Ćwicz, moja droga. Ćwicz! Inaczej nigdy nie zostaniesz baletnicą.

Lorra płakała, gdy tancerka wlokła ją do helikoptera. Kokainowe diamenty sypały się z niej na podobieństwo okruszków chleba. Asta zatrzymała się na chwilę, pozwalając dziewczynce odпочząć, i spróbowała jej zademonstrować, jak wykonać dramatyczny wyrzut nogi.

To był błąd. Lorra kopnęła ją w łydki. Boleśnie. Asta się zachwiała.

Howard oderwał od niej spojrzenie i padł na ziemię w tej samej chwili, gdy trzy Azjatki otworzyły ogień.

Kule wbiły się w bok samochodu.

— *Du ma! Du ma!* — zawołała Asta.

*Zapewne po wietnamsku* — pomyślał Howard. Dzwoniące tony grającej Czajkowskiego czelesty stały się trzykrotnie głośniejsze. Wyglądający spod samochodu Howard zauważył pięć par kobiecych nóg wchodzących do helikoptera.

Stopy Asty były najłatwiejsze do rozpoznania i bynajmniej nie piękne, lecz wypaczone, czarne i brzydkie jak jej dusza.

Rozległo się *pach-pach-pach* wirnika. Ziemia i kryształki kokainy posypały się na wszystkie strony. Towarzyszyły im niezliczone motyle. Cała chmura owadów należących do kilkudziesięciu różnych gatunków składała się w ofierze łopatom wirnika, nadaremnie próbując uniemożliwić start helikoptera. Maszyna wzniosła się w powietrze. Howard wstał, uchylając się, gdy jedna z Azjatek wystrzeliła do niego.

Trawa eksplodowała nagle tuż za jego plecami. Plama barwy lazurytu i gagatu wzbila się w powietrze. Kurara wylądował na boku helikoptera. Chłopiec żaba rozpostarł wydłużone palce na twarzy Azjatki wyglądającej przez lewe drzwi.

Kobieta znieruchomiała, zupełnie jak Howard, kiedy oglądał taniec Asty.

Howard dostrzegł swoją szansę. Zerwał się do biegu, pochylając się nisko, by uniknąć śmigieł startującej maszyny, skoczył w górę i złapał za lewą płożę helikoptera. Potem podciągnął się w górę. Złapał sparaliżowaną Azjatkę i wyrzucił ją z maszyny. Pechowo wpadła pod śmigło helikoptera, który przechylił się gwałtownie, pod wpływem wielkiego ciężaru dzokera. Na ziemi pojawiła się wielka, czerwona plama.

Howard wyrwał drzwi i zdzielił pięścią drugą Azjatkę. Kobieta uderzyła o przeciwległą ścianę. Asta krzyknęła przeraźliwie. Dziewczynka również. Zielonoskóry dzokier wyszarpnął ze zgrzytem śrub ławkę, na której obie siedziały, wypchnął ją tyłem ze śmigłowca i zeskokczył razem z nią na ziemię. Uniósł ławkę nad głową, by nic się im nie stało. A przy najmniej dziewczynce.

Wylądował na grzbiecie niczym nosorożec. Impet upadku wybił mu powietrze z płuc, a ławka uderzyła go w pierś. Asta i Lorra krzyknęły. Nie wiedział, z jakiej wysokości upadł. Z pewnością z większej niż kiedykolwiek dotąd.

Na tle błękitnego nieba widział wznoszący się coraz wyżej helikopter. Tysiące motyli i ciem skupiały się wokół niego. Żaba zeskokczyła na ziemię i śmigłowiec zniknął w kalejdoskopowej chmurze przemierzających się owadów. Po chwili usłyszał eksplozję. Po jakiejś minucie poczuł woń płonącej benzyny, zmieszanej ze smrodem płonących dziesiątków tysięcy owadów.

Asta odpięła się od ławki, a potem zrobiła to samo z Lorrą i oddaliła się chwiejnie o kilka kroków. Pusta ławka zaczęła się przewracać. Howard uświadomił sobie, że nadal podtrzymuje ją prawą ręką.

Odepchnął ławkę na boki i usiadł na ziemi. Przyglądał się Kurarze, który przycupnął na stercie starożytnego gruzu, zaciskając na szarych kamieniach czarne i niebieskie palce czterech kończyn i poruszając trzecimi powiekami wielkich, złocistych oczu. Wpatrywał się w kalejdoskopową chmurę motyli, która skupiła się w wir, przechodzący stopniowo w zakapturzoną postać. Wewnątrz niej wirowały tysiące barwnych skrzydełek, tworząc tęczową podszewkę, najwspanialszy żywy brokat na świecie. Mroczna zewnętrzna tkanina składała się z mozaiki tysiąca czarnych ciem czarownic. Twarz postaci tworzył motyl sowy, a dłonie dwie wielkie białe ćmy czarownice.

— Zapomnę o tobie, Howard! — wściekała się Asta, kuśtykając boleśnie. — I o tobie, pierdolona żabo! I o tobie, ty... kimkolwiek jesteś! — zawołała, wskazując na Posłańca w Czerni. — I o tobie, kokainowy bachorze! Jestem pierdoloną diwą! Pierdoloną gwiazdą! — Spróbowała stanąć na pointach, ale się potknęła. Łydki nadal jej krwawiły w miejscach, gdzie kopnęła ją Lorra. — Zapomnę o was wszystkich!

— *\*Tak\** — wyszeptał Posłaniec w Czerni głosem, który nie był głosem, lecz skoordynowanym szumem tysięcy motyli skrzydełek — *\*Tak\* \*Zapomnij\* \*To znakomita sugestia...\**

Postać podплыnęła do niej i rozchyliła szaty czy może iluzję szat. Czarne ćmy czarownice składające się na jej rękawy i zewnętrzne zasłony rozplynęły się niczym duch teraźniejszych świąt Bożego Narodzenia, odsłaniając Ciemnotę i Nędzę. Z miejsca, w którym siedział, Howard nie widział, co właściwie pokazał tancerce Posłaniec w Czerni, widok musiał być jednak przerażający, ponieważ Asta gapiała się na niego z wytrzeszczonymi oczami, rozdziawiając szeroko usta. Widmo wyciągnęło ku niej rękę i biała ćma czarownica służąca mu jako dłoń wleciała prosto w otwarte usta aski.

Kobieta wciągnęła powietrze i zakrzuszyła się. Następnie padła bez ruchu na ziemię.

Posłaniec w Czerni ponownie owinął się w płaszcz i odwrócił się lekko. Potem wybrzęczał coś i wyszeptał. Szelest motyli skrzydełek znowu zdawał się tworzyć jakieś słowa, lecz nie w żadnym języku znanym Howardowi. Wiadomość nie była jednak przeznaczona dla niego. Lorra skinęła głową i przeszukała kieszenie Asty. Znalazła w nich klucz do kajdanek i uwolniła się.

Dziewczynka kopnęła jeszcze Fantazję na pożegnanie, a potem podbiegła do Kurary i objęła go. Jej aura rozbyła białym światłem, gdy kropelki mlecznobiałej trucizny zestaly się w czyste kryształki.

Posłaniec w Czerni spojrział na Howarda. Jego dłonie z białych ciem najwyraźniej mnożyły się jak kartki w rękach sztukmistrza, albowiem znowu miał dwie.



— *\*Panie Mueller\** — wyszeptła postać, rozpościerając te dłonie w pełnym gracji geście.  
— *\*Jestem wdzięczny za pomoc w uwolnieniu moich podopiecznych i choć nie zapomnę czynów, których się pan dopuścił, muszę panu wybaczyć, ponieważ pana oszukano. Działał pan w dobrej intencji.\** — Falszywe sowe oczy spojrzały na niego. — *\*W przeważającej części.\**

— Hmm... dziękuję.

— *\*Obserwowałem pana i pańskich towarzyszy podczas waszej podróży przez moją domenę, i muszę pana ostrzec, że Fantazja nie jest najbardziej dwulicowa wśród nich. Jej motywy są niskie, ale ludzkie. Jest wśród was ktoś inny, kto nie prezentuje światu tej samej twarzy, którą ujrzali moje piękności. Boję się opisać tę twarz ukrywającą się pod twarzą.\**

— Kto to jest? — zapytał Howard. — Co nim kieruje?

— *\*Nie śmiem tego powiedzieć, by wzrok owego monstrualnego oblicza nie skierował się ku mnie i ku tym, którzy są mi bliscy. Ostrzegam pana tylko i proszę, by w zamian za to zabrał pan ze sobą Fantazję. Nie będzie pamiętała minionego dnia. Proszę wykorzystać swą widoczną dla wszystkich szczerłość, by stworzyć jakieś wiarygodne kłamstwo, które zamaskuje jej poczynania. Nikt nie może podejrzewać, co się tu wydarzyło, choćby ze względu na bezpieczeństwo dzieci.\**

Howard zerknął na parę obejmujących się dzieciaków.

— Powiedz im, że je przepraszam.

Posłaniec odwrócił się i wybrzęczał coś w tym samym języku, w którym mówiła dziewczynka. Ta skinęła z powagą głową, podeszła do Howarda, objęła jego szyję i pocałowała go w policzek. Szyja odrętwiała mu nieco od jej dotyku, a gdy potarł policzek, poczuł w nim mrowienie.

— *\*Mam nadzieję, że nasze następne spotkanie odbędzie się w szczęśliwszych okolicznościach.\**

Posłaniec w Czerni uniosł ramiona i rozplynął się w kalejdoskopową chmurę motyli oraz ciem, które uleciały w cztery strony świata, wypełniając niebo strugami kolorów wszystkich zbiorów baśni Langa: Czerwonym, Niebieskim, Żółtym, Różowym, Pomarańczowym, Karmazynowym, Liliowym i Fioletowym. A nawet Zielonym.

Cocamama obejmowała Kurarę. Lorra obejmowała Juana. Wtem żabi chłopiec podskoczył w górę, zabierając ze sobą towarzyszkę zabaw. Wyglądał jak ilustracja Bibiana do książki z andyjskimi baśniami.

Howard popatrzył na nieprzytomną Astę. Nadal miała na sobie kostium Ondyny, ale na łydkach miała rany, a na stopach siniaki. Wyglądała jak Mała Syrenka po tym, jak spadła na nią kłtwa morskiej wiedźmy polegająca na tym, że przy każdym kroku na łądzie będzie się czuła, jakby stąpała po nożach.

Do tej pory nigdy nie uważał, że Mała Syrenka sobie na to zasłużyła.

20 grudnia 1986, w drodze do La Paz

Billy Ray zlokalizował klucz do kajdanek, które Asta znalazła na sobie po odzyskaniu przytomności. Oficjalna wersja brzmiała tak, że uległa chorobie wysokościowej.

— Ale co wydarzyło się naprawdę? — zapytał Kopacz Downs. Reporter zdołał sobie załatwić miejsce po drugiej stronie przejścia od Fantazji, której na tym etapie podróży towarzyszył Howard.

— Czy Billy nie miał usiąść przy mnie? — poskarżyła się tancerka. — On przynajmniej mi współczuł.

— Miał, ale ktoś oblał go Krwawą Mary — wyjaśnił Downs. — Uwierz mi, musi teraz spędzić sporo czasu w łazience.

— Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak ci opowiedziałem — zapewnił z uśmiechem Howard. — Odcłoczyłem się od wycieczki i pojechałem do Aguas Calientes, żeby spróbować tamtejszych gorących źródeł. Od hotelowych łóżek piekielnie bolał mnie plecy. Na ulicy znalazłem Astę, oszołomioną od choroby wysokościowej.

— W kajdankach.

Fantazja łypnęła nań ze złością.

— Jeśli coś z tego znajdzie się w gazetach, złożę pozew.

— Wolność prasy — odciął się Downs. — Ważniejsze pytanie brzmi, czy to były twoje kajdanki?

Spoliczkowała go.

— Czy mogę to uznać za potwierdzenie? — zapytał Kopacz, pocierając policzek.

— Jestem primabaleriną American Ballet Theatre! — zawołała Asta, dygocząc z oburzenia.

— Znam w Nowym Jorku ważnych ludzi! Mogę załatwić, że rozdepczą cię jak owada!

Wypowiadając te ostatnie słowa, sprawiała wrażenie nieco zakłopotanej.

— Jak owada? — powtórzył Downs.

Asta zmieszała się jeszcze bardziej. Nagle kichnęła. Z jej nosa buchnął biały proszek, błyszczący jak łuski na skrzydłach ćmy.

Przerażona Fantazja sięgnęła po serwetkę i zaczęła wycierać nos.

— Ani mi się waż... — zagroziła. — Tylko jedno słowo...

— Tylko jedno słowo, a wylecę z roboty, bo szczenięta uczą się sikać na zeszlóroczne gazety z informacjami o twoim nałogu ze Studia 54? To stare wieści, laleczko. Stare wieści. — Downs parsknął śmiechem. — Jedyne, co pomogłoby mi to sprzedać, to gdybyś przespała się z kimś interesującym. Czy was dwoje...

Poruszył palcem, wskazując na nią, to na Howarda.

Wyraz twarzy Asty przeszedł z zażenowania w odrazę.

— Ja i... och, tym razem to już nawet nie jest podłe, a po prostu śmieszne. — Spojrzała na Howarda. — Bez obrazy... — dodała. — Byłeś dla mnie bardzo miły i jestem pewna, że masz mnóstwo wspaniałych zalet, ale kwestie logistyki... — Potrząsnęła głową, rozpięła pas i ruszyła ku przodowi kabiny. — Pójdę poszukać Billy 'ego.

Downs odprowadzał ją wzrokiem.

— Czuję tu newsa, ponieważ jej wierzę, a tobie nie, kolego. — Zerknął na siedzącego po drugiej stronie przejścia Howarda. — Coś tu się nie zgadza. — Postukał się palcem w bok nosa. — Ale zapewne przesadzam z podejrzliwością. Pewnie Fantazja nie mogła się oprzeć kołainowemu szwedzkiemu bufetowi, jakim było Peru, i pojechała do Aguas Calientes, a ponieważ ty też tam byłeś, mogłeś urzeczywistnić Fantazję każdego faceta. Dosłownie każdego. Mam rację, kolego?

— Być może — odparł z uśmiechem Howard. — Ale dżentelmeni nie mówią o takich sprawach.

# Odcień nienawiści

## Część trzecia

Wtorek, 23 grudnia 1986, Rio

Sara nie znosiła Rio.

Widziane z jej pokoju w Luxor Hotel przy Atlantica miasto wyglądało jak łukowate Miami Beach — lśniące, białe, drogie hotele ustawione wzdłuż szerokiej plaży nad spokojnym, niebieskozielonym morzem, a wszystko to znikające w mgiełce w oddali.

Większość uczestników ich darmowej wycieczki szybko wykonała swe obowiązki, by móc wykorzystać resztę spędzanego w Rio czasu na wypoczynek. W końcu były to prawie wakacje. Pierwszy miesiąc podróży niemal wszystkich odczytał idealizmu. Hiram Worchester krążył po niezliczonych restauracjach miasta, oddając się jedzeniu i piciu. Dziennikarze wybrali hotelową *cervezaria*, gdzie wypróbowywali miejscowe piwa. Wymienili amerykańskie dolary na garść cruzados, a ceny były niskie. Bogatsi uczestnicy wyprawy zainwestowali w miejscowy rynek biżuterii, którą można tu było kupić w każdym hotelu.

Sara zdawała sobie jednak sprawę z realiów. Standardowe ostrzeżenia dla turystów były wystarczająco wymowne: nie noście biżuterii na ulicach; nie jeździcie autobusami; nie ufajcie taksówkarzom; uważajcie na dzieci i dzokerów; nie chodźcie nigdzie sami, zwłaszcza kobiety; jeśli nie chcecie czegoś stracić, zamknijcie to na klucz albo noście ze sobą. Dla niezliczonych biedaków z Rio każdy turysta był bogaty, a bogaci byli potencjalnym źródłem zysków.

Realia szybko dały o sobie znać, gdy znudzona, niespokojna Sara opuściła po południu hotel, chcąc odwiedzić Tachiona w miejscowej klinice. Zatrzymała taksówkę — jeden z wszechobecnych, czarno-żółtych volkswagenów garbusów. Dwie przecznice od oceanu świetliste Rio zmieniało się w mroczne, górzyste, zatłoczone i pełne biedy. Przez wąskie zaułki biegnące między budynkami dostrzegała punkt orientacyjny — Corcovado, najwyższe wzgórze w mieście, zwieńczone gigantycznym posągami Chrystusa Odkupiciela. Przypomniało jej to o spustoszeniach spowodowanych w tym kraju przez dziką kartę. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym w Rio doszło do wielkiego wybuchu epidemii. Miasto zawsze było biedne i chaotyczne, a po cienką powłoką luksusu kąpiął ocean nędzy. Wirus przyniósł ze sobą wielomiesięczne panowanie paniki i przemocy. Nikt nie znał tożsamości niezadowolonego asa, który był odpowiedzialny za Corcovado. Pewnego ranka posąg Chrystusa po prostu się „zmienił”, jak woskowa figurka stopiona promieniami wschodzącego słońca. Chrystus Odkupiciel stał się dzokerem, pokręconym i garbatym. Jedno z jego wyciągniętych ramion zniknęło całkowicie,

drugie zaś owinęło się wokół zniekształconego ciała, by stać się dla niego podporą. Ojciec Kalamarnica odprawił tam wczoraj mszę. Dwieście tysięcy ludzi modliło się razem pod zdeformowanym posągiem.

Powiedziała taksówkarzowi, żeby zabrał ją do Santa Theresa, starej dzielnicy Rio. Dżokerzy zgromadzili się tam, podobnie jak w nowojorskim Dżokerowie, jakby cień Corcovado dawał im pocieszenie. Santa Theresa również wymieniano w ostrzeżeniach. W pobliżu Estrada de Redentor klepnęła taksówkarza po ramieniu.

— Zatrzymaj się tutaj — zażądała.

Kierowca odpowiedział coś szybko po portugalsku, a potem potrząsnął głową i zatrzymał się przy krawężniku.

Okazało się, że taksówkarz jest taki sam jak wszyscy. Po odjeździe z hotelu Sara zapomniała zażądać, by włączył taksometr.

— *Quanto custa?* — zapytała. „Ile płacę?”. To była jedna z nielicznych fraz, których się nauczyła. Taksówkarz upierał się głośno, że cena wynosi tysiąc cruzados, czterdzieści dolarów. Sara, poirytowana i znużona ciągłymi drobnymi oszustwami, kłóciła się z nim przez pewien czas po angielsku, aż wreszcie rzuciła mu stucruzadowy banknot. To i tak było znacznie więcej, niż powinien dostać. Przyjął go i odjechał z piskiem opon.

— *Feliz Natal!* — zawołał sarkastycznie. „Wesołych świąt”.

Pokazała mu środkowy palec, ale nie dało jej to zbyt wielkiej satysfakcji. Zaczęła wypatrywać kliniki.

Po południu padało — typowa dla pory deszczowej ulewa, która opadała na miasto przez kilka godzin, by znowu ustąpić miejsca słońcu. Nawet deszcz nie zdołał jednak stłumić smrodu płynącego z antycznej kanalizacji Rio. Gdy Sara posuwała się w górę stromą ulicą, ścigał ją odrażający fetor. Podobnie jak wszyscy, szła samym środkiem wąskiej jezdni, odsuwając się na bok tylko wtedy, gdy usłyszała samochód. Gdy słońce zaczęło się chować za wzgórza, szybko poczuła, że przyciąga uwagę. Większość otaczającego ją tłumu składała się z dżokerów albo ludzi zbyt biednych, by mieszkać gdzie indziej. Nie widziała tu policyjnych patroli, często przemierzających ulice odwiedzane przez turystów. Ktoś ją potracił. Porośnięte lisim futrem oblicze zwróciło się ku niej, zęby wyszczerzyły się w szyderczym uśmiechu. Chodnikiem na prawo od niej pełzło coś, co wyglądało jak ślimak wielkości człowieka. W drzwiach stała dwugłowa prostytutka. W Dżokerowie Sarę dopadał niekiedy paranoidalny lęk, nie mógł się on jednak mierzyć z tym, co czuła teraz. Tam przynajmniej rozumiała, co mówią otaczający ją ludzie, wiedziała, że tylko dwie albo trzy przecznice dzielą ją od w miarę bezpiecznego Manhattanu i mogła do kogoś zadzwonić z budki na rogu. Tutaj nie miała nic. Jedyne niejasno zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Gdyby zniknęła, mogłoby minąć wiele godzin, nim

ktokolwiek zauważy jej brak

Z wyraźną ulgą dostrzegła przed sobą klinikę i niemalże pobiegła do jej otwartych drzwi.

Nic się tu nie zmieniło od wczorajszych odwiedzin przedstawicieli prasy. Budynek wypełniał oszalaly, chaotyczny tłum. Smród był okropny — mieszanina woni środków odkażających, choroby i ludzkich odchodów. Podłogi były brudne, sprzęt przestarzały, a łóżka były zwykłymi pryczami, upakowanymi tak gęsto, jak to tylko możliwe. Tachion zawył wczoraj na ten widok, a potem rzucił się do roboty.

Nadal tam był. Wyglądał, jakby ani na moment nie opuścił kliniki.

— *Boatarde*, pani Morgenstern — rzekł. Jego aksamitna marynarka zniknęła, a rękawy koszuli podwinął do chudych ramion. Pobierał próbkę krwi od pogrążonej w śpiączce dziewczyny o skórze pokrytej jaszczurzymi łuskami. — Przyszła pani pomóc czy popatrzeć?

— Myślałam, że to klub samby.

Rozciągnął usta w wątłym, znużonym uśmiechu.

— Z tyłu budynku przyda się pomoc. *Felicitades*.

Pomachała do niego ręką i przecisnęła się między rzędami łóżek. Na samym końcu budynku zatrzymała się, unosząc brwi z zaskoczenia. Oddech uwiązał jej w gardle.

Przy jednym z łóżek przykucnął Gregg Hartmann. Pacjentem był dzoker porośnięty sztywnymi, wyposażonymi w zadziory kolcami, jak u jeżozwierza. Bił od niego zdecydowanie zwierzęcy odór. Senator, odziany w niebieski szpitalny kombinezon, czyścił ranę na ramieniu dzokera. Pomimo smrodu i wyglądu pacjenta Sara widziała na twarzy Hartmanna wyłącznie zatroskanie. Uśmiechnął się, gdy ją zobaczył.

— Pani Morgenstern, witam.

— Dzień dobry, panie senatorze.

Potrząsnął głową

— Nie musi pani być aż tak oficjalna. Jestem Gregg. Proszę.

Widziała zmęczenie w liniach wokół jego oczu, słyszała je w ochryplym głosie. Najwyraźniej spędził tu sporo czasu. Od chwili rozmowy w Meksyku starała się unikać sytuacji, w których spotykałaby się z nim sam na sam. Przyglądała mu się jednak uważnie, usiłując uporządkować własne uczucia. Wolałaby pozbyć się nieokreślonej sympatii, którą do niego poczuła. Obserwowała to, jak odnosi się do innych, jak reaguje na ich obecność. Rozum podpowiadał jej, że mogła go błędnie ocenić, uczucia zaś ciągnęły ją w dwóch przeciwnych kierunkach jednocześnie.

Patrzył na nią z cierpliwością i sympatią. Przesunęła dłonią po krótkich włosach i skinięła głową.

— Niech będzie Gregg. Jestem Sara. Tachion mnie tu przyśłał.

— Znakomicie. To jest Mariu, który miał niefortunne spotkanie z czyimś nożem.

Gregg wskazał na dzokera, które wlepił w Sarę oszalałe spojrzenie niemrugających oczu. Miał czerwonawe źrenice i odsłaniał zęby w dzikim grymasie. Milczał. Nie umiał albo nie chciał mówić.

— Pewnie powinnam znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Rozejrzała się wkóło, chcąc się oddalić.

— Przydałaby mi się dodatkowa para rąk

Nie — pragnęła powiedzieć. *Nie chcę cię poznać bliżej. Nie chcę być zmuszona przyznać, że się myliłam.* Potrząsnęła z opóźnieniem głową.

— Hmm, w porządku. Jasne. Co mam robić?

Pracowali razem w milczeniu. Ranę zaszyto już przedtem. Gregg czyścił ją delikatnie, a Sara odchyłała na boki ostre kolce. Następnie posmarował długą ranę maścią antybiotykową i przycisnął do niej gazę. Sara zauważyła, że jego dotyk jest lekki, choć niezgrabny. Zabandażował rękę dzokera i odsunął się od niego.

— Gotowe, Mariu — oznajmił i poklepał go ostrożnie po ramieniu. Dzoker lekko skinął kółczastą głową i oddalił się bez słowa. Gregg spojrział na Sarę, pocąc się w panującym w klinice żarze.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. — Skrępowana kobieta cofnęła się o krok — To była dobra robota.

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę. Miał na dłoniach mnóstwo zadrapań koloru gniewnej czerwieni.

— Mariu sprawiał mi mnóstwo kłopotów, dopóki się nie zjawiłaś. Jestem całkowitym amatorem. Współpraca dobrze nam się układa. Tachion chciał, żebym wyładował zapasy. Pomożesz mi w tym?

Uprzejmość nie pozwalała jej odmówić. Przez pewien czas pracowali w milczeniu, ustawiając wszystko na półkach.

— Nie spodziewałam się, że tu cię znajdę — wyznała Sara, gdy taszczyli pudło do magazynu. Zauważyła, że zrozumiał ukryty sens jej słów i nie poczuł się urażony.

— Chodzi ci o to, że nie wierzyłaś, że będzie mi się chciało coś zrobić pod nieobecność kamery, która umożliwi mi pochwalenie się tym? — zapytał z uśmiechem. — Ellen poszła na zakupy z Sokolicą, a John i Amy przygotowali dla mnie taką stertę papierów do przejrzenia. — Uniósł rękę, trzymając dłonie w odległości pół metra od siebie. — Pomyślałem sobie, że tu zrobię znacznie więcej dobrego. Poza tym poświęcenie Tachiona budzi w nas poczucie winy. Zostawiłem dla ochrony kartkę z wyjaśnieniem, że wychodzę „na miasto”. Billy Ray pewnie wpadł już w szal. Obiecasz, że mnie nie wydasz?

Jego twarz miała tak niewinnie psotny wyraz, że Sara nie mogła powstrzymać śmiechu.

Odpadł od niej kolejny fragment słabnącej nienawiści.

— Ciągłe mnie zaskakujesz, senatorze.

— Gregg. Pamiętasz? — odparł cicho.

— Przepraszam.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Przez chwilę poczuła silny pociąg do senatora. Słumiała jednak to uczucie, nie zaakceptowała go. *Nie to pragniesz czuć. To tylko reakcja na to, że tak długo go nienawidziłaś.* Rozejrzała się po magazynie, spoglądając na puste, zakurzone półki, a potem gwałtownie rozerwała karton.

Czuła na sobie spojrzenie Hartmanna.

— Nadal nie wierzysz w to, co powiedziałem ci o Andrei.

Jego ton wahał się między stwierdzeniem faktu a pytaniem. Te słowa, tak bliskie myślom Sary, przywołały rumieniec na jej twarzy.

— Niczego nie jestem już pewna.

— Ale nadal mnie nienawidzisz.

— Nieprawda — zaprzeczyła, zrywając styropian z pudełka. — Cała ta sprawa mnie przeraża — dodała w nagłym impulsie szczerości.

To wyznanie uczyniło ją otwartą i bezbronną. Cieszyła się, że nie widzi twarzy senatora. Przeklinała się za to, co powiedziała. Jej słowa sugerowały, że czuje pociąg do Gregga, że nie tylko przestała go nienawidzić, lecz jej uczucia zatoczyły pełen krąg, a ona po prostu nie chciała, by o tym się dowiedział. Nie teraz. Najpierw musi się upewnić.

Atmosferę między nimi wypełniało napięcie. Sara szukała czegoś, co pomoże jej złagodzić ten efekt. Gregg mógłby ją zranić jednym słowem, przelać jej krew jednym spojrzeniem.

Jednakże to, co zrobił, spowodowało, że Sara pożałowała, że zobaczyła twarz Andrei na ciele Sukuba i na wiele lat zienawidziła tego mężczyznę.

Nie zrobił nic.

Sięgnął za plecy Sary i podał jej pudełko sterylnych bandaży.

— Chyba powinny leżeć na najwyższej półce — oznajmił.



— Chyba powinny leżeć na najwyższej półce.

Lalkarz wrzeszczał w jego wnętrzu, tłukąc o mentalne kraty, które go więziły. Jego moc pragnęła wyrwać się do wolności, wtargnąć do otwartego umysłu kobiety i najeść się do syta. Nienawiść, która odparła go w Nowym Jorku, zniknęła. Widział uczucia Sary, czuł ich smak. Smak słonej krwi. Ciepły, promienny cynober.

*Takie łatwe — jęczał Lalkarz. To byłoby takie łatwe. Pragnienie wypełnia ją całkowicie. Moglibyśmy uczynić je niepowstrzymaną falą. Mogłbyś wziąć ją tutaj. Błagałaby cię o spełnienie,*



*dałaby ci wszystko, o co byś poprosił — ból, uległość, cokolwiek. Proszę...*

Gregg ledwie mógł powstrzymać tę moc. Nigdy dotąd nie była tak gwałtowna i nienasycona. Od początku zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa związanego z tą podróżą. Lalkarz, ukryta w nim moc, będzie musiał się nasycić, a on karmił się wyłącznie cierpieniem i udręką, wszystkimi gniewnymi emocjami barwy czerwieni i czerni. W Nowym Jorku i Waszyngtonie to było łatwe. Zawsze mógł znaleźć tam lalki, których umysły otwierał, by móc je potem wykorzystać. Bydło, karma dla mocy. Łatwo było śledzić je niepostrzeżenie, a w odpowiedniej chwili uderzyć.

Ale nie tutaj. Nie podczas tej podróży. Chwile nieobecności przyciągały uwagę i wymagały wyjaśnień. Musiał być ostrożny i pozwolić mocy głodować. Przywykł do tego, że karmi ją co tydzień, ale od chwili odlotu z Nowego Jorku mógł to zrobić tylko raz, w Gwatemali. Minęło już zbyt wiele czasu.

Lalkarz był straszliwie wygłodzony. Nie zdoła go długo powstrzymać.

*Później* — błagał Gregg. Pamiętasz Mariu? Pamiętasz sycący potencjał, jaki w nim dostrześliśmy? Dotknęliśmy go, otworzyliśmy. Sięgnij ku niemu. Widzisz, nadal go czujesz. Jest tylko o przecenicę stąd. Za kilka godzin będziemy mogli się najeść. Ale nie Sarą. Nie oddałem ci Andrei ani Sukuba i jej też ci nie dam.

*Myślisz, że kochałaby cię, gdyby знаła prawdę?* — zadrwił Lalkarz. *Że zachowałaby swe uczucia, gdybyś jej wszystko powiedział? Wydaje ci się, że objęłaby cię, pocałowała, pozwoliła wejść w swe ciepło? Jeśli naprawdę pragniesz, by pokochała cię takim, jakim jesteś, wyznaj jej wszystko.*

*Zamknij się!* — wrzasnął w swym umyśle Gregg. *Zamknij się! Możesz dostać Mariu. Sara jest moja.*

Zmusił moc do odwrotu i uśmiechnął się z wysiłkiem. Dopiero po trzech godzinach znalazł pretekst, by opuścić klinikę. Ucieszył się, gdy Sara postanowiła w niej zostać. Drząc z wysiłku wkładanego w powstrzymywanie Lalkarza, wyszedł na pogrążone w mroku ulice.

Santa Theresa, podobnie jak Dżokerowo, była nocą pełna życia, mrocznego i intensywnego. Rio nie spało chyba nigdy. Spoglądając na miasto, widział potop światła, który płynął dolinami między ostrymi wzniesieniami gór, sięgając do połowy wysokości ich stoków. Ten widok skłaniał do zastanowienia nad małymi cudami tworzonymi mimo woli przez kłębiące się tłumy ludzkości.

Jednakże Gregg ledwie go zauważał. Kierowała nim wściekająca się w jego jaźni moc. *Mariu. Wyczuź go. Znajdź go.*

Dżoker, który przy prowadził krwawiącego Mariu, mówił trochę po angielsku. Gregg podsłuchiwał historię, którą opowiedział Tachionowi. Mariu był ponoć szalony. Odkąd Cara okazała mu serce, zaczął ją niepokoić. Mąż Cary, João, kazał mu odczepić się od niej, powiedział mu, że jest tylko

jebanym dzokerem. Zagroził mu śmiercią, jeśli go nie posłucha. Ale Mariu nie chciał słuchać. Cały czas laził za Carą, strasząc ją. Dlatego João go dziabnął.

Gdy Tachion zaszył ranę dzokera, Gregg zaproponował, że ją zabandażuje. Czuł bełkoczącego w swym wnętrzu Lalkarza. Dotknął odrażającego dzokera, pozwolił mocy otworzyć jego umysł i poczuł ropień kipiących w nim emocji. Natychmiast się zorientował, że znalazł to, czego szukał.

Wyczuwał emanacje otwartego umysłu na granicy swego zasięgu, chyba niecały kilometr stąd. Ruszył w tamtą stronę wąskimi, krętymi zaułkami, nadal odziany w niebieski szpitalny kombinezon. Część jego pasji musiała być widoczna, bo nikt go nie zaczepiał. W pewnej chwili otoczył go tłum dzieci szarpiących jego kieszenie, ale gdy tylko na nie spojrział, umilkły i pierzchły w mrok. Szedł wciąż naprzód, zbliżając się do Mariu, aż wreszcie go zobaczył.

Dzoker stał przed sypiącym się dwupiętrowym budynkiem mieszkalnym, spoglądając w okno na pierwszym piętrze. Gregg poczuł jego pulsujący, czarny gniew i uświadomił sobie, że João jest w domu. Uczucia Mariu wobec męża Cary były po prostu zwierzęce, ale te, którymi darzył Carę, miały bardziej skomplikowany charakter — migotliwy, metaliczny szacunek, lazurowa sympatia poprzesywana żyłkami tłumionej żądz. Gregg wiedział, że kolczastemu dzokerowi zapewne nigdy nie udało się znaleźć chętnej kochanki, wyczuwał jednak fantazje wypełniające jego umysł. *Proszę, teraz.* Gregg zaczerpnął drżący oddech i opuścił bariery. Lalkarz roześmiał się w głos.

Pogłaszał zachłannie powierzchnię umysłu Mariu, mrużąc cicho do siebie. Usunął nieliczne hamulce, dane dzokerowi przez obojętne społeczeństwo oraz Kościół. *Tak, gniewaj się* — wyszeptał do niego. *Niech wypełni cię słuszna furia. To on nie pozwala ci jej mieć. Znieważył cię. Sprawił ci ból. Niech szal nadejdzie, niech cię wypełni, aż nie będziesz widział nic poza jego gorejącym żarem.* Mariu kręcił się niespokojnie po ulicy, wymachując rękami, jakby debatował z samym sobą. Lalkarz wzmocnił jego frustrację, ból i gniew, aż wreszcie dzoker wydał z siebie ochryply wrzask i wpadł do budynku. Gregg zamknął oczy i oparł się o skryty w cieniu mur. Lalkarz dosiadał Mariu, nie patrzył przez jego oczy, ale czuł to samo co on. Usłyszał gniewne krzyki po portugalsku, trzask pękającego drewna. Nagle gniew rozgorzał jeszcze jaśniej niż przedtem.

Lalkarz sycił głód, karmiąc się rozbuchanymi emocjami. Mariu i João walczyli ze sobą, wyczuwał ukryty głęboko ból. Stłumił to wrażenie, by dzoker go nie zauważył. Do wrzasków dwóch mężczyzn dołączyły krzyki kobiety. Nagłe szarpnięcie w umyśle Mariu powiedziało Greggowi, że Cara również tam jest. Lalkarz wzmocnił furię dzokera, aż wreszcie jej blask stał się niemal oślepiający. Wiedział, że Mariu nie czuje już nic więcej. Kobieta krzyknęła głośniej. Rozległ się głuchy łoskot, słyszalny nawet na ulicy. Potem Gregg usłyszał dźwięk tłuczonego szkła oraz rozpaczliwe zawodzenie. Otworzył oczy i zobaczył ciało, które spadło na maskę samochodu

i stoczyło się na ulicę. Zgięło się pod budzącym odrazę kątem — miało złamany kręgosłup. Mariu wyjrzał przez okno na górze.

*Tak, to było niezłe. To było smaczne. A to będzie smakowało równie dobrze.*

Lalkarz pozwolił, by gniew dzokera osłabił powoli. Mariu zniknął w środku. Lalkarz bawił się jego uczuciami wobec Cary. Rozciączył hamujący dzokera szacunek, stłumił sympatię. Potrzebujesz jej. Zawsze jej pragnąłeś. Patrzyłeś na jej ukryte pod tkaniną piersi, gdy przechodziła obok i zastanawiałeś się, jak by to było, gdybyś poczuł ich dotyk, ciepły i jedwabisty. Myślałeś o tajemnym miejscu między jej nogami, zastanawiałeś się, jak by smakowało, jakie to byłoby wrażenie. Wiedziałeś, że będzie gorące i śliskie od pożądania. Dotykałeś się nocą i wyobrażałeś sobie, że Cara wije się pod tobą, jęcząc, gdy poruszasz biodrami.

Nagle Lalkarz przeszedł na ton wzdorliwej drwiny, modyfikując namiętność dzokera pozostałościami gniewu. *Ale przecież wiedziałeś, że nigdy cię nie pragnęła, nie kogoś, kto wygląda jak ty, nie kolczastego dzokera. Śmiała się z ciebie, powtarzała wulgarnie żarty. Gdy João ją brał, mówiła ze śmiechem: „To nie mógłby być Mariu. On nigdy nie dałby mi przyjemności”.*

Cara krzyknęła. Greg usłyszał trzask rozdieranej tkaniny i poczuł niekontrolowaną żądzę dzokera. Wyobrażał sobie tę scenę. Mariu obalił ją brutalnie, nie zważając na to, że jego kolce ranią jej nieosłoniętą skórę. Gwałtowny, bolesny gwałt miał tylko zaspokoić jego pragnienia i dać mu wyimaginowaną zemstę.

*Dość tego — pomyślał. Wystarczy.*

Ale Lalkarz roześmiał się tylko. Został w Mariu aż do chwili, gdy orgazm wypełnił umysł dzokera chaosem. Następnie wycofał się, nasycony. Roześmiał się triumfalnie, pozwalając, by emocje Mariu opadły do normalnego poziomu i przerażony dzoker zobaczył, co uczynił.

Z budynku dobiegały już kolejne krzyki. Gregg usłyszał w oddali dźwięk syren. Otworzył oczy, wciągnął powietrze, zamrugał i rzucił się do ucieczki.

Lalkarz zajął swe stałe miejsce w jego wnętrzu i pozwolił, by Gregg otoczył go kratami. Potem zasnął usatyfakcjonowany.

Piątek, 26 grudnia 1986, Syria

Misa usiadła nagle w łóżku, złana potem po straszliwym śnie. Najwyraźniej krzyknęła ze strachu, bo leżący w swoim łóżku sajjid również próbował się podźwignąć.

— *Wallah, kobieto! Co się stało?*

Miał prawdziwie bohaterską postać — pełne trzy metry wzrostu i mięśnie godne boga. Wyglądał imponująco — ciemnoskóry egipski olbrzym, ożywiony mit. Był orężem w rękach Nur

al-Allaha, a terroryści — tacy jak al-Muezzin — byli jego ukrytymi nożami. Kiedy wódz sił jej brata stawał przed wiernymi, znacznie wyższy od wszystkich, widzieli w nim widzialny symbol opieki Allaha.

W bystrym umyśle sajjida zrodziły się strategiczne plany, które pomogły pokonać lepiej uzbrojone i wyposażone wojska izraelskie na Wzgórzach Golan, choć cały świat myślał, że znacznie mniej liczne siły Nur al-Allaha nie mają szans. To on zorganizował zamieszki w Damaszku, gdy rządząca Partia Baas al-Asada spróbowała odejść od prawa koranicznego. To pozwoliło sekcje Nura zawrzeć sojusz z sunnitami i alawitami. Sprytnie doradził Nur al-Allahowi wysłanie wiernych do Bejrutu, gdy przywódcy chrześcijan i druzów zagrozili władzy Partii Islamskiej. A kiedy w zeszłym roku Matka Roju rzuciła przeciwko Ziemi swe śmiertelne potomstwo, to sajjid ocalił Nur al-Allaha i wiernych. W jego umyśle mieszało zwycięstwo. Dla wsparcia dżihadu Allah dał sajjidowi *hikmę*, boską mądrość.

Fakt, że heroiczny wygląd sajjida jest również kłętą, starannie trzymano w tajemnicy. Nur al-Allah ogłosił, że dżokerzy są grzesznikami napiętnowanymi przez Boga. Zboczyli z prawej ścieżki szariatu. W najlepszym razie było im przeznaczone zostać niewolnikami prawdziwych wiernych. W najgorszym czekała ich eksterminacja. Nie byłoby rozsądne, gdyby komukolwiek pozwolono zobaczyć, że genialny strateg Nur al-Allaha jest niemalże kaleką, że jego potężne ścięgna ledwie są w stanie podźwignąć miazdzący ciężar ciała. Gdy jego wzrost się podwoił, masa wzrosła niemal czterokrotnie.

Sajjid zawsze uważał, by się nie przeciążać. Chodził powoli i starał się tego unikać. Dłuższych dystansów nigdy nie pokonywał na piechotę.

Mężczyźni, którzy widzieli go w łaźni, zapewniali, że wszystkie części jego ciała mają heroiczne rozmiary. Jednakże tylko Misza wiedziała, że jego męskość jest równie kaleką, jak on sam. Za całą swą postać mógł winić jedynie Allaha, a na to nie potrafił się odważyć. Fakt, że nie jest w stanie utrzymać wzdodu dłużej niż przez krótką chwilę, uważał jednak za winę Miszy. Dzisiejszej nocy po raz kolejny jej ciało naznaczyły siniaki po ciosach jego potężnych pięści. Bicie przynajmniej trwało krótko. Bywały chwile, gdy wydawało się jej, że jego straszliwy, duszący ciężar nigdy się z niej nie podniesie.

— To nic — wyszeptła. — Tylko sen. Nie chciałam cię budzić.

Sajjid potarł powieki, gapiąc się na nią sennie. Wreszcie udało mu się usiąść. Zdyszał się z wysiłku.

— Wizja. Nur al-Allah powiedział...

— Mój brat potrzebuje snu. Jego generał też. Proszę.

— Kobieto, dlaczego zawsze musisz mi się sprzeciwiać? — Zmarszczył brwi. Misza przypominała sobie niedawną chwilę, gdy okrył się wstydem, a potem ją zbił, jakby jej ból mógł

złagodzić jego frustrację. — Powiedz mi — nalegał. — Muszę się dowiedzieć, czy to jest coś, co trzeba powtórzyć prorokowi.

*Jestem kahiną* — pragnęła mu rzec. *Otrzymałam dar od Allaha. Dlaczego to ty musisz decydować, kiedy obudzić Nadziba? Nie tobie zesłano wizję.* Przełknęła jednak te słowa, wiedząc, że kosztowałyby ją kolejne bicie.

— Była niejasna — wyznała. — Widziałam mężczyznę, Rosjanina, sądząc po ubiorze. Wręczył Nur al-Allahowi wiele darów, po czym zniknął, ustępując miejsca drugiemu mężczyźnie, Amerykaninowi. Ten złożył u stóp proroka kolejne dary. — Misza oblizła wyschnięte wargi, przypominając sobie panikę towarzyszącą wizji. — Potem nie było nic poza poczuciem strasliwego zagrożenia. Wokół długich palców owiazał sobie pajęczynowe sznurki, a na każdym z nich dyndał jakiś człowiek. Jedno z tych jego stworzeń przyniosło dar. Był on przeznaczony dla mnie, ale bałam się otworzyć pakunek. Wreszcie rozerwałam papier i w środku... — Zadrżała. — Wi... widziałam tylko siebie. Byłam pewna, że sen miał zawierać coś więcej, ale wtedy się obudziłam. Ale wiem... wiem, że nadchodzi ten, kto przyniesie dary. Wkrótce się tu zjawi.

— Amerykanin? — zapytał sajjid.

— Tak

— Już o nim wiem. Śnił ci się samolot z niewiernymi z zachodu. Prorok będzie gotowy na ich przybycie. Za miesiąc, może dłużej.

Misza skinęła głową, udając, że się uspokoiła, choć nadal wypełniało ją pozostałe po śnie przerażenie. *Nadchodził i przynosił jej dar. Uśmiechał się.*

— Rano powiem o tym Nur al-Allahowi — zapewniła. — Wybacz, że zakłóciłam twój sen.

— Chciałbym porozmawiać o czymś jeszcze — oznajmił sajjid.

Wiedziała, że tak będzie.

— Proszę. Oboje jesteśmy zmęczeni.

— Obudziłem się w pełni.

— Sajjidzie, nie chciałabym, żeby znowu ci się nie udało.

Miała nadzieję, że te słowa zakończą sprawę, wiedziała jednak, że tak się nie stanie. Jej mąż podźwignął się z jękiem. Nic nie powiedział. Nigdy nic nie mówił. Powlókł się ku niej, sapiąc z wysiłku. Widziała jego potężną sylwetkę obok swego łóżka — ciemniejszą plamę na tle nocy.

Raczej na nią upadł, niż się na niej położył.

— Tym razem się uda — wydyszał.

Tym razem również się nie udało. Nie musiała być kahiną, by wiedzieć, że nigdy się nie uda.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

29 grudnia 1986, Buenos Aires

Nie płacz po Jacku, Argentyno...

Zguba Evity przybyła do Buenos Aires. Kiedy musical po raz pierwszy wystawiono na Broadwayu, zastanawiałem się, co myślał Jack Braun, słuchając, jak Lupone śpiewa o Czwórcę Asów. Teraz to pytanie stało się jeszcze bardziej bolesne. Braun reaguje na przyjęcie, z jakim tu się spotkał, bardzo spokojnie, niemal ze stoicyzmem, ale co czuje?

Peron nie żyje, Evita tym bardziej, nawet Isabel jest już tylko wspomnieniem, ale peroniści pozostają ważnym elementem argentyńskiej sceny politycznej. Oni nie zapomnieli. Wszędzie pełno jest napisów szydzących z Brauna i każących mu wracać do domu. Jest żywym symbolem *gringo* (zastanawiam się, czy używają tu tego słowa), brzydkiego, ale straszliwie potężnego Amerykanina, który przybył do Argentyny bez zaproszenia i obalił jej prawowity rząd tylko dlatego, że nie podobała mu się jego polityka. Stany Zjednoczone robiły takie rzeczy, odkąd istnieje Ameryka Łacińska, i nie wątpię, że w wielu innych miejscach spotyka się podobne resentymy. Jednakże Stany Zjednoczone, a nawet budzący lęk „tajni asowie” pracujący dla CIA, to abstrakcyjne pojęcia, które nie mają twarzy i są trudno uchwytnie. Natomiast Złoty Chłopiec jest realnym człowiekiem z krwi i kości, i łatwo go zauważyć. Co więcej, jest blisko.

Ktoś z obsługi hotelu wygadał, w którym pokoju go zakwaterowano, i gdy tylko Jack wyszedł pierwszego dnia na balkon, zasypała go kaskada gnoju i zgniłych owoców. Od tej pory nie wychyla nosa z hotelu, pomijając oficjalne spotkania. Nawet na nich nie jest jednak bezpieczny. Wczoraj wieczorem, gdy staliśmy w rzędzie osób witających gości w Casa Rosada, żona działacza związkowego — piękna młoda kobieta o drobnej, smagłej twarzy i gęstych, lśniących, czarnych włosach — podeszła do niego ze słodkim uśmiechem, spojrzała mu prosto w oczy i splunęła w twarz.

To wywołało spore zamieszanie. Mam wrażenie, że senatorzy Hartmann i Lyons złożyli jakiegoś rodzaju protest. Sam Braun zareagował nadzwyczaj spokojnie, niemal z galanterią. Po spotkaniu Kopacz bezlitośnie zwracał mu głowę, bo miał za chwilę przekazać relację o incydencie do „Aces!” i chciał uzyskać od niego jakiś komentarz. Braun w końcu się zgodził.

— Zrobiłem w życiu parę rzeczy, z których nie jestem dumny — powiedział — ale pozbycie się Juana Perona do nich nie należy.

— Tak, tak — zgodził się Downs. — Ale co pan czuł, kiedy pana opluła?

Jack wykrzywił twarz w grymasie niesmaku.

— Nie biję kobiet — odparł tylko, po czym odszedł i usiadł z dala od wszystkich.

Kiedy się oddalił, Downs zwrócił się w moją stronę.

— Nie biję kobiet — powtórzył, imitując śpiewną intonację głosu Złotego Chłopca. — Co za mięczak... — dodał.

Świat zbyt łatwo doszukuje się tchórzostwa i zdrady we wszystkim, co mówi albo robi Jack Braun. Podejrzewam, że prawda jest bardziej skomplikowana. Młodzieńczy wygląd sprawia, że czasami trudno jest sobie przypomnieć, ile naprawdę lat ma Złoty Chłopiec. Jego osobowość kształtowała się w okresie wielkiego kryzysu i drugiej wojny światowej. Dorastał, słuchając radia NBC Blue Network, nie MTV. Nic dziwnego, że niektóre z wyznawanych przez niego wartości wydają się nieco staromodne.

As Judasz często robi wrażenie niewiniątka, człowieka zagubionego w świecie, który stał się dla niego zbyt skomplikowany. Podejrzewam, że przyjęcie, z jakim spotkał się w Argentynie, zabolalo go bardziej, niż chce to przyznać. Braun jest ostatnim reprezentantem utraconego marzenia, które rozkwitło na krótko po drugiej wojnie światowej i umarło w Korei, na przesłuchaniach Komisji do spraw Działalności Antyamerykańskiej i podczas zimnej wojny. Archibald Holmes i jego Czwórka Asów wierzyli, że mogą zmienić świat. Nie mieli wątpliwości, podobnie jak ich kraj. Moc istniała po to, by z niej korzystać, a oni byli w pełni przekonani, że zawsze potrafią odróżnić dobrych od złych. Demokratyczne ideały i nieskalana czystość intencji były jedynym usprawiedliwieniem, jakiego potrzebowali. Dla garstki wczesnych asów z pewnością był to złoty wieki nic dziwnego, że w jego centrum stał Złoty Chłopiec.

Złote wieki zawsze z czasem przechodzą w ciemne. Wie o tym każdy, kto zna historię, a teraz wszyscy możemy ujrzeć ten proces na własne oczy.

Braun i jego towarzysze potrafili robić rzeczy, jakich nie dokonał nikt przed nimi: latać, unosić w górę czołgi, pochłonać umysł człowieka wraz ze wszystkimi jego wspomnieniami. Dlatego ulegli iluzji, że rzeczywiście są w stanie naprawić świat, a gdy to złudzenie prysło, upadli naprawdę bardzo nisko. Od tej pory żaden as nie odważył się już na tak wspaniałe marzenia.

Nawet w obliczu więzienia, rozpacz, obłędu, hańby i śmierci Czwórka Asów mogła się jednak pocieszać wspomnieniem swych triumfów, a Argentyna była być może najwspanialszym z nich. To musiał być bardzo gorzki powrót dla Jacka Brauna.

Jakby tego było mało, tuż przed odlotem z Brazylii dotarła do nas poczta, a wraz z nią kilkanaście egzemplarzy najnowszego numeru „Aces!” z obiecany artykułem Kopacza. Na okładce umieszczono zdjęcia Jacka Brauna i Mordecaia Jonesa z profilu, łypiących na siebie złowrogo. (Rzecz jasna, był to fotomontaż. Nie sądzę, żeby ci dwaj spotkali się kiedykolwiek przed naszą wyprawą). Napis pod spodem głosił: „Najsilniejszy człowiek na świecie”.

Sam artykuł jest obszernym omówieniem publicznych karier ich obu, ubarwionym licznymi anegdotami opisującymi ich wyczyny oraz spekulacjami na temat tego, który z nich jest

najsilniejszy człowiekiem na świecie.

Obaj sprawiają wrażenie zażenowanych tym tekstem, być może Braun bardziej niż Jones. Żaden z nich nie chce na ten temat dyskutować, a z pewnością nie zanoszą na to, by mieli wkrótce rozstrzygnąć tę kwestię. Jak rozumiem, po ukazaniu się tego artykułu wśród naszych dziennikarzy doszło do licznych sporów, a nawet zakładów (Kopaczowi choć raz udało się wyrzucić wpływ na swych kolegów), ale te zakłady zapewne przez długi czas pozostaną nierozstrzygnięte. Gdy tylko przeczytałem artykuł, powiedziałem Downsowi, że uważam go za kłamliwy i obraźliwy. Sprawił wrażenie zdziwionego.

— Nie rozumiem — odparł. — Co pan do niego ma?

Wyjaśniłem mu, że to bardzo proste. Braun i Jones z pewnością nie są jedynymi ludźmi, u których pod wpływem dzikiej karty objawiła się nadludzka siła. W gruncie rzeczy, to dość często spotykana moc. W sporządzonych przez Tachiona tabelach częstości występowania zajmuje trzecie miejsce tuż za telekinezą i telepatią. To ma chyba coś wspólnego z maksymalizacją siły skurczu mięśni. Chodziło mi o to, że wielu dzokerów również może się pochwalić nadludzka siłą. Od ręki mogłem wymienić Elma (karła, który jest bramkarzem w Kryształowym Pałacu), Erniego z Baru i Smażalni Erniego, Kuriozum, Quasiczłowieka i przede wszystkim Howarda Muellera. Troll może nie dorównywać siłą Złotemu Chłopcu i Młotowi Harlemu, ale z pewnością nie ustępuje im wiele. O żadnym z tych dzokerów nie wspomniano w artykule ani słowem, choć wymieniono nazwiska kilkunastu innych supersilnych asów. Zapytałem Downsa dlaczego.

Niestety, nie mogę twierdzić, by moje słowa wywarły na nim wielkie wrażenie. Kiedy skończyłem, Downs zatoczył tylko oczyma i powiedział:

— Jesteście cholernie przewrażliwieni.

Próbował mnie pocieszyć, zapewniając, że jeśli artykuł okaże się popularny, może napisać dalszy ciąg, tym razem o najsilniejszym dzokerze na świecie, i nie potrafił zrozumieć, dlaczego to „ustępstwo” poirytowało mnie jeszcze bardziej. A potem się dziwił, że jesteśmy przewrażliwieni.

Howard uważał cały ten spór za bardzo zabawny. Czasami zastanawiam się, co o nim sądzić.

Szczerze mówiąc, moje wzburzenie było niczym w porównaniu z reakcją Billy'ego Raya, naszego szefa ochrony. Ray był jednym z tych wspomnianych mimochodem asów, ale w artykule stwierdzono, że jego siła nie należy do „pierwszorzędných”. Wszyscy w samolocie słyszeli, jak zasugerował, że może Downs zechciałby wyjść z nim na zewnątrz, skoro jest taki drugorzędny. Kopacz nie skorzystał z tej propozycji. Sądząc z uśmiechu na jego twarzy, nie przypuszczam, by Carnifex mógł w najbliższym czasie liczyć na dobrą prasę w „Aces!”.

Od tej pory Ray uskarżał się na ten artykuł każdemu, kto chciał go słuchać. Powtarzał, że siła to nie wszystko, że może nie jest aż tak silny jak Braun czy Jones, ale wystarczająco silny, żeby poradzić sobie z każdym z nich w walce, i jeśli chcą, może się o to założyć.



Muszę przyznać, że obserwacja tej burzy w szklance wody sprawiła mi przewrotną satysfakcję. Ironia polega na tym, że spierają się o to, który z nich ma więcej mocy o w sumie niewielkich możliwościach. Pamiętam, że we wczesnych latach siedemdziesiątych urządzono poław w stoczni remontowej w Bayonne w stanie New Jersey, gdzie remontowano pancernik „New Jersey”. Żółw podźwignął okręt telekinetycznie dobry metr nad wodę i utrzymywał go tam przez prawie pół minuty. Braun i Jones unoszą nad głowę czołgi i rzucają samochodami, ale żaden z nich nie mógłby się nawet zbliżyć do wyczynu Żółwia.

Prosta prawda brzmi tak, że siłę ludzkich mięśni można zwiększać tylko w pewnych granicach, dyktowanych prawami fizyki. Doktor Tachion mówił, że możliwości ludzkiego umysłu również mogą mieć granice, ale do tej pory ich nie osiągnięto.

Jeśli Żółw rzeczywiście jest dzokorem, jak sądzi wielu, ta ironia wydałaby mi się szczególnie satysfakcjonująca.

Przypuszczam, że w głębi duszy jestem tak samo małostkowy jak każdy.

# Odcień nienawiści

## Część czwarta

Czwartek, 1 stycznia 1987, Republika Południowej Afryki

Wieczór był chłodny. Z szerokiej werandy hotelu rozpościerał się widok na sielski, pagórkowaty krajobraz Niskiego Wel du. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca trawiaste wzgórza miały barwę lawendy i matowego oranżu. Brązowe, leniwe wody rzeki Olifants połyskiwały złotawo. W nadrzecznym gaju akacji układające się do snu małpy pokrzykiwały od czasu do czasu.

Sarę ogarniały mdłości na widok tego wszyściego. Za tym diabelnie pięknym widokiem kryła się choroba.

W tym kraju trudno im było nawet utrzymać delegację w całości. Planowane przywitanie Nowego Roku zepsuł im jet lag oraz trudności związane z dostaniem się do Południowej Afryki. Gdy Ojciec Kałamarnica, Xavier Desmond i Troll chcieli w Pretorii zjeść obiad z reszłą grupy, szef sali nie dał im miejsc, wskazując na szyld z napisami w języku angielskim i afrikaans, głoszącymi: TYLKO DLA BIAŁYCH.

— Nie obsługujemy czarnych, kolorowych ani dzokerów — oznajmił.

Hartmann, Tachion i kilkoro innych wysokich rangą członków delegacji natychmiast złożyło protest do rządu Bothy. Udało się wypracować kompromis. Gościom oddano w wyłączne władanie mały hotelik w rezerwacie przyrody Loskop. Mieszkali tam w izolacji i mogli się ze sobą spotykać, gdy tylko zechcieli. Rząd dał im wyraźnie do zrozumienia, że uważa samą tę myśl za niestosowną.

Gdy wreszcie wystrzeliły korki butelek z szampanem, trunek miał dla nich kwaśny smak

Uczestnicy wyprawy spędzili popołudnie w nędznym kraalu, właściwie niewiele różniącym się od slumsów. Ujrzeni tam na własne oczy obosieczny miecz uprzedzeń — nowy apartheid. Kiedyś była to walka między dwiema stronami. Afrykanerzy i Anglosasi przeciwko czarnym, kolorowym i Azjatam. Teraz jednak dzokerzy stali się nowymi *Uitlanderami*. Pluli na nich zarówno biali, jak i czarni. Gdy Tachion ujrzał nędzę i cierpienie panujące w tej osadzie dzokerów, jego szlachetna twarz o rzeźbionych rysach zbieła z gniewu. Greggowi wyraźnie zrobiło się niedobrze. Cała delegacja zwróciła się przeciwko przedstawicielom Partii Narodowej, którzy przyjechali tu z nimi z Pretorii, i poddała głośnej krytyce panujące w osadzie warunki.

Przedstawiciele władz odpowiadali im zgodnie z obowiązującą linią. Dlatego właśnie wprowadziliśmy Ustawę o zakazie małżeństw mieszanych, oznajmili, ostentacyjnie ignorując

członków grupy będących dzokerami. Jeśli niesiemy ścisłą separację ras, będziemy mieli coraz więcej dzokerów i kolorowych, a nikt z was z pewnością by tego nie chciał. Po to właśnie mamy Ustawę o niemoralności i Ustawę o zakazie ingerencji politycznej. Pozwólcie nam rządzić się po swojemu, a sami uporamy się ze swymi problemami. To prawda, że warunki są złe, ale stopniowo się poprawiają. Ulegacie wpływom Afrykańsko-Dzokerskiego Kongresu Narodowego. Tę partię zdelegalizowano. Jej przywódca, Mandela, to zwykły fanatyk i wicherzyciel. A-DKN skierował was do najgorszego obozu, jaki udało się znaleźć jego aktywistom. Gdyby doktor, senatorzy i ich towarzysze trzymali się naszego planu podróży, zobaczylibyście drugą stronę medalu.

Krótko mówiąc, rok zaczął się dla nich okropnie.

Sara wsparła stopę na poręcz, opuściła głowę, opierając ją na dłoniach, i wpatrzyła się w zachodzące słońce. *Wszędzie jest tak samo. Tutaj po prostu łatwiej jest dostrzec problemy. Wszędzie jest okropnie, jeśli tylko wejrzy się głębiej.*

Usłyszała kroki, ale się nie odwróciła. Poręcz zadrżała, gdy ktoś zatrzymał się obok

— To bardzo piękny kraj — usłyszała głos Gregga. — Jest w tym ironia, nieprawdaż?

— Tak właśnie sobie pomyślałam.

Zerknęła na niego. Wpatrywał się we wzgórze. Poza nimi dwojgiem na werandzie przebywał tylko Billy Ray, opierający się o poręcz w dyskretnej odległości.

— Chwilami żałuję, że wirus nie jest bardziej śmiertelny. Że po prostu nie oczyścił planety z naszego gatunku, by zacząć od nowa — ciągnął Gregg. — Ta osada... — Potrząsnął głową.

— Czytałem zapis relacji, którą przekazałaś telefonicznie, i wszystkie wspomnienia ożyły. Znowu zacząłem się wściekać. Masz dar do wywoływania u innych reakcji na twoje uczucia, Saro. Na dłuższą metę możesz dokonać więcej ode mnie. Może zrobisz coś, by powstrzymać uprzedzenia. Tutaj i w domu, u ludzi takich jak Leo Barnett.

— Dziękuję. — Ich dłonie znalazły się bardzo blisko siebie. Sara dotknęła go delikatnie. Owinął palce wokół jej palców i nie zwolnił uścisku. Bała się, że zawładną nią emocje nagromadzone przez cały dzień. Oczy szczypały ją od łez. — Gregg — rzekła bardzo cicho. — Nie jestem pewna, co czuję.

— Mówisz o tym, co wydarzyło się dzisiaj? O dzokerach?

Zaczerpnęła tchu. Promienie zachodzącego słońca ogrzewały jej twarz.

— Tak o tym. — Umilkła, zastanawiając się, czy odważy się powiedzieć więcej. — I o tobie też — dodała wreszcie.

Nie odpowiedział. Czekał, trzymając jej dłoń i wpatrując się w zapadającą noc.

— Moja opinia o tobie zmieniła się bardzo szybko — podjęła po chwili Sara. — Kiedy myślałam, że ty i Andrea... — Przerwała z drżeniem. — Los ludzi cię obchodzi, cierpisz, kiedy

widzisz, że źle ich traktują. Boże, jak ciebie nienawidziłam. Na wszystko, co robił senator Hartmann, patrzyłam w tym świetle. Uważałam, że jesteś zakłamany i pozbawiony współczucia. A teraz to zniknęło. Patrzę na twoją twarz, kiedy mówisz o dzokerach i o potrzebie zmian, i wtedy...

Obróciła go tak, że zwrócili się ku sobie twarzami. Uniosła ku niemu spojrzenie, nie dbając o to, że zauważy jej łzy.

— Nie jestem przyzwyczajona do skrywania uczuć. Wolę, by wszystko było na wierzchu. Dlatego wybacz, jeśli nie powinnam tego mówić. Jeśli chodzi o ciebie, jestem bezbronna, Gregg. Boję się tego.

— Nie pragnę cię skrzywdzić, Saro.

Uniosł rękę do twarzy kobiety i delikatnie otarł wilgoć z kącików jej oczu.

— W takim razie powiedz mi, dołąd oboje zmierzamy. Muszę poznać zasady.

— To...

Umilkł. Sara wyczytała z jego twarzy wewnętrzny konflikt. Opuścił głowę. Czują na policzku jego ciepły, słodki oddech. Ujął w dłoń jej brodę. Pozwoliła, by uniosł jej twarz. Zamknęła oczy.

Pocałunek był miękki i bardzo delikatny. Niepewny. Sara odwróciła twarz, a on przyciągnął ją bliżej i przytulił mocno.

— Ellen... — zaczęła.

— Ona wie — wyszeptał Gregg. — Powiedziałem jej. Nie ma nic przeciwko temu.

— Nie chciałam tego.

— Ja chciałem. Wszystko w porządku — zapewnił.

Odsunęła się od niego, ciesząc się, że pozwolił jej na to.

— I co teraz zrobimy?

Słońce skryło się już za wzgórzami. Gregg stał się cieniem, ledwie widziała zarys jego twarzy.

— Decyzja należy do ciebie, Saro. Zawsze bierzemy z Ellen dwupokojowy apartament. Wykorzystuję drugi pokój jako swój gabinet. Idę tam teraz. Jeśli zechcesz, Billy cię tam przyprowadzi. Możesz mu zaufać, bez względu na wszystko, co o nim mówią. Potrafi być dyskretny.

Głaskał przez chwilę jej policzek, a potem odwrócił się i szybko odszedł. Wymienił jeszcze parę słów z Rayem, po czym wszedł do hotelowego holu. Carnifex został na zewnątrz.

Sara stała tam, aż w dolinie zrobiło się zupełnie ciemno, a dzienny upał zaczął przechodzić w chłód. Wiedziała, że podjęła już decyzję, ale nie była pewna, czy ją wykona. Czekwała, jakby wypatrywała jakiegoś znaku w afrykańskiej nocy. Wreszcie podeszła do Raya. Jego zielone oczy, osadzone niepokojąco asymetrycznie w dziwnie zniekształconej twarzy, spojrzały na nią oceniająco.

— Chciałabym pójść na górę — oznajmiła.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

16 stycznia, Addis Abeba, Etiopia

To był trudny dzień w dotkniętym katastrofą kraju. Przedstawiciele miejscowego Czerwonego Krzyża pokazali niektórym z nas, co robią, by pomóc ofiarom głodu. Rzecz jasna, przed przybyciem tutaj wszyscy słyszeliśmy o suszy i klęsce głodu, ale oglądania czegoś takiego w telewizji nie można porównywać z zobaczeniem tego na własne oczy.

Podobne dni zawsze boleśnie przypominają mi o moich własnych winach i zaniedbaniach. Odkąd zachorowałem na raka, straciłem sporo na wadze (niektórzy niczego niepodejrzewający przyjaciele mówią mi nawet, że świetnie wyglądam), ale widok tych ludzi spowodował, że zacząłem się wstydzić małego brzuszka, który mi jeszcze pozostał. Umierali z głodu na moich oczach, a na nas czekał samolot, który miał nas zabrać z powrotem do Addis Abeby... do naszego hotelu, na kolejne spotkanie i z pewnością wykwintny etiopski posiłek. Poczucie winy i bezradności było obezwładniające.

Mam wrażenie, że dotknęło ono nas wszystkich. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musiał czuć Hiram Worchester. Trzeba przyznać, że wyglądał niezdrowo, a w pewnej chwili zaczął drżeć tak gwałtownie, że musiał na jakiś czas usiąść w cieniu. Pot spływał zeń strumieniami. Potem jednak wstał, z pobielającą twarzą i zaciśniętymi wargami, i wykorzystał swą moc panowania nad grawitacją, żeby pomóc w rozładowaniu dostarczonych przez nas zapasów.

Tak wielu ludzi dało tak wiele i pracowało tak ciężko nad akcją pomocy humanitarnej, ale tutaj wydaje się, że nic to nie zmieniło. W obozach jedyną rzeczywistością są chude jak szkielety ciała o straszliwie rozdętych brzuchach, martwe spojrzenia dzieci i nieustanny żar spływający z nieba na spieczoną, spękaną ziemię.

Niektóre ze wspomnień zostaną ze mną przez długi czas — a przynajmniej taki długi, jaki jeszcze mi pozostał. Ojciec Kalamarnica udzielił ostatniego namaszczenia umierającej kobiecie, która miała na szyi koptyjski krzyż. Sokolica i jej kamerzysta nakręcili znaczną część tej sceny na potrzeby jej filmu dokumentalnego, ale po chwili Sokolica miała dość i wróciła do samolotu, by zacząć tam na nas. Słyszałem, że wymiotowała całe śniadanie.

Potem spotkaliśmy młodą matkę, najwyżej siedemnasto-, osiemnastoletnią. Była tak chuda, że można było policzyć każde żebro, a jej oczy wydawały się niewiarygodnie stare. Przyciskała dziecko do pustej, wyschniętej piersi. Nie żyło już od tak dawna, że zaczynało śmierdzieć, ale nie pozwalała nikomu go zabrać. Doktor Tachion zapanował nad jej umysłem i przytrzymał ją, a następnie wyjął delikatnie dziecko z jej uścisku i oddał jednemu z pracowników obozu. W końcu usiadł na ziemi i rozplakał się tak mocno, że aż drżał.

Mistral również zakończyła dzień we łzach. Po drodze do obozu uchodźców przebrała się w swój niebiesko-biały kostium do latania. Jest młodą dziewczyną i potężnym asem, nic więc dziwnego, że wydawało jej się, iż może pomóc. Gdy przywołała do siebie wiatry, wielka peleryna, którą nosi spiętą w nadgarstkach i kostkach, wydeła się i uniosła ją pod niebo. Wprawdzie niezwykle widok chodzących między nimi dzokerów nie wzbudzał w uchodźcach większego zainteresowania, ale kiedy Mistral zerwała się do lotu, większość — nie wszyscy, ale większość — uniosła spojrzenia i śledziła ją wzrokiem, gdy dziewczyna wzbila się wysoko pod gorący, błękitny firmament. Wkrótce jednak głodujący zapadli z powrotem w zubożniały letarg. Myślę, że Mistral miała nadzieję, iż jej moc panowania nad wiatrem zdoła w jakiś sposób przygnać tu chmury i wywołać deszcz, który uzdrowi krainę. Cóż za pocziwe, pyszałkowane marzenie...

Mistral latała prawie dwie godziny, czasami zapuszczając się tak wysoko i daleko, że traciliśmy ją z oczu. Jednakże bez względu na wszystkie jej moce wiatr, który wywołała, przyniósł tylko obłoki pyłu. Gdy wreszcie dała za wygraną, była wykończona, jej słodka, młoda twarz była brudna od piasku i pyłu, a oczy miała czerwone i podpuchnięte.

Na krótko przed naszym odjazdem doszło do okropnego wydarzenia, które podkreśliło jeszcze rozpaczliwą sytuację uchodźców. Wysoki młodzieniec z bliznami od trądziku na policzkach wpadł w amok, zaatakował jedną z kobiet, wydułbał jej oko i zjadł je przed obliczem niczego niepojmujących ludzi. O ironio, spotkaliśmy tego chłopaka wkrótce po przybyciu. Chodził cały rok do chrześcijańskiej szkoły i znał parę słów po angielsku. Robił wrażenie silniejszego i zdrowszego niż większość pozostałych uchodźców. Gdy Mistral zerwała się do lotu, wstał nagle i zawołał coś do niej.

— Śmig! — powiedział silnym, wyraźnym głosem.

Ojciec Kałamarnica i senator Hartmann próbowali z nim rozmawiać, ale znał po angielsku tylko kilka słów, takich jak „czekolada”, „telewizja” i „Jezus Chrystus”. Był jednak bardziej żywy niż większość mieszkańców obozu — otworzył szeroko oczy na widok Ojca Kałamarnicy, wyciągnął rękę i dotknął ze zdumieniem witek u jego twarzy, a potem naprawdę się uśmiechnął, gdy senator poklepał go po ramieniu i oznajmił, że jesteśmy tu po to, żeby im pomóc, aczkolwiek nie sądzę, by zrozumiał choć słowo. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, gdy zobaczyliśmy, jak go wyprowadzają. Wciąż jeszcze krzyczał, a zapadnięte brązowe policzki miał usmarowane krwią.

To był naprawdę potworny dzień. Gdy wieczorem wróciliśmy do Addis Abeby, nasz kierowca zawiózł nas do portu. Skrzynie z pomocą humanitarną stoją tam w stosach sięgających gdzieś wysokość dwóch pięter. Hartmannem zawładnął zimny gniew. Jeśli cokolwiek potrafi zmusić ten zbrodniczy rząd do podjęcia jakichś działań celem nakarmienia głodujących mieszkańców, to tylko on. Modłę się za niego, a przynajmniej modliłbym się, gdybym wierzył

w Boga. Ale jaki Bóg pozwoliby na okropności, które widzieliśmy podczas naszej podróży...?



Afryka jest być może najpiękniejszym kontynentem na całej Ziemi. Powinienem opisać cuda, jakie oglądaliśmy w ostatnim miesiącu. Wodospad Wiktorii, śniegi Kilimandżaro, tysiąc zebr pędzących przez wysoką trawę, jakby wiatr miał paski. Zwiedzałem ruiny dumnych starożytnych królestw, których nazw dziś nie znamy, trzymałem w dłoni artefakty wykonane przez Pigmejów, widziałem, jak twarz Buszmena rozjaśniła się ciekawością zamiast grozy, gdy zobaczył mnie po raz pierwszy. Pewnego razu, gdy byliśmy w parku narodowym, obudziłem się wcześniej, a kiedy wyjrzałem przez okno o świcie, dostrzegłem dwa ogromne słonie, które podeszły pod sam budynek. Radha stała między nimi, naga w blasku poranka, a one dotykały jej trąbami. Odwróciłem się, nie chcąc naruszać jej prywatności.

Tak jest, widzieliśmy piękno — piękno przyrody i bardzo wielu ludzi, których twarze pełne były ciepła i współczucia.

Mimo to Afryka bardzo mnie przygnębiła i zasmuciła. Cieszę się, że już ją opuszczam. Obóz jest tylko jedną z przyczyn. Przed Etiopią były Kenia i Afryka Południowa. To nie jest Święto Dziękczynienia, ale sceny, których świadkami byliśmy, sprawiły, że mam znacznie większą ochotę wznosić dzięki, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się to w Ameryce, podczas pełnego samozadowolenia listopadowego święta, którego podstawą są futbol i obzarstwo. Nawet dzokeryzy mają za co dziękować. Zdawałem sobie z tego sprawę już przedtem, ale Afryka uświadomiła mi to z całą wyrazistością.

Republika Południowej Afryki była nieprzyjemnym punktem startowym tego etapu podróży. Rzecz jasna, u nas w domu istnieją te same nienawiści i uprzedzenia, ale bez względu na nasze winy jesteśmy przynajmniej na tyle cywilizowani, że utrzymujemy fasadę tolerancji, braterstwa i równości wobec prawa. Kiedyś mógłbym nazwać to zwykłą sofistyką, ale wówczas nie poznałem jeszcze rzeczywistości Kapsztadu i Pretorii, gdzie cała ta szpetota występuje otwarcie, uświęcona przez prawo egzekwowane żelazną ręką, której aksamitna rękawiczka dawno już się wytarła i podziurawiła.

Niektórzy twierdzą, że Południowa Afryka przynajmniej nienawidzi otwarcie, podczas gdy Ameryka kryje się za fasadą hipokryzji. Być może, być może... ale w takim przypadku stanowczo wolę hipokryzję.

Przypuszczam, że Afryka nauczyła nas przede wszystkim tego, że są na świecie miejsca gorsze niż Dżokero. Druga lekcja przekonała nas, że są gorsze rzeczy niż represje. Tego nauczyła nas Kenia.

Podobnie jak większość państw centralnej i wschodniej Afryki, Kenia uniknęła najgorszych skutków dzięki karty. Trochę zarodników mogło tu dotrzeć z wiatrem, więcej przez porty,



z załazonym towarem w ładowniach, których nie wysterylizowano jak należy, czy nawet nie sterylizowano ich w ogóle. W niektórych częściach świata na transporty przysyłane przez CARE spogląda się bardzo podejrzliwie, i nie bez powodu. Wielu kapitanów nauczyło się biegle ukrywać fakt, że portem, do którego zawijali poprzednio, był Nowy Jork

W głębi łądu przypadki dzikiej karty prawie się nie zdarzają. Niektórzy twierdzą, że zmarły Idi Amin był czymś w rodzaju obłąkanego dzokeroasa obdarzonego siłą Trolla czy Młota Harlemu oraz umiejętnością przeobrażania się w jakiegoś rodzaju zwierzołaka — lamparta, lwa albo jastrzębia. Sam Amin utrzymywał, że potrafi wykrywać wrogów telepatycznie, a jego nieliczni wrogowie, którzy przeżyli, zapewniają, iż był kanibalem i uważał, że potrzebuje ludzkiego mięsa, by nie opuściły go moce. Wszystko to jednak tylko plotki i propaganda. Bez względu na to, czy Amin był dzokerelem, asem, czy też po prostu obłąkanym natołem, z pewnością już nie żyje, a w tej części świata udokumentowane przypadki zarażenia wirusem dzikiej karty są nadzwyczaj rzadkie.

Jednakże Kenia i otaczające ją kraje padły ofiarą innej koszarnej zarazy. Dziką kartą jest tu tylko chimera, a AIDS jest epidemią. Podczas gdy senator Hartmann z większością delegatów był gościem prezydenta, garstka pozostałych wybrała się z wyczerpującą wizytą do kilku klinik na kenijskiej prowincji, latając helikopterem od wioski do wioski. Przydzielono nam tylko jedną, wysłużoną maszynę, a i to po naleganiach Tachiona. Rząd wolałby, żebyśmy spędzili czas wizyty, wykładając na uniwersytecie, rozmawiając z wykładowcami i przywódcami politycznymi czy odwiedzając parki narodowe i muzea.

Większość delegatów z radością spełniła to życzenie. Dziką kartą ma już czterdzieści lat i zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić, AIDS jest zaś nowym przekleństwem, które dopiero zaczynamy rozumieć. W naszym kraju uważa się, że ta choroba dotyczy wyłącznie homoseksualistów, i muszę przyznać, że sam ulegałem temu przeświadczeniu, ale tutaj, w Afryce, łatwo się przekonać, że to fałsz. Tylko na tym kontynencie liczba ofiar AIDS jest już większa niż liczba osób załazonych takizjańskim ksenowirusem od chwili, gdy przed czterdziestu laty po raz pierwszy uwolniono go nad Manhattanem.

AIDS wydaje się też okrutniejszym demonem. Dziką kartą zabija dziewięćdziesiąt procent tych, którzy ją wyciągną, a ich śmierć jest często bolesna i straszliwa, jednakże odległość między dziewięćdziesięcioma a stoma procentami nie jest pozbawiona znaczenia, jeśli jest się jednym z dziesięciu procent ocalonych. To odstęp między życiem a śmiercią, między nadzieją a rozpaczą. Niektórzy mówią, że lepiej jest umrzeć, niż żyć jako dzokeler, ale ja z pewnością się do nich nie zaliczam. Być może moje życie nie zawsze było szczęśliwe, ale zachowałem wiele miłych wspomnień i mam powody do dumy ze swych osiągnięć: cieszę się, że żyłem, i nie chcę umierać. Pogodziłem się z myślą o śmierci, ale to nie znaczy, że jestem zadowolony z jej

nadejścia. Zostało mi jeszcze zbyt wiele niedokończonych spraw. Podobnie jak Robert Tomlin jeszcze nie widziałem *Jolsona*. Nikt z nas nie widział tego filmu.

W Kenii oglądaliśmy całe umierające wioski. Żywych, uśmiechniętych, mówiących ludzi, zdolnych jeść, wydalać, kochać się, a nawet płodzić dzieci, pod każdym istotnym względem żywych, a mimo to martwych. Ci, którzy wyciągną Czarną Damę, mogą umierać pośród cierpień wywołanych niewyobrażalnymi transformacjami, ale istnieją środki przeciwbólowe, a do tego przynajmniej umierają szybko. AIDS jest mniej łaskawe.

Dżokerzy i ofiary AIDS mają ze sobą wiele wspólnego. Nim opuściłem Dżokerowo, planowaliśmy pod koniec maja urządzić w Gabinetce Luster koncerty charytatywne na rzecz DLZ. To miało być wielkie wydarzenie, chcieliśmy ściągnąć tylu sławnych artystów, ilu tylko się da. Po pobycie w Kenii wysłałem do Nowego Jorku telegram z zaleceniem podzielenia zysków z jakąś odpowiednią grupą pomagającą ofiarom AIDS. Pariasi muszą trzymać się razem. Być może uda mi się wznieść kilka niezbędnych mostów, zanim sam ujrzę na blacie przed sobą Czarną Damę.

# W dół Nilu

GAIL GERSTNER-MILLER

Pochodnie w świątyni paliły się powoli i miarowo, od czasu do czasu migocząc, gdy ktoś przechodził obok. Ich blask padał na twarze ludzi zgromadzonych w małym przedsionku sąsiadującym z główną komorą. Zjawili się wszyscy ci, którzy wyglądali jak zwykli ludzie, i ci, którzy byli nadzwyczajni: kobieta kot, mężczyzna z głową szakala, ci ze skrzydłami, pokryci krokodylową skórą i ptasiogłowcy.

— Wkrótce przybędzie skrzydlata — oznajmił jasnowidz Ozyrys.

— Czy jest jedną z nas?

— Czy nam pomoże?

— Nie bezpośrednio — odparł. — Ale nosi w sobie to, co będzie miało moc dokonania wielkich czynów. Na razie musimy czekać.

— Czekamy już bardzo długo — stwierdził szakal Anubis. — Chwila dłużej niczego nie zmieni.

Pozostali zgodzili się z nim szepcem. Żywi bogowie wrócili do cierpliwego oczekiwania.



Choć był jeszcze ranek w pokoju w hotelu Winter Palace Luxor panował straszliwy żar. Wentylator pod sufitem ciężko poruszał gęstym powietrzem. Po żebrach i piersiach Sokolicy spływały strużki potu. Leżała na łóżku, wsparta na łokciu. Josh McCoy włożył do kamery nową kasetę i spojrzął z uśmiechem na askę.

— Lepiej bierzmy się do roboty — rzekł.

Odwzajemniła leniwie jego uśmiech i poruszyła lekko skrzydłami, dając więcej chłodu niż powolny wentylator.

— Skoro tak mówisz. — Wstała i przeciągnęła się zgrabnie, przyglądając się gapiącemu się na nią mężczyźnie. Podeszła bliżej i usunęła się na bok tanecznym krokiem, gdy wyciągnął ku niej rękę. — Jeszcze ci mało? — zapytała drwiąco. Wyciągnęła z walizki parę dzinsów i wcisnęła się w nie, poruszając skrzydłami, by zachować równowagę. — W tutejszej pralni chyba używają wrzątku. — Wciągnęła mięśnie i zapięła oporny zamek — Gotowe.

— Wyglądasz w nich świetnie — zapewnił McCoy i objął ją od tyłu. Sokolica zdrząła, gdy pocałował ją w karki i popieścił jej piersi, nadal przeczulone po porannym stosunku.

— Myślałam, że mieliśmy brać się do roboty — zauważyła, wtulając się w niego.

McCoy westchnął i odsunął się od niej niechętnie.

— To prawda. Mamy się spotkać z resztą za... — zerknął na zegarek — ...trzy minuty.

— To fatalnie — poskarżyła się Sokolica z figlarnym uśmiechem. — Chyba dałabym się namówić na spędzenie całego dnia w łóżku.

— Czekaj na nas praca. — Mężczyzna poszukał ręką ubrania, podczas gdy Sokolica wciągała tank top. — Chcę się przekonać, czy ci samozwańczy żywi bogowie rzeczywiście potrafią dokonać tego wszystkiego, czym się przechwalają.

Patrzyła na ubierającego się McCoya, podziwiając jego szczupłe, muskularne ciało. Miał blond włosy i świetną sylwetkę, był dokumentalistą i kamerzystą, a także znakomitym kochankiem.

— Masz wszystko? Nie zapomnij kapelusza. Słońce praży tu okropnie, nawet zimą.

— Wszystko, czego potrzebuję. — Sokolica zerknęła na niego z ukosa. — Ruszajmy.

McCoy odwrócił na drugą stronę wiszącą na drzwiach tabliczkę z napisem NIE PRZESZKADZAĆ, a potem zamknął drzwi na klucz. Korytarz był cichy i opustoszały. Tachion z pewnością usłyszał ich stłumione przez dywan kroki, bo wystawił głowę, gdy przechodzili obok jego pokoju.

— Cześć, Tachy — rzuciła Sokolica. — Wybieramy się z Joshem, Ojcem Kalamarnicą i Hiramem na południową uroczystość w Świątyni Żywych Bogów. Pojedziesz z nami?

— Dzień dobry, moja droga. — Tachion, prezentujący się wspaniale w białym brokatowym szlafroku, skinął lekko głową do McCoya. — Dziękuję, ale nie skorzystam. Na wieczornym spotkaniu zobaczę wszystko, co jest do zobaczenia. W tej chwili jest zdecydowanie zbyt gorąco, żeby wychodzić na dwór. — Kosmita przyjrzał się jej uważnie. — Dobrze się czujesz? Jesteś blada.

— Chyba upał mnie również dokuca — przyznała kobieta. — Na spólkę z jedzeniem i wodą. Czy raczej mikrobami, które w nich żyją.

— Niedobrze by było, gdybyś nagle zachorowała — stwierdził z powagą doktor. — Chodź, zbadam cię szybko. — Powachlował się. — Przekonamy się, co ci dolega, a ja będę miał okazję zrobić coś użytecznego.

— W tej chwili nie mamy czasu. Czekają na nas...

— Soko — przerwał jej McCoy z zatroskaną miną. — To zajmie tylko kilka minut. Zejdę na dół i powiem Hiramowi i Ojcu Kalamarnicy, że coś cię zatrzymało. — Zawahała się. — Proszę — dodał.

— No dobra. — Uśmiechnęła się do niego. — Do zobaczenia na dole.

Kamerzysta skinął głową i ruszył przed siebie. Sokolica podążyła za Tachionem do jego pięknie urządzonego apartamentu. W obszernym salonie było znacznie chłodniej niż w pokoju, który dzieliła z McCoyem. Musiała jednak przyznać, że oboje wyprodukowali dziś rano mnóstwo ciepła.

— O kurczę — mruknęła, rozglądając się po pełnym wspaniałych dekoracji pomieszczeniu.  
— Mnie chyba dali pokoik dla służby.

— Niezły, co? Najbardziej podoba mi się łóżko. — Tachion wskazał na wielkie łóżo z baldachimem i moskitierą, widoczne za drzwiami sypialni. — Trzeba na nie wchodzić po schodkach.

— Rewelacja!

— Chcesz je wypróbować? — zapytał, obrzucając Sokolicę figlarnym spojrzeniem.

— Dziękuję, już dziś uprawiałam seks.

— Soko — poskarżył się drwiąco Tachion — nie rozumiem, co cię pociąga w tym facecie.  
— Wyjął z szafki czerwoną, skórzaną torbę lekarską. — Usiądź tutaj — polecił, wskazując na fotel z aksamitnym obiciem. — A teraz otwórz usta i powiedz *aaa*.

— *Aaa* — powtórzyła posłusznie.

Doktor zajrzał jej do gardła.

— Wygląda zdrowo — oznajmił. Szybko sprawdził jej uszy i popatrzył w oczy. — Wszystko tu w porządku. A teraz powiedz, jakie masz objawy. — Wyjął z torby słuchawkę. — Mdłości, wymioty, zawroty głowy?

— Trochę mdłości i wymiotów.

— Kiedy? Po jedzeniu?

— Niekoniecznie. W sumie bez różnicy.

— Codziennie?

— Nie. Może parę razy w tygodniu.

— Hmm. — Uniósł jej koszulkę i przystawił słuchawkę do piersi po lewej stronie. Poderwała się, gdy zimna stal dotknęła jej ciepłego ciała. — Przepraszam. Rytm serca jest mocny i miarowy. Od jak dawna wymiotujesz?

— Pewnie od paru miesięcy. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę. Myślałam, że to od stresu. Zmarszczył brwi.

— Wymiotujesz od paru miesięcy i o niczym mi nie powiedziałaś? Jestem twoim lekarzem. Przesunęła się nerwowo.

— Tachy, miałaś mnóstwo roboty. Nie chciałam zwracać ci głowy. To na pewno przez tę podróż. Inne jedzenie, inna woda, inne standardy higieny.

— Pozwól, bym to ja postawił diagnozę, młoda damo. Dobrze się wysypiasz czy twój nowy chłopak ci na to nie pozwala?

— Zawsze kładę się wcześniej do łóżka — zapewniła.

— W to akurat nie wątpię — odparł z ironią. — Ale nie o to pytałem. Czy dobrze się wysypiasz?

Zaczerwieniła się.

— Pewnie, że tak

Tachion schował słuchawki do torby.

— A jak z miesiączkami? Masz jakieś problemy?

— Nie miałam okresu przez pewien czas, ale w tym nie ma nic dziwnego, nawet gdy biorę pigułki.

— Soko, proszę, postaraj się wyrażać precyzyjniej. Co to znaczy „przez pewien czas”?

Przygryzła wargę i pomachała lekko skrzydłami.

— Nie jestem pewna. Może ze dwa miesiące?

— Hmmmmm. Chodź tutaj. — Poprowadził ją do sypialni. Instynktownie otuliła ciało skrzydłami. Klimatyzacja działała na pełnych obrotach i było tu chyba ze dwadzieścia stopni chłodniej. Doktor wskazał na łóżko. — Zdejmij dzinsy i połóż się.

— Jesteś pewien, że to badanie lekarskie? — zakpiła.

— Czy mam zawołać przyzwoitkę?

— Nie wygłupiaj się. Ufam ci!

— A nie powinnaś. — Tachion uśmiechnął się lubieżnie. Uniósł brwi, gdy zrzuciła trampki i zsunęła spodnie. — Nie nosisz bielizny?

— Nigdy. Ona tylko przeszkadza. Koszulkę też mam zdjąć?

— Jeśli to zrobisz, możesz już stąd nie wyjść — zagroził Tachion.

Roześmiała się i pocałowała go w policzek

— Niby dlaczego? Badałeś mnie już milion razy.

— W odpowiednim otoczeniu, kiedy miałaś na sobie szpitalną koszulę, a w pokoju była pielęgniarka. Nigdy nie byłaś naga... to znaczy prawie naga — poprawił się. — I nigdy w mojej sypialni. — Rzucił jej ręcznik — Masz, okryj się.

Położyła się na łóżku i dyskretnie nakryła biodra ręcznikiem. Tachion podziwiał jej długie, opalone nogi oraz kształtne pośladki. Od lodowatego powietrza płynącego z przeciążonej klimatyzacji pokryła ją gęsia skórka, ale Takizjanin to ignorował.

— Lepiej, żebyś miał ciepłe dłonie — ostrzegła go, gdy uklęknął przy łóżku.

— Są ciepłe jak moje serce — zapewnił, dotykając jej brzucha. — Boli cię tutaj?

— Nie.

— A tu? I tu?

Potrząsnęła głową.

— Nie ruszaj się — polecił. — Potrzebuję słuchawek — Tym razem ogrzał metalowy koniec dłonią, zanim przyłożył go do jej brzucha. — Dokuczała ci niestrawność?

— Trochę.

Gdy Takizjanin pomagał jej wstać, na jego lisiej twarzy pojawił się osobliwy wyraz.

— Włóż dżinsy. Pobiorę ci jeszcze krew i będziesz mogła iść pobawić się w turystkę.

Kiedy skończyła wiązać trampki, miał już przygotowaną strzykawkę. Wyciągnęła rękę i skrzywiła się, gdy wprawnie zawiązał stazę, posmarował skórę nad żyłą wacikiem, wbił strzykawkę i pobrał krew. Przyglądała się temu z fascynacją, ale nagle sobie uświadomiła, że od widoku krwi zrobiło się jej niedobrze.

— Cholera. — Pobiegła do łazienki, zostawiając za sobą unoszące się w powietrzu pióra, pochyliła się nad toaletę i zwróciła przyniesione do pokoju śniadanie razem z resztkami kolacji i szampana.

Tachion trzymał ją za ramiona, gdy wymiotowała, a kiedy osunęła się zmęczona na posadzkę obok wanny, otarł jej twarz ciepłą, wilgotną szmatką.

— Już lepiej?

— Chyba tak. — Pomógł jej wstać. — To przez tę krew. Chociaż przedtem jej widok nigdy mi nie przeszkadzał.

— Sokolico, myślę, że nie powinnaś wybierać się teraz na wycieczkę. Połóż się do łóżka, sama, z kubkiem gorącej herbaty.

— Nie — sprzeciwiła się. — Nic mi nie jest. To wszystko przez podróż. Jeśli znowu źle się pocuję, Josh przywiezie mnie z powrotem do hotelu.

— Nigdy nie zrozumie kobiet. — Potrząsnął ze smutkiem głową. — Wolisz zwykłego człowieka, choć mogłabyś mieć mnie. Chodź, zabandażuję tę dziurę, którą zrobiłem ci w ręce.

Zajął się sterylną gazą i plastrem.

— Jesteś słodka, doktorze, ale serce pochowałeś w przeszłości — odparła z łagodnym uśmiechem. — Zaczy nam się już czuć gotowa na stały związek, a nie sądzę, byś mógł mi go dać.

— A on może?

Wzruszyła ramionami, unosząc skrzydła razem z nimi.

— Mam taką nadzieję. Przekonamy się.

Wzięła z krzesła torebkę i kapelusz, a potem ruszyła ku drzwiom.

— Soko, wolałbym, żebyś to ponownie rozważyła.

— Co? Sypanie z tobą czy dzisiejszą wycieczkę?

— Wycieczkę, ty niedobra kobieto.

— Już mi przeszło. Nie przejmuj się mną aż tak bardzo. Daję słowo, że nigdy przedtem nie niepokoiło się o mnie tak wielu ludzi.

— To dlatego, że pod warstewką nowojorskiego szyku jesteś rozpaczliwie bezbronna, moja droga. Ludzie pragną się tobą opiekować. — Otworzył przed nią drzwi. — Uważaj na tego McCoya, Soko. Nie chciałbym, by cię skrzywdził.

Pocałowała go i wyszła, ocierając się skrzydłami o framugę. Na podłogę znówu posypały się delikatne pióra.

— Cholera. — Zatrzymała się i podniosła jedno z nich. — Ostatnio tracę je bardzo często.

— Naprawdę? — zainteresował się Tachion. — Nie zwracaj sobie tym głowy. Pokójówka je sprzątnie.

— Dobra. No to cześć. Życzę dobrej zabawy z testami.

Tachion odprowadził kobietę zaniepokojonym spojrzeniem. Następnie zamknął drzwi, trzymając w dłoni jedno z jej piór.

— To wygląda nieładnie — powiedział na głos, muskając się nim w podbródek — Naprawdę nieładnie.



Sokolica wypatrzyła McCoya w holu. Rozmawiał z krępyim, ciemnoskórym mężczyzną noszącym biały mundur. Dwaj jej pozostali towarzysze siedzieli na pobliskiej kanapie. Zauważyła, że Hiram Worchester wygląda na zmęczonego. Restaurator, jeden z jej najstarszych i najlepszych przyjaciół, wdział dziś szyty na zamówienie tropikalny garnitur, ale ubiór zwisał z niego luźno, jakby jego właściciel stracił część swej przekraczającej sto pięćdziesiąt kilogramów wagi. Być może ciągle przemieszczanie się z miejsca na miejsce dokuczalo mu równie mocno jak jej. Na tle Ojca Kalamarnicy, miłego duchownego z Kościoła Jezusa Chrystusa Dżokera Hiram wydawał się niemal szczupły. Ojciec Kalamarnica miał wzrost normalnego człowieka, ale był dwukrotnie od niego szerszy. Twarz miał okrągłą i szarą, w oczach trzecie powieki, a z ust zwisało mu słupisko macek, przypominające poruszające się nieustannie wąsy. Zawsze przypominał jej jednego z fikcyjnych Przedwiecznych Lovecrafta, ale w rzeczy wistości był od nich znacznie sympatyczniejszy.

— Soko — odezwał się McCoy. — To jest pan Ahmed z Policji Turystycznej. Panie Ahmed, to jest Sokolica.

— Mimo mi panią poznać — rzekł przewodnik i pochylił się, by pocałować ją w rękę.

Sokolica odpowiedziała uśmiechem, a potem przywitała się z Hiramem i z kapłanem. Następnie zwróciła się ku Joshowi, który przyglądał się jej uważnie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. — Co ci zrobił Tachion? Utczył ci kwartę krwi?

— Z pewnością nie. Nic mi nie jest — zapewniła, ruszając za Ahmedem i swymi towarzyszami ku limuzynie. *Jeśli będę to ciągle powtarzała, może nawet w to uwierzę* — pomyślała.



— Co to, do licha? — zawołała Sokolica, gdy zatrzymali się przed posterunkiem z metalu i szkła. Dwóch uzbrojonych po zęby mężczyzn siedziało w budce pod wysokim murem



otaczającym kilka akarów pustyni składających się na Świątynię Żywych Bogów. Szczytem białego muru biegło kilka pasm drutu kolczastego. Chodzili po nim ludzie w niebieskich mundurach, uzbrojeni w karabiny maszynowe. Kamery nieustannie rejestrowały każdy ruch. Nieskazitelnie biały mur lśnił oślepiającym blaskiem na tle jasnego piasku i błękitnego egipskiego nieba.

— To z powodu Nurów — wyjaśnił Ahmed, wskazując na kolejkę turystów pragnących wejść na teren świątyni. — Wszyscy muszą przejść przez dwie bramki. Wykrywacz metalu i materiałów wybuchowych. Ci fanatycy są zdeterminowani zniszczyć świątynię i bogów. Już kilkakrotnie próbowali ataków, ale zawsze dotąd udawało się ich powstrzymać, zanim wyrządzili poważne szkody.

— Kim są Nurowie? — zapytał Ojciec Kalamarnica.

— To zwolennicy Nur al-Allaha, fałszywego proroka pragnącego zjednoczyć wszystkie islamskie sekty pod swoim przewodnictwem — wyjaśnił Ahmed. — Ogłosił on, że Allah pragnie zagłady wszystkich ludzi zdeformowanych przez wirusa dzięki karty. Dlatego Świątynia Żywych Bogów stała się jednym z celów ataków jego zwolenników.

— Mamy czekać w kolejce razem z turystami? — obruszył się Hiram. — W końcu otrzymaliśmy specjalne zaproszenie.

— Z pewnością nie, panie Worchester — uspokoił go pośpiesznie Ahmed. — Wejście dla VIP-ów jest tam. Wpuszczą was natychmiast. Proszę...

— Nigdy nie wchodziłem przez wejście dla VIP-ów — wyszeptał McCoy do Sokolicy, gdy ustawili się w kolejce za Ahmedem. — Tylko przez wejście dla prasy.

— Trzymaj się mnie. Zaprowadzę cię w mnóstwo miejsc, których nigdy przedtem nie widziałeś — obiecała.

— Już to zrobiłaś — odpowiedział.

W wejściu dla VIP-ów również były dwie bramki z detektorami. Przeszli na drugą stronę, uważnie obserwowani przez strażników odzianych w niebieskie szaty noszone przez wyznawców żywych bogów. Mężczyźni dokładnie sprawdzili torebkę Sokolicy i kamerę McCoya. Gdy kamerzyście zwrócono sprzęt, podszedł do nich jakiś staruszek. Był niski i opalony na ciemny brąz. Wyglądał zdrowo, miał szare oczy, białe włosy oraz bujną, również białą brodę, pięknie kontrastującą z powłóczystą niebieską szatą.

— Jestem Opet Kemel — przedstawił się. Głos miał niski i melodyjny. Umiał przyciągać uwagę i budzić szacunek — Pierwszy kapłan Świątyni Żywych Bogów. Jesteśmy wdzięczni, że zechcieliście zaszczyścić nas swą wizytą. Przeniósł spojrzenie z Ojca Kalamarnicy na Sokolicę, potem na Hiram i McCoya, a wreszcie znowu na Sokolicę. — Tak jest, moje dzieci ucieszą się z waszego przybycia.

— Będzie pan miał coś przeciwko temu, jeśli sfilmujemy ceremonię? — zapytała kobieta.

— Bynajmniej — uspokoił ją z szerokim gestem. — Chodźcie ze mną. Zaprowadzę was do najlepszych miejsc.

— Mógłby pan zaznajomić nas z historią świątyni? — poprosiła Sokolica.

— Z pewnością — odparł, gdy ruszyli za nim. — Epidemia dzikiej karty w Port Saidzie, która wybuchła w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, spowodowała wiele „mutacji”, jak chyba je nazywają. Rzecz jasna, byli wśród nich sławni Nasrydzi. Al Haziz, Khôf i inni wielcy bohaterowie z minionych lat. Wielu mieszkańców Luksoru pracowało wówczas w tamtejszym porcie i również padło ofiarą wirusa. Niektórzy przekazali go swym dzieciom i wnukom. Prawdziwe znaczenie tych mutacji uświadomiłem sobie dopiero dziesięć lat temu, gdy zobaczyłem chłopca, który przyniósł polom ojca wielce potrzebny deszcz. Zrozumiałem, że dzieciak jest wcieleniem Mina, starożytnego boga plonów, a jego obecność zapowiada powrót dawnej religii. Byłem wtedy archeologiem. Dopiero co odkryliśmy nietknięty kompleks świątynny. — Wskazał na ich stopy. — Kryjący się pod ziemią w miejscu, gdzie stoimy. Przekonałem Mina, że ma misję do spełnienia, i znaleźliśmy innych, którzy się do nas przyłączyli. Anubisa, Tawaret, Thotha... Z biegiem lat wszyscy zgromadzili się w Świątyni Żywych Bogów, by słuchać modlitw wyznawców i czynić cuda.

— A co to za cuda? — zainteresowała się Sokolica.

— Najrozmaitsze. Na przykład, jeśli ciężarna kobieta ma trudności, będzie się modliła do Tawaret, bogini ciąży i porodu. Bogini zapewni ją, że wszystko będzie w porządku, i tak rzeczywiście się stanie. Thoth rozstrzyga spory, wie, kto mówi prawdę, a kto kłamie. Min, jak już mówiłem, potrafi sprowadzać deszcz. Ozyrys widzi urywki przeszłości. W sumie to proste.

— Rozumiem. — Twierdzenia Kemela brzmiały rozsądnie. Sokolica wiedziała, że wirus nieraz budzi w ludziach podobne talenty. — Ilu tych bogów macie?

— Może ze dwudziestu pięciu. Niektórzy właściwie nie mają żadnych mocy — wyznał Kemel konfidențialnym tonem. — Są tym, co zwiecie dzokłkami. Niemniej wyglądają jak dawni bogowie — na przykład Bast jest porośnięta futrem i ma pazury — i dają pocieszenie ludziom, którzy przybywają tu, by pomodlili się do nich. Zresztą zobaczcie sami. Uroczystość niedługo się zacznie.

Poprowadził ich obok grup turystów robiących sobie zdjęcia pod posągami bogów oraz kiosków, w których sprzedawano wszystko: od filmów Kodaka, wisiorów do kluczy i coca-coli aż po repliki starożytnej biżuterii, a także małe statuetki tych samych bogów. Wreszcie dotarli do wąskich drzwi w murze z czarnego piaskowca zbudowanym w równej linii z urwiskiem. Potem ruszyli w dół wytartymi kamiennymi schodami. Sokolica dostała gęziej skórki. Wewnątrz budynku było chłodno. Palily się tu elektryczne światła przypominające migotliwe pochodnie. Ściany

były ozdobione pięknymi płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny z życia codziennego w starożytnym Egipcie, szczególnie oddane inskrypcje napisane hieroglifami, a także podobizny zwierząt, ptaków, bogów i bogiń.

— Ależ to pięknie odrestaurowano! — zawołała Sokolica, zachwycona cudowną świeżością płaskorzeźb.

— W gruncie rzeczy wszystko wygląda tu tak samo, jak wtedy, gdy odkryłem ten kompleks przed dwudziestu laty — wyjaśnił Kemel. — Rzecz jasna dodaliśmy trochę nowoczesnych udogodnień, takich jak elektryczność — dodał z uśmiechem.

Weszli do wielkiego amfiteatru o scenie zwracającej się ku szeregom kamiennych ław. Na ścianach umieszczono szklane gabloty, zgodnie ze słowami Kemela zawierające odkryte w świątyni artefakty.

McCoy sfilmował je starannie, poświęcając kilka minut taśmy na drewniane statuetki, wyglądające tak świeżo, jakby pomalowano je wczoraj, naszyjniki, obręcze oraz pectorały z lazurytu, szmaragdów i złota, kielichy wyrzeźbione z półprzezroczystego alabastru, nefrytowe słoićzki na maści zręcznie ukształtowane na podobieństwo zwierząt, maleńkie, pięknie inkrustowane puzderka oraz tablice do gier, krzesła... Mieli przed sobą cudowne zabytki umarłej cywilizacji. Cywilizacji, którą Kemel ze swą Świątynią Żywych Bogów próbował wskrzesić, jak uświadomiła sobie Sokolica.

— Jesteśmy na miejscu.

Kemel wskazał na szereg ław w pobliżu sceny, uklonił się lekko i odszedł.

Nie trzeba było wiele czasu, by amfiteatr się wypełnił. Światła przygasły i zapadła cisza. Na scenę padł blask reflektora. Rozległa się cicha, niezwykła muzyka, wywołująca niesamowite wrażenie, jakby była równie stara, jak sama świątynia. Zaczęła się procesja żywych bogów. Na czele kroczyli Ozyrys, bóg śmierci i zmartwychwstania, oraz jego małżonka Izyda. Za nimi stąpał Hapi, niosący złoty sztandar, a po nim Thoth, sędzia z głową ibisa ze swoim oswojonym pawianem. Szu i Tefnut, brat i siostra, bóg i bogini powietrza, unosili się nad sceną. Za nimi podążył Sobek ze swą ciemną, splekąną krokodylową skórą i długim pyskiem. Hathor, wielka matka, miała krowie rogi. Bast, kocia bogini, kroczyła delikatnie. Jej twarz i ciało porastało płowe futro, a z palców wysuwały się pazury. Min wyglądał jak zwyczajny mężczyzna, ale unosiła się nad nim mała chmura, śledząca jego kroki niczym wierne szczenię. Bes, przystojny karzeł, robił przerzuty bokiem i chodził na rękach. Anubis, bóg świata podziemnego, miał głowę szakala, a Horus skrzydła sokola...

Kolejni bogowie przechodzili powoli przez scenę i zasiadali na połączonych tronach. Potem przedstawiano ich publiczności po angielsku, francusku i arabsku.

Następnie zaczęli demonstrować swe umiejętności. Szu i Tefnut unosili się w powietrzu,

bawiąc się w berka z chmurką Mina. Wtem tę pokojową scenę zmącił niespodziewany huk wystrzałów. Uwięzieni w amfiteatrze widzowie zakrzyknęli z przerażenia. Setki turystów wstały z ław i kłębiły się jak porażone paniką bydło. Niektórzy popędzili ku umieszczonym z tyłu sali drzwiom. Klatkę schodową wkrótce zapchał przerażony, wrzeszczący tłum. McCoy już po pierwszym wystrzale obalił Sokolicę na ziemię i nakrył ją własnym ciałem. Następnie zaciągnął ją za jedną w wielkich, zdobnie rzeźbionych kamiennych kolumn otaczających scenę.

— Nic ci się nie stało? — wydyszał, wychylając się zza kolumny. Jego kamera furkotała bez ustanku pośród odgłosów szaleństwa i zniszczenia.

— Nic. Co się dzieje?

— Trzech facetów z karabinami maszynowymi. — Pewnie trzymał w rękach kamerę, a w jego głosie pobrzmiwała nuta ekscytacji. — Chyba nie strzelają do ludzi, tylko w ściany.

Kula przeleciała ze świstem tuż obok kolumny. W powietrzu unosił się brzęk pękającego szkła. Terrorysti niszczyli gabloty wypełnione bezcennymi artefaktami i dewastowali pięknie rzeźbione ściany seriami z karabinów maszynowych.

Żywi bogowie uciekli już po pierwszym wystrzale. Na scenie został tylko jeden, mężczyzna przedstawiony jako Min. Sokolica wyjrzała zza kolumny i zobaczyła, że nad głowami terrorystów pojawiła się chmura. Nagle spadła na nich ulewa. Rozproszyli się, ślizgając się i potykając na mokrej, kamiennej posadzce w próbie znalezienia osłony przed oslepiającymi strugami wody. Sokolica pogrzebała w torebce, szukając metalowych szponów. Zauważyła, że Hiram Worchester stoi z dala od innych, a na jego twarzy maluje się wyraz potężnej koncentracji. Jeden z napastników krzyknął gwałtownie, gdy karabin wysunął mu się z rąk i spadł na kamienną podłogę. Mężczyzna przewrócił się z krzykiem. Z jego połamanej kończyny tryskała krew. Hiram przeniósł swą uwagę na drugiego terrorystę. Sokolica włożyła rękawicę.

— Spróbuję unieść się nad nich — oznajmiła McCoyowi.

— Uważaj na siebie — odparł, skupiony na filmowaniu wydarzeń.

Zgięła palce w skórzanych rękawicach wyposażonych w ostre jak brzytwa tytanowe pazury. Jej skrzydła drżały z niecierpliwości. Wzięła sześć kroków rozpędu, załopotała ciężko skrzydłami, skoczyła w górę...

...i zwała się boleśnie na podłogę.

Spadła na ręce i kolana, ocierając dłonie o szorstkie kamienie. W lewe kolano uderzyła się tak mocno, że po pierwszym ukłuciu przeszywającego bólu zrobiło się zupełnie odrętwiała.

Przez długą chwilę nie chciała uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Przyklucnęła na podłodze. Kule świstały wokół niej. Po chwili wstała i znowu załopotała skrzydłami. Nic się nie wydarzyło. Nie mogła latać. Stała na otwartej przestrzeni, ignorując strzelaninę. Starła się odgadnąć, co się stało, co robiła źle.

— Sokolico! — zawołał McCoy. — Padnij!

Trzeci terrorysta wycelował w nią, wrzeszcząc coś od rzeczy. Jego twarz wykrzywiła się nagle w grymasie przerażenia, gdy pomknął pod sufit. Karabin wypadł mu z rąk. Hiram pozwolił mu spaść z wysokości dziewięciu metrów. Dwóch pozostałych terrorystów obalili na podłogę świątynni strażnicy. Kemel podszedł do nich z wyrazem niedowierzania i przerażenia na twarzy.

— Dzięki Miłosiernym, że nic się pani nie stało! — zawołał, biegnąc do Sokolicy, nadal zdezorientowanej i oszołomionej tym, co ją spotkało.

— Tak — odparła nieobecny głosem, lecz po chwili skłupiła wzrok na ścianach komory. — Ale niech pan spojrzy na te straty!

U stóp Sokolicy leżały fragmenty małego, drewnianego posążka, połączonego i pięknie inkrustowanego fajansem oraz szlachetnymi kamieniami. Pochyliła się, by spróbować delikatnie je pozbierać, ale kruche drewno zamieniało się w pył pod jej dotykiem, pozostawiając tylko powykęcane skorupy ze złota i klejnotów.

— Przetrwiała tak długo tylko po to, by zniszczyło ją to szaleństwo — wyszeptła kobieta.

— Ach, prawda. — Kemel wzruszył ramionami. — No cóż, ściany można odrestaurować. Mamy też więcej obiektów, które możemy umieścić w gablotach.

— Co to byli za ludzie? — zapytał Ojciec Kałamarnica, ze spokojem strzepując pył z sutanny.

— Nurowie — wyjaśnił Kemel. — Fanatycy! — dodał, spluwając na podłogę.

McCoy podbiegł do nich z kamerą przerzuconą przez ramię.

— Mówiłem ci, żebyś uważała! — skarcił Sokolicę. — A nie żebyś stała sobie pośrodku sali, kiedy jacyś idioci prują z karabinów maszynowych! Dzięki Bogu, że Hiram miał tego faceta na oku.

— Wiem — przyznała. — Ale to nie powinno tak wyglądać. Chciałam się wzbic w powietrze, ale nie byłam w stanie. Nigdy jeszcze mi się to nie zdarzyło. To dziwne. — Odgarnęła z oczu długie włosy. Miała zakłopotaną minę. — Nie wiem, co się stało.

W komnacie nadal panował chaos. Terrorysty mogliby zabić setki ludzi, gdyby nie fakt, że woleli zniszczyć symbole dawnej religii. Mimo to kilkudziesięciu turystów oberwało zbłąkanymi kulami albo doznało obrażeń podczas ucieczki. Świątynnych strażników uczono udzielania pierwszej pomocy, ale na kamiennych ławach leżało mnóstwo rannych, a wszyscy jęczeli, płakali, krzyczeli, krwawili...

Sokolica odwróciła się od McCoya i pozostałych. Dręczyły ją mdłości, w każdej chwili grożące przejściem w wymioty. McCoy pomógł jej wstać. Gdy torsje ustały, wsparła się o niego z wdzięcznością.

Ujął delikatnie jej rękę.

— Lepiej zawiozę cię do doktora Tachiona.

W drodze powrotnej do hotelu McCoy objął ją ramieniem i przytrzymał do siebie.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił. — To na pewno tylko zmęczenie.

— A jeśli nie? Jeśli naprawdę jestem chora? Jeśli już nigdy nie będę mogła latać? — zapytała przerażonym szeptem i wtuliła twarz w ramię McCoya. Pozostali patrzyli na nią z niemym współczuciem. Jej łzy wsiąkały w jego koszulę, gdy głaskał ją po długich, ciemnych włosach.

— Wszystko będzie dobrze, Soko. Obiecuję.



— Hmm, powinienem był się tego spodziewać — stwierdził Tachion, gdy zapłakana Sokolica opowiedziała mu swoją historię.

— Nie rozumiem — odezwał się McCoy. — Co jej dolega?

Takizjanin przeszył go zimnym spojrzeniem.

— To prywatna sprawa. Między kobietą a jej lekarzem. Czy mógłbym...

— Obchodzi mnie wszystko, co dotyczy Soko.

— Zatem tak to wygląda?

Tym razem spojrzenie Tachiona było otwarciem wrogie.

— Wszystko w porządku, Josh — zapewniła Sokolica i uściskała kochankę.

— Jak sobie żyjesz? — McCoy zwrócił się ku drzwiom. — Zaczekałam na ciebie w barze.

Takizjanin zamknął za nim drzwi.

— A teraz usiądź i wytrzymaj oczy. To nic poważnego. Tracisz pióra z powodu zmian hormonalnych. Umysł zdał sobie sprawę ze stanu, w jakim jesteś, i zablokował twoją moc, żeby cię chronić.

— Z mojego stanu? Żeby mnie chronić? Co mi jest?

Sokolica przycupnęła na skraju sofy. Tachion usiadł obok i ujął jej zimną dłoń w obie ręce.

— Za kilka miesięcy ci minie. — Jego liliowe oczy spoglądały prosto w jej niebieskie. — Jesteś w ciąży.

— Co? — Sokolica oparła się o poduszki kanapy. — To niemożliwe! Jak mogę być w ciąży? Biorę pigułki od niepamiętnych czasów! — Znowu się wyprostowała. — Co powie NBC? Nie wiem, czy mój kontrakt przewiduje taką możliwość.

— Sugeruję, byś odstawiła wszystkie leki. A także alkohol. Z pewnością pragniesz urodzić zdrowe i szczęśliwe dziecko.

— Tachy, to śmieszne! Nie mogę być w ciąży! Jesteś pewien?

— Oczywiście. Sądząc po objawach, powiedziałbym, że to czwarty miesiąc. — Wskazał głową na drzwi. — Co twój kochanek sądzi o tym, że zostanie ojcem?

— Josh nie jest ojcem. Jesteśmy razem dopiero od paru tygodni. — Szczęka jej nagle opadła. — O mój Boże!

— Co się stało? — zapytał Tachion z troską w głosie i na twarzy.

Wstała z sofy i zaczęła spacerować po pokoju, trzepocząc nieświadomie skrzydłami.

— Doktorze, co się stanie z dzieckiem, jeśli oboje rodzice są nosicielami dzikiej karty? Matka dzoklerka, ojciec as albo coś w tym rodzaju?

Zatrzymała się przy marmurowym obramowaniu kominka i zaczęła bawić się zakurzonymi ozdóbkami, które na nim ustawiono.

— O co chodzi? — zapytał podejrzliwie Tachion. — Jeśli McCoy nie jest ojcem, to kto? Czy to as?

— Tak

— Kto?

Odstawiła z westchnieniem figurkę, którą się bawiła.

— Nie sądzę, by to miało znaczenie. Nigdy go już nie zobaczę. To była tylko jedna noc.

— Uśmiechnęła się na to wspomnienie. — Cóż za noc!

Takizjanin przypomniał sobie nagle kolację w Wieży Asów w Dniu Dzikiej Karty. Sokolica opuściła restaurację z...

— Fortunato! — zawołał. — Fortunato jest ojcem? Poszłaś do łóżka z tym... tym alfonsem? Czy ty nie masz gustu? Nie chcesz spać ze mną, ale z nim się przespałaś?

Przestał krzyżeć i zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Podszedł do baru i nalał sobie brandy. Sokolica przyglądała mu się ze zdumieniem.

— Nie potrafię w to uwierzyć — powtórzył Tachion, przełykając większą część zawartości kieliszka. — Mam nieporównanie więcej do zaofierowania.

*No jasne — pomyślała. Kolejne nacięcie na słupku twojego łóżka. Ale z drugiej strony dla Fortunata pewnie byłam tym samym.*

— Powiedzmy sobie coś szczerze, doktorze — rzekła z drwiną w głosie, poirytowana jego egocentryzmem. — Fortunato był jedynym mężczyzną, który sprawił, że zapłonęłam. To było absolutnie niewiarygodne. — Uśmiechnęła się na widok furii malującej się na jego twarzy. — Ale to w tej chwili nieważne. Co z dzieckiem?

W jej głowie kłębiły się niezliczone myśli. *Będę musiała przerobić mieszkanie. Mam nadzieję, że już naprawili dach. Dziecko nie może żyć w domu bez dachu. Może powinnam się przenieść na wieś. Dla dziecka to byłoby lepsze. Uśmiechnęła się do siebie. Wielki dom z dużym trawnikiem, drzewami i ogrodem. I psy. Nigdy nie myślałam o dziecku. Czy będę dobrą matką? Najwyższy czas się przekonać. Mam już trzydzieści dwa lata i cholerny zegar biologiczny tyka.*

*Ale jak to się stało? Do tej pory pigułka zawsze działała. Moce Fortunata opierają się na jego potężnej seksualności. Mogły przewyciężyć działanie środków antykoncepcyjnych. Fortunato i... Josh! Jak zareaguje na tę wiadomość? Co sobie pomyśli?*

Z zamyślenia wyrwał ją głos Tachiona.

— Słyszałaś choć słowo z tego, co powiedziałem? — zapytał Takizjanin.

Zaczerwieniła się.

— Przepraszam. Myślałam o tym, jak to będzie być matką.

Jęknął.

— Soko, to nie takie proste — rzekł z delikatnością w głosie.

— Dlaczego?

— I ty, i ten mężczyzna jesteście zarażeni dziką kartą. W związku z tym istnieje dziewięćdziesiąt procent szans, że dziecko umrze przed narodzeniem, dziewięć procent, że zostanie dzokorem i jeden, tylko jeden procent — podkreślił — na to, że będzie asem. — Wypił kolejny łyk brandy. — To okropne ryzyko. Okropne. Dziecko nie ma szans.

Sokolica zaczęła spacerować po pomieszczeniu.

— Czy jest coś, jakiś test, który mógłbyś przeprowadzić, żeby sprawdzić, czy dziecko w tej chwili jest w porządku?

— Tak Mógłbym zrobić USG. To okropnie prymitywna metoda, ale powie nam, czy dziecko rozwija się normalnie, czy nie. W tym drugim przypadku sugeruję... nie, nalegam bardzo stanowczo, żebyś zdecydowała się na aborcję. Na świecie jest już wystarczająco wielu dzokarów — zakończył z goryczą.

— A jeśli dziecko jest normalne?

— Wirus często ujawnia się dopiero po narodzinach — odparł z westchnieniem Tachion. — Jeśli dziecko przeżyje traumę związaną z przyjściem na świat oraz atak wirusa, pozostaje tylko czekać. Czekać i zastanawiać się, co i kiedy się stanie. Sokolico, jeśli pozwolisz, by to dziecko się urodziło, będziesz cierpieła przez całe życie, niepokoiła się o nie i próbowała chronić je przed wszelkimi zagrożeniami. Pomyśl o stresach związanych z dzieciństwem i okresem dojrzewania. Każdy z nich może uaktywnić wirusa. Czy to uczciwe wobec ciebie? Wobec dziecka? I mężczyzny, który czeka na ciebie na dole? Pod warunkiem, że nadal będzie chciał być częścią twojego życia, gdy się o tym dowie — zakończył zimno.

— Będę musiała omówić to z Joshem — odparła pośpiesznie, wracając do tematu, który zdominował jej umysł. — Czy mógłbyś wkrótce zrobić mi USG?

— Zapytam w szpitalu. Jeśli nie uda się tego załatwić w Luksorze, będziemy musieli poczekać na powrót do Kairu. Gdyby dziecko okazało się uszkodzone, musisz rozważyć możliwość aborcji. W gruncie rzeczy, powinnaś się na nią zdecydować tak czy inaczej.

Wlepiała w niego spojrzenie.

— Zabić dziecko, które może wyrosnąć na zdrowego człowieka? Może być podobne do mnie — argumentowała. — Albo do Fortunata.



— Soko, nie zdajesz sobie sprawy, jak łaskawie potraktował cię wirus. Skrzydła otworzyły ci drogę do sławy i sukcesu finansowego. Zaliczasz się do garstki szczęśliwców.

— Pewnie, że się zaliczam. No wiesz, jestem ładna, ale bez przesady. Jest masa atrakcyjnych dziewczyn. Właściwie powinnam ci podziękować za swój sukces.

— Pierwszy raz ktoś mi dziękuje za to, że zniszczyłem życie milionów ludzi — odparł z przygnębieniem Tachion.

— Próbowales to powstrzymać — pocieszyła go. — To nie twoja wina, że Śmig spieprzył sprawę.

— Soko — odrzekł nadal smutny Takizjanin, jakby wspomnienie dawnych niepowodzeń było dla niego zbyt bolesne. — Jeśli nie przerwiesz ciąży, ona wkrótce stanie się widoczna. Lepiej zacznij się zastanawiać nad tym, co powiesz ludziom.

— Prawdę, oczywiście. Że będę miała dziecko.

— A jeśli zapytają cię, kto jest ojcem?

— Odpowiem, że to wyłącznie moja sprawa!

— Sugeruję, że również McCoy'a — zauważył Tachion.

— Pewnie masz rację. Ale świat nie musi wiedzieć o Fortunacie. Proszę, nie mów nikomu. Bardzo bym nie chciała, żeby przeczytał o tym w gazecie. Wolę powiedzieć mu sama. — *Jeśli go jeszcze kiedyś zobaczę* — dodała w myśli. — Proszę.

— Nie do mnie należy informowanie go o tym — stwierdził zimno Tachion. — Niemniej musi się dowiedzieć. Ma do tego prawo. — Zmarszczył brwi. — Nie mam pojęcia, co w nim zobaczyłaś. Ze mną nic takiego z pewnością by ci się nie przytrafiło.

— Już mi to mówiłeś — przypomniała mu z irytacją. — Trochę za późno na gdybanie. Z czasem wszystko się ułoży.

— Nie wszystko — sprzeciwił się stanowczo Tachion. — Dziecko najprawdopodobniej umrze albo zostanie dżokerem, a nie sądzę, abyś była wystarczająco silna, by poradzić sobie z którąś z tych możliwości.

— Będę musiała sama się o tym przekonać — skwitowała pragmatycznie i zwróciła się ku drzwiom. — Chyba powinnam powiedzieć Joshowi. Ucieszy się, że to nic poważnego.

— I z tego, że nosisz dziecko innego mężczyzny również? — zapytał Tachion. — Jeśli wasz związek to wytrzyma, to będzie znaczyło, że jest naprawdę niezwykłym facetem.

— Jest, doktorze — zapewniła doktora i samą siebie. — Jest.



Sokolica poszła powoli do baru, wspominając dzień, gdy poznali się z McCoyem. Gdy w listopadzie przedstawiono ich sobie w biurze NBC, już od pierwszej chwili jasno okazało, że jest nią zainteresowany. Jako utalentowany kamerzysta i niezależny dokumentalista bardzo się

ucieszył z szansy sfilmowania podróży. A także poznania Sokolicy, jak później jej wyznał. Uwalniała się już wtedy od obsesji na punkcie Fortunata, a McCoy jej w tym pomógł. Flirtowali ze sobą i prowokowali się nawzajem, aż wreszcie w Argentynie wylądowali w łóżku. Od tej pory dzielili ze sobą pokój.

Jednakże McCoy nie był w stanie wzbudzić w niej takiej pasji jak Fortunato. Wątpiła, by mogło się to udać jakiegokolwiek mężczyźnie. Po szalonej nocy, którą ze sobą spędzili, Sokolica pragnęła go jak narkotyku. Gdy tylko zadzwonił telefon albo ktoś zapukał do drzwi, miała nadzieję, że to Fortunato. Ale on nigdy nie wrócił. Dzięki pomocy Poczwarłki odnalazła jego matkę i dowiedziała się, że as opuścił Nowy Jork i przebywa gdzieś na Wschodzie, najpewniej w Japonii.

Świadomość, że porzucił ją tak od niechcena, pomogła jej o nim zapomnieć, ale teraz wspomnienie powróciło. Zastanawiała się, jak zareaguje, kiedy się dowie, że zrobił jej dziecko i zostanie ojcem. Czy w ogóle się o tym dowie? Westchnęła.

*Josh McCoy to cudowny mężczyzna i kochasz go — rzekła sobie stanowczo. Nie zmarnuj tej szansy z powodu faceta, którego zapewne już nigdy nie zobaczysz. Ale co się stanie, jeśli jednak go zobaczę?* Po raz milionowy wspomniła godziny spędzone z Fortunatem. Sama myśl o nim sprawiła, że znowu go zapragnęła. Albo McCoy'a.

Josh popijał piwo Stella. Kiedy zobaczył Sokolicę, zawołał kłnera i razem poszli do stolika.

— Wezmę jeszcze jedno piwo — oznajmił kłnerowi McCoy. — Chcesz wina, Soko?

— Nie, dziękuję. Macie butelkowaną wodę? — zapytała kłnera.

— Oczywiście, proszę pani. Może być Perrier?

— W porządku.

— I jak? — zapytał McCoy. — Co miał ci do powiedzenia Tachion? Nic ci nie jest?

*Nie jestem taka odważna, jak mi się zdawało — pomyślała. Co, jeśli nie zechce tego zaakceptować?* Doszła do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć mu prawdę.

— Nic mi nie dolega. Nic, czego czas by nie wyleczył. — Przełknęła łyk wody, którą kłner postawił przed nią. — Będę miała dziecko — wyszeptała

— Co? — McCoy omal nie wypuścił piwa z ręki. — Dziecko?

Skinęła głową, patrząc mu w oczy po raz pierwszy od chwili, gdy usiedli przy stoliku. *Naprawdę cię kocham* — dodała bezgłośnie. *Proszę, nie utrudniaj mi tego dodatkowo.*

— Moje? — zapytał spokojnie.

To będzie najtrudniejszy moment.

— Nie — przyznała.

Josh dopił piwo i sięgnął po drugą butelkę.

— Jeśli nie ja jestem ojcem, to kto? Bruce Willis? — Sokolica skrzywiła się z niesmakiem.

— Keith Hernandez? Bob Weir? Senator Hartmann? Kto?

Uniosła brwi.

— Bez względu na to, co wypisują w sprzedawanych w supermarketach tabletkach i co najwyraźniej sam sądzisz, nie śpię z każdym, z którym się mnie łączy. W gruncie rzeczy jestem dość wybredna w wyborze kochanków. — Uśmiechnęła się psotnie. — Przecież wybrałam ciebie.

— Nie próbuj zmieniać tematu — ostrzegł ją. — Kto jest ojcem?

— Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Skinął krótko głową.

— A dlaczego?

— Dlatego — odparł z westchnieniem — że cię kocham i sądzę, że to ważne, kto jest ojcem twojego dziecka. Czy on o tym wie?

— Skąd miałby wiedzieć? Sama dowiedziałam się dopiero przed chwilą.

— Kochasz go? — zapytał McCoy, marszcząc brwi. — Dlaczego z nim zerwałaś? A może to on zerwał z tobą?

— Josh, nie łączył nas żaden związek — wyjaśniła cierpliwie. — To była tylko jedna noc. Spotkałam go, poszliśmy razem do łóżka i już nigdy więcej go nie zobaczyłam.

*Ale to nie znaczy, że nie próbowałam* — dodała w myślach.

McCoy zasępił się jeszcze bardziej.

— Czy masz w zwyczaju sypiać z każdym, kto wpadnie ci w oko?

Zaczerwieniła się.

— Nie mam. Przed chwilą ci to powiedziałam. — Położyła rękę na jego dłoni. — Proszę, zrozum, że nie miałam wtedy pojęcia, że ciebie spotkam. Już od pierwszego razu wiedziałeś, że nie jesteś moim pierwszym mężczyzną, i ja też z pewnością nie jestem pierwszą kobietą, z którą spałeś, nieprawdaż?

— Nie jesteś, ale miałem nadzieję, że będziesz ostatnią. — Przesunął dłonią po włosach. — To fatalnie psuje mi plany.

— Nie rozumiem.

— No wiesz, co z ojcem? Czy spokojnie usunie się na bok i pozwoli mi ożenić się z matką swego dziecka?

— Chcesz się ze mną ożenić?

Sokolica po raz pierwszy poczuła nadzieję, że może jednak wszystko się ułożyć.

— Tak, chcę! Co w tym takiego dziwnego? Czy ten facet będzie robił problemy? I kto to właściwie jest?

— To as — odparła powoli.

— Kto? — naciskał McCoy.

*Niech to szlag — pomyślała. Josh świetnie zna nowojorskie życie towarzyskie. Na pewno słyszał o Fortunacie. Co, jeśli ma o nim taką samą opinię jak Tachion? Może nie powinnam mu mówić, ale z drugiej strony może i ma prawo wiedzieć.*

— Nazywa się Fortunato...

— Fortunato! — wybuchnął mężczyzna. — Ten facet od dziwek? Ten, który nazywa je gejszami! Spałaś z nim?

Pociągnął kolejny łyk piwa.

— Nie rozumiem, co to ma teraz za znaczenie. To po prostu się wydarzyło. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jest naprawdę czarujący.

— Już dobra.

McCoy łyknął na nią ze złością.

— Jeśli będziesz zazdrosny o każdego faceta, z którym kiedykolwiek spałam, nasze szanse nie będą zbyt wielkie. A małżeństwo nie wchodzi w grę.

— Daj mi trochę czasu, Soko. Nie spodziewałem się tego.

— Dla mnie to również szok. Dziś rano myślałam, że jestem zmęczona. A po południu dowiedziałam się, że będę miała dziecko.

Na ich stolik padł cień. Stał przy nim Tachion, odziany w liliowy, jedwabny garnitur, dobrany pod kolor jego oczu.

— Czy mogę się przysiąść? — Przesunął sobie krzesło, nie czekając na odpowiedź. — Brandy — warknął do czekającego w pobliżu kelnera. Wszyscy troje gapili się na siebie, aż kelner uklonił się uprzejmie i odszedł. — Dzwoniłem do miejscowego szpitala — oznajmił wreszcie Takizjanin. — Będziemy mogli zrobić badanie jutro rano.

— Co za badanie? — zapytał McCoy, przenosząc spojrzenie z Sokolicy na Tachiona.

— Powiedziałaś mu? — zapytał doktor.

— O wirusie nie zdążyłam — odparła ledwie słyszalnym szeptem.

— O wirusie?

— Ponieważ zarówno Sokolica, jak i For... jak i ojciec są nosicielami dzikiej karty, dziecko odziedziczy wirusa — wyjaśnił krótko Tachion. — Trzeba jak najszybciej wykonać badanie USG, by określić stan płodu. Jeśli dziecko będzie się rozwijać nieprawidłowo, konieczna będzie aborcja. Doradzam ją, nawet gdy płód okaże się normalny, ale oczywiście decyzja należy do matki.

— Nie powiedziałaś mi o tym! — zawołał McCoy, przesywając Sokolicę gniewnym spojrzeniem.

— Nie zdążyłam — wyjaśniła.

— Jest jedna szansa na sto, że dziecko będzie asem, ale dziewięć na sto, że okaże się dzokłerelem — dodał nieubłagany Takizjanin.

— Dżokerem? Jak te okropne stworzenia, które mieszkają w Dżokerowie? Paskudnym potworem?

— Mój drogi młodzieńcze — przerwał mu gniewnie Tachion. — Nie wszyscy dżokerzy ...

— Josh — wtrąciła cicho Sokolica. — Jestem dżokerką.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią.

— Tak jest — zapewniła. — Dżokerzy mają fizyczne zniekształcenia. — Poruszyła lekko skrzydłami. — Takie jak te. Jestem dżokerką.

Zapadła długa cisza.

— Ta dyskusja do niczego nie prowadzi — odezwał się wreszcie Tachion. — Soko, do zobaczenia wieczorem.

Oddalił się, pozostawiając na stoliku nietkniętą brandy.

— Ta drobna informacja z pewnością rzuca inne światło na całą sprawę — stwierdził McCoy.

— Jak to? — zapytała Sokolica, czując nagły chłód.

— Nienawidzę dżokerów — wybuchnął mężczyzna. — Ciarki mnie przechodzą, gdy na nich patrzę! — Ścisnął butelkę piwa tak mocno, że aż kłykcie mu zbiełały. — Posłuchaj, nie mogę dalej uczestniczyć w wyprawie. Zadzwońię do Nowego Jorku, żeby przysłali innego kamerzystę. Zabiorę sprzęt z naszego pokoju.

— Wyjeżdżasz? — zapytała zdumiona kobieta.

— Tak Posłuchaj, naprawdę było mi z tobą bardzo fajnie — wycedził — ale niech mnie szlag, jeśli poświęcę życie na wychowywanie bękarta jakiegoś alfonsa! Zwłaszcza takiego, który wyrośnie na potwora! — dodał po chwili namysłu.

Sokolica skrzywiła się, jakby ją spoliczkował.

— Myślałam, że mnie kochasz — rzekła z drżeniem głosu i skrzydeł. — Przed chwilą poprosiłeś mnie, żebym za ciebie wyszła!

— Najwyraźniej to był błąd. — Dopił piwo i wstał. — Żegnaj, Soko.

Nie mogła na niego patrzeć, gdy się oddalał. Wbiła wzrok w blat, zimna i wstrząśnięta. Dlatego nie zauważyła tęsknego spojrzenia, jakim ją obrzucił, kiedy wychodził z baru.

— Hrrm.

Hiram Worchester usiadł naprzeciwko niej, na krześle opuszczonym przed chwilą przez McCoya. Sokolica zadrzała. *Naprawdę odszedł* — pomyślała. *Już nigdy, przenigdy nie zwiąże się z żadnym facetem. Nie ma mowy!*

— Gdzie McCoy? Chcieliśmy z Ojcem Kałamarnicą zapytać, czy zjecie z nami kolację. Oczywiście, jeśli macie inne plany... — dodał, kiedy nie odpowiadała.

— Nie — odparła otepiałym głosem. — Nie mamy innych planów. Ale obawiam się, że przyjdę sama. Josh, hmm, poszedł filmować miejscowy koloryt.

Zadała sobie pytanie, dlaczego okłamuje jednego ze swych najstarszych przyjaciół.

— Oczywiście — odparł radośnie Hiram. — Chodźmy po Ojca Kałamarnicę, a potem zejdźmy do sali restauracyjnej. Po użyciu mocy zawsze robię się głodny.

Wstał i przysunął krzesło do stolika.

Kolacja była znakomita, ale Sokolica nic prawie nie jadła. Hiram pochłaniał olbrzymie porcje i wysławiał *batarikh* — egipski kawior — oraz jagnięcy szaszлык podawany z winem zwanym *rubis d'Égypte*. Gdy dołączył do nich Tachion, grubas namawiał go głośno, by też trochę spróbował, ale doktor odmówił, potrząsając głową.

— Jesteś gotowa na spotkanie? — zapytał Sokolicę. — Gdzie McCoy?

— Poszedł filmować — poinformował go Hiram. — Sugeruję, byśmy udali się tam bez niego.

Sokolica zgodziła się z nim szepciem.

— Zresztą i tak nie był zaproszony — dodał złośliwie Takizjanin.



Doktor Tachion, Hiram Worchester, Ojciec Kałamarnica i Sokolica spotkali się z Opetem Kemelem w małym przedpokoju sąsiadującym z tym samym amfiteatrem, który dziś rano tak poważnie uszkodzili terroryści.

— Na pewno są wśród nas szpiedzy Nurów — oznajmił Kemeł, rozglądając się po pomieszczeniu. — Tylko w ten sposób te psy mogły uniknąć straży. Albo kogoś z moich ludzi przekupiono. Próbuje teraz wykryć zdrajcę. Trzej zamachowcy popełnili samobójstwo po aresztowaniu. — Nienawiść pobrzniwająca w głosie Kemela kazała Sokolicy wątpić w prawdziwość jego ostatnich słów — Zostali szahidami, męczennikami w imię Allaha, za namową tego szaleńca Nur al-Allaha, oby skołał długą i bolesną śmiercią. — Spojrzał na Tachiona. — Teraz pan widzi, doktorze, dlaczego potrzebujemy waszej pomocy, by się obronić...

Jego głos nie cichł. Sokolica od czasu do czasu słyszała, że Hiram, Ojciec Kałamarnica albo Tachion dodają coś od siebie, ale właściwie nie słuchała rozmowy. Wiedziała jednak, że jej twarz wyraża uprzejme zaciekawienie, podobnie jak wtedy, gdy miała w swym talk-show nudnych gości, gładzących bez końca o niczym. Zastanawiała się, jak Letterman radzi sobie z „Grzędą Sokolicy”. Pewnie całkiem nieźle. Jej myśli nie chciały się jednak skupić na nieistotnych tematach i ciągle wracały do Josha McCoya. Czy było coś, co mogła zrobić, by zatrzymać go przy sobie? Nie. Być może lepiej, że odszedł, jeśli rzeczywiście gardził ofiarami dzikiej karty. Wspomniała Argentynę i pierwszą noc, którą spędzili razem. Zebrała się wtedy na odwagę, włożyła swą najseksowniejszą suknię i poszła do jego pokoju z butelką szampana. Zastała McCoya z kobietą, którą poderwał w hotelowym barze, skrajnie zawstydzona wróciła do siebie i sama zajęła się szampanem. Po piętnastu minutach zjawił się McCoy. Tłumaczył się, że trwało to tak długo, ponieważ musiał jakoś się pozbyć tamtej kobiety.

Sokolicy zaimponowała jego niezachwiana pewność siebie. Był jej pierwszym mężczyzną od czasu Fortunata. Jego dotyk cudownie na nią wpływał. Od tej pory spędzali razem wszystkie noce, kochając się ze sobą co najmniej raz na dobę. Dziś w nocy będzie sama. *On cię nienawidzi, bo jesteś dzokerką* — powiedziała sobie. Położyła lewą dłoń na brzuchu. *Nie potrzebujemy go, znamyła dziecko. Nie potrzebujemy nikogo.*

Z zamyślenia wyrwał ją głos Tachiona:

— Zawiadomię o tym senatora Hartmanna, Czerwony Krzyż oraz ONZ. Jestem pewien, że zdołamy jakoś wam pomóc.

— Dziękuję, dziękuję! — Kemel wyciągnął rękę nad blatem stolika i uściśnął na znak wdzięczności dłoń Tachiona. — A teraz — dodał, uśmiechając się do pozostałych — może zechcecie spotkać się z moimi dziećmi. Pragnę porozmawiać z wami wszystkimi, a szczególnie z panią — dodał, kierując przeszywające spojrzenie na Sokolicę.

— Ze mną?

Kemel skinął głową i wstał.

— Proszę tędy.

Przeszli między długimi, złotymi zasłonami dzielącymi przedpokój od audytorium i Kemel poprowadził ich do kolejnego pomieszczenia, gdzie czekali na nich żywi bogowie.

Byli tam Min, brodaty Ozyrys, ptasiogłowy Thoth, unoszący się w powietrzu brat i siostra, a także Anubis, Izyda i kilkunastu innych, których imion Sokolica nie pamiętała. Natychmiast otoczyli Amerykanów i Tachiona. Wszyscy mówili jednocześnie. Jakaś masywna kobieta spojrzała Sokolicy prosto w oczy, uśmiechnęła się i powiedziała coś po arabsku.

— Przykro mi, ale nie rozumiem — odpowiedziała Sokolica, odwzajemniając uśmiech.

Kobieta skinęła na stojącego obok ptasiogłowego mężczyznę, który natychmiast do nich podszedł.

— Jestem Thoth — przedstawił się po angielsku. Dziób sprawiał, że mówił z dziwnym, kłokoczącym akcentem. — Tawaret prosi, bym ci powiedział, że syn, którego nosisz, urodzi się silny i zdrowy.

Sokolica przeniosła spojrzenie z jednego na drugie z nich. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

— Skąd wiecie, że jestem w ciąży? — zapytała.

— Och, wiedzieliśmy o tym od chwili, gdy usłyszeliśmy, że odwiedzisz świątynię.

— Przecież tę podróż zaplanowano przed kilkoma miesiącami!

— Tak Na Ozyrysie ciąży klątwa polegająca na tym, że widzi urywki przyszłości. Jednym z tych urywków była twoja przyszłość, twoje dziecko.

Tawaret coś powiedziała i Thoth się uśmiechnął.

— Mówi, żebyś się nie martwiła. Będziesz bardzo dobrą matką.

— Naprawdę?

Żywa bogini wręczyła jej płócienną torebkę ozdobioną haftowanymi hieroglifami. Sokolica otworzyła ją i znalazła w środku mały amulet z czerwonego kamienia. Przyjrzała się mu z zainteresowaniem.

— To *achet* — zaklekał Thoth. — Reprezentuje słońca wstające na wschodzie. Da ci siłę i moc Wielkiego Ra. Zachowaj go do czasu, gdy chłopak dorośnie i będzie mógł go nosić.

— Dziękuję. Tak właśnie zrobię.

Objęła Tawaret, która odwzajemniła uścisk, a następnie zniknęła w wypełniającym pomieszczenie tłumie.

— Chodź — rzekł jej Thoth. — Inni też chcą z tobą porozmawiać.

Zaczęli krążyć wśród żywych bogów. Wszyscy witali ją z wielką sympatią.

— Dlaczego tak się zachowują? — zapytała, gdy byk Hapi obdarzył ją miażdżącym kości uściskiem.

— Ciesz się z twojego szczęścia — wyjaśnił Thoth. — Narodziny dziecka to cudowne wydarzenie. Zwłaszcza dziecka skrzydlatej kobiety.

— Rozumiem — odparła, choć w rzeczywistości wcale nie rozumiała. Miała wrażenie, że Thoth coś przed nią ukrywa. Ptasiogłowy mężczyzna wmieszał się jednak w tłum, zanim zdążyła go o cokolwiek zapytać.

Pośród tych wszystkich powitań i improwizowanych mów nagle poczuła się zmęczona. Spojrzała w oczy rozmawiającemu z Anubisem Tachionowi i wskazała na zegarek Takizjanin przywołał ją skinieniem. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała, że pyta Anubisa o groźbę Nurów. Obok stał Ojciec Kałamarnica, dyskutujący z Ozyrysem o teologii.

— Bogowie nas obronią — odpowiedział Anubis, wznosząc spojrzenie ku niebu. — Słyszałem też, że wzmocniono strażę wokół świątyni.

— Wybaczcie, że przerywam — wtrąciła Sokolica, zwracając się do Tachiona — ale czy nie mamy wcześniej rano kolejnego spotkania?

— Na płonące niebo, prawie bym o tym zapomniał. Która godzina? — Uniósł brwi, zobaczywszy, że jest już po pierwszej. — Lepiej wracajmy do hotelu. Minie godzina, nim tam dotrzemy, a ty potrzebujesz snu, młoda damo.



Sokolica z lękiem weszła do swego pokoju w Winter Palace Hotel. Rzeczy McCoya zniknęły. Osunęła się na wielki fotel. Łzy, których obawiała się przez całą noc, wreszcie popłynęły. Plakała, aż w końcu oczy wyschły jej całkowicie, a głowa rozboleła ją od wysiłku. *Polóż się spać* — powiedziała sobie. *To był długi dzień. Próbowali cię zastrzelić, potem dowiedziałaś się, że jesteś*



w ciąży i rzucił cię mężczyzna, którego kochasz. Zaraz pewnie usłyszysz, że NBC zdjęło z ekranu „Grzędę Sokolicy”. Ale przynajmniej wiesz, że z twoim dzieckiem wszystko będzie w porządku — myślała, rozbierając się. Zgasiła światło i położyła się sama w podwójnym łóżku.

Jednakże jej mózg nie chciał się wyłączyć. *A co, jeśli Tawaret się myli? Jeśli USG wykaże, że płód jest zdeformowany? Będę musiała zdecydować się na aborcję. Nie chcę tego, ale nie mogę wydać na świat kolejnego dzokera. Aborcja kłóci się ze wszystkim, w co nauczono mnie wierzyć.*

*Ale czy chcesz poświęcić resztę życia na opiekę nad potworem? Czy potrafisz uśmiercić dziecko, nawet jeśli okaże się dzokerem?*

Jej myśli skręcały to w tę, to w tamtą stronę, nim wreszcie zasnęła. Jej ostatnia myśl na jawie dotyczyła Fortunata. *Czego on by chciał?* — zadała sobie pytanie Sokolica.

Obudził ją Tachion, pukaniem do drzwi.

— Sokolico — usłyszała jak przez mgłę jego głos. — Jesteś tam? Już siódma trzydzieści.

Stoczyła się z łóżka, owinęła w prześcieradło i otworzyła zamknięte na klucz drzwi. Na twarzy Tachiona malowała się irytacja.

— Wiesz, która godzina? — zapytał, łypiąc na nią ze złością. Miałas przed półgodziną czekać na mnie na dole.

— Wiem, wiem. Krzycz na mnie, kiedy będę się ubierała.

Wzięła ubranie i ruszyła w stronę łazienki. Tachion zamknął za sobą drzwi, gapiąc się z podziwem na jej spowite w prześcieradło ciało.

— Co tu się stało? — zapytał. — Gdzie twój kochanek?

Sokolica wystawiła głowę przez drzwi łazienki.

— Wyjechał — odpowiedziała, mając w ustach szcزتoczekę do zębów.

— Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Nie!

Przejrzała się w lustrze i pośpiesznie uczesała włosy. Zmarszczyła brwi na widok zmęczonej twarzy i czerwonych, podpuchniętych oczu. *Wyglądasz okropnie* — powiedziała sobie. Włożyła ubranie, wsunęła sandały, złapała torebkę i podeszła do wciąż czekającego przy drzwiach Tachiona.

— Wybacz, że zasnęłam — przeprosiła go, gdy pędzili przez hol ku czekającej taksówce.

— Bardzo długo nie mogłam zasnąć.

Tachion przyjrzał się uważnie kobiecie, pomagając jej wsiąść do taksówki. Jechali w milczeniu, głowę Sokolicy wypełniały myśli o dziecku, McCoyu, Fortunacie, macierzyństwie i przyszłości jej kariery. Nagle zapytała:

— Jeśli dziecko... jeśli badanie... — Zaczepnęła głęboki oddech i zaczęła od nowa. — Jeśli badanie wykaże coś nieprawidłowego, czy będą mogli zrobić aborcję już dzisiaj?

— Tak — zapewnił Tachion, ujmując w ręce jej chłodne dłonie.

Proszę — powtarzała w myślach. Proszę, niech się okaże, że z dzieckiem wszystko w porządku.

Wtem z zamyślenia wyrwał ją głos Tachiona.

— Co mówisz?

— Sołó, co się stało z McCoyem?

Wysunęła dłonie z jego uścisku i wyjrzała przez okno.

— Wyjechał — odparła bezbarwnym głosem, splatając mocno palce. — Pewnie wrócił do Nowego Jorku. — Usunęła mruganiem łzy. — No wiesz, wydawało się, że bez problemów zaakceptował moją ciążę, Fortunata i tak dalej... ale kiedy się dowiedział, że jeśli dziecko przeżyje, prawdopodobnie będzie dżokerem... no cóż — Znowu się rozplakała. Tachion podał jej jedwabną chusteczkę obszytą koronkami. Wzięła ją od niego i wytarła oczy. — Gdy tylko Josh o tym usłyszał, doszedł do wniosku, że nie chce mieć nic wspólnego ze mną ani z dzieckiem. Dlatego wyjechał.

Zmieniła chusteczkę Tachiona w małą, wilgotną kulkę.

— Naprawdę go kochasz, co? — zapytał cicho Takizjanin.

Skinęła głową, odpierając kolejny atak łez.

— Czy wróci do ciebie, jeśli zdecydujesz się na aborcję?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — wybuchnęła. — Nie chcę go, jeśli nie akceptuje mnie taką, jaką jestem.

Tachion potrząsnął głową.

— Biedna Sołó — rzekł cicho. — McCoy to dupek.

Wydawało się że minęła wieczność, nim taksówka dotarła wreszcie do szpitala. Tachion poszedł porozmawiać z recepcjonistą, a Sokolica oparła się o chłodną, białą ścianę poczekalni i zamknęła oczy. Próbowwała oczyścić swój umysł, ale nie mogła przestać myśleć o McCoyu. *Gdyby do ciebie wrócił, przyjąłabyś go* — oskarżała samą siebie. *Wiesz, że tak by było. Ale on nie wróci, dopóki będę nosiła dziecko Fortunata.* Otworzyła oczy, gdy ktoś dotknął jej ramienia.

— Jesteś pewna, że nic ci nie jest? — zapytał Tachion.

— Po prostu czuję się zmęczona.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Boisz się?

— Tak — przyznała. — Właściwie nigdy nie myślałam o dzieciach, ale odkąd się dowiedziałam, że jestem w ciąży, pragnę tego dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie. — Westchnęła i spłotała ręce na brzuchu w ochronnym geście. — Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku.

— Zawiadomili już lekarza, który ma wykonać badanie — poinformował ją Tachion. — Mam

nadzieję, że chce ci się pić. Będziesz musiała wypić dużo wody. — Zdjął dzbanek i szklankę z tacy, którą postawiła przed nim pielęgniarka. — Możesz zacząć już teraz.

Sokolica wypła sześć szklanek, nim pojawił się niski mężczyzna w białym fartuchu.

— Doktor Tachion? — zapytał, ściskając dłoń Takizjanina. — Jestem doktor Ali. Bardzo się cieszę, że mam okazję pana poznać. Witam w moim szpitalu. — Spojrzał na Sokolicę. — Czy to pacjentka?

Takizjanin przedstawił ich sobie.

Doktor Ali zatarł dłonie.

— Zatem bierzmy się do roboty — rzekł.

Poszli za nim na oddział ginekologiczno-położniczy.

— Proszę do tego pokoju, młoda damo. — Wskazała ręką. — Niech się pani rozbierze do naga i włoży koszulę, którą pani tam znajdzie. Proszę też dalej pić wodę. Kiedy się pani przebierze, proszę wrócić tutaj i wykonamy badanie.

Kiedy wróciła, Tachion zdążył już włożyć biały fartuch na swój jedwabny garnitur. Doktor Ali kazał jej położyć się na stole do badań. Wykonała polecenie, ściskając mocno w dłoni amulet Tawaret. Pielęgniarka uniosła jej koszulę i posmarowała brzuch przezroczystym żelem.

— On pomaga przewodzić fale dźwiękowe — wyjaśnił Tachion.

Pielęgniarka zaczęła poruszać po jej brzuchu małym urządzeniem przypominającym mikrofon.

— Głowica — dodał Takizjanin. Obaj z Alim wpatrywali się w obraz widoczny na ekranie przed nimi.

— I co tam widać? — zapytała.

— Chwileczkę, Soko.

Obaj mężczyźni naradzali się cicho.

— Może pan to wydrukować? — zapytał Tachion.

Doktor Ali powiedział coś pielęgniarce po arabsku i po krótkiej chwili pojawił się komputerowy wydruk obrazu.

— Możesz już zejść — rzekł Takizjanin. — Zobaczmy liśmy wszystko, co trzeba.

— I jak? — zapytała zaniepokojona Sokolica.

— Wszystko w porządku... jak dotąd — odparł z namysłem Tachion. — Dziecko rozwija się prawidłowo.

— To wspaniale!

Uściskała go, gdy pomagał jej zejść ze stołu.

— Jeśli zamierzasz donosić tę ciążę, nalegam, byś badała się co jakieś cztery, pięć tygodni, żeby monitorować rozwój dziecka.

Skinęła głową.

— Ultradźwięki mu nie zaszkodzą, prawda?

— Nie zaszkodzą — zapewnił Tachion. — Jedywym zagrożeniem jest to, co już w nim żyje.

Sokolica spojrzała na niego.

— Wiem, że czujesz się zobowiązany ciągle mi to powtarzać, ale zapewniam, że z dzieckiem wszystko będzie w porządku.

— Sokolico, to nie jest bajka! Nie będziesz potem żyła długo i szczęśliwie! To może zniszczyć ci życie!

— Kiedy miałam trzynaście lat, wyrosły mi skrzydła. To też mogło mi zniszczyć życie. Ale nie zniszczyło. Tym razem będzie podobnie.

— Nie sposób przemówić ci do rozsądku — odparł z westchnieniem Tachion. — Ubierz się. Pora wracać do Kairu.



Takizjanin czekał na nią przed wyjściem z przebieralni.

— Gdzie doktor Ali? — zapytała, rozglądając się wkoło. — Chciałam mu podziękować.

— Musiał się zająć innymi pacjentami. — Tachion ujął ją pod rękę i poprowadził korytarzem.

— Wróćmy...

Jego głos ucichł. Zbliżył się do nich Josh McCoy. Sokolica z zadowoleniem zauważyła, że jego wygląd sugeruje, iż czuje się równie paskudnie jak ona. Z pewnością też nie spał za dobrze. Zatrzymał się przed nimi.

— Soko — zaczął. — Pomyślałem...

— To bardzo dobrze — przerwała mu. — A teraz, jeśli pozwolisz...

Złapał ją za ramię.

— Nie. Chcę z tobą porozmawiać i mam zamiar zrobić to w tej chwili.

Odciągnął ją od Takizjanina.

*Muszę z nim pomówić* — powiedziała sobie. *Może uda się wszystko naprawić.* Miała taką nadzieję.

— Wszystko w porządku — zapewniła drżącym głosem Tachiona. — Muszę to rozstrzygnąć.

— McCoy, nie ulega wątpliwości, że jesteś idiotą — podązał za nimi głos Takizjanina.

— Ostrzegam, że jeśli skrzywdzisz ją w jakikolwiek sposób, będziesz długo tego żałował.

Kamerzysta zignorował go, ciągnąc za sobą Sokolicę. Otwierał kolejne drzwi, aż wreszcie znaleźli pusty pokój. Wciągnął ją do środka i zatrzasnął za nimi drzwi. Następnie puścił jej ramię i zaczął spacerować po pomieszczeniu.

Sokolica oparła się o ścianę, pocierając kończynę w miejscu, gdzie pozostały widoczne ślady jego palców.

Mężczyzna zatrzymał się i wbił w nią spojrzenie.

— Przepraszam, jeśli sprawiłem ci ból.

— Zrobią mi się siniaki — poskarżyła się, przyglądając się swojemu ramieniu.

— Siniaki na amerykańskim symbolu seksu! Nie możemy do tego dopuścić — zadrwił McCoy.

— To było podłe — odparła niebezpiecznie cichym głosem.

— Ale prawdziwe — odgryzł się. — Jesteś symbolem seksu. Byłaś na rozkładówce „Playboya”, a w Wieży Asów pokazywali tę lodową rzeźbę, do której pozowałaś nago. Tak samo jak do tego plakatu Andy’ego Warhola „Upadły Anioł”.

— W pozowaniu nago nie ma nic złego! Nie wstydzę się pokazać swego ciała innym.

— Bez jaj! Rozbierasz się dla każdego, kto o to poprosi!

Zbielała z furii.

— Tak jest! I dla ciebie również! — Spoliczkowała McCoya i zwróciła się ku drzwiom. Jej skrzydła drżały. — Nie zamierzam dłużej słuchać twoich zniewag.

Sięgnęła ku klamce, ale McCoy wepchnął się między nią a drzwi.

— Nie. Muszę z tobą porozmawiać.

— Nie rozmawiasz, tylko obrzucasz mnie obelgami — sprzeciwiła się. — To mi się nie podoba nawet w najmniejszym stopniu.

— Jeszcze nie wiesz, co znaczą obelgi. — W jego brązowych oczach pojawił się błysk gniewu.

— Czemu nie krzyczysz? Tachion na pewno czeka pod drzwiami. Z wielką radością rzuci ci się na pomoc. Mogłabyś się z nim pieprzyć z wdzięczności.

— Jak śmiesz! — krzyknęła Sokolica. — Nie potrzebuję jego opieki! Ani niczyjej! Wypuść mnie! — zażądała gniewnie.

— Nie. — Przycisnął ją do ściany. Czowała się jak motyl przypięty w gablocie. Czowała intensywny żar ciała mężczyzny. — Czy tak to będzie wyglądało? — wściekał się. — Zawsze znajdują się mężczyźni gotowi cię bronić? Mężczyźni pragnący się z tobą pieprzyć tylko dlatego, że jesteś Sokolicą. Nie chcę, żeby dotykał cię nikt poza mną. Soko — ciągnął łagodniejszym już tonem. — Spójrz na mnie. — Gdy go nie posłuchała, złapał ją za brodę i siłą unióś jej twarz, aż wreszcie spojrzała mu w oczy. Po policzkach spływały jej łzy. — Soko, przepraszam za wszystko, co powiedziałem wczoraj. I za to, co powiedziałem teraz. Nie chciałem stracić panowania nad sobą, ale gdy zobaczyłem, jak ten wystrojony bawidamek cię dotyka, wpadłem w furję. — Zacisnął palce na jej brodzie. — Wczoraj, kiedy powiedziałaś, że ojcem dziecka jest Fortunato, widziałem tylko, jak leży z tobą w łóżku, obejmuje cię, kocha się z tobą. — Puścił ją i podszedł do jedyne go okna w małym pokoiku. Wyjrzał przez nie, ale jego oczy nic nie widziały. Ciągle zaciskał i rozluźniał dłonie. — Dopiero wtedy w pełni sobie uświadomiłem, jak trudne zadanie przede mną stoi — podjął. — Jesteś sławna, piękna i seksowna. Wszyscy cię pragną. Nie

chcę być panem Sokolicą. Nie chcę rywalizować z twoją przeszłością. Pragnę twojej przyszłości. To, co mówiłem wczoraj o dżokerach, nie było prawdą. To po prostu była pierwsza wymówka, która przysłała mi do głowy. Chciałem cię zranić, byś cierpiała tak samo jak ja. — Przesunął dłonią po swych blond włosach. — Naprawdę mnie zraniło, kiedy mi powiedziałaś, że nosisz nie moje dziecko. Wcale nie nienawidzę dżokerów. Lubię dzieci. Pokochałbym też twoje dziecko i starałbym się być dla niego dobrym ojcem. A jeśli zjawi się Fortunato, no cóż, z tym też spróbuję jakoś sobie poradzić. Do diabła, Soko, noc bez ciebie była dla mnie okropna. Uświadomiłem sobie, jak będzie wyglądała moja przyszłość, jeśli cię utracę. Kocham cię — powtórzył — i pragnę, byś była moim życiem.

Objęła go od tyłu, opierając się o jego plecy.

— Ja też cię kocham. Ostatnia noc była chyba najgorsza w moim życiu. Zrozumiałam, jak wiele dla mnie znaczysz, ale uświadomiłam też sobie, jak ważne jest dla mnie to dziecko. Jeśli będę musiała wybierać, wybiorę je. Przykro mi, ale muszę ci to powiedzieć. Ale ciebie również pragnę.

Odwrócił się, ujął jej dłonie i pocałował je.

— Sprawiasz wrażenie okropnie zdeterminowanej.

— Bo jestem zdeterminowana.

McCoy roześmiał się w głos.

— Cokolwiek wydarzy się po narodzinach dziecka, zrobimy, co tylko będziemy mogli.

— Uśmiechnął się do niej. — Moje rodzeństwo ma mnóstwo dzieci. Umiem nawet zmieniać pieluchy.

— To świetnie. Będziesz mógł mnie tego nauczyć.

— Tak właśnie zrobię — obiecał. Przy ciągnął ją do siebie i dotknął ustami jej ust.

Drzwi się otworzyły i odziana w biały fartuch postać spojrzała na nich z dezaprobatą. Po chwili do środka zajrzał doktor Tachion.

— Skończy liście już? — zapytał lodowatym tonem. — Potrzebują tego pokójku.

— Pokój możemy opuścić, ale jeszcze nie skończyliśmy. Dopiero zaczynamy — oznajmiła Sokolica, uśmiechając się promiennie.

— No cóż, jeśli czujesz się z tym szczęśliwa — odparł z namysłem Takizjanin.

— Czuję się — zapewniła go.

Wyszli ze szpitala we troje. Tachion odjechał sam taksówką, a McCoy i Sokolica wsiedli do czekającej za nią przy krawężniku dorożki.

— Musimy wrócić do hotelu — stwierdziła kobieta.

— Oświadczasz mi się?

— Bynajmniej. Muszę się spakować, żebyśmy mogli dołączyć do grupy w Kairze.

— Dzisiaj?

— Tak

— W takim razie lepiej się pośpieszmy.

— Po co?

— Po co? — Pokrył pocałunkami jej twarz i szyję. — Po to, żebyśmy zdążyli nadrobić utraconą noc, oczywiście.

— Ach. — Sokolica wydała polecenie woźnicy i dorożka przyśpieszyła. — W takim razie lepiej nie marnujmy czasu.

— Zmarnowaliśmy go już wystarczająco wiele — zgodził się McCoy. — Czujesz się szczęśliwa? — zapytał cicho, gdy osunęła mu się w ramiona, wspierając brodę na jego piersi.

— Szczęśliwsza niż kiedykolwiek!

Niemniej cichy głos ukryty w głębi umysłu wciąż przypominał jej o Fortunacie.

McCoy objął ją mocniej.

— Kocham cię.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

30 stycznia, Jerozolima

Jerozolimę nazywają miastem otwartym. To między narodowa metropolia, zarządzana wspólnie przez komisarzy z Izraela, Jordanii, Palestyny i Wielkiej Brytanii, obdarzonych mandatem Narodów Zjednoczonych, święte miasto trzech wielkich religii świata.

Niestety, trafne określenie to nie tyle „miasto otwarte”, ile „otwarta rana”. Jerozolima od czterech dziesięcioleci nie przestaje krwawić. Jeśli to ma być święte miasto, to bardzo bym nie chciał zobaczyć przekłętogo.

Senatorzy Hartmann i Lyons oraz inni polityczni delegaci zjedli dziś obiad w towarzystwie komisarzy miejskich, ale reszta grupy spędziła popołudnie na zwiedzaniu tego wolnego między narodowego miasta w zamkniętych limuzynach z kuloodpornymi szybami i specjalnymi pancernymi spodami, mającymi się oprzeć wybuchom bomb. Najwyraźniej w Jerozolimie lubią witać sławnych gości zamachami bombowymi. Nie ma znaczenia, kim są ci goście, skąd pochodzą, jaką religię wyznają ani jakie są ich poglądy polityczne. W mieście działa tyle frakcji, że każdego z pewnością ktoś nienawidzi.

Jeszcze przedwczoraj byliśmy w Bejrucie. Bejrut i Jerozolima mają się do siebie jak dzień do nocy. Liban to piękny kraj, a Bejrut jest uroczym, spokojnym, niemal pogodnym miastem. Wygląda na to, że różne części kraju nauczyły się żyć ze sobą we względnej harmonii, choć rzecz jasna zdarzają się incydenty. Nigdzie na Bliskim Wschodzie (ani na całym świecie, skoro już o tym mowa) nie jest całkowicie bezpiecznie.

Ale w Jerozolimie przemoc jest endemiczna już od trzydziestu lat, a każdy rok jest gorszy od poprzedniego. Całe kwartały ulic wyglądają jak Londyn po wielkich nalotach, a ludność, która jeszcze tu została, przyzwyczaiła się do odległego odgłosu karabinów maszynowych tak bardzo, że niemal nikt już nie zwraca na niego uwagi.

Zatrzymaliśmy się na krótko pod szczyłkami Ściany Płaczu (w większej części zniszczonej w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym przez palestyńskich terrorystów w odwecie za zamordowanie al-Haziza przez izraelskich terrorystów rok wcześniej) i nawet odważyliśmy się wysiąść z pojazdów. Hiram rozglądał się wokół ze złością i zaciskał pięści, jakby szukał kogoś, kto odważyłby się z nim zacząć. Ostatnio jest w dziwnym stanie: łatwo się irytuje i wpada w gniew, ulega ponurym nastrojom. Niemniej wszyscy jesteśmy pod wpływem tego, co widzieliśmy w Afryce. Ocalały fragment ściany nadal wywiera imponujące wrażenie. Dotknąłem go, próbując poczuć jego historię, ale wymacałem tylko dziury po kulach.

Większość grupy wróciła potem do hotelu, ale Ojciec Kalamarnica i ja nadłożyliśmy drogi,



żeby zajrzeć do dzielnicy dżokerów. Słyszałem, że to drugie skupisko naszego rodzaju na świecie, po samym Dżokerowie... znacznie mniej liczne od niego, ale zawsze drugie. Nie dziwi mnie to. Islam nie traktuje nas z wyrozumiałością, więc dżokerzy z całego Bliskiego Wschodu zjeżdżają tutaj, w poszukiwaniu wątpliwej osłony, jaką zapewnia im sprawująca władzę nad miastem ONZ oraz nieliczny, zdemoralizowany i kiepsko uzbrojony międzynarodowy kontyngent sił pokojowych.

Dzielnica jest niewyobrażalnie nędzna. Ludzkie cierpienie wisi nad nią niczym niemal wyczuwalny całun. O ironio, ulice są tu jednak ponoć najbezpieczniejsze w całym mieście. Dzielnicę otacza odrębny mur, zbudowany za pamięci żyjących. Pierwotnie jego celem było ukrycie żywych okopieństw, jakimi jesteśmy, przed wzrokiem porządných obywateli, ale te mury zapewniają też pewien stopień bezpieczeństwa tym, którzy mieszkają pod ich osłoną. Nie widziałem w dzielnicy ani jednego natola, tylko dżokerów — dżokerów wszystkich ras i wyznań żyjących razem we względnym pokoju. Kiedyś mogli być muzułmanami, żydami albo chrześcijanami, zelotami, syjonistami bądź zwolennikami Nura, ale po wyciągnięciu karty są tylko dżokerami. Dżoka karta to potężny wyrównywacz, który niszczy wszelkie inne nienawiści i uprzedzenia, jednoczy całą ludzkość w nowym braterstwie bólu. Dżoker to tylko dżoker i nie ma znaczenia, kim jeszcze mógłby być.

Gdyby ż tylko z asami było tak samo.

Sekta Jezusa Chrystusa Dżokera ma w Jerozolimie swój kościół i Ojciec Kałamarnica zaprowadził mnie do niego. Budynek przypomina raczej meczet niż chrześcijańską świątynię, przynajmniej z zewnątrz, ale w środku nie różni się aż tak bardzo od kościoła, który znam z Dżokerowa, poza tym, że jest dużo starszy i w gorszym stanie. Ojciec Kałamarnica zapalił świecę i odmówił modlitwę, a potem poszliśmy do ciasnego, zrujnowanego probostwa, gdzie mój towarzysz porozmawiał chwilę z pastorem w łamanej łacinie i wypiliśmy razem butelkę kwaśnego, czerwonego wina. Podczas rozmowy usłyszałem dobiegający gdzieś z oddali odgłos strzałów z broni maszynowej. Typowy wieczór w Jerozolimie.



Nikt nie przeczyta tej książki przed moją śmiercią, a wtedy żadne dochodzenia już mi nie zagrożą. Długo się zastanawiałem, czy powinienem opisać to, co się stało dziś w nocy, ale w końcu postanowiłem to zrobić. Świat musi pamiętać o lekcjach płynących z wydarzeń roku siedemdziesiątego szóstego. Trzeba mu też od czasu do czasu przypominać, że DLZ nie przemawia w imieniu wszystkich dżokerów.

Gdy wychodziliśmy z Ojcem Kałamarnicą z kościoła, jakaś stara dżokerka wcisnęła mi w rękę kartkę. Pewnie ktoś mnie rozpoznał.

Kiedy przeczytałem notatkę, wymówiłem się od pójścia na oficjalne przyjęcie. Jak zwykle

tłumaczyłem się chorobą, ale tym razem nie była to prawda. Zjadłem kolację we własnym pokoju z poszukiwanym przestępcą, człowiekiem, którego mogę opisać jedynie jako osławionego międzynarodowego dzokerskiego terrorystę, choć w dzielnicy dzokerów uważa się go za bohatera. Nie podam jego prawdziwego nazwiska nawet na kartach tego dziennika, gdyż, jak rozumiem, nadal odwiedza niekiedy mieszkającą w Tel Awiwie rodzinę. Podczas swych „misji” zakłada czarną maskę psa i prasie, Interpolowi oraz rozmaitym frakcjom utrzymującym porządek w Jerozolimie jest znany jako Czarny Pies albo Piekielny Ogar. Dzisiejszej nocy założył jednak zupełnie inną maskę — kaptur w kształcie motyla pokryty srebrnym brokatem — więc nie miał trudności z poruszaniem się po mieście.

— Trzeba pamiętać o jednym — wyjaśnił mi. — Natole są z zasady głupi. Jeśli ktoś założy dwa razy tę samą maskę i pozwoli się w niej sfotografować, zaczynają uważać, że to jego twarz.

Ogar, jak będę go nazywał, urodził się w Brooklynie, ale w wieku dziewięciu lat wyemigrował z rodziną do Izraela i przyjął izraelskie obywatelstwo. Gdy stał się dzokerem, miał dwadzieścia lat.

— Przemierzyłem pół świata po to, żeby wyciągnąć dziką kartę — powiedział mi. — Równie dobrze mogłem zostać w Brooklynie.

Spędziliśmy kilka godzin na rozmowie o Jerozolimie, Bliskim Wschodzie oraz zagadnieniach politycznych związanych z dziką kartą. Ogar jest przywódcą czegoś, co uczciwość każe mi nazwać dzokerską organizacją terrorystyczną. Nazwa tej organizacji brzmi Wypaczone Pięści, a jej działalność została zdelegalizowana zarówno w Izraelu, jak i w Palestynie, co jest niemalym osiągnięciem. Nie kwapił się, by mi powiedzieć, ilu mają członków, ale bez owijania w bawełnę wyznał, że niemal całe wsparcie finansowe, jakie otrzymują, pochodzi z nowojorskiego Dżokera.

— Może nas pan nie lubić, panie burmistrzu — oznajmił — ale pańscy ludzie są innego zdania.

Dał mi nawet mimochodem do zrozumienia, że jeden z dzokerskich delegatów uczestniczących w naszej wyprawie należy do ich sponsorów, choć oczywiście nie chciał podać jego nazwiska.

Ogar jest przekonany, że na Bliskim Wschodzie wkrótce wybuchnie wojna.

— Już na nią najwyższy czas — mówił. — Ani Izrael, ani Palestyna nigdy nie miały nadających się do obrony granic. Żadne z tych państw nie jest samodzielne ekonomicznie. Oba są przekonane, że to drugie jest winne wszelkiego rodzaju terrorystycznym atakom, i oba mają rację. Izrael pragnie zdobyć Negew i Zachodni Brzeg, a Palestyna pożąda portu nad Morzem Śródziemnym. W obu państwach pełno jest uchodźców po podziale z czterdziestego ósmego, którzy marzą o odzyskaniu domów. Wszyscy chcą Jerozolimy, poza jedną ONZ, która ją ma. Cholera, potrzebna im porządna wojna. Izraelczycy chyba w czterdziestym ósmym wygrywali,

dopóki Nasr nie skopał im tyłków. Wiem, że Bernadotte dostał Pokojową Nagrodę Nobla za traktat jerozolimski, ale mówiąc między nami, lepiej byłoby, gdyby walczyli do gorzkiego końca... bez względu na wynik

Zapytałem go, co ze wszystkimi ludźmi, którzy by zginęli, ale on tylko wzruszył ramionami.

— To by zginęli. Ale kiedy wszystko by się skończyło, naprawdę skończyło, może choć niektóre rany zaczęłyby się goić. A tak dostaliśmy dwa wkurzone na siebie półpaństwa, które dzielą ze sobą jedną małą pustynię i nie chcą nawet uznać nawzajem swego istnienia. Dostaliśmy cztery dziesięciolecia nienawiści, terroryzmu i strachu, a wkrótce dostaniemy też wojnę. Nie potrafię zrozumieć, jak Bernadotte'owi udało się doprowadzić do zawarcia traktatu jerozolimskiego, chociaż nie dziwię się, że go w nagrodę zabito. Jedynymi ludźmi, którzy nienawidzą tego traktatu bardziej od Izraelczyków, są Palestyńczycy.

Wskazałem, że pokój jerozolimski może być niepopularny, ale przetrwał prawie czterdzieści lat.

— To było czterdzieści lat wzajemnego pata, nie prawdziwego pokoju — odparł lekceważąco.

— Tylko strach powstrzymuje obie strony przed zerwaniem pokoju. Izraelczycy zawsze mieli lepszą armię, ale Arabowie mieli asów z Port Saidu. Myśli pan, że Izraelczycy o tym zapomnieli? Gdy tylko Arabowie zbudują pomnik Nasr, gdziekolwiek od Bagdadu po Marrakesz, Izraelczycy zaraz go wysadzają. Niech mi pan wierzy, oni pamiętają. Ale teraz całą tę równowagę zaczyna szlag trafiać. Wiem z pewnego źródła, że Izraelczycy przeprowadzają eksperymenty z dziką kartą na ochotnikach z sił zbrojnych i udało im się stworzyć kilku własnych asów. To dopiero jest fanatyzm. Zgłosić się na ochotnika do wyciągnięcia dzikiej karty. A po arabskiej stronie jest Nur al-Allah, który zwie Izrael „bękartim państwem dzokerów” i poprzyściągł zniszczyć go całkowicie. W porównaniu z nim wszyscy asowie z Port Saidu byli niewiniątkami, nawet stary Khôf. Mówię panu, niedługo się zacznie.

— I co wtedy? — zapytałem.

Miał ze sobą broń, jakiś mały pistolet maszynowy o długiej rosyjskiej nazwie. Wyjął go i położył na stole między nami.

— Kiedy się zacznie — odpowiedział — mogą się zabijać nawzajem do woli, ale lepiej niech zostawią dzielnicę w spokoju, bo inaczej będą mieli do czynienia z nami. Udzieliłiśmy już Nurowi kilku nauczek. Jak tylko zabiją dzokera, likwidujemy pięciu jego ludzi. Można by pomyśleć, że w końcu do niego dotrze, ale Nurowi nauka przychodzi z trudem.

Powiedziałem mu, że senator Hartmann ma nadzieję spotkać się z Nur al-Allahem celem rozpoczęcia rozmów, które miałyby doprowadzić do pokojowego rozwiązania miejscowych problemów. Roześmiał się tylko. Później rozmawialiśmy jeszcze długo o dzokerach, asach i natolach, o przemocy i powstrzymaniu się od niej, o wojnie i pokoju, o braterstwie i zemście,

nadstawianiu drugiego policzka i dbaniu o swoich. Nie doszliśmy y jednak do porozumienia.

— Dlaczego pan tu przyszedł? — zapytałem wreszcie.

— Uważałem, że powinniśmy się spotkać. Przydałaby się nam pańska pomoc. Pańska znajomość Dżokerowa, kontakty wśród natoli, pieniądze, które mógłby pan zebrać.

— Nie pomogę wam — odparłem. — Widziałem już, dokąd prowadzi ta droga. Przed dziesięciu laty wkroczył na nią Tom Miller.

— Gimli? — Ogar wzruszył ramionami. — Po pierwsze, on był szalony jak marcowy zajac. Ja jestem zdrowy na umyśle. Gimli chciałby, żeby wszyscy padli sobie w ramiona i pocałowali się na znak zgody. Ja walczę tylko po to, by bronić swoich. Bronić pana, Des. Niech pan się modli o to, żeby pańskie Dżokerowo nigdy nie potrzebowało Wypaczonych Pięści, ale gdyby miało jednak nas potrzebować, będziemy gotowi. Czytałem w „Time” artykuł o Leo Barnecie. Niewykluczone, że nie tylko Nurowi nauka przychodzi z trudem. Gdyby tak miało się stać, może Czarny Pies wróci do domu i znajdzie to drzewo w Brooklynie, tak? Nie byłem na meczu Dodgersów, odkąd skończyłem osiem lat.

Serce podeszło mi do gardła, gdy patrzyłem na leżącą na stole broń, ale mimo to wyciągnąłem rękę i dotknąłem słuchawki.

— Mógłbym zadzwonić po naszą ochronę i uniemożliwić panu zabijanie niewinnych ludzi.

— Ale nie robi pan tego — odparł ze spokojem Ogar. — Mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego.

Odpowiedziałem mu, że nie mamy ze sobą nic wspólnego.

— Obaj jesteście dżokerami — skwitował. — Cóż więcej mogłoby się liczyć?

Schował broń, poprawił maskę i spokojnie wyszedł.

Niech mi Bóg wybaczy, ale siedziałem tam jeszcze kilka ciągnących się bez końca minut, zanim wreszcie usłyszałem, że drzwi windy się otworzyły, i zdjąłem rękę ze słuchawki.

# Odcień nienawiści

## Część piąta

Niedziela, 1 lutego 1987, pustynia w Syrii

Nadżib obalił ją na posadzkę jednym szybkim uderzeniem, ale Misza nie ustępowała.

— On się zbliża — upierała się. — Powiedział mi o tym sen zesłany przez Allaha. Muszę pojechać do Damaszku, żeby się z nim spotkać.

W pograżonym w mroku meczecie Nadżib lśnił niczym zielona latarnia ulokowana obok mihrabu, ozdobionej klejnotami wnętrza modlitewnej. Nocą Nur al-Allah wyglądał najbardziej imponująco. Był ognistą wizją proroka, gorejącą gniewem samego Allaha. W żaden sposób nie skomentował słów Miszy. Najpierw spojrzął na szejda, który opierał swe potężne ciało o jedną z pokrytych płytkami kolumn.

— Nie — mruknął szejda. — Nie, Nur al-Allahu. — Zerknął na Miszę, która uklękała błagalnie przed bratem. W jego oczach tlił się gniew na kobietę, która nie chciała się ugiąć przed wolą brata i nie słuchała sugestii męża. — Często powtarzasz, że plugastwa należy zabijać. Powiedziałaś, że negocjować z niewiernymi można jedynie ostrzem miecza. Pozwól, bym wcielił te słowa w życie w twoim imieniu. Rząd Partii Baas nie jest w stanie nas powstrzymać. Gdy Nur al-Allah przemawia, al-Asad drży. Wyruszę do Damaszku z grupą wiernych i zniszczymy oczyszczającym ogniem plugastwa oraz tych, którzy im towarzyszą.

Skóra Nadżiba rozblęsnęła na moment jaśniej, jakby podekscytowała go rada dowódcy jego wojsk. Prorok rozciągnął usta w drapieżnym grymasie. Misza potrząsnęła głową.

— Bracie — błagała go. — Wyślij również kahiny. Ten sam sen nawiedzał mnie przez trzy noce. Widzę nas dwoje z Amerykanami. Widzę dary. Widzę nową ścieżkę, którą nikt dotąd nie zmierzał.

— Wspomnij też Nur al-Allahowi, że zawsze budziłaś się z krzykiem z tego snu, że czułaś, iż dary są niebezpieczne. Dodaj też, że ten Hartmann miał w twoim śnie więcej niż jedną twarz.

Misza spojrzała na męża.

— Nowa droga zawsze jest niebezpieczna. Dary zawsze są zobowiązaniem dla tego, kto je otrzymuje. Czy możesz zapewnić Nur al-Allaha, że z twoją ścieżką, ścieżką przemocy, nie wiąże się żadne niebezpieczeństwo? Czy Nur al-Allah jest już tak silny, że może pokonać cały Zachód? Sowietom nie pomogą. Chcą, by ich ręce pozostały czyste.

— Dżihad to walka — warknął szejda.

Nadżib skinął głową. Uniósł świetlistą dłoń przed swoją twarz i przyjrzał się jej, jakby

zdumiewał się płynącym z niej blaskiem.

— Allah zmiażdżył niewiernych swą dłonią — zgodził się. — Czemu ja nie miałbym postąpić podobnie?

— Z powodu snu, który mi zesłał — upierała się Misza.

— Czy to był sen Allaha czy twój, kobieto? — zapytał sajjid. — Co zrobią niewierni, jeśli Nur al-Allah posłucha mojej rady? Zachód nic nie zrobił w sprawie zakładników, których wzięli wierni. To samo dotyczy innych zabójstw. Czy poskarżą się Damaszkowi i al-Asadowi? Nur al-Allah włada Syrią we wszystkim oprócz nazwy. Zjednoczył pod swym przywództwem połowę wiernych. Będą się skarżyć i grozić. Będą płakać i jęczeć, ale nie zainteresują. Co mogą nam zrobić? Przesną z nami handlować? Phi! — Sajjid splunął na zdobną posadzkę. — Usłyszą śmiech Allaha niosący się na wietrze.

— Amerykanie mają swoich strażników — ostrzegła go Misza. — Ty ch, który ch zwą asami.

— My mamy Allaha. Jego siła nam wystarczy. Każdy z moich ludzi z radością zostanie szahidem, męczennikiem Allaha.

Misza spojrzała na brata. Nadżib nadal wpatrywał się w swoją dłoń, słuchając sporu ich dwojga.

— Bracie, sajjid ignoruje dary, które zesłał nam Allah. Lekceważy dar snów oraz *kuwwa nuriyah*, dar światła.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Nadżib opuścił dłoń.

— Moc Allaha zawiera się w twoim głosie, twojej obecności. Jeśli spotkasz się z tymi ludźmi, ulegną twojemu wpływowi, tak samo jak wierni, kiedy słyszą twój głos. Każdy ze sług Allaha mógłby zabić tych niewiernych, ale tylko Nur al-Allah może ich doprowadzić do prawdziwej wiary. Który z tych dwóch czynków będzie większą chwałą dla Allaha?

Nadżib nie odpowiadał. Misza widziała, że na jego świetlistym czole pojawił się głęboki mars. Prorok odwrócił się i oddalił o kilka kroków. Uświadomiła sobie, że zwyciężyła. *Chwała Allahowi! Sajjid mnie za to zbije, ale było warto.* Czują pulsujący ból w policzku, w miejscu, gdzie uderzyła ją brat, lecz ignorowała to.

— Sajjidzie? — zapytał Nadżib, spoglądając przez wąską szczelinę okna na wioskę. Jego świetliste oblicze pozdrowiły odległe głosy.

— Decyzja należy do Nur al-Allaha. On wie, co doradzać — odparł Sajjid. — Nie jestem kahinem. Moje zdolności przewidywania ograniczają się do spraw związanych z wojną. Nur al-Allah jest silny i uważam, że powinniśmy zademonstrować tę siłę.

Nadżib wrócił do mihrabu.

— Sajjidzie, czy pozwolisz kahinie pojechać do Damaszku i spotkać się z Amerykanami?

— Jeśli tego pragnie Nur al-Allah — odpowiedział sztywno olbrzym.

— Pragnie — potwierdził Nadżib. — Miszo, wróć do domu męża i przygotuj się do podróży. Spotkasz się z tą delegacją i opowiesz mi o jej członkach. Potem Nur al-Allah będzie musiał zdecydować, co zrobić w ich sprawie.

Misza pokłoniła się, dotykając czołem zimnych płytek posadzki. Opuściła wzrok, czując żar spojrzenia sajjida, gdy przechodziła obok niego.

Kiedy odeszła, Nadżib potrząsnął głową, spoglądając na wyraźnie niezadowolonego sajjida.

— Myślisz, że stawiam twoją żonę wyżej od ciebie, przyjacielu? Czujesz się znieważony?

— Jest twoją siostrą i kahuną — odparł sajjid neutralnym tonem.

Nadżib uśmiechnął się. Ciemność jego ust wyglądała jak dziura w promiennej twarzy.

— Pozwól, że cię o coś zapytam, sajjidzie. Czy rzeczywiście jesteśmy wystarczająco silni, by zrobić to, co proponowałeś?

— Inszallah, oczywiście, ale nie powiedziałbym tak, gdybym nie wierzył, że to prawda.

— A czy twój plan łatwiej byłoby wykonać w Damaszku, czy tutaj, w miejscu, które należy do nas, i w wybranej przez nas chwili?

Sajjid rozciągnął usta w uśmiechu zrozumienia.

— Tutaj, oczywiście, Nur al-Allahu. Tutaj.

## Wtorek, 3 lutego 1987, Damaszek

Hotel znajdował się nieopodal Suq al-Hamidiyah. Nawet głośny furkot starej klimaty zacji nie zagłuszał dobiegających z suku hałasów. Na bazarze kłębiły się jaskrawe kolory tysięcy dżelab, upstrzone gdzieś czernią czadorów. Tłumy wypełniały wąskie alejki między straganami o kolorowych markizach i wylewały się na ulice. Na najbliższym rogu sprzedawca wody zachwalał swój towar, wołając: — *Atchen, taa saubi!* — Spragnieni, chodźcie do mnie.

Wszędzie pełno było ludzi — od suku aż po białe minarety zbudowanego tysiąc dwieście lat temu Meczetu Umajjadów.

— Można by pomyśleć, że dzika karta nigdy nie nadeszła. Ani dwudziesty wiek, jeśli już o tym mowa — zauważył Gregg.

— To dlatego, że Nur al-Allah sprawił, że żaden dzoker nie odważy się pojawić na ulicy. Tutaj ich zabijają. — Sara leżała na łóżku, obierając pomarańczę i kładąc lupiny na egzemplarzu „Al-Ba'ath”, gazety będącej oficjalnym organem syryjskiego rządu. — Przypominam sobie jedną historię, którą dostaliśmy od naszego niezależnego korespondenta w tym mieście. Jeden dzoker miał pecha i dał się złapać na kradzieży żywności na suku. Zakopali go w piasku tak, że tylko głowa wystawała nad powierzchnię, a potem ukamienowali. Sędzia — swoją drogą należał do sekty Nurów — zarządził, że ma się używać tylko małych kamieni, by skazaniec miał przed śmiercią

czas przemyśleć swe liczne grzechy.

Gregg wpiął palce w rozczochrane włosy kobiety, delikatnie pociągnął jej głowę do tyłu i pocałował ją namiętnie.

— Dlatego właśnie tu jesteśmy — oznajmił. — Dlatego pragnę się spotkać z tym Światłem Allaha.

— Od pobytu w Egipcie zrobiłeś się nerwowy.

— Uważam, że ten postój jest ważny.

— Dlatego, że sytuacja na Bliskim Wschodzie będzie jednym z najważniejszych problemów, przed którymi stanie nowy prezydent?

— Jesteś małą, bezzelną suką.

— „Małą” uznaję za komplement, ale „suka” to samica psa, ty seksistowska świni. Czuję zapach newsa.

Spojrzała na niego, marszcząc nos.

— Czy to znaczy, że na mnie zagłosujesz?

— To zależy. — Odrzuciła narzutę na bok, zrzucając na podłogę gazetę, pomarańczę oraz lupiny. Ujęła Gregga za rękę i pocałowała jego palce, po czym przesunęła jego dłoń w dół swego ciała. — Co oferujesz mi na zachętę? — zapytała.

— Zrobię wszystko, co tylko będę musiał.

*To prawda. Zniecierpliwiony Lalkarz poruszył się lekko w jego wnętrzu. Jeśli uczynię Nur al-Allaha swoją lalką, będę kontrolował jego poczynania. Będę mógł zasiąść z nim do stołu obrad i kazać mu podpisać, co tylko zechcę. Wielki negocjator Hartmann, czołowy humanista świata. Nur al-Allah jest kluczem do tego regionu. Jeśli zdobędę jego i kilku innych przywódców... Uśmiechnęła się na tę myśl. Sara zaśmiała się gardłowo.*

— Żadne poświęcenie nie będzie zbyt wielkie, tak? — Znowu się roześmiała i pociągnęła go na siebie. — Lubię mężczyźni mających poczucie obowiązku. Zaczynj pracować na głosy, senatorze. Tym razem to ty będziesz spał na mokrym miejscu.

Po kilku godzinach ktoś dyskretnie zapukał do drzwi apartamentu. Gregg stał przy oknie, wiążąc krawat. Spoglądał na miasto.

— Kto tam?

— Billy, panie senatorze. Przybyła kahina ze swoją grupą. Zawiadomiłem już pozostałych. Czy mam ją wysłać do sali konferencyjnej?

— Zaczekaj chwilkę.

— Pójdę do swojego pokoju — rzekła cicho Sara zza otwartych drzwi łazienki.

— Równie dobrze możesz jeszcze trochę tu zostać. Billy dopilnuje, żeby nikt nie zobaczył, jak będziesz wchodziła. Potem urządzimy konferencję prasową, więc za jakieś pół godziny powinnaś



zejść na dół. — Gregg podszedł do drzwi, uchylił je lekko i wymienił kilka słów z Billym. Później przeszedł szybko do tych, które prowadziły do sąsiedniego pokoju, i zapukał.

— Ellen? Kahina wkrótce tu będzie.

Żona Gregga wyszła ze swego pokoju w tej samej chwili, gdy jej mąż wkładał marynarkę. Sara czesała włosy. Ellen uśmiechnęła się do niej odruchowo i skinęła głową. Senator wy czuł w swej żonie lekką irytację, ukłucie zazdrości, pozwolił jednak Lalkarzowi wygładzić tę zadę, pokryć ją zimnym błękitem. Potrzebował bardzo niewiele wysiłku. Ellen od początku nie miała żadnych złudzeń co do ich małżeństwa. Pobrali się dlatego, że nosiła nazwisko Bonestell, a Bonestellowie z Nowej Anglii zawsze uczestniczyli w polityce, w taki czy inny sposób. Potrafiła grać rolę wspierającej żony. Wiedziała, kiedy stanąć u boku męża i co, a także jakim tonem powiedzieć. Godziła się z myślą, że „mężczyzna ma swoje potrzeby” i nic jej to nie obchodziło, od warunkiem, że Gregg nie pokazywał się publicznie ze swymi kochankami i nie przeszkadzał jej w nawiązywaniu romansów. Była jedną z jego najposłuszniejszych lalek.

Uściskał Sarę. Zrobił to celowo, tylko dla drobnej przyjemności, jaką dało mu obserwowanie skrywanego niesmaku Ellen. Czuł, że dziennikarka powściąga się w obecności jego żony. *Mogę to zmienić* — wyszeptał w jego umyśle Lalkarz. *Zobacz, jest w niej tak wiele uczucia. Jedno szarpnięcie i mógłbym...*

Nie! Gregga zaskoczyła gwałtowność tej reakcji. *Nie przymuszamy jej. Nigdy nie dotknęliśmy Sukuba i nie dotkniemy też Sary.*

Ellen przyglądała się obojętnie ich uściskowi. Z jej ust nie znikał uśmiech.

— Mam nadzieję, że dobrze się wyspalicie.

W tonie kobiety nie było nic poza samymi słowami. Odwróciła od Sary odległe, lodowate spojrzenie i uśmiechnęła się do Gregga.

— Kochanie, powinniśmy już iść. Chciałabym też pomówić z tobą o tym reporterze Downsie. Zadawał mi naprawdę dziwne pytania i rozmawia również z Poczwarką...



Spotkanie nie wyglądało tak, jak się spodziewał, choć John Werthen zaznajomił go z koniecznym protokołem. Arabscy strażnicy pod ścianą, uzbrojeni w mieszaninę uzi i sowieckich karabinów maszynowych, sprawiali niepokojące wrażenie. Billy Ray na wszelki wypadek również wzmocnił swą ochronę. Gregg, Tachion i inni zaangażowani w politykę uczestnicy wycieczki byli już na miejscu. Asów i (zwłaszcza) dzokarów wysłano na zwiedzanie Damaszku z prezydentem al-Asadem.

Sama kahina okazała się zaskoczeniem. Była drobną kobietą, a w jej hebanowych oczach widocznych nad zasłoną połyskiwała bystra dociekliwość. Była prosto ubrana, nie nosiła żadnych ozdób poza sznurem turkusowych paciorków nad czołem. Towarzyszyli jej tłumacze, a także

trzech muskularnych mężczyzn w strojach Beduinów, którzy siedzieli obok, przyglądając się wszystkim z uwagą.

— Senatorze, kahina jest kobietą wychowaną w bardzo konserwatywnym muzułmańskim społeczeństwie — tłumaczył mu John. — Nie mógłbym podkreślić tego zbyt mocno. Już sam fakt, że się tu zjawiała, jest złamaniem tradycji. Pozwolono jej na to wyłącznie dlatego, że jest bliźniaczą siostrą proroka i ludzie wierzą, że ona również włada magią, *sihr*. Jest żoną sajjida, dowódcy, któremu Nur al-Allah zawdzięcza swe militarne triumfy. Ci ludzie łatwo się obrażają i bardzo długo chowają urazę. I, Jezu, senatorze, niech pan powie Tachionowi, żeby wziął trochę na wstrzymanie.

Gregg pomachał ręką do Takizjanina, który jak zwykle był absurdalnie ubrany. Tym razem jednak w innym stylu. Zrezygnował z atlasów, które w tym klimacie były dla niego zbyt gorące. Wyglądał, jakby okradł stragan na suku i przebrał się za stereotypowego szejka z filmów klasy B; czerwone, workowate spodnie z jedwabiu, luźna płócienna koszula i kurtka zdobiona brokatem, wszędzie pełno postukujących paciorków oraz bransolet. Włosy ukrywał pod zdobnym nakryciem głowy, a długie noski jego półbutów zakrzywiały się ku górze i tyłowi. Gregg postanowił powstrzymać się od komentarzy. Ucisnął wszystkim ręce i znalazł krzesło dla Ellen, gdy wszyscy zajmowali miejsca. Potem skinął głową do kahiny i jej towarzyszy, którzy oderwali spojrzenia od Tachiona.

— *Marhala* — rzekł. „Witam”.

Oczy kobiety rozbłysły. Pochyliła głowę.

— Tylko trochę mówię po angielsku — odparła cicho z silnym akcentem. — Łatwiej będzie, jeśli mój tłumacz, Raszid, przemówi w moim imieniu.

Wszystkim zapewniono słuchawki. Gregg włożył swoje.

— Jesteśmy zachwyceni, że kahina zechciała tu przybyć, by omówić szczegóły naszego spotkania z Nur al-Allahem. Nie zasługujemy na podobny zaszczyt.

Tłumacz kahiny przemówił cicho do mikrofonu. Kobieta skinęła głową. Z jej ust popłynął szybki strumień słów w języku arabskim.

— Jest dla ciebie zaszczytem, że choć na tyle zbliżyłeś się do spotkania z nim, senatorze — przetłumaczył Raszid ochryłym głosem. — Koran mówi: „A ten, kto nie wierzy w Boga i Jego Posłańca, my, zaprawdę, przygotowaliśmy dla niewiernych ogień płonący!” <sup>1</sup>

Gregg spojrział na Tachiona, który uniósł lekko brwi i wzruszył ramionami.

— Chcielibyśmy wierzyć, że łączy nas z Nur al-Allahem wizja pokoju — oznajmił z namysłem senator.

Kahina sprawiała wrażenie niemalże rozbawionej tymi słowami.

— Nur al-Allah, choć ten jeden raz, wybrał moją wizję. Gdyby kierował się własną, mógłby

zostać na pustyni i zacząć, aż nas opuścicie...

Kahina mówiła dalej, ale w chwili przerwy rozległ się głos Raszida. Łypnęła na niego ze złością i powiedziała coś, co spowodowało, że skrzywił się boleśnie. Jeden z towarzyszących jej mężczyzn wykonał gwałtowny gest. Raszid odchrząknął i zaczął mówić dalej.

— Albo... albo Nur al-Allah mógłby posłuchać rady sajjida i zabić was razem z plugastwami, które wam towarzyszą.

Wstrząśnięty tymi słowami Tachion wcisnął się mocniej w oparcie krzesła. Senator Lyons z Partii Republikańskiej zaczerwiła się i pochyliła się w stronę Gregga.

— A ja myślałam, że Barnett to świr — wyszeptala.

Lalkarz poruszył się w jego jaźni, dręczony głodem. Nawet bez bezpośredniego połączenia między umysłami salające się emocje były wyczuwalne. Towarzysze kahiny mieli zasępione miny. Jej szczerość zaskoczyła ich nieprzyjemnie, ale bali się spierać z kimś, kto w końcu był częścią ich bliźniaczego

proroka. Stojący pod ścianami strażnicy napięli mięśnie, gotowi do akcji. Przedstawiciele Narodów Zjednoczonych i Czerwonego Krzyża naradzali się ze sobą szeptem.

Kahina zachowywała spokój pośród tego zamieszania. Złożyła dłonie na blacie i przyglądała się Greggowi. Intensywność jej spojrzenia budziła niepokój. Trudno mu było powstrzymać się przed odwróceniem wzroku.

Tachion pochylił się na krzesło, splatając długie palce.

— „Plugastwa” nie są niczemu winne — oznajmił bez ogródek — Jeśli ktokolwiek ponosi tu winę, to tylko ja. Lepiej by dla was było, gdybyście okazali dzokerom dobroć zamiast pogardy i brutalności. Zarazili się ślepą, straszną chorobą, która nikogo nie wybiera. Pani również. Po prostu miała pani szczęście.

Towarzysze kahiny zamruczeli z niezadowoleniem, obrzucając kosmitę wrogimi spojrzeniami, ona jednak odpowiedziała ze spokojem.

— Wola Allaha jest najwyższa. Wirus może być ślepy, ale Allah widzi. Tych, którzy są godni, nagradza, a tych, którzy są niegodni, karze.

— A co z towarzyszącymi nam asami? Oni wierzą w inną wersję Boga albo nie wierzą w żadnego — nie ustępował Tachion. — Co z asami z innych krajów, którzy oddają cześć Buddzie, Amaterasu, Pierzastemu Wężowi bądź też nie wyznają żadnych bogów?

— Ścieżki Allaha są skomplikowane. Wiem, że to, co powiedział nam w Koranie, jest prawdą. Wiem, że wizje, które mi zsyła, są prawdziwe. Wiem, że gdy Nur al-Allah przemawia Jego głosem, mówi prawdę. Poza tym, próby zrozumienia Allaha są szaleństwem.

W jej głosie pobrzmiwała irytacja i Gregg uświadomił sobie, że Takizjanin trafił w czuły punkt.

Tachion potrząsnął głową.

— Mogę tylko odpowiedzieć, że szaleństwem jest próba zrozumienia ludzi, którzy wymyślają sobie bogów.

Gregg przysłuchiwał się tej rozmowie z narastającą ekscytacją. Gdyby uczynił kahinę swą lalką, byłaby dla niego niemal równie użyteczna jak Nur al-Allah. Do tej chwili lekceważył jej wpływy. Był przekonany, że w fundamentalistycznym islamskim ruchu kobieta nie może sprawować realnej władzy. Teraz przekonał się na własne oczy, że mógł się mylić.

Kahina i Tachion patrzyli sobie prosto w oczy. Gregg uniósł rękę.

— Doktorze, proszę, byś pozwolił mi odpowiedzieć — zaczął, próbując nadać swemu głosowi rozsądne, uspokajające brzmienie. — Kahino, nikt tu nie pragnie obrażać pani wiary. Chcemy tylko pomóc waszemu rządowi uporać się z problemem dzikiej karty. Mój kraj musiał żyć z wirusem dłużej niż jakikolwiek inny, mamy też największą liczbę zarażonych. Pragniemy również się uczyć, poznać inne metody i rozwiązania. Najłatwiej będzie nam osiągnąć ten cel, jeśli spotkamy się z tymi, którzy mają tu największe wpływy. Na całym Bliskim Wschodzie mówiono nam, że takim człowiekiem jest Nur al-Allah. Nikt nie ma większej władzy niż on.

Kahina przeniosła spojrzenie z powrotem na Gregga. Z jej ciemnych oczu nadal emanowała złość.

— Był pan we śnie zesłany przez Allaha — stwierdziła. — Widziałam pana. Z koniuszków palców wychodziły panu sznurki. Kiedy pan za nie pociągnął, ludzie na drugich końcach poruszali się.

*Mój Boże! Szoki panika omal nie strąciły go z fotela. W jego umyśle Lalkarz warknął niczym osaczony pies. Puls dudnił mu w skroniach, Gregg czuł, że policzki wypełnia mu żar. Skąd mogła się dowiedzieć...?*

Zmusił się do niefrasobliwości, rozciągnął usta w fałszywym uśmiechu.

— To marzenie wielu polityków — stwierdził, jakby żartowała. — Zapewne próbowałem sprawić, żeby wyborcy postawili krzyżyk we właściwym miejscu. — Po jego stronie stołu rozległy się chichoty. Gregg wrócił do poważnego tonu. — Gdybym umiał kierować ludźmi w ten sposób, z pewnością już dawno zostałbym prezydentem, a do tego pociągnąłbym za sznurki i sprawił, by twój brat zgodził się z nami spotkać. Czy to właśnie mógł oznaczać pani sen?

Spojrzała na niego, nie mrugając.

— Ścieżki Allaha są nieprzeniknione.

*Musisz ją dostać. Nieważne, że Tachion jest obecny i że to niebezpieczne, bo ona jest aską. Musisz ją dostać z powodu tego, co mogłaby powiedzieć. Musisz ją dostać, bo inaczej możesz nigdy się nie spotkać z Nur al-Allahem. Ona jest tutaj.*

Moc żyjąca w Greggu była głodna i niecierpliwa. Zmusił ją do odwrotu.

— Co mogłoby przekonać Nur al-Allaha, kahino?

Nagła wymiana słów po arabsku. Po chwili w uchu Gregga rozległ się głos Raszida.

— Allah go przekona.

— A ty? Również zaliczasz się do jego doradców. Co mu powiesz?

— Pokłóciliśmy się, kiedy mu powiedziałam, że sny zesłane przez Allaha każą mi udać się do Damaszku. — Jej towarzysze znowu zaczęli mruczeć pod nosem. Jeden z nich dotknął ramienia kahiny i wyszeptał jej coś gwałtownie do ucha. Potrząsnęła głową. — Powiem bratu to, co każe mi powiedzieć Allah za pośrednictwem swych snów. Nic więcej. Moje własne słowa nie mają znaczenia.

Tachion odsunął krzesło.

— Senatorze, sugeruję, byśmy nie tracili już na to więcej czasu. Chciałbym obejrzeć kilka klinik, które raczył założyć syryjski rząd. Może tam uda mi się coś osiągnąć.

Gregg spojrział na innych siedzących za stołem ludzi. Wszyscy pokiwali głowami. Towarzysze kahiny również wyglądali na zniecierpliwionych. Wstał.

— W takim razie zaczęliśmy na wiadomość od ciebie, kahino. Proszę, błagam, powiedz bratu, że czasami, kiedy poznamy wroga, przekonujemy się, że wcale nie jest naszym wrogiem. Przybyliśmy tu, bo chcemy wam pomóc. To wszystko.

Kahina wstała i zdjęła słuchawki. Gregg od niechcenia wyciągnął do niej rękę, ignorując pogardę, jaką ten gest wywołał u jej towarzyszy. Kobieta nie zareagowała, ale on nie opuszczał ręki.

— Mamy powiedzenie, które mówi, że ten kto wejdzie między wrony, powinien krakać tak samo jak one — wyjaśnił, mając nadzieję, że kahina zrozumie jego słowa albo Raszid przetłumaczy je dla niej. — Tak czy inaczej, pierwszym krokiem do wzajemnego zrozumienia zawsze jest poznanie czyichś zwyczajów. Jeden z naszych mówi, że równi sobie powinni wymieniać uścisk dłoni na znakuznania.

Przez chwilę sądził, że mu się nie udało, że szansa umknie. Niemal się z tego ucieszył. Otworzenie woli i umysłu aski, która już przedtem przeraziła go swą nieświadomą przenikliwością, i to w obecności przyglądającego mu się z uwagą Tachiona...

Potem jej dłoń, zaskakująco biała na tle czarnej tkaniny szat, musnęła jego palce.

*Musisz...*

Gregg przemknął po łukowatych, rozgałęziających się szlakach układu nerwowego, wypatrując blokad i pułapek, a zwłaszcza znaków, które mogłyby świadczyć, że jego obecność zauważono. Zawsze był skrajnie ostrożny, gdy miał do czynienia z asami, nawet jeśli żywił pewność, że nie dysponują mentalnymi mocami. Kahina najwyraźniej nie zauważyła jego wtargnięcia.

Otworzył ją, ustanowił wejścia, które będzie mógł później wykorzystać. Wnętrze kahiny było bogate i skomplikowane, odcienie jej umysłu nasycone i mocne. Wyczuwał jej stosunek do niego: świetlistą, złotozieloną nadzieję, ochrę podejrzliwości, marmurową żyłkę pogardy zmieszanej z litością, jakie czuła wobec jego świata. Pod tym wszystkim migotała jednak zawiść, a także tęsknota, połączona w jakiś sposób z uczuciami, jakie żyła wobec brata.

Podążył tym szlakiem do źródła i zdumiała go czysta gorycz, jaką tam odnalazł. Była ona jednak dobrze ukryta pod warstwami innych, bardziej bezpiecznych uczuć, a do tego zapieczętowana szacunkiem dla wybrańca Allaha. Niemniej była realna, żywa i zapulsowała pod jego dotykem.

Wystarczyła mu chwila. Kahina cofnęła już rękę, ale kontakt nawiązano. Został z nią jeszcze kilka sekund, żeby się upewnić, a następnie wrócił do własnego umysłu.

Gregg uśmiechnął się z zadowoleniem. Udało mu się i nadal był bezpieczny. Kahina nic nie zauważyła, a Tachion niczego nie podejrzewał.

— Wszyscy jesteśmy wdzięczni, że do nas przybyłaś. Powiedz Nur al-Allahowi, że pragniemy tylko wzajemnego zrozumienia. Czyż sam Koran nie zaczyna się od słów „W Imię Boga Miłosiernego i Litościwego!”? Każdym z nas kieruje ta sama litość.

— Czy to jest dar, który nam przynosisz, senatorze? — zapytała po angielsku. Gregga załapała fala tęsknoty płynąca z jej otwartego umysłu.

— Myślę, że to ten sam dar, który sama byś sobie dała — odparł.

## Środa, 4 lutego 1987, Damaszek

Pukanie do drzwi hotelowego pokoju wyrwało Sarę ze snu. Oszołomiona kobieta spojrzała najpierw na zegarek 1:35 czasu lokalnego. Wydawało się jej, że jest znacznie później. *Jet lag nadal nie minął. Za wcześnie na Gregga.*

Włożyła szlafrok, potarła powieki i podeszła do drzwi. Ochroniarze bardzo wyraźnie ostrzegali uczestników wycieczki przed niebezpieczeństwami, jakie mogą im zagrozić w Damaszku. Nie stanęła na wprost przed drzwiami, lecz zatrzymała się z bólu i pochyliła ku judaszowi. Zobaczyła w nim twarz arabskiej kobiety w czadorze. Jej oczy i delikatne rysy twarzy były znajome, podobnie jak błękitne paciorki wszyte w nakrycie głowy.

— Kahina? — zapytała.

— Tak — odpowiedział jej stłumiony głos. — Proszę, chcę z tobą porozmawiać.

— Chwileczkę.

Sara przygładziła włosy dłonią i zmieniła cienki, koronkowy szlafrok na grubszy i zakrywający więcej ciała. Zdjęła łańcuch i uchyliła lekko drzwi.

Muskularna dłoń popchnęła drzwi, otwierając je całkowicie. Sara stłumiła krzyk. Potężnie

zbudowany mężczyzna tylną na nią spode łba. W wielkiej łapie ścisnął pistolet. Obrzuciwszy Sarę dociekliwym spojrzeniem, nie zwracał już na nią większej uwagi, lecz zaczął krążyć po pokoju. Otworzył drzwi szafy i zajrzał do łazienki. Wreszcie chrząknął, wrócił do drzwi i powiedział coś po arabsku. Kahina weszła do pokoju. Jej ochroniarz zatrzęsął drzwiami i stanął obok nich.

— Wybacz — poprosiła kahina. Jej głos świadczył, że ma trudności z angielskim, ale oczy błyszczały życzliwością. Wskazała na ochroniarza. — W naszym społeczeństwie kobieta...

— Chyba rozumiem — przerwała jej reporterka. Mężczyzna gapił się na nią nieuprzejmie. Sara zaciągnęła mocniej pasek szlafroka i podciągnęła jego kołnierz. Ziewnęła mimo woli i kahina chyba uśmiechnęła się za zaskoną.

— Raz jeszcze błagam o wybaczenie, że cię obudziłam, ale sen... — Wzruszyła ramionami. — Czy mogę usiąść?

— Proszę bardzo.

Sara wskazała na dwa krzesła stojące przy oknie.

Ochroniarz odchrząknął i powiedział coś z szybkością karabinu maszynowego.

— Mówi, żebyśmy nie siadały przy oknie — przetłumaczyła kahina. — To zbyt niebezpieczne.

Dziennikarka przeciągnęła krzesła na środek pokoju. To najwyraźniej usatysfakcjonowało ochroniarza, który znowu oparł się o ścianę. Kahina usiadła na jednym z krzeseł z szelestem czarnej tkaniny. Sara ostrożnie spoczęła na drugim.

— Byłaś na spotkaniu? — zapytała kahina.

— Chodzi ci o konferencję prasową? Tak

Arabka skinęła głową.

— Widziałam cię tam. Znam twoją twarz ze snów zesłanych przez Allaha. Przyszłam tu, bo dziś znowu miałam sen.

— Widziałas w swoich snach moją twarz?

Kahina przytaknęła. Sara przekonała się, że czador nie pozwala jej niemal nic wyczytać z twarzy drugiej kobiety. Widziała tylko jej oczy o przeszywającym wyrazie. Wyczuwała w nich jednak głęboką dobroć, empatię. Dziennikarka poczuła, że ją lubi.

— Na... konferencji... — Arabka zacięła się przy tym słowie — ...powiedziałam, że Nur al-Allah czeka, aż opowiem mu swoje sny, nim postanowi spotkać się z wami. Ale przed chwilą miałam nowy sen.

— Dlaczego przyszłaś z nim do mnie, a nie do brata?

— Dlatego, że to właśnie nakazano mi zrobić we śnie.

Sara potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem. Nie znamy się. Byłam tylko jedną z kilkunastu obecnych tam reporterów.

— Jesteś w nim zakochana.

Dziennikarka wiedziała, kogo ma na myśli kahina. Wiedziała, ale i tak sprzeciwiła się odruchowo.

— W nim?

— W człowieku o dwóch twarzach. Tym, który pociąga za sznurki. W Hartmannie. — Sara nie odpowiadała. Kahina wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jej dłoni. W tym siostrzanym geście kryło się dziwne zrozumienie. — Kochasz człowieka, którego kiedyś nienawidziłaś — dodała Arabka, nie cofając dłoni.

Sara przekonała się, że nie jest w stanie okłamać kahiny z jej szeroko otwartymi, bezbronnymi oczami.

— Pewnie tak Jesteś jasnowidzącą, czy potrafisz mi powiedzieć, jak to się skończy?

To miał być żart, ale Kahina tego nie zauważyła albo postanowiła zignorować jej intencje.

— W tej chwili czujesz się szczęśliwa, nawet jeśli nie jesteś jego żoną. Nawet jeśli grzeszysz. Rozumiem to. — Wpiła mocno palce w dłoń Sary. — Rozumiem, że nienawiść jest mieczem, który można stępić. Który można przekuć, aż wyda ci się, że w rzeczy wistości jest czyśm innym.

— Mieszasz mi w głowie, kahino. — Sara usiadła wygodniej. Żałowała, że nie zdążyła się wyspać, żałowała, że nie ma z nią Gregga. Arabka cofnęła rękę.

— Opowiedz mi ten sen.

Kahina zamknęła oczy i spłotła dłonie na kolanach.

— Widziałam... widziałam Hartmanna z dwiema twarzami. Pierwsza była przyjemna dla oka, ale druga była wypaczona jak u plugastwa przekłętego przez Allaha. Ty byłaś u jego boku, nie jego żona, a jego twarz była tą, która uśmiecha się miło. Widziałam uczucie, którym go darzysz, nienawiść przeobrażoną w swe przeciwieństwo. Ja i mój brat również tam byliśmy i mój brat wskazał na plugastwo ukryte w Hartmannie. Plugastwo splunęło i ślina spadła na mnie. Ujrzałam siebie i moja twarz była twoją twarzą. Zobaczyłam, że ja również mam za zasłoną drugą twarz, twarz plugastwa, brzydką i złośliwą. Hartmann wyciągnął rękę i obrócił moją głowę tak, że tylko plugastwo było widoczne. Na moment widocznymi we śnie obrazami zawładnęła chaos. Pomyślałam, że widzę nóż. Zobaczyłam sajjida, mojego męża. Szarpał się ze mną. Potem obraz się przejaśnił i ujrzałam karła. Karzeł przemówił. Rzekał mi: „Powiedz jej, że pod powierzchnią nienawiść nadal żyje. Powiedz, żeby o tym pamiętała. Nienawiść cię obroni”. Następnie ryknął śmiechem i jego śmiech był zły. Nie lubiłam tego karła.

Otworzyła oczy i Sara dostrzegła w nich odległe przerażenie.

Dziennikarka zaczęła coś mówić, powstrzymała się, po czym zaczęła znowu.

— Kahino, nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy. To tylko przypadkowe obrazy, niczym się nieróżniące od moich snów. Czy dla ciebie mają jakiś sens?



— To sen zesłany przez Allaha — upierała się kahina ochryplym z pasji głosem. — Czułam w nim Jego moc. Rozumiem jedno: mój brat spotka się z wami.

— Gregg... senator Hartmann... i inni z radością się o tym dowiedzą. Uwierz mi, chcemy tylko pomóc waszym rodakom.

— W takim razie dlaczego sen był taki przerażający?

— Może dlatego, że zmiana zawsze budzi strach.

Kahina zamrugała. Nagle opuściła ją otwartość. Zrobiła się niedostępna, ukrywała się jak jej twarz za zasłoną.

— Kiedyś powiedziałam Nur al-Allahowi coś bardzo podobnego. Nie spodobała mu się ta myśl i mnie w tej chwili również się nie podoba. — Podniosła się nagle. Strażnik w drzwiach stanął na baczność. — Cieszę się, że się poznałyśmy — rzekła. — Spotkamy się na pustyni.

Zwróciła się ku drzwiom.

— Kahino...

Zatrzymała się, czekając na słowa Sary.

— Czy to wszystko, co chciałaś mi powiedzieć?

Oczy Arabki kryły się w cieniu kwefu.

— Chciałam ci powiedzieć tylko jedno — odparła. — Miałam w tym śnie twoją twarz. Myślę, że jesteśmy bardzo podobne do siebie. Czuję się, jakbyśmy były... czymś w rodzaju kuzynek. To, co ten mężczyzna, którego kochasz, pragnął zrobić mnie, może uczynić również tobie.

Skinęła głową do ochroniarza. Oboje wyszli szybko na korytarz i zniknęli.

## Środa, 4 lutego 1987, pustynia w Syrii

Gregg nigdy w życiu nie widział bardziej jałowego krajobrazu.

Olna przesłaniała gruba warstwa piasku, wzbitego w górę przez wirnik śmigłowca. Na dole ciągnęło się pustkowię. Tylko niewiele roślinności czepiało się życia na wulkanicznej glebie pustynnego płaskowyżu. Nad morzem ziemia była stosunkowo żyzna, ale gdy trzy śmigłowce zostawiły za sobą góry Dżabal ad-Duruz, palmy daktylowe i grunty orne ustąpiły miejsca sosnom. Potem zostały jedynie cierniste krzewy. Okolica była bezładna, pomijając tylko mijane od czasu do czasu osady, gdzie mężczyźni w turbanach i powłóczystych szatach odrywali wzrok od swych stad kóz, by popatrzeć podejrzliwie na przelatujące maszyny.

Podróż była długa, hałaśliwa i okropnie niewygodna. Ciągłe natrafiali na turbulencje i wszyscy otaczający Gregga ludzie mieli kwaśne miny. Obejrzał się na Sarę. Uśmiechnęła się do niego półgębkiem i wzruszyła ramionami. Śmigłowce zaczęły opadać na małe miasteczko, wyglądające, jakby oblegały je wielobarwne, jaskrawe namioty, rozbite w zakolach doliny prehistorycznej rzeki. Słońce skrywało się już za jałowymi wzgórzami, nadając im lekko

fioletową barwę. Ziemię upstrzyły plamy licznych ognisk

Billy Ray przeszedł na tył, gdy śmigłowiec osypał namioty fontannami piasku.

— Joanne mówi, że możemy lądować, panie senatorze — zawołał, otaczając usta dłońmi, by przekrzyćć łoskot silników. — Ale muszę panu powiedzieć, że to nadal mi się nie podoba.

— Nic nam nie grozi, Billy — odkrzyknął Gregg. — Musiałby być szaleńcem, żeby nas zaatakować.

Billy zerknął na niego z ukosa.

— Hmm. To fanatyk Sekta Nura ma powiązania z akcjami terrorystów na całym Bliskim Wschodzie. Wizyta w jego kwaterze głównej, na jego zaproszenie i z tak niewielkimi siłami, jakimi dysponuję, równa się zgodzie na podejrzenie gardła ochronie.

Sprawił wrażenie raczej podekscytowanego niż zaniepokojonego — Carnifex kochał walkę — jednakże Gregg wyczuwał pod jego narastającym podnieceniem słaby, zimny strumień strachu. Sięgnął do umysłu Billy'ego i pobudził ten strach, ciesząc się wrażeniem jego narastania. Powiedział sobie, że robi to nie tylko dla przyjemności, lecz dlatego, że nadmierna podejrzliwość uczy ni Billy'ego jeszcze skuteczniejszym, gdyby nadeszły kłopoty.

— Rozumiem twoje zastrzeżenia, Billy — zapewnił. — Ale jesteśmy już na miejscu i zobaczymy, co się da zrobić.

Śmigłowce wylądowały na centralnym placu obok meczetu. Wszyscy wysiedli, pomijając jedynie Tachiona, który drżał z zimna w wieczornym chłdzie. Tylko część delegacji przyleciała z nimi z Damaszku. Nur al-Allah nie pozwolił, by choć jedno „odrażające plugastwo” odwiedziło jego siedzibę. To wykluczało oczywistych dżokerów, takich jak Ojciec Kałamarnica czy Poczwarła. Radha i Fantazja postanowiły zostać w Damaszku. Większość osób towarzyszących oraz naukowców postąpiła tak samo. Butny ton „zaproszenia” Nur al-Allaha rozgniewał bardzo wielu członków delegacji. Doszło nawet do zaciętej dysputy, czy w ogóle powinni tam lecieć, ale upór Gregga w końcu zatriumfował.

— Posłuchajcie, jego żądania wydają mi się równie odrażające jak wszystkim. Ale on ma tu naprawdę ogromne wpływy. Władza Syrią, a także znaczną częścią Jordanii i Arabii Saudyjskiej. Oficjalnie wybrani przywódcy nie mają znaczenia, bo Nur al-Allah zjednoczył wszystkie sekty. Nie podobają mi się jego nauki ani jego metody, ale nie mogę zaprzeczyć, że jest potężny. Jeśli odwrócimy się do niego plecami, nie będziemy mogli nic zmienić. Jego uprzedzenia, jego przemoc i jego nienawiść nadal będą się szerzyły. Jeśli jednak się z nim spotkamy, będziemy przynajmniej mieli szansę złagodzić jego brutalność.

Roześmiał się, zbywając własne argumenty lekceważącym potrząśnięciem głową.

— Szczerze mówiąc, uważam, że nie mamy nawet najmniejszych szans, ale... to jest coś, czemu prędzej czy później będziemy musieli stawić czoło, jeśli nie w przypadku Nur al-Allaha,

to w domu, z fundamentalistami takimi jak Leo Barnett. Uprzedzenia nie znikną tylko dlatego, że będziemy je ignorować.

Lalkarz sięgnął na zewnątrz i postarał się, by Hiram, Sokolica i paru innych zgodziło się szeptem. Reszta wycofała z niechęcią swe zastrzeżenia, choć większość postanowiła pozostać w Damaszku na znak protestu. Ostatecznie na spotkanie z Nur al-Allahem zgodziło się czworo asów: Hiram, Sokolica, Braun i Jones. Senator Lyons w ostatniej chwili również zdecydowała się polecić. Ku wielkiej trwodze Gregga Tachion uparł się, że on również musi uczestniczyć w tym wydarzeniu. Reporterzy i ochroniarze dodatkowo zwiększyli liczebność grupy.

Gdy wirniki zwolniły obroty i z drzwi śmigłowców opuszczono schodki, z meczetu wyszła kahina. Kobieta ukloniła się uprzejmie wysiadającym z helikopterów gościom.

— Nur al-Allah was pozdrawia — oznajmiła. — Proszę, chodźcie za mną.

W tej samej chwili, gdy kahina na nich skinęła, Gregg usłyszał, że Sokolica wciągnęła gwałtownie powietrze. Poczuł też wzbierającą w niej falę oburzenia i paniki. Obejrzał się przez ramię i zauważył, że złożyła skrzydła i otuliła się nimi, jakby dla ochrony. Wlepiła spojrzenie w ziemię przed meczetem. On również spojrział w tamtym kierunku.

Między budynkami zapłonął ogień. W jego migotliwym blasku wszyscy ujrzeli trzy oblaźle muchami ciała wsparte o mur. Wokół nich leżały kamienie. Najbliższy z zabitych z pewnością był dzoklerem. Jego twarz przechodziła w porośnięty futrem pysk, a dłonie miały rogowe pazury. Ich nozdrza wypełnił ohydny smród zgnilizny. Gregg poczuł narastającą falę szoku i obrzydzenia. Senator Lyons wymiotowała, głośno i niepowstrzymanie. Braun zmełł w ustach przekleństwo. Gregg zmarszczył brwi, a ukryty w jego umyśle Lalkarz uśmiechnął się radośnie.

— Co ma oznaczać ten skandal? — zapytał kahinę Tachion.

Gregg wsunął się swobodnie w jej umysł i odnalazł w nim zmienne odcienie dezorientacji. Kobieta popatrzyła na ciała i przeszło ją nagle ukłucie, gdy uświadomiła sobie, że ją zdradzono. Gdy jednak odwróciła od nich wzrok, wszystko to nakrył spokojny, szmaragdowy odcień wiary. Jej spojrzenie nic nie wyrażało, a głos stał się ostrożny i monotony.

— Byli... plugastwami. Allah nazaczył ich piętnem niegodziwości. Ich śmierć nie ma znaczenia. Tak zarządził Nur al-Allah.

— Senatorze, opuśćmy to miejsce — błagał Tachion. — Nie można tolerować podobnej zniewagi. Kahino, powiedz Nur al-Allahowi, że zgłosimy stanowczy protest do waszego rządu.

Arystokratyczna twarz Takizjanina zamarła w grymasie kontrolowanej furii. Jego ręce zwisały luźno u boków, a pięści były mocno zaciśnięte. Zanim jednak ktokolwiek z nich zdołał się poruszyć, Nur al-Allah wyszedł z meczetu.

Gregg nie miał wątpliwości, że prorok celowo wybrał ten moment, by najlepiej się zaprezentować. W zapadającym zmroku wyglądał jak średniowieczny obraz Chrystusa.

Wypływał z niego święty blask. Miał na sobie cienką dżelabę i światło bijące z jego skóry przedostawało się przez tkaninę. Jego broda i włosy były ciemnymi plamami na tle łuny.

— Nur al-Allah jest prorokiem Allaha — oznajmił, mówiąc po angielsku z silnym akcentem.  
— Jeśli Allah pozwoli wam odejść, będziecie mogli to zrobić. Jeśli zaś nakaze wam zostać, zostanieie.

Głos proroka brzmiał jak wiolonczeła — cudowny, dźwięczny instrument. Gregg wiedział, że powinien mu odpowiedzieć, ale nie był w stanie tego zrobić. Wszyscy członkowie grupy milczeli. Próbujący wrócić do śmigłowców Tachion zamarł w pół kroku. Gregg tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał poruszyć ustami. Jego umysł wypełniały pajęczyny i wyłącznie moc Lalkarza pozwoliła mu zerwać te więzy. Kiedy odpowiedział, jego głos zabrzmiał słabo i ochryple:

— Nur al-Allah pozwala mordować niewinnych.



— Nur al-Allah pozwala mordować niewinnych. To nie jest moc Allaha. To tylko ludzka niedoskonałość — wychrypiał Gregg.

Sara pragnęła wykrzyknąć, że się zgadza, ale głos nie chciał jej słuchać. Wszyscy stali bez ruchu, jak oszołomieni. Kopacz Downs, stojący obok Sary, skrobał coś gorączkowo w swym notesie, nim nagle znieruchomiał, zapominając o trzymanym w dłoni ołówku.

Nagle wypełnił ją strach — o siebie, o Gregga, o wszystkich. *Nie trzeba było tu przylatywać. Ten głos...* Wiedzieli, że Nur al-Allah jest znakomitym mówcą, podejrzewali nawet, że może mieć moc asa, ale żadne raporty nie ostrzegły ich, że jest ona aż tak potężna.

— Człowiek jest niedoskonały wtedy, gdy zawodzi Allaha — odparł ze spokojem prorok. Jego głos rzucał łagodny czar, spowijał ich kocem odrętwienia. Kiedy Nur al-Allah mówił, jego słowa wydawały się czystą prawdą. — Uważacie mnie za szaleńca. Mylicie się. Uważacie mnie za groźbę. Zagrożam tylko wrogom Allaha. Uważacie, że jestem okrutny i bezlitosny. Jeśli tak jest rzeczywiście, to wyłącznie dlatego, że Allah nie ma litości dla grzeszników. Chodźcie za mną.

Odrzucił się i wszedł szybko do meczetu. Sokolica i Hiram natychmiast ruszyli za nim. Jack Braun również podążył za prorokiem z oszołomioną miną. Downs odepchnął stojącą mu na drodze Sarę. Dziennikarka próbowała się opierać, ale przymus zawładnął jej nogami i powlokła się za resztą. Tylko Tachion potrafił się przeciwstawić mocy Nur al-Allaha. Na jego twarzy pojawił się grymas wysiłku, ale Takizjanin nadal stał wyprostowany pośrodku dziedzińca. Gdy Sara go minęła, obejrzał się na śmigłowce. Następnie — z wyrazem złości na twarzy — dał się zaciągnąć do meczetu razem z Sarą.

We wnękach pod kolumnami paliły się lampki oliwne. Nur al-Allah stał na minbarze, kazalnicy. Kahina zajęła pozycję u jego prawego boku. Po lewej Sara dostrzegła gigantyczną sylwetkę szejda. Strażnicy z karabinami maszynowymi zajęli pozycje przy ścianach. Sara wmieszała się

w kłębiący się pod minbarem tłum zdeorientowanych jeńców.

— Wysłuchajcie słów Allaha — zaintonował prorok. Jego głos brzmiał jak ryk i uderzenie gromu, jakby rzeczywiście przemawiał jakiś bóg. Zadrżeli, słysząc pobrzmiwającą w nim furie i pogardę, dziwiąc się, że mury meczetu nie zwały się im na głowy od jego siły. — „I nieszczęście zawsze dosięgnie niewiernych za to, co oni czynili; albo też osiadzie w pobliżu ich domostwa”. Allah rzekł nam też: „Biada każdemu kłamcy, grzesznikowi! On słucha znaków Boga, które mu są recytowane, a potem trwa w uporze, wbijając się w dumę, jak gdyby ich wcale nie słyszał. Obwieść mu więc karę bolesną! A kiedy on pozna niektóre Nasze znaki, to bierze je sobie za przedmiot szyderstwa. Dla takich będzie kara poniżająca. Za nimi będzie Gehenna. I nie pomoże im nic to, co zyskali; ani też opiekunowie, których wzięli sobie poza Bogiem. Dla nich kara będzie straszna” <sup>2</sup>.

Sara poczuła, że po policzkach spływają jej niepowstrzymane łzy. Cytaty zdawały się palić jej duszę, trawić ją niczym kwas. Choć część jej jaźni stawiała opór, pragnęła zakrzyknąć do Nur al-Allaha i błagać go o wybaczenie. Poszukała spojrzeniem Gregga i zobaczyła go obok minbaru. Sprawiał wrażenie, że próbuje sięgnąć do Nur al-Allaha. Na jego twarzy nie widziała żalu za grzechy. *Czy tego nie widzisz?* — pragnęła do niego zawołać. *Nie zdajesz sobie sprawy, jak źle postępowaliśmy?*

Nagle, choć głos Nur al-Allaha nadal pozostawał głęboki i dźwięczny, energia odpłynęła z niego. Sara otarła gniewnie łzy. Świetlista twarz uśmiechnęła się do niej z ironią.

— Widzicie? Poculiście moc Allaha. Przybyliście tu po to, by poznać wroga. Dowiedzcie się, że jest silny. Jest silny mocą Boga i nie zdołacie go pokonać, podobnie jak nie zdołacie złamać kręgosłupa samego świata. — Uniósł rękę i zacisnął pięść na ich oczach. — Moc Allaha jest ze mną. Dzięki niej przegnam z tej krainy wszystkich niewiernych. Myślicie, że potrzebuję strażników, by was powstrzymać? — Nur al-Allah splunął. — Pfuj! Mój głos jest waszym więzieniem. Gdybym chciał waszej śmierci, po prostu wydałbym taki rozkaz i sami wsadzilibyście sobie lufy do ust. Zetrę Izrael z powierzchni ziemi, zrobię niewolników z tych, których nazaczyło piętno Allaha, a tych, którzy są w stanie sprzeciwić się Jego woli, zabiję. Oto, co wam oferuję. Żadnych negocjacji, żadnych kompromisów, tylko pięść Allaha.

— A na to nie możemy pozwolić.

Głos Tachiona dobiegał z tyłu meczetu. Sara pozwoliła sobie na odrobinę rozpaczliwej nadziei.



— A na to nie możemy pozwolić.

Gregg usłyszał te słowa w tej samej chwili, gdy jego palce wyciągnęły się ku sandałom proroka. Lalkarz wspierał go swoją siłą, ale to było tak, jakby Nur al-Allah stał na szczycie góry, a on daremnie próbował sięgnąć ku niemu od jej podstawy. Czoło perliły mu kropelki potu. Sajjid

obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. Nawet nie raczył odkopać ręki Gregga od swego pana.

Nur al-Allah ryknął śmiechem, usłyszawszy słowa Tachiona.

— Rzucasz mi wyzwanie, ty, który nie wierzysz w Allaha? Czuję cię, doktorze Tachionie. Czuję twoją moc próbującą wtargnąć do mojego umysłu. Wierzysz, że możesz go złamać, jak potrafiłbyś złamać umysły swych towarzyszy. Mylisz się. Allah mnie chroni, a On ukarze każdego, kto Go zaatakuje.

Jednakże w tej samej chwili Gregg zauważył oznaki wysiłku na twarzy proroka. Jego blask przygasł, a chroniące go bariery osłabły. Bez względu na swe przechwałki, prorok odczuwał skutki mentalnego ataku Tachiona. Gregg poczuł nagłą nadzieję.

W tej właśnie chwili, gdy Nur al-Allah skupił swą uwagę na Takizjaninie, Gregg zdołał dotknąć świetlistej stopy proroka. Szmaragdowy blask parzył go dotkliwie, ale on ignorował ból. Lalkarz zakrzyknął triumfalnie.

A potem odskoczył gwałtownie. Nur al-Allah tu był. Był świadom jego obecności. Gregg wyczuwał również obecność Tachiona. *To zbyt niebezpieczne* — zawołał Lalkarz. *On wie, on wie.* Gdzieś z tyłu rozległ się głuchy łoskot i stłumiony krzyk Gregg obejrzał się przez ramię na doktora.

Jeden ze strażników zaszedł Takizjanina od tyłu i uderzył go w głowę kłbą uzi. Doktor osunął się na kolana. Jęczał i trzymał się za głowę. Spróbował się podnieść, ale strażnik obalił go brutalnie na pokrywającą posadzkę mozaikę. Tachion leżał na niej nieprzytomny, oddychając z wysiłkiem.

Nur al-Allah ryknął śmiechem. Spojrzał z góry na Gregga, nadal wyciągającego bezsilnie rękę ku jego stopie.

— Widziałeś? Chroni mnie Allah i moi ludzie. A co z tobą, senatorze Hartmann od sznurków kahiny? Czy nadal pragniesz mną zawładnąć? Być może powinienem pokazać ci sznurki Allaha, kazać ci zatańczyć dla Jego rozrywki? Kahina powiedziała, że jesteś niebezpieczny, a sajjid pragnie twojej śmierci. Być może ciebie pierwszego powinienem złożyć w ofierze. Jak zareagowałiby twoi towarzysze, gdybyś wyznał swe zbrodnie, a potem błagał Allaha o wybaczenie i zabił się? Myślisz, że to by poskutkowało?

Nur al-Allah wskazał palcem na Gregga.

— Tak — rzekł. — Myślę, że by poskutkowało.

Lalkarz zawył ze strachu.



— Tak Myślę, że by poskutkowało.

Misza z niepokojem słuchała słów brata. Wszystko, co dziś uczynił, było dla niej policzkiem: wystawienie na pokaz ukamienowanych dzokerów, atak na Tachiona i butne groźby, które teraz wygłaszał. Nadźib zdradzał ją każdym swym słowem.

Brat wykorzystał ją i okłamał. On i sajjid. Pozwolił, by udała się do Damaszku, przekonana, że ich reprezentuje, że jeśli sprowadzi tu Amerykanów, będzie istniała jakaś szansa porozumienia. Ale jemu nie zależało na porozumieniu. Nie zważał na jej ostrzeżenia, że posunął się za daleko. Powoli narastało w niej zakąszenie, podważające jej wiarę. *Allahu, wierzę w Twój głos przemawiający przez Nadziba. Ale mój brat pokazał teraz drugą twarz. Czy ona również jest Twoja?*

Jej zwątpienie osłabiło magię głosu proroka. Kahina odważyła się mu przerwać.

— Posuwasz się za szybko, Nadzibie — wysyczała. — Twoja pycha nas zniszczy.

Wykrzywił świetlistą twarz, przerywając przemowę w pół słowa.

— Ja jestem prorokiem — warknął. — Nie ty.

— Zatem przynajmniej mnie wysłuchaj. Ja widzę przyszłość. To błąd, Nadzibie. Idąc tą ścieżką, oddalasz się od Allaha.

— Zamilcz! — ryknął i uderzył pięścią. Kahinę oslepiła czerwona mgiełka. W tej samej chwili, gdy ból i oszołomienie osłabiły wpływ głosu Nadziba, coś w umyśle kobiety pękło, załamała się jakaś bariera powstrzymująca jad. Furia była zimna i śmiertcionośna, zatruta wszystkimi obelgami i przemocą, którymi Nadzib zasypywał ją przez lata, wzmocniona frustracją, odrzuceniem i niewolą. Brat odwrócił się od kahiny, pewien jej posłuszeństwa, i wznowił tyradę. Na tłum ponownie opadła moc jego głosu.

Ale ten głos nie mógł już jej dotknąć, nie był w stanie się przedostać przez to, co wypłynęło z pełnej goryczy sadzawki.

Zobaczyła nóż zatknięty za jego szarfę i zrozumiała, co musi uczynić.

Rzuciła się na Nadziba z nieartykułowanym krzykiem.



Sara zobaczyła, że Nur al-Allah skierował świecący palec na Gregga. Potem jednak jej uwagę przyciągnęła kahina. Dziennikarka zmarszczyła brwi, choć nadal działała na nią magia słów proroka. Kahina dygotała. Gapiała się na brata, a w jej oczach nie było nic oprócz jadu. Krzyknęła coś do niego po arabsku, a on zwrócił się ku niej, nadal pulsując gorejącą mocą. Wymienili kilka słów, a potem ją uderzył.

To było tak, jakby ten cios wprawił ją w boski szal. Kahina rzuciła się na niego jak drapieżny kot. Wrzeszczała i orała paznokciami jego twarz. Ciemne rzeczułki krwi przesłoniły księżycowy blask oblicza proroka. Złapała długi, zakrzywiony nóż zatknięty za jego szarfę i wyrwała go z inkrustowanej klejnotami pochwy. W tym samym ruchu poderżnęła mu gardło. Nur al-Allah złapał się za szyję. Między jego palcami wypływała krew. Prorok wydał z siebie wilgotne, zdławione westchnienie i zatoczył się do tyłu.

Na moment przerażenie sparaliżowało wszystkich. Potem meczet wypełniły krzyki. Kahina stała nad Nur al-Allahem. Nóż zwisał luźno z jej białych palców. Sajjid wydał z siebie ryk

niedowierzania i zamachnął się potężnym ramieniem, obalając kobietę na posadzkę. Następnie postąpił niepewny krok naprzód. Sara uświadomiła sobie nagle, że olbrzym jest kaleką. Dwaj strażnicy złapali wyrywającą się kahinę i podnieśli ją na nogi. Inni przyklucnęli przy leżącym na posadzce proroka, próbując powstrzymać wypływ krwi.

Sajjid dowlókł się do kahiny, podniósł nóż, który wypuściła, i wlepił spojrzenie w ciemne plamy na kładzie. Zawył, wznosząc oczy ku niebu, i unióśł nóż, by pchnąć nim kobietę.

Nagle jednak znieruchomiał, nie opuszczając ręki. Okłapł, kolana ugięły się pod nim, jakby jakiś miążdzący ciężar naciskał na niego z góry. Olbrzym krzyknął z bólu i wypuścił broń z ręki. Jego masywne ciało zapadło się w siebie, szkielet nie był w stanie dłużej podtrzymać jego ciężaru. Wszyscy usłyszeli suchy, okropny trzask pękających kości. Sara rozejrzała się wkoło i zauważyła, że złany potem Hiram zaciska prawą pięść tak mocno, że knykcie mu zbieleły.

Sajjid jęknął i zwałił się na posadzkę jako bezkształtna masa. Zdezorientowani strażnicy wypuścili kahinę.

Kobieta rzuciła się do ucieczki. Jeden ze strażników unióśł uzi, ale Mordecai Jones złapał go i cisnął nim o ścianę. Jack Braun, lśniący złotym blaskiem, łapał drugiego z ludzi Nur al-Allaha i rzucił nim na drugi koniec meczetu. Sokolica, która gubiła pióra, nie mogła wzbic się w powietrze, ale włożyła ukradkiem szponiaste rękawice i przeorała twarz pilnującego ją mężczyzny. Billy Ray odwrócił się z radosnym okrzykiem i kopnął swojego strażnika w kolana.

Kahina wypadła na zewnątrz i zniknęła.

Sara zauważyła, że Gregg jest zdezorientowany. Nic mu jednak nie groziło — zalala ją fala ulgi. Gdy ku niemu pobięła, ulga zmieniła się jednak w lód.

Na jego twarzy nie było już strachu. Ani nawet zainteresowania.

Sprawił wrażenie całkowicie spokojnego. Niemalże się uśmiechał.

Sara rozdziawiła usta. Nie czuła nic poza bezdenną pustką.

— Nie — wyszeptła do siebie.

*To, co zrobił mnie, może uczynić również tobie.*

— Nie — upierała się. — To niemożliwe.



Nur al-Allah skierował ku niemu oskarżycielski palec i Gregg wiedział, że jego jedyną nadzieją jest gorycz kryjąca się wewnątrz kahiny. Wiedział już, że nie zdoła zapanować nad Nur al-Allahem, ale siostra proroka należała do niego. Zgwałcił jej umysł, brutalnie i bezlitośnie. Zabrał jej wszystko poza tą kryjącą się pod spodem nienawiścią. Temu uczuciu pozwolił rosnąć i wzbierać. Udało mu się ponad wszelkie jego oczekiwania.

Niemniej pragnął śmierci kahiny. Chciał zamknąć jej usta. Z pewnością to Hiram powstrzymał sajjida. Był zbyt rycerski, by oddać kahinę islamskiej sprawiedliwości, lecz



jednocześnie posługiwał się swą mocą niezwykle brutalnie. Gregg czynił sobie wyrzuty, gdyż tego nie przewidział. Powinien był już dawno zapanować nad Hiramem, uczynić z niego swoją lalkę, pomimo niezwyklej odcieni, jakie ostatnio u niego zauważył. Teraz szansa minęła, czar prysnął, gdy umilkł głos Nur al-Allaha. Gregg zaryzykował dotknięcie umysłu Hiramem i znowu dostrzegł w nim ten bladej, niezwyklej odcień. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać.

Ludzie krzy czeli. Rozległa się ogłuszająca seria z uzi.

Pośrodku tego chaosu Gregg wyczuł Sarę. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że dziennikarka gapi się na niego. W jej wnętrzu emocje zmieniały się szaleńczo. Jej miłość była wystrzępiona, nadmiernie rozciągnięta. Przeświływała spod niej ochrowa podejrzliwość.

— Saro! — zawołał i odwróciła nagle wzrok, spoglądając na tłum kłębiący się wokół Nur al-Allaha.

Trwała tam walka. Billy z dziką radością na twarzy rzucił się na jednego ze strażników.

*Oddaj mi Sarę. W przeciwnym razie ją stracisz. Lalkarz sprawiał wrażenie dziwnie smutnego. Nie możesz już w żaden sposób naprawić strat. Ona jest jedynym, co możesz z tego uratować. Oddaj mi ją, bo w przeciwnym razie ją również stracisz.*

*Nie, ona nie może wiedzieć. To niemożliwe, żeby wiedziała* — sprzeciwił się Gregg, wiedział jednak, że nie ma racji. Widział szkody w jej umyśle. Żadne kłamstwo już ich nie naprawi.

Pełen żalu, wszedł do umysłu kobiety i popieścił rozdartą, lazurową tkaninę jej uczuć. Gregg przyglądał się, jak Lalkarz — powoli i ostrożnie — pokrywa nieufność Sary miękłkami, barwnymi wstążkami fałszywej miłości.

Uściskał ją pośpiesznie.

— Chodź — mruknął. — Uciekamy stąd.

Billy Ray stał nad nieprzytomnym strażnikiem, ostrym głosem wydając rozkazy swym ludziom.

— Ruszać się! Ty weź doktora. Senatorze Hartmann, szybko! Zmiatajmy stąd!

Opór gdzieniegdzie jeszcze trwał, ale ludzie Nur al-Allaha byli w szoku. Większość kłęzczała wokół leżącego na posadzce proroka. Nur al-Allah żył. Greg wyczuwał jego strach i ból. Śmierci proroka również pragnął, ale nie miał okazyj go załatwić.

Obok rozległy się strzały. Braun, jarzący się już intensywnym blaskiem, zagroził drogę pociskom ukrytego przeciwnika. Słyszeli wizz kul odbijających się od jego ciała. Trafiony Gregg stęknął z nagłego bólu w tej samej chwili, gdy Braun wyrwał broń napastnikowi. Bark postrzelonego przeszła lanca bólu. Zachwiał się na nogach i usłyszał krzyk Sary:

— Gregg!

Osunął się z jękiem na kolana. Cofnął rękę od ramienia i zobaczył, że palce ma czerwone od krwi. Świat zawirował wokół niego. Lalkarz skulił się trwożnie.

— Joanne, szykuj się do odlotu! Senator jest ranny! — Billy Ray odsunął Sarę na bok i przykucał obok Gregga. Ostrożnie zdjął mu zakrwawioną marynarkę, by przyjrzeć się ranie. Gregg poczuł wypełniającą asa ulgę.

— Nic panu nie będzie. To tylko długie, głębokie draśnięcie. Niech mi pan poda rękę...

— Poradzę sobie — wychrypiał Gregg przez zaciśnięte zęby. Sara ujęła jego zdrową rękę i pomogła mu wstać. Wciągał gwałtownie powietrze. Wokół niego szalała przemoc, a Lalkarz był zbyt oszołomiony, by się nasycić. Gregg nakazał sobie myśleć, ignorując ból.

— Billy, ruszaj. Zabierz pozostałych.

Nie pozostało tu już wiele do zrobienia. Niedobitki ludzi Nur al-Allaha zajęły się swoim prorokiem, Sokolica wymknęła się na zewnątrz, a Jones i Braun pilnowali senator Lyons oraz innych dygnitarzy. Hiram uczynił Tachiona niemal całkowicie nieważkim i pomagał mu wyjść na dwór. Oszołomiony doktor potrząsał głową. Nikt nie próbował powstrzymać ich odwrotu.

Sara pozwoliła Greggowi oprzeć się o siebie. Gdy wreszcie wpadli do śmigłowca, uściskała go lekko.

— Cieszę się, że nic ci nie grozi — wyszeptala i ujęła jego rękę, gdy łopaty wirnika przeszły nocne powietrze.

Gregg czuł się tak, jakby ścisnął drewnianą dłoń lalki. To nic nie znaczyło. Absolutnie nic.

1. Cytat z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego (przy p. tłum.) [\[wróć\]](#)
2. Cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego (przy p. tłum.) [\[wróć\]](#)

# Z dziennika Xaviera Desmonda

7 lutego, Kabul, Afganistan

Ból dokucza mi dzisiaj bardzo. Większość delegatów wybrała się na jednodniową wycieczkę, żeby zwiedzać różne zabytki, ale ja znowu zostałem w pokoju.

Nasza podróż... cóż mogę powiedzieć? To, co wydarzyło się w Syrii, znalazło się na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Liczba towarzyszących nam dziennikarzy zwiększyła się dwukrotnie i wszyscy oni chcą usłyszeć relację naocznych świadków. Choć raz nie martwię się, że mnie pominęto. Sokolica opowiadała mi, jak to wyglądało.

Wydarzenia w Syrii dotknęły nas wszystkich, w tym również mnie. Rak nie jest jedyną przyczyną mojego bólu. Są chwile, gdy czuję się dogłębnie wyczerpany, gdy — spoglądając wstecz na swe życie — zadaję sobie pytanie, czy dokonałem czegoś dobrego, czy też wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Staralem się przemawiać w imieniu naszego ludu, apelować do rozumu, przyzwoitości i człowieczeństwa, które łączy nas wszystkich. Zawsze byłem przekonany, że spokojna siła, upór i powstrzymanie się od użycia przemocy pomogą nam więcej osiągnąć. Po pobycie w Syrii zacząłem się jednak zastanawiać... jak mamy przemówić do rozumu komuś takiemu jak Nur al-Allah, jak można z nim zawrzeć kompromis, prowadzić rozmowy? Jak możemy apelować do jego człowieczeństwa, jeśli on w ogóle nie uważa nas za ludzi? Jeśli Bóg istnieje, modlę się, by mi wybaczył, ale szczerze żałuję, że nie zabiło Nura.

Hiram nas opuścił, choć tylko na pewien czas. Obiecał, że wróci do nas w Indiach, ale na razie przebywa w Nowym Jorku. Polecał z Damaszku do Rzymu, a tam złapał concorde'a do Ameryki. Powiedział nam, że w Wieży Asów doszło do kryzysu, który wymaga jego obecności, ale podejrzewam, że prawda wygląda tak, iż wydarzenia w Syrii wstrząsnęły nim bardziej, niż chciałby to przyznać. Po samolocie krążą plotki, że Hiram stracił na pustyni panowanie nad sobą i uderzył w generała sajjida znacznie większym ciężarem, niż było to konieczne, żeby go powstrzymać. Billy Ray, rzecz jasna, uważa, że Hiram zareagował zbyt słabo.

— Na jego miejscu naciskałbym tak długo, aż zostałyby tylko brązowoczerwona plama na podłodze — oznajmił.

Worcester nie chce rozmawiać o tym incydencie i uparcie twierdzi, iż opuszcza nas tylko dlatego, że „ma po dziurki w nosie faszerowanych liści winogron”. Zauważyłem jednak, że gdy wypowiadał ten żart, na szerokie, łyse czoło wystąpiły mu kropelki potu, a jego dłoń zaczęła lekko drżeć. Mam nadzieję, że krótki odpoczynek pozwoli mu dojść do siebie. Im lepiej poznaję Hiramę Worcestera, tym bardziej go szanuję.

Jeśli każdy medal faktycznie ma dwie strony, to być może ze strasznego incydentu w Syrii

wyniknie jednak coś dobrego. Gregg Hartmann cudem uniknął śmierci i, jak się zdaje, znacznie zwiększyło to jego popularność. Już od dziesięciu lat nad jego polityczną karierą wisiał cień Wielkich Zamieszek w Dżokerowie z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego, kiedy to publicznie „stracił głowę”. Dla mnie była to normalna ludzka reakcja; w końcu na jego oczach tłum rozszarpał kobietę na strzępy. Jednakże kandydatom na prezydenta nie wolno płakać, rozpaczać ani wpadać w gniew, jak zwykłymi ludziami. Muskie dowiódł tego w siedemdziesiątym drugim, a Hartmann potwierdził to w siedemdziesiątym szóstym.

Syryjski incydent może spowodować, że ludzie wreszcie zapomną o tym tragicznym wydarzeniu. Wszyscy świadkowie zgadzają się, że Hartmann zachował się wzorcowo: był stanowczy, spokojny i odważny, nie zachwiał się w obliczu barbarzyńskich gróźb Nura. Każda gazeta w Ameryce zamieściła zdjęcie agencji AP, wykonane w chwili, gdy się wycofywali: w tle Hiram pomaga Tachionowi wsiąść do śmigłowca, a z przodu stoi senator Hartmann. Twarz ma brudną od pyłu, ale jest spokojny i nieustępliwy, mimo że z rękawa jego białej koszuli skapuje krew.

Gregg nadal zapewnia, że nie zamierza startować w wyborach w roku osiemdziesiątym ósmym. W rzeczy samej wszystkie sondaże wskazują, że Gary Hart ma przynajmniej przewagę nad innymi kandydatami do nominacji Partii Demokratycznej, ale Syria i to zdjęcie z pewnością zrobią cuda dla popularności i statusu Hartmanna. Nie mam nic przeciwko Gary'emu Hartowi, ale Gregg Hartmann jest kimś szczególnym. Dla tych z nas, których dotknęła dzika karta, może być ostatnią i najlepszą nadzieją.

Jeśli Hartmann przegra, wszystkie moje nadzieje poniosą klęskę razem z nim. Któż nam wtedy pozostanie, jeśli nie Czarny Pies?



Przypuszczam, że powinienem napisać coś o Afganistanie, ale właściwie nie ma o czym opowiadać. Nie mam sił na oglądanie atrakcji Kabulu. Wszędzie jest pełno Sowietów, ale zachowują się bardzo uprzejmie i poprawnie. Na czas naszego krótkiego pobytu wojnę odsunięto na dalszy plan. Zaprezentowano nam dwóch afgańskich dżokerów, którzy przysięgają (za pośrednictwem sowieckich tłumaczy), że życie dżokera jest tu prawdziwą idyllą. Z jakiegoś powodu nie jestem jednak przekonany. Jeśli dobrze zrozumiałem, ci dwaj byli jedynymi dżokerami w całym Afganistanie.

„Ułożona Talia” przyleciała do Kabulu prosto z Bagdadu. Wizyta w Iranie nie wchodziła w grę. Ajatollah podziela znaczną część poglądów Nura na temat dzikich kart, a w przeciwieństwie do niego sprawuje w swym kraju nie tylko faktyczną, lecz również nominalną władzę, więc nawet ONZ nie mogła dla nas zdobyć pozwolenia na lądowanie. Ajatollah jednak przynajmniej nie widzi różnicy między asami a dżokerami. Wszyscy jesteśmy dla niego demonicznymi dziećmi

Wielkiego Szatana. Najwyraźniej nie zapomniał niefortunnej próby uwolnienia zakładników przeprowadzonej przez Jimmy'ego Cartera. Szczęściu asów pracujących dla rządu wyruszyło wówczas na tajną misję, która zakończyła się straszną kląpą. Krążą plotki twierdzące, że jednym z tych asów był Carnifex, ale Billy Ray stanowczo temu zaprzecza.

— Gdybym tam był, uwolnilibyśmy naszych ludzi i na dodatek skopali staruchowi tyłek — zapewnia.

Jego koleżanka z Departamentu Sprawiedliwości, Czarna Lady, otula się tylko szczelniej swym czarnym płaszczem i uśmiecha tajemniczo. Z ową nieszczęsną misją często wiąże się również ojca Mistral, Cyklona, ale Mistral też nie chce o tym mówić.

Jutro rano przelecimy nad Przełęczą Chajberską i dotrzemy do Indii. To zupełnie inny świat, cały ogromny subkontynent o najliczniejszej populacji dzokerów poza Stanami Zjednoczonymi.

## 12 lutego, Kalkuta

Indie są najbardziej niezwykłym i baśniowym krajem, jaki odwiedziliśmy podczas naszej podróży... o ile w ogóle można je zwać krajem. Wydaje się raczej, że to sto krajów zjednoczonych w jeden organizm. Trudno mi jest połączyć Himalaje i pałace Mogolów ze slumsami Kalkuty i dżunglami Bengalu. Obywatele Indii żyją w kilkunastu różnych światach: od podstarzałych Brytyjczyków, którzy próbują udawać, że ich niewielkimi enklawami wciąż jeszcze włada wicekról, poprzez maharadzów i nababów, którzy są królami we wszystkim oprócz nazwy, aż po żebraków żyjących na ulicach wielkiego, brudnego miasta, w którym obecnie przebywamy.

Indie są zbyt ogromne.

W Kalkucie wszędzie na ulicy można spotkać dzokerów. Są oni równie pospolici jak żebracy, nagie dzieci i trupy. Zbyt często też należą do jednej z tamtych grup. Wygląda na to, że w tym pseudonarodzie złożonym z hindusów, muzułmanów i sikhów zdecydowaną większość stanowią ci pierwsi. Raczej nie jest to niespodzianką, biorąc pod uwagę stosunek islamu do dzokerów. Ortodoksyjni hindusi stworzyli dla nich nową kastę, stojącą jeszcze znacznie niżej od niedotykalnych, ale przynajmniej pozwalają im żyć.

Co ciekawe, nie znaleźliśmy w Indiach dzielnic dzokerów. W tutejszej kulturze występują ostre podziały na tle rasowym i etnicznym, a między różnymi grupami istnieje głęboko zakorzeniona wrogość, o czym wyraźnie świadczą choćby zamieszki na tle dzikiej karty, do jakich doszło w Kalkucie w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, oraz masowa rzeź towarzysząca podziałowi subkontynentu w tym samym roku. Mimo to można dziś spotkać hindusów, muzułmanów i sikhów żyjących obok siebie przy tej samej ulicy, a także dzokerów, natoli oraz garstkę żalonych dwójek dzielących te same odrażające slumsy. Niestety, nie kochają się

nawzajem bardziej z tego powodu.

Indie mogą się również pochwalić sporą liczbą rodzimych asów, a kilku z nich dysponuje znacznymi mocami. Kopacz świetnie się bawi, jeżdżąc po całym kraju i przeprowadzając wywiady z tymi z nich, którzy się na to zgodzą.

Z drugiej strony, Radha O'Reilly wyraźnie czuje się tu bardzo nieszczęśliwa. Wygląda na to, że pochodzi z indyjskiej arystokracji, przynajmniej po stronie matki... choć jej ojciec był irlandzkim poszukiwaczem przygód. Jej pobratymcy praktykują gałąź hinduizmu opartą na kulcie Ganeśi, boga-słonia, oraz czarnej matki Kali, i talenty dzięki karty czynią z niej w ich oczach żonę przeznaczoną Ganeśi czy coś w tym rodzaju. Radha jest głęboko przekonana, że może zostać porwana i zmuszona do powrotu w rodzinne strony. Dlatego, pomijając oficjalne przyjęcia w New Delhi i w Bombaju, cały czas przebywa zamknięta w pokojach hotelowych w towarzystwie Carnifexa, Czarnej Lady i reszty naszych ochroniarzy. Nie wątpię, że bardzo się ucieszy, gdy wreszcie opuścimy Indie.

Doktor Tachion, Sokolica, Mistral, Fantazja, Troll i Młot Harlemu wrócili właśnie z polowania na tygrysy w Bengal. Ich gospodarzem był jeden z indyjskich asów, maharadża pobbogłosławiony formą dotknięcia Midasa. Jak rozumiem, tworzone przez niego złoto jest niestabilne i po dwudziestu czterech godzinach wraca do pierwotnej postaci, ale sam proces transmutacji wystarcza, by zabić każdą żywą istotę, której dotknie. Mimo to jego pałac jest ponoć bardzo spektakularnym miejscem. Maharadża rozwiązał tradycyjny mityczny dylemat w ten sposób, że kazał służącym, żeby go karmili.

Tachion wrócił z wyprawy w świetnym nastroju, najlepszym od czasu incydentu w Syrii. Ma na sobie złotą kurtkę Nehru oraz turban w tym samym kolorze, spięty zapinką z rubinem wielkości mojego kciuka. Maharadża najwyraźniej hojnie obdarował gości. Nawet perspektywa, że kurtka i turban za kilka godzin znowu zmienią się w zwyczajną tkaninę, nie studzi entuzjazmu naszego kosmity. Wspaniałe widowisko, jakim było polowanie, splendor pałacu i harem maharadży, wszystko to z pewnością przypomniało Tachowi o przyjemnościach i prerogatywach, jakie były jego udziałem, gdy był księciem Ilkazamu w swym ojczystym świecie. Przyznał, że nawet na Takis nie widział nic, co mogłoby się równać z zakończeniem polowania. Gdy osaczono ludojada, maharadża podszedł do niego spokojnie, zdjął jedną złotą rękawiczkę i przeobraził wielkie zwierzę w posąg ze szczerego złota.

Podczas gdy nasi asowie przyjmowali dary pod postacią zaczarowanego złota i łowów na tygrysy, ja oddawałem się skromniejszym zajęciom w nieoczekiwanym towarzystwie Jacka Brauna. Jego również zaproszono na polowanie, ale odmówił. Wybrał się razem ze mną na drugi koniec Kalkuty, żeby obejrzeć pomnik Earla Sandersona, wzniesiony w miejscu, gdzie ocalał on Mahatmę Gandhiego przed zamachem.

Pomnik przypomina hinduską świątynię, a stojący w środku posąg wygląda raczej na jakieś pomniejsze miejscowe bóstwo niż na amerykańskiego Murzyna, który grał w futbol w Rutgersach. Ale z drugiej strony... Sanderson faktycznie stał się dla miejscowych czymś w rodzaju boga. U stóp jego posągu walają się rozmaite dary pozostawione przez wyznawców. Wewnątrz panował straszliwy tłok i musieliśmy czekać dość długo, zanim nas wpuszczono. Mahatmę nadal otacza się w Indiach powszechnym szacunkiem i wygląda na to, że część jego popularności przeszła na amerykańskiego asa, który stanął między nim a kulą zamachowca.

Kiedy byliśmy w środku, Braun mówił bardzo niewiele. Patrzył tylko na posąg, jakby chciał go w jakiś sposób obudzić do życia. Wizyta w świątyni była wzruszająca, ale zdarzały się również mniej przyjemne momenty. Moja widoczna deformacja przyciągała nieprzyjemne spojrzenia hindusów z wyższych kast, a gdy ktoś otarł się zbyt mocno o Brauna — co w takim tłoku musiało zdarzać się często — otaczające go biologiczne pole siłowe rozjarzało się upiorną złotą poświatą. Obawiam się, że uległem niepokojowi, wyrwałem Brauna z zamyślenia i powiedziałem, że musimy jak najszybciej stąd wyjść. Być może zareagowałem przesadnie, ale gdyby choć jedna osoba w tym tłumie uświadomiła sobie, kim jest Jack Braun, sytuacja mogłaby się zrobić naprawdę nieprzyjemna. Przez całą drogę powrotną do hotelu Braun był bardzo cichy i zamyślony.

Gandhi jest moim osobistym bohaterem i choć mam mieszane uczucia wobec asów, muszę przyznać, że jestem wdzięczny Earlowi Sandersonowi za interwencję, która ocaliła życie Mahatmy. Gdyby wielki prorok niestosowania przemocy zginął od kuli zamachowca, byłoby to groteskową tragedią. Podejrzewam, że Indie rozdarłyby się wówczas na strzępy w bratobójczej krwawej łaźni, jakiej świat dotąd nie widział.

Gdyby Gandhi zginął i nie mógł doprowadzić do reunifikacji subkontynentu po śmierci Jinnaha w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, to czy dziwne dwugłowe państwo zwane Pakistanem miałyby szansę przetrwania? Czy Kongres Wszechindyjski obaliłby wszystkich lokalnych władców i wchłonąłby ich posiadłości, jak planował zrobić? Mozaikowa postać tego zdecentralizowanego, nieskończenie różnorodnego kraju jest unaocznieniem marzeń Mahatmy. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądałaby historia Indii, gdyby jego zabrakło. Przynajmniej tutaj Czwórka Asów rzeczywiście zostawiła po sobie trwałe ślady i być może również dowiodła, że jeden zdeterminowany człowiek może zmienić bieg historii na lepsze.

Powiedziałem to wszystko Jackowi Braunowi, gdy wracaliśmy do hotelu, gdyż wydawał się bardzo przygnębiony. Obawiam się, że nie pomogło to wiele. Wysłuchał mnie cierpliwie, a gdy skończyłem, mruknął:

— To Earl go uratował, nie ja.

Potem znowu umilkł.



Hiram Worchester wrócił dzisiaj do nas, tak jak obiecał. Przyleciał concorde'em z Londynu. Wygląda na to, że krótki pobyt w Nowym Jorku bardzo mu pomógł. Hiram odzyskał dawny entuzjazm i bezzwłocznie przekonał Tachiona, Mordecaia Jonesa i Fantazję, żeby wybrali się z nim na poszukiwania najbardziej pikantnego vindaloo w Kalkucie. Próbował namówić do przyłączenia się do tej ekspedycji również Sokolicę, ale ona na samą myśl o tym zrobiła się zielona.

Jutro rano Ojciec Kałamarnica, Troll i ja wybierzemy się nad Ganges. Według legendy dżoker może się wykąpać w jego świętych wodach i uwolnić się od swych deformacji. Przewodnicy zapewniają, że istnieją setki udokumentowanych przypadków, ale szczerze w to powątpiewam, mimo że Ojciec Kałamarnica powtarza, iż w Lourdes również doszło do cudownych uzdowień dżokerów. Być może jednak ulegnę namowom i skoczę do świętych wód. Człowieka, który umiera na raka, raczej nie stać na luksus sceptycyzmu.

Poczwarkę także zaproszono, ale odmówiła. Wygląda na to, że ostatnio najlepiej czuje się w hotelowych barach, gdzie popija amaretto i bez końca stawia pasjanse. Zaprzyjaźniła się z dwójgim naszych reporterów, Sarą Morgenstern i Kopaczem Downsem. Słyszałem nawet plotki, że sypia z Kopaczem.

Wróciłem znad Gangesu. Muszę coś wyznać. Zdjąłem but i skarpetkę, podwinąłem nogawkę i zanurzyłem stopę w świętych wodach. Niestety, nadal byłem dżokerem... tyle że z mokrą nogą.

Swoją drogą, święte wody są okropnie brudne, a do tego, kiedy czekałem na cud, ktoś ukradł mi but.



# Łza Indii

WALTON SIMONS

Mieszkańcy Kolombo czekali na przybycie mały już od wczesnego poranka. Policja miała trudności z niedopuszczeniem ich do portu. Garstce udało się przedostać przez drewniane barykady, ale szybko ich złapano i odprowadzono do żółtych suk policyjnych. Niektórzy siedzieli na zaparkowanych samochodach, inni trzymali dzieci na ramionach. Większość zadawała się stanem za kordonami i wyciąganiem szyj w nadziei, że uda im się zobaczyć „wielkiego amerykańskiego potwora”, jak zwała go miejscowa prasa.

Dwa potężne dźwigi powoli uniosły olbrzymią małą z barki. Zwisała na linie, bezwładna i skrępowana, jej ciemne futro sterczało z otworów w stalowej siatce. Tylko powolne falowanie szerokiej na cztery i pół metra piersi świadczyło, że stworzenie żyje. Dźwigi obróciły się jednocześnie z głośnym zgrzytem, przesuając małą w bok, aż wreszcie znalazła się nad świeżo pomalowanym na zielono wagonem platformą. Wagon jęknął, gdy opuszczono małą na szeroką metalową powierzchnię. W tłumie rozległy się okłaski i radosne okrzyki.

Wyglądało to zupełnie tak samo, jak w wizji, która nawiedziła go przed zaledwie kilkoma miesiącami — tłum, spokojne morze i bezchmurne niebo, pot na jego łarku. Wszystko było identyczne. Wizje nigdy nie kłamały. Wiedział dokładnie, co się wydarzy w najbliższych mniej więcej piętnastu minutach. Potem będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Poprawił kołnierzyk kurtki Nehru i pokazał najbliższemu policjantowi swą rządową legitymację. Funkcjonariusz skinął głową i zszedł mu z drogi. Specjalny asystent ministra spraw wewnętrznych miał bardzo szeroki zakres obowiązków. Czasami jednak ograniczały się one do opieki nad bogatymi zagranicznymi gośćmi. Niemniej lepsze to niż praca w ambasadach za granicą, której poświęcił przeszło dwadzieścia lat.

W pobliżu pociągu stała grupa dwudziestu, może trzydziestu Amerykanów. Większość miała na sobie jasnoszare mundury ochrony i była zajęta zapinaniem łańcuchów przykuwających bestię do wagonu. Cały czas mieli małą na oku, ale nie sprawiali wrażenia wystraszonych. Wysoki mężczyzna w hawajskiej koszuli i bermudach w szłołą kratę stał w pewnej odległości od nich, rozmawiając z dziewczyną w jasnoniebieskiej letniej sukience z bawełny. Oboje mieli czerwono-czarne czapki z daszkami, ozdobione napisami „King Pongo”.

Podszedł do wysokiego mężczyzny i klepnął go w ramię.

— Nie teraz.

Mężczyzna nawet nie raczył się obejrzeć.

— Pan Danforth? — Ponownie klepnął go w ramię, tym razem silniej. — Witam w Sri Lance. Jestem G.C. Jayewardene. Dzwonił pan do mnie w zeszłym miesiącu w sprawie filmu.

Jayewardene znał język angielski, syngaleski, tamilski oraz holenderski. Jego pozycja w rządzie tego wymagała.

Producent odwrócił się z twarzą bez wyrazu.

— Jayewardene? Ach, prawda. Facet z rządu. Miło mi pana poznać. — Danforth uściśnął jego rękę i potrząsnął nią kilka razy. — Jesteśmy teraz bardzo zajęci. Pewnie pan to widzi.

— Oczywiście. Jeśli to nie sprawi wam kłopotu, chciałbym wam towarzyszyć podczas transportu małpy. — Jayewardene'owi z pewnością zaimponowały jej rozmiary. Potwór przewyższał wzrostem posąg Buddy z Aukany, wysoki na trzy naście metrów. — Z bliska wydaje się znacznie większa.

— No jasne. Ale gdy film będzie gotowy, nasza krew, pot i łzy opłacą się z nawiązką. — Wskazał kciukiem na bestię. — Małpeczka zapewnia nam świetny PR.

Jayewardene uniósł dłoń do ust, próbując zamaskować zdziwioną minę.

— No wie pan, przyciąga uwagę — wyjaśnił z uśmiechem Danforth. — Pewnie nie powinienem przesadzać z zawodowym żargonem. Dobra, G.C., może pan pojechać z nami w wagonie dla VIP-ów. To ten przed naszym kudłatym przyjacielem.

— Dziękuję.

Olbrzymia małpa wypuściła powietrze z płuc, wzbijając w powietrze niewielką chmurę pyłu.

— Świetny PR — powtórzył Jayewardene.



Rytmiczny stukot kół pociągu podskakujących na starych szynach kołł mu nerwy. Jayewardene nie potrafiłby zliczyć, ile razy jeździł pociągami swej ojczystej wyspy w ciągu czterdziestu paru lat, które minęły od chwili, gdy po raz pierwszy wsiadł do jednego z nich jako mały chłopiec. Dziewczyna w niebieskiej sukience, która w końcu przedstawiła się jako Paula Curtis, gapiała się na widoczne za oknem tarasowe pola herbaty. Danforth pochylał się nad mapą, stawiając na niej znaczki czerwonym mazakiem.

— Pojedziemy aż do końca linii, w pobliże źródeł Kalu Gangi. — Rozprostował mapę na kolanach i wskazał mazakiem wybrane miejsce. — W ten sposób znajdziemy się na granicy Parku Narodowego Udu Walawe. Podobno Roger znalazł tam dla nas świetne lokacje. Zgadza się?

— Zgadza — potwierdziła Paula. — Pod warunkiem, że ufasz Rogerowi.

— On jest reżyserem, moja droga. Musimy mu zaufać. Szkoda, że nie było nas stać na kogoś lepszego, ale większą część budżetu pochłoną efekty specjalne.

Podszedł do nich steward, niosący talerze ryżu curry oraz makaronu idyappam. Jayewardene przyjął z uśmiechem talerz.

— *Es-thu-ti* — rzekł, dziękując chłopakowi. Młody steward miał okrągłą twarz i szeroki nos. Z pewnością był Syngalezem, tak samo jak on.

Paula odwróciła się na chwilę od okna i wzięła talerz. Danforth odesłał chłopaka skinieniem dłoni.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem — odezwał się Jaye wardene. Przeżuł szybko odrobinę ryżu i zaraz ją połknął. Jak na jego gust w curry było za mało cynamonu. — Po co wydawać pieniądze na efekty specjalne, jeśli macie małą wysołą na piętnaście metrów?

— Jak już wspomniałem, potwór daje nam świetny PR. Ale piekielnie trudno byłoby go namówić do wykonywania poleceń reżysera. Nie wspominając już o fakcie, że byłby diabelnie niebezpieczny dla wszystkich wokoło. Och, możemy go wykorzystać w paru ujęciach, a już z pewnością dla efektów dźwiękowych, ale większość materiału nakręcimy z miniaturkami. — Danforth porwał z talerza Pauli odrobinę ryżu i włożył go sobie do ust. Wzruszył ramionami. — Ale gdy film wejdzie na ekrany, krytycy oświadczą, że nie potrafią odróżnić prawdziwej mały od imitacji, a wielu ludzi uzna to za wyzwanie. Pomyślą sobie, że oni dokonają tej sztuki. To zwiększy sprzedaż biletów.

— Z pewnością zyski będą mniejsze od kosztów transportu mały z Nowego Jorku na drugi koniec świata?

Jayewardene wytarł płócienną serwetką kącik ust.

Danforth uniósł z uśmiechem wzrok.

— Rzecz w tym, że małą dostaliśmy za darmo. Widzi pan, ona od czasu do czasu ucieka i powoduje zniszczenia, a wtedy miasto grzęźnie w pozwach. Jeśli nie ma jej w Nowym Jorku, nie może spowodować tam szkód. Byli niemal gotowi nam zapłacić, żebyśmy tylko ich od niej uwolnili. Oczywiście, musieliśmy zapewnić, że nic jej się nie stanie, bo w przeciwnym razie zoo straciłoby jedną z głównych atrakcji. Dlatego właśnie mamy tych chłopaków w szarych mundurkach.

— Jeśli mała ucieknie tutaj, wasza kompania też będzie musiała wypłacić odszkodowanie — zauważył Jayewardene, biorąc sobie trochę ryżu.

— Cały czas trzymamy ją w uśpieniu. Szczerze mówiąc, nie sprawia wrażenia zbytnio zainteresowanej czy młokwiesi.

— Poza blondynkami — Paula wskazała na swe krótkie, ciemne włosy. — Mam szczęście. — Wyjrzała przez okno. — Co to za góra?

— Sri Pada. Szczyt Adama. Na jej szczycie jest odcisk stopy, pozostawiony ponoć przez samego Buddę. To bardzo święte miejsce.

Jayewardene co roku pielgrzymował na szczyt. Zamierzał wkrótce znowu tam wyruszyć, gdy tylko pozwolą mu na to obowiązki. Miał nadzieję, że tym razem oczyści się duchowo i wizje już

nie wróć.

— Naprawdę? — Paula trąciła łokciem Danfortha. — Czy znajdziemy trochę czasu na zwiedzanie?

— Przekonamy się — odparł mężczyzna, sięgając po kolejną porcję ryżu.

Jayewardene odstawił talerz.

— Przepraszam na chwilę.

Wstał, przeszedł na tył wagonu, otworzył suwane drzwi i wyszedł na pomost.

Od głowy olbrzymiej małpy dzieliły go niecałe cztery metry. Bestia poruszyła powiekami, a następnie spojrzała na zaokrąglony wierzchołek Szczytu Adama. Potwór otworzył paszczę, odsłaniając ogromne, żółtobiałe zębiska. Z głębi jego gardła wydostał się warkot głośniejszy niż wydawany przez silnik pociągu.

— Budzi się — zawołał Jayewardene do stojących z tyłu wagonu platformy ochroniarczy.

Mężczyźni ruszyli ostrożnie naprzód, opierając się o boczne bariery wagonu, by ominąć zakute w okowy łańska bestii. Jeden z nich nie spuszczał z niej oczu, celując z karabinu w potworny łeb. Jego towarzysze szybko wymienili plastikową butelkę kroplówki podłączonej do ramienia małpy.

— Dziękuję. — Jeden ze strażników pomachał do Jayewardene'a. — Teraz wszystko będzie w porządku. Ten syf uśpi go na wiele godzin.

Małpa odwróciła głowę i spojrzała prosto na niego. Potem ponownie skierowała wzrok na Szczyt Adama, westchnęła i zamknęła powieki.

W brązowych oczach potwora kryło się coś, czego Jayewardene nie potrafił zidentyfikować. Stał tam jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do wagonu. W gardle czuł kwaśny posmak curry.



Dotarli do obozu o zmierzchu. Właściwie był to nie tyle obóz, ile wzniesione pośpiesznie miasto złożone z namiotów i przenośnych budynków. Panujący tu ruch był mniejszy, niż spodziewał się Jayewardene. Większość filmowców zajmowała się rozmową albo grą w karty. Tylko ochroniarze z zoo mieli mnóstwo roboty przy ostrożnym przenoszeniu małpy na ciężarówkę z szeroką platformą. Potwór nadal pozostawał pod wpływem środka nasennego.

Danforth polecił Pauli przedstawić Jayewardene'a ludziom z ekipy. Reżyser, Roger Winters, był zajęty wprowadzaniem zmian do scenopisów. Był ubrany jak Frank S. Buck, łącznie z korkowym kaskiem skrywającym przerzedzone włosy. Paula szybko odprowadziła Jayewardene'a od reżysera.

— Nie polubiliby go pan — wyjaśniła. — Nikt go nie lubi. A przynajmniej nikt, kogo znam. Ale potrafi zdążyć z kręceniem na czas. Tu jest ktoś, kto bardziej pana zainteresuje. Nie jest pan żonaty, prawda?

— Jestem wdowcem.

— Och, przykro mi.

Pomachała ręką do blondynki siedzącej na pustych schodach głównego budynku obozowiska. Kobieta miała na sobie czarno-czerwoną koszulkę z napisem „King Pongo”, obcisłe niebieskie dżinsy oraz skórzane buty z cholewami.

— Cześć, Paula — odezwała się blondynka, potrząsając włosami. — Kim jest twój towarzysz?

— To jest Robyn Symmes, a to pan G.C. Jayewardene — przedstawiła ich sobie Paula. Robyn wyciągnęła rękę i Jayewardene uścisnął ją lekko.

— Miło mi panią poznać, panno Symmes.

Uklonił się, czując ze skrępowaniem, że ciasna koszula uciska mu wydatny brzuch. Schlebiało mu, że znalazł się w towarzystwie jedynych dwóch kobiet, jakie widział w obozie. Obie były atrakcyjne, na swój cudzoziemski sposób. Otarł pot z czoła, zastanawiając się, jak wyglądałyby w sari.

— Posłuchajcie, muszę zająć się zakwaterowaniem Danfortha. Czy moglibyście dotrzymać sobie przez chwilę towarzystwa?

Paula oddaliła się, nim którekolwiek z nich zdążyło odpowiedzieć.

— Nazywa się pan Jayewardene. Czy prezydent Junius Jayewardene to pana krewny?

— Nie, to pospolite nazwisko. Jak się pani tu podoba?

Usiadł obok niej. Schody były wyjątkowo nagrzane.

— Jestem tu dopiero kilka dni, ale muszę przyznać, że to piękny kraj. Jak na mój gust jest tu trochę za gorąco, ale w końcu pochodzę z Dakoty Północnej.

Skinął głową.

— Mamy tu wszystkie postacie piękna. Plaże, góry, dżungle i miasta. Coś da każdego. Oprócz zimnej pogody, oczywiście.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Niech mi pan powie — odezwała się wreszcie Robyn, klepiąc się dłońmi po udach — dlaczego pański rząd postanowił nam pana przydzielić.

— Jestem swego rodzaju dyplomatą. Mam zadbać o to, by zagraniczni goście dobrze się u nas czuli. Chcielibyśmy utrzymać swą reputację gościnnego kraju.

— Z pewnością nie zauważyłam nic, co by ją podważało. Wszyscy ludzie, których spotkałam, byli wręcz zabójczo uprzejmi. — Wskazała na szereg drzew rosnących na skraju obozu. — Ale zwierzęta to coś całkiem innego. Wie pan, co tam znaleźli dziś rano?

Wzruszył ramionami.

— Kobrę. Między tamtymi drzewami. *Uff da*. Tego z całą pewnością nie mamy w Dakocie Północnej. — Zadrzała. — Większość zwierząt potrafię znieść, ale węże...

Skrzywiła się.

— Natura jest tu kompletna i harmonijna — odparł z uśmiechem. — Ale z pewnością panią nudzę.

— Bynajmniej. Z pewnością jest pan bardziej interesujący niż Roger albo technicy. Jak długo pan tu zostanie? To znaczy na planie filmu?

— Będę się zjawiał przez cały czas waszego pobytu, chociaż jutro muszę wrócić na kilka dni do Kolombo. Ma tu przybyć doktor Tachion, ten kosmita, z liczną grupą gości z waszego kraju. Mają zbadać szkody spowodowane przez wirusa na naszej wyspie.

Po plecach przebiegł mu dreszcz.

— Jest z pana mała, pracowita pszczołka, prawda? — Uniosła wzrok. Niebo nad kołyszącym się na wietrze drzewami zaczynało już ciemnieć. — Pójdę się chwilę przespać. Pan powinien postąpić podobnie. Paula wskaże panu miejsce. Ona wie wszystko. Bez niej Danforth nigdy w ży ciu nie skończyłby filmu.

Jayewardene odprowadził kobietę wzrokiem, westchnął na wspomnienie przyjemności, o których wolałby zapomnieć, a potem ruszył w kierunku, w którym oddaliła się Paula. Powinien się odświeżyć przed jutrzejszą podróżą. Ale sen nigdy nie przychodził mu łatwo. Bał się snów. Nauczył się ich bać.



Budząc się, ugryzł się w prawą dłoń tak mocno, że popłynęła mu krew. Oddychał z wysiłkiem, a jego koszula nasiąkała potem. Świat wokół niego zamigotał i po chwili przybrał realną postać. To była kolejna wizja skradziona z przyszłości. Choć modlił się i medytował, nawiedzały go coraz częściej. Tylko niewielkie pocieszenie dawał mu fakt, że tym razem wizja nie dotyczyła jego. Przy najmniej nie bezpośrednio.

Włożył spodnie i buty, otworzył namiot i wyszedł na dwór. Potem ruszył ostrożnie ku ciężarówce, na której leżała zakuta w łańcuchy małpa. Pilnowało jej dwóch strażników. Jeden opierał się o szoferkę, a drugi siedział na ziemi, zwrócony plecami do jednej z ogromnych, ubłoconych opon. Obaj mieli karabiny i palili papierosy. Rozmawiali cicho ze sobą.

— O co chodzi? — zapytał mężczyzna oparty o szoferkę, gdy Jayewardene podszedł bliżej. Nie unióś jednak karabinu.

— Chciałem znowu przyjrzeć się małpie.

— W środku nocy? Zobaczysz ją pan jutro rano, kiedy będzie jasno.

— Nie mogłem spać. A jutro wracam do Kolombo. — Podszedł do potwora. — Kiedy pojawiła się po raz pierwszy?

— W sześćdziesiątym piątym, podczas zaciemnienia w Nowym Jorku — wyjaśnił strażnik siedzący na ziemi. — Nikt nie wie, skąd się wzięła. Zapewne miało to coś wspólnego z dziką kartą. Tak przy najmniej mówią.

Jayewardene skinął głową.

— Pójdę jeszcze na drugą stronę. Żeby spojrzeć jej w twarz.

— Tylko niech pan nie wsadza głowy do jej paszczy.

Strażnik rzucił niedopałek na ziemię. Jayewardene zgasił go butem, przechodząc obok.

Oddech małpy był gorący i zwierzęcy, ale nie cuchnął. Jayewardene czekał, licząc na to, że bestia znowu otworzy oczy. Wizja powiedziała mu, co się w nich kryje, lecz on pragnął przyjrzeć się im jeszcze raz. Sny nigdy dotąd go nie okłamały, ale zniszczyłyby swą reputację, gdyby poszedł do władz z taką historią, a potem okazałoby się, że się mylił. Padłyby też pytania o to, skąd się tego dowiedział. Musiałby na nie odpowiedzieć, nie ujawniając swych nadzwyczajnych zdolności. Trudno by mu było rozwiązać ten problem w tak krótkim czasie.

Oczy małpy pozostały zamknięte.

Nocne odgłosy dżungli wydawały się bardziej odległe niż zwykle. Zwierzęta nie chciały się zbliżyć do obozu. Jayewardene miał nadzieję, że chodziło o to, że widziały małpę. Wyczuł, że coś jest z nią nie w porządku. Spojrzał na zegarek. Do świtu zostały dwie godziny. Rano porozmawia z Danforthem, a następnie pojedzie do Kolombo. Doktor Tachion potrafił ponoć dokonywać cudów. To jemu przypadnie zadanie transformacji małpy. Z wizji wynikało to bardzo jasno. Być może kosmita pomoże również jemu. Jeśli pielgrzymka zawiedzie.

Wrócił do namiotu i przez kilka następnych godzin modlił się do Buddy o nieco mniej oświecenia.



Było już dobrze po dziewiątej, gdy Danforth wyszedł z największego przenośnego budynku. Oczy nadal miał zaspane. Jayewardene pił już drugą filiżankę herbaty, ale nadal poruszał się powoli, jakby jego ciało było oblepione błotem.

— Panie Danforth, muszę z panem porozmawiać, zanim wyjadę do Kolombo.

Producent ziewnął i skinął głową.

— Proszę bardzo. Niech pan posłucha, zanim pan wyjedzie, chciałbym zrobić parę zdjęć. No wie pan, cała ekipa i małpa. Coś, co będzie można pokazać w telewizji. Ucieszyłbym się, gdyby pan również był na tym zdjęciu. — Danforth ziewnął ponownie, tym razem jeszcze szerzej. — Boże, muszę wlać w siebie trochę kawy. Chłopaki pewnie mają już wszystko przygotowane. Potem będę miał parę minut wolnego i będziemy mogli pogadać.

— Chyba lepiej będzie, jeśli porozmawiamy teraz. Na osobności. — Spojrzał na dżunglę. — Być może powinniśmy oddalić się kawałek od obozu.

— Do dżungli? Słyszałem, że zabili tam wczoraj kobrę. Nie ma mowy. Porozmawiam z panem, ale najpierw musimy zrobić te zdjęcia dla publicity.

Jayewardene upił kolejny łyk herbaty i podszedł do ciężarówki. Nie był zaskoczony ani

znieścaczony zachowaniem Danfortha. Producent dźwigał ciężar projektu wartego wiele milionów dolarów. Tak silny nacisk mógłby wykrzywić priorytety każdego człowieka, sprawić, że zacznie się bać nie tego, co trzeba.

Większość członków ekipy zgromadziła się już przed olbrzymią małą. Paula siedziała z przodu, obgryzając paznokcie, i czytała plan zdjęć. Jayewardene uklękła obok niej.

— Widzę, że jego wysokość namówił pana do zrobienia tego w interesie nas wszystkich — odezwała się Paula, nie unosząc wzroku.

— Obawiam się, że tak Mam wrażenie, że nie spała pani dobrze.

— Nie chodzi o to, że nie spałam dobrze. Chodzi o to, że nie spałam w ogóle. Całą noc siedziałam z Rogerem i panem D. No cóż, taką już mam robotę. — Odchyliła głowę do tyłu i zatoczyła nią powolny krąg. — Jak tylko przyjdą Roger, Robyn i szef, będziemy mogli odfajkować ten cały interes.

Jayewardene dopił herbatę. Później miał przybyć autobus ze statystami, głównie Syngalezami, lecz również garstką Tamilów i muzułmanów. Wszyscy wybrani do wystąpienia w filmie mówili po angielsku, co nie było rzadkością, biorąc pod uwagę historię brytyjskiej obecności na wyspie.

Zjawił się Danforth, prowadzący ze sobą Rogera. Producent przymrużył oczy, przyglądając się grupie.

— Mała zwraca się w niewłaściwą stronę. Niech ktoś zawróci tę ciężarówkę.

Strażnik w szarym uniformie skinął dłonią, wskoczył do szoferki i włączył silnik.

— Dobra. Niech wszyscy zejdą z drogi. Musimy to zrobić szybko.

Danforth skinął na nich, każąc im podejść bliżej.

Ktoś zagwizdał i Jayewardene odwrócił się. Zbliżała się Robyn. Miała na sobie srebrzystą suknię, długą i obcisłą. Nie uśmiechała się.

— Dlaczego znowu muszę to nosić? Już podczas samych zdjęć będzie wystarczająco kiepsko. Pewnie dostanę udaru słonecznego.

Robyn wsparła dłonie na biodrach i zmarszczyła brwi.

Danforth wzruszył ramionami.

— Zdjęcia w dżungli są piekielnie upierdliwe. Wiedziałaś o tym, kiedy podpisywałaś kontrakt.

Robyn zacisnęła usta, nie odzywając się już ani słowem.

Ciężarówka zajęła pozycję i Danforth klasnął w dłonie.

— No dobra. Wszyscy wracają na poprzednie miejsca. Uporamy się z tym w parę chwil.

Jeden ze strażników podszedł do Danfortha.

— Chyba go obudziliśmy, przesuwając ciężarówkę. Czy mam mu podać jeszcze odrobinę środka, zanim zrobicie zdjęcia?



— Nie. Zdjęcia wyjdą lepiej, jeśli to cholera będzie miało w sobie trochę życia.

— Danforth pogłaskał się po podbródku. — Potem nakarmcie go i uspijcie znowu.

— Tak jest.

Jayewardene zajął miejsce przed ciężarówką. Małpa oddychała nieregularnie. Odwrócił się. Potwór rozchylił powieki. Źrenice miał poszerzone. Poruszył powoli oczami, przesunął spojrzeniem po kamerach i zatrzymał wzrok na Robyn. Jego oczy załśniły poczuciem celu. Jayewardene poczuł nagły chłód.

Małpa zaczerpnęła głęboki oddech, po czym ryknęła, głośno jak sto lwów. Jayewardene rzucił się do ucieczki, ale potknął się o kogoś, kto wbiegł mu prosto pod nogi. Bestia kołysała się w przód i w tył na ciężarówce. Jedna z opon pękła. Potwór cały czas ryczał i szarpał łańcuchy. Rozległ się wysoki wizg metalu trącego o metal, a potem głośny brzęk pękających oków. Stalowe odłamki pomknęły we wszystkich kierunkach. Jeden z nich trafił strażnika. Mężczyzna padł z krzykiem na ziemię. Jayewardene podbiegł do niego i pomógł mu wstać. Tuż za nimi zatrzęsa się ziemia. Odwrócił się, ale małpa już ich minęła. Jayewardene ponownie spojrzął na rannego.

— Chyba mam złamane żebro. Może dwa — wycedził strażnik przez zaciśnięte zęby. — Nic mi nie będzie.

Jakaś kobieta krzyknęła. Jayewardene zostawił strażnika i pobiegł naprzód. Widział większą część ciała bestii nad blaszanymi dachami przenośnych budynków. Potwór pochylił się i podniósł coś z ziemi. To była Robyn. Lankajczyk usłyszał strzał i spróbował biec jeszcze szybciej, choć już rozboleło go w bokach.

Małpa wyrwała z kołków namiot i cisnęła nim w strażnika, który uniósł karabin, gotowy wyrzucić po raz drugi. Płachta opadła na mężczyznę, uniemożliwiając mu celowanie.

— Nie, nie — zawołał Jayewardene. — Mógłbyś trafić w kobietę.

Potwór rozejrzał się krótko po obozie, a potem pogardliwie machnął wolną ręką do ludzi i polazł do dżungli. Robyn Symmes zwiślała, blada i bezwładna, na tle jego ogromnej, ciemnej piersi.

Danforth siedział na ziemi, ściskając głowę w dłoniach.

— Cholera jasna. Kurwa, co teraz mamy zrobić? To nie powinno się wydarzyć. Te łańcuchy zrobiono z tytanowej stali. To nie mogło się stać.

Jayewardene położył dłoń na ramieniu producenta.

— Panie Danforth, będą potrzebował pana najszybszego samochodu i najlepszego kierowcy. Chyba lepiej by było, żeby pojechał pan z nami.

— A dokąd? — zapytał Danforth, unosząc wzrok

— Do Kolombo. Za kilka godzin przybędzie tam grupa amerykańskich asów. — Uśmiechnął się blade. — W dawnych czasach nasza wyspa nosiła nazwę Serendib. Kraina szczęśliwych zbiegów okoliczności.

— Dzięki Bogu. To znaczy, że mamy szanse. — Wstał. Jego twarz odzyskała kolor. — Wszystko załatwię.

— Potrzebuje pan pomocy?

Paula otarła rękawem draśnięcie nad okiem.

— W każdej możliwej postaci — odparł Danforth.

Małpa znowu ryknęła. Już w tej chwili jej głos dobiegał z niewiarygodnie daleka.



Samochód mknął bitą drogą, podskakując na wszystkich dziurach i wybojach. Od Ratnapury dzieliło ich jeszcze kilka mil. Jayewardene siedział na przednim siedzeniu, udzielając wskazówek kierowcy. Paula i Danforth jechali z tyłu, nie odzywając się ani słowem. Minęli róg i ujrzeli przed sobą kilku mnichów buddyjskich w szafranowych szatach.

— Stop! — zawołał i kierowca nacisnął hamulec. Wpadli w poślizg i zjechali z drogi, ale udało się im zatrzymać. Kapłani, trzaskając się z łopatami przy naprawie drogi, odsunęli się i przepuścili ich skinieniem.

— Co to za ludzie? — zapytała Paula.

— Kapłani. Członkowie specjalnej ekipy roboczej. — Kierowca wrócił na drogę i Jayewardene pokłonił się mijanym kapłanom. — Poświęcają takiej pracy bardzo wiele czasu.

Miał zamiar zadzwonić do stolicy z Ratnapury. Lepiej, żeby rząd zapoznał się z sytuacją i polecił wojsku powstrzymać się przed atakowaniem stworzenia. To będzie trudne, biorąc pod uwagę znaczne zniszczenia, jakie może spowodować bestia. Tachion i jego asowie rozwiążą ten problem. Muszą go rozwiązać. Piekło go w żołądku. Niebezpiecznie było opierać swe plany na ludziach, których nie znał, nie miał jednak innego wyjścia.

— Ciekawe, co go pobudziło? — zapytał Danforth tak cicho, że ledwie go było słychać.

— No cóż... — Jayewardene odwrócił się ku tylnemu siedzeniu. — Spojrzał na kamery, a potem na pannę Symmes. To było tak, jakby coś w jego mózgu nagle się uruchomiło i wyrwało go ze stuporu.

— Jeśli coś się jej stanie, to będzie moja wina. — Danforth wpatrywał się w zabłoconą podłogę samochodu. — Moja.

— W takim razie musimy się naprawdę postarać, żeby do tego nie doszło — stwierdziła Paula. — W porządku?

— Tak jest — zgodził się Danforth słabym głosem.

— Pamiętaj — dodała, kłapiąc go po ramieniu. — To piękna zabija bestię, a nie na odwrót.

— Miejmy nadzieję, że uda się nam rozwiązać problem i ani piękna, ani bestia nie zginą.

— Jayewardene ponownie spojrzął na drogę i zauważył przed nimi budynki Ratnapury. — Niech pan zwolni, kiedy znajdziemy się w mieście. Pokażę panu, dokąd jechać.

Zamierzał zawiadomić wojsko o sytuacji, a potem wrócić do Kolombo. Osunął się na siedzenie samochodu. Żałował, że nie wyspał się porządnie. Skutki dzisiejszego dnia będzie odczuwał jeszcze jutro, a nawet pojutrze.



Przybyli do Kolombo niedługo po południu i pojechali prosto do domu Jayewardene'a. Wielka willa pokryta białym tynkiem miała dach z czerwonej dachówki. Nawet gdy jego żona jeszcze żyła, było tu więcej miejsca, niż potrzebowali. Teraz czuł się tu jak kłokos grzechoczący w pustym wagonie towarowym. Zadzwoił do swego biura i dowiedział się, że delegacja amerykańskich asów już przybyła i zatrzymała się w Galadari Meridien Hotel. Zaprowadził Danfortha i Paulę do ich pokoju, a potem poszedł do kaplicy, by ponownie poprzysiąc wierność Pięciu Wskazaniom.

Następnie szybko włożył czystą białą koszulę oraz spodnie i zjadł odrobinę zimnego ryżu.

— Dokąd pan jedzie? — zapytała Paula, gdy otworzył drzwi domu.

— Pomówić z doktorem Tachionem i z Amerykanami o małpie. — Potrząsnął głową, gdy wstała z kanapy. — Lepiej by było, gdybyście wypoczęli. Zawiadomię was, gdy tylko coś się rozstrzygnie.

— W porządku.

— Czy możemy sobie wziąć coś do jedzenia? — zapytał Danforth, który zdążył już otworzyć drzwi lodówki.

— Oczywiście. Częstujcie się.

Ruch był dziś duży, nawet na Sea Beach Road, którą Jayewardene polecił wybrać kierowcy. Klimatyzacja w samochodzie była zepsuta i jego czyste ubranie nasiąknęło potem, nim jeszcze zdążyli pokonać połowę drogi do hotelu.

Kierowca z wytwórni filmowej, który miał na imię Saul, zwalniał już, by zatrzymać się przed Galadari Meridien, gdy silnik nagle zgasł. Mężczyzna obracał kilka razy kluczyk, ale nie uzyskał nic oprócz trzasku.

— Niech pan spojrzy — odezwał się Jayewardene, wskazując na wyjście z hotelu. Ludzie tłoczący się przed nim rozproszyli się, gdy coś nagle wzbilo się w powietrze. Jayewardene osłonił oczy ręką, kiedy nad samochodem przemknął całkiem spory słoń indyjski. Samo zwierzę nie było rzadkim widokiem, ale ten słoń umiał latać. Na jego grzbiecie siedział muskularny mężczyzna. Szeroko rozpostarte uszy stworzenia wyglądały, jakby sterowało nimi podczas lotu.

— Dziewczyna na Słoń — wyjaśnił Saul. Tłumy przechodniów zatrzymywały się, wskazując na parę unoszących się w powietrzu asów.

— Niech pan spróbuje coś zrobić z tym samochodem — rzekł Jayewardene kierowcy, który zdążył już unieść maskę.

Lankijczyk szybko poszedł do głównego wejścia hotelu. Ominął odźwiernego, który siedział

na chodniku, potrząsając głową, i wszedł do mrocznego wnętrza. Pracownicy hotelu zapalali świece i uspołajali gości siedzących w barze i w restauracji.

— Kelner, proszę zanieść drinki do tamtego boksu — dobiegł od baru czyjś głos. Mężczyzna mówił po angielsku z amerykańskim akcentem.

Jayewardene zaczął, aż oczy przywykną mu do słabego oświetlenia, a potem ruszył ostrożnie w tamtą stronę. Barman zapalał lampy przy lustrze za barem. Jayewardene wyjął chusteczkę i otarł nią spocone czoło.

Siedzieli razem w boksie. Otyły mężczyzna z ciemną, łopatowatą brodą, ubrany w trzy częściowy granatowy garnitur szyty na zamówienie, a naprzeciwko niego drugi, w średnim wieku, ale zadbany, zasiadający w boksie niczym na tronie. Lankjczyk miał wrażenie, że zna obu mężczyzn, ale to siedzącą między nimi kobietę rozpoznał natychmiast. Wdziała czarną suknię bez ramiączek z niskim dekoltem, obszytą cekinami. Miała przezroczystą skórę. Szybko odwrócił od niej wzrok. Światło odbijało się od jej kości i mięśni w niepokojący sposób.

— Przepraszam — rzekł, podchodząc do nich. — Nazywam się Jayewardene i pracuję w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

— A czego pan od nas pragnie?

Grubas wyjął z drinka nadzianą na mały, czerwony miecz z plastiku wiśnię i zaczął ją obracać między wypielęgowanym kciukiem a palcem wskazującym.

Drugi mężczyzna wstał, uśmiechnął się i uściśnął dłoń Lankjczyka. To był wystudiowany polityczny gest, udoskonalony przez lata praktyki.

— Jestem senator Gregg Hartmann. Cieszę się, że mogę pana poznać.

— Dziękuję, senatorze. Mam nadzieję, że ramię już panu tak nie dokucza.

Jayewardene czytał w gazetach o incydencie, podczas którego senator został ranny.

— Nie było tak źle, jak twierdziła prasa — zapewnił Hartmann, spoglądając na przeciwną stronę boksu. — Mężczyzna znącający się nad wiśnią to Hiram Worchester. A pani to...

— Poczwarła, jak sądzę. — Jayewardene uklonił się uprzejmie. — Czy mogę się na chwilę dosiąść?

— Oczywiście — zapewnił Hartmann. — Czy możemy coś dla pana zrobić?

Lankjczyk usiadł obok Hiram, którego masywne ciało częściowo zasłaniało Poczwarkę. Jej widok głęboko go niepokoił.

— Być może kilka rzeczy. Dokąd polecieci Dziwczyną Słoń i towarzyszący jej mężczyzna?

— Złapać małpę, oczywiście. — Hiram spojrział na Jayewardene'a jak na krewnego będącego zakalą rodziny. — I uratować dziewczynę. Przed chwilą się o tym dowiedzieliśmy. Łowy na bestię to swego rodzaju tradycja. — Przerwał na chwilę. — Dla asów.

— Czy to w ogóle możliwe? Wątpię, by zdołali tego dokonać tylko we dwoje.

— Ten facet, który jej towarzyszył, to Jack Braun — wyjaśniła Poczwarka. Jej akcent był raczej brytyjski niż amerykański. — Złoty Chłopiec. Potrafi sobie poradzić prawie ze wszystkim, w tym również z olbrzymią małpą. Choć ostatnio jest raczej przemęczony. Jego luna nieco osłabła. — Trąciła łokciem Hiram. — Nie sądzisz?

— Nie dbam o to, co się stanie z Jackiem Braunem. — Hiram zakręcił w palcach plastikowym mieczykiem. — Jestem przekonany, że on to samo sądzi o mnie.

Hartmann odkaslnął.

— Powinno im się przynajmniej udać uratować aktorkę. To bardzo ułatwiłoby zadanie pańskiemu rządowi.

— Tak Mam taką nadzieję. — Jayewardene składał i rozkładał serwetkę. — Ale tego typu akcję powinno się starannie zaplanować.

— Tak, faktycznie polecieli bez przygotowania — przyznała Poczwarka, popijając łyk brandy.

Jayewardene pomyślał, że widzi w oczach Hartmanna psotny błysk, ale zlekceważył to jako grę świateł.

— Czy mogliby mi państwo powiedzieć, gdzie znajduje doktora Tachiona?

Hiram i Poczwarka parsknęli śmiechem. Hartmann zachował spokój i zerknął z dezaprobatą na dwoje towarzyszy.

— W tej chwili jest zajęty.

Poczwarka skinęła na kelnera i wskazała na swój kieliszek

— Którą ze stewardes wypróbujecie tym razem? — mruknęła pod nosem.

— Na górze uwięzieni razem w ciemnościach. Jeśli cokolwiek pomoże Tachy'emu uporać się ze swym problemem, to z pewnością tylko to. Obecnie nie wolno mu przeszkadzać. — Hiram uniósł plastikowy miecz nad stół i zacisnął drugą rękę w pięść. Miecz runął na blat. — Rozumie pan?

— Czy mógłby nam pan zostawić wiadomość dla niego? — zapytał Hartmann, ignorując Hiram.

Jayewardene wyjął portfel z wężowej skóry i wręczył senatorowi swoją wizytówkę.

— Niech mu pan powie, żeby skontaktował się ze mną, jak tylko będzie wolny. Mogę być zajęty przez resztę popołudnia, ale znajdzie mnie w domu. To ten numer na dole.

— Zrobię, co tylko będę mógł. — Hartmann wstał, by ponownie ucisnąć jego dłoń. — Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze z panem, zanim stąd odleciemy.

— Miło było pana poznać, panie Jayewardene — rzekła Poczwarka. Lankijczyk pomyślał, że chyba się uśmiechnęła, ale nie mógł być tego pewien.

Jayewardene odwrócił się, by odejść, ale stanął jak wryty na widok dwojga ludzi, którzy weszli do baru. Mężczyzna wyglądał na zbliżającego się do czterdziestki. Był wysoki i muskularny,

miał blond włosy, a przez ramię przerzucił sobie kamerę. Towarzysząca mu kobieta rzeczywiście była tak oszołamiająco piękna, jak na zdjęciach, na których widział ją Lankijczyk. Nawet bez skrzydeł z pewnością przyciągałaby uwagę.

Mógłby długo napawać się jej widokiem, zszedł im jednak z drogi, gdy zmierzali do boksu, by dołączyć do pozostałych.

Kiedy opuszczał hotel, w holu nadal zapalano lampki i świece.



Trudno było załatwić śmigłowiec, gdy mała przebywała na wolności, ale dowódca bazy miał wobec niego niejedyn dług. Pilot, trzymający hełm pod pachą, czekał na Jayewardene'a w maszynie. Był ciemnoskórym Tamilem i zawdzięczał swą pozycję nowemu planowi integracji sił zbrojnych. Sam śmigłowiec był wielki i przestarzały, brakowało mu aerodynamicznych kształtów nowocześniejszych modeli. Z jego metalowej skóry oblaźła oliwkowa farba, a opony były wyłysiałe.

Jayewardene pozdrowił pilota skinieniem głowy.

— Prosiłem o to, by na pokładzie był megafon — oznajmił po tamilsku.

— Załatwione, proszę pana.

Młody Tamil otworzył drzwiczki i wszedł do kabiny. Jayewardene podążył za nim.

Pilot rozpoczął rutynowe przygotowania do startu, przesuwając przełączniki i sprawdzając odczyty.

— Pierwszy raz lecę śmigłowcem — przyznał Jayewardene, zapinając pas. Pociągnął za niego, by sprawdzić, czy dobrze trzyma, i z niezadowoleniem zauważył, że jest już wystrzępiony.

Pilot wzruszył ramionami, włożył hełm, i włączył silnik, po czym ujął w ręce drążek sterowy i uruchomił wirnik Łopaty poruszyły się hałaśliwie i śmigłowiec wzniosł się ku niebu.

— Dokąd lecimy?

— Na początek w stronę Ratnapury i Szczytu Adama. — Kaszlnął. — Szukamy dwójki amerykańskich asów. Mężczyzny na latającym słońcu.

— Czy mamy ich zaatakować? — zapytał młody Tamil spokojnym, profesjonalnym tonem.

— Nie. Nic w tym rodzaju. Będziemy ich tylko obserwować. Szukają zbiegłej małpy.

Pilot zaczerpnął głęboki oddech i skinął głową. Następnie włączył radio i wziął w rękę mikrofon.

— Baza Lew, tu Cień Jeden. Możecie dać nam jakieś informacje o latającym słońcu? Odbiór.

Nastała chwila przerwy wypełnionej szumami. Wreszcie baza odpowiedziała:

— Cel widziano, jak oddalał się od Kolombo prosto na wschód. Przybliżona prędkość sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Odbiór.

— Potwierdzam. Bez odbioru.

Pilot sprawdził kompas i poprawił kurs.

— Mam nadzieję, że znajdziemy ich, zanim zlokalizują małpę. Nie sądzę, by mieli pojęcie, gdzie jej szukać, ale nasz kraj nie jest aż taki duży. — Jayewardene wskazał na ciemne chmury przed nimi. W tej samej chwili rozbłysła w nich błyskawica. — Czy poradzimy sobie ze złą pogodą?

— Powinniśmy. Myśli pan, że ci Amerykanie będą na tyle głupi, że spróbują lecieć podczas burzy?

Skierował śmigłowiec w stronę wąskiej luki w ścianie chmur.

— Trudno to przewidzieć. Nie znam tych ludzi. Ale radzili już sobie z małpą.

Jayewardene spojrzął na ziemię. Zbocza wznosiły się stopniowo ku górze. Dżungla coraz częściej ustępowała miejsca polom ryżu bądź herbaty albo zbiornikom wodnym. Z powietrza pola ryżowe wyglądały jak kawałki rozbitego lustra, złożone razem tak, że niemal się stykały.

— Widzę coś przed nami.

Pilot sięgnął pod siedzenie i wyciągnął lornetkę. Jayewardene wziął ją od niego, przetaił szkła koszulą i spojrzął w kierunku wskazanym przez Tamila. Coś tam było. Poruszył pokrętełem i ujrzał obraz wyraźnie. Mężczyzna na słońcu wskazywał na ziemię.

— To oni — stwierdził i położył lornetkę na kolanach. — Niech pan podleci bliżej, żeby nas usłyszeli — dodał i uniosł megafon.

— Tak jest.

Jayewardene poczuł suchość w ustach i gardle. Kiedy się zbliżyli, otworzył okno po swojej stronie. Żadne z asów jeszcze ich nie zauważyło. Włączył megafon, nastawiając głośność prawie na maksimum. Zauważył głowę i ramiona małpy, sterczące nad wierzchołkami drzew, i zorientował się, dlaczego Amerykanie nie zwracają uwagi na śmigłowiec.

Wystawił megafon przez okno.

— Dziewczyno Słoni. Panie Braun. — Uważał, że „Złoty Chłopiec” to nie jest odpowiedni pseudonim dla dorosłego mężczyzny. — Nazywam się Jayewardene i jestem oficjalnym przedstawicielem rządu Sri Lanki. Rozumiecie, co mówię?

Każde słowo wypowiadał powoli i starannie. Megafon drżał w jego spoconej dłoni.

Jack Braun pomachał do niego ręką i skinął głową. Potwór zatrzymał się, uniosł wzrok i obnażył zęby. Zerwał liście ze szczytu jednego z drzew i położył Robyn w rozgałęzieniu między dwoma nagimi konarami.

— Niech pan uratuje kobietę, jeśli pan zdoła, ale proszę nie krzywdzić małpy. — Wewnątrz śmigłowca płynący z megafonu głos był ledwie zrozumiały, ale Braun skierował kciuki w górę na znak, że słyszy. — Będziemy tu czekać — dodał Jayewardene.

Małpa schyliła się, uniosła garść ziemi i ścisnęła ją między łapskami. Potem ryknęła i rzuciła

w asów ziemną kulą. Latający słoń opadł nagle niżej, schodząc pociskowi z drogi. Kula poleciała dalej. Jayewardene zauważył, że uderzy w śmigłowiec i złapał się fotela ze wszystkich sił. Ziemia uderzyła z łoskotem o bok latającej maszyny. Śmigłowiec zawirował, ale pilot szybko odzyskał nad nim kontrolę i wzniósł się wyżej.

— Lepiej zachować bezpieczny dystans — wyjaśnił młody Tamil, uważając, by nie stracili małpy z oczu. Wątpię, byśmy utrzymali się w powietrzu, gdyby pocisk nie wytracił przedtem impetu.

— Ma pan rację.

Jayewardene wypuścił powoli powietrze z płuc i otarł czoło. Na szybko padło kilka pierwszych kropli deszczu.

Dziewczyna Słoń przesunęła się na odległość około pięćdziesięciu metrów od małpy i obniżyła lot do poziomu drzew. Braun zeskoczył z niej i zniknął w gąszczu. Słoń znowu wbił się wyżej i zatrząbił, ruszając ku potworowi. Małpa warknęła i zaczęła tłuc się pięściami w pierś. Brzmiało to jak podziemne wybuchy.

Sytuacja patowa utrzymywała się przez minutę albo dwie. Wreszcie małpa zatoczyła się do tyłu, odzyskując równowagę w ostatniej chwili przed upadkiem. Dziewczyna Słoń szybko opadła ku ułożonej na drzewie kobiecie. Małpa machnęła obiema rękami, ale latający słoń uchylił się, choć nieco chwiejnie.

— Czy potwór ją trafił? — zapytał pilota Jayewardene. — Może powinniśmy jej pomóc?

— Nie sądzę, byśmy byli w stanie zrobić zbyt wiele. Co najwyżej odwrócić uwagę bestii. Ale wtedy mogłaby nas strącić.

Pilot ścisnął drążek kolanami i otarł pot z dłoni.

Małpa ryknęła i pochyliła się, by coś podnieść. Jack Braun szarpał się w jej łapie, próbując rozewrzeć gigantyczne palce. Bestia uniosła go do otwartej paszczy.

— Nie! — zaprotestował Jayewardene, odwracając wzrok.

Małpa ryknęła znowu i Lankjczyk spojrział na nią. Stworzenie ocierało usta wolną ręką. Złoty Chłopiec, któremu najwyraźniej nic się nie stało, opierał się plecami o jego palce, odpychając kciuk, by rozewrzeć uścisk. Potwór machnął ręką jak miotacz w baseballu i Braun pomknął w górę. Po kilku sekundach spadł na ziemię w odległości kilkuset metrów.

Tamil rozdziawił lekko usta, a potem skierował śmigłowiec w miejsce, gdzie Braun zniknął między drzewami.

— Diabeł chciał go zjeść, ale on nie dał się połknąć. Chyba złamał mu ząb.

Dziewczyna Słoń poleciała za nimi. Małpa zdjęła Robyn z drzewa, ryknęła triumfalnie i ruszyła w dalszą drogę przez dżunglę. Jayewardene przygryzł wargę, wypatrując połamanych konarów mogących zdradzić miejsce, w którym spadł Braun.



Deszcz padał coraz mocniej. Pilot włączył wycieraczkę.

— Tam jest — oznajmił, zatrzymując maszynę w powietrzu. Braun wspinał się na wielką palmę kokosową. Całe ubranie miał w strzępach, ale najwyraźniej nie został ranny. Dziewczyna Słoń podleciała do niego, objęła go trąbą w pasie i wsadziła sobie na grzbiet. Pochylił się i złapał ją za uszy.

— Lećcie za nami! — zawołał Jayewardene, ponownie sięgając po megafon. — Zaprowadzimy was do bazy lotniczej. Nic się panu nie stało, panie Braun?

Złoty as ponownie uniósł oba kciuki, ale tym razem na nich nie spojrzał.

Przez kilka następnych minut Jayewardene nie odzywał się ani słowem. Być może wizja była jednak fałszywa. Bestia sprawiała wrażenie straszliwie gwałtownej. Normalnego człowieka jej zęby zgniotłyby na miążgę. Nie. Sen musiał być prawdziwy. Nie mógł sobie pozwolić na zwątpienie, bo w przeciwnym razie małpa nie będzie miała szans.

Prześcignęli burzę, wracając do Kolombo.



Jayewardene zatrzymał się pod drzwiami Tachiona. Spał, gdy kosmita do niego zadzwonił. Tachion przeprosił, że zajęło mu to tak wiele czasu, i zaczął wyliczać powody. Lankijczyk przerwał mu i zapytał, czy może przyjechać natychmiast. Doktor się zgodził, choć z niewielkim entuzjazmem.

Jayewardene zapukał do drzwi i czekał. Wreszcie uniósł rękę po raz drugi, ale w tej samej chwili usłyszał kroki po przeciwnej stronie. Tachion otworzył drzwi. Miał na sobie białą koszulę z bufiastymi rękawami oraz niebieskie aksamitne spodnie przewiązane szeroką, czerwoną chustą.

— Pan Jayewardene? Proszę wejść.

Lankijczyk ukłonił się i wszedł do środka.

Kosmita usiadł na łóżku, nad którym wisiał olejny obraz przedstawiający Wodospad Dunhinda. Na stoliku w wezglowiu leżał kapelusz ozdobiony szkarłatnym piórem obok talerza z niedojedzonym ryżem.

— Jest pan tym samym Jayewardene'em, który był w śmigłowcu? Tym samym, o którym opowiadała Radha?

— Tak — Lankijczyk usiadł na fotelu ogrodowym stojącym przy łóżku. — Mam nadzieję, że pan Braun nie został ranny?

— Ucierpiała tylko jego i tak już nadwierzona duma. — Tachion zamknął na moment oczy, jakby próbował zebrać siły, a potem je otworzył. — Proszę mi powiedzieć, w czym mogę panu pomóc, panie Jayewardene?

— Wojsko planuje jutro zaatakować małpę. Musimy ich powstrzymać i sami poskromić stworzenie. — Srilankańczyk potarł powieki. — Ale nie zacząłem od początku. Wojskowi

interesują się wyłącznie twardą rzeczywistością, ale pan, doktorze, na co dzień styka się z tym, co nadzwyczajne. Nie znam pana, ale jestem zmuszony panu zaufać.

Tachion oparł mocno na podłodze zwisające dotąd luźno stopy i rozprostował ramiona.

— Większość czasu, który spędziłem na waszej planecie, zajęły mi próby sprostania zaufaniu, którym darzyli mnie inni. Gdybym tylko mógł uwierzyć, że zasługuję na to zaufanie. Mówi pan, że musimy powstrzymać wojsko i sami poskromić małpę. Dlaczego? Z pewnością armia ma lepszy sprzęt...

— Jeśli dobrze to rozumiem, wirus nie działa na zwierzęta — przerwał mu Jayewardene.

— Wiem o tym — odpowiedział Takizjanin, potrząsając rudymi lokami. — Pomogłem stworzyć tego wirusa. Każde dziecko wie... — Zasłonił usta. — Przodkowie, wybaczcie mi. — Zsunął się z łóżka i podszedł do okna. — Przez dwadzieścia lat prawda patrzyła mi prosto w oczy, a ja jej nie zauważyłem. Przez własną, ślepą głupotę skazałem jakiegoś człowieka na żywe piekło. Po raz kolejny zawiodłem jedną ze swoich ofiar. Nie zasługuję na zaufanie.

Tachion wciskał zaciśnięte pięści w skronie, czyniąc sobie wciąż nowe wyrzuty.

— Niech mi pan wybaczy, doktorze — odezwał się Jayewardene — ale myślę, że lepiej by było, gdyby wykorzystał pan swą energię na rozwiązanie bieżącego problemu.

Kosmita spojrział na niego z bólem na twarzy.

— Nie chciałem pana obrazić, doktorze — dodał pośpiesznie Jayewardene, wyczuwając głębię poczucia winy dręczącego Tachiona.

— Nie wątpię w to. Panie Jayewardene, jak odgadł pan prawdę?

— W naszym kraju wirus dotknął tylko niewielu ludzi. Jestem jednym z tej garstki. Zapewne powinienem się cieszyć, że wyszedłem z tego żywy i zdrowy, ale uzalanie się leży w naturze naszego ludu. Mój talent daje mi wizję przyszłości. Zawsze dotyczą one kogoś, kogo znam, albo jakiegoś miejsca, w którym byłem. Najczęściej mnie samego. Są bardzo jaskrawe i szczegółowe. — Potrząsnął głową. — Ostatnia wizja pokazała mi prawdziwą naturę małpy.

Tachion znowu usiadł na łóżku i splótł dłonie.

— Nie rozumiem prymitywnego zachowania demonstrowanego przez to stworzenie.

— Z pewnością znajdziemy odpowiedzi na większość pytań, gdy ponownie stanie się człowiekiem.

— Oczywiście. Oczywiście. — Kosmita znowu dźwignął się na nogi. — Ten pański talent. Przesunięcie czasowe myślącej jaźni podczas snu. To właśnie pragnęła osiągnąć moja rodzina, tworząc wirusa. Coś, co wyjdzie poza znane nam wartości fizyczne. Zdumiewające.

Jayewardene wzruszył ramionami.

— Tak jest, zdumiewające. Ale z chęcią wyżyłbym się tego brzemienia. Pragnę patrzeć na przyszłość z właściwej perspektywy, jaką jest tu i teraz. Ta moc... niszczy naturalny strumień

życia. Gdy tylko małpa odzyska pierwotną postać, zamierzam udać się z pielgrzymką do Sri Pada. Być może jeśli oczyścić się duchowo, zdołam...

— W mojej klinice osiągnąłem pewne sukcesy w odwracaniu skutków działania wirusa — przerwał mu Tachion. — Rzecz jasna, procent pozytywnych wyników nie jest taki, jakiego bym pragnął. Musi pan też być świadomy ryzyka.

— Najpierw rozwiążmy sprawę małpy. Być może potem stojąca przede mną ścieżka stanie się jaśniejsza.

— Gdybyśmy tylko mogli spędzić tu więcej czasu — poskarżył się Tachion. — Zgodnie z planem już pojutrze odlatujemy do Tajlandii. To znaczy, że margines błędu jest bardzo wąski. A nie możemy wszyscy ruszyć w pościg za stworzeniem.

— Tak czy inaczej nie sądzę, by rząd na to pozwolił. Nie po tym, co wydarzyło się dzisiaj. Im mniej waszych ludzi weźmie w tym udział, tym lepiej.

— Zgadza się. Nie mogę uwierzyć, że ruszyli do akcji bez przygotowania. Czasami podejrzewam, że wszyscy cierpią na jakąś postać pełzającego obłądu. Zwłaszcza Hiram.

— Tachion podszedł do okna i odsunął minirolety. Na horyzoncie rozbłysła błyskawica, podświetlając na mgnienie oka potężną lawicę chmur. — Rzecz jasna, ja muszę uczestniczyć w tej małej przygodzie. Radha zapewni mi swobodę manewru. Jest w połowie Hinduską. Jak rozumiem, ostatnio doszło do problemów w stosunkach między waszym krajem a Indiami?

— Niestety, tak Indie popierają Tamilów z uwagi na wspólne dziedzictwo kulturowe. Syngaleska większość uważa to za wsparcie Tamilijskich Tygrysów, którzy są grupą terrorystyczną. — Jayewardene spojrział na podłogę. — W tym konflikcie nie ma zwycięzców, a za to ofiar jest zbyt wiele.

— Dlatego musimy mieć jakąś historijkę dla odwrócenia uwagi. Przypuśćmy, że Radha się ukrywa, w obawie o własne życie. Może nam też pomóc w rozwiązaniu wielu innych problemów. — Tachion zasunął rolety. — Jakiej broni mają użyć przeciwko małpie?

— Śmigłowce zaatakują ją w dwóch falach. Pierwsza będzie wyposażona w stalowe sieci. Jeśli okaże się to konieczne, do akcji wyruszy druga, złożona z uzbrojonych śmigłowców szturmowych.

— Mógłby pan przemyśleć nas do bazy, zanim druga fala wystartuje?

Takizjanin zatarł dłonie.

— Być może. Tak, myślę, że mógłbym.

— Znakomicie — stwierdził z uśmiechem kosmita. — Panie Jayewardene, muszę panu powiedzieć, że bardzo wiele z tego, co zrobiłem w życiu: założenie kliniki, niepokoje w Dżokerowie, inwazja Roju...

— Nie musi się pan przede mną usprawiedliwiać, doktorze — przerwał mu Jayewardene.

— Ale przed nim będę musiał.



Zatrzymali samochód parę mil przed bramą, by schować Radhę w bagażniku. Jayewardene wypił łyk herbaty ze styropianowego kubka. Miała metaliczny smak, była mocna i wystarczająco gorąca, by pomóc mu zwalczyć przedświtowy chłód. Ponieważ droga prowadząca do bazy była wyboista, wypełnił kubek tylko w połowie. Dokuczał mu bolesny chłód, którego nie potrafiła osiągnąć nawet herbata. W najlepszym przypadku będzie zmuszony zrezygnować ze stanowiska. Przekroczył swe uprawnienia w niewybaczalny sposób. Nie mógł jednak w tej chwili przejmować się własnym losem. Priorytet musiała mieć mała. Rozmawiali z Tachionem do późna w nocy, próbując przewidzieć, co może pójść źle, i zaplanować, co zrobić w przypadku najgorszego.

Lankjczyk siedział z przodu, obok Saula, Tachion zaś z tyłu, między Danforthem a Paulą. Nikt się nie odzywał. Gdy dotarli do dobrze oświetlonej bramy, Jayewardene wyciągnął legitymację rządową.

Wartownik był młodym Syngalezem. Stał sztywno jak strzała, a mundur koloru khaki miał pięknie wyprasowany. Jego oczy rozbliły, gdy podszedł miarowym krokiem do samochodu od strony miejsca dla pasażera.

Jayewardene opuścił szybę i wręczył wartownikowi legitymację.

— Chcemy porozmawiać z generałem Dissanayake. Towarzyszy mi doktor Tachion oraz dwoje przedstawicieli amerykańskiej wytwórni filmowej.

Wartownik przyjrzał się dokumentowi, a potem siedzącym w samochodzie ludziom.

— Chwileczkę — powiedział. Poszedł do budki wartowniczej przy bramie i przez chwilę rozmawiał przez telefon. Gdy wrócił, oddał Jayewardene'owi legitymację i wręczył mu pięć laminowanych odznak dla gości.

— Generał was przyjmie. Jest w swoim gabinecie. Zna pan drogę?

— Dziękuję, znam — odparł Jayewardene i zasunął szybę. Jedną odznakę schował do kieszeni koszuli.

Wartownik otworzył bramę i skinął latarką kierunkową z czerwonym światłem na końcu, przepuszczając ich. Jayewardene westchnął, gdy brama zamknęła się za nimi. Skierował Saula w stronę kwater dla oficerów i poklepał go po ramieniu.

— Wie pan, co robić?

Saul zatrzymał samochód między dwoma wyblakłymi żółtymi pasami i wyjął kluczyki, trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym.

— Pod warunkiem, że bagażnik się otworzy. Poza tym nie musi się pan martwić o to, że coś spieprzę.

Wysiedli z samochodu i ruszyli chodnikiem w stronę budynku. Z góry dobiegł ich warkot śmigłowca. Tachion trzymał się blisko Jayewardene'a, który prowadził ich wyłożonymi linoleum korytarzami. Kosmita ciągle poprawiał rękawy różowokoralowej koszuli. Paula i Danforth szli tuż za nimi, szepcząc coś do siebie nawzajem.

Kapral siedzący w poczekalni przed gabinetem generała oderwał wzrok od kubka herbaty i skinął na gości, pozwalając im przejść. Dissanayake siedział za biurkiem na wielkim obrotowym krześle. Był mężczyzną średniego wzrostu i krępej budowy, miał ciemne, głęboko osadzone oczy, a wyraz jego twarzy zmieniał się bardzo rzadko. Niektórzy wojskowi uważali, że mający pięćdziesiąt cztery lata Dissanayake jest za młody na generała. Wykazał się jednak stanowczością i opanowaniem podczas konfliktu z Tamilskimi Tygrysami, grupą separatystycznych bojowników. Udało mu się uniknąć krwawej jatki bez okazywania słabości. Jayewardene go szanował. Generał przywitał ich skinieniem głowy, wskazując na skupisko krzeseł po drugiej stronie biurka o zawalonym szpargałami blacie.

— Usiądźcie, proszę — rzekł Dissanayake, rozciągając usta w słabym uśmiechu. Nie mówił po angielsku tak dobrze, jak Jayewardene, ale łatwo można go było zrozumieć. — Zawsze miło mi pana zobaczyć, panie Jayewardene. Rzecz jasna, naszych szanownych gości również witam z radością.

— Dziękuję, generale. — Jayewardene zaczął, aż pozostali usiądą, nim zaczął mówić dalej. — Wiemy, że jest pan zajęty i jesteśmy wdzięczni, że zechciał nam pan poświęcić trochę czasu.

Dissanayake zerknął na złoty zegarek i skinął głową.

— Tak, powinienem już być w centrum operacyjnym. Pierwsza fala śmigłowców ma zaraz ruszać do akcji. Dlatego byłbym wdzięczny, gdy byście się streszczała — dodał, splatając dłonie.

— Uważamy, że nie powinniście atakować małpy — zaczął Tachion. — O ile mi wiadomo, nigdy nikogo nie skrzywdziła. Czy są jakieś meldunki o ofiarach?

— Do tej pory żaden do nas nie dotarł, doktorze. — Dissanayake oparł się wygodnie na krześle. — Ale potwór zmierza ku Szczytowi Adama. Jeśli go nie powstrzymamy, z pewnością będą ofiary śmiertelne.

— Ale co z Robyn? — sprzeciwiła się Paula. — Najprawdopodobniej zginie, jeśli małpę zaatakują szturmowe śmigłowce.

— A jeśli nic nie zrobimy, mogą zginąć setki ludzi. Być może nawet tysiące, jeśli małpa dotrze do miasta. — Generał przygryzł wargę. — Mam obowiązek temu zapobiec. Zdaję sobie sprawę, co pani czuje, gdy pani przyjaciółce grozi niebezpieczeństwo. Zapewniam, że zrobimy wszystko, co tylko możliwe, by uratować pannę Symmes. Jeśli okaże się to konieczne, moi ludzie poświęcą dla niej życie, ale dla mnie jej bezpieczeństwo nie jest ważniejsze od bezpieczeństwa innych zagrożonych osób. Proszę zrozumieć moją pozycję.

— I nic, co moglibyśmy powiedzieć, nie skłoni pana do zaczekania z atakiem? — zapytał Tachion, odgarniając opadające na oczy włosy.

— Małpa jest już bardzo blisko Szczytu Adama. O tej porze roku przebywa tam wielu pielgrzymów, a nie mamy czasu na skuteczną ewakuację. Zwłoka niemal z pewnością doprowadzi do ofiar. — Dissanayale wstał i podniósł czapkę z biurka. — Muszę zająć się swoimi obowiązkami. Jeśli chcecie, możecie obserwować stąd operację.

Jayewardene potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. Jesteśmy wdzięczni, że zechciał pan poświęcić nam czas.

Generał rozpostarł dłonie.

— Żałuję, że nie mogłem być bardziej pomocny. Życzę szczęścia nam wszystkim, nawet małpie.

Gdy wrócili do samochodu, niebo już jaśniało. Saul opierał się o drzwi, trzymając w ustach niezapalony papierosa. Tachion i Jayewardene podeszli do niego, a Danforth i Paula wsiedli do samochodu.

— Wszystko idzie zgodnie z planem? — zapytał Lankjczyk.

— Wyšla z bagażnika i schowała się gdzieś. Chyba nikt nic nie zauważył. — Saul wyciągnął plastikową zapalniczkę. — Teraz?

— Teraz albo nigdy — odparł Tachion, wsuwając się na tylne siedzenie.

Saul zapalił zapalniczkę i gapił się przez chwilę na płomień, zanim przywalił go do papierosa.

— No to zmiatajmy stąd.

— Pięć minut — stwierdził Jayewardene, szybko podchodząc do samochodu po drugiej stronie.

Zatrzymali się przed wejściem do bazy. Wartownik podszedł do nich powoli i wyciągnął rękę.

— Proszę o odznaki.

Jayewardene odpiął swoją i wręczył żołnierzowi. Wartownik zaczął zbierać pozostałe.

— Niech to szlag — mruknął Danforth. — Upuściłem to cholerstwo.

Saul włączył wewnętrzne światło. Jayewardene zerknął na zegarek. Nie mieli czasu na takie rzeczy. Producent wsadził rękę w szczelinę między siedzeniem a drzwiami, skrzywił się i wyciągnął odznakę. Wręczył ją pośpiesznie wartownikowi, który wrócił do swojej budki i otworzył bramę.

Gdy wrota zamknęły się za nimi ze zgrzytem, zostały im już tylko niespełna dwie minuty. Saul nacisnął pedał gazu i przyspieszył do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, starannie unikając co większych dziur.

— Mam nadzieję, że Radha sobie poradzi. Nigdy dotąd nie rozciągała swych mocy na tak wielki obszar. — Tachion zabębnił palcami o plastikowe siedzenie, po czym odwrócił się i spojrzął

za siebie. — Chyba jesteśmy już wystarczająco daleko. Zatrzymajmy się tutaj.

Saul zatrzymał samochód. Wszyscy wysiedli i skierowali spojrzenia w stronę bazy.

— Nie rozumiem — poskarżył się producent, który przykucał za pojazdem. — Ona potrafi tylko zmienić się w słońca. Co to nam da?

— Tak, ale masa musi się skądś wziąć, panie Danforth. A energia elektryczna to najłatwiej dostępne źródło. — Tachion zerknął na zegarek. — Dwadzieścia sekund.

— Gdyby tylko potrafił pan kręcić filmy równie ekscytujące jak to, panie D. — Paula potrząsnęła głową. — Ruszaj, Radha.

W całej bazie nagle zapadła ciemność.

— A niech to. — Danforth poderwał się gwałtownie i uderzył się w palce u nog. — Udało się jej.

Jayewardene spojrzał na szare niebo nad horyzontem. Z mroku wyłoniła się ciemna sylwetka i ruszyła ku nim, sypiąc od czasu do czasu niebieskimi iskrami.

— Chyba może być trochę przeładowana — zauważył Tachion. — Ale nie strzelają do niej. Na pewno nie wiedzą, co się właściwie stało.

— To świetnie — ucieszył się Danforth. — Bo ja też nie bardzo wiem.

— Jedno jest pewne — stwierdził Saul, siadając na fotelu kierowcy i włączając silnik — Przez pewien czas nie wystartują stamtąd żadne śmigłowce. A Dziewczyna Słoń jest mi winna nowy akumulator. Za wczorajszy dzień.

Radha wylądowała obok pojazdu. Gdy dotknęła ziemi, ze wszystkich jej stóp posypały się skry. Jayewardene pomyślał, że wydaje się nieco większa niż wczoraj. Gdy Tachion jej dotknął, włosy stały mu dęba jak peruka klauna. Wspiął się na jej przednią nogę i uniosła go trąbą na swój grzbiet.

— Wkrótce się spotkamy, jeśli szczęście będzie nam sprzyjać — stwierdził kosmita, machając do nich ręką.

Jayewardene skinął głową.

— Droga stąd do Szczytu Adama powinna nam zająć około godziny. Lećcie na północny zachód, tak szybko, jak tylko można.

Słoń wbił się bezgłośnie w powietrze i zniknął im z oczu, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.



Droga była wąska. Gęsty las zaczynał się na jej skraju i ciągnął się bez końca. Byli sami, pomijając tylko autobus i kilka konnych wozów. Jayewardene wyjaśnił wszystkim, kim jest naprawdę małpa i w jaki sposób zdobył tę wiedzę. Dyskusja o jego talentach asa pomogła im zabić czas. Saul jechał tak prędko, jak tylko mógł sobie na to pozwolić na błotnistych drogach.

Posuwał się naprzód znacznie szybciej, niż spodziewał się tego Jayewardene.

— Jednego nie rozumiem — przyznała Paula, pochylając się z tylnego siedzenia, by przystawić usta do ucha Lankijczyka. — Jeśli te wizje zawsze się sprawdzają, dlaczego zadaje pan sobie tyle trudu, by zapewnić, że wszystko skończy się jak trzeba?

— Dla mnie nie ma wyboru — wyjaśnił Jayewardene. — Nie mogę pozwolić, by wizje dyktowały mi, jak mam żyć. Dlatego staram się postępować tak, jakbym nie posiadał tej wiedzy. Poza tym niewielka wiedza o przyszłości jest bardzo niebezpieczna. Ostateczny rezultat nie jest jedynym, co powinno mnie obchodzić. To, co wydarzy się w międzyczasie, jest równie ważne. Jeśli ktoś straci życie, zabity przez małpę, ponieważ wiedziałem, że w końcu odzyska ona człowieczeństwo, będę winny tej śmierci.

— Chyba jest pan dla siebie zbyt surowy. — Paula uściśliła lekko jego bark — Możemy zrobić tylko to, co leży w zakresie naszych możliwości.

— Tego wymagają moje przekonania.

Lankijczyk odwrócił się i spojrział jej w oczy. Patrzyła w nie przez chwilę, a potem opadła z powrotem na siedzenie.

— Coś jest przed nami — oznajmił Saul spokojnym, niemal pozbawionym zainteresowania tonem.

Znajdowali się na szczycie wzgórza. Drzewa po obu stronach drogi usunięto do odległości około stu metrów i mieli niczym nie ograniczony widok.

Szczyt Sri Pada nadal spowijała wczesnoporanna mgła. Śmigłowce krążyły wokół czegoś niedostrzegalnego u podstawy góry.

— Myślicie, że to nasz chłopak? — zapytał Danforth.

— Niemal na pewno — odparł Jayewardene, żalując, że nie wziął lornetki. Jedną z krążących w powietrzu sylwetek mogli być Radha i Tachion, ale z tej odległości nie sposób było tego ocenić. Oczyszczony z drzew obszar się skończył i znowu znaleźli się w dżungli.

— Mam jeszcze trochę przyśpieszyć? — zapytał Saul, zgniatając papierosa w popielniczkę.

— Pod warunkiem, że dotrzemy na miejsce żywi — odparła Paula, zapinając pas.

Saul nacisnął pedał gazu nieco mocniej, zostawiając za pojazdem fontanny błota.



Zaparkowali za parą porzuconych autobusów blokujących drogę. Nie widzieli nikogo poza bestią oraz tymi, którzy ją atakowali. Pielgrzymi albo uciekli na górę, albo wycofali się do doliny. Jayewardene wchodził po kamiennych stopniach tak szybko, jak tylko mógł. Reszta grupy podążała za nim. Śmigłowce nie pozwoliły małpie zapuścić się zbyt wysoko na zbocze.

— Widzicie gdzieś naszego słonia? — zapytał Danforth.

— Stąd nie zobaczymy zbyt wiele.



Jayewardene już czuł klujący ból w bokach spowodowany wysiłkiem. Zatrzymał się, by chwilę odpocząć, i uniósł wzrok akurat na czas, by zobaczyć, że jeden ze śmigłowców rzucił stalową sieć. W odpowiedzi rozległ się donośny ryk, ale nie widzieli, czy sieć dosięgła celu.

Posuwali się w górę jeszcze przez kilkaset metrów, mijając puste, ale nieuszkodzone miejsce obsługi podróżnych. Śmigłowce kontynuowały atak, choć wydawało się, że jest ich teraz mniej. Jayewardene pośliznął się na mokrej kamiennej płycie i rozbił sobie kolano o ostrą krawędź stopnia. Saul ujął go pod pachy i pomógł mu wstać.

— Nic mi nie jest — zapewnił Lankjczyk, prostując boleśnie nogę. — Chodźmy.

W oddali rozległo się trąbienie słońca.

— Szybciej — rzuciła Paula i zaczęła się wspinać po dwa stopnie przy każdym kroku.

Jayewardene truchtał za nią, podobnie jak dwójka pozostałych mężczyzn. Po kolejnych stu metrach kazał im się zatrzymać.

— W tym miejscu musimy ruszyć na przełaj przez stok. Trudno tu znaleźć oparcie dla nóg. Przytrzymujcie się drzew, jeśli tylko będziecie mogli.

Zszedł z drogi na mokrą glebę i złapał się palmy kokosowej, a potem zaczął się powoli posuwać ku miejscu, gdzie trwała walka.

Gdy znaleźli się wystarczająco blisko małpy, żeby zobaczyć, co się dzieje, byli nieco wyżej niż ona. Potwór w jednej łapie trzymał stalową sieć, a w drugiej odarte z listowia drzewo. Utrzymywał Radhę i dwa pozostałe na miejscu śmigłowce na dystans niczym gladiator uzbrojony w sieć i trójząb. Jayewardene nigdzie nie widział Robyn. Zapewne bestia znowu położyła ją na jakimś drzewie.

— Jesteśmy na miejscu. I co teraz, do cholery?

Danforth opierał się o drzewo chlebowca, dysząc ciężko.

— Idziemy po Robyn.

Paula otarła ubłocone dłonie o szorty i postąpiła kolejny krok w kierunku małpy.

— Zaczekaj. — Danforth złapał kobietę za rękę. — Nie mogę sobie pozwolić na to, by stracić również ciebie. Przekonajmy się, co zdoła osiągnąć Tachion.

— Nie. — Wyszarpnęła się z jego uścisku. — Musimy ją stąd zabrać, dopóki małpa jest zajęta czymś innym.

Oboje przez chwilę wpatrywali się w siebie nieustępliwie, dopóki Jayewardene nie stanął między nimi.

— Podejdźmy trochę bliżej i przekonajmy się, co się da zrobić.

Ruszyli w dół, ślizgając się po stoku, aż wreszcie dotarli do półki pokrytej grubą warstwą błota. Lankjczyk poczuł, jak szlam wypełnia mu buty. Nie było to przyjemne wrażenie. Nigdzie nie widzieli Robyn, ale małpa również ich nie zauważyła.

Ostatni śmigłowiec zajął pozycję nad bestią i rzucił się. Małpa złapała ją na koniec drzewa i odrzuciła na bok, a następnie cisnęła pniem w uciekającą maszynę, która musiała zakręcić ostro, by nie oberwać. Potwór ryknął i zaczął tłuc się pięściami w pierś.

Radha i Tachion zbliżyli się do niego od tyłu, lecąc na wysokości wierzchołków drzew. Małpa pochyliła się, uniosła jedną ze stalowych sieci i zakręciła nią błyskawicznie. Rozległ się ostry brzęk, gdy krawędź sieci trafiła Radhę w przednią nogę. Tachion zsunął się z jej grzbietu i zawisł w powietrzu, trzymając się ucha słonia. Radha wbiła się wyżej i posadziła doktora z powrotem na swój grzbiet.

Bestia uderzyła pięściami w ziemię i obnażyła kły. Potem wstała, zaciskając i rozluźniając ogromne, czarne dłonie.

— Nie sądzę, by mogli cokolwiek zdziałać — odezwał się Danforth. — To bydlę jest po prostu za silne.

— Zobaczmy — sprzeciwił się Jayewardene.

Tachion pochylił się nad jednym z ogromnych uszu Radhy. Słoń opadł niżej niczym kamień, po czym zaczął krążyć wokół głowy małpy. Bestia unosiła ręce i kręciła się wkoło, nie chcąc tracić przeciwnika z oczu. Po paru chwilach była już jednak połowę okrążenia za Radhą. Słoń opadł prosto na jej plecy. Tachion przeskoczył na łark potwora, a Radha szybko umknęła na bezpieczną odległość. Małpa przyklucnęła, a potem sięgnęła po doktora, który uczeplił się gęstego futra na jej barku. Bestia bez trudu oderwała kosmitę od włosów, przyjrzała mu się, następnie ryknęła i uniosła go do paszczy.

— Cholera jasna — odezwał się Danforth, powstrzymując Paulę.

Potwór prawie już włożył Tachiona do ust, ale zatrzymał się nagle. Przez moment szarpał się w konwulsjach, a potem runął na grzbiet. Pod wpływem wstrząsu z drzew spłynęły strumienie wody, błocąc twarze Jayewardene'a i jego towarzyszy. Lankjczyk popędził w dół stołu, starając się ignorować ból kolana.

Gdy dotarli do stworzenia, Tachion uwolnił się już z uścisku jego zeszywniałych palców. Zsunął się z gigantycznego ciała i stanął przed Jayewardene'em.

— Na płonące niebo! Miał pan rację! — Kilka razy odetchnął głęboko. — Wewnątrz tej bestii rzeczywiście kryje się człowiek.

— Jak go pan powstrzymał? — zapytał Danforth, trzymając się kilka kroków dalej niż reszta. — I gdzie jest Robyn?

— Wraca do Dakoty Północnej — dobiegł ich słaby głos z wierzchołka pobliskiego drzewa. Aktorka pomachała do nich i zaczęła schodzić na dół.

— Zobaczę, czy nic jej nie jest — oznajmiła Paula i pobiegła ku przyjaciółce.

— Żeby odpowiedzieć na pana pierwsze pytanie, panie Danforth — zaczął Tachion, licząc

brakujące guziki przy koszuli — zasadnicza część jego mózgu jest małpia i opiera się głównie na zawartości starego, czarno-białego filmu. Jest tam też jednak ludzka osobowość, choć całkowicie podporządkowana mentalności małpy. Dałem im na chwilę równy zakres kontroli, co doprowadziło do paraliżu.

Danforth pokiwał głową bez zrozumienia.

— I co zrobimy teraz?

— Doktor Tachion przywróci małpie ludzką postać — odparł Jayewardene, pocierając nogę. — Wojsko z pewnością nie zostawi nas w spokoju zbyt długo. Nie mamy za wiele czasu, by zrobić to, co konieczne.

Jakby dla podkreślenia jego słów, wrócił jeden ze śmigłowców. Unosił się nad nimi przez chwilę, a potem odleciał.

Tachion skinął głową i spojrzał na Lankjczyka.

— Widział pan transformację w swojej wizji. Czy zostałem ranny? Pytam tylko z ciekawości.

Jayewardene wzruszył ramionami.

— A czy to ważne?

— Pewnie nie. — Takizjanin zaczął obgryzać paznokcie. — Ważne jest co innego. Materia. To nasz prawdziwy problem. Gdy ludzki umysł odzyska dominację, uwolni całą nadmiarową materię pod postacią energii. Wszyscy, którzy znajdują się w pobliżu, w tym również ja, najprawdopodobniej zginą.

Jayewardene wskazał na Radhę, która pomagała Robyn zejść z drzewa.

— Być może gdyby unosił się pan w powietrzu, był nieuziemiony, że tak powiem, zagrożenie zostałoby zminimalizowane. A gdyby całą energię udało się skupić w coś przypominającego piorun...

Lankjczyk spojrzał na zachmurzone niebo.

— Tak Ten pomysł stwarza pewne możliwości. — Tachion skinął głową. — Jeszcze się nie zmieniał — zawołał do Radhy.

Po kilku minutach wszyscy zajęli pozycje. Jayewardene usiadł obok Pauli, a Robyn złożyła głowę na jej kolanach. Radha unosiła się jakieś trzy metry nad ziemią, trzymając w trąbie Tachiona, odległego od głowy małpy zaledwie o metr. Saul rozdarł koszulę, by zrobić opaski na oczy dla słonia i kosmity. Cały czas słyszeli wysilony oddech bestii.

— Lepiej zamknijcie oczy albo się odwróćcie — poradził Lankjczyk. Wszyscy go posłuchali.

Wizja przejęła kontrolę. Jayewardene wypuścił powietrze z płuc. Czuł woń wilgotnej dżungli. Słyszał śpiew ptaków i odległy warkot śmigłowców. Słońce kryło się za chmurą. Na nogę Lankjczyka wchodziła mrówka. Zaciśnął powieki. Mimo to rozbłysk był jasny jak flara. Towarzyszył mu ogłuszający grom. Jayewardene podskoczył mimo woli. Następnie odczekał

chwile i otworzył oczy.

Przez powidok pozostały po rozblysku zobaczył Tachiona kłęczącego przy chudym, nagim mężczyźnie rasy białej. Dziewczyna Słoń zadeptywała małe ognie, które zapaliły się w kręgu wokół nich.

— Jak wytłumaczę to ludziom z zoo w Central Parku? — zapytał Danforth z oszołomieniem na twarzy.

— Och, sam nie wiem — odparł Jayewardene, schodząc powoli ku Tachionowi. — Moim zdaniem to świetny PR.

Takizjanin pomógł wstać nagusowi. Mężczyzna był średniego wzrostu i miał raczej brzydłą twarz. Poruszył ustami, ale nie wy dobył się z nich żaden dźwięk.

— Chyba wyszedł z tego bez szwanku — stwierdził Tachion, wsuwając bark pod pachę tamtego. — Dzięki panu.

Lankjczyk potrząsnął głową i wy dobył z kieszeni spodni trzy identyczne koperty.

— Wydarzyło się to, co musiało się wydarzyć. Wkrótce z pewnością zjawią się żołnierze. Chcę, żeby przekazał im pan te koperty. Niech im pan powie, że są ode mnie. Jedna jest przeznaczona dla prezydenta, druga dla sekretarza stanu, a trzecia dla ministra spraw wewnętrznych. To moje rezygnacje.

Tachion przyjął kopert i schował je.

— Rozumiem.

— Zamierzam teraz odbyć pielgrzymkę na górę Sri Pada. Być może to pomoże mi osiągnąć cel. Uwolnić się od wizji.

— Panie Jayewardene — rzekł doktor. — Jeśli pielgrzymka nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, będę skłonny zrobić wszystko, co w mojej mocy, by panu pomóc. Być może jakiś mentalny tłumik pozbawiłby pana kontaktu z pańskim talentem. Jutro odlatujemy. Podejrzewam, że wasz rząd z radością się od nas uwolni. Ucieszyłbym się jednak, gdyby poleciał pan z nami.

Lankjczyk kukonił się, a potem podszedł do Pauli i Robyn.

— Panie Jayewardene — rzekła blondynka ochryłym głosem. Włosy miała skołtunione i pozlepiane błotem, a ubranie w strzępach. Lankjczyk starał się na nią nie patrzeć. — Dziękuję, że pomógł pan mnie uratować.

— Nie ma za co. Powinna pani jak najszybciej udać się do szpitala. Tylko na obserwację. — Spojrzał na Paulę. — Pragnąłbym odbyć teraz pielgrzymkę na górę. Czy zechciałaby pani mi towarzyszyć?

— No, nie wiem — odparła kobieta, spoglądając na przyjaciółkę.

— Idź — rzekła jej Robyn. — Nic mi nie będzie.

Paula spojrzała z uśmiechem na Lankjczyka.

— Z wielką chęcią.



Wielobarwny neon odbija się fragmentarycznie w mokrym chodniku. Ze wszystkich stron otaczają nas Japończycy, głównie mężczyźni. Gapią się na Sokolicę, otuloną pięknymi, złożonymi skrzydłami, ale ona patrzy przed siebie, ignorując ich.

Przeszliśmy razem długą drogę. Czuję ból w bokach i w stopach. Sokolica zatrzymuje się w zaułku i spogląda na mnie. Kiwam głową. Wchodzi powoli w ciemność. Idę za nią, uważając, by nie wyprodukować żadnego dźwięku, który przyciągnąłby do mnie uwagę. Czuję się beużyteczny, zupełnie jak cień. Sokolica rozpościera skrzydła, niemalże dotykając nimi zimnych, kamiennych murów po obu stronach zaułka. Potem składa je znowu.

W ulicze otwierają się drzwi. Są wypełnione światłem. Wychodzi z nich mężczyzna. Jest szczupły, wysoki, ma ciemną skórę, oczy kształtu migdałów i wysokie czoło. Wyciąga głowę ku przodowi i patrzy na nas.

— Fortunato? — pyta Sokolica.



Jayewardene przykucnął przy dogasających węgielkach ogniska. Kilkoro innych pielgrzymów siedziało bez słowa obok niego. Wizja go obudziła. Nawet tutaj nie było dla niego ucieczki. Choć pielgrzymka oficjalnie się nie skończy, dopóki nie wróci do domu, wiedział już, że wizje nie odejdą. Skaził go wirus dzikiej karty, a być może również lata spędzone za granicą. Nie był w stanie osiągnąć duchowej czystości i pełni. Przynajmniej w obecnym czasie.

Paula podeszła do niego od tyłu i położyła delikatnie dłonie na jego ramionach.

— Tu jest naprawdę pięknie.

Zgromadzeni przy ognisku pielgrzymi spoglądali na nią podejrzliwie. Jayewardene odprowadził ją na bok. Stanęli na skraju szczytu, patrząc na mroczną mgłę spowijającą podstawę góry.

— Każda religia ma własny pogląd na temat tego śladu — rzekł. — My wierzymy, że pozostawił go Budda. Hinduści twierdzą, że to był Śiwa. Muzułmanie zapewniają, że to właśnie Adam stał przez tysiąc lat, pokutując za utratę raj.

— Ktokolwiek to był, miał wielką stopę — zaważyła Paula. — Ten odcisk ma metr długości.

Słońce wysunęło się zza horyzontu, powoli rozświetlając skłębione mgły na dole. Oboje rzucali w półmroku olbrzymie cienie. Jayewardene wciągnął nagle powietrze.

— Widmo Brockenu — rzekł, zamykając oczy w modlitwie.

— O kurczę — zdumiała się Paula. — To chyba mój tydzień na gigantyczne rzeczy.

Jayewardene otworzył w westchnieniem oczy. Jego fantazje o Pauli były równie nierealistyczne, jak nadzieja, że dzięki pielgrzymce uwolni się od swej mocy. Byli jak dwa koła

zębate w zegarku — ich zęby się stykały, ale centra musiały na zawsze pozostać oddalone od siebie.

— To najrzadszy z oglądanych tu cudów. Można przychodzić na szczyt przez cały rok i ani razu nie zobaczyć tego, co ujrzeliśmy przed chwilą.

Paula ziewnęła i uśmiechnęła się blado.

— Chyba już czas wracać na dół.

— Tak. Już czas.



Danforth i Paula spotkali się z nim na lotnisku. Producent ogolił się, włożył czyste ubranie i wyglądał na niemal równie pewnego siebie, jak przed zaledwie kilkoma dniami. Paula miała na sobie szorty i obcisłą białą koszulkę. Sprawiała wrażenie gotowej stawić czoło dalszemu życiu. Jayewardene jej zazdrościł.

— Jak się ma panna Symmes? — zapytał.

Danforth wzniosł oczy ku niebu.

— Na tyle dobrze, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin trzy razy dzwoniła do swojego prawnika. Mam naprawdę przerąbane. Będę miał szczęście, jeśli nie wypadnę z obiegu.

— Niech jej pan zaoferuje kontrakt na pięć filmów i mnóstwo punktów rankingowych — zasugerował Jayewardene, wpychając w to jedno zdanie całą swą wiedzę o układach panujących w świecie filmowców.

— Niech pan wynajmie tego faceta, panie D. — Paula uśmiechnęła się, ujmując Jayewardene'a za ramię. — Może wyciągnąć pana z paru kabał, z którymi nawet ja sobie nie poradzę.

Danforth wsadził palce za pas, kołysząc się na palcach w przód i w tył.

— To niezły pomysł. Naprawdę całkiem niezły. — Ucisnęła dłoń Lankijczyka. — Nie wiem, co bym bez pana zrobił.

— Spłynął ze spuszczoną wodą. — Paula ucisnęła bark Lankijczyka. — Chyba nadszedł czas, by się pożegnać.

— Panie Jayewardene.

Młody kurier rządowy przepchnął się do nich przez tłum. Dyszał ciężko, ale poświęcił chwilę czasu na doprowadzenie munduru do porządku, zanim wręczył Jayewardene'owi kopertę z prezydentką pieczęcią.

— Dziękuję — powiedział Jayewardene i otworzył kopertę kciukiem.

Paula pochyliła się, by obejrzieć tekst, ale był napisany po syngalesku.

— Co tam jest napisane?

— Nie przyjął mojej rezygnacji i wysłał mnie na przedłużony urlop. To posunięcie nie jest

dla niego szczególnie bezpieczne. Jestem mu bardzo wdzięczny. — Ukłonił się Danforthowi i Pauli. — Obejrzą film, gdy tylko pokaże się w kinach.

— *King Pongo* — rzekł Danforth. — To z pewnością będzie potworny hit.



W samolocie było tłoczniej, niż się tego spodziewał. Ludzie krążyli po pokładzie już od chwili startu, rozmawiali, uskarżali się i pili. Sokolica stała w przejściu, rozmawiając z wysokim blondynem, który towarzyszył jej w barze. Mówili cicho, ale Jayewardene potrafił wyczytać z ich twarzy, że to nie jest przyjemna rozmowa. Sokolica odwróciła się od mężczyzny, zaczerpnęła głęboki oddech i podeszła do Lankijczyka.

— Czy mogę usiąść obok pana? — zapytała. — Poza panem znam wszystkich w tym samolocie. Niektórzy zdecydowanie lepiej, niż bym tego chciała.

— To dla mnie oszałamiający komplement — odparł. To była prawda. Jej twarz i woń były piękne, ale budziły lęk. Nawet w nim.

Uśmiechnęła się, rozciągając usta w niemal nieludzko atrakcyjny sposób.

— Ten mężczyzna, którego uratował pan na spółkę z Tachem, siedzi tam. — Wskazała na niego ruchem brwi. — Nazywa się Jeremiaś Strauss. Był kiedyś pomniejszym asem znanym jako Projekcjonista. Chyba wszyscy w tym samolocie jesteśmy nadzwyczajni. Ach, idzie do nas.

Strauss ruszył w ich stronę, przytrzymując się po drodze foteli. Był błądy i przerażony.

— Pan Jayewardene? — Wypowiedział jego nazwisko tak, jakby przez ostatnie dziesięć minut ćwiczył jego wymowę. — Nazywam się Strauss. Opowiedziano mi o wszystkim, co pan dla mnie zrobił. Chcę, żeby pan wiedział, że nigdy nie zapominał przysługi. Gdyby szukał pan pracy w Nowym Jorku, U Thant jest przyjacielem naszej rodziny. Coś wykombinujemy.

— To bardzo miło z pana strony, ale i tak bym panu pomógł.

Lankijczyk uściśnił jego rękę. Strauss uśmiechnął się, rozprostował ramiona i ruszył z powrotem do swego fotela.

— Myślę, że będzie potrzebował sporo czasu, żeby się przystosować — wyszeptala Sokolica. — Stracił ponad dwadzieścia lat życia. To bardzo dużo.

— Życzę mu jak najszybszego powrotu do normy. Trudno mi uzalać się nad sobą, kiedy pomyślę o nim.

— Uzalenie się nad sobą jest niezbywalnym prawem. — Sokolica ziewnęła. — Nie potrafię uwierzyć, że potrzebuję tak wiele snu. Powinnaś zdążyć uciąć sobie długą drzemkę, zanim dotrzemy do Tajlandii. Ma pan coś przeciwko temu, żebym wsparła się na pańskim ramieniu?

— Bynajmniej. Proszę je traktować jak własne. — Wyjrzał przez okno. — Australia. A co będzie po niej?

Wsparła głowę na jego ramieniu.

— Malezja, Wietnam, Indonezja, Nowa Zelandia, Hongkong, Chiny, Japonia. Fortunato. — To ostatnie słowo wypowiedziała tak cicho, że ledwie je usłyszał. — Wątpię, byśmy się na niego natknęli.

— Pani się natknie.

Miał nadzieję, że te słowa sprawią jej przyjemność, ale spojrzała na niego, jakby go przyłapała na grzebaniu w jej bieliźnie.

— Wie pan o tym? Zobaczył mnie pan w jednej ze swoich wizji?

Najwyraźniej ktoś opowiedział jej o jego mocy.

— Tak Przepraszam. Naprawdę nie mam nad nimi kontroli.

Zawstydzony Jayewardene wyjrzał przez okno.

Ponownie wsparła głowę na jego ramieniu.

— To nie pana wina. Proszę się nie przejmować. Jestem pewna, że Tach potrafił jakoś panu pomóc.

— Mam taką nadzieję.



Spała już ponad godzinę. Zjadł posiłek jedną ręką, żeby jej nie budzić. Pieczeń wołowa ciążyła mu w żołądku niczym kamień, wiedział jednak, że jakoś przeżyje zachodnią kuchnię do chwili, gdy dotrą do Japonii. Powietrze opływało metalową skórę samolotu z niskim buczeniem. Sokolica oddychała cicho tuż przy jego uchu. Jayewardene zamknął oczy i modlił się o to, by nic mu się nie przyśniło.



# W czasie snu

EDWARD BRYANT

W ostatnim miesiącu Cordelii Chaisson morderstwo nie śniło się już tak często. Dziwiła się, że w ogóle o nim pamięta. W końcu widziała znacznie gorsze rzeczy. Praca dla Globalnego Centrum Gier i Rozrywki zajmowała jej dni, a nocami trudziła się przy przygotowaniach do dobroczynnej imprezy na rzecz ofiar AIDS i wirusa dzikiej karty, która miała się odbyć w maju w Gabinetce Luster, należącym do Xaviera Desmonda lokalu w Dżokerowie. Z reguły kładła się spać długo po wiadomościach o jedenastej. Piąta rano nadchodziła stanowczo za wcześnie.

Ale czasami złe sny nadal ją nawiedzały.

Wychodziła ze stacji przy Czternastej Ulicy, stulając ostro obcasami o brudny beton. Z góry dobiegały ją odgłosy ruchu ulicznego. Nagle usłyszała głos, kilka stopni nad nią, na poziomie ulicy.

— Dawaj portfel, ty suko!

Zawahała się, lecz po chwili ruszyła naprzód. Bała się, ale...

Potem rozległ się drugi głos, mówiący z australijskim akcentem.

— Hej, koledzy. Macie jakiś problem?

Cordelia wyszła w upalną noc i ujrzała dwóch nieogolonych białych wyrostków, którzy zapędzili kobietę w średnim wieku w lukę między krótkim szeregiem automatów telefonicznych a tylną ścianą zamkniętego kiosku. Kobieta mocno ścisnęła torebkę oraz ujadającego czarnego pudła.

Smukły, opalony mężczyzna — zapewne Australijczyk, pomyślała Cordelia — zwracał się ku dwóm chłopakom. Miał na sobie strój barwy piasku, wyglądający jak prostsza i bardziej autentyczna wersja ubrań oferowanych w sklepach Banana Republic. W ręce trzymał błyszczący nóż.

— Masz jakiś problem, synku? — powtórzył.

— Nie mam żadnego problemu, pojebie — odwrócił jeden z wyrostków. Wyciągnął spod kurtki pistolet o krótkiej lufie i strzelił Australijczykowi prosto w twarz.

Wszystko to wydarzyło się za szybko, by Cordelia zdążyła zareagować. Mężczyzna padł na chodnik, a napastnicy uciekli. Krzyki kobiety na chwilę zharmonizowały się z ujadaniem jej pudła.

Cordelia podbiegła do mężczyzny i uklękła przy nim. Dotknęła jego szyi w poszukiwaniu tętna. Było ledwie wyczuwalne. Zapewne za późno na resuscytację. Odwróciła spojrzenie od krwi

gromadzącej się pod głową Australijczyka. Jej słodki, metaliczny zapach przyprawiał ją o mdłości. Gdzieś niedaleko zawyła syrena.

— Nadal mam portfel! — zawołała kobieta.

Twarzą mężczyzny targnął skurcz. Potem nadeszła śmierć.

— Cholera — mruknęła Cordelia, cicho i bezradnie. Nie mogła mu już pomóc.



*Będą kłopoty* — pomyślała Cordelia, gdy nieznamy mężczyzna w ciemnym garniturze wezwał ją skinieniem do gabinetu jednej z kierowniczek GCGiR. Przy biurku stały dwie kobiety, oglądające stertę wydruków. Twarda, rudowłosa Polly Rettig odpowiadała za marketing w dziale usług satelitarnych GCGiR i była bezpośrednią przełożoną Cordelii. Drugą kobietą była Luz Alcala, wiceprezes działu programowego i szefowa Rettig. Żadna z nich się nie uśmiechała, co nie było dla nich typowe. Mężczyzna w czarnym garniturze zamknął drzwi i stanął pod nimi z założonymi rękami. *Ochroniarz?* — pomyślała dziewczyna.

— Dzień dobry, Cordelio — rzekła Polly Rettig. — Usiądź, proszę. Zaraz się tobą zajmimy.

Potem skierowała uwagę z powrotem na Alcalę, pokazując jej ręką coś na wydruku.

Luz Alcala skinęła z namysłem głową.

— Albo kupimy to pierwi, albo zostaniemy na lodzie. Może powinniśmy wynająć kogoś dobrego...

— Nawet o tym nie myśl — sprzeciwiła się Rettig, marszcząc lekko brwi.

— To może się okazać konieczne — zauważyła Alcala. — On jest niebezpieczny.

Cordelia usilnie starała się nie robić wrażenia zdezorientowanej.

— Jest też zbyt potężny. — Polly Rettig spłótła dłonie i zwróciła się w stronę Cordelii.

— Powiedz mi, co wiesz o Australii.

— Widziałam wszystko, co Peter Weir w życiu nakręcił — odparła dziewczyna po chwili wahania. Co tu było grane?

— Nigdy tam nie byłaś?

— Nigdy nie byłam dalej od domu niż w Nowym Jorku.

„Dom” to była gmina Atelier w Luizjanie i Cordelia wołała o nim nie myśleć. Właściwie dla niej nie istniał.

Paula Rettig spojrzała na Luz Alcalę.

— Co o tym myślisz?

— Myślę, że tak — Starsza kobieta wzięła w rękę grubą kopertę i przesunęła ją po blacie w stronę Cordelii. — Otwórz to, proszę. — W środku był paszport, plik biletów lotniczych, karta American Express oraz mniejsza koperta, wypełniona czekami i podróżnymi. — Będziesz musiała to wszystko podpisać — dodała Luz Alcala, wskazując na czek i kartę kredytową.

Cordelia oderwała bez słowa wzrok od uśmiechniętej twarzy widocznej na zdjęciu przytwierdzonym do pierwszej strony paszportu.

— Niezła fotka — zauważyła. — Nie przypominam sobie, żebyś składała wniosek

— Było za mało czasu — wyjaśniła Polly Rettig przeproszającym tonem. — Dlatego zrobiliśmy to za ciebie.

— Rzecz w tym, że dziś po południu odlatujesz na drugi koniec świata.

Cordelia była oszołomiona, ale niemal natychmiast poczuła narastającą ekscytację.

— Do Australii?

— Regularnym rejsem — dodała Alcala. — Z postojami w Los Angeles, Honolulu i Auckland dla uzupełnienia paliwa. W Sydney złapiesz samolot linii Ansett do Melbourne, a potem następny, do Alice Springs. Tam wynajmiesz landrover i pojedziesz do Madhi Gap. Czeka cię pracowity dzień — dodała z ironią.

W umyśle Cordelii tłoczyło się tysiąc myśli jednocześnie.

— Ale co z moją pracą tutaj? I nie mogę też zapomnieć o imprezie dobroczynnej... W weekend miałam pojechać do New Jersey, żeby pogadać z Buddy'm Hollym...

— Buddy zaczęła na twój powrót. Cały bal też może zacząć — oznajmiła stanowczo Polly Rettig. — PR jest ważny, ale Dżokerska Liga przeciw Zniesławieniu i Manhattański Projekt na rzecz ofiar AIDS nie płacą ci pensji. To służbowe polecenie GCGiR.

— Ale...

— To ważne.

Alcala nadała swemu głosowi ton nieodwołalności.

— Ale o co chodzi? — Cordelia czuła się, jakby słuchała ciotki Alicji z Radia w Krainie Czarów. — Co tu jest grane?

— Widziałas promocyjne programy dotyczące planów stworzenia światowej sieci programów rozrywkowych przelazowy ch drogą satelitarną? — zapytała Luz Alcala, starannie dobierając słowa.

Cordelia skinęła głową.

— Myślałam, że to stanie się realne dopiero za wiele lat.

— Bo tak było. Ale cały projekt hamował tylko brak kapitału inwestycyjnego.

— Zdobyliśmy pieniądze — oznajmiła Polly Rettig. — Uzyskaliśmy wsparcie zaprzyjaźnionych inwestorów. Teraz potrzebujemy tylko czasu satelitarnego oraz naziemnych stacji, które będą przelazywały nasze programy.

— Niestety — dodała Luz Alcala — nagle okazało się, że mamy konkurenta, również ubiegającego się o usługi kompleksu telekomunikacyjnego w Madhi Gap. Jest nim człowiek znany jako Leo Barnett.

— Ten telewizyjny kłamodziej?

Luz Alcala skinęła głową.

— Nienawidzący asów, nietolerancyjny sukinsyn, psychol i gatunkowy szowinista — dodała Polly Rettig. — Ten telewizyjny kłamodziej. Niektórzy zwą go Ognioustym.

— I wysyłacie mnie do Madhi Gap? — zapytała podekscytowana Cordelia. Niewiarygodne — pomyślała. To brzmiało za dobrze, by mogło być prawdą. — Dziękuję! Dziękuję serdecznie. Wykonam znakomitą robotę.

Obie kobiety wymieniły spojrzenia.

— Spokojnie — odezwała się Luz Alcala. — Jedziesz tam jako asystentka. Nie będziesz prowadziła negocjacji.

*To rzeczywiście było za dobre, by mogło być prawdą. Cholera* — pomyślała.

— Poznaj pana Carlucciego — dodała kobieta.

— Jestem Marty — zabrzmiał nosowy głos za jej plecami.

Dziewczyna odwróciła się i przyjrzała uważnie mężczyźnie, którego przedtem zlekceważyła jako wynajętego pomocnika. Średni wzrost, krępa budowa, czarne, elegancko uczesane włosy. Carlucci się uśmiechnął. Wyglądał jak zbir. Sympatyczny, ale zbir. Jego garnitur nie sprawiał wrażenia kupionego w supermarkecie. Gdy przyjrzała mu się uważniej, zauważyła, że jest świetnie uszyty.

Carlucci wyciągnął rękę.

— Jestem Marty — powtórzył. — Jeśli mamy spędzić całą dobę w samolocie, możemy przynajmniej się zaprzyjaźnić, tak?

Cordelia wyczuła dezaprobatę obu starszych kobiet. Ujęła dłoń Carlucciego. Nie uprawiała sportu, ale wiedziała, że ma mocny uścisk. Wyczuła, że mógłby zmiażdżyć jej palce znacznie silniej, gdyby tylko zechciał. Za zasłoną jego uśmiechu wyczuwała błysk czegoś drapieżnego. Lepiej mu się nie narażać.

— Pan Carlucci reprezentuje wielką grupę inwestorów, która zawarła z nami spółkę celem zdobycia dużych udziałów w globalnej sieci satelitarnej rozrywki — wyjaśniła Luz Alcala. — Dostarczą część kapitału, który ma nam umożliwić założenie sieci.

— To cała fura dolarów — zapewnił Carlucci. — Ale powinno wystarczyć jakieś pięć lat, żebyśmy zarobili dziesięć razy więcej. Jestem przekonany, że przy naszych zasobach i waszych możliwościach pozyskiwania talentów — uśmiechnął się szeroko — możliwość porażki nie istnieje. Wszyscy wyjdą na swoje.

— Chcemy nasycić australijski rynek — dodała Luz Alcala — a naziemna stacja jest już na miejscu. Potrzebujemy tylko podpisu na kontrakcie.

— Potrafię być bardzo przekonujący.

Carlucci znowu się uśmiechnął. Cordelii przy pominał szczerzącą zęby barrakudę. Albo może wilka. Jakieś drapieżne stworzenie. I z pewnością przekonujące.

— Lepiej jedź się spać, moja droga — ciągnęła Luz Alcala. — Spróbuj się pomieścić w jednej torbie. Ciuchy na cały tydzień. Jeden elegancki kostium i drugi wygodny, na wypadu w teren. Jeśli będziesz potrzebowała czegoś więcej, możesz to kupić na miejscu. Alice Spring leży na pustkowiu, ale to cywilizowane miasto.

— To nie Brooklyn — zapewnił Carlucci.

— Z całą pewnością nie — zgodziła się Luz Alcala.

— Bądź na lotnisku Tomlin o czwartej — dodała Polly Rettig.

Cordelia przeniosła spojrzenie z Carlucciego na obie obecne w pokoju kobiety.

— Przedtem mówiłam szczerze. Dziękuję. Wykonam dobrą robotę.

— Wiem o tym, moja droga — zapewniła Luz Alcala. W jej ciemnych oczach nagle pojawił się wyraz zmęczenia.

— Mam taką nadzieję — dodała Paula Rettig.

Dziewczyna wiedziała, że łażą jej odejść. Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

— Do zobaczenia w samolocie — rzucił Carlucci. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko paleniu.

Wahała się tylko przez mgnienie oka.

— Mam.

Carlucci po raz pierwszy zmarszczył brwi. Polly Rettig wyszczerzyła szeroko zęby. Nawet Luz Alcala się uśmiechnęła.



Cordelia dzieliła z jedną współlokatorką mieszkanie w wysokościowcu przy Maiden Lane, nieopodal Woolworth Building i Mauzoleum Śmiga. Veroniki nie było w domu, napisała więc do niej krótki liścik. Potrzebowała zaledwie dziesięciu minut, by spać wszystko, czego mogła potrzebować podczas podróży. Potem zadzwoniła do wujka Jacka i zapytała go, czy może się z nią spotkać, zanim wsiądzie do Tomlin Express. Mógł. To był jeden z jego wolnych dni.

Gdy wyszła na ulicę, czekał już na nią w restauracji. Nic w tym dziwnego. Znał się metra na Manhattanie lepiej niż ktokolwiek inny.

Widząc wujka, zawsze czuła się, jakby patrzyła w lustro. Co prawda był facetem, był od niej dwadzieścia pięć lat starszy i ze trzydzieści kilogramów cięższy, ale ciemne włosy i oczy wyglądały tak samo u obojga, podobnie jak kości policzkowe. Istniało też inne, mniej dotykalne podobieństwo. Oboje już w młodych latach utracili nadzieję na normalne życie w Luizjanie i uciekli do Nowego Jorku.

— Cześć, Cordie.

Jack wstał, uściśnął ją mocno i pocałował w policzek

— Lecę do Australii, wujku Jacku.

Nie zamierzała zdradzać tej niespodzianki tak szybko, ale słowa same wyszły jej z ust.

— Nie żartuj — odparł z uśmiechem. — Kiedy?

— Dzisiaj.

— Tak? — Usiadł, rozpięrając się wygodnie na obitym zieloną sztuczną skórą siedzeniu. — Jak do tego doszło?

Opowiedziała mu o spotkaniu.

Zmarszczył brwi na wzmiankę o Carluccim.

— Wiesz, co sobie myślę? Suzanne, to znaczy Trampula, często odwiedza Rosemary w biurze prokuratora i opowiada mi potem różne historie. Nie wiem wszystkiego, ale wystarczająco wiele. Chyba mówimy o forsie Rodziny Gambione.

— GCGiR nie posunęłoby się do czegoś takiego — sprzeciwiła się Cordelia. — To uczciwa firma, nawet jeśli inwestuje w magazyny soft porno.

— Desperacja rodzi szczególny rodzaj ślepoty. Zwłaszcza jeśli pieniądze wyprano w Hawanie. Wiem, że Rosemary próbuje przestawić Rodzinę na legalne przedsięwzięcia. Telewizja satelitarna zapewne się do takich zalicza.

— Mówimy o mojej pracy — sprzeciwiła się Cordelia.

— Lepsze to niż być dziwką u wielkiego F.

Poczuła, że policzki się jej czerwieńią. Jack zrobił skruszoną minę.

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem być złośliwy.

— Posłuchaj, to dla mnie naprawdę wielki dzień. Chciałam podzielić się z tobą radością.

— Doceniam to. — Pochylił się nad laminowanym blatem. — Wiem, że świetnie sobie poradzisz na antypodach. Ale jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy albo czegokolwiek, po prostu zadzwoń.

— Z drugiego końca świata?

Skinął głową.

— Odległość nie ma znaczenia. Nawet jeśli nie będę w stanie zjawić się tam osobiście, spróbuję coś ci poradzić. A gdybyś naprawdę potrzebowała fizycznej obecności długiego na ponad cztery metry aligatora — uśmiechnął się — ...daj mi osiemnaście godzin. Wiem, że dasz radę utrzymać każdy fort przez tak długi czas.

Wiedziała, że Jack mówi szczerze. Dlatego był jedyną osobą w całym klanie Robicheaux, która cokolwiek dla niej znaczyła.

— Nic mi się nie stanie. To będzie świetne.

Wstała i wyszła z boksu.

— Nie chcesz kawy?

— Nie mam czasu. — Uniosła skórzaną torbę. — Muszę wsiąść w najbliższy pociąg do Tomlin.

Proszę, pozdrów ode mnie C.C. Trampulę i koty też.

Skinął głową.

— Nadal chcesz dostać kotka?

— Lepiej w to uwierz.

— Odprowadzę cię na stację.

Wstał i wziął od niej torbę. Opierała się tylko przez krótką chwilę, zanim pozwoliła mu na to z uśmiechem.

— Chciałbym, żebyś coś sobie zapamiętała — powiedział jej.

— Nie rozmawiaj z nieznanymi mi? Pamiętaj brać pigułkę? Jedz warzywa?

— Nie gadaj głupot — odrzekł z sympatią. — Nasze talenty mogą być spokrewnione, ale nadal pozostają inne.

— Mnie raczej nie przerobią na walizkę — zauważyła Cordelia.

Zignorował jej słowa.

— Wykorzystałaś gadzi poziom swego mózgu, by przejąć kontrolę w sytuacjach związanych z użyciem przemocy. Zabijałaś ludzi w obronie własnej. Nie zapominaj, że twoja moc może również służyć życiu.

— Nie wiem, jak to zrobić — wyznała oszołomiona dziewczyna. — Ona mnie przeraża. Wolałabym ją ignorować.

— Ale to niemożliwe. Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Przeszli przez ulicę, omijając taksówki, i dotarli do wejścia do metra.

— Widziałeś jakiś film Nicolasa Roega? — zapytała Cordelia.

— Wszystkie.

— Może to będzie mój walkabout.

— Tylko żebyś wróciła w jednym kawałku.

Uśmiechnęła się.

— Potrafię sobie poradzić z samcem amerykańskiego aligatora, więc australijskie krokodyle też nie powinny być dla mnie zbyt groźne.

Jack również się uśmiechnął, ciepło i przyjaźnie. Przy okazji odsłonił jednak wszystkie zęby. Był zmiennokształtnym, a Cordelia nie, ale rodzinne podobieństwo łatwo było zauważyć.



Gdy znalazła Marty'ego Carlucciego w terminalu United Airlines na lotnisku Tomlin, zauważyła, że ma on drogą torbę podróżną ze skóry aligatora oraz dyplomatkę z tego samego materiału. Nie ucieszyła się z tego widoku, ale raczej nie mogła nic na to powiedzieć.

Kobieta obsługująca komputer dała im miejsca w pierwszej klasie oddalone od siebie o jeden rząd — dla palących i niepalących. Cordelia podejrzewała, że jej płucom nie zrobi to większej różnicy, uważała jednak, że powinna złożyć moralną deklarację. Poza tym będzie się lepiej czuła, nie musząc ciągle ocierać się o niego ramieniem.

Gdy boeing 747 wylądował na lotnisku w Los Angeles, większa część ekscytacji wywołanej podróżą zdążyła już wygasnąć. Następne dwie godziny Cordelia poświęciła głównie na wpatrywanie się w zapadającą ciemność i zastanawianie się, czy będzie miała kiedykolwiek okazję zobaczyć Ranczo La Brea, Watts Towers, Disneyland i Park Narodowy Owadów Olbrzymich — najslawniejsze atrakcje turystyczne Los Angeles. Kupiła sobie w sklepie z pamiątkami kilka książek w miękkiej oprawie. Wreszcie wezwano ją i Carlucciego do samolotu Air New Zealand. Podobnie jak na pierwszym etapie podróży przydzielono im miejsca w pierwszej klasie, po przeciwnych stronach granicy dzielącej czynnych palaczy od biernych.

Carlucci chrapał przez większą część lotu do Honolulu. Cordelia nie była w stanie zasnąć. Dzieliła swój czas między nowy kryminał Jima Thompsona a wyglądanie przez okno na skąpany w księżycowym blasku Pacyfik widoczny jedenaście tysięcy metrów poniżej.

W Honolulu oboje z Carluccim zamienili część swych czeków podróżnych na australijskie dolary.

— Kurs jest korzystny — oznajmił mężczyzna, wskazując na tabelę przyklepioną do okna kantoru. — Sprawdziłem w gazecie, zanim opuściliśmy Stany.

— Nadal jesteśmy w Stanach.

Zignorował ją.

— Dużo pan wie o finansach? — zapytała, próbując podtrzymać rozmowę.

— Ukończyłem Wharton School of Finance and Commerce — odparł z dumą w głosie.

— Pełen kurs. Rodzina za to zapłaciła.

— Ma pan bogatych rodziców?

Ponownie ją zignorował.

Jumbo jet nowozelandzkiej linii lotniczych wystartował w dalszą drogę. Pasażerom podano ostatni posiłek przed długą nocą, którą zajmie im lot do Auckland. Gdy przygaszono światła, Cordelia włączyła światelko do czytania, ale po chwili usłyszała dobiegający z przodu głos Carlucciego.

— Prześpij się trochę, mała. Jet lag będzie wystarczająco dokuczliwy. Przed nami jeszcze większa część Pacyfiku.

Uświadomiła sobie, że mężczyzna ma sporo racji. Zaczekała jeszcze parę minut, by wyglądało na to, że to jej pomysł, a potem zgasiła światło, otuliła się kocem i wcisnęła w fotel, by móc wyglądać przez okno. Ekscytacja zniknęła niemal całkowicie. Dotarło do niej, że naprawdę



jest zmęczona.

Nie wiedziała żadnych chmur, tylko błyszczący ocean. Zdumiewało ją, że cokolwiek może być aż tak bezkresne. Aż tak enigmatyczne. Przyszło jej na myśl, że Pacyfik mógłby połączyć jumbo jeta i na wodzie nie pozostałaby nawet najmniejsza zmarszczka.



*Eer-moonany!*

Te słowa nic dla niej nie znaczyły.

*Eer-moonany.*

Fraza była bardzo cicha, właściwie tylko szeptał w jej umyśle.

Cordelia otworzyła raptownie oczy. Coś tu było bardzo nie w porządku. Uspokajająca vibracja silników jumbo jeta zmieniła ton, zmieszała się z szumem nasilającego się wiatru. Dziewczyna poczuła nagle, że koca ją dławi, i próbowała go z siebie zrzucić. Wspięła się na oparcie fotela przed sobą, wbijając paznokcie w chłodną skórę.

Spojrzała na drugą stronę przejścia i wciągnęła gwałtownie oddech. Patrzyła prosto w szeroko rozwarte, zaskócone, martwe oczy Marty'ego Carlucciego. Jego ciało nadal zwracało się ku przodowi, ale głowę obrócono mu o sto osiemdziesiąt stopni. Z jego uszu i ust powoli wypływała lepka krew, gromadząca się również pod oczami i pokrywająca kości policzkowe.

Głowę Cordelii wypełnił jej własny krzyk. To było tak, jakby krzyczała w beczce. Wreszcie zdołała się uwolnić od koca. Wstała i rozejrzała się wkoło z niedowierzaniem.

Nadal znajdowała się w jumbo jecie. A jednocześnie stała na pustyni. Jeden obraz nakładał się na drugi. Poruszyła stopami. Poczuła pod nimi szorstki piasek i usłyszała jego szelest. W przejściu rosły karłowate krzewy, kołyszące się na wznagającym się wietrze.

Wnętrze samolotu ciągnęło się dalej, niż była w stanie sięgnąć wzrokiem. Ku ogonowi wszystko zmniejszało się w perspektywie. Nie dostrzegała żadnych śladów ruchu.

— Wujku Jacku! — zawołała, ale rzecz jasna nikt jej nie odpowiedział.

Nagle usłyszała wycie. Głuchy ton podnosił się i opadał, zbliżając się z każdą chwilą. Daleko w kabinie dla pasażerów, w przejściu, które było również pustynią, ujrzała pędzące ku niej sylwetki. Sądzące wielkimi susami niczym wilki stworzenia wypadły z przejścia i zaczęły się wdrapywać na oparcia foteli.

Cordelia poczuła intensywny odór zgnilizny. Wygramoliła się do przejścia i zaczęła się cofać, aż wreszcie oparła się plecami o przednią gródź.

Stworzenia były słabo widoczne w półmroku. Nie miała nawet pewności, ile ich jest. Przypominały wilki. Ich pazury stuknęły o oparcia foteli i rozdzierały pokrywającą je skórę. Głowy nie przypominały jednak wilczych. Pyski były krótkie i tępo zakończone, a szyje otaczały kołnierze z błyszczących kolców. Oczy były czarnymi dziurami, ciemniejszymi niż otaczająca je

noc.

Wbiła spojrzenie w ich zęby. Długich, przypominających igły kłów było po prostu zbyt wiele, by mogły się pomieścić w pyskach. Zęby zgrzytały i stukwały o siebie, a spomiędzy nich tryskała czarna ślina.

Sięgnęły ku niej.

*Ruszaj się, do cholery!* Ten głos rozległ się w jej głowie. To był jej głos. *Ruszaj się!*

Zęby i pazury szukały jej gardła.

Odskoczyła na bok. Pierwszy wilkopodobny stwór wyrznął w gródź, zawył z bólu i podniósł się niepewnie na nogi. W tej samej chwili druga rozpedzona bestia grzmotnęła w jego żebra. Dziewczyna przelazła nad szamoczącymi się potworami i schowała się w wąskim przejściu do kuchni.

*Skup się!* Cordelia wiedziała, co musi zrobić. Nie była Chuckiem Norrisem ani nie miała ze sobą uzi. Miała tylko chwilę wytchnienia, gdy wilkopodobne stwory warczały na siebie i kłapały zębiskami. Żałowała, że nie ma z nią Jacka, ale na to nic nie mogła poradzić. *Skup się* — powtórzyła.

Jeden z tępo zakończonych pysków zajął do kuchni od drugiej strony. Cordelia spojrzała w parę śmiercionośnych, matowoczarnych ślepiów.

— Zdychaj, ty sukiny — zawołała. Wyczuła moc narastającą na gadzim poziomie jej mózgu, poczuła, jak wypływa ona w obcy umysł stwora, uderzając prosto w pień mózgu. Cordelia odłączyła jego serce i oddychanie. Bestia próbowała jeszcze podpełznąć do niej, lecz zaraz osunęła się na podłogę.

Za rogu wyjrzał następny potwór. Ile ich było? Spróbowała się zastanowić. *Sześć*, osiem, nie była pewna. Pojawił się kolejny tępo zakończony pysk. Dalsze pazury i błyszczące zęby. *Zdychaj!* Poczuła, że moc z niej odpływa. Nigdy przedtem nie zaznała podobnego wrażenia. To było tak, jakby próbowała biec po ruchomych piaskach.

W wejściu utworzył się już spory stos ciał wilkopodobnych potworów. Ocalałe bestie przelazły przez niego, próbując skakać w jej stronę. Ostatniemu stworzeniu udało się przedrzeć do wnętrza kuchni.

Cordelia spróbowała wyłączyć jego mózg, ale poczuła, że jej moc zanika. Gdy zębata paszcza sięgnęła ku jej gardłu, dziewczyna złączyła dłonie, zaciskając je w jedną pięść, i spróbowała odtrącić pysk na bok. Jeden z kłóców tworzących kołnierz wbił się w jej lewą dłoń, a gorąca ślina zbryzgała jej twarz.

Szybki rytm oddechu stworzenia zwolnił, a potem umilkł, gdy ciało zważyło się na jej stopy. Cordelia poczuła jednak chłód, rozprzestrzeniający się z jej dłoni wzdłuż ramienia. Złapała wbity w lewą dłoń kolec, wyrwała go i odrzuciła na bok, ale zimno nie ustąpiło.

*Zaraz dotrze do serca* — pomyślała, i to było ostatnie, co przemknęło przez jej umysł. Poczula, że mdleje, spada przez patchwork monstualnych ciał. Jej uszy wypełnił szum wiatru, a oczy utonęły w ciemności.



— Hej, mała! Nic ci nie jest? Co się stało?

Mężczyzna mówił z nowojorskim akcentem. To był Marty Carlucci. Cordelia otworzyła z wysiłkiem oczy. Carlucci pochylał się nad nią. Jego usta pachniały miętową pastą do zębów. Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią lekko.

— *Eer-moonany* — wyszeptała słabo.

— Hę? — zapytał Carlucci ze zdziwioną miną.

— Jesteś martwy.

— Masz cholerną rację — zgodził się. — Nie wiem, jak długo spałem, ale czuję się okropnie. A jak z tobą?

Wspomnienia nocy wróciły gwałtownie.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Niedługo lądujemy. Do Auckland zostało jeszcze jakieś pół godziny. Jeśli chcesz zajrzeć do toalety, trochę się umyć i tak dalej, to lepiej się pośpiesz. — Zdjął palce z jej ramienia.

— W porządku?

— W porządku — zgodziła się drżącym głosem. Czula się, jakby jej głowę wypełniono wilgotną bawełną. — Nic się nikomu nie stało? W samolocie nie ma stada potworów?

Carlucci przyjrzał się jej z uwagą.

— Chyba żeby liczyć turystów. Hej, miałaś złe sny? Chcesz kawy?

— Kawy. Tak Dziękuję. — Wzięła torbę i wyszła do przejścia. — Dziękuję. Koszmary. Okropne.

W łazience przemywała sobie twarz na przemian zimną i ciepłą wodą. Umycie zębów pomogło. Połknęła trzy midole i rozczesła włosy, po czym zrobiła sobie makijaż, na ile pozwalały na to warunki. Wreszcie przejrzała się w lustrze i potrząsnęła głową.

— Cholera — powiedziała sobie. — Wyglądasz na trzy dzieci lat.

Śwędziła ją lewa dłoń. Uniosła ją przed twarz i przyjrzała się zaczerwienionej ranie. Może skaleczyła się o coś przez sen i to właśnie spowodowało koszmar. A może to był stygmat. Obie możliwości wydawały się równie nieprawdopodobne. Może to jakiś nowy, dziwaczny efekt uboczny menstruacji? Cordelia potrząsnęła głową. Nic z tego nie miało sensu. Zalała ją słabość i musiała usiąść na pokrywie toalety. Czula się, jakby ktoś przepłukał jej wnętrze czaszki. Być może rzeczywiście spędziła większą część nocy na walce z potworami.

Uświadomiła sobie, że ktoś puła do drzwi łazienki. Reszta pasażerów również chciała się

przygotować do lądowania w Nowej Zelandii. Miała tylko nadzieję, że to nie będą wilkopodobne potwory...



Poranek był słoneczny. Północna wyspa Nowej Zelandii miała intensywnie zieloną barwę. Jumbo jet dotknął ziemi z tylko leciutkim wstrząsem, a potem czekał dwadzieścia minut, aż ludzie ze Służby Ochrony Rolnictwa wejdą na pokład. Cordelia nie spodziewała się tego. Przyglądała się z oszołomieniem młodym, uśmiechniętym mężczyznom w eleganckich mundurach, którzy chodzili wzdłuż przejść, spryskując wszystko aerozolem z trzymany ch w obu rękach puszek. Coś w tej scenie przypominało jej przewrotnie o tym, co czytała o ostatnich chwilach życia Śmiga.

Carlucciemu najwyraźniej nasunęła się podobna myśl. Obiecał, że nie będzie palił, i przesiadł się na fotel obok niej.

— Mam nadzieję, że to tylko środek owadobójczy — mruknął. — To byłby naprawdę paskudny numer, gdyby się okazało, że to wirus dzikiej karty.

Gdy pasażerowie przestali już szeptać, narzekać, charczeć i kasłać, jumbo jet podjechał do terminalu i wszyscy wysiedli. Pilot powiedział im, że mają dwie godziny, zanim samolot wyruszy na ostatni etap drogi, do odległego o ponad półtora tysiąca kilometrów Sydney.

— Wystarczy, żeby rozprostować nogi, kupić trochę pocztówek i wykonać kilka telefonów — stwierdził Carlucci. Cordelia również ucieszyła się na myśl, że będzie się mogła trochę przejść.

Gdy znaleźli się w głównym terminalu, Carlucci oddalił się, by zamówić transpacyficzne rozmowy. Panował tu wyjątkowy tłok. Cordelia zauważyła w oddali ekipy kamerzystów. Ruszyła ku drzwiom wyjściowym.

— Cordelio! — usłyszała nagle za sobą. — Panno Chaisson!

To nie był głos Carlucciego. Kto to był, do licha? Odwróciła się i ujrzała zdumiewająco rude włosy oraz twarz przywodzącą nieco na myśl Errola Flynna w *Kapitanie Bloodzie*. Tyle że Flynn nigdy nie ubierał się tak jaskrawo, nawet w kolorowych *Adventures of Captain Fabian*.

Cordelia zatrzymała się z uśmiechem.

— Czy w końcu polubił pan muzykę new wave? — zapytała.

— Nie — odparł doktor Tachion. — Obawiam się, że nie polubiłem.

— Coś mi się zdaje, że nasz dobry Tachy nigdy nie polubi nic nowszego od Tony'ego Bennetta — wtrąciła skrzydlata kobieta stojąca obok kosmity, szeleszcząc prosto skrojoną, obszerną suknią z niebieskiego jedwabiu. Cordelia zamrugła. Sokolicy trudno by było nie poznać.

— Jesteś niesprawiedliwa, moja droga. — Takizjanin uśmiechnął się do towarzyski. — Mam swoich ulubieńców wśród dzisiejszych wykonawców. Na przykład, bardzo mi się podoba Placido Domingo. — Ponownie spojrzął na Cordelię. — Zapominam o dobrym wychowaniu. Cordelio, czy poznałaś już oficjalnie Sokolicę?

Cordelia uściśnęła wyciągniętą do niej rękę.

— Od paru tygodni próbuję się skontaktować z pani agentem. Miło mi panią poznać.

*Zamknij się* — powiedziała sobie. *Nie bądź nieuprzejma.*

Sokolica spojrzała na nią swymi oszalałymi oczyma.

— Przepraszam — rzekła. — Chodzi o tę dobroczynną imprezę w klubie Desa? Obawiam się, że byłam niewiarygodnie zajęta kończeniem innych projektów i przygotowaniem do tej podróży.

— Sokolico — odezwał się Tachion. — Ta młoda kobieta to Cordelia Chaisson. Znamy się z kliniki. Często przychodzi z przyjaciółmi odwiedzić C.C. Ryder.

— C.C. będzie mogła wystąpić w Gabinetce Luster — poinformowała ich Cordelia.

— To by było świetnie — ucieszyła się Sokolica. — Od dawna podziwiam jej twórczość.

— Może powinniśmy wszyscy gdzieś usiąść i czegoś się napić — zaproponował Tachion i uśmiechnął się do Cordelii. — Senator miał nam załatwić przewóz do Auckland, ale nastąpiła zwłoka i obawiam się, że jesteśmy na jakiś czas uwięzieni na lotnisku. — Obejrzał się za siebie. — Muszę też przyznać, że staramy się unikać reszty grupy. W samolocie stykamy się ze sobą zbyt często.

Cordelia poczuła, że kusząca obietnica świeżego powietrza oddała się od niej.

— Mam tylko jakieś dwie godziny — odparła z wahaniem. — Dobra, napijmy się czegoś.

Ruszyli w stronę restauracji. Cordelia nigdzie nie widziała Carlucciego. Z pewnością poradzi sobie sam. Zauważyła, że wielu ludzi się im przygląda. Jak zwykle część uwagi przyciągał Tachion dzięki swym włosom oraz strojowi, ale większość gapiła się na Sokolicę. Nowozelandzcy najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni do widoku wysokiej, pięknej kobiety z funkcjonalnymi skrzydłami. Wyglądała naprawdę spektakularnie. Cordelia musiała przyznać, że świetnie byłoby mieć taki wygląd, postawę i prezencję. Nagle poczuła się bardzo młoda. Prawie jak dziecko. Nieadekwatna. Niech to szlag.



Cordelia z reguły piła kawę z mlekiem, ale jeśli od czarnej przejaśni się jej w głowie, była gotowa jej spróbować. Uparła się, żeby wszyscy troje zaczęli na stolik przy oknie. Jeśli nie będzie miała okazji odetchnąć miejscowym powietrzem, chciała przynajmniej usiąść kilka centymetrów od niego. Kolory obcych drzew przypominały jej zdjęcia Półwyspu Monterey, które widziała.

— Chyba powinnam powiedzieć „jaki ten świat jest mały” albo coś w tym rodzaju — odezwała się, gdy kelnerka przyjęła już ich zamówienia. — Jak idzie wycieczka? Przed wyjazdem widziałam w wieczornych wiadomościach zdjęcia Wielkiej Mały.

Tachion zaczął opowiadać o zorganizowanej przez senatora Hartmanna podróży dookoła świata. Cordelia przypomniała sobie, że często czytała o niej w „New York Post”, kiedy jechała

metrem, ale była bardzo zajęta przy gotowaniach do imprezy w Gabinecie Luster i nie zwracała większej uwagi na nic innego.

— To chyba bardzo wyczerpujące — stwierdziła, gdy Tachion przestał się już przechwalać.

Sokolica uśmiechnęła się blado.

— Trudno to nazwać wakacjami. Chyba najbardziej podobało mi się w Gwatemali. Czy przyszło wam na myśl, żeby zakończyć imprezę złożeniem ofiary z człowieka?

Cordelia potrząsnęła głową.

— Chyba celujemy raczej w nastrój fety, nawet jeśli chodzi o poważne sprawy.

— Posłuchaj — odrzekła Sokolica. — Spróbuję coś załatwić ze swoim agentem. A tymczasem mogłabym cię przedstawić kilku osobom, które ci pomogą. Znasz Radhę O'Reilly? Dziewczynę Słonia? — Cordelia potrząsnęła głową. — Zmienia się w latającego słonia z taką łatwością, że Dougowi Henningowi nigdy się o tym nie śniło. Powinnaś też pomówić z Fantazją. Tała tancerka na pewno bardzo by się wam przydała.

— To by było świetnie — ucieszyła się Cordelia. — Dziękuję.

Poczuła się sfrustrowana. Pragnęła zrobić wszystko sama — pokazać innym — ale wiedziała, że powinno się przyjmować pomoc ofiarowaną z dobrego serca.

— A teraz opowiedz nam, co ty robisz tak daleko od domu? — odezwał się Tachion, wyrywając ją z zamyślenia.

Jego mina i oczy wyrażały szczere zaciekawienie.

Cordelia wiedziała, że nie wykręci się zapewnieniem, że zdobyła nagrodę dla harcerki, która sprzedała najwięcej ciastek. Zdecydowała się na szczerłość.

— Lecę do Australii z facetem z GCGiR. Mamy spróbować kupić naziemną stację przekątnikową, zanim zgarnie ją telewizyjny kłaznodzieja.

— Czy ten kłaznodzieja to przypadkiem Leo Barnett? — zainteresował się Tachion.

Cordelia skinęła głową.

— Mam nadzieję, że wam się uda. — Takizjanin zmarszczył brwi. — Wpływy naszego przyjaciela Ognioustego rosną w niebezpiecznym, wręcz ekspotencjalnym tempie. Osobiście wolałbym, żeby coś zahamowało wzrost jego medialnego imperium.

— Nie dalej jak wczoraj usłyszałam od Poczwarki, że zbiry z młodzieżowej grupy Barnetta kręcą się po Greenwich Village i biją wszystkich, których uważają za dzókerów i którzy robią wrażenie bezbronnych.

— *Die Juden* — wyszeptał Tachion. Obie kobiety spojrzały na niego pytająco. — Historia — wyjaśnił z westchnieniem. — Jeśli będziesz potrzebowała pomocy w konkurowaniu z Barnettem, zawiadom nas. Myślę, że uzyskasz znaczące poparcie zarówno asów, jaki dzókerów.

— Hej! — Tuż za plecami Cordelii rozległ się aż nadto znajomy głos. — Co tu się dzieje?

— To jest Marty Carlucci — przedstawiła go Cordelia, nie odwracając się. — A to są doktor Tachion i Sokolica. Marty to moja przyzwoitka — wyjaśniła, zwracając się do skrzydlatej kobiety.

— Cześć. — Carlucci przysunął sobie czwarte krzesło. — Słyszałem o panu — rzekł Tachionowi. Potem wbił wzrok w Sokolicę, gapiąc się na nią bezwstydnie. — A panią widziałem bardzo wiele razy. Mam kasety ze wszystkimi programami, które nagrała pani w ostatnich latach. — Przy mrużył powieki. — Podobno jest pani w ciąży?

— Tak — potwierdziła kobieta. — Dziękuję.

Spojrzała mu prosto w oczy, zmuszając go do opuszczenia wzroku.

— Hmm, to fajnie — mruknął Carlucci i spojrzał na Cordelię. — Chodź już, mała. Musimy zdążyć na samolot. Pośpiesz się! — dodał bardziej stanowczym tonem.

Wszyscy pożegnali się ze sobą. Tachion zaproponował, że zapłaci za kawę.

— Życzę szczęścia — powiedziała Sokolica, zwracając się tylko do Cordelii. Carlucci, wyraźnie czymś zaprzętnięty, nie zauważył tego.

— Cholerna, głupia suka — warknął, gdy zmierzali ku bramce.

Cordelia stanęła jak wryta.

— Słucham?

— Nie mówię o tobie. — Złapał ją za łokieć i pociągnął ku bramce. — Myślałem o tej dzolce, która sprzedaje informacje. O Poczwarce. Nadziałem się na nią przy telefonach. Chciałem zaoszczędzić na rozmowie.

— I co?

— Któregoś dnia ktoś wręci jej niewidzialne cycki w wyżymaczkę i całą ścianę pralni spryska widzialna, czerwona krew. Opowiedziałem o tym Nowemu Jorkowi.

Cordelia czekała na więcej, ale nic już nie dodał.

— I co? — zapytała raz jeszcze.

— Co powiedziałaś tej parze świrów? — zapytał Carlucci z groźbą w głosie.

— Nic — zapewniła Cordelia, słuchając wewnętrznych głosów ostrzegawczych. — Absolutnie nic.

— To dobrze. — Skrzywił się ze złością. — Przysięgam, że będzie karmić ryby.

Cordelia gapiła się na niego ze zdumieniem. Tylko szczere przekonanie w głosie różniło go od komiksowego gangstera. Doszła do wniosku, że wcale nie żartował. Przypominał jej wilkopodobne stworzenia, które widziała w tym, co mogło być snem. Brakowało mu tylko ciemnej śliny.



Podczas lotu do Australii nastrój Carlucciego bynajmniej się nie poprawił. W Sydney przeszli przez kontrolę paszportów i przesiadli się do airbusa A-300. W Melbourne Cordelia wreszcie zdołała wysunąć głowę na dwór na parę minut i odetchnąć świeżym powietrzem. Obejrzała

samolot DC-3 zawieszony na linie przed terminalem. Potem jej towarzysz zaczął ją popędzać, by poszła do bramki linii Ansett. Tym razem lecieli boeingiem 727. Dziewczyna cieszyła się, że oddała torby na bagaż. Wśród ponurych słów Marty'ego Carlucciego znaczną część zajmowały spekulacje, że jego walizkę wysłano na Fidzi albo w jakieś inne niewłaściwe miejsce.

— Dlaczego nie zabrałeś wszystkiego ze sobą? — zapytała Cordelia.

— Niektórych rzeczy nie wolno wносить na pokład.

Samolot leciał na północ, oddalając się od zielonych wybrzeży. Dziewczyna siedziała przy oknie i spoglądała z góry na ciągnącą się bez końca pustynię. Przymrużyła powieki, wypatrując dróg, torów kolejowych czy jakichkolwiek innych śladów ludzkiej działalności. Bez skutku. Monotonie płaskiego, brązowego pustkowięcia mąciły jedynie cienie chmur.

Gdy z głośników popłynęła wiadomość, że samolot zbliża się do Alice Springs, Cordelia dopiero po fakcie uświadomiła sobie, że zamknęła stolik, zapięła pas i wsunęła torbę pod fotel przed sobą. Wszystkie te czynności wykonywała już zupełnie automatycznie

Na lotnisku panował większy ruch, niż się tego spodziewała. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie pojedynczy, zakurzony pas i blaszany barak obok niego. Kilka minut przed nimi wylądował samolot linii TAA i w terminalu było pełno ludzi, którzy z pewnością przypominali turyстів.

— Czy teraz wynajmiemy landrover? — zapytała Carlucciego, który pochylał się niecierpliwie nad taśmą bagażową.

— Ehe. Pojedziemy do miasta. Zarezerwowałem dla nas miejsca w Stuart Arms. Oboje porządnie się wyspimy. Nie chcę być na jutrzejszym spotkaniu wredniejszy niż to konieczne. Jest wyznaczone na trzecią po południu — dodał po chwili. — Jet lag dopadnie nas naprawdę szybko. Sugeruję, żebyś zjadła ze mną dobrą kolację, jak już dotrzemy na miejsce. Potem pożegnamy się do dziesiątej, jedenastej rano następnego dnia. Jeśli wynajmiemy samochód i wyjedziemy z Alice w południe, spokojnie zdążymy do Madhi Gap. — Porwał z taśmy walizkę ze skóry aligatora. — Tu jest to cholerstwo! Dobra, no to ruszajmy.

Wsiadli do autobusu linii Ansett do Alice Springs. Droga trwała pół godziny, a klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, by powstrzymać szalejący na zewnątrz upał. Cordelia wyglądała przez okno, gdy autobus zbliżał się do centrum miasta. Na pierwszy rzut oka nie różniło się zbyt wiele od amerykańskiego miasteczka w pustynnych okolicach. *Z pewnością Baton Rouge jest bardziej obce* — pomyślała. Zupełnie nie przypominało tego, co sobie wyobrażała na podstawie obejrzenia obu wersji *Miasteczka jak Alice Springs*.

Trasa autobusu kończyła się po drugiej stronie ulicy od zbudowanego w stylu z początku stulecia budynku Stuart Arms. Cordelia bardzo ucieszyła się z tego faktu. Gdy pasażerowie wyszli z pojazdu i zabrali bagaże, robiło się już ciemno. Zerknęła na zegarek, ale cyfry absolutnie nic dla niej nie znaczyły. Obiecała sobie, że przestawi go na miejscowy czas i zmieni datę. Nie była



nawet pewna, jaki jest teraz dzień tygodnia. Gdy poczuła upał, utrzymujący się nadal, choć zapadał zmierzch, głowę wypełnił jej pulsujący ból. Pomyślała tęsknie, że dobrze by było się wyciągnąć w czystej pościeli. Ale najpierw długa kąpiel. *Nie* — zdecydowała po chwili zastanowienia. Kąpiel mogła zacząć, aż prześpi dwadzieścia albo trzydzieści godzin. Co najmniej.

— No dobra, mała — rzucił Carlucci, gdy stanęli przed antycznym biurkiem w rejestracji.  
— To twój klucz. — Przerwał na chwilę. — Jesteś pewna, że nie chcesz zaoszczędzić GCGiR wydatków i zatrzymać się w moim pokoju?

Dziewczyna nie miała sił na nawet najbledszy uśmiešek

— Nie ma mowy — odparła tylko i wzięła klucz z jego ręki.

— Chcesz się czegoś dowiedzieć? Nie pojechałaś na tę wycieczkę tylko dlatego, że te laski od Fortunata myślą, że jesteś taka świetna.

O czym on gadał? Znalazła trochę energii, by na niego spojrzeć.

— Widziałem cię w biurze GCGiR. I spodobało mi się to, co zobaczyłem. Dlatego powiedziałem słówko, komu trzeba.

Cordelia westchnęła. Głośno.

— Dobra — rzekł. — Hej, bez obrazy. Ja też jestem skonany. — Podniósł swoją walizkę.  
— Rozpakujmy się i zjedzmy kolację.

Na drzwiach windy wisiała karteczka z napisem WINDA NIECZYNNNA. Zmęczony mężczyzna zwrócił się ku schodom.

— Pierwsze piętro — oznajmił. — Mamy cholerne szczęście. — Na schodach minęli odbity na powielaczu plakat reklamujący występy grupy o nazwie Gondwanaland. — Może chciałabyś zatańczyć po kolacji?

Nawet on nie potrafił się zdobyć na większy entuzjazm.

Cordelia nie raczyła mu odpowiedzieć.

Pomost prowadził do korytarza ozdobionego listwami z ciemnego drewna oraz dyskretnymi szklanymi gablotami zawierającymi aborygeńskie artefakty. Dziewczyna zerknęła przelotnie na bumerangi i czuryngi. Jutro z pewnością będzie mogła wykrzesać z siebie nieco więcej zainteresowania.

Carlucci spojrzął na swój klucz.

— Pokoje sąsiadują ze sobą. Boże, nie mogę się doczekać, aż wreszcie się kimnę. Naprawdę jestem martwy.

Drzwi za nimi otworzyły się z trzaskiem. Cordelia dostrzegła kącikiem oka dwie ciemne sylwetki, które rzuciły się do ataku. Potwory! Potem doszła do wniosku, że to z pewnością byli ludzie w maskach. Brzydkich maskach.

Choć była bardzo zmęczona, zachowała refleks. Zaczęła uskakiwać na bok w tej samej chwili, gdy sztywne przedramię uderzyło ją w klatkę piersiową i odepchnęło na jedną z gablot. Szko pękło, odłamki posypały się na wszystkie strony. Dziewczyna zamachała rękami, próbując utrzymać równowagę. Napastnik usiłował ją pochwycić. Miała wrażenie, że słyszy krzyk Marty 'ego Carlucciego.

Zacisnęła palce na czymś twardym — końcu bumerangu — wyczuwając raczej, niż widząc, że napastnik odwrócił się, by znowu na nią skoczyć. Rzuciła bumerangiem, który przeciął ze świstem powietrze. Instykt. Czysty instykt. *Cholera* — pomyślała. *Zginę tutaj.*

Ostra krawędź bumerangu wbiła się w twarz przeciwnika z dźwiękiem przywodzącym na myśl kuchenny nóż przecinający arbus. Wyciągnięte palce uderzyły ją w szyję, ale potem zwiotzczały. Ciało osunęło się na podłogę.

Carlucci! Odwróciła się i zobaczyła ciemną sylwetkę przykucniętą nad jej towarzyszem. Intruz wstał, wyprostował się i ruszył w jej stronę. Uświadomiła sobie, że to mężczyzna. Miała bardzo niewiele czasu. *Myśl!* — powiedziała sobie. *Myśl, myśl, myśl. Skup się.* To było tak, jakby jej moc pokryły dławiące koce zmęczenia. Ale ona nadal tam była. Cordelia skupiła się i poczuła, że najgłębszy poziom jej mózgu uruchomił się, po czym uderzył.

*Stój, niech cię szlag!*

Postać zatrzymała się, zachwiała na nogach, a potem znowu ruszyła naprzód. I upadła. Cordelia wiedziała, że całkowicie wyłączyła jego autonomiczny układ nerwowy. Smród, który poczuła, gdy jego zwieracze puściły, dodatkowo pogarszał sytuację.

Ominęła leżącego napastnika i uklękła przy swym towarzysz. Marty Carlucci leżał na brzuchu, ale patrzył w górę. Głowę obrócono mu o sto osiemdziesiąt stopni, zupełnie jak w tym, co mogło być jej snem. Jego lekko zezujące oczy wpatrywały się w pustkę.

Cordelia zatoczyła się do tyłu na kolanach i uderzyła o ścianę. Uniosła pięści do ust i uświadomiła sobie, że jej zęby wbijają się w knykcie. W rękach i nogach nadal czuła mrowienie wywołane adrenaliną. Wszystko czuła z przesadną siłą.

*Jezu!* — pomyślała. *I co teraz zrobić?* Spojrzała w obie strony korytarza, ale nie zauważyła kolejnych napastników ani żadnych świadków. Mogłaby zadzwonić do Nowego Jorku, do wujka Jacka. Albo do Luz Alcali bądź Polly Rettig. Mogłaby nawet spróbować odnaleźć Fortunata w Japonii, jeśli numer, który jej dał, nadal był aktualny. Mogłaby spróbować zlokalizować Tachiona w Auckland. Uświadomiła sobie dobitnie, że wiele tysięcy mil dzieli ją od wszystkich ludzi, którym mogła zaufać. Od wszystkich, których znała.

— I co mam teraz zrobić?

Tym razem powiedziała to na głos.

Powłóka się na kolanach do walizki ze skóry aligatora i otworzyła ją. Podczas kontroli celnej

Carlucci ostentacyjnie demonstrował lodowaty spokój i nie wątpiła, że miał do tego powody. Przerzucała ubrania w poszukiwaniu broni. Wiedziała, że musi gdzieś tu być. Otworzyła pudełko z napisem „maszynka do golenia z zasilaczem”. Pistolet był brzydki, wykonany z oksydowanej stali, jakaś miniaturowa broń automatyczna o krótkiej lufie.

Na schodach zaskrzybiały deski podłogowe. Na wpeł świadomie usłyszała urywek rozmowy.

— Ten facet i jego dziwka pewnie już nie żyją...

Wstała wysiłkiem woli, przeszła nad trupem Carluccio i uciekła.



Na końcu korytarza położonym najdalej od głównej klatki schodowej znajdowało się okno wychodzące na schody pożarowe. Cordelia otworzyła je powoli, przytrzymując drżącą szybę. Wyśliznęła się przez wąską szparę, a potem się odwróciła, by zamknąć okno za sobą. Zobaczyła cienie poruszające się na drugim końcu korytarza, pochyliła się i przeszła bokiem do prowadzących na dół schodów.

Szkoda, że nie zabrała torby. Ale przynajmniej miała paszport, kartę kredytową oraz czeki podróżne w małej torebce przerzuconej przez ramię. Zauważyła, że w lewej dłoni nadal ścisła klucz do pokoju. Przesunęła go tak, że wystawał między palcem wskazującym a dużym.

Schody były metalowe, ale stare. Dlatego skrzybiały. Cordelia przekonała się, że w tym miejscu szybko i ukradkiem to pojęcia wzajemnie się wykluczające.

Zdała sobie sprawę, że schodzi do zaułka. Z odległej jakiegoś dwadzieścia metrów ulicy dobiegały głośnie hałasy. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakaś zabawa, lecz potem usłyszała w głosach tony gniewu i bólu. Tłum był coraz głośniejszy. Usłyszała głuche odgłosy — zapewne pięści uderzających w ciała.

— Rewelacja — mruknęła. Nagle nasunęła się jej jednak myśl, że zamieszki mogą ułatwić jej ucieczkę. Zaczęła już układać plany alarmowe. *Przede wszystkim przeżyj. Wydostań się stąd. Potem zadzwoń do Polly Rettig albo Luz Alcali i zawiadom je o tym, co się tu stało.* Przysłać kogoś, kto zastąpi Carluccio, a ona tymczasem gdzieś się zakamufluje. Znakomicie. Zupełnie nowy facet w szytym na zamówienie garniturze podpisze kontrakt w imieniu firmy. Co w tym takiego trudnego? Ona też mogłaby to zrobić. Ale najpierw musi przeżyć.

Trzymając w dłoni klucz i pistolet, zeszła z ostatniego stopnia i ruszyła w stronę wylotu zaułka. Nagle stanęła jak wryta. Wiedziała, że ktoś stoi tuż za nią.

Odrzuciła się błyskawicznie i uderzyła lewą dłonią, celując kluczem w miejsce, które jej zdaniem powinno się znajdować tuż pod podbródkiem intruza. Ktoś rzeczywiście tam był. Silne palce zacisnęły się na jej nadgarstku, z łatwością powstrzymując impet uderzenia.

Nieznamy pociągnął ją naprzód w niewielką plamę światła wypływającego z budynku hotelu przez kratownicę schodów. Cordelia uniosła pistolet i wepchnęła lufę w brzuch napastnika.

Ale niezbyt głęboko. Nacisnęła spust.

Nic się nie wydarzyło.

Dostrzegła przelotnie jego ciemne oczy. Mężczyzna uniósł drugą rękę i przesunął coś z boku pistoletu.

— Był zabezpieczony, mała panienko. Teraz będzie działał.

Dziewczyna była zbyt zdumiona, by nacisnąć spust.

— W porządku. Pojęłam aluzję. Kim jesteś i czy możemy jakoś stąd zwać?

— Możesz mi mówić Warren.

Z góry spłynęło na nich światło, cienie kratownicy utworzyły na ziemi pasy jak u zebry.

Cordelia wlepiła wzrok w snopy światła padające na twarz mężczyzny. Zauważyła czarne włosy, kędzierzawe i rozczochrane, ukryte pod opadającymi powiekami oczy równie ciemne jak jej własne, szeroki, płaski nos, wysoko ustawione, ostro zarysowane kości policzkowe oraz szerokie wargi. Był, jakby powiedziała jej mama, człowiekiem dość kolorowym. Uświadomiła też sobie, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Tata wychłostałby ją za samą tę myśl.

Na schodach pożarowych rozległy się kroki.

— Teraz pora zwiewać — stwierdził Warren, kierując ją ku wylotowi zaułka.

Rzecz jasna, nie było to takie proste.

— Tam są jacyś ludzie — zauważyła Cordelia. Widziała nieokreśloną liczbę mężczyzn trzymających w rękach coś, co wyglądało na kije. Czekali w wylocie zaułka, ich sylwetki rysowały się na tle światła latarni.

— Rzeczywiście. — Warren uśmiechnął się z błyskiem białych zębów. — Zastrzel ich, mała panienko.

*To brzmi niezłe* — pomyślała dziewczyna, unosząc broń w prawej ręce. Gdy nacisnęła spust, rozległ się dźwięk przypominający trzask rozdieranego płótna. Kule odbijały się od cegieł. Rozbłyśło światło i zobaczyła, że wszyscy stojący w wylocie ludzie padli na ziemię. Wątpiła, by zdołała trafić kogośkolwiek z nich.

— O celność będziemy się martwić później — oznajmił Warren. — Na razie zmiatajmy.

Ujął jej lewą dłoń w swoją prawą, najwyraźniej nie zauważając klucza, który nadal ścisnęła w pięści.

Zadała sobie pytanie, czy będą przeskakiwać po leżących na ziemi mężczyznach jak Tarzan przechodzący przez rzekę po krokodylach zamiast po kamieniach.



Okazało się jednak że nigdzie nie poszli.

Poczuła powiew czegoś przypominającego żar. To było tak, jakby energia wypływała

z palców Warreena i wnikła w jej ciało. Gorąco parzyło ją od środka. *Jak w mikrofali* — pomyślała.

Świat raptownie przesunął się w lewo, po czym opadł w dół. Powietrze zawirowało wokół niej. Noc skupiła się w gorejącą plamkę, wycelowaną w środek jej klatki piersiowej.

A potem przestała być nocą.

Stali z Warreinem pośrodku czerwonawobrazowej równiny, łączącej się z odległym niebem płaską linią rozległego horyzontu. Gdzieś tam rosły tu odporne rośliny. Wiał gorący wiatr, tworzący wiry pyłu.

Uświadomiła sobie, że to to samo miejsce, które nałożyło się na kabinę jumbo jeta Air New Zealand w koszarze, który nawiedził ją podczas lotu z Honolulu do Auckland.

Zachwiała się lekko i Warreen złapał ją za ramię.

— Widziałam już to miejsce — oznajmiła. — Czy wilkopodobne stwory też się zjawiają?

— Wilkopodobne stwory? — Na twarzy Warreena pojawiła się na moment zdziwiona mina.

— Ach, mała panienko, masz na myśli *eer-moonany*, długozębe bestie z cienia.

— Pewnie tak Mnóstwo zębów? Żyją w stadach? Mają szeregi kolców wokół szyj?

Luźno trzymając w ręce pistolet, potarła zaczerwienione miejsce na grzbiecie dłoni.

Warreen zmarszczył brwi i przyjrzał się ranie.

— Przebita kolcem? Masz wielkie szczęście. Ich jad z reguły ma śmiertelne działanie.

— Może my, ludzie z krwi aligatora, mamy naturalną odporność — odrzekła Cordelia, uśmiechając się blado. Warreen robił uprzejmie zdziwioną minę. — Nieważne. Pewnie rzeczywiście mam szczęście.

Pokiwał głową.

— W rzeczy samej, mała panienko.

— Co to za syf z tą „małą panienką”? — zdziwiła się Cordelia. — W zaułku nie miałam czasu o to zapytać.

Warreen wyraźnie się zdziwił, a potem uśmiechnął się szeroko.

— Europejki lubią, kiedy tak się do nich zwracamy. Wiesz, to budzi w nich rozkoszne kolonialne impulsy. Czasami nadal mówię jak przewodnik wy cieczech

— Nie jestem Europejką — sprzeciwiła się Cordelia. — Jestem Cajunką, Amerykanką.

— Dla nas to bez różnicy. — Nadal się uśmiechał. — Jankesi czy Europejczycy, wszystko jedno. Wszyscy jesteście tu turystami. To jak powinienem do ciebie mówić?

— Cordelia.

Jego mina nagle spowaźniała. Pochylił się i wyjął broń z jej ręki. Przyjrzał się uważnie pistoletowi, dotykając go z wielką ostrożnością, a potem go zabezpieczył.

— Miniaturowa wersja H&K, w pełni automatyczna — stwierdził. — To drogi sprzęt,

Cordelio. Wybierałaś się polować na psy dingo?

Oddała pistolet dziewczynie. Pozwoliła, by zwił bezwładnie z jej dłoni.

— Należał do faceta, z którym przyjechałam do Alice Springs. On nie żyje.

— Zginął w hotelu? — zapytał Warren. — Zabity przez służki Murga-muggai? Chodziły słuchy, że ona chce załatwić agenta karnodziei.

— Słudzy kogo?

— Kobiety pająka. Ona nie zalicza się do sympatycznych osób. Próbuje mnie zabić już od lat.

Od czasów, gdy byłem dzieckiem.

Powiedział to całkowicie rzeczowym tonem. Cordelii nadal wydawał się bardzo młody.

— Dlaczego? — zapytała z mimowolnym drżeniem. Jeśli miała jakąś fobię, jej obiektem z pewnością były pająki. Kaszlnęła, gdy wiatr sychnął jej w twarz czerwonym pyłem.

— To się zaczęło jako zemsta klanowa, ale teraz zmieniło się w coś innego. — Warren zastanawiał się przez chwilę. — Oboje mamy pewne moce — dodał. — Ona chyba uważa, że tutaj jest miejsce tylko dla jednej takiej osoby. To bardzo krótkowzroczne.

— Jakie to moce? — zapytała Cordelia.

— Masz mnóstwo pytań. Ja też. Być może powinniśmy wymienić się wiedzą po drodze.

— Po drodze? — powtórzyła Cordelia trochę głupio. Po raz kolejny pojawiła się groźba, że rozgrywające się wokół wydarzenia wykrócą poza jej zdolność pojmwania. — A dołąd?

— Do Uluru.

— A gdzie to jest?

— Tam.

Warren wskazał ręką na horyzont.

Słońce stało pionowo nad ich głowami. Cordelia nie miała pojęcia, w którą stronę świata wskazuje mężczyzna.

— Tam nic nie ma. Tylko pustkowia, takie same jak te, na których kręcili *Mad Maxa 2*.

— Coś tam będzie. — Warren ruszył przed siebie i oddalił się już o kilkanaście kroków.

— Ruszaj ty mi ładnymi nóżkami, mała panienko — zawołał unoszącym się na wietrze głosem.

Dziewczyna doszła do wniosku, że właściwie nie ma wyboru, i podążyła za nim.

— Agent karnodziei? — mruknęła. To z pewnością nie był Marty. Ktoś tu popełnił fatalny błąd.



— Gdzie jesteśmy? — zapytała Cordelia. Niebo był upstrzone małymi cumulusami, ale cień żadnej z chmur nie padał na nią. Dziewczyna bardzo tego żałowała.

— Na świecie — odparł Warren.

— To nie jest mój świat.

— W takim razie na pustyni.

— To akurat widzę — obruszyła się Cordelia. — I czuję. Upał dowodzi tego z całą pewnością. Ale jaka to pustynia?

— To kraina Baiamego — odparł Warren. — Wielka Równina Nullarbor.

— Jesteś tego pewien? — Cordelia otarła pot z czoła kawałkiem tkaniny, który ostrożnie oddarła od obrąbka spódnicy. — Oglądałam mapę przez cały czas lotu z Melbourne. Odległości się nie zgadzają. Czy to nie powinna być Pustynia Simpsona?

— W Czasie Snów odległości są inne — odparł po prostu Warren.

— W Czasie Snów? — *Czyżbym znalazła się w filmie Petera Weira?* — pomyślała. — Jak w mitach?

— To nie mit — sprzeciwił się jej towarzysz. — Tu, gdzie jesteśmy, była, jest i zawsze będzie rzeczywiistość. Jesteśmy u początku wszechrzeczy.

— Jasne — zgodziła się Cordelia.

*To sen. To mi się śni... albo umarłam i ta kraina jest ostatnim, co tworzą komórki mojego mózgu, zanim nastąpi końcowy rozbłysk, po którym wszystko zgaśnie.*

— Wszystko, co istnieje w świecie cieni, stworzono najpierw tutaj — ciągnął Warren.

— Ptaki, zwierzęta, trawę, zwyczaje i tabu, których trzeba przestrzegać.

Cordelia rozejrzała się wkoło. Nie było tu zbyt wiele do oglądania.

— To są oryginały? — zapytała. — Do tej pory widziałam tylko kopie?

Pokiwał z wigorem głową.

— Nie widzę samochodów buggy — poskarżyła się gderliwie, boleśnie odczuwając upał. — Nie widzę samolotów ani automatów z zimną dietetyczną pepsi.

— To wszystko są tylko wariacje — oznajmił z powagą. — Tu wszystko się zaczyna.

*Umarłam* — pomyślała przygnębiona dziewczyna.

— Gorąco mi — nie ustępowała. — Jestem zmęczona. Jak długo musimy jeszcze iść?

— Długo.

Warren kroczył naprzód bez wysiłku.

Cordelia zatrzymała się, wspierając ręce na biodrach.

— Dlaczego miałabym za tobą iść?

— Jeśli tu zostaniesz, umrzesz — odparł Warren, oglądając się za siebie.

— Aha.

Ponownie ruszyła naprzód. Musiała przebiec krótki kawałek, żeby dogonić mężczyznę. Nie była w stanie uwolnić się od wizji zimnych, aluminiowych puszek z napojami chłodzącymi, rozszonnych kroplami wilgoci. Pragnęła usłyszeć trzask i syk towarzyszące otwieraniu, a potem poczuć bąbelki i smak

— Idź — polecił jej Warren.



— Jak długo już idziemy? — zapytała Cordelia. Spojrzała w górę, osłaniając oczy dłonią. Słońce wyraźnie zbliżyło się już do horyzontu. Za nią i za Warreenem ciągnęły się cienie.

— Jesteś zmęczona? — zapytał jej towarzysz.

— Wykończona.

— A czy potrzebujesz odpoczynku?

Zastanowiła się nad tym pytaniem i zaskoczył ją wniosek, do którego doszła.

— Nie. Chyba nie potrzebuję. Przynajmniej na razie. — Skąd brała się ta energia? Była wykończona, ale siła napływała w nią skądś, jakby Cordelia była rośliną czerpiącą pokarm z ziemi. — To magiczne miejsce.

— W rzeczy samej — zgodził się rzeczowo Warreen.

— Jestem też głodna.

— Nie potrzebujesz jedzenia, ale zajmę się tym.

Dziewczyna usłyszała jakiś nowy dźwięk, niebędący szumem wiatru ani odgłosem jej kroków na piaszczystej ziemi. Odwróciła się i zobaczyła brązowoszarego langura, który skakał za nimi, z łatwością dotrzymując im kroku.

— Jestem taka głodna, że mogłabym go zjeść — oznajmiła.

Stworzenie skierowało na nią spojrzenie wielkich, czekoladowych oczu.

— Mam nadzieję, że nie — odparło.

Cordelia zamknęła usta z głośnym trzaskiem i wlepiła spojrzenie w langura.

— Dobry wieczór, Mirram — przywitał stworzenie Warreen, uśmiechając się do niego uprzejmie. — Czy wkrótce znajdziemy cień i wodę?

— Tak — potwierdził langur. — Niestety, kuzyn Gurangatch słąpi gościnności.

— Dobrze chociaż, że to nie bunyip — stwierdził Warreen.

— To prawda.

— Czy znajdę tam broń?

— Pod drzewem.

— To świetnie — ucieszył się Warreen. — Nie chciałbym walczyć z potworem samymi rękami i zębami.

— Życzę ci dobrze — zapewniło stworzenie. — I tobie też — dodało, spoglądając na Cordelię. — Idźcie w spokoju.

Potem oddaliło się od ich trasy pod kątem prostym i wkrótce zniknęło im z oczu na pustyni.

— Mówiące langury? — zapytała dziewczyna. — Bunyipy? Gurnagatch?

— Gurangatch — poprawił ją Warreen. — Coś pośredniego między jaszczurką a rybą. To potwór, oczy wiście.



Jej umysł połączył wszystko w całość.

— I zagarnął dla siebie oazę?

— Tak jest.

— A czy nie moglibyśmy jakoś go ominąć?

— Myślę, że natkniemy się na niego na każdej ścieżce, jaką moglibyśmy wybrać.

— Wzruszył ramionami. — To tylko potwór.

— Jasne. — Dziewczyna ucieszyła się, że nadal ma pistolet H&K. Stal zrobiła się gorąca i ślizgała się w jej dłoni. — To tylko potwór — wymamrotała przez wyschnięte usta.



Cordelia nie miała pojęcia, jak Warren zdołał odnaleźć staw i drzewo. O ile potrafiła to określić, do tej pory szli całkowicie prosto. Nagle w oddali, na tle zachodu słońca, pojawił się jakiś punkt. W miarę, jak się do niego zbliżali, stawał się coraz większy. Zauważyła dąb pustynny o pniu usianym licznymi pasmami węgla drzewnego. Wyglądał, jakby zajmował ten skrawek jałowej gleby już od stuleci i niejedną raz uderzały w niego pioruny. Otaczał go obszar porośnięty trawą. Stok opadał łagodnie ku trzcinom oraz brzegowi sadzawki o średnicy około dziewięciu metrów.

— Gdzie jest ten potwór? — zainteresowała się Cordelia.

— Psst.

Warren podszedł do drzewa i zaczął się rozbierać. Mięśnie miał wydatne i pięknie zarysowane. Jego złana potem skóra lśniła w blasku zachodzącego słońca niemal granatowym blaskiem. Kiedy ściągnął džinsy, Cordelia początkowo odwróciła wzrok, ale potem doszła do wniosku, że to nie jest pora na uprzejme gesty, czy to fałszywe, czy szczerze.

Boże — pomyślała. *Jest piękny*. Zależnie od płci, członkowie jej rodziny byliby albo zgorszeni, albo gotowi do linczu. Mimo że w dzieciństwie nauczono ją brzydzić się podobnych myśli, pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć go lekko. Nagle uświadomiła sobie, że to do niej niepodobne. Choć w Nowym Jorku otaczała ją mnóstwo ludzi o innych kolorach skóry, nadal czuła się niepewnie w ich obecności. Warren również budził w niej podobną reakcję, lecz jej natura i intensywność były całkowicie odmienne. Jego pragnęła dotknąć.

Warren rozebrał się do naga, złożył równo ubranie i położył je u stóp drzewa. Następnie podniósł z trawy serię różnych przedmiotów. Przyjrzał się długiej maczudze i odłożył ją na bok. Wreszcie wyprostował się, w jednej ręce trzymając włócznię, a w drugiej bumerang. Przeszył Cordelię wojowniczym spojrzeniem.

— Nie mógłbym być lepiej przygotowany.

Poczuła dreszcz, jakby przepłynęła przez nią lodowata woda. To wrażenie wzbudziło w niej strach, a zarazem ekscytację.

— I co teraz? — zapytała. Starła się mówić cicho i spokojnie, ale jej głos zabrzmiał nieco

piskliwie. Boże, nie znosiła tego.

Warreen nie zdążył jej odpowiedzieć. Wskazał tylko na ciemny staw. Po jego drugiej stronie pojawiły się drobne fale. Ich ośrodek zmierzał ku nim. Na powierzchnię wypłynęło kilka bąbelków.

Woda spłynęła na boki i na brzeg wygramoliła się postać rodem z koszmarów. *Wygląda groźniej niż jakikolwiek dzoker, jakiego w życiu widziałam* — pomyślała Cordelia. Gdy z wody wynurzyła się większa część ciała stworzenia, dziewczyna doszła do wniosku, że z pewnością waży ono co najmniej tyle, co rekin Bruce. Żabia paszcza rozdziawiła się szeroko, odsłaniając mnóstwo zębów koloru rdzy. Bestia skierowała na dwoje ludzi jaszczurcze ślepie, wąskie i wyłupiaste.

— Spłodżyły go w równym stopniu ryba i jaszczurka — wyjaśnił Warreen od niechcienia, jakby oprowadzał europejską turystkę po rezerwacie zwierząt. Uniósł włócznię i podszedł bliżej.

— Kuzynie Gurangatchu! — zawołał. — Pragniemy napić się ze źródła i odpocząć pod drzewem. Jeśli nam tego zabronisz, będę musiał potraktować cię tak, jak Mirragen Człowiek Kot potraktował twego potężnego przodka.

Gurangatch syknął jak hamujący pociąg towarowy. Bez wahania rzucił się naprzód, wyłaząc na mokry brzeg z pluskiem dziesięcotonowego węgorza. Warreen uskokzył zgrabnie. Zepsute zęby klapnęły tuż przed jego twarzą. Mężczyzna dźgnął włócznią pysk rybojaszczura. Gurangatch syknął jeszcze głośniej.

— Nie jesteś tak zwinnie, jak Mirragen — zauważył głosem węża parowego i odskoczył do tyłu, gdy Warreen wyszarpnął włócznię i dźgnął po raz drugi. Tym razem grot wbił się pod błyszczące srebrne łuski otaczające prawe oko potwora. Stworzenie szarpnęło się nagle, wyrywając włócznię z palców Warreena.

Gurangatch wyprostował cielsko, patrząc na przeciwnika z wysokości trzech, czterech i pół, sześciu metrów. Mężczyzna przyglądał mu się ze spokojem, ściskając bumerang w prawej ręce. Syk stworzenia zabrzmiał niemal jak westchnienie.

— Pora umrzeć znowu, mały kuzynie!

Gurangatch wygiął grubą szyję, a potem ją opuścił, rozdziawiając paszczę.

Tym razem Cordelia pamiętała o odbezpieczeniu broni. Tym razem stanęła pewnie, ściskając pistolet w obu rękach. Tym razem kule trafiły dokładnie tam, gdzie chciała. Widziała, jak pociski uderzają w gardło Gurangatcha. Nacisnęła spust, uniosła broń i wypuściła drugą serię, prosto w pysk potwora. Jedno z jego oczu eksplodowało niczym balon wypełniony barwnikiem. Stworzenie krzyknęło z bólu. Po jego pysku spływała zielona galareta. Z ran na szyi sączyła się szkarłatna krew. *Bożonarodzeniowe kolory* — pomyślała Cordelia. *Weź się w garść, dziewczyno. Nie wpadaj w histerię.*

Gurangatch miotał się w wodzie. Warreen zamachnął się i zatoczył ramieniem krótki łuk, wybijając stworzeniu drugie oko. Potwór ryknął tak donośnie, że Cordelia wzдрыgnęła się i cofnęła o krok. Gurangatch zgiął się wpół i zniknął pod wodą. Dziewczyna przelotnie dostrzegła grubego ogona, jak u helodermy arizońskiej, znikający w bryzgach. Później staw się uspokoił, choć o brzeg nadal rozbijały się niewielkie fale. Po chwili i one zniknęły.

— Zanurkował w głębinę ziemi — stwierdził Warreen, kucając i przyglądając się wodzie.  
— Nie będzie go przez długi czas.

Cordelia zabezpieczyła pistolet.

Warreen, który znowu miał wolne ręce, odwrócił się od wody i wstał. Dziewczyna nie mogła się powstrzymać przed gapieniem się na niego. Opuścił wzrok, a potem znowu spojrzął jej w oczy.

— To od podniecenia wywołanego walką — wyjaśnił, nie okazując zbytniego zawstyżenia. Uśmiechnął się. — W normalnych warunkach nic takiego się nie zdarza, kiedy oprowadzam europejską damę po buszu.

Cordelia wpadła na to, by podnieść z ziemi złożone ubranie i podać je mu.

Warreen przyjął je z godnością.

— Jeśli czujesz się gotowa, to byłby dobry moment, by napić się wody i trochę odpocząć — oznajmił, zanim się odwrócił, żeby się ubrać. — Obawiam się, że z herbatą u mnie krucho.  
— Jakoś to przeżyję — odpowiedziała dziewczyna.



Pustynia stygła powoli. Nawet po zachodzie słońca Cordelia czuła żar buchający z gruntu pod jej stopami. Oboje położyli się na ziemi, wsparci o sękatę, na wpół odsłonięte korzenie drzewa. Powietrze było tak nagrzane, że czuła się, jakby nakryto jej twarz ciepłą kłodrą. Kiedy się poruszała, miała wrażenie, że wszystko robi dwa razy wolniej.

— Woda była pyszna — przyznała. — Ale nadal jestem głodna.

— W tym miejscu twój głód jest iluzją.

— W takim razie wyobrażę sobie pizzę.

— Hmm — mruknął Warreen. — To niezły pomysł. — Podniósł się z westchnieniem na kolana i przesunął palcami po szorstkiej korze drzewa. Znalazł luźny fragment i oderwał go od pnia. Nagle uderzył prawą dłoń, poruszając palcami, by złapać coś, czego Cordelia nie widziała. — Proszę.

Podsunał jej swoje znalezisko.

— Co to jest? — zapytała dziewczyna.

— Larwa ćmy — wyjaśnił z uśmiechem. — Jeden z naszych narodowych przysmaków.  
— Wyciągnął rękę do Cordelii niczym psotny chłopczyk. — Robi ci się od tego niedobrze, mała

panienko?

— Niech to szlag. Nie — odparła z nagłym gniewem. — Nie nazywaj mnie tak

*Co ty wyprawiasz?* — zapytała samą siebie, sięgając po larwę.

— Czy muszę ją zjeść żywcem?

— To nie będzie konieczne.

Odwrócił się i uderzył ciałem stworzenia o pień dębu pustynnego. Larwa szarpnęła się jeden raz i znieruchomiała.

Mówiąc sobie, że musi po prostu to zrobić i nie myśleć o tym, wzięła larwę w rękę, włożyła ją sobie do ust i zaczęła żuć. *Boże* — pomyślała. *Dlaczego robisz takie rzeczy?*

— I jak? — zapytał Warren z poważną miną.

— No cóż — odparła, przełykając. — Nie mogę powiedzieć, żeby smakowała jak kurczak



Pojawiły się gwiazdy, opasując całe niebo. Cordelia leżała na ziemi, splatając palce pod głową. Uświadomiła sobie, że mieszkała na Manhattanie przez prawie rok i ani razu nie widziała gwiazd.

— Nurunderi jest tam — oznajmił Warren, wskazując na niebo — razem z dwiema młodymi żonami. Umieścił go tam Nepelle, władca nieba, za to, że jego żony zjadły zakazany pokarm.

— Jabłka? — zapytała dziewczyna.

— Rybę. Tukleri, przysmak przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn. — Uniósł dłoń, ponownie na coś wskazując. — Tam dalej widzisz Siedem Sióstr. A tam jest Karambal, który je ściga. Wy nazywacie go Aldebaranem.

— Mam mnóstwo pytań — odezwała się Cordelia.

— Ale nie chodzi ci o gwiazdy — stwierdził Aborygen po chwili milczenia.

— Nie chodzi.

— W takim razie o co?

— O to wszystko. — Usiadła i rozpostarła ramiona, próbując objąć nimi noc. — Jak się tu znalazłam?

— Przeniosłem cię tutaj.

— Wiem. Ale w jaki sposób?

Warren wahał się przez długi czas.

— Jestem z krwi Arandów, ale nie wychowałem się w plemienu. Słyszałaś o miejskich Aborygenach?

— Jak w *Ostatniej fali* — potwierdziła Cordelia. — Widziałam też *The Fringe Dwellers*. Ale ludzie mieszkający w miastach nie są prawdziwymi plemiennymi Aborygenami, prawda? Po prostu są do nich podobni?

— Wszystko porównujesz do kina — stwierdził ze śmiechem. — To tak, jakbyś porównywała wszystko do światła cieni. Czy wiesz cokolwiek o rzeczy wistości?

— Tak mi się zdaje.

W tym miejscu nie była tego zbyt pewna, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

— Moi rodzice szukali pracy w Melbourne — podjął Warren. — Urodziłem się w buszu, ale nic z tego nie pamiętam. Byłem chłopakiem z miasta. — Roześmiał się gorzko. — Byłem przekonany, że walkabout zaprowadzi mnie jedynie między pijanych kopczy rzygających do rynsztoka.

Cordelia słuchała go zafascynowana, nie odzywając się ani słowem.

— W wieku niemowlęcym omal nie umarłem na gorączkę. Nie pomagało mi nic, czego mógł dokonać wirinun. To znaczy uzdrowiciel. Zdesperowani rodzice byli już gotowi zabrać mnie do białego lekarza. Ale gorączka nagle ustąpiła. Wirinun potrząsnął nade mną swoją pałeczką, zajrzał mi w oczy i powiedział moim rodzicom, że będę żył i dokonam wielkich rzeczy. — Ponownie ucichł na chwilę. — Inne dzieci w mieście zapadły na tę samą gorączkę i wszystkie umarły. Rodzice mówili mi, że ich ciała skurczyły się, wypaczyły albo przybrały odrażającą postać. Ale wszystkie dzieci umarły. Tylko ja przeżyłem. Ich rodzice nienawidzili mnie za to i moich rodziców też. Dlatego wyjechaliśmy.

Umilkł na dobre.

Zrozumienie rozbłysło w umyśle Cordelii niczym wschodząca gwiazda.

— Wirus dzikiej karty.

— Słyszałem o nim — przyznał Warren. — Myślę, że masz rację. Moje dzieciństwo było normalne, w takim stopniu, w jakim rodzice mogli mi to zapewnić, dopóki nie wyrosły mi włosy dorosłego. Wtedy...

Jego głos ucichł po raz kolejny.

— Tak? — zapytała z zainteresowaniem Cordelia.

— Po osiągnięciu wieku męskiego przekonałem się, że potrafię swobodnie przechodzić do Czasu Snów. Mogłem wędrować po krainie przodków. Mogłem też zabierać ze sobą innych.

— A więc to naprawdę jest Czas Snów, a nie jakaś wspólna halucynacja.

Aborygen odwrócił się na bok i spojrzał na nią. Ich oczy dzieliło od siebie około pół metra. Czują dotyk jego spojrzenia głęboko w trzewiach.

— Nie ma nic bardziej rzeczywistego — zapewnił.

— Skąd się wzięły te stworzenia z samolotu? *Eer-mooney*?

— W świecie cieni są też inni, którzy potrafią przechodzić do Czasu Snów. Jedną z nich jest Murga-muggai. Jej totemem jest pająk. Ale coś jest z nią nie w porządku. Ty powiedziałabyś, że jest chora psychicznie. Dla mnie jest po prostu zła, nawet jeśli poczuwa się do pokrewieństwa

z naszym ludem.

— Dlaczego zabiła Carlucciego? I próbowała zabić mnie?

— Murga-muggai nienawidzi europejskich świętych mężów, zwłaszcza tego, który przemawia z nieba. Nazywa się Leo Barnett.

— Ogniostry — stwierdziła dziewczyna. — To telewizyjny kaznodzieja.

— Pragnie zbawić nasze dusze. Ale wtedy zniszczyłby nas wszystkich zarówno jako lud, jak i jako jednostki. Nie byłoby więcej plemion.

— Barnett — wydyszała Cordelia. — Marty nie był jednym z jego ludzi.

— Wszyscy Europejczycy wyglądają podobnie. Nie ma znaczenia, że nie pracował dla człowieka z nieba. — Warreen przeszył ją ostrym spojrzeniem. — A czy ty nie przybyłaś tu w tym samym celu?

Zignorowała jego pytanie.

— Jak udało mi się przeżyć spotkanie z *eer-moonanami*?

— Myślę, że Murga-muggai nie doceniła twojej mocy. — Zawahał się. — Może też akurat była twoja pora lśnięć ca? Większość potworów nie tknie kobiety, która krwawi.

Cordelia skinęła głową. Nagle bardzo pożałowała, że jej okres skończył się w Auckland.

— Chyba będę teraz musiała polegać na pistolecie. — Przerwała na chwilę. — Warreen, ile masz lat?

— Dziewiętnaście. — On również się zawahał. — A ty?

— Niedługo skończę osiemnaście.

Oboje ucichli. *Jest bardzo dojrzały, jak na dziewiętnastolatka* — pomyślała Cordelia. Nie przypominał chłopaków, których znała w Luizjanie. Tych z Manhattanu również nie.

Poczuła chłód, który opadł nagle na pustynię i wypełnił też wnętrze jej umysłu. Wiedziała, że zrodził się w niej, ponieważ miała czas przemyśleć swą sytuację. Nie tylko znajdowała się tysiące kilometrów od domu, otoczona nieznanymi, lecz to nawet nie był jej własny świat.

— Warreen, czy masz dziewczynę?

— Tutaj jestem sam.

— Nie jesteś. — Jej głos nie zabrzmiał piskliwie. Dzięki Bogu. — Przytul mnie.

Czas ciągnął się bez końca. Wreszcie Warreen przysunął się bliżej i objął ją niezgrabnie. Niechcący walnęła go łokciem w oko, zanim zdolała ułożyć się wygodnie. Cordelia chciwie wchłaniała ciepło jego ciała. Ich twarze stykały się ze sobą. Przeczesawała palcami jego zaskakująco miękkie włosy.

Pocałowali się. Wiedziała, że rodzice by ją zabili, gdyby się dowiedzieli, że robi to z czarnym mężczyzną. Oczywiście, najpierw zinczowałiby jego. Z zaskoczeniem przekonała się, że jego dotyk w zasadzie nie różni się od dotyku innych, których lubiła. Nie było ich zbyt wielu,

a Warreen był z nich zdecydowanie najlepszy.

Pocałowała go jeszcze wiele razy, a on odwzajemnił się jej tym samym. Nocny chłód się nasilał, a ich oddechy stawały się coraz szybsze.

— Warreen... — wydygotała wreszcie. — Czy chcesz się ze mną kochać?

Miała wrażenie, że odsunął się od niej nagle, choć nadal trzymała go w ramionach.

— Nie powinienem...

Czegoś się domyśliła.

— Jesteś prawiczką?

— Tak A ty?

— Pochodzę z Luizjany — odparła i nakryła jego usta własnymi.

— Warreen to tylko moje chłopięce imię. Naprawdę nazywam się Wyungare.

— A co to znaczy?

— Ten, który wraca do gwiazd.

Nadeszła chwila, gdy uniosła się, by go wziąć, i poczuła, że Wyungare wchodzi w nią głęboko. Znacznie później uświadomiła sobie, że ani razu nie pomyślała o tym, co powiedziałyby jej mama i reszta rodziny.



Gigant z początku pojawił się jako małe wzniesienie na horyzoncie.

— Czy to właśnie jest nasz cel? — zapytała dziewczyna. — Uluru?

— Miejsce największej magii.

Poranne słońce wznosiło się coraz wyżej. Upał był równie uciążliwy jak poprzedniego dnia. Cordelia starała się ignorować pragnienie. Nogi ją bolały, ale nie od chodzenia. To było przyjemne wrażenie.

Różne żyjące w buszu stworzenia wygrzewały się na słońcu przy ścieżce i przyglądały się z uwagą przechodzącym ludziom.

Emu.

Agama.

Żółw.

Czarny wąż.

Wombat.

Wyungare pozdrowiał uprzejmie wszytkie.

— Witaj, kuzynie Dinewan — rzekł do emu. — Dzień dobry, Mungoongarlie — do jaszczurki.  
— Witaj, Way ambek — do żółwia i tak dalej.

Nietoperz okrążył ich trzy razy, przywitał piskiwie i odleciał. Aborygen pomachał mu ręką na pożegnanie.

— Leć bezpiecznie, bracie Nahardarnie.

Wombata przywitał szczególnie wyławnie.

— To mój chłopięcy totem — wyjaśnił Cordelii. — Warren.

Następnie napotkali wygrzewającego się przy ścieżce krokodyla.

— On jest również i twoim kuzynem — oznajmił Wyungare i powiedział jej, jak ma go przywitać.

— Dzień dobry, kuzynie Kurria — rzekła dziewczyna. Gad popatrzył na nią, całkowicie nieruchomy w palącym słońcu. Potem otworzył paszczę i syknął. Szeregi białych zębów rozłożyły w słońcu.

— To dobry znak — stwierdził Wyungare. — Kurria jest twoim strażnikiem.

W miarę jak Uluru rosło w oddali, coraz mniej zwierząt zbliżało się do ścieżki, by przyjrzeć się ludziom.

Cordelia uświadomiła sobie nagle, że niemal na godzinę całkowicie pogрузыła się w myślach. Zerknęła na idącego obok Wyungarego.

— Jakto się stało, że znalazłeś się w zaułku akurat na czas, żeby mi pomóc?

— Moimi krokami kierował Baiame, Wielki Duch.

— To mi nie wystarczy.

— Wieczorem urządzono *corroboree*, spotkanie, które ma cel.

— Coś jakby wiec?

Skinął głową.

— Mój lud zwykle nie robi podobnych rzeczy, ale czasami jesteśmy zmuszeni naśladować Europejczyków.

— A o czym tam rozmawiano?

Cordelia osłoniła oczy i wpatrzyła się w dal. Uluru miało już wielkość pięści.

Wyungare również przymrużył oczy, spoglądając w jego kierunku. Z jakiegoś powodu sprawiał jednak wrażenie, że sięga wzrokiem znacznie dalej.

— Przepędzimy Europejczyków z naszej krainy. A już na pewno nie pozwolimy, by ci, którzy głoszą swoją wiarę, zdobyli tu kolejne przyczółki.

— To raczej nie będzie łatwe. Australijczycy chyba mocno się tu zakorzenili.

Aborygen wzruszył ramionami.

— Czyż nie masz wiary, mała panienko? Tylko dlatego, że jest ich czterdzieści albo pięćdziesiąt razy więcej od nas, a my nie mamy czołgów ani samolotów, a do tego nasza sprawa obchodzi niewiele? I że sami jesteśmy swoimi najgorszymi wrogami, gdy chodzi o organizację?

— W jego głosie pobrzmiwał gniew. — Nasz sposób żyć cię przetrwał sześćdziesiąt tysięcy lat. Jak długo istnieje twoja kultura?



Cordelia próbowała powiedzieć coś uspokajającego.

— Trudno nam się zorganizować, jak zrobili to Maorysi w Nowej Zelandii. Oni mają wielkie klany, a my małe plemiona. — Uśmiechnął się bez wesołości. — Można by powiedzieć, że Maorysi przy pominają waszych asów, a my dzókerów.

— Dzókerzy też mogą się zorganizować. Istnieją ludzie dobrej woli, którzy im pomagają.

— Nie będziemy potrzebowali pomocy Europejczyków. Wichry się wznagają, nie tylko u nas w buszu, ale na całym świecie. Spójrz na Indian, którzy w amerykańskiej dżungli wyrąbują dla siebie ojczyznę maczetami i bagnietami. Pomyśl o Afryce, o Azji, o wszystkich kontynentach, na których trwa rewolucja. — Podniósł głos. — Już czas, Cordelio. Nawet biały Chrystus dostrzega, że wielkie koło za nieco więcej niż dziesięciolecie znowu obróci się z jękiem. Ognie już płoną, nawet jeśli wasz lud jeszcze nie czuje żaru.

*Czy ja go znam?* — zadała sobie pytanie. Wiedziała, że go nie zna. Nawet nie podejrzewała czegoś takiego. W głębi serca dostrzegała jednak prawdę zawartą w jego słowach. I nie bała się go.

— Murga-muggai i ja nie jesteśmy jedynymi dziećmi gorączki — ciągnął Wyungare. — Są też inne. Obawiam się, że będzie ich wiele. Wszystko się tu zmieni. My wszystko zmienimy.

Cordelia skinęła lekko głową.

— Pożar ogarnął cały świat. Wszyscy płoniemy. Czy wasz doktor Tachion, senator Hartmann i cała ta wycieczka Europejczyków o tym wiedzą? — Wlepił w nią spojrzenie czarnych oczu. — Czy zdają sobie sprawę, co się dzieje poza ich amerykańskim zaściankiem?

Dziewczyna milczała. *Podejrzewam, że nie wiedzą* — pomyślała.

— Myślę, że nie — przyznała po chwili.

— Zatem musisz im przekazać tę wiadomość — stwierdził Wyungare.



— Widziałam to na zdjęciach — odezwała się Cordelia. — To jest Ayers Rock

— To Uluru — poprawił ją Wyungare.

Oboje gapili się na gigantyczną skałę z czerwonego piaskowca.

— To największy monolit na świecie — ciągnęła dziewczyna. — Ma czterysta metrów wysokości i kilka kilometrów średnicy.

— To miejsce magii.

— Te znaki na skałe wyglądają jak przekroje mózgu — zauważyła.

— Tylko dla ciebie. Dla mnie to tatuaże na piersi wojownika.

Cordelia rozejrzała się wkoło.

— Powinny tu być setki turystów.

— W świecie cieni są. Tutaj byliby karmą dla Murga-muggai.

— Ona żywi się ludźmi? — zapytała z niedowierzaniem dziewczyna.

— Żywi się wszystkim, co może złapać.

— Boże, jak ja nienawidzę pajaków. — Przestała patrzeć w górę urwiska. Ból szyi za bardzo jej dokuczał. — Mamy się na to wspiąć?

— Jest tu trochę mniej stroma ścieżka.

Wskazał gestem, że powinni przejść nieco dalej wzdłuż podstawy.

Cordelię zdumiewał ogrom skalnej masy. A także coś więcej. Wypełniała ją bojaźń, jakiej na ogół nie budzą olbrzymie głazy. *To na pewno magia* — pomyślała.

— Tutaj — odezwał się Wyungare po dwudziestu minutach drogi. Pochylił się i znalazł kolejną skrytkę z bronią. Wziął sobie włócznię, maczugę — mówił na nią *nullanulla* — krzemienisty nóż oraz bumerang.

— Te skrytki są niezłe — zauważyła dziewczyna.

— To magia. — Wyungare powiązał całą tę broń rzemieniem, wsadził sobie pakunek na plecy i wskazał na szczyt Uluru. — Następnym etap.

Cordelia nie odnosiła wrażenia, by wspinaczka miała być tu łatwiejsza niż w poprzednim miejscu.

— Jesteś pewien?

Wskazał na jej torebkę oraz pistolet.

— Powinnaś zostawić tu te rzeczy.

Potrząsnęła głową, spoglądając najpierw na jego broń, a później na tą, którą ona miała.

— Nie ma mowy.



Cordelia leżała na brzuchu, patrząc w górę skalnej ściany. Potem zerknęła w dół. *Nie trzeba było tego robić* — pomyślała. Może to i było tylko kilkadziesiąt metrów, ale poczuła się, jakby spojrzała w głąb pustego szybu windy. Pistolet w lewej ręce z pewnością jej nie pomógł.

— Zostaw go — zasugerował Wyungare, sięgając w dół, by złapać ją za wolną rękę.

— Możemy go potrzebować.

— Jego moc nie będzie znaczyła wiele w starciu z Murga-muggai.

— Podejmę to ryzyko. Jeśli chodzi o użycie magii, potrzebuję wszystkiego, co mogłoby mi pomóc. — Zabrakło jej tchu. — Jesteś pewien, że to najlepsze wejście?

— Jedyne. W świecie cieni w dolnej trzeciej części drogi do ściany przytwierdzono ciężkie łańcuch. To afront dla Uluru. Turyści wciągają się po nim na górę.

— Przydałby mi się ten afront — stwierdziła Cordelia. — Jak daleko jeszcze?

— Może z godzinę drogi, a może mniej. Zależy, czy Murga-muggai postanowi ciskać na nas głazy z góry.

— Och. — Zastanowiła się nad tym. — A czy to prawdopodobne?

— Wie, że nadchodzimy. Zależy od jej nastroju.

— Mam nadzieję, że nie zbliża się jej okres.

— Potwory nie krwawią — odparł z powagą w głosie Aborygen.

Wdrapali się na szeroki, nieregularny szczyt Uluru i usiedli na płaskim kamieniu, żeby odpocząć.

— Gdzie ona jest? — zapytała Cordelia.

— Jeśli jej nie znajdziemy, ona znajdzie nas. Śpieszy ci się?

— Nie. — Dziewczyna rozejrzała się wkoło z niepokojem. — A co z *eer-moonanami*?

— Zabiłaś wszystkie na płaszczyźnie cienia. Zasoby takich stworzeń nie są niewyczerpane.

*O mój Boże* — pomyślała. *Zabiłam ostatnich przedstawicieli zagrożonego gatunku. Zebrało się jej na chichot.*

— Odetchnęłaś już?

Jęknęła i podniosła się z głazu.

Wyungare już stał. Unosił wzrok ku niebu, próbując ocenić temperaturę powietrza i siłę wiatru. Na szczycie skały było znacznie chłodniej niż na dole.

— To dobry dzień, żeby umrzeć — stwierdził.

— Ty też oglądałaś za dużo filmów.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Przeszli niemal całą średnicę szczytu Uluru, zanim dotarli do szerokiego, płaskiego obszaru szerokiego na około sto metrów. Tuż za nim piaskowcowy klif opadał ku pustyni na dole. Powierzchnia nie była zupełnie naga. Kamienie wielkości piłek futbolowych usiały ją na podobieństwo ziarenek piasku.

— Jesteśmy już bardzo blisko.

— To mój dom — oznajmił głos dobiegający ze wszystkich stron jednocześnie. Jego brzmienie przywodziło na myśl dwa trące o siebie odłamki piaskowca.

— Nie jest twój — sprzeciwił się Wyungare. — Uluru jest domem nas wszystkich.

— Wtargnęliście do niego...

Cordelia rozejrzała się niespokojnie wkoło, ale nie zobaczyła nic poza skałą i kilkoma krzewami.

— ...i zginiecie.

Po drugiej stronie płaskiego obszaru płyta piaskowca o średnicy około trzech metrów odwróciła się nagle, upadła na skalną powierzchnię i pękła na kawałki. Odpryski posypały się na wszystkie strony. Cordelia cofnęła się odruchowo. Wyungare nie ruszył się z miejsca.

Murga-muggai, kobieta pająk, wylazła ze swej nory na świeże powietrze.

Dziewczyna miała wrażenie, że nagle znalazła się w swym najgorszym koszmarze. W jej

rodzinnej krainie Bayou żyły pająki, ale żaden z pewnością nie zbliżał się do takich rozmiarów. Ciemnobrązowe, kosmate ciało Murga-muggai dorównywało wielkością volkswagenowi. Cebulowaty korpus balansował na ośmiu wyposażonych w stawy nogach. Wszystkie kończyny były porośnięte ostrymi, brązowymi włosami.

Błyszczące, fasetkowe oczy skierowały się na dwoje ludzkich intruzów. Paszcza otworzyła się szeroko. Poruszały się w niej brodawkowe wyrostki, przezroczysty, lepki płyn skapywał z nich na skalne podłoże. Szczękoczułki się rozchyliły.

— O mój Boże — mruknęła Cordelia, pragnąc cofnąć się o kolejny krok. Wiele kroków. A najlepiej obudzić się z tego snu.

Murga-muggai ruszyła ku nim. Jej odnóża migotały, jakby ciągle przechodziły między rzeczywistością a jej brakiem. Cordelii przypominało to dobrze wykonaną animację poklatkową.

— Czymkolwiek może być Murga-muggai, cechuje się wielką gracją i umiejętnością zachowania równowagi — stwierdził Wyungare. — To dla niej powód do dumy.

Zdjął broń z pleców i rozwiązał rzemień.

— Twoje ciało będzie pysznym obiadem, kuzyno — zapowiedział szorstki głos.

— Nie jesteś ze mną spokrewniona — odparła Cordelia.

Wyungare uniósł bumerang, jakby rozważał przeprowadzenie jakiegoś eksperymentu, a potem rzucił nim zgrabnie w Murga-muggai. Ostra krawędź musnęła sztywne włosy na odwołku stworzenia. Następnie bumerang pomknął ku otwartemu niebu za krawędzią szczytu. Po chwili zawrócił, ale leciał za nisko, by ominąć skałę. Dziewczyna usłyszała trzask, gdy broń roztrzaskała się o zbocze Uluru.

— Szczęście ci nie sprzyja — stwierdziła Murga-muggai z lepkiem, obleśnym śmiechem.

— Dlaczego, kuzyno? — zapytał Wyungare. — Dlaczego robisz to wszystko?

— Ty głupi chłopcze — odparła kobieta pająk. — Utraciłeś kontakt z tradycją. To skończy się dla ciebie śmiercią, choć nie będzie to śmierć twojego ludu. Mylisz się bardzo gruntownie. Muszę położyć temu kres.

Murga-muggai zbliżała się do nich powoli, najwyraźniej nie śpiesząc się do posiłku. Jej kończyny nie przestawały migotać. Ten widok przyprawiał o zawroty głowy.

— Czuję coraz większy apetyt na Europejczyków — oznajmiła kobieta pająk. — Cieszę się na myśl o urozmaiconej uczcie.

— Będę miał tylko jedną szansę — rzekł cicho Wyungare. — Jeśli się nie uda...

— Uda się — zapewniła Cordelia. Podeszła do chłopaka i dotknęła jego ramienia. — *Laissez les bon temps rouler.*

Wyungare spojrział na nią.

— Niech dobre czasy się toczą. To ulubione powiedzenie mojego taty.

Murga-muggai skoczyła w górę.

Stworzenie opadło na nich niczym porwany przez wicher parasol poruszający odartymi z tkaniny, powyginanymi żebrami.

Wyungare oparł tępy koniec włóczni o twardy piaskowiec, a utwardzony w ogniu grot skierował ku ciału potwora. Murga-muggai wydała z siebie gniewny, triumfalny krzyk

Grot odbił się od szczękoczułki i pękł. Giętkie drzewce najpierw się wygięło, a potem roztrzaskało niby pękający kręgosłup. Stworzenie było tak blisko, że Cordelia widziała pulsowanie jego odwłoka i czuła gryzący, złowrogi odór.

*Mamy kłopoty* — pomyślała.

Oboje z Wyungarem cofali się na czworakach, próbując uniknąć chwytnych nóg i trzaskających szczękoczułek Nulla-nulla potoczyła się po piaskowcu.

Dziewczyna złapała krzemienny nóż. Miała wrażenie, że ogląda wszystko w zwolnionym tempie. Jedna z włochatych przednich kończyn Murga-muggai wystrzeliła ku Wyungaremu. Jej koniec uderzył go w klatkę piersiową tuż poniżej serca. Siła uderzenia odrzuciła młodego Aborygena do tyłu, jakby był szmacianą lalką, podobną do tych, którymi Cordelia bawiła się w dzieciństwie.

I równie pozbawioną życia jak one.

— Nie! — krzyknęła dziewczyna. Podbiegła do młodzieńca i uklękła przy nim, próbując wyczuć puls na jego szyi. Nic. Nie oddychał. Jego niewidzące oczy wpatrywały się w puste niebo.

Tuliła przez chwilę jego ciało, uświadamiając sobie, że stworzenie przygląda się im z odległości dwudziestu metrów.

— Teraz kolej na ciebie, niedoskonała kuzynko — rozległy się zgrzytliwe słowa. — Jesteś odważna, ale nie sądzę, byś mogła pomóc sprawie mojego ludu bardziej niż Wombat.

Murga-muggai ruszyła naprzód.

Cordelia uświadomiła sobie, że nadal ścisła w rękach pistolet maszynowy. Wycelowała w kobietę pająka i nacisnęła spust. Nic się nie wydarzyło. Niech to szlag. Magazynek w końcu się opróżnił.

*Skup się* — powiedziała sobie. Spojrzała w oczy Murga-muggai i nakazała jej umrzeć. Moc nadal w niej była. Cordelia ją czuła. Wytężyła wolę. Znowu nic. Była bezradna. Stworzenie nawet nie zwolniło kroku.

Najwyraźniej gadzi poziom mózgu nie miał nic do powiedzenia pająkom.

Potwór mknął ku niej niczym pełen wdzięku pociąg ekspresowy na ośmiu nogach.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że nie pozostało jej już nic do zrobienia, poza tylko jedną rzeczą, której bała się najbardziej.

Zadała sobie pytanie, czy obraz, który pojawił się w jej umyśle, będzie ostatnim, co w życiu zobaczy. To było wspomnienie ze starej kreskówki przedstawiającej Fay Wray trzymaną w zaciśniętej pięści przez King Konga wspinającego się na Empire State Building. Mężczyzna w dwupłatowym samolocie krzychał do niej:

— Podstaw mu nogę, Fay! Podstaw mu nogę!

Zebrała resztki zrodzonej z histerii siły, jakie jej pozostały, i cisnęła pozbawioną naboju bronią prosto w głowę Murga-muggai. Pistolet trafił w fasetkowe oko i potwór cofnął się nieco. Dziewczyna rzuciła się do ataku, obejmując rękami i nogami jedną z wyposażonych w stawy przednich kończyn stworzenia.

Kobieta pajak potknęła się. Spróbowała odzyskać równowagę, ale Cordelia wbiła krzemienisty nóż w jej staw. Kończyna się zgięła i impet zrobił swoje. Stworzenie potoczyło się naprzód niczym kłęb miotających się bezładnie nóg. Cordelia mocno uczyła się jednej z nich.

Na moment ujrzała chaotyczną wizję powierzchni pustyni, przed sobą i na dole. Puściła nogę, uderzyła o kamień, przetoczyła się, złapała za skalną wyniosłość i znieruchomiała.

Murga-muggai wytoczyła się za krawędź. Cordelia miała wrażenie, że potwór zawisł na moment w powietrzu jak kojot w kreskówkach o Strusiu Pędziwiatrze. Potem stworzenie runęło w dół.

Dziewczyna przyglądała się, jak miotające się monstrum spada na ziemię. Ciągnął się za nim wrzask przypominający zgrzyt paznokci o tablicę.

U podnóża Uluru pojawiła się ciemna plama. Cordelia wyobraziła sobie zmiążdżone szczątki z rozpostartymi na wszystkie strony nogami.

— Należało ci się! — oznajmiła na głos. — Ty suko!

Wyungare! Odwróciła się i pokuściła do niego.

Nadal był martwy.

Na moment pozwoliła sobie na luksus gniewnych łez. Następnie uświadomiła sobie, że ona również włada magią.

— Minęła tylko minuta — rzekła, jakby w modlitwie. — Tylko minuta. Nie więcej. To niedługo.

Pochyliła się nad młodzieńcem i skupiła myśli. Czowała moc wypływającą z jej umysłu, opadającą na zimne ciało i wypełniającą je. Ta myśl była dla niej objawieniem. Do tej pory próbowała jedynie wyłączyć autonomiczny system nerwowy. Nigdy nie starała się uruchomić go na nowo. Po prostu nie przyszło jej to do głowy.

Echo słów Jacka dobiegło jej z odległości ośmiu tysięcy mil.

— Twoja moc może również służyć życiu.

Energia popłynęła.

Lekkie uderzenie serca.

Słabiutki oddech.

Kolejny.

Wyungare zaczął oddychać.

Jęknął.

*Dzięki Bogu* — pomyślała Cordelia. *Albo Baiamemu.*

Rozejrzała się niespokojnie.

Wyungare otworzył oczy.

— Dziękuję — rzekł słabo, lecz wyraźnie.



Zamieszki przetoczyły się obok nich, pozostawiając za sobą wylot zaułka. Policyjne pałki rozbijały głowy Aborygenom.

— Niech to szlag — warknął Wyungare. — Można by pomyśleć, że to cholerny Queensland.

Sprawiał wrażenie, że tylko obecność dziewczyny powstrzymuje go przed przyłączeniem się do bijatyki.

Cordelia oparła się o mur zaułka.

— Sprowadziłeś mnie z powrotem do Alice Springs?

Młodzieniec skinął głową.

— I to jest ta sama noc?

— W Czasie Snów wszystkie odległości wyglądają inaczej — wyjaśnił. — Nie tylko w przestrzeni, lecz również w czasie.

— Jestem ci wdzięczna.

Głośne krzyki, wrzaski i wycie syren składały się razem na ogłuszający hałas.

— I co teraz? — zapytał Aborygen.

— Muszę się porządnie wyspać. Rano wynajmę landrover i pojedę do Madhi Gap.  
— Przerwała na chwilę. — Zostaniesz ze mną?

— Na noc? — Wyungare również się zawahał. — Tak, zostanę. Nie jesteś taka zła jak kaznodzieja przemawiający z nieba, ale muszę cię jakoś przekonać, żebyś zrezygnowała z planów dotyczących stacji satelitarnej.

Cordelia uspokoiła się już nieco.

— Oczywiście — dodał młodzieniec, rozglądając się wkoło. — Będziesz musiała jakoś mnie przemycić do swojego pokoju.

Potrząsnęła głową. *Czuję się jak w liceum* — pomyślała i objęła mężczyznę stojącego obok niej.

Będzie musiała powiedzieć ludziom bardzo wiele. Przed nią daleka droga na południe, do

Madhi Gap. Dziewczyna jeszcze nie zdecydowała, czy najpierw zadzwoni do Nowego Jorku.

— Jeszcze jedno — odezwał się Wyungare.

Obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

— Europejscy mężczyźni zawsze mieli w zwyczaju wykorzystywać aborygeńskie kobiety, a potem je porzucić.

— Nie jestem europejskim mężczyzną — odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Młodzieniec się uśmiechnął.



# Z dziennika Xaviera Desmonda

14 marca, Hongkong

Z przyjemnością stwierdzam, że ostatnio poczułem się lepiej. Być może zawdzięczam to krótkiemu pobytowi w Australii i Nowej Zelandii. Po wizycie w Singapurze i Dżakarcie czułem się w Sydney niemal jak w domu, a potem dziwnie zachwycało mnie Auckland oraz względny dostatek i czystość panujące w tamtejszym maleńkim mieście dżokerów. Pomijając nieprzyjemną tendencję do nazywania siebie „brzydalami”, co jest określeniem jeszcze bardziej obraźliwym niż „dżoker”, moi bracia wśród Kiwich zdają się wieść całkiem przyzwoite życie. Udało mi się nawet kupić w hotelu numer „Krzyku Dżokerowa” z zeszłego tygodnia. Wieści z domu pokrzepiły mnie na duszy, nawet jeśli zbyt wiele nagłówek dotyczyło wojny gangów, która trwa na naszych ulicach.

W Hongkongu również jest dzielnica dżokerów, skomercjalizowana do cna jak cała reszta kolonii koronnej. Jak rozumiem, tu właśnie kontynentalne Chiny zysują większość swych dżokerów. Delegacja czołowych dżokerskich kupców zaprosiła nawet Poczwarkę i mnie na lunch, który ma odbyć się jutro. Omówimy podczas niego „możliwości nawiązania stosunków handlowych między dżokerami z Hongkongu i Nowego Jorku”. Czekam na to z niecierpliwością.

Szczerze mówiąc, dobrze będzie uwolnić się na kilka godzin od towarzystwa reszty delegatów. Na pokładzie „Ułożonej Tali” daje się obecnie wyczuć powszechną irytację, głównie dzięki Thomasowi Downsonowi i jego nadmiernie rozwiniętym instyngtom dziennikarskim.

W Christchurch, tuż przed odlotem do Hongkongu, dogoniła nas poczta. W paczce znajdowały się też sygnałne egzemplarze najnowszego numeru „Aces!”. Kopacz jak zwykle chodził między fotelami, rozdając graty. Powinien był najpierw przeczytać, co w nich napisano. Obawiam się, że on i jego obrzydliwe czasopismo upadli niżej niż kiedykolwiek dotąd.

Tematem z okładki jest ciąża Sokolicy. Rozbawiła mnie myśl, że redakcja pisma najwyraźniej uważa to dziecko za główne wydarzenie naszej podróży, jako że poświęcono mu dwukrotnie więcej miejsca niż któremukolwiek z poprzednich artykułów Kopacza, nawet temu, który opisywał straszliwy incydent w Syrii. Być może jednak miało to po prostu być usprawiedliwieniem dla zamieszczenia czterostronicowej rozkładówki z dawnymi i współczesnymi zdjęciami Sokolicy w mniej lub bardziej śląskich strojach.

Szepty o jej ciąży zaczęły krążyć już w Indiach, a oficjalnie potwierdziła te pogłoski, gdy byliśmy w Tajlandii, nie można więc mieć pretensji do Kopacza, że napisał o tym artykuł. W końcu „Aces!” żyją właśnie z takich wiadomości. Downs najwyraźniej jednak nie zgodził się z opinią Sokolicy, która uważa swój „delikatny stan” za prywatną sprawę. Okazało się to

niefortunne dla jego zdrowia i naszego wzajemnego koleżeństwa. Tym razem Kopacz kopał zbyt głęboko.

Tytuł na okładce brzmi: *Kto jest ojcem dziecka Sokolicy?* W środku umieszczono dwustronicową rozkładówkę z obrazem przedstawiającym Sokolicę tulącą w ramionach niemowlę. Dziecko jest jednak tylko czarną sylwetką ze znakiem zapytania zamiast twarzy. Podtytuł głosi: *Tachion utrzymuje, że tata jest asem.* Poniżej umieszczono znacznie większy pomarańczowy nagłówek ze słowami: *Przyjaciele namawiają ją do aborcji monsturalnego dzokerskiego płodu.* Krążą plotki, że Kopacz napił Tachiona brandy, gdy obaj wybrali się, by poznać atrakcyjniejszą stronę singapurskiego nocnego życia, i zdołał go skłonić do kilku spektakularnych niedyskrecji. Nie udało mu się poznać nazwiska ojca, ale gdy Tachion już się upił, bez oporów wyjawiał powody, dla których uważa, że najlepszym rozwiązaniem byłaby aborcja. Pierwszym z tych powodów była dziewięcioprocentowa szansa, że dziecko okaże się dzokerem.

Przyznaję, że po przeczytaniu artykułu ogarnął mnie zimny gniew. Jeszcze bardziej niż dotąd cieszę się, że Tachion nie jest już moim osobistym lekarzem. W takich chwilach zadaję sobie pytanie, jak może udawać mojego przyjaciela czy przyjaciela jakiegokolwiek dzokera. Jak powiadają, *in vino veritas*; słowa Tachiona nie pozostawiają wątpliwości, że jest przekonany, iż aborcja jest jedyną opcją dla każdej kobiety, która znajdzie się w sytuacji Sokolicy. Takizanie gardzą deformacjami i tradycyjnie „eliminują” (cóż za uprzejme słowo) własne zdeformowane dzieci (jest ich bardzo niewiele, jako że nie zostali jeszcze pobłogosławieni wirusem, którym tak szczerze raczyli się z nami podzielić) wkrótce po urodzeniu. Możecie mnie uważać za nadwrażliwego, ale ze słów Tachiona płynie wyraźna implikacja, że śmierć jest lepszym losem od życia dzokera.

Kiedy odłożyłem pismo, byłem tak wściekły, że wiedziałem, iż nie stać mnie na rozsądną rozmowę z Tachionem, wstałem więc i poszedłem do przedziału dla prasy, żeby powiedzieć Downsowi coś do słuchu. Chciałem przynajmniej wspomnieć, że reguły gramatyki pozwalają na pominięcie przymiotnika „monsturalny” przed frazą „dzokerski płód”, nawet jeśli redaktorzy „Aces!” uważają jego użycie za obowiązkowe.

Kopacz zobaczył mnie jednak i wyszedł mi na spotkanie. Udało mi się już obudzić w nim wrażliwość przynajmniej do tego stopnia, że wiedział, iż z pewnością będę niezadowolony, gdyż natychmiast zaczął się usprawiedliwiać.

— Hej, ja tylko napisałem artykuł — mówił. — Nagłówki dołączyli w Nowym Jorku, ilustracje też nie mam na to wpływu. Posłuchaj, Des, następnym razem powiem im...

Nie zdążył wypowiedzieć obietnicy, którą zamierzał mi złożyć, bo w tej samej chwili Josh McCoy zaszedł go od tyłu i puknął w ramię zwinętym w rulon egzemplarzem „Aces!”. Gdy

Downs się odwrócił, McCoy mu przyłożył. Pierwszy cios rozbił Kopaczowi nos z nieprzyjemnym dźwiękiem, od którego zrobiło mi się słabo. Potem McCoy rozkwasił mu jeszcze wargę i naruszył kilka zębów. Złapałem go obiema rękami i owinałem trąbę wokół jego szyi, ale gniew dodał mu siłę, toteż odrzucił mnie z łatwością. Obawiam się, że nigdy nie byłem zbyt silny, a w obecnym stanie jestem żałośnie słaby. Na szczęście Billy Ray zainterweniował na czas i powstrzymał McCoy'a, nim ten zdążył spowodować poważne obrażenia.

Kopacz spędził resztę lotu z tyłu boeinga, nafaszerowany środkami przeciwbólowymi. Udało mu się podpaść również Billy'emu Rayowi, gdyż poplamiał krwią jego biały kostium Carnifexa. Billy ma obsesję na punkcie wyglądu i ciągle teraz powtarza: „Te kurewskie plamy nigdy się nie spiorą”. McCoy poszedł na przód, pomóc Hiramowi, Mistral i panu Jayewardene'owi pocieszać Sokolicę, która była bardzo podenerwowana artykułem. W tej samej chwili, gdy z tyłu samolotu McCoy zaatakował Kopacza, z przodu ona dorwała doktora Tachiona. Howard opowiadała mi, że choć ich konfrontacja nie miała charakteru fizycznego, była równie dramatyczna. Tachion przeproszał Sokolicę raz po raz, ale żadne przeprosiny nie mogły pohamować jej furii. Howard mówił, że całe szczęście, iż zostawiła szpony bezpiecznie zapakowane w bagażu.

Tachion spędził resztę lotu w barze pierwszej klasy, mając za towarzystwo jedynie butelkę remy martin. Wyglądał żałośnie jak szczenię, które przed chwilą nasikało na perski dywan. Gdybym miał okrutniejszą naturę, mógłbym tam pójść i wyłuszczyć mu swe żale, lecz po prostu nie miałem serca. To bardzo dziwne, ale doktor Tachion ma w sobie coś, co sprawia, że trudno jest gniewać się na niego dłużej, nawet jeśli wykaże się skandalicznym brakiem wrażliwości.

Mniejsza z tym. Z niecierpliwością oczekuję następnego etapu podróży. Z Hongkongu mamy się udać na kontynent, do Kantonu, Szanghaju, Pekinu i innych, równie egzotycznych miejsc. Cieszę się na myśl, że wejdem na Wielki Mur i zobaczę Zakazane Miasto. Daleki Wschód zawsze wydawał mi się szczególnie atrakcyjny. Podczas drugiej wojny światowej wybrałem służbę w marynarce, w nadziei, że zwiedzę świat, ale przydzielono mi pracę za biurkiem w Bayonne, w stanie New Jersey. Zamierzaliśmy z Mary to potem nadrobić, gdy dziecko trochę podrośnie, a my osiągniemy większą stabilizację finansową.

No cóż, my mieliśmy swoje plany, a Takizjanie swoje.

Z upływem lat Chiny stały się dla mnie symbolem wszystkiego, czego nie udało mi się osiągnąć, dalekich stron, których nie zdołałem odwiedzić. Były moim osobistym *Jolsonem*. A teraz wreszcie widzę je na horyzoncie. To wystarczy, bym uwierzył, że koniec jest blisko.

# Godzina zero

LEWIS SHINER

Na wystawie sklepu stała piramida telewizorów. Wszystkie były nastawione na ten sam kanał i pokazywały boeinga 747 lądującego na lotnisku Narita. Po chwili na ekranach pojawił się spiker, po czym scena z lotniska ustąpiła miejsca rysunkowi przedstawiającemu karykaturę Tachiona, samolot wyobrażony w komiksowym stylu oraz napisane po angielsku słowa „Ułożona Talia”.

Fortunato zatrzymał się przed sklepem. Robiło się już ciemno. Wszędzie wokół neonowe ideogramy Ginzy budziły się do życia z czerwonym, niebieskim i żółtym blaskiem. Szyba wystawy nie przepuszczała dźwięku, mógł więc tylko gapić się na pojawiające się na ekranach obrazki przedstawiające Hartmanna, Poczwarkę i Jacka Brauna.

Wiedział, że pokażą Sokolicę na chwilę przed tym, zanim jej portret pojawił się na ekranie. Usta miała lekko rozchylone, oczy patrzyły w dal, a we włosach miała wiatr. Nie potrzebował mocy dzikiej karty, by to przewidzieć. Nawet gdyby nadal je miał. Wiedział, że ją pokażą, ponieważ tego właśnie się obawiał. Przyglądał się swemu odbiciu w szybie, nakładającemu się na jej twarz. Było ledwie widoczne niczym duch.

Kupił „Japanese Timesa”, największą anglojęzyczną gazetę wydawaną w Tokio. „Inwazja asów na Japonię” — głosił nagłówek. Do gazety dodano też specjalną wkładkę z kolorowymi zdjęciami. Wokół kłębiły się tłumy, złożone głównie z mężczyzn w garniturach poruszających się na autopilocie. Ci, którzy go zauważyli, zerkali na niego, zszokowani, widząc wysokiego, chudego cudzoziemca, i odwracali wzrok. Nawet jeśli zauważali, że jest pół-Japończykiem, nie miało to znaczenia. Był też w połowie czarnym Amerykaninem, *kokujinem*, a w Japonii, podobnie jak w zbyt wielu innych krajach, uważano, że im bielsza skóra, tym lepiej.

W gazecie napisano, że wycieczka zatrzyma się w nowo odrestaurowanym Imperial Hotel, odległym tylko o kilka przecznic od miejsca, w którym stał Fortunato. *Zatem góra przybyła do Mahometa* — pomyślał. *Nie pytając go, czy tego chce.*

Doszedł do wniosku, że pora się wykąpać.



Fortunato przykluczył przy kranie i namydlił się cały, po czym zmył wszystko ostrożnie wodą z plastikowego wiadra. Wchodzenie z mydłem do *ofuro* było jednym z dwóch przykładów złamania etykiety, których żaden Japończyk nie tolerował. Drugim było wchodzenie w butach na tatami. Gdy już był gotowy, podszedł do krawędzi wanny, owinąwszy sobie ręcznik wokół bioder z niedbałą zręcznością rodowitego Japończyka.

Wsunął się pod wodę o temperaturze czterdziestu pięciu stopni Celsjusza. Czoło natychmiast zrosiły mu krople potu zmieszanego ze skroploną parą. Woda spłynęła mu po twarzy. Poczuł, że mimo woli rozluźnia mięśnie. Inni mężczyźni siedzieli z zamkniętymi oczami w swych *ofuro*, ignorując go.

Codziennie brał kąpiel o tej porze. Mieszkał w Japonii już od pół roku i nauczył się prowadzić ściśle uregulowany tryb życia, podobnie jak większość tubylców. Wstawał o dziewiątej, co przez cały czas pobytu w Nowym Jorku zdarzyło mu się tylko kilka razy. Ranki poświęcał na medytację albo naukę i dwa razy w tygodniu odwiedzał buddyjskie *shukubo* znajdujące się w Chiba, po drugiej stronie zatoki.

Po południu zmieniał się w turystę i oglądał wszystko od obrazów francuskich impresjonistów w muzeum Bridgestone aż po drzeworyty w muzeum Riccar, spacerował po Ogrodach Cesarskich, robił zakupy w Ginzie albo odwiedzał świątynie.

Nocami przychodziła pora na *mizu-shōbai*. Handel wodny.

Tak nazywano rozległy podziemny światek zajmujący się dostarczaniem przyjemności — od najbardziej konserwatywnych domów gejsz aż po pospolite prostytutki, od nocnych klubów o ścianach z luster aż po małe bary z czerwonymi światłami, gdzie po wypiciu odpowiedniej ilości sake można było namówić hostessę, by zatańczyła nago na laminowanym blacie. To był cały świat poświęcony zaspokajaniu cielesnych żądz, niepodobny do niczego, co Fortunato dotąd widział. Jego biznes w Nowym Jorku, z grupką dziwek wysokiej klasy, które naiwnie zwał gejszami, wydawał się w porównaniu z tym małe. Pomimo wszystkiego, co go spotkało, pomimo faktu, że nadal próbował całkowicie odgrodzić się od świata i zamknąć w klasztorze, nie potrafił trzymać się z dala od takich kobiet. Od *jo-san*, towarzyszek do wynajęcia. Choćby tylko po to, by popatrzeć na nie i porozmawiać z nimi, a potem wrócić do małego pokoiku, w którym mieszkał, i masturbować się tam na wypadek, gdyby jego wypalone talenty dzięki karty zaczęły wracać, gdyby w jego czakrze Muladhara znowu narastały tantryczne moce.

Gdy woda przestała już sprawiać mu ból, wstał, raz jeszcze namyślił się i opukał, a potem wrócił do *ofuro*. Doszedł do wniosku, że pora podjąć decyzję. Albo spotka się z Sokolicą i pozostałymi w hotelu, albo opuści miasto, być może zatrzymując się na tydzień w *shukubo* w Chiba, żeby nie natknąć się przypadkowo na któreś z nich.

Nasunęła mu się myśl, że jest też trzecie wyjście. Może dalej robić swoje i pozwolić, by los zdecydował, czy ma się z nimi spotkać.



To wydarzyło się po pięciu dniach, we wtorek po południu tuż przed zachodem słońca. Rozmawiał w kuchni restauracji Chikuyotei ze znajomym kelnerem i wyszedł tylnymi drzwiami do zaułka. Ujrzał ją, gdy tylko uniósł wzrok.

— Fortunato — rzekła. Złożyła ciasno skrzydła za plecami, ale i tak niemalże dotykały ścian zaułka. Miała na sobie granatową trykotową sukienkę z odkrytymi ramionami. Była mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży. Nie napotkał w mediach żadnej wzmianki na ten temat.

Towarzyszył jej mężczyzna pochodzący z Indii albo jakiegoś sąsiadującego z nimi kraju. Wyglądał na mniej więcej pięćdziesiątkę, tyśiał i miał wydatny brzuszek.

— Witaj, Sokolico — odparł Fortunato. Sprawiała wrażenie podenerwowanej i zmęczonej, lecz zarazem pełnej ulgi. Wniosła ramiona. Podeszedł do niej i objął ją czule. Na krótką chwilę oparła czoło na jego ramieniu, a potem odsunęła głowę.

— To jest G.C. Jayewardene — przedstawiła mężczyznę, który złożył dłonie, kierując łokcie na zewnątrz, i pochylił głowę. — Pomógł mi cię odnaleźć.

Fortunato uklonił się krótko. *Jezu — pomyślał. Zmieniam się w Japończyka. Niedługo zacznę wstawiać bezsensowne sylaby na początku każdego zdania, zamiast mówić normalnie.*

— Skąd pan wiedział... — zaczął.

— Dziła karta — wyjaśnił Jayewardene. — Ujrzałem tę chwilę przed miesiącem. — Wzruszył ramionami. — Widać przychodzi do mnie nieproszone. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje, i nie wiem, co oznaczają. Jestem ich więźniem.

— Znam to wrażenie — przyznał Fortunato i ponownie spojrzał na Sokolicę. Dotknął jej brzucha i poczuł poruszające się w nim dziecko. — Jest moje, prawda?

Przygryzła wargę i skinęła głową.

— Ale nie z tego powodu tu jestem. Byłam gotowa zostawić cię w spokoju, bo wiem, że tego właśnie pragnąłeś, ale potrzebuję twojej pomocy.

— W jakiej sprawie?

— Chodzi o Hirama — wyjaśniła. — On zniknął.



Sokolica musiała na chwilę usiąść. W Nowym Jorku, Londynie albo w Meksyku, najbliższy park byłby tuż obok, ale w Tokio przestrzeń była zbyt cenna. Od mieszkania Fortunata dzieliło ich pół godziny jazdy metrem i był to tylko pokój z czterema *tatami*, o wymiarach dwa na cztery metry, znajdujący się w blokach o szarych murach, gdzie korytarze były wąskie, toalety wspólne, a w okolicy nie widziało się ani śladu trawy czy drzew. Co więcej, tylko szalenie próbowałyby jazdy w godzinach szczytu, gdy noszący białe rękawiczki pracownicy metra siłą upychali ludzi w już zatłoczonych wagonach.

Fortunato zaprowadził ich do znajdującego się za rogiem baru sushi w amerykańskim stylu. Na wystrój wnętrza składały się tu czerwony winyl, białe laminowane blaty oraz chrom. Sushi przesuwano się wzdłuż pomieszczenia na taśmie mijającej wszystkie boki.

— Tu możemy porozmawiać — oznajmił. — Ale nie radziłbym próbować potraw.

Zabrałbym cię gdzie indziej, ale wtedy musiałybyś czekać w kolejce.

— Nie — sprzeciwiła się Sokolica. Widział, że ostre wonie octu i ryb nie służą zbytnio jej żołądkowi. — Może być tutaj.

Po drodze zapytali już siebie nawzajem, co u nich słychać, i wymienili uprzejme, ogólnikowe odpowiedzi. Sokolica opowiedziała mu o dziecku. Zapewniła, że jest zdrowe i rozwija się prawidłowo, o ile można to określić. Fortunato zadał też kilka uprzejmych pytań Jayewardene'owi. Nie pozostało im nic innego, jak przejść do rzeczy.

— Zostawił ten list — poinformowała go. Fortunato przyjrzał się mu uważnie. Litery były nierówne, nie przypominały bardzo zwykłe starannego pisma Hiram. Napisał, że odłącza się od wycieczki „z powodów osobistych”. Zapewniał wszystkich, że jest zdrowy i ma nadzieję potem znowu do nich dołączyć. Jeśli okaże się to niemożliwe, spotkają się w Nowym Jorku.

— Wiemy, gdzie jest — wyjaśniła Sokolica. — Tachion odnalazł go telepatycznie i upewnił się, że nic mu się nie stało. Ale nie chce wnikać do mózgu Hiram, by sprawdzić, na czym polega problem. Twierdzi, że nie ma prawa tego zrobić. Mówi, że to nie nasz interes, dlatego ktoś postanowił odłączyć się od grupy. Może i ma rację. Wiem, że gdybym spróbowała z nim porozmawiać, nic by to nie dało.

— Dlaczego? Zawsze się lubiliście.

— On się zmienił. Już od grudnia nie jest taki jak przedtem. Można by pomyśleć, że jakiś czarownik go przeklął, kiedy byliśmy na Karaibach.

— Czy wydarzyło się coś szczególnego, co mogłoby to spowodować?

— Coś się wydarzyło, ale nie wiemy co. W niedzielę jedliśmy oficjalny obiad z premierem Nakasone i innymi dygnitarzami, aż nagle pojawił się jakiś facet w tanim garniturze i wręczył Hiramowi kartkę. Hiram okropnie pobladł, ale nie chciał nic powiedzieć na ten temat. Po południu wrócił sam do hotelu. Powiedział, że źle się czuje. Na pewno wtedy się spakował i wyprowadził, bo gdy wieczorem wróciliśmy do hotelu, już go nie było.

— Zauważyłaś coś szczególnego w tym facecie w garniturze?

— Miał tatuaż. Wyłaził mu spod rękawa na nadgarstku. Bóg wie, jak wysoko sięgał. Był bardzo jaskrawy, zielony, czerwony i niebieski.

— Zapewne pokrywał całe ciało — stwierdził Fortunato. Potarł skronie, czując, że wraca codzienny ból głowy. — To był yakusa.

— Yakusa... — zdziwił się Jayewardene.

— Czy to źle? — zapytała Sokolica, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

— Bardzo źle — potwierdził Lankijczyk — Nawet ja o nich słyszałem. To gangsterzy.

— Coś takiego jak mafia — wyjaśnił Fortunato. — Tylko mniej scentralizowane. Każda rodzina, tutaj nazywają je klanami, działa niezależnie. W Japonii jest około dwóch i pół tysiąca

takich klanów i każdy ma własnego *oyabuna*. *Oyabun* jest jak don. To słowo znaczy „grający rolę ojca”. Jeśli Hiram ma kłopoty z *yakuzą*, może nam być trudno się dowiedzieć, o który klan chodzi.

Sokolica wyjęła z torebki kolejną kartkę.

— To jest adres hotelu, w którym się zatrzymał. Powiedziałam Tachionowi, że się z nim nie spotkam i że ktoś powinien mieć ten adres na wypadek jakiejś nagłej sytuacji. Ale potem pan Jayewardene opowiedział mi o swojej wizji.

Fortunato położył rękę na kartce, ale nie spojrzął na nią.

— Nie mam już mocy — oznajmił. — Całążyłem podczas walki z Astronomem i nic mi nie zostało.

To wydarzyło się we wrześniu, w Dniu Dzikiej Karty w Nowym Jorku. W czterdziestą rocznicę wielkiej porażki Śmiga, gdy na miasto spadły zarodniki i zginęły tysiące ludzi, w tym również sam Śmig. Ten właśnie dzień człowiek zwany Astronomem wybrał na chwilę swej zemsty na asach, którzy wykryli jego plany i zniszczyli stworzone przez niego tajne stowarzyszenie egipskich masonów. Astronom i Fortunato starli się ze sobą w powietrzu ponad East River, obrzucając się gorejącymi kulami ognia. Fortunato zwyciężył, ale kosztowało go to wszystko, co miał.

Tej samej nocy kochali się z Sokolicą po raz pierwszy i zarazem ostatni. Tej samej nocy poczęli dziecko.

— To nie ma znaczenia — odparła kobieta. — Hiram cię szanuje. Wysłucha cię.

*Tak naprawdę to boi się mnie i obwinia o śmierć kobiety, którą kiedyś kochał*, pomyślał były alfons. Kobiety, którą Fortunato wykorzystał jako pionek w walce z Astronomem i przegrał. On również ją kochał. Wiele lat temu.

Gdyby jednak teraz odszedł, już nigdy nie ujrzałby Sokolicy. Wystarczająco trudno było mu trzymać się od niej z dala, kiedy wiedział, że jest blisko. Odejście w tej chwili, gdy siedziała naprzeciwko niego, tak bardzo wysoka, potężna i przepełniona emocjami, byłoby nieporównanie trudniejsze. Na dodatek nosiła jego dziecko. To był kolejny fakt, któremu nie czuł się gotowy stawić czoła.

— Spróbuję — odparł. — Zrobię, co będę mógł.



Hiram miał pokój w *Akasaka Shania*, hotelu dla biznesmenów położonym nieopodal dworca kolejowego. Oprócz wąskich korytarzy i butów ustawionych przed drzwiami nic nie różniło go od hotelu średniej klasy w Stanach Zjednoczonych. Fortunato zapukał do drzwi pokoju restauratora. Odpowiedziała mu cisza, jakby wszystkie dźwięki w środku umilkły nagle.

— Wiem, że tam jesteś — zblefował były alfons. — Cholera, jestem Fortunato. Równie



dobrze możesz mnie wpuścić.

Po kilku sekundach drzwi się otworzyły.

Hiram zmienił pokój w paskudną norę. Na podłodze wałyły się ubrania i ręczniki, talerze z wyschniętymi resztkami jedzenia, brudne kieliszki do kółkajli oraz sterty gazet i czasopism. Czuli się tu lekką woń acetonu, pomieszaną z odorem potu i zastarzałego alkoholu.

Restaurator stracił też na wadze. Ubranie zwisało na nim jak z wieszaka. Wpuściwszy Fortunata, wrócił bez słowa na łóżko. Przybysz zamknął za sobą drzwi, zrzucił z krzesła brudną koszulę i usiadł na nim.

— Widzę, że mnie wytropili — odezwał się po chwili Hiram.

— Martwią się. Obawiają się, że masz kłopoty.

— To nic takiego. Nie mają absolutnie żadnych powodów do niepokoju. Czy nie dostali mojego liściku?

— Nie wciskaj mi kitu, Hiram. Wplątałeś się w jakąś aferę z yakuzą. To nie są ludzie, którym dobrze jest podpaść. Powiedz mi, co się stało.

Restaurator przeszył go wściekłym spojrzeniem.

— A jeśli tego nie zrobię, po prostu sam wyczytasz to z mojej głowy, tak? — Fortunato wzruszył ramionami. Kolejny blef. — Tak też myślałem.

— Chcę tylko ci pomóc — zapewnił ciemnoskóry mężczyzna.

— Nie potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o odrobinę forsy. Nic więcej.

— Ile forsy?

— Kilkę tysięcy.

— Dolarów, oczywiście. — Tysiąc jenów był wart niewiele więcej niż pięć amerykańskich dolarów. — Jak do tego doszło? Hazard?

— Posłuchaj, to raczej krępujące. Wolałbym o tym nie mówić, dobra?

— Rozmawiasz z facetem, który przez trzydzieści lat był alfonsem. Myślisz, że cię za to potępię? Cokolwiek właściwie zrobiłeś.

Hiram zaczerpnął głęboki oddech.

— Pewnie masz rację.

— No to gadaj.

— W sobotę wieczór, dość późno wybrałem się do Roppongi...

— Sam?

— Tak — Znowu się zawstydził — Bardzo wiele słyszałem o tutejszych kobietach. Chciałem, no wiesz, trochę się pogapić. Na tajemniczy Wschód. Kobiety, które spełnią twe najskrytsze pragnienia. Jestem daleko od domu i po prostu... chciałem sobie popatrzeć.

To nie różniło się zbytnio od tego, co Fortunato robił przez sześć ostatnich miesięcy.

— Rozumiem.

— Zobaczyłem neon z napisem „Hostessy mówiące po angielsku”. Wszedłem do środka. Był tam długi korytarz. Pomyślałem, że na pewno minąłem miejsce, o którym informował neon. Zapuściłem się bardzo daleko w głąb budynku. Na końcu korytarza były obite miękką tkaniną drzwi, bez żadnego znaku ani niczego. Kiedy wszedłem do środka, zdjęli mi płaszcz i gdzieś go zanieśli. Nikt nie znał angielskiego. Następnie trzy dziewczyny wręcz zaciągnęły mnie do stolika i kazały stawiać sobie drinki. Sam też wypilem kolejkę albo i dwie. Szczerze mówiąc, wypilem więcej. Można powiedzieć, że mnie podpuściły. Za pomocą gestów nauczyły mnie trochę po japońsku. Boże, były takie piękne. Takie... no wiesz, delikatne? Ich wielkie, ciemne oczy patrzyły prosto na ciebie, a potem umykały. W połowie nieśmiało, a w połowie, bo ja wiem? Wyzywająco. Powiedziały, że nikt jeszcze nie wypił tu dziesięciu miseczek sake. To zabrzmiało tak, jakby nikt nie okazał się wystarczająco męski. Dlatego to zrobiłem. Zdołały mnie jakoś przekonać, że w nagrodę dostanę wszystkie trzy.

Hiram zaczął się pocić. Kropelki wilgoci spływały mu po twarzy i wycierał je mankietem brudnej jedwabnej koszuli.

— Byłem, powiedzmy, bardzo podniecony. I pijany. Ciągłe ze mną flirtowały, dotykały mojego ramienia, leciutko, jakby motyle lądowały na mojej skórze. Sugerowałem, żebyśmy gdzieś poszli, ale ciągle mnie zbywały. Zamawiały następne kolejki. I wtedy mnie poniosło.

Uniósł wzrok, spoglądając na Fortunata.

— Ostatnio... nie byłem sobą. Wtedy w barze coś we mnie wstąpiło. Chyba złapałem jedną z tych dziewczyn i zacząłem zdzierać z niej sukienkę. Zaczęła krzyczeć i wszystkie trzy uciekły. Potem bramkarz popchnął mnie ku drzwiom, wymachując mi przed oczami rachunkiem opiewającym na pięćdziesiąt tysięcy jenów. Nawet po pijanemu zorientowałem się, że coś tu nie gra. Wskazał na mój płaszcz i na numer. Potem na miseczki po sake i na kolejne numery. Na koniec na dziewczyny i na ostatnie numery na liście. Chyba to wkurzyło mnie najbardziej. Płacić tyle forsy za to, żeby ze mną flirtowano?

— To były nieodpowiednie dziewczyny — stwierdził Fortunato. — Jezu, w tym mieście jest milion kobiet na sprzedaż. Wy starczy zapytać taksówkarza.

— Już dobra, dobra. Popełniłem błąd. To może się zdarzyć każdemu. Ale posunęli się za daleko.

— I dlatego wyszedłeś.

— Wyszedłem. Próbowali mnie ścigać, ale przykleiłem ich do podłogi. Jakoś udało mi się wrócić do hotelu. Minęła chyba wieczność, zanim znalazłem taksówkę.

— W porządku — skwitował Fortunato. — Gdzie dokładnie znajdował się ten lokal? Potrafiłbyś go odnaleźć?

Hiram potrząsnął głową.

— Próbowałem. Poświęciłem na poszukiwania dwa dni.

— A co z neonem? Pamiętasz, jak wyglądał? Mógłbyś mi naszkicować znaki?

— Japońskie? Nie ma mowy.

— Musiało tam być coś charakterystycznego.

Hiram zamknął oczy.

— W porządku. Mogła tam być sylwetka kaczkę. Z boku. Wyglądała jak cel na strzelnicy u nas w domu. Tylko sam zarys.

— W porządku. I opowiedziałeś mi o wszystkim, co wydarzyło się w klubie?

— O wszystkim.

— A następnego dnia *kobun* znalazł cię na obiedzie.

— *Kobun*?

— Żołnierz yakuzy.

Hiram znowu się zaczerwienił.

— Po prostu tam sobie wszedł. Nie mam pojęcia, jak udało mu się ominąć ochronę. Stał przy stole naprzeciwko mnie i pokłonił się wpół, rozstawiając szeroko nogi. Prawą rękę wyciągnął do mnie w ten sposób, wewnętrzną powierzchnią dłoni ku górze. Przedstawił się, ale za bardzo się przestraszyłem, żeby zapamiętać nazwisko. Potem wręczył mi rachunek. Tym razem cena wynosiła dwieście pięćdziesiąt tysięcy jenów. Do rachunku dołączono kartkę, na której napisano po angielsku, że suma będzie się podwajała każdego dnia o północy, dopóki nie zapłacę.

Fortunato przeliczył to w głowie. Dług zbliżał się już do siedmiu tysięcy amerykańskich dolarów.

— Powiedzieli, że jeśli nie zapłacę do czwartku, to...

— To co się stanie?

— Powiedzieli, że nie zobaczę człowieka, który mnie zabije.



Fortunato zadzwonił do Sokolicy z publicznego telefonu — czerwonego, przeznaczonego tylko do rozmów miejscowych. Wrzucił do niego masę dziesięciojenowych monet, żeby sygnał nie przerywał mu co trzy minuty.

— Znalazłem go — poinformował kobietę. — Nie był zbyt pomocny.

— Nic mu nie jest? — zapytała sennym głosem. Zbyt łatwo mu było wyobrazić ją sobie leżącą w łóżku, nakrytą tylko cienką, białą narzutą. Nie miał już mocy. Nie potrafił zatrzymać czasu, wędrować w ciele astralnym, miotać pociskami prany ani wnikać w myśli innych. Niemniej zmysły nadal miał wyostrzone, lepsze niż przed zarażeniem wirusem. Pamiętał woń jej perfum, włosów i jej pożądania, jakby nadal otaczały go ze wszystkich stron.

— Jest niespokojny i traci na wadze, ale na razie nic mu się nie stało.

— Na razie?

— Yakuzi żąda od niego pieniędzy. Kilku tysięcy dolarów. Właściwie to zwykle nieporozumienie. Namawiałem go, żeby ustąpił, ale on nie chce. To kwestia dumy. Z pewnością wybrał sobie do tego odpowiedni kraj. Co roku z tego powodu giną tu tysiące ludzi.

— Myślisz, że sprawy mogą się posunąć tak daleko?

— Tak. Zaproponowałem, że zapłacę za niego. Odmówił. Zrobiłbym to za jego plecami, ale nie jestem w stanie ustalić, o który klan chodzi. Martwi mnie to, że najwyraźniej grożą mu jakimś niewidzialnym zabójcą.

— Myślisz, że może chodzić o asa?

— Niewykluczone. Przez cały czas pobytu tutaj słyszałem o tylko jednym potwierdzonym asie. To *rōshi* ze świątyni zen na Hokkaido. Myślę, że większość zarodników zdążyła opaść na ziemię, zanim tu doleciała. A nawet jeśli niektóre dotarły na wyspy, mogłabyś nigdy o nich nie usłyszeć. Mówimy o kulturze, w której usuwanie się w cień jest czymś w rodzaju religii. Nikt nie chce się wyróżniać. Dlatego jeśli mamy do czynienia z asem, należy się liczyć z możliwością, że nikt nigdy o nim nie słyszał.

— Czy mogę ci jakoś pomóc?

Nie był pewien, co właściwie mu oferowała, i wolał nie zastanawiać się nad tym zbyt intensywnie.

— Nie — zaprzeczył. — Nie w tej chwili.

— Gdzie jesteś?

— W dzielnicy Roppongi. Dzwonię z automatu. Gdzieś tu powinien być klub, w którym Hiram narobił sobie kłopotów.

— Chciałam... po prostu właściwie nie mieliśmy okazji porozmawiać. Był z nami Jayewardene i tak dalej.

— Wiem.

— Szukałam cię po Dniu Dzikiej Karty. Twoja matka powiedziała, że chcesz wstąpić do klasztoru.

— Tak by było. Ale kiedy tu przyjechałem, usłyszałem o tym mnichu z Hokkaido.

— O tym asie.

— Ehe. Nazywa się Dogen. Potrafi ustanawiać blokady umysłu, podobne do tych, które zakładał Astronom, choć ich postać nie jest aż tak drastyczna. Uwalnia ludzi od niepożądanych wspomnień albo odbiera im doczesne umiejętności, które mogłyby przeszkadzać w medytacji, albo...

— Albo pozbawia ludzi mocy dzikiej karty. Takiej jak twoja.

— Na przykład.

— Widziałeś się z nim?

— Powiedział, że mnie przyjmie, ale muszę się wyrzec mocy.

— Przecież mówiłeś, że moc cię opuściła.

— Na razie. Ale nie dałem jej szansy powrotu. A gdybym wstąpił do tego klasztoru, utraciłbym ją nieodwracalnie. Czasami blok się zużywa i Dogen musi go odnawiać. Ale w innych przypadkach jest trwały.

— A ty nie jesteś pewien, czy pragniesz posunąć się tak daleko.

— Chciałby tego, ale nadal czuję się... odpowiedzialny. No wiesz, ta moc nie jest wyłącznie moją własnością.

— Chyba rozumiem. Ja z pewnością nigdy nie chciałam się wyrzec swojej. Nie tak, jak ty albo Jayewardene.

— Czy on naprawdę jest na to zdecydowany?

— Z pewnością sprawia takie wrażenie.

— Może gdy już będzie po wszystkim, odwiedzimy we dwóch Dogena — zapowiedział Fortunato. Ruch wokół niego się nasilał, dzienne autobusy i furgonetki dostawcze ustępowały miejsca drogim samochodom osobowym oraz taksówkom. — Muszę już iść.

— Obiecuj mi coś — poprosiła Sokolica. — Obiecuj, że będziesz ostrożny.

— Dobra — zgodził się. — Dobra, obiecuję.



Dzielnica Roppongi znajdowała się jakieś trzy kilometry na południowy zachód od Ginzy. To była jedyna część Tokio, w której kluby pozostawały otwarte po północy. Ostatnio dominowały tu lokale dla *gaijinów*, dyskoteki, puby oraz bary z zachodnimi hostessami.

Fortunato długo nie mógł się przyzwyczaić do tego, że wszystko zamyka się tu tak wcześnie. Ostatnie pociągi metra opuszczały śródmieście o północy i podczas pierwszych tygodni pobytu w Tokio nieraz musiał chodzić do Roppongi na piechotę. Nie przestawał poszukiwać jakiegoś nieuchwytnego zadowolenia. Alkohol i seks mu nie wystarczały, a nie był skłonny narażać się na drakańskie kary grożące w Japonii za posiadanie narkotyków. W końcu jednak dał sobie z tym spokój. Nie warto było znosić widoku tak wielu turystów, nieustannego hałasu ich rozmaitych języków oraz przewidywalnego rytmu muzyki w zamian za nieliczne przyjemności oferowane przez kluby.

Spróbował szczęścia w trzech lokalach, ale nikt w nich nie pamiętał Hiramę ani nie kojarzył znaku kaczki. Wreszcie dotarł do północnej Berni Inn, jednej z dwóch w dzielnicy. To był typowo angielski pub, z guinnessem, cynaderkami zapiekany mi w cieście i babeczkami red velvet. Mniej więcej połowa stolików była zajęta, przez dwoje albo troje zagranicznych turystów albo

— w przypadku tych większych — przez grupy japońskich biznesmenów.

Fortunato przystanął na chwilę, by obserwować zabawę przy jednym ze stołów zajętych przez Japończyków. Fundusze reprezentacyjne pomagały utrzymać handel wodny przy życiu. Spędzanie nocy na zabawie z chłopakami z biura wchodziło w zakres obowiązków. Najmłodszy i najmniej pewni siebie z mężczyzn mówili i śmiali się najgłośniej ze wszystkich. Alkohol dawał im usprawiedliwienie. Tylko tu byli wolni od nacisku, tylko tu mogli coś spieprzyć i uniknąć kary. Starsi mężczyźni uśmiechali się pobłaźliwie. Fortunato wiedział, że nawet gdyby nadal potrafił czytać w ich myślach, nie znalazłby tam zbyt wiele. Idealny japoński biznesmen ukrywał swe myśli nawet przed sobą, potrafił się usunąć w cień tak całkowicie, że nikt nie miałby szans zauważyć jego obecności.

Barman był Japończykiem i zapewne pracował tu od niedawna. Przyglądał się Fortunatowi z mieszanką przerażenia i zachwytu. Japończycy zwykle uważali *gaijinów* za rasę gigantów. Były alfons miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był chudy i pochylał barki ku przodowi niczym sęp. Wszystko to czyniło go żywym obrazem potwora, jakim straszono się dzieci.

— *Genki desune?* — zapytał uprzejmie, pochylając nieco głowę. — Szukam pewnego klubu nocnego — ciągnął po japońsku. — Ma na neonie taki znak.

Narysował kaczkę na jednej z czerwonych serwetek i pokazał barmanowi. Ten pokiwał głową i odsunął się ze sztywnym grymasem strachu na twarzy.

Po chwili jedna z zagranicznych kelnerek przeszła pod barem i uśmiechnęła się do Fortunata.

— Coś mi się zdaje, że Tosun nie radzi tu sobie za dobrze — odezwała się z północnoangielskim akcentem. Ciemnobrażowe włosy upięła sobie palczkami, a jej oczy miały zieloną barwę. — W czym mogę panu pomóc?

— Szukam pewnego nocnego klubu. Powinien być gdzieś w okolicy. Ma na neonie kaczkę, taką jakta. To mały lokal, rzadko odwiedzany przez *gaijinów*.

Kobieta przyjrzała się serwetce. Na mgnienie oka na jej twarzy pojawił się taki sam wyraz jak u barmana. Potem rozciągnęła usta w perfekcyjnym japońskim uśmiechu. Na europejskiej twarzy wyglądało to okropnie. Fortunato wiedział, że kobieta nie boi się jego. Z pewnością chodziło o klub.

— Nie — odparła. — Przykro mi.

— Niech pani posłucha. Wiem, że to ma coś wspólnego z yakuzą. Nie jestem gliniarzem i nie szukam kłopotów. Chcę tylko spłacić za kogoś dług. Za przyjaciela. Niech mi pani uwierzy, ucieszą się na mój widok.

— Przykro mi.

— Jak ma pani na imię?

— Megan.

Zastanowiła się przed odpowiedzią, co powiedziało Fortunatowi, że skłamała.

— A z jakiej części Anglii pani pochodzi?

— Nie jestem z Anglii. — Zmiała serwetkę i rzuciła ją pod bar. — Urodziłam się w Nepalu.

Ponownie obdarzyła go sztucznym uśmiechem i oddaliła się.



Sprawdził wszystkie bary w dzielnicy, większość z nich dwukrotnie. Takie przynajmniej odnosił wrażenie. Rzecz jasna, Hiram mógł odwiedzić lokal położony pół przecznicy dalej w innym kierunku i wtedy Fortunato po prostu by do niego nie trafił. O czwartej rano czuł się już zbyt zmęczony, by szukać dalej, a nawet by wrócić do domu.

Zobaczył hotel miłości po drugiej stronie Roppongi Crossing. Cena za godzinę była dość wysoka, a ściany przy wejściu nie miały okien. Niemniej po północy zapewne nie mógł liczyć na nic lepszego. Wszedł do środka, mijając pograżony w mroku ogród, i wrzucił pieniądze do szczeliny w ścianie. Z drugiej strony podano mu klucz. W korytarzu było pełno cudzoziemskich męskich butów rozmiaru czterdzieści cztery albo i więcej, ustawionych w parach obok maleńkich *zōri* albo bucików na obcasach o rozmiarach odpowiednich dla lalek. Fortunato znalazł swój pokój i zamknął za sobą drzwi. Łóżko nakryto świeżą atlasową pościelą różowej barwy. Były tu lustra oraz kamera wideo na suficie, przesyłająca obraz do szerokoekranowego telewizora stojącego w kącie. Jak na standardy hoteli miłości wystrój był dość umiarkowany. W niektórych przybytkach tego rodzaju można się było natknąć na dżungle i bezludne wyspy, łóżka przypominające łodzie, samochody albo helikoptery, a także pokazy światła i efekty dźwiękowe.

Zgasił światło i rozebrał się. Jego nadwrażliwy słuch wykrywał dobiegające ze wszystkich stron ciche okrzyki oraz piskliwe, stłumione śmiechy. Złożył sobie poduszkę pod głowę i otworzył szeroko oczy w ciemności.

Miał czterdzieści siedem lat. Przez dwadzieścia z nich żył spowity kołosem mocy i w ogóle nie zauważał, że się starzeje. W ciągu sześciu ostatnich miesięcy zaczął sobie uświadamiać, co go ominęło. Na przykład, straszliwe zmęczenie po długim dniu, takim jak ten. Ranki, gdy stawy bolały go tak okropnie, że trudno mu było wstać. Ważne wspomnienia znikły bez śladu, a nieistotne szczegóły prześladowały go obsesyjnie. Ostatnio pojawiły się też bóle głowy, niestrawność oraz skurcze mięśni. Nieustanna świadomość tego, że jest słabym, śmiertelnym człowiekiem.

Nic nie uzależniało silniej od mocy. W porównaniu z nią heroina była szklanką słabego piwa. Zdarzały się noce, gdy po obejrzeniu niekończącego się szeregu pięknych kobiet spacerujących po Ginzie albo Shinjuku — w dodatku prawie wszystkie były na sprzedaż — miał wrażenie, że nie będzie mógł dalej żyć, jeśli znowu jej nie poczuje. Mówił do siebie jak alkoholik, obiecywał sobie, że zaczeka jeszcze jeden dzień. W ten sposób jakos to wytrzymywał. Częściowo dzięki

temu, że wspomnienia ostatniej nocy w Nowym Jorku, wspomnienia rozstrzygającej walki z Astronomem, nadal były zbyt świeże i przypominały mu, jak wiele bólu kosztowała go moc, częściowo zaś dlatego, że nie był pewien, czy nadal zachował moc, czy Kundalini, wielki wąż, umarła czy tylko zasnęła.

Dzisiejszej nocy przyglądał się bezradnie, jak co najmniej setka Japończyków okłamywała go, ignorowała, a nawet poniżała się, zamiast powiedzieć mu to, co w oczywisty sposób wiedzieli. Zaczął patrzeć na siebie ich oczami — wielki, niezgrabny, spocony, głośny i niecywilizowany, żaloszny, barbarzyński olbrzym, coś w rodzaju przerośniętej małpy, niezdolnej nawet do nauczenia się prostych zasad uprzejmości.

Odrobina tantrycznej magii radykalnie zmieniłaby tę sytuację.

*Jutro — powiedział sobie. Jeśli jutro nadal będziesz tego pragnął, możesz spróbować ją odzyskać.*

Zamknął oczy i zdołał wreszcie zasnąć.



Obudził się ze wzrodem, po raz pierwszy od wielu miesięcy. *To los* — powiedział sobie. *To los* przyprowadził do niego Sokolicę, co z kolei spowodowało, że znowu potrzebował swej mocy.

Czy jednak naprawdę? A może po prostu szukał pretekstu, by znowu się z nią kochać, ujścia dla sześciomiesięcznej seksualnej frustracji?

Ubrał się i pojechał taksówką do Imperial Hotel. Wycieczka zajęła dla siebie całe piętro trzydziestopiętrowego wieżowca. Wszystko tu zaprojektowano na europejską skalę. Korytarze i wnętrza wind wydawały się Fortunatowi olbrzymie. Gdy dotarł na przedostatnie piętro, ręce mu drżały. Oparł się o drzwi pokoju Sokolicy i zapukał cicho. Po kilku sekundach zapukał znowu, tym razem mocniej.

Otworzyła drzwi. Miała na sobie luźną koszulę nocną sięgającą podłogi. Pióra miała zmierzwione i ledwie mogła otworzyć oczy. Potem go zobaczyła.

Zdjęła łańcuch i odsunęła się na bok. Fortunato zamknął za sobą drzwi i wziął ją w ramiona. Poczł, że maleńkie stworzenie w jej brzuchu się poruszyło. Pocałował ją. Miał wrażenie, że powietrze wokół nich wypełniły iskry, ale to mogła być tylko moc jego pożądania, uwolniona z łańcuchów, w których trzymał ją tak długo.

Zsunął ramiączka nocnej koszuli w dół ramion Sokolicy. Strój opadł do talii, odsłaniając piersi o ciemnych, obrzękłych sutkach. Dotknął jednej z nich językiem i poczuł krewodą słodycz mleka. Jęknęła, obejmując jego głowę. Skórę miała miękką i wonną niczym jedwab antycznego kimona. Pociągnęła go ku niepościelonemu łóżku. Odsunął się od niej na moment, by zdjąć ubranie.

Leżała na wznak. Uwydatniony brzuch był szczytem jej ciała, ku któremu zbiegały się wszystkie krzywy. Klęknął przy łóżku i zaczął całować jej twarz, szyję, ramiona i piersi, aż



zabrakło mu tchu. Następnie odwrócił ją na bok, tyłem do siebie i zaczął całować jej krzyż. Sięgnął między jej nogi i ujął ją tam, czując ciepło i wilgoć na wewnętrznej powierzchni swej dłoni. Zaczął poruszać powoli palcami w płataninie jej włosów łonowych. Jęczała w powolnym rytmie, ściskając poduszkę obiema rękami.

Położył się za Sokolicą i wszedł w nią od tyłu. Jej miękkie pośladki uciskały jego brzuch. Utracił ostrość widzenia.

— O Boże — mruknął. Zaczął się w niej powoli poruszać. Wsunął lewą rękę pod leżącą kobietę i objął dłonią jej pierś. Prawą ręką dotykał delikatnie krzywizny jej brzucha. Poruszała się razem z nim, równie spokojnie jak on. Jej oddech stawał się coraz głośniejszy i szybszy, aż wreszcie krzyknęła, wciskając biodra w jego ciało.

W ostatniej chwili sięgnął ręką w dół i powstrzymał wytrysk, uciskając krocze. Gorący płyn cofnął się do wnętrza jego ciała. Fortunato miał wrażenie, że wokół niego rozbłysły światła. Odrężył się, gotowy poczuć, jak jego ciało astralne oddziela się od fizycznego.

Tak się nie stało.

Objął Sokolicę obiema rękami i uściśnął ją mocno. Wtulił twarz w jej szyję, pozwalając, by długie włosy kobiety nakryły mu głowę.

Teraz już wiedział. Utracił moc.

Na krótki moment ogarnęła go panika. Potem wyczerpanie zaprowadziło go w sen.



Spał przez jakąś godzinę i obudził się zmęczony. Sokolica leżała na wznak, przyglądając się mu.

— Dobrze się czujesz? — zapytała.

— Ehe. Wszystko ze mną w porządku.

— Nie świecisz.

— To prawda. — Spojrzał na swe dłonie. — Nie udało się. Było cudownie, ale moc nie wróciła. Nic już we mnie nie ma.

Odwróciła się na bok, zwracając się ku niemu.

— O nie. — Pogłaskała go po policzku. — Takmi przykro.

— To nieważne — odparł. — Naprawdę. Przez ostatnie sześć miesięcy miotałem się to w tę, to we wtę. Bałem się, że moc powróci, a potem tego, że utraciłem ją na zawsze. Teraz przynajmniej poznałem prawdę. — Pocałował kobietę w szyję. — Posłuchaj, musimy porozmawiać o dziecku.

— Porozmawiać możemy, ale niczego od ciebie nie oczekuję, jasne? No wiesz, jest parę rzeczy, o których zapewne powinnam była ci powiedzieć. Wycieczce towarzyszy facet nazwiskiem McCoy. Jest kamerzystą kręcącym dokument o nas. Jesteśmy razem, całkiem możliwe, że na poważnie. Wie o dziecku i to mu nie przeszkadza.

— Och — mruknął Fortunato. — Nie wiedziałem o tym.

— Parę dni temu pożarliśmy się okropnie. A potem znowu cię zobaczyłam... no wiesz, ta noc w Nowym Jorku to naprawdę było coś. Jesteś rewelacyjnym facetem, ale przecież wiesz, że nasz związek nigdy nie mógłby być trwały.

— Pewnie masz rację — przyznał Fortunato. Uniósł odruchowo rękę i pogłaskał wypukły brzuch kobiety, przebiegając palcami wzdłuż sinych żył widocznych pod jasną skórą. — To dziwne. Nigdy nie chciałem mieć dzieci. Ale teraz, gdy to już się wydarzyło, czuję się zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Jakby moje pragnienia właściwie nie były ważne. Muszę wziąć na siebie odpowiedzialność. Nawet gdybym miał nigdy nie zobaczyć tego dzieciaka, zawsze będę za niego odpowiedzialny.

— Nie utrudniaj nam tego nadmiernie. Nie chciałabym pożałować, że ci o wszystkim powiedziałam.

— Nie w tym rzecz. Chcę po prostu być pewien, że wszystko z tobą będzie dobrze. I z dzieckiem też.

— Dziecko jest w porządku. Pomijając fakt, że żadne z nas nie ma nazwiska, które moglibyśmy mu dać.

Ktoś zapukał do drzwi. Fortunato napiął mięśnie. Nagle poczuł, że jest tu nie na miejscu.

— Soko? — rozległ się głos Tachiona. — Soko, jesteś tam?

— Chwileczkę — odparła. Włożyła szlafrok i podała mężczyźnie jego ubranie. Kiedy otworzyła drzwi, jeszcze zapinał koszulę.

Takizjanin spojrział na Sokolicę, na zmiętoszone łóżko i na Fortunata.

— To ty — rzekł i skinął głową, jakby potwierdziły się jego najgorsze podejrzenia. — Soko mówiła mi, że jej... pomagasz.

*Jesteś zazdrośny, kurduplu?* — pomyślał ciemnoskóry mężczyzna.

— To prawda — przyznał.

— Mam nadzieję, że wam nie przerwałem. — Spojrział na Sokolicę. — Jeśli wybierasz się do sanktuarium Meiji, autobus ma odjechać za piętnaście minut.

Fortunato zignorował go, podszedł do kobiety i pocałował ją delikatnie.

— Zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem — obiecał.

— W porządku. — Uścisnęła mu dłoń. — Uważaj na siebie.

Ominął Tachiona i wyszedł na korytarz. Stał tam mężczyzna mający słoniową trąbę zamiast nosa.

— Miło mi cię zobaczyć, Des — przywitał go Fortunato. Nie była to do końca prawda. Dżoker okropnie się postarzał. Policzki miał zapadnięte i znacznie stracił na wadze. Były alfons zadał sobie pytanie, czy jego cierpienia są równie wyraźnie widoczne.

— Witaj, Fortunato — odparł Des. Uścisnęli sobie dłonie. — Kupę czasu.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek zechcesz opuścić Nowy Jork

— Pora zobaczyć trochę świata. Starość dopada nas wszystkich.

— Ehe — zgodził się były alfons. — Czysta prawda.

— Muszę już lecieć do autobusu — oznajmił dżoker.

— Jasne — odparł Fortunato. — Odprowadzę cię.

Były czasy, gdy Des był jednym z jego najlepszych klientów. Były, ale najwyraźniej już minęły.

Tachion dogonił ich przy windzie.

— Czego chcesz? — burknął Fortunato. — Nie możesz zostawić mnie w spokoju?

— Soko opowiedziała mi o twoich mocach. Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro.

Wiem, że mnie nienawidzisz, chociaż naprawdę nie mam pojęcia dlaczego. Pewnie z jakichś niejasnych powodów moje zachowanie i sposób ubierania się zagrażają twojej męskości. A przynajmniej tak postanowiłeś na to patrzeć. Ale to wszystko istnieje tylko w twoim umyśle, nie w moim.

Fortunato potrząsnął gniewnie głową.

— Chciałem ci zająć tylko chwilę.

Zabrział dzwonek i drzwi windy się otworzyły.

— Twoja chwila właśnie minęła — odparł ciemnoskóry mężczyzna, ale nie ruszył się z miejsca. Des wszedł do środka, obrzucając go pełnym żalu spojrzeniem. Drzwi się zamknęły i Fortunato usłyszał skrzyknięcie lin dobiegające z szybu.

— Moc nadal jest w tobie.

— Nie chrań.

— Sam ją w sobie więzisz. Twój umysł jest pełen sprzeczności, które nie pozwalają jej wyrwać się na zewnątrz.

— W walce z Astronomem zużyłem wszystko, co miałem. Dotarłem do dna beczki. Opróżniłem siebie. Oczyszcziłem się. Nie pozostało mi nic, co mógłbym odbudować. Jestem jak pusty akumulator. Nie można mnie nawet zapalić na kabel. Skończone.

— Żeby użyć twojej metafory, nawet pełen akumulator nie zadziała, jeśli stacyjka nie jest włączona. A klucz do niej jest w środku — dodał Tachion, wskazując na swoje czoło.

Takizjanin się oddalił. Fortunato walnął otwartą dłonią w przy cisk windy.



Zadzwoił z holu do Hirama.

— Przyjeżdż tu — poprosił restaurator. — Spotkam się z tobą przy wejściu.

— Co się stało?

— Po prostu tu przyjeżdż.

Fortunato wziął taksówkę. Gdy przybył na miejsce, zobaczył Hiram spacerującego przed jednolicie szarą fasadą hotelu Akasaka Shania.

— Co się stało?

— Chodź i zobacz — poprosił grubas.

Pokój już przedtem wyglądał kiepsko, ale teraz zmienił się w prawdziwy koszmar. Ściany pomazano kremem do golenia, szuflady kredensu wyciągnięto i ciśnięto w kąt, lustra potłuczono, a materac podarto na strzępy.

— Nie widziałem, kiedy to się stało. Byłem tu przez cały czas i niczego nie zauważyłem.

— Co ty gadasz? Jak mogłeś nic nie zauważyć?

W oczach Hiram rozbłyśło szaleństwo.

— Około dziewiątej rano poszedłem do łazienki, by wypić szklanek wody. Wiem, że wszystko było wtedy w porządku. Potem wróciłem i przez jakieś pół godziny oglądałem telewizję. Nagle usłyszałem coś, co zabrzmiało jak trzaśnięcie drzwiami. Uniosłem wzrok i zobaczyłem pokój w takim stanie, w jakim jest teraz. A na moich kolanach leżała ta kartka.

Tekst napisano po angielsku. „Jutro nadejdzie godzina Zero. Możesz umrzeć równie łatwo. Zero Man”.

— A więc to rzeczywiście as.

— To już się nie powtórzy — zapowiedział Hiram. Nie ulegało wątpliwości, że sam nie wierzy we własne słowa. — Wiem, na co zwracać uwagę. Drugi raz mnie nie podejdziesz.

— Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Zostaw to wszystko. Po południu kupimy ci nowe ubranie. Chcę, żebyś wyszedł na ulicę i cały czas pozostawał w ruchu. Około dziesiątej wejdź do pierwszego hotelu, który zobaczysz, i wynajmij pokój. Później zadzwoni do Sokolicy i powiedz jej, gdzie jesteś.

— Czy... czy ona wie, co się wydarzyło?

— Nie. Powiedziałem jej tylko, że chodzi o pieniądze.

— Świetnie. Fortunato...

— Zapomnij o tym — przewał mu były alfons. — Ruszaj w drogę.



Cień banianu zachował odrobinę porannego chłodu. Mleczne niebo było gęste od smogu. Japończycy zwali go „sumoggu”. Łatwo było określić, jak sobie wyobrażają Zachód ma podstawie słów, które pożyczili z angielskiego. „Rashawa” od „rush hour”, godzina szczytu, „sarariman” od „salary man”, pracownik biurowy, „toire”, toaleta.

Poczuł się lepiej, gdy tylko znalazł się w Ogrodach Cesarskich, tej oazie spokoju w samym sercu Tokio. Powietrze było tu świeższe, choć wiśnie miały zakwitnąć dopiero za miesiąc. Gdy już

to się stanie, całe miasto zjawi się tu z aparatami fotograficznymi. W przeciwieństwie do nowojorczyków Japończycy potrafili docenić piękno, które mieli przed oczami.

Fortunato zjadł ostatnią gotowaną krewetkę w swoim *bentō*, posiłku kupionym tuż przy wejściu do parku, i wyrzucił pudełko. Nie był w stanie usiedzieć w miejscu. Pragnął porozmawiać z *rōshim*, Dogenem. Niestety, dzieliło go od niego półtora dnia drogi, a żeby tam dotrzeć, musiałby podróżować samolotem, pociągiem, autobusem i na piechotę. Sokolicę uziemiła cięża, a wąpiał, by Mistrzał miała siły na podróż o długości tysiąca dwustu mil. Nie było szans, by mógł dotrzeć na Hokkaido i wrócić na czas, by pomóc Hiramowi.

Kilka metrów od niego jakiś staruszek grabił żwir w skalnym ogródku, posługując się sfatygowanym bambusowym narzędziem. Fortunato pomyślał o surowej dyscyplinie fizycznej narzucanej przez Dogena: trwający tysiąc dni marsz wokół góry Tanaka, długi na trzydzieści osiem tysięcy kilometrów, ekwiwalent wędrówki dookoła świata; ciągle siedzenie nieruchomo na twardej drewnianej podłodze świątyni; nieustanne grabienie ogródka skalnego należącego do mistrza.

Fortunato podszedł do staruszka.

— *Sumi-masen* — odezwał się, wskazując na grabie. — Czy mogę?

Japończyk wręczył mu swoje narzędzie, wyraźnie nie potrafiąc zdecydować, czy powinien się bać, czy czuć wesołość. Ciemnoskóry mężczyzna doszedł do wniosku, że czasami nieźle jest być obcym pośród najuprzejmniejszych ludzi na Ziemi. Zaczął grabić żwir, starając się wzbijać jak najmniej pyłu, jakby układał go w harmonijne linie samą siłą woli, tylko incydentalnie przekazywaną za pośrednictwem grabi. Staruszek usiadł sobie pod banianem.

Podczas pracy Fortunato wyobrażał sobie Dogena. *Rōshi* wyglądał młodo, ale przecież jemu wszyscy Japończycy wydawali się młodzi. Głowę miał wygoloną na wysoki poły sk, kości czaszki stykały się ze sobą pod wyraźnie zaznaczonymi kątami, a kiedy mówił, na jego policzkach robiły się dołeczki. Jego dłonie spontanicznie układały się w mudry, palce wskazujące sięgały do końców kciuków, gdy tylko nie miały nic innego do roboty.

*Dlaczego mnie wołasz?* — zapytał głos Dogena, rozbrzmiewający wewnątrz głowy Fortunata.

*Mistrzu!* — pomyślał były alfons.

*Jeszcze nie jestem twoim mistrzem. Nadal żyjesz w świecie.*

*Nie wiedziałem, że masz moc potrzebną, by dokonać czegoś takiego.*

*To nie jest moja moc, lecz twoja. Twój umysł przyszedł do mnie.*

*Ja nie mam mocy* — pomyślał Fortunato.

*Ona wypełnia cię całkowicie. Czuję ją w głowie, ostrą jak pieprz sycuański.*

*W takim razie czemu ja jej nie czuję?*

*Ukryłeś się przed nią, jak grubas ukrywa się przed yakitori, otaczającymi go ze wszystkich*

stron. Tak to już jest na świecie. Świat żąda od ciebie, byś miał moc, ale kiedy jej używasz, wypełnia cię wstydem. Tak wygląda współczesna Japonia. Staliśmy się bardzo potężni w świecie, ale, by to osiągnąć, wyżyliśmy się duchowych pragnień. Musisz zdecydować. Jeśli pragniesz żyć w świecie, musisz zaakceptować swoją moc. A jeśli wolisz karmić ducha, musisz opuścić świat. W tej chwili sam siebie rozrywasz na strzępy.

Fortunato uklęknął na żwirze i pokłonił się nisko. *Domo arigatō, o sensei.* „*Arigatō*” znaczą „dziękuję”, ale dosłowne znaczenie brzmiało „to boli”. Ciemnoskóry mężczyzna czuł prawdę zawartą w słowach Dogena. Gdyby mu nie uwierzył, nie bolałoby go tak bardzo. Uniósł wzrok i zauważył, że stary ogrodnik gapi się na niego z porażającym strachem, lecz jednocześnie zgina się w pasie raz po raz w serii krótkich, nerwowych ukłonów, by nie wydać się nieuprzejmym. Fortunato uśmiechnął się do niego i raz jeszcze pokłonił się nisko.

— Nie przejmuj się — rzekł mu po japońsku. Wstał i oddał staruszkowi grabie. — Jestem tylko kolejnym szalonym *gaijinem*.



Znowu rozboleł go brzuch. Wiedział, że to nie wina *bentō*. To stres wypełniający mu umysł pożerał od środka jego ciało.

Wrócił na Harumi-Dori, zmierzając w kierunku skrzyżowania z Chuo-Dori. Wędrował po ulicach już od wielu godzin. Tymczasem zaszło słońce i ze wszystkich stron otoczyła go noc. Miasto przypominało elektroniczny las. Długie, pionowe neony tłoczyły się wzdłuż całej ulicy, ideogramy i zachodnie litery rozbłyskiwały w mroku. Na ulicy roilo się od Japończyków w strojach do biegania albo w dżinsach i sportowych koszulkach. Ze zwyczajnymi obywatelami mieszały się *sararimani* w szarych garniturach.

Fortunato zatrzymał się i oparł o jedną z pełnych gracji latarń w kształcie litery „f”. *Oto świat w całej swej chwale* — pomyślał. Na całej planecie nie można było znaleźć bardziej światowego miejsca, bardziej zaprzątniętego pieniędzmi, gadżetami, alkoholem i seksem. A zaledwie kilka godzin drogi stąd, w sosnowych lasach, wznosiły się drewniane świątynie, w których przyklęknięci mężczyźni starali się obrócić swe umysły w rzeki pyłu i blasku gwiazd.

*Zdecyduj się* — powiedział sobie. *Musisz się zdecydować.*

— *Gaijin-san!* Chcesz dziewczynę? Ładną dziewczynę?

Odrzucił się. To był naganiacz z *pinku saron*, znanej tylko w Japonii instytucji, w której klient płacił co godzinę i otrzymywał w zamian bezdenną miseczkę sake oraz *jo-san* w stroju topless, która siedziała biernie na jego kolanach i pozwalała pieścić swe piersi, podczas gdy on pił, aż wreszcie doprowadził się do stanu, w którym był gotowy wrócić do żony. Fortunato doszedł do wniosku, że to omen.

Zapłacił trzy tysiące jenów za pół godziny i wszedł do pogrążonego w półmroku korytarza.

Miękka dłoń ujęła go za rękę i poprowadziła w dół, do zupełnie ciemnego pomieszczenia, pełnego stolików i innych par. Wszędzie wokół rozmawiano o interesach. Hostessa zaprowadziła go na koniec sali i posadziła go tam, z nogami wsuniętymi pod niski stół, a plecami wspartymi o drewniane krzesło bez nóg. Potem usiadła z gracją na jego kolanach. Usłyszał szelest jej kimona, gdy rozchyliła je, odsłaniając piersi.

Była maleńka i pachniała pudrem, mydłem sandałowym, a trochę również potem. Fortunato uniósł ręce i dotknął jej twarzy, przebiegając palcami wzdłuż linii żuchwy. Nie zwróciła na to uwagi.

— Sake? — zapytała.

— Nie — odparł. — *I-ie, domo.*

Przesunął palce wzdłuż jej szyi, dochodząc do barków i do skraju kimona. Potem powędrował niżej. Musnął delikatnie jej drobne, delikatne piersi. Maleńkie sutki stwardniały pod jego dotykiem. Kobieta zachichotała nerwowo i uniosła dłoń, by zasłonić usta. Fortunato wsunął głowę między obie piersi i wciągnął w płuca aromat jej skóry. To była woń świata. Nadeszła pora, by albo uciec, albo skapitulować, a on zapędził się w ślepą uliczkę, sam pozbawił się sił potrzebnych, by stawiać opór.

Delikatnie pociągnął twarz kobiety w dół i pocałował ją. Usta miała nerwowo zaciśnięte. Znowu zachichotała. W Japonii zwano pocałunki *suppun* — „egzotyczną praktyką”. Oddawali się jej tylko cudzoziemcy i nastolatki. Pocałował ją raz jeszcze i poczuł, że mu zeszywniał. Elektryczność przepłynęła przez niego i wniknęła w ciało hostessy. Kobieta przestała chichotać i zadrżała. Fortunato również dygotał. Poczuł, że budzi się wąż. Kundalini poruszyła się w jego kroczu i zaczęła się rozwijać wzdłuż kręgosłupa. Powoli, jakby nie rozumiała, co i dlaczego robi, kobieta dotknęła go swymi drobnymi dłońmi i splótła je za jego szyję. Jej język musnął delikatnie jego wargi, podbródek oraz powieki. Fortunato rozwiązał jej kimono i rozchylił je całkowicie. Następnie objął ją w talii, podniósł z łatwością i posadził na krawędzi blatu. Zarzucił sobie nogi kobiety na ramiona i pochylił się, by otworzyć ją językiem. Miała egzotyczny, korzenny smak. Już po kilku sekundach ożyła pod nim, gorąca i wilgotna, poruszając mimo woli biodrami.

Odepchnęła głowę mężczyzny do tyłu i pochyliła się ku niemu, rozpinając mu spodnie. Całował jej ramiona i szyję. Jęczała cicho. To było tak, jakby w gorącym, tłoczonym pomieszczeniu nie było nikogo poza nimi. Jakby nie było nikogo na całym świecie. *Zaczęło się* — pomyślał Fortunato. Widział już trochę w ciemności. Ujrzał jej nieładną, kanciastą twarz i linie zaznaczające się wokół oczu. Uświadomił sobie, że wygląd skazywał ją na ciemności *pinku saron*. Skrywane pożądanie, które w niej wyczuwał, sprawiało, że pragnął jej jeszcze bardziej. Opuścił ją na siebie. Westchnęła, kiedy w nią wszedł, wpijając palce w jego barki. Oczy zapadły mu się w głęb głowy.

Tak — myślał. Tak, tak, tak. Świecie, kapituluję przed tobą.

Moc wezbrała w nim niczym płynna lawa.



Gdy wszedł do Berni Inn, było parę minut po dziesiątej. Kelnerka, ta, która powiedziała mu, że ma na imię Megan, właśnie wychodziła z kuchni. Na widok Fortunata stanęła jak wryta. Idąca z tyłu koleżanka omal nie wpadła na nią z tacą pełną pasztecików.

Dziewczyna gapiała się na jego czoło. Nie musiał przeglądać się w lustrze, by wiedzieć, że znowu obrzękło od mocy jego *rasa*. Podszedł do niej.

— Proszę odejść — zażądała. — Nie chcę z panem rozmawiać.

— Klub — odparł Fortunato. — Ten ze znakiem kaczkki. Wie pani, gdzie on jest.

— Nie. Nigdy...

— Odpowiedz mi — rozkazał.

Jej twarz utraciła wszelki wyraz.

— Po drugiej stronie Roppongi — odparła. — Tuż przy policyjnej budce telefonicznej, dwie przecznice naprzód, a potem pół przecznicy w lewo. Bar od frontu nazywa się Takahashi.

— A ten od tyłu? Jak on się nazywa?

— Nie ma nazwy. To melina yakuzi. Nie Yamaguchi-gumi, żadnego z wielkich gangów. To tylko mały klan.

— W takim razie dlaczego tak się ich boisz?

— Mają ninję, wojownika cienia. Jednego z tych, jak ich tam zwał. Asów. — Przyjrzała się czołu Fortunata. — Pan też jest jednym z nich, prawda? Podobno zabił setki ludzi. Nikt go nigdy nie widział. Mógłby być teraz w tej sali. A nawet jeśli go nie ma, zjawi się później. Zabije mnie za to, że panu powiedziałam.

— Nadal nie rozumiesz — odparł. — Oni się ucieszą na mój widok. Mam coś, co chcą dostać.



Lokal wyglądał tak, jak opisał go Hiram. Ściany korytarza pokrywał nagi, szary tynk, a drzwi na jego końcu zdobila turkusowa imitacja skóry, przybita wielkimi mosiężnymi gwoździami. Gdy tylko znalazł się wewnątrz, jedna z hostess przyszła po jego marynarkę.

— Nie — warknął po japońsku. — Chcę się widzieć z *oyabunem*. To ważne.

Nadal była lekko wstrząśnięta jego wyglądem, a tak nieuprzejme zachowanie przekroczyło granice jej wytrzymałości.

— *W-w-wakarimassen* — wyjąkała.

— Rozumiesz. Rozumiesz mnie doskonale. Idź do swojego szefa i powiedz mu, że muszę z nim pomówić. Natychmiast.

Czekał przy drzwiach. Sala była długa i wąska, sufit niski, a lewą ścianę nad boksami



pokrywały lustrzane płytki. Pod drugą ścianą ulokowano bar z chromowanymi stolikami, jak w amerykańskim barze załaskowym. Siedzący tam mężczyźni byli w większości Koreańczykami, noszącymi tanie poliestrowe garnitury i szerokie krawaty. Spod ich kołnierzy i mankietów wysuwały się tatuaże. Gdy tylko skierowali na niego wzrok Fortunato odwzajemniał ich spojrzenia. Wtedy się odwracali.

Była jedenasta. Choć wypełniała go moc, czuł się lekko zaniepokojony. Był cudzoziemcem i znalazł się na obcym terenie, w samym sercu nieprzyjacielskiej twierdzy. *Nie szukam tu kłopotów* — powtórzył sobie. *Splacę dług Hiram i zmiatam stąd.*

A wtedy wszystko będzie w porządku. Środa jeszcze się nie skończyła, a problem restauratora był już bliski rozwiązania. W piątek boeing 747 odleci do Korei, a potem do Związku Sowieckiego, zabierając ze sobą Hiram i Sokolicę. A on zostanie tu sam i będzie mógł się zastanowić, co robić dalej. Może sam wsiądzie w samolot i wróci do Nowego Jorku. Sokolica powiedziała, że ich związek nie ma przyszłości, ale mogła się mylić.

Kochał Tokio, ale to miasto nigdy nie odwzajemni jego miłości. Zaspokoi wszystkie jego potrzeby i pozwoli mu na bardzo wiele w zamian za choćby zdawkową próbę przestrzegania zasad uprzejmości; oszałamiało go swym pięknem, wyczerpywało niezliczonymi seksualnymi przyjemnościami. Zawsze jednak pozostanie tu *gaijinem*, cudzoziemcem, i nigdy nie założy rodziny, a w tym kraju rodzina była najważniejsza.

Hostessa przyklucnęła przy ostatnim boksie, rozmawiając z Japończykiem o długich włosach z trwałą ondulacją, odzianym w jedwabny garnitur. U jego lewej dłoni brakowało małego palca. Członkowie jakuzi zwykli ucinąć sobie palce na znak pokuty za popełnione błędy, ale Fortunato słyszał, że młodszy członkowie klanów raczej nie są zwolennikami tego zwyczaju. Zaczepnął głęboki oddech i ruszył naprzód.

*Oyabun* siedział pod ścianą. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Obok niego przy cupnęły dwie *jo-san*. Trzecia zajęła miejsce po przeciwnej stronie stolika, naprzeciwko dwóch potężnie zbudowanych ochroniarzy

— Zostaw nas — rozkazał hostessie Fortunato. Odeszła w pół zdania. Pierwszy ochroniarz wstał, gotowy wyrzucić intruza. — Wy też — dodał as, spoglądając w oczy kolejno dwóm mężczyznom i trzem dziewczynom.

*Oyabun* przyglądał się temu wszystkiemu ze spokojnym uśmiechem. Fortunato pokłonił mu się w pół. Szef gangu pochylił głowę w odpowiedzi.

— Nazywam się Kanagaki. Zechce pan usiąść?

As spoczął naprzeciwko niego.

— *Gaijin* Hiram Worchester przysłał mnie tu, bym spłacił jego dług. — Fortunato wyjął książeczkę czekową. — Jak rozumiem, suma wynosi dwa miliony jenów.

— Ach — odrzekł Kanagaki. — Kolejny „as”. Dostarczyliście nam mnóstwa rozrywk. Zwłaszcza ten mały rudzielec.

— Tachion? A co on ma z tym wspólnego?

— Z tym? — *Oyabun* wskazał na księżeczkę czekową Fortunata. — Nic. Ale w ostatnich dniach wiele *jo-san* daremnie próbowało go zadowolić. Najwyraźniej ma problemy z męską mocą.

*Tachion*? — pomyślał Fortunato. *Nie chce mu stanąć?* Powstrzymał śmiech. To z pewnością tłumaczyło, dlaczego dziś w hotelu był w takim paskudnym nastroju.

— To nie ma nic wspólnego z asami — oznajmił. — Chodzi o interesy.

— Ach, interesy. Proszę bardzo. Załatwimy to jak ludzie interesu. Tak suma rzeczywiście wynosi dwa miliony jenów. Ale za parę minut to będzie cztery. Wielka szkoda. Wątpię, by zdołał pan sprowadzić tu *gaijina* Worchestera przed nadejściem północy.

Fortunato potrząsnął głową.

— Nie ma potrzeby, by Worcester-san przychodził tu osobiście.

— Ależ jest. Uważamy, że to kwestia honoru.

As spojrział mu prosto w oczy.

— Proszę, by zrobił pan to, co trzeba — rzekł, nadając tradycyjnej frazie moc rozkazu.

— Dam panu pieniądze. Dług będzie spłacony.

Kanagaki miał bardzo silną wolę. Niemalże zdołał wypowiedzieć słowa, które chciały wyjść mu z gardła.

— Uszanuję pana twarz — wykrztusił jednak dławiającym się głosem.

Fortunato wy pisał czek i wręczył go gangsterowi.

— Rozumie mnie pan. Dług jest spłacony.

— Tak — potwierdził *oyabun*. — Dług jest spłacony.

— Pracuje dla pana pewien człowiek Zabójca. Jakrozumiem, używa pseudonimu Zero Man.

— Mori Riishi.

Zgodnie z japońskim obyczajem Kanagaki podał najpierw nazwisko, a potem imię.

— Worcester-san będzie bezpieczny. Ten Zero Man, Mori, będzie się trzymał z dala od niego.

Kanagaki milczał.

— O co chodzi? — zapytał Fortunato. — Czego nie chce mi pan powiedzieć?

— Jest już za późno. Mori wyruszył w drogę. *Gaijin* Worcester umrze o północy.

— Jezu — mruknął as.

— Mori przybył do Tokio ze świetną opinią, ale nie mieliśmy żadnych dowodów. Bardzo gorąco pragnął wywrzeć na nas dobre wrażenie.

Fortunato uświadomił sobie, że nie dzwonił do Sokolicy.

— Który to hotel? W którym hotelu zatrzymał się Worcester-san?

Kanagaki rozpostarł dłonie.

— Któż to może wiedzieć?

As zaczął wstawać. Podczas jego rozmowy z *oyabunem* ochroniarze sprowadzili posiłki. Gangsterzy otoczyli stół, ale Fortunato nie zwracał sobie nimi głowy. Otoczył się klinem mocy i popędził ku wyjściu, odpychając ich po drodze na boki.

Wpadł na ulicę. W Roppongi nadal było tłoczno. Na stacji Shinjuku zapóźnieni pijacy usiłowali się wepchnąć do ostatnich odchodzących dziś pociągów metra. W Ginzie stali w kolejkach na postojach taksówek. Do północy zostało dziesięć minut. Nie było czasu.

Uwolnił astralne ciało i kazał mu pomknąć ku Imperial Hotel. Gdy zwiększył prędkość, neony, półprzepuszczalne szyby i chrom zmieniły się w jedną zamazaną plamę. Nie zwalniał aż do chwili, gdy przeniknął przez ścianę hotelu i zawisł w powietrzu w pokoju Sokolicy. Następnie uczynił się widzialnym. W pokoju pojawił się świetlisty, złotoróżowy obraz jego fizycznego ciała.

*Sokolico* — przesłał jej myśl.

Odrzuciła się w łóżku ku niemu. Ze słabym, odległym ukłuciem bólu zauważyła, że nie jest sama.

*Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Hiram.*

— Fortunato? — wyszeptwała. Nagle go zobaczyła. — O mój Boże.

*Pośpiesz się. Jak się nazywa jego hotel.*

— Zaczekaj chwilę. Zapisałam tę nazwę.

Podeszła nago do telefonu. Astralne ciało Fortunata nie czuło żądz ani głodu, ale jej widok nadal na niego działał.

— Ginza Dai-Ichi. Pokój osiemset jeden. Mówił, że to wielki budynek w kształcie litery H, niedaleko od dworca Shimbashi...

*Wiem, gdzie to jest. Spotkaj się tam ze mną najszybciej, jak będziesz mogła. Sprowadź pomoc.*

Nie mógł czekać na jej odpowiedź. Natychmiast wrócił do fizycznego ciała i wzbił się w powietrze.

Nie znoślił robić z siebie widowiska. Od chwili przybycia do Japonii stał się jeszcze bardziej wstydlivy niż przedtem. Nie miał jednak wyboru. Uniósł się pionowo ku niebu, na tyle wysoko, że nie rozróżniał już noszących się ku niemu z ciekawością twarzy, a potem pomknął prosto do hotelu Dai-Ichi.



Dokładnie o północy znalazł się pod drzwiami Hirama. Były zamknięte, ale wyrwał je z zawiasów wysiłkiem umysłu, rozszczepiając otaczające je drewno.

Hiram usiadł w łóżku.

— Co...

Fortunato spowolnił czas.

To było tak, jakby pociąg zahamował z nagłym zgrzytem. Niezliczone ciche dźwięki towarzyszące życiu hotelu przerodziły się w basowy warkot.

W pokoju nie było nikogo oprócz Hiram. Odwrócenie głowy sprawiło Fortunatowi ból. Wiedział, że restauratorowi z pewnością wydaje się zamazaną plamą. Przesuwne drzwi łazienki były otwarte. Tam również nikogo nie zauważył.

Nagle jednak przypomniał sobie, w jaki sposób Astronom potrafił stać się dla niego niewidzialny. Pozwolił, by czas wokół niego przyśpieszył nieco. Unosił ręce, walcząc z ciężkim, lepiałym się do nich powietrzem, i podzielił pokój na kwadraty, używając do tego celu kciuka i palca wskazującego połączonych w czworobok. Tu była szafka z otwartymi drzwiami. Tu kawałek ściany pokrytej tapetą w bambusowy wzór. Nic na niej nie było. Tu noga łóżka i krawędź klingi samurajskiego miecza, poruszającej się powoli w stronę głowy Hiram.

Fortunato rzucił się naprzód. Miał wrażenie, że minęła wieczność, nim jego ciało wreszcie uniosło się w powietrze i pomknęło ku Hiramowi. Rozpostarł ramiona i zrzucił grubasa na podłogę, czując, że coś twardego musnęło podeszwy jego butów. Przetoczył się na plecy i zobaczył, że coś rozcina powoli na dwie pościel i materac.

*Miecz* — pomyślał. Gdy już przekonał samego siebie, że on naprawdę tam jest, był w stanie go zobaczyć. *A teraz ręka* — powiedział sobie. Powoli ukształtował się cały mężczyzna, młody Japończyk w białej koszuli frakowej i szarych wełnianych spodniach. Stopy miał bosc.

Fortunato pozwolił, by czas odzyskał normalną prędkość, nie chcąc, by zmęczenie wyczerpało jego zasoby. Usłyszał krok. Bał się odwrócić wzrok, by znowu nie stracić zabójcy z oczu.

— Odlóż miecz — zażądał.

— Widzisz mnie — odparł mężczyzna po angielsku. Następnie odwrócił się, spoglądając ku drzwiom.

— Odlóż miecz — powtórzył, tym razem czyniąc te słowa rozkazem. Było już jednak za późno. Utracił kontakt wzrokowy, a napastnik stawał mu opór.

Bez chwili zastanowienia spojrzął na drzwi. Stał w nich Tachion w czerwonej jedwabnej piżamie. Za plecami miał Mistral. Właśnie wbiegał do pokoju i Fortunato uświadomił sobie, że niski kosmita zginie.

Poszukał wzrokiem Mori. Zabójca zniknęła. Asa wypełniła zimna panika. *Miecz* — pomyślał. *Znajdź miecz*. Przyjrzał się miejscu, gdzie powinna się znajdować broń, jeśli Japończyk zaatakował Tachiona. Potem znowu spowolnił czas.

Tam. Klinga, zakrzywiona i niewiarygodnie ostra, stał lśniąca jasno jak powierzchnia słońca. *Chodź do mnie* — pomyślał Fortunato i szarpnął miecz mocą umysłu.

Chciał tylko wyrwać go z rąk Moriego, ale nie docenił swej mocy. Miecz zawirowała, mijając

Tachiona o kilka cali. Wykonał jakieś dziesięć, może piętnaście obrotów w powietrzu, nim wbił się w ścianę za łóżkiem.

A gdzieś po drodze uciął czubek głowy Moriego.



Fortunato osłaniał ich swą mocą, aż znaleźli się na ulicy. To była ta sama sztuczka, której używał Zero Man. Nikt ich nie widział. Zwłoki Moriego zostawili w pokoju. Jego krew wsiąkała w dywan.

Obok zatrzymała się taksówka. Wysiadła z niej Sokolica, a za nią mężczyzna, który był z nią wcześniej w łóżku. Był nieco niższy od Fortunata, miał blond włosy oraz wąsy. Zatrzymał się przy kobiecie, a ta ujęła go za rękę.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała.

— Tak — potwierdził Hiram. — Wszystko w porządku.

— Czy to znaczy, że wrócisz do grupy?

Restaurator spojrział na pozostałych.

— Pewnie tak

— To świetnie — ucieszyła się, nagle zauważając, że wszyscy są bardzo poważni. — Bardzo się martwiłmśmy o ciebie.

Hiram skinął głową.

Tachion podszedł do Fortunata.

— Dziękuję — rzekł cicho. — Nie tylko za uratowanie mi życia. Zapewne uratowałeś również naszą misję. Kolejny gwałtowny incydent po Haiti, Gwatemali i Syrii mógłby zniszczyć wszystko, co staramy się osiągnąć.

— Jasne — zgodził się Fortunato. — Zapewne nie powinniśmy stać tu zbyt długo. Lepiej nie kusić losu.

— Pewnie masz rację — zgodził się kosmita.

— Hej, Fortunato — odezwała się Sokolica. — Poznaj Josha McCoya.

Fortunato uścisnął rękę mężczyzny i skinął głową. McCoy uśmiechnął się i ponownie ujął dłoni Sokolicy.

— Mnóstwo o tobie słyzałem.

— Masz krew na koszuli? — zauważyła kobieta. — Co się stało?

— Nic takiego. Już jest po wszystkim.

— Bardzo dużo krwi — ciągnęła. — Jak po walce z Astronomem. Masz w sobie mnóstwo przemocy. Czasami się ciebie boję.

Fortunato nie odpowiedział.

— I co zrobimy teraz? — zapytał McCoy.

— Ja i G.C. Jayewardene pewnie odwiedzimy pewnego faceta w klasztorze — odparł ciemnoskóry mężczyzna.

— Chyba żartujesz? — zdziwił się McCoy.

— Nie — zaprzeczyła Sokolica. — Myślę, że nie żartuje. — Wpatrywała się w Fortunata przez dość długi czas. — Uważaj na siebie, dobra? — poprosiła wreszcie.

— Jasne — zgodził się. — Cóż innego mi pozostało?



— Jesteśmy na miejscu — stwierdził Fortunato. Klasztor rozciągał się na całym stoku. Dalej rozpościerały się skalne ogrody i tarasowe pola. Ciemnoskóry mężczyzna wytarł śnieg z kamienia przy ścieżce i usiadł na nim. Przejaśniło mu się w głowie, a żołądek również już mu nie dokuczał. Może zawdzięczał to czystemu górskiemu powietrzu. A może chodziło o coś więcej.

— Tu jest bardzo pięknie — zauważył Jayewardene, łuczając obok niego.

Wiosna dotrze na Hokkaido dopiero za jakieś półtora miesiąca. Niebo było jednak bezchmurne. Można by na nim dostrzec jumbo jeta z odległości bardzo wielu mil. Ale boeingi 747 nie latały nad Hokkaido. A już z pewnością nie te, które zmierzały do Korei, położonej prawie półtora tysiąca kilometrów na południowy zachód stąd.

— Co się wydarzyło w sobotę wieczorem? — zapytał Lankijczyk po paru minutach. — Doszło do okropnego zamieszania, a gdy już było po wszystkim, Hiram wrócił. A może nie chcesz o tym mówić?

— Właściwie nie ma o czym opowiadać — odparł Fortunato. — Ludzie walczyli o pieniądze. Jeden chłopak zginął. Okazało się, że w rzeczywistości nigdy nikogo nie zabił. Chciał tylko wykonać dobrą robotę, żeby nie podważyć reputacji, którą sam dla siebie wymyślił. — Wzruszył ramionami. — Taki już jest świat. W miejscach takich jak Tokio zawsze będą się zdarzać tego typu rzeczy. — Wstał i otrząpał siedzenie spodni. — Jesteś gotowy?

— Tak — potwierdził Jayewardene. — Długo czekałem na tę chwilę.

Fortunato skinął głową.

— No to ruszajmy.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

21 marca, w drodze do Seulu

W Tokio ujrzałem twarz z przeszłości i jej wspomnienie nie przestaje mnie prześladować. Przedwczoraj postanowiłem, że zignoruję tego człowieka i kwestie wiążące się z jego obecnością oraz że nie wspomnę o nim w dzienniku.

Poczyłem plany mające po mojej śmierci doprowadzić do opublikowania tego tekstu. Nie liczę na to, że stanie się bestsellerem, ale sądzę, że liczna grupa sław podróżujących na pokładzie „Ułożonej Tali” oraz wiele sensacyjnych wydarzeń, których przyczyną się staliśmy, powinny wywołać choć niewielkie zainteresowanie szerokiej amerykańskiej publiczności, więc mój dziennik ma szansę znaleźć odbiorców. Jeśli otrzymam za niego jakieś skromne honorarium, zasili ono fundusze DLZ, której zapisałem cały swój majątek.

Choć jednak będę już bezpiecznie pochowany, zanim ktokolwiek przeczyta te słowa, i w związku z tym żadne osobiste wyznania nie mogą mi zaszkodzić, mam opory przed pisaniem o Fortunacie. Jeśli chcecie, możecie to nazwać tchórzostwem. To typowa przywara dżokerów, jeśli wierzyć kawałom, tym okrutnym, których nie pozwalają opowiadać w telewizji. Z łatwością mógłbym uzasadnić decyzję, że pominę Fortunata milczeniem. Nasze kontakty zawsze miały czysto prywatny charakter, nic ich nie łączyło z polityką, sprawami światowymi ani innymi kwestiami poruszonymi w tym dzienniku, a już z pewnością nie miały nic wspólnego z naszą podróżą.

Z drugiej strony, bez zahamowań przytaczałem na tych stronicach plotki, które krążyły po samolocie, pisałem o rozmaitych słabostkach i niedyskrecjach doktora Tachiona, Sokolicy, Jacka Brauna, Kopacza Downsa i całej reszty. Czy naprawdę mógłbym udawać, że ich słabości interesują opinię publiczną, a moje nie? Może bym i mógł... ludzie zawsze byli zafascynowani asami, a brzydili się dżokerów... nie zrobię tego jednak. Chcę, żeby ten dziennik był autentyczny i szczerzy. Pragnę też, by czytelnicy choć w niewielkim stopniu uświadomili sobie, co to znaczyło przeżyć czterdzieści lat jako dżoker. A w tym celu muszę opowiedzieć o Fortunacie, choć napawa mnie to głębokim wstydem.

Fortunato mieszka obecnie w Japonii. Pomógł Hiramowi w jakiś tajemniczy sposób, gdy ten zmienna opuścił nas w Tokio. Nie będę udawał, że znam szczegóły sprawy, gdyż starannie ją wyciszono. Kiedy Hiram wrócił do nas w Kalkucie, mogło się niemal wydawać, że znowu jest sobą, ale potem jego stan pogorszył się szybko. Worchester z każdym dniem wygląda gorzej. Stał się porywczy, niesympatyczny i skryty. Nie chodzi mi jednak o Hiramę, o którego problemach nic nie wiem. Rzecz w tym, że Fortunato włączył się w jakiś sposób w tę sprawę i przyszedł do

naszego hotelu. Rozmawiałem z nim przez chwilę na korytarzu. Na tym koniec... w tej chwili. W minionych latach Fortunato i ja spotykaliśmy się częściej.



Wybaczenie. To trudne. Jestem starym człowiekiem, a do tego dzokerem. Wiek i zniekształcenia uczyniły mnie nadwrażliwym. Godność jest wszystkim, co mi pozostało, a za chwilę mam się jej wyrzec.

Pisałem o wstręcie do samego siebie.

Nadeszła pora na kilka trudnych prawd. Pierwsza z nich brzmi tak, że wielu natoli brzydzi się dzokerów. Niektórzy z nich to fanatycy, zawsze gotowi nienawidzić każdego, kto jest inny od nich. Pod tym względem dzokerzy nie różnią się od pozostałych uciskanych mniejszości. Wszystkich nas nienawidzą ze szczerą jadowitością ci, którzy są skłonni do nienawiści.

Wśród normalsów są też jednak ludzie skłonni do tolerancji i starający się dostrzec ukrytego pod powierzchownym wyglądem człowieka. Ludzie dobrej woli, którzy nie nienawidzą, chcą dobrze i są wspaniałomyślni. Tacy ludzie jak.. powiedzmy... doktor Tachion i Hiram Worchester, żeby podać dwa przykłady będące pod ręką. Obaj ci dżentelmeni dowiedli z upływem lat, że bardzo współczują dzokerom — Hiram za pomocą swej anonimowej działalności dobroczynnej, a Tachion pracą w klinice. Lecz jestem przekonany, że obaj czują na widok prostych fizycznych zniekształceń większości dzokerów obrzydzenie równie silne, jak Nur al-Allah czy Leo Barnett. Widać to w ich oczach, nawet jeśli udają nonszalanckich światowców. Niektórzy z ich najlepszych przyjaciół są dzokerami, ale nie chcieliby, żeby ich siostra wyszła za dzokera.

To pierwsza z niewypowiedzianych prawd o życiu dzokerów.

Jakże łatwo byłoby wściekać się na ten fakt, potępiać ludzi takich jak Tach i Hiram za hipokryzję i „formizm” (ohy dne słowo ukute przez jakiegoś szczególnie kretyńskiego dzokerskiego aktywistę i podchwyczone przez organizację Toma Millera Dżokerzy na rzecz Sprawiedliwości Społecznej w dniach jej największego rozkwitu). To byłoby łatwe, ale błędne. To porządni ludzie, są jednak tylko ludźmi i nie można ich potępiać za to, że ulegają normalnym ludzkim uczuciom.

Ponieważ, rozumiecie, druga niewypowiedziana prawda o życiu dzokerów brzmi tak, że bez względu na to, jak bardzo natole brzydzą się nas, sami brzydzimy się siebie jeszcze bardziej.

Pogarda do samego siebie jest w Dżokerowie szczególnie powszechną psychologiczną plagą, chorobą, która nierzadko prowadzi do śmierci. Najczęstszą przyczyną zgonu wśród dzokerów przed pięćdziesiątym rokiem życia zawsze było samobójstwo, pomimo faktu, że niemal każda znana człowiekowi choroba ma u nas poważniejszy przebieg, gdyż nasza biochemia, a nawet sam kształt ciał są bardzo różnorodne, reakcja zaś organizmów nieprzewidywalna, co powoduje, że żadna terapia nie może być do końca bezpieczna.



W Dżokerowie długo trzeba by szukać miejsca, gdzie można by kupić lustro, za to sklepy z maskami widzi się przy każdej ulicy.

Jeśli to nie jest dla was wystarczającym dowodem, rozważcie kwestię imion. Nazywają je ksywkami, ale są one czymś więcej. Światłem padającym na prawdziwą głębokość naszego wstępu do siebie samych.

Jeśli ten dziennik ma zostać opublikowany, będę nalegał, by ukazał się pod tytułem *Dziennik Xaviera Desmonda*, nie *Dziennik dżokera* czy coś w tym rodzaju. Jestem człowiekiem, konkretną osobą, nie przykładem ogólnego typu. Nazwy są ważne, to coś więcej niż tylko słowa, nadają kształt i barwę rzeczom, które określają. Feministki uświadomiły to sobie już dawno, a dżokerzy nadal nie potrafią tego pojąć.

W ciągu minionych lat zawsze pamiętałem, by nie reagować na żadne miano poza moim własnym imieniem i nazwiskiem, znam jednak dżokerskiego dentyście, który używa imienia Rybia Gęba, sławnego ragtimowego pianistę, który reaguje na przydomek Skrzyńka dla Kota, oraz znakomitego dżokerskiego matematyka, który podpisuje swe prace Gnida. Nawet podczas tej podróży towarzyszy mi troje ludzi, którzy nazywają się Poczwarła, Troll i Ojciec Kałarnica.

Rzecz jasna, nie jesteśmy pierwszą mniejszością, która zaznała tej szczególnej postaci ucisku. Z pewnością czarni znają ją świetnie. Całe pokolenia wychowywały się w przeświadczeniu, że „najładniejsze” są te czarne dziewczyny, które mają najjaśniejszą cerę, a ich rysy najbardziej się zbliżają do ideału typowego dla rasy białej. W końcu jednak niektórzy z nich przejrzeni to kłamstwo i ogłosili, że czarne jest piękne.

Od czasu do czasu jacyś pełni dobrych chęci, ale głupi dżokerzy próbują zrobić to samo. W Cudałach, jednej z najbardziej niemoralnych instytucji w Dżokerowie, urządza się co roku na walentynki wybory „Miss Wypaczonych”. Bez względu na to, czy organizatorzy tej imprezy są szczerzy czy cyniczni, z pewnością jest to chybiony pomysł. Zawdzięczamy to naszym przyjaciółom Takizjanom, którzy wzbogacili spleatany nam figiel dodatkową sprytną sztuczką.

Problem polega na tym, że każdy dżoker jest jedyny w swoim rodzaju.

Przed transformacją nigdy nie byłem przystojny, ale po niej trudno nazwać mnie obrzydliwym. Mój „nos” jest trąbą długości około sześćdziesięciu centymetrów, zakończoną palcami. Przekonałem się, że większość ludzi po kilku dniach znajomości przyzwyczajają się do mojego wyglądu. Lubię sobie powtarzać, że po jakimś tygodniu prawie nikt ze znajomych nie zauważa, że różni się od innych. Być może tkwi w tym ziarenko prawdy.

Gdyby wirus był tak łaskawy, żeby dać wszystkim dżokerom trąbę zamiast nosów, nasza sytuacja zapewne byłaby znacznie łatwiejsza, a kampania głosząca, że trąby są piękne, mogłaby naprawdę nam pomóc.

O ile mi jednak wiadomo, jestem jedynym dżokerem z trąbą. Nawet gdybym ze wszystkich

sił starał się ignorować estetykę kultury natoli, w której żyję, i przekonać samego siebie, że jestem diabelnie przystojnym skurczybykiem, a to cała reszta wygląda dziwnie, w niczym mi to nie pomoże, gdy znowu zobaczę żalodne stworzenie zwane Smarkiem, śpiące w zsypie za Gabinetem Luster. Okropna rzeczywistość wygląda tak, że na widok skrajnych przypadków dzokerskich deformacji robi mi się tak samo niedobrze, jak zapewne robi się doktorowi Tachionowi, tyle że mnie dręczą z tego powodu jeszcze większe wyrzuty sumienia.

I tak okrężną drogą, dotarłem z powrotem do Fortunata. Fortunato jest... a przynajmniej był... stręczycielem. Oferował na sprzedaż usługi luksusowych prostytutek. Wszystkie jego dziewczyny reprezentowały najwyższy poziom; były piękne, zmysłowe i opanowały wszelkie arka na sztuki miłosnej. Były też sympatyczne i poza łóżkiem ich towarzystwo dostarczało równie wiele radości jak w nim. Fortunato nazywał je gejszami.

Przez z górą dwa dziesięciolecia byłem jednym z jego najlepszych klientów.

Jestem przekonany, że osiągał w Dżokerowie wielkie zyski. Wiem, że Poczwarła często sprzedaje informacje w zamian za seks. Robi to na górze w swym Kryształowym Pałacu, gdy tylko spodoba się jej mężczyzna, który potrzebuje jej usług. Znam też garstkę naprawdę bogatych dżokerów. Żaden z nich nie jest żonaty, ale prawie wszyscy mają natolskie kochanki. Gazety z Dżokerowa, które widzieliśmy, podają, że Pięć Rodzin toczy na ulicach wojnę z Widmową Pięścią. Znam jej powody. Doszło do niej dlatego, że w Dżokerowie prostytucja to wielki biznes, podobnie jak narkotyki i hazard.

Pierwszą rzeczą, którą traci dżoker, zawsze jest seksualność. Niektórzy wyzbywają się jej całkowicie, stają się impotentami albo aseksualistami. Nawet jednak ci, których genitalia i popęd seksualny nie zmieniły się pod wpływem dzikiej karty, tracą płciową tożsamość. Gdy stan ofiary się stabilizuje, nie jest już mężczyzną albo kobietą, tylko dżokerem.

Normalny popęd seksualny, nienormalny wstręt do samego siebie i tęsknota za tym, co utracone... męskością, kobiecością, urodą, czymkolwiek. Wszystkie te demony są pospolite w Dżokerowie i znam je dobrze. Rak i późniejsza chemioterapia zabiły we mnie zainteresowanie seksem, ale pamięć o mojej hańbie pozostaje. Wstydzę się wspomnienia o Fortunacie. Nie dlatego, że korzystałem z usług prostytutek czy złamałem głupie prawa natoli — gardzę tymi prawami. Wstydzę się dlatego, że przez wszystkie te lata nie zdobyłem się na to, żeby pożądać dżokerki. Znałem kilka, które były godne miłości — dobre, czułe, uczuciowe kobiety, które potrzebowały bliskości, czułości i, tak jest, seksu, równie mocno jak ja. Niektóre z nich zostały moimi bliskimi przyjaciółkami, ale nigdy nie potrafiłem reagować na nie seksualnie. Były w moich oczach nieatrakcyjne, a i ja z pewnością nie byłem pociągający dla nich.

Takto wygląda w Dżokerowie.

Właśnie kazali zapinać pasy i nie czuję się w tej chwili najlepiej, więc chyba na razie skończę.

# W Pradze zawsze jest wiosna

CARRIE VAUGHN

Kwiecień 1987

Delegaci dotarli do swych pokojów w hotelu, a sam budynek i otaczające go ulice starannie sprawdzono. Agentka SKAZA, Joann Jefferson, pozwoliła sobie na chwilę przerwy i wyszła na balkon jednego z apartamentów na górnych piętrach, by po prostu popatrzeć na Pragę. Hotel znajdował się na południowym brzegu Wełtawy i z okien świetnie było widać Most Karola — renesansową konstrukcję pełną posągów wyglądających jak duchy pielgrzymów — a także ufortyfikowany kompleks wzniesiony na wzgórzu po drugiej stronie stalowoszarych wód rzeki. Panorama miasta była jedyna w swoim rodzaju — niewątpliwie europejska i średniowieczna, lecz jednocześnie pełna egzotycznych, niezemskich elementów. Kościoły o niezwykłych, sterczących wieżach; barokowe kopyły; wyszczerbione linie dachów; a także romantyczne secesyjne fasady, pamiątki po zesłowiecznym optymizmie — wszystko to tłoczyło się wokół wąskich, krętych uliczek. Komunistyczne miasto sprawiało wrażenie znużonego, ale przez szarość przebijało się wspomnienie jednej z wielkich stolic europejskiej kultury, którą ongiś było. Mury i wieże zamku na wzgórzu lśniły w blasku popołudniowego słońca.

Jej marzenie się spełniło. Patrzyła na świat z góry. Ironia polegała na tym, że po pięciu miesiącach towarzyszenia wyprawie zorganizowanej przez Światową Organizację Zdrowia będzie potrzebowała dłuższego urlopu.

Wróciła na korytarz. Po drodze do pokoju służącego im jako centrum operacyjne natknęła się na Billy'ego Raya, który zakończył już sprawdzanie pomieszczeń. Billy przyjmował pozę profesjonalnego twardziela, ze swym białym kombinezonem bojowym oraz uszkodzoną, dziwnie pozrastaną twarzą, z powodu której wyglądał, jakby łytał na wszystkich spode łba. Był jednak rzetelnym agentem. Współpracowali ze sobą już od lat.

— Jak wygląda sytuacja? — zapytał.

— W porządku. Pełen spokój. Chyba wszyscy są zmęczeni.

— Nieźle by było. Choć raz wszyscy siedzą w pokojach i nie sprawiają kłopotów.

Skrzyżował ramiona i sapnął głośno, by zademonstrować, jak mało prawdopodobne jest to w przypadku tej grupy.

— W ten sposób nie zobaczy się swojego zdjęcia w gazetach, co? — zapytała. Ray zachichotał.

Potem zerknął na nią z ukosa, trzymając się na dystans niemalże równy długości korytarza.

Tak właśnie postępowała większość znanych jej ludzi. Przywykła do tego, że nikt nie chce się do niej zbliżyć, ale Ray często wyglądał, jakby poddawał ją ocenie — zastanawiał się, do jakiego stopnia jego nadzwyczajna siła i zdolność zdrowienia mogłyby się oprzeć jej mocy wysysania życia.

Otuliła się ciasniej czarno-srebrnym płaszczem i pochyliła ukrytą pod kapturem głowę. Zdawała sobie sprawę, że sprawia wrażenie niebezpiecznej i tajemniczej, co nie zawsze jej odpowiadało. Niemniej płaszcz ułatwiał jej panowanie nad mocą, nie pozwalał, by wylała się ona na zewnątrz, wysysając energię ze wszystkiego, co znajdowało się wokół. Od dzieciństwa nie dotknęła nikogo żywego w innym celu niż wyrządzenie mu szkody.

— Lepiej trzymaj oczy otwarte — dodał Billy Ray. — W budynku naprzeciwko zakamuflowało się paru agentów. Typowy syf z walką wywiadów. Mogą się zrobić zbyt śmiali.

— Pewnie więcej by się dowiedzieli o wyprawie z gazet niż przez bezpośrednią obserwację.

— Ehe. Jeśli chcesz trochę odpocząć, wezmę pierwszą zmianę.

— Dziękuję, chętnie — odparła. Pomachała do niej ręką i poszedł do pokoju operacyjnego.



Ochroniarzom i obsłudze wyprawy nie przysługiwały luksusowe apartamenty, jakie dostali delegaci. Niemniej to był pięciogwiazdkowy hotel i Joann czuła się bardzo zadowolona ze swego „zwykłego” pokoju z jego królewskim łóżem, prywatną łazienką i wanną na nóżkach. Gdy zastanawiała się, czy pozwolić sobie na gorącą kąpiel, nagle zadzwonił telefon.

— Czarna Lady, mówi kongresmen Cramer. Czy mogę zamienić z panią słówko?

— Oczywiście, pani kongresmen. Czy jest jakiś problem?

Jęknęła w duchu. Jeśli delegaci mieli jakieś kłopoty, nie powinni dzwonić do niej, tylko do pokoju operacyjnego. Chyba że chodziło o coś nieoficjalnego. Nieoficjalnego i skomplikowanego, rzecz jasna.

— Jeśli to możliwe, chciałaby m pomówić o tym osobiście.

Kongresmen Cramer sformułowała to jak prośbę, ale ton rozkazu był wyraźnie słyszalny. Nici z kąpeli. Joann zerknęła jeszcze tęsknie na luksusowe łóżo i pożegnała się z myślą o popołudniowej drzemce.

Carol Cramer, kongresmenka z Missouri reprezentująca Partię Republikańską, zaliczała się do kobiet, które znalazły się w polityce przypadkowo, wypełniając lukę po zgonie męża. W tym przypadku chodziło o śmierć na atak serca, gdy ubiegał się o reelekcję. Wygrała wybory przed trzema laty i sprawiała wrażenie zainteresowanej długą polityczną karierą. Jako najmłodsza rangą spośród towarzyszących wyprawie polityków starała się nie rzucać w oczy, najwyraźniej skupiając się na reprezentowaniu republikanów podczas wyprawy i unikaniu wszelkich skandali, które mogłyby zaszkodzić jej ambicjom. To czyniło fakt, że pragnęła porozmawiać na osobności

z agentką SKAZA, jeszcze bardziej zaskakującym. Joann pocieszała się myślą, że uprzejma dama z południowej części środkowego zachodu, jaką była Carol Cramer, z pewnością nie mogłaby się wpakować w zbyt poważne kłopoty.

Kongresmenka wypatrywała jej przyjścia i otworzyła drzwi, gdy tylko Joann zjawiała się przed nimi. Agentka podziękowała za wskazane krzesło, przygotowując się do uważnego słuchania. Carol Cramer krążyła po pokoju. Pięćdziesięcioparoletnia kobieta była ubrana w elegancką jasnoniebieską suknię szytą na miarę, a krótkie włosy, popielate i kręcone, miała porządnie uczesane. Była jedną z kobiet, które nigdy nie wychodzą z pokoju, nie upewniwszy się najpierw, że ich ubranie, makijaż, włosy i cała reszta są w absolutnym porządku.

— Muszę... hmm, poprosić panią o przysługę. Chciałabym, żeby to zostało między nami, jeśli to tylko możliwe. Jestem pewna, że nie ma w tym nic nielegalnego, ale sprawa jest... delikatna. Czarna Lady, chciałabym, żeby pani kogoś odnalazła.

Joann uniosła brwi, czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Chodzi o moich przyjaciół, czy raczej ludzi, którzy wspierali moją kampanię. Dlatego wolałabym zachować dyskrecję. Mają córkę, dwudziestoletnią, która rzuciła na początku roku naukę w college'u Smitha, a potem zniknęła. Rzecz jasna, jej rodzina dysponuje sporymi środkami. Wynajęli detektywów, ale nie osiągnęli oni zbyt wiele. Są przekonani, że dziewczyna przebywa w Pradze. Prosił mnie, żebym to potwierdziła i porozmawiała z nią, jeśli tylko się uda.

Wyciągnęła z szuflady biurka wymiętą kopertę, otworzyła ją i wyjęła kilka zdjęć oraz napisany na maszynie tekst. Joann podeszła bliżej, żeby się temu przyjrzeć.

Córka — według napisu na kopercie nazywała się Katrina Duboss — była dzokerką. Zamiast lewej ręki miała pęk pomarańczowych, węzowatych macek jak u meduzy. Sprawiały wrażenie chwytnych, owijały się wokół ramienia krzesła ogrodowego, na którym siedziała. Jaskrawe, błyszczące łuski pokrywały nie tylko niezwykle kończyny, lecz również szyję, a nawet część policzka. Wyglądało to, jakby dziewczyna nosiła częściową maskę. Zdjęcie było niepozowane, zrobiono je podczas jakiegoś przyjęcia w ogrodzie. W tle grupa młodych ludzi wyglądających na studentów college'u rzucała frisbee. Ubrana w tank top i zwiewną spódnicę dziewczyna trzymała w normalnej ręce puszkę coli, a oczy wносиła ku niebu, jakby pogardliwie odrzucała propozycję pozowania. Sprawiała wrażenie nieśmiałej, ale nie zawstydzonej. Nie próbowała się ukrywać przed aparatem fotograficznym ani maskować swej deformacji. Miała żywe, brązowe oczy.

— To dzokerka — odezwała się Joann, stwierdzając oczywisty fakt.

Carol Cramer zamknęła oczy i westchnęła, jakby to była tragedia.

— Tak To wydarzyło się zaledwie parę lat temu. Zaraziła się i długo chorowała. Obawiam się, że potem w rodzinie nic już nie było samo.

— Wyobrażam sobie — odparła z przekąsem Joann. Sądząc po zdjęciu, Katrina spokojnie

przyjęła swą transformację. Sprawiała wrażenie szczęśliwej i pogodzonej z tym, co się stało. Nie musiało to jednak dotrzeć reszty rodziny.

Na kartce umieszczono informacje o miejscach, w których przebywała podczas ostatniego roku. Katrina Duboss wypłaciła pieniądze z konta, by kupić bilet na samolot do Londynu. Następnie zaczęła wędrować po Europie, znikając na całe tygodnie, nim pojawiła się w jakimś innym mieście. Sprawiało to wrażenie typowej podróży z plecakiem. Każdy student college'u mógł poświęcić kilka miesięcy na tego typu wyprawę, ale Katrina Duboss najwyraźniej uczyła z tego styl życia.

— Studiowała sztukę — ciągnęła Carol Cramer. — Rodzice rozumieli, że chce trochę pojeździć po Europie, ale coś takiego? Pomogliby jej, gdyby nie to, że od miesiący nie dawała im znaku życia.

Joann wiedziała, że to nie cała historia. Zetknęła się z podobnymi sytuacjami w dziesiątkach innych rodzin. Dobrze sytuowanych rodzin, które nagle przekonały się, że jedno z członków jest dzokorem, kawałkiem układanki niepasującym do ich małego, uporządkowanego świata. Pierwszą reakcją zawsze była próba ukrycia problemu. Tak właśnie niektórzy ludzie rozumieli „pomoc”. Zastanawiała się, czy rodzice zaproponowali Katrinie amputację i chirurgię plastyczną, sądząc, że połowa ciała jest lepsza od całego, ale zdeformowanego. Nikt nie mógłby mieć do dziewczyny pretensji, jeśli przed tym uciekała. Poza, być może, kimś takim jak Carol Cramer.

Nie powinna się z góry uprzedzać do kongresmenki, rodziny Dubossów ani nikogo innego, ale z drugiej strony nie powinna też zajmować się problemami żywcem wyjętymi z mydlanej opery, kiedy miała na głowie ochronę wyprawy.

— Pani kongresmen, to naprawdę nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Powinna pani skontaktować się z ambasadą. Jej pracownicy byliby znacznie bardziej pomocni...

— Gdybym to zrobiła, natychmiast przyciągnęłabym uwagę, której rodzina dziewczyny naprawdę nie potrzebuje. Staram się nie uciekać do takich środków, ponieważ rodzina wolałaby uniknąć oficjalnego dochodzenia.

Te słowa nadały całej sprawie podejrzane odcienie, który nie spodobał się Joann nawet w najmniejszym stopniu. „Uniknąć oficjalnego dochodzenia” z reguły znaczyło „chronić własną dupę”. Co miała do ukrycia rodzina Dubossów? Rzecz jasna, kongresmen Cramer nie chciałaby też, by wyszło na jaw, że załatwia wątpliwe sprawy dla swoich sponsorów.

— Dziewczyna ukończyła osiemnaście lat i wolno jej robić, co zechce. Nie możemy jej zmusić do powrotu do domu — stwierdziła Joann.

— Wiem o tym. Chcę tylko z nią porozmawiać, jeśli to możliwe. Dla Marka i Barbary.

Delegaci mieli spędzić w Pradze dwa dni. Część zadań związanych z ich ochroną wezmą na siebie miejscowe służby. Dzięki temu Joann powinna mieć trochę wolnego czasu. Teoretycznie

mogłaby poświęcić kilka godzin na potrząśnięcie paroma drzewami i sprawdzenie, czy nie spadnie z nich Katrina Duboss. Zapewne tak się nie stanie i Joann nie będzie miała powodu czynić sobie wyrzutów.

— Zobaczą, co się da zrobić, ale nie mogę niczego obiecać.

— Dziękuję — odparła kongresmen Cramer i wyciągnęła do niej rękę. To był czysty odruch, zachowanie typowe dla polityków. Joann nadal trzymała dłonie pod płaszczem. Zaciśnęła usta w przeproszającym geście. Nikomu nie podawała ręki, nawet w rękawiczce. Już taka bliskość byłaby zbyt wielka. Carol Cramer cofnęła rękę, załamując ją z zażenowaniem. Joann wyszła z pokoju.



Następnego ranka, zamiast powtarzać pracę z pewnością wykonaną już przez kogoś innego, Joann sprawdziła źródła w amerykańskiej ambasadzie. Pracujący w niej agenci wywiadu nie byli idiotami. Obserwowali wszystkich amerykańskich obywateli przybywających do Czechosłowacji i opuszczających ją, zwłaszcza tych, którzy z jakiegoś powodu mogli się wydać podejrzani. Katrina Duboss zapewne się do nich nie zaliczała, ale jeśli Carol Cramer miała rację, mogła mieć kontakty z ludźmi należącymi do tej kategorii. Poza tym w tej części świata wszyscy dzoklerzy przyciągali uwagę. Joann nie musiała się tłumaczyć, zgodnie z prośbą kongresmen Cramer jej poszukiwania pozostaną nieoficjalne, choć kusiło ją, by sporządzić raport, tylko po to, by się przekonać, jakie szkielety znajdzie w tej szafie. Podobne sprawy z pewnością wchodziły w zakres jej obowiązków. Nim jednak posunie się tak daleko, zaczęła, co się wydarzy przedtem.

Po krótkiej chwili otrzymała dane mogące stać się dla niej punktem wyjścia. Urzędnik z ambasady podał jej listę miejsc, w których spotykali się niezadowoleni studenci oraz cyganeria, co w tej części świata oznaczało artystów, a nie prawdziwych Cyganów.

Wzięła listę w rękę i ruszyła na spacer.

Jeśli i tak miała prowadzić poszukiwania, równie dobrze mogła umilić sobie czas zabawą w turystkę. Wędrowała ulicami, podziwiając architekturę. Zatrzymała się na rogach i gapiła na wszystko, od secesyjnego splendoru dziewiętnastowiecznego gmachu opery aż po złowrogo wyglądające wieże Kościoła przed Tynem. Plac Waclawa, położony na końcu szerokiej, obsadzonej drzewami ulicy, w niczym nie ustępował podobnym placom w zachodnioeuropejskich metropoliach, ze swymi imponującymi dziewiętnastowiecznymi budynkami oraz wielkim konnym pomnikiem. Pomimo hitlerowskiej okupacji i czterdziestu lat komunizmu w mieście zachowała się dzielnica żydowska z nietkniętą średniowieczną synagogą o charakterystycznym, zębatym zarysie dachu. Spotkała tam pełnego zapału, mówiącego po angielsku przewodnika, który zapewniał, że na poddaszu nadal jest ukryty sławny golem rabina Jehudy Löwa. Joann uśmiechnęła się, usłyszawszy tę historię, i dała mu wysoki napiwek.

Gdy wyszła zza rogu na skraju starówki, ujrzała nagle przed sobą fasadę kamienicy ozdobioną obrazem przedstawiającym piękną kobietę o rozpuszczonych włosach, rudych i falujących. Kobieta miała na sobie półprzezroczystą suknię. Otaczały ją wiry włosów oraz lilie. Alfons Mucha. To był obraz Alfonsa Muchy, tworzący łuk nad wejściem do przypadkowego domu pośrodku miasta, ciemny od sadzy, lecz nadal łatwy do rozpoznania. Joann gapiała się na niego przez chwilę. Cóż za dziwne, pełne sprzeczności miasto.

Jej tata byłby tym zachwycony. Joann poświęciła chwilę, by wysłać do niego pocztówkę z Mostem Karola. Udało się jej wysłać mu kartki z niemal wszystkich miejsc, które odwiedzili. Z pewnością miał już niezłą kolekcję — plaże i pomniki, zachody słońca i Ayers Rock, piramidy w Gizie, panorama Tokio i Casa Rosada w Buenos Aires.

Może jakbędzie miała trochę wolnego czasu, wybiorą się w podróż razem. Zasugeruje mu to.

Lista miejsc, w których spotykała się niezadowolona młodzież z miasta, wyglądała mniej więcej tak, jak spodziewała się tego Joann. Bary, kawiarnie, piwnica, w której urządzono księgarnię — a wszystko to zasnuwane lekką aurą tajemniczości. Nawet za żelazną kurtyną niektóre rzeczy wyglądały tak samo. Bardzo trudno było powstrzymać młodych ludzi przed spotykaniem się, pić i rozmawianiem o tym, jak chcieliby zmienić świat. Nawet jeśli w takim mieście i kraju mogli mówić bardzo cicho i co chwila oglądać się za siebie.

Ludzie gapili się na nią, podobnie jak wszędzie — czy to dlatego, że była czarna, czy z powodu jej wzrostu i falującego na wietrze płaszcza. Nawet w Nowym Jorku rzucała się w oczy. Przyzwyczaiła się do tego. Z drugiej strony, rzadko próbowano ją zaczepiać. Gdy ciemna powierzchnia jej płaszcza zwracała się na zewnątrz, Joann mogła zatrzymać w sobie energię, upodabniając się do cienia. Dzięki temu nie wywoływała zamieszania, gdy zaglądała do kawiarni w poszukiwaniu dzokerów, artystów i wszystkich, którzy sprawiali wrażenie, że mogliby znać Katrinę.

O zmierzchu znalazła miejsce, którego szukała. To był szósty adres na jej liście. Wejście wyglądało zwyczajnie, jakby lokal był normalnym sklepem przy bocznej uliczce na skraju starówki. Krótkie schody prowadziły do drzwi piwnicy położonej pod kamienicą o kwadratowej fasadzie. Joann zatrzymała się na chwilę, by poobserwować. Drzwi nagle się otworzyły i wyszły z nich dwie młode, krótko ostrzyżone kobiety w wytartych dżinsach. Trzymały się pod rękę i chichotały, rozmawiając cicho po czesku.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Nie było żadnych hasła ani strażników. Lokal ukrywał się w widocznym miejscu. Większość ludzi po prostu by go minęła, gdyby nie wiedzieli, że tam jest. Wsunęła się szybko do środka.

Owinęła się w płaszcz i skryła w cieniach, starając się nie przyciągać uwagi. Gdy jakiś chłopak o mętnym spojrzeniu, trzymający w dłoni papierosa obciążonego niestrzępiętym



popiołem, zatoczył się w jej stronę, zmiierzając ku drzwiom, odsunęła się na boki i nawet na nią nie spojrział. Zszła na dół i znalazła się w wielkiej sali, wypełnionej hałasem rodzącej się kontrkultury. Na scenę padało ostre światło nagich żarówek podłączonych do przedłużaczy. Lokal wyglądał jak kawiarnia połączona z warsztatem. Małe grupki ludzi siedziały przy stołach składających się właściwie tylko z płyt sklejkowych ułożonych na kozłach. W powietrzu unosiła się woń mocnej kawy oraz piwa. Słysząc było szum rozmów. Czarnowłosa dziewczyna w dżinsowej kurtce grała na gitarze i śpiewała z pasją, choć nieco fałszywie. Ściany pokrywały ulotki, plakaty, a nawet namalowane sprejem napisy, reklamujące brytyjskie grupy punkowe oraz antykomunistyczną rewolucję. Nikt tu nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wszyscy mieli na sobie podarte dżinsy, T-shirty, kurtki z demobilu, cygańskie spódnice, wyblakłe bluzy i inne artykuły, które można znaleźć w sklepach z używaną odzieżą. Lokal wypełniała aura niecierpliwości. Ludzie pochylali się nad swoimi dziełami, wymieniając pełne ekscytacji słowa. Wyglądało to, jak scena z musicalu *Hair*, spóźniona o dwadzieścia lat.

A sama piwnica mogła liczyć ich sobie nawet sześćset. Tak przynajmniej sugerowały jasne ściany, łukowate sklepienia, chłód wieków i kamienne mury budzące wrażenie ciasnoty. Teraz pokrywały je slogany oraz graffiti. Joann mogłaby się rozpląkać, ale przecież czas nie stoi w miejscu. To było miasto, a nie muzeum.

W głębi sali zauważyła amerykańską dzokerkę. Pochylała się nad białym, rysując coś na wielkiej płachcie papieru pakowego. Aska przeoczyła ją podczas pierwszych oględzin, ponieważ dziewczyna zwracała się lewym bokiem do ściany i pod tym kątem przypominała nieco nimfę z obrazu Muchy — długie loki opadające na plecy, błyszczące oczy i delikatne rysy twarzy. Brakowało jej jednak półprzezroczystego stroju. Zamiast niego nosiła szal, zieloną wojskową kurtkę, suknię w łezki, pończochy oraz martensy.

Joann zatrzymała się na chwilę, przyglądając się dziewczynie.

Katrina nie była jedyną dzokerką w sali. Agentka zauważyła troje innych. Jeden miał wilgotną, cętkowaną skórę jak salamandra, drugi dodatkową parę długich, bezkostnych rąk, które wsadzał w kieszenie kurtki bez rękawów, trzecia zaś jaskrawoniebieskie włosy, które Joann mogłaby wziąć za farbowane, gdyby nie zauważyła, że falują samoistnie jak poruszone prądem morskim wodorosty. Dżokerzy nie zbili się też w jedną grupę, lecz siedzieli osobno, każde zajęte własnym projektem. Było ich za mało, by mogli stworzyć własną, odrębną społeczność. O dziwo, dyskryminacja nie była tak bardzo wyraźna, gdy mniejszość była nieliczna i nie wzbudzała obaw. Joann wielokrotnie spotykała się z tym zjawiskiem. Katrina była tu jako artystka, nie jako dzokerka.

Wyglądała dobrze. Była zdrowa i uśmiechnięta, choć pewnie nie zaszkodziłoby, gdyby trochę więcej jadła.

Agentka zaczęła dostrzegać regularności w zachowaniu obecnych. Choć rozmaite grupy sprawiały wrażenie zajętych własnymi projektami i rozmowami, po bliższej obserwacji wszystkie te projekty okazywały się podobne — znaki, transparenty, proporce, źródła hałasu. Wszystko to sugerowało jakiegoś rodzaju demonstrację. Joann poczuła przygnębienie na myśl, że wszystkie te dzieciaki przygotowują się na nieuniknioną konfrontację z cheską milicją, a może nawet sowieckimi wojskami okupacyjnymi. To nie mogło się dobrze skończyć.

Elementem łączącym wszystkie grupy był chudy młodzieniec z włosami ostrzyżonymi na punka i zapadniętą twarzą, który mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby przybrał nieco na wadze. Krążył po całej sali, sprawdzając postępy prac poszczególnych zespołów i udzielając im wskazówek. Miał na sobie wyblakły T-shirt z nazwą jakiejś mało znanej grupy oraz wystrzępione dżinsy. W jego ruchach wyczuwało się autorytet. Rozmawiał z ludźmi i kiwał głową na znak zgody albo potrząsał nią z niezadowoleniem. Wszyscy w tej małej kolonii artystów patrzyli na niego z czymś bliskim czci. Najwyraźniej to on był tu najważniejszą osobistością.

Kiedy dotarł do Katriny, objął ją władczo ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował. Roześmiała się i spróbowała się odsunąć, ale nie chciał jej puścić. Wymienili kilka słów. Mówił po angielsku z niemieckim akcentem.

Joann zaczęła, aż młody mężczyzna skończy zaloty i rozpocznie kolejny obchód, po czym podkrađła się do dziewczyny.

— Katrina Duboss? — zapytała łagodnym tonem.

Dzokerka otworzyła szeroko oczy, wypełnione nagłym poczuciem winy, i wcisnęła się w ścianę.

— Słąd pani wie, kim jestem?

— Jestem Joann Jefferson. Zna pani kongresmen Carol Cramer? Przyjaciółkę pani rodziców?

— Jest pani gliną? — zapytała dziewczyna. — Albo prywatnym detektywem czy kimś w tym rodzaju?

*Tak jakby?* Jak bardzo pogorszyłaby sprawę, gdyby powiedziała, że jest agentką federalną?

— Właściwie to nie — odparła. — A przynajmniej nie tutaj. Po prostu oddaję przysługę kongresmen Cramer, która przybyła tu jako członek delegacji Światowej Organizacji Zdrowia i prosiła mnie, żebym pani poszukała. Zna ją pani? Chciałaby z panią porozmawiać.

Katrina uspokoiła się wyraźnie.

— Tak tak, znam ją — potwierdziła z drwiącym uśmiechem. — Rodzice zawsze ciągali mnie na poświęcone zbieraniu funduszy kłolacje podczas jej kampanii. Nigdy nie widziałam bardziej pretensjonalnej zgrai drapieźników. Może jej pani powiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Nie chcę z nią rozmawiać.

— Rozumiem — odparła Joann. *I nie mogę powiedzieć, żebym miała do ciebie pretensję.*

— Mam jednak wrażenie, że rodzice się o panią martwią. Czy jest coś, co chciałaby pani im przekazać?

— No wie pani, wcale nie martwią się o mnie. Po prostu nie potrafią wymyślić żadnej dobrej historii, która wyjaśniłaby moją nieobecność.

Węże zastępujące jej rękę sprawiały wrażenie podekscytowanych. Wiły się i wyginały, aż wreszcie otoczyły ją od przodu niczym tarcza. Wyglądało to zupełnie, jakby skrzyżowała ramiona na piersiach.

— W porządku. Powiem pani kongresmen, że nic pani nie jest.

Niemiecki punk gapił się na nich z drugiego końca sali. Katrina pośpiesznie odwróciła wzrok.

— Lepiej niech pani już sobie idzie — rzekła agentce. — No wie pani, nie pasuje pani do tego miejsca. Ludzie się niepokoją.

Joann uśmiechnęła się tylko.

— To mi się zdarza bardzo często. Może mi pani wyjaśnić, co tu właściwie robicie?

Dzokerka przeszła ją wściekłym spojrzeniem.

— Mam w dodatku dla pani szpiegować?

— To tylko ciekawość. Nie chciałabym, żebyście się wszyscy wpakowali w kłopoty.

— Ma pani na myśli jeszcze większe kłopoty niż teraz? Kiedy znajomi moich rodziców każą mi szukać ludziom takim jak pani?

— Są kłopoty i kłopoty — odparła Joann. — Proszę uważać na siebie. Niech się pani nie wplącze w nic przesadnie niebezpiecznego, jeśli to tylko możliwe. Nie wiem, kiedy i gdzie ma się odbyć akcja protestacyjna, którą ewidentnie tu przygotowujecie, ale lepiej by było, gdyby nie znalazła się pani w jej środku.

— Dzięki za troskę — warknęła dziewczyna na głos pełnym wzgardy i sarkazmu.

Joann powtórzyła sobie, że Katrina nie jest już dzieckiem. Zasługiwała na odrobinę zaufania.

Dzokerka wzięła dwa kawałki węgla drzewnego — jeden w normalną rękę, a drugi w wężową, która owinęła się wokół odłamka, trzymając go jak miecz. Potem dziewczyna pochyliła się nad płachtą papieru i zaczęła obiema rękami stawiać znaki, plamy i spirale, które razem złożyły się na obraz. Posługując się tylko jednym kolorem, stworzyła serię wizerunków przechodzących jeden w drugi — brukowana ulica zmieniała się w deszcz kwiatów, a te z kolei w kręcone włosy kobiety, a potem w jej zwróconą ku górze twarz, pełną siły i determinacji. Nie tylko Joann chodziła po ulicach Pragi, podziwiając dzieła Alfonsa Muchy.

— To ładne — odezwała się agentka, nie oddając sprawiedliwości temu, co widziała.

Katrina odpowiedziała uśmiechem, który w jakiś sposób zdołał wyrazić wdzięczność i sarkazm jednocześnie.

— Cześć, jestem Erik — Młody Niemiec wrócił do stołu Katriny i otoczył ją opiekuńczo

ramieniem. Łypał groźnie na Joann, która z wielkim wysiłkiem zdołała powstrzymać uśmiech.

— A pani?

— Mam na imię Joann — odparła ze spokojem. — Stworzyliście tu niezłą społeczność. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

— Czego panu tu szuka?

— Jestem tylko turystką, która podziwia dzieła Katriny. — Nie oczekiwała niczego innego niż pełne niedowierzania spojrzenie, którym ją obrzucił. — Zostawię was samych. Widzę, że świetnie się tu bawicie.

Pożegnała oboje skinieniem głowy i wróciła na ulicę.



Śledzono ją przez większą część drogi powrotnej do ambasady. Joann nie czuła się zaskoczona nawet w najmniejszym stopniu. Zapewne byli to ci sami agenci, których Ray zauważył pod hotelem. Ochrona delegacji wyraźnie ostrzegała wszystkich jej członków, że jeśli wybiorą się na miasto, zapewne będą ich śledziły czeskie służby, i Joann nie spodziewała się innego traktowania. Nocą, po ciemku, śledzących ją agentów łatwo można było zauważyć, głównie dlatego, że na ulicach było teraz znacznie mniej pieszych. Było ich dwóch. Szli po obu stronach ulicy, jakieś dwie przecznice za nią. Ten po jej stronie był przeciętnego wzrostu, miał ciemne, krótko ostrzyżone włosy i kanciastą głowę. Miał na sobie garnitur oraz brązową, skórzaną kurtkę i udawał, że szuka jakiegoś adresu. Porównywał kartkę, którą trzymał w ręce, z tabliczkami na skrzyżowaniach ulic oraz napisami nad witrynami sklepów. Jednakże robił to już od dziesięciu przecznic i jego wysiłki nie były zbyt wiarygodne. Nie wspominając już o fakcie, że co jakieś pięć minut zerkał na swego partnera po drugiej stronie ulicy. Tamten mężczyzna był potężny, o pół głowy wyższy od ludzi, których mijał. To był jedyny wyraźnie widoczny szczegół jego sylwetki. Miał na sobie długi płaszcz z postawionym kołnierzem, ręce trzymał w kieszeniach i garbił się tak mocno, że barki sięgały mu uszu. Kroczył miarowo, ale powoli. Poruszał się jak człowiek brnący przez burzę, mimo że na niebie nie widziało się chmur, a jeśli nawet było chłodno, to nie aż tak bardzo. Mogłaby go zlekceważyć jako starszego człowieka, który pogrzyżył się w zamyśleniu podczas wieczornego spaceru, gdyby nie fakt, że mniejszy mężczyzna w skórzanym płaszczu spoglądał na niego co chwila, a on czasami odpowiadał mu skinieniem głowy.

Choć ulice średniowiecznej starówki zakręcały nagle, wiły się i zwracały albo przechodziły w place, by potem odejść od ich pod niespodziewanym kątem, mężczyźni nie zgubili jej z oczu. W końcu to było ich miasto. Doszła do wniosku, że to z pewnością miejscowi, a nie ludzie z KGB.

Mimo że na starówce i wzdłuż głównej turystycznej trasy wiodącej do hotelu paliło się niewiele latarni, było wystarczająco jasno. Joann otoczyła ramiona płaszczem i uniosła rękę,

jakby chciała sprawdzić, czy nie zaczyna padać deszcz. Skupiła się na światłach i wciągnęła powietrze w płuca. Dwie latarnie — jedna przed nią i jedna za nią — zaiskrzyły, a potem zgasły. Dłoń kobiety spowiła siatka słabego blasku, świadcząca, że elektryczność stała się teraz jej częścią. Poczua jej muzykę na swej skórze, rozgrzewającą jej ciało, a nawet wnikającą w kości. Mogłoby to niemal być przyjemne, gdyby nie musiała się aż tak bardzo martwić o to, co wydarzy się potem. Była ludzkim kondensatorem, przechowywała w sobie uderzenie pioruna, powstrzymane przez izolujący płaszcz aż do chwili, gdy zechce je uwolnić.

Zostawiła za sobą brukowane, średniowieczne uliczki i szła teraz po nowoczesnym asfalcie, a na odległym rogu między nią a śledzącymi ją agentami czekała nowoczesna, stalowa studzienka kanalizacyjna. Joann wzięła ją na cel, zdjęła płaszcz, uniosła rękę i wypuściła błyskawicę prosto w metal. Huk gromu odbił się echem od domów. Skry posypały się w powietrze. Joann schowała się za rogiem, korzystając z tego, że błyskawica odwróciła uwagę śledzących. Jej piorun nie wyrządził zbyt wielu szkód — co najwyżej mógł przypalić nieco asfalt — ale z pewnością wyglądał ekscytująco.

Niech się zastanawiają, co się stało. Chyba nie wierzyli, że będą ją mogli śledzić bezkarnie aż do hotelu? Po paru przecnicach schowała się w bramie, żeby się upewnić. Najwyraźniej rzeczywiście ich zgubiła. Zatarła dłonie z zadowoleniem.

Po powrocie do hotelu miała może z godzinę, by wypocząć i chwilę się przespać. Potem zaczynała dyżur. Billy Ray złapał ją w korytarzu. Zapewne na nią czekał.

— Miałś miły spacer? — zapytał, unosząc brwi. Uśmiechał się lubieżnie, a może to był tylko dziwny kształt jego ust i szczęki.

— W rzeczy samej. Przez większość drogi miałam towarzystwo. To chyba było dwóch naszych przyjaciół z naprzeciwnika.

— Sprawili ci jakieś kłopoty?

— Nawet najmniejszych.

Nie musiał wiedzieć, że mogła nieco przesadzić, próbując ich zgubić.

— Wiem, że świetnie potrafisz sobie poradzić. Nie musisz mi o tym przypominać.

Zdjęła kaptur, odsłaniając głowę, ciemne, krótko ostrzyżone włosy oraz uśmiech. Poczua ładunki elektryczne, przebiegające po jej policzkach i po owłosionej skórze głowy. Wypełniająca pokój energia przyzywała ją z przewodów elektrycznych, parówek, a nawet z bijącego serca Raya. Za minutę będzie musiała włożyć kaptur, zanim ciche buczenie mocy przejdzie w swędzenie, a potem w ogień. Wtedy zaczęłaby wsysać moc, zanim wypuści ją z siebie w eksplozji, nad którą nie będzie w stanie zapanować.

— Ray, aż cię świerzbi, żeby jednak się mną zaopiekować, prawda?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Flirtujesz ostrzej niż ktokolwiek, kogo znam, kochanie.

— A więc o to chodzi?

Postąpił krok w jej stronę. Niebezpieczny krok. Wypływała z niego energia, karmiona mocą asa. Wystarczy, by Joann wyciągnęła rękę, dotknęła jego gruzłowatego policzka... on również o tym wiedział. Mimo że się uśmiechał, jego oczy skrywały się za chmurą. Może jednak trochę się bał.

— Któregoś dnia tego spróbuję, tylko po to, by zobaczyć, co się stanie — zapowiedział, gdy dzieliła ich od siebie zaledwie długość dłoni. Wystarczyłoby, żeby się pochyliła, by go pocałować.

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć — odparła, stawiając kaptur. Okrążyła Billy'ego i oddaliła się. Zachichotał za jej plecami.



Joann nie pamiętała czasów, gdy jej dotyk nie zabijał. Jej pierwszą ofiarą była matka. Na szczęście to wspomnienie było tylko zamazaną plamą. Wypadek, strach, a potem całe dni poświęcone na próby odgadnięcia, co się stało, nim w końcu sobie uświadomiła, że to była jej wina. Zamknięto ją w szpitalu. Ojciec tulił ją, kiedy płakała. Miał na sobie kombinezon ochronny, który będzie go chronił przed jakimkolwiek kontaktem, dopóki lekarze nie określą dokładnej natury jej morderczego talentu dzięki karty. Dzieliły ich od siebie gruba guma, śliski plastik oraz sycząca maska gazowa. Obejmował ją, ale nie mógł jej dotknąć, nigdy już nie poczuje kjącego ciepła jego skóry. Nie mógł jej też pocałować, żeby wszystko naprawić.

Poświęciła bardzo wiele czasu na zastanawianie się nad tym, jak zupełnie inaczej wyglądałoby jej życie, gdyby ojciec z nią nie został. Gdyby uznał ją za winną zamiast jej wybaczyć. Odrzucił ją i jej odrażające moce zamiast ją przytulić — przynajmniej w sensie przenośnym. Zdarzało się, że miała ochotę wyć, tłuc szyby i szarpać własne ciało, ale zawsze wtedy był na miejscu, by ją uspokoić. Czy byłaby w stanie żyć z tym, kim jest, gdyby jej nie zapewniał, że pewnego dnia okaże się, że było warto?

— Oczywiście, twoja moc jest niebezpieczna. Może stać się niszczycielska, jeśli nie zachowasz ostrożności. Ale to samo można powiedzieć o elektryczności, nożach czy samochodach, a wszystko to są narzędzia, których potrzebujemy. Joann, musisz znaleźć jakiś sposób, by twoja moc mogła służyć dobru. Używaj jej do budowania, nie do niszczenia.

Dzięki ojcu zaczęła pracować dla rządu, zamiast skończyć w zakładzie zamkniętym. Przez większość czasu była przekonana, że podjęła właściwą decyzję. Sama wybrała swoje imię asa, Czarna Lady, i miało ono wiele różnych znaczeń. Kolor pochłaniającej strony jej płaszcza i kolor jej skóry. Groźba jej mrocznej mocy. A tytuł „lady” przypominał ludziom, że należy ją traktować z szacunkiem.

Cały następny dzień delegatom miały zająć spotkania oraz zwiedzanie. To był kolejny postój,

podczas którego oficjalny cel misji i praktyczna rzeczywistość pozostawały w niezgodzie. Delegaci mieli ponoć poddać bezstronnej ocenie innowacje w leczeniu wirusa dzięki karty wprowadzone w komunistycznych krajach bloku wschodniego oraz złożyć raport o warunkach, w jakich żyją ofiary wirusa. W rzeczywistości oglądali spreparowane przez rząd przedstawienia złożone z nieskazitelnie czystych instytucji oraz starannie wyreżyserowanych wywiadów ze specjalnie wybranymi dzokerami, a nawet kilkoma asami, wszystkie przeprowadzane w kontrolowanym środowisku. Czeskie władze zaprezentowały im mężczyznę w średnim wieku, który potrafił telekinetycznie zmienić tekst każdej drukowanej książki, czyniąc z niej „Manifest komunistyczny”. Z ideologicznego punktu widzenia ten talent z pewnością robił wrażenie, ale jego użyteczność wydawała się raczej wątpliwa. Amerykańscy delegaci byli na tyle uprzejmi, że nie zapytali, ilu potężniejszych czechosłowackich asów pracuje dla miejscowego wywiadu albo zostało zwerbowanych przez KGB. Czescy przewodnicy byli natomiast na tyle uprzejmi, że nie dzielili się z nimi tymi informacjami.

Wycieczka do miasta uświadomiła Joann, że przy najmniej niektóre ofiary wirusa dzięki karty umknęły uwagi systemu. Państwo nie uwięziło wszystkich dzokerów. Zapewne czyniło je to choć nieco lepszym od niektórych innych krajów.

Joann towarzyszyła jednej z turystycznych wycieczek jako ochroniarz i opiekunka. Ta grupa składała się raczej z amerykańskich polityków i urzędników Światowej Organizacji Zdrowia, nie z celebrytów, którzy wyruszyli z Billym Rayem, by bawić się w fotogenicznych turystów na starówce. Po wielu tygodniach wyprawy ustaliła się już ruty na podobnych wydarzeń. Doktor Tachion poddawał krzyżowemu ogniu pytań oszołomiony miejscowy personel medyczny, który wyjąkiwał odpowiedzi w kiepskim angielskim albo niekiedy francuskim, bądź też korzystał z pomocy tłumaczy. Politycy udawali zainteresowanie, ale ich twarze niczego nie wyrażały. Była tam również Carol Cramer, ale Joann nie miała okazji porozmawiać z nią o Katrinie. Dopiero po wycieczce, gdy większość delegatów sęczyła popołudniowe drinki w hotelowym barze, kongresmenka ponownie zaprosiła Joann do salonu swego apartamentu.

— Znalazłam ją — oznajmiła agentka. Carol Cramer odetchnęła z ulgą. — Nie jest zainteresowana powrotem do domu. Właściwie to nie chciała nawet o tym rozmawiać.

— Czy wszystko z nią w porządku? Nie wpadła w żadne kłopoty?

Kobieta przysiadła na skraju krzesła o zdobnym oparciu, przyciągniętego od stołu śniadaniowego.

*To zależy, jak zdefiniujemy kłopoty.*

— Myślę, że wszystko z nią w porządku — odparła Joann, starannie dobierając słowa. — Jak już wspominałam, jest dorosła. Jeśli nie chce rozmawiać, nie możemy jej do tego zmusić.

Miała nadzieję, że te słowa zakończą sprawę.

— Czy uważa pani... Naprawdę chciałabym z nią pomówić, Czarna Lady. Pani wie, gdzie można ją znaleźć... Czy mogłaby pani załatwić spotkanie?

To nie tylko znacznie wykraczało poza zakres obowiązków Joann, lecz również graniczyło z domaganiem się specjalnego traktowania. Politycy od niepamiętnych czasów dopuszczali się tego typu drobnych nadużyć władzy, niemniej pozostawały one nadużyciami i Joann mogłaby złożyć skargę. Nie miała ochoty znowu uganiać się za zbuntowaną artystką.

— Panna Duboss bardzo stanowczo...

— Musi pani zrozumieć, że rodzina się o nią martwi. Gdybym miała szansę porozmawiać z nią osobiście, mogłabym przynajmniej zdać jej rodzicom relację z pierwszej ręki. To nie może być aż takie trudne, nieprawdaż?

— Zobaczę, co się da zrobić.

Dziś wieczorem miało się odbyć oficjalne przyjęcie w ambasadzie. Joann nie miała wolnego czasu, ale, prawdę mówiąc, sama czuła się zaciekawiona. Wybierze się tam raz jeszcze i może dowie się czegoś więcej o proteście planowanym przez te dzieciaki.



Gdy dotarła do łukowatej alejki, w której zainstalowała się komuna artystów, przekonała się, że dostęp blokują radiowozy z migającymi kogutami. Dwóch mundurowych stało sobie przy wejściu ze znużonymi minami. Inni gliniarze wychodzili z piwnicy, niosąc pozrywane ze ścian plakaty, sterty papieru, a nawet wiadra z farbą i inne akcesoria malarskie. Wszystkie łupy znosili do małej ciężarówki zaparkowanej na końcu zaułka i zwalali je na pakę, nie dbając o to, jak wylądują. Była pewna, że gdyby ich o to zapytała, powiedzieliby, że zabezpieczają dowody, nawet jeśli dla zewnętrznego obserwatora ten proces wydawał się całkowicie chaotyczny. To były zwyczajne łapsy, nie jakieś groźne tajne służby. Stała na rogu, obserwując ich poczynania i podsłuchując rozmowy w niezrozumiałym dla siebie języku, nie potrafiła więc odgadnąć, czego właściwie dotyczy śledztwo ani nawet czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. Znaleźli kryjówkę nieprawomyślnych artystów i zamknęli ją.

W Nowym Jorku na obu końcach zaułka zebrały się już tłum gapiów, przepychających się ku przodowi, żeby lepiej widzieć, i potrzeba by było grupki gliniarzy oraz barierek, by nie dopuścić publiczności. Tutaj nikt nie zwracał uwagi na wydarzenia. Przechodnie szli przed siebie, demonstracyjnie pochylając głowy i odwracając wzrok. Gdyby się zatrzymali, przyciągnęliby niepożądaną uwagę. Joann poszła za ich przykładem i również się oddaliła.

Cały czas wypatrywała swych dwóch znajomych, agentów, którzy śledzili ją wczoraj. Dręczyło ją nieprzyjemne wrażenie, że to oni mogli sprowadzić milicję do kryjówki w piwnicy, po tym jak wskazała im drogę. W tej chwili nigdzie ich nie widziała, ale przecież nie musieli tu przychodzić.



Przy następnym skrzyżowaniu ktoś nagle sięgnął do Joann. Wokół jej ramienia owinęły się pomarańczowe macki. Już przy pierwszym dotyku odskoczyła do tyłu, by zerwać kontakt, i szczerzej owinęła się izolującym płaszczem.

Katrina Duboss, ubrana dziś w inny sweter i szal oraz chłopską spódnicę, noszoną przez artystów, stała na rogu, uśmiechając się drwiąco.

— Czy aż tak się mnie pani brzydzi? — zapytała.

— Mój dotyk zabija — wyjaśniła aska. — Mogłaby pani zginąć, gdyby dotknęła pani mojej skóry.

Dziewczyna pobladła. Joann bardzo często spotykała się z taką reakcją. Konieczność wyjaśniania tego ludziom była niemalże gorsza niż sam brak dotyku. Podobnie jak wyraz litości, który pojawiał się na ich twarzach, gdy zrozumieli implikacje.

— Jest pani aską? — zapytała dziewczyna. Przy mrużyła powieki, próbując wypatrzeć coś pod kapturem Joann. — A może dzókerką?

To było filozoficzne pytanie wieku, nieprawdaż? Niektórzy wzdrygali się przed nią z tak wielkim strachem, że równie dobrze mogłaby być dzókerką, bez względu na to, co widziała w lustrze.

— Chodźmy stąd, Katrino.

Joann wskazała przed siebie i obie ruszyły razem naprzód. Dzókerka trzymała się od niej na bezpieczny dystans.

Agentka chciała już zacząć trudną rozmowę, gdy Katrina zapytała nagle:

— Czy warto być aską, jeśli trzeba płacić za to taką cenę?

Nikt dotąd nie sformułował tego tak bezpośrednio, ale pytanie było interesujące. Interesujące, lecz pozbawione odpowiedzi, ponieważ nikt jej nie pytał, ile jest skłonna zapłacić za moc. I moc, i cena za nią spadły na Joann zupełnie przypadkowo.

— Szczerze mówiąc, nie zawsze uważam się za askę. Po prostu staram się poradzić sobie jak najlepiej z tym, co zesłał mi los.

— To taksamo jak ja — odparła Katrina.

— Czy wszystkim udało się uciec? — zapytała po kilku krokach Joann.

— Tak Zauważyliśmy ich w porę. Ale nie dzięki pani.

Nawet jeśli Joann nie doprowadziła milicji do ich piwnicy, dzieciaki z pewnością uznają, że to jej wina. Niech i tak będzie, zwłaszcza jeśli powstrzyma to je przed potencjalnie niebezpieczną akcją protestacyjną.

— Kongresmen Cramer chciała spotkać się z panią osobiście. Czy mogłaby pani poświęcić jej parę minut? Obok hotelu jest kawiarnia, w której powinno się wam udać porozmawiać bez przyciągania niepotrzebnej uwagi.

— Nie chcę z nią rozmawiać. Ona jedynie próbuje się podlizzać moim rodzicom.

Joann nie mogła mieć do dziewczyny pretensji o to, że jest spostrzegawcza. Pochyliła tylko głowę na znak potwierdzenia.

— Dlaczego pani dla niej pracuje? — zapytała Katrina. — Sprawdzałam informacje o pani i o ekspedycji Światowej Organizacji Zdrowia. To chyba zdecydowanie wykracza poza zakres pani obowiązków.

— Ta sprawa mnie zaciekawiła. Z pewnością coś planujecie. A przynajmniej planowaliście.

— Nadal planujemy. Nic się nie zmieniło. Mamy wszystko, czego potrzebujemy, i nie zdołają nas powstrzymać. Jeśli zechcemy, możemy to zrobić już dziś w nocy.

Coś w oczach i w uśmiechu dziewczyny powiedziało Joann, że Katrina mówiła poważnie.

— A co to właściwie ma być?

— Będzie pani musiała przeczytać o tym w jutrzejszych gazetach.

— To nie jest gra, Katrino. Jeśli ci faceci aresztują panią za zrobienie czegoś, co im się nie spodoba, może się zrobić naprawdę nieprzyjemnie. Ambasada ani pani rodzice mogą nie być w stanie pani uwolnić.

Skrzywiła się.

— Och, wiem o tym. Rodzice nie ruszą palcem, żeby mi pomóc. Dzisiejsza akcja miała być ostrzeżeniem. Chcieli nas zastraszyć. Ale nie udało im się.

Unosiła podbródek ku górze i zaciskała pięści w młodzięcym przekonaniu o własnej słuszności.

— Czy tak właśnie powiedział pani ten Erik? Czy to on panią do tego namówił?

— Bo takie małe, głupiotkie stworzenie jak ja nie może mieć własnego zdania? A może jestem tak bardzo wdzięczna, że jakiś facet zwrócił uwagę na wypaczonego dziwołaga, że jestem gotowa zrobić dla niego wszystko? — Uniosła rękę. Wszystkie węże wily się gwałtownie. Gdy na pomarańczowe łuski padł blask słońca, dziewczyna wyglądała, jakby trzymała ogień. — Nie robię tego dla Erika. I nie dlatego, że jestem szalona, chcę się odegrać na rodzicach, wstąpiłam do sekty albo coś w tym rodzaju. Robię to dlatego, że chcę, że to słuszne i dlatego, że mogę im pomóc. Bo mogę wykorzystać pieniądze z funduszu powierniczego na coś użytecznego zamiast marnować je na bezsensowne zakupy i tak dalej. Bo Praga jest piękna, bo mieszkali w niej Kafka, Dvořák i Mucha. A także dlatego, że takie protesty są skuteczne, nawet jeśli dla kogoś z zewnątrz może to zabrzmieć głupio. Uda się nam. Warto jest marzyć, czyż nie tak?

Joann opuściła wzrok. Cudownie jest być młodą i pełną zapału.

— Katrino, niech pani na siebie uważa. Spędzę w Pradze jeszcze jeden dzień. Gdyby miała pani kłopoty, proszę się ze mną skontaktować.

— Nic mi się nie stanie. Proszę przekazać kongresmen Cramer, że nie ma powodu do obaw.

Katrina odwróciła się, zamiatając spódnicą, i odeszła. Macki zacisnęły się w obronnym geście wokół jej klatki piersiowej.



Joann wróciła do hotelu dopiero o zmierzchu. Ray czekał na nią pod drzwiami.

— Spóźniłaś się — stwierdził, łypiąc na nią ze złością. — Za pół godziny mamy być w ambasadzie.

— Zdąży my — odparła, odpychając go na bok, by wejść do środka. — Czy pod moją nieobecność wydarzyło się coś, co sprawiło ci trudności?

— Właściwie nie.

— W takim razie wróciłam, jestem na służbie i nie chcę więcej o tym słyszeć.

— Zaplątałaś się w jakieś kłopoty?

Uniosła wzrok na tyle, że widział jej twarz pod kapturem, i uniosła brwi w pełnym samozadowoleniu wyrazie.

— Powiedziała, że nie chcę więcej o tym słyszeć. Ufasz mi, czy nie?

Zmarszczył brwi.

— Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Ale, no wiesz, to trochę dziwaczne.

W ustach Billy 'ego Raya zabrzmiało to niemal jak komplement.

— Agencie Ray, jestem aską. To znaczy, że jestem tak samo dziwaczna jak ty. Nie uważasz, że powinniśmy zebrać delegatów i ruszać w drogę?

Wskazał zamasztył gestem na hol.

— Prowadź, księżniczko.



Ambasada Stanów Zjednoczonych w Pradze mieściła się w autentycznym siedemnastowiecznym pałacu. Były w nim dziedzińce, skrzydła, barokowe gzymsy, podobne lochom piwnice i chyba ze sto pokoi. Nawet doktor Tachion był pod wrażeniem, gdy cała grupa przemierzyła ogród i weszła do oficjalnej sali recepcyjnej. Ludziom bardzo rzadko udawało się sprostać jego standardom.

Joann nauczyła się na własnym doświadczeniu, że wszystkie oficjalne przyjęcia w ambasadach wyglądają tak samo. Ambasador i jego małżonka będą uprzejmi dla wszystkich gości, a pracownicy obsługi wykazą się nadnaturalnymi zdolnościami łagodzenia wszelkich konfliktów, gaf oraz innych nieprzyjemności, zanim staną się one przyczyną międzynarodowego incydentu. Jedzenie, picie i muzyka będą znakomitej jakości. Będzie się eksponowało jakąś narodową specjalność — w Argentynie tango, w Japonii sashimi i tak dalej. W ambasadzie islamskiego kraju mogą podać alkohol lub nie, ale gdyby go nie było, z pewnością znajdzie się jakiś zamiennik. Na przykład, zdumiewająco dobra kawa. Tym razem jednak byli w Europie

Wschodniej. Alkoholu było mnóstwo.

Joann czuła się, jakby oglądała film. Znowu ten sam film, z tą samą obsadą. Doktor Tachion wypijał haustem kolejne kieliszki szampana, Hiram Worchester ponownie dołączył do wyprawy, przynajmniej na jakiś czas, i wygłaszał przemowę nad tacą z zakąskami. Politycy krążyli wśród gości, ściskając im ręce i rozmawiając. Joann zauważyła kongresmen Cramer w staromodnej sukni z wysokim dekoltem, przypominającej raczej frak z długą spódnicą niż strój wieczorowy. Xavier Desmond mógł zapewniać, że nie jest politykiem, ale on również krążył w tłumie. Natomiast Poczwarka tego nie robiła. Dżokerka — mająca na sobie fioletową suknię bez ramiączek, przyciągającą wzrok do wciąż się zmieniających konturów jej widocznych mięśni — siedziała na uboczu, obserwując wszystkich z uwagą. Od początku wyprawy zmieniło się tylko jedno. Sokolica nie wkładała już na każde przyjęcie sukni odpowiedniej dla szczupłej modelki. Niemniej i tak wyglądała pięknie w błyszczącym ciężowym kostiumie, owijającym się efekownie wokół jej rosnącego brzucha.

A wszystko to działo się w pełnej pięknych dywanów i zasłon sali recepcyjnej ambasady. To było naprawdę dziwne przyjęcie. Polityczne, a zarazem publiczne, goniące za sensacją i poważne. Joann jak zwykle trzymała się na dystans, ukryta pod płaszczem z kapturem. Ograniczała się do obserwacji.

Gdy kongresmen Cramer przerwała kolejną rozmowę i ruszyła ku asce, Joann poczuła nagły niepokój. Co znowu się stało? Z pewnością nie mogło to być nic aż tak ważnego, by przerywać z tego powodu przyjęcie. Jak na kogoś, kto chce uniknąć uwagi, Carol Cramer przyciągała jej bardzo wiele. Agentka wyprostowała się, powtarzając sobie, że musi się zachowywać profesjonalnie. Nie schowa się za rogiem, by uciec przed kongresmenką.

— Czarna Lady. Agentko Jefferson. Czy mogę z panią porozmawiać?

Joann słumiała westchnienie.

— Może wyszłybyśmy na dwór, kongresmen Cramer?

Aska poprowadziła drugą kobietę do odległego zakątka patio, dokąd nie sięgał blask lamp ani słuch ciekawskich.

— Czy udało się pani zorganizować spotkanie z Katriną? — zapytała niecierpliwym tonem kongresmenka.

— Nie, pani Cramer. Panna Duboss najwyraźniej nie chce mieć nic wspólnego ze swymi rodzicami.

Powiedziała, że pani się im podlizuje. Tę myśl Joann zachowała jednak dla siebie.

— To bardzo rozsądne z jej strony — stwierdziła kongresmenka. Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, przechodząc w coś przypominającego grymas bólu. Joann uniosła brwi w uprzejmym zapytaniu.

Starsza kobieta zaczęła spacerować wzdłuż granic wyłożonego marmurem patia.

— Dziś po południu rozmawiałam przez telefon z rodzicami Katriny. Obawiam się, że dałam się wprowadzić w błąd. Kiedy mnie poprosili, żebym się z nią skontaktowała, byłam przekonana, że chcą, żeby wróciła do domu. Sądziłam... no wie pani, gdyby była moją córką, z pewnością tego właśnie bym pragnęła.

— A czego chcieli naprawdę? — zapytała aska delikatnym tonem.

To musiało być coś naprawdę nieprzyjemnego, sądząc po tym, jak Carol Cramer zaczerpnęła głęboki oddech, zanim zaczęła mówić.

— Szukają dowodów na to, że złamała zasady funduszu powierniczego, żeby ją wydziedziczyć. Jeśli kiedykolwiek zostanie aresztowana albo ukarana za coś poważniejszego niż parkowanie w niedozwolonym miejscu, odbiorą jej fundusz. Rozumie pani, nie za to, że uciekła z domu albo zrobiła coś niewłaściwego. Po prostu dlatego, że jest dzokerką. To straszna niesprawiedliwość. Katrina ma rację, że nie chce się z nimi kontaktować. Jest ich córką, powinni się nią opiekować.

Świat funduszy powierniczych i wydziedziczonych dzieci wykraczał daleko poza doświadczenie Joann, ale konsternację Carol Cramer łatwo było dostrzec. Najwyraźniej rodzina była dla niej ważniejsza niż dzika karta i wszelkie inne kwestie. To przynajmniej Joann rozumiała.

Zdawała też sobie sprawę, że właśnie w tej chwili Katrina pakuje się w kłopoty, które mogą się dla niej skończyć wydziedziczeniem. Carol Cramer z pewnością chciałyby się o tym dowiedzieć, ale zapewne lepiej będzie, jeśli pozostanie to dla niej tajemnicą. Katrina też chciałyby poznać prawdę... z pewnością powstrzyma się przed nierozsądnym zachowaniem, jeśli miałyby stracić z jego powodu fundusz powierniczy. A do tego wkurzyć rodziców.

Gdyby tylko Joann wiedziała, gdzie jest w tej chwili Katrina i czym się zajmuje.

— Pragnę tylko jej pomóc — ciągnęła kongresmenka. — Jeśli wpakuje się w jakieś tarapaty, nie może liczyć na rodzinę. Chciałabym, żeby miała jakieś wyjście. Angażujemy się w politykę, bo wierzymy, że jesteśmy w stanie rozwiązać problemy świata. Że naprawdę możemy coś zmienić. Wiedziałam, że to będzie trudne. Wystarczy się przyjrzeć tej wyprawie. Co dobrego właściwie osiągnęliśmy? Sądziłam jednak, że zdołam pomóc przynajmniej tej jednej osobie.

Joann prawie jej nie słuchała. Tu nie chodziło już o Carol Cramer. Doszła do wniosku, że musi wyjść, znaleźć Katrinę i ocalić ją przed milicją. Reszta mogła zaczekać.

— Spróbuję porozmawiać z nią jeszcze raz — obiecała.

— Jestem pani bardzo wdzięczna, agentko Jefferson.

To było miłe z jej strony, ale w tej chwili Joann myślała przede wszystkim o tym, czy Katrina doceni jej wysiłki.

Rozejrzała się po sali recepcyjnej. Przyjęcie trwało w najlepsze. Delegaci nigdzie nie

mogłoby być bardziej bezpieczni niż tutaj, w budynku ambasady amerykańskiej. Mogła ich tu zostawić na parę godzin.

Billy Ray w pojedynkę gwarantował wystarczającą demonstrację siły. Stał w łuku przejścia między salą recepcyjną a ogrodami, odziany w swój biały kombinezon. Ręce skrzyżował na piersi i łypał groźnie na wszystkich, którzy wchodzili bądź wychodzili. Podeszła do niego, zamiatając płaszczem.

— Billy, czy możesz mnie na chwilę zastąpić? — zapytała, zatrzymując się za jego plecami.

— Dlaczego? Co się stało?

— Chciałam oddać osobistą przysługę jednej z delegatek, ale sprawa wymknęła się spod kontroli. Wplątałam się w nią i muszę ją teraz zakończyć.

— Kochanie, to nie ma sensu. Co się stało?

Wyprowadziła go na dwór. Skryli się za pobliskim krzakiem i opowiedziała mu wszystko.

— Hmm, rewelacja — stwierdził, krzywiąc się. — Wiesz, że nie jesteś im nic winna, prawda? Ani Carol Cramer, ani tej bogatej dziewczynie.

— Tu nie chodzi już o kongresmen Cramer. W tym właśnie rzecz — odparła z westchnieniem Joann. Spojrzała na miasto, jakby się spodziewała, że ujrzy fajerwerki, towarzyszące zaplanowanej akcji protestacyjnej. Rzeka lśniła w blasku latarni niczym płynny ołów, a wieże Kościoła przed Tynem wznosiły się ku niebu jak jakieś demoniczne berła.

— W latach sześćdziesiątych paru studentów podpaliło się tu żywcem na znak protestu przeciwko sowieckiej okupacji. Obawiam się, że mogła się wmieszać w coś w tym rodzaju.

Wirus dzikiej karty wyrzucił życie Katriny do góry nogami, ale ona nie dawała za wygraną i była zdecydowana nadać mu znaczenie, dokonać czegoś wielkiego. Joann ją rozumiała.

— A jeśli jest zdeterminowana zrobić coś takiego, jak zdołasz ją powstrzymać?

— Chcę ją tylko odnaleźć, żeby z nią porozmawiać.

— Pomogę ci.

— To naprawdę nie jest konieczne. Nie musisz...

— Mówię poważnie. To będzie ciekawsze niż ta heca. — W tej właśnie chwili ubzdryngolony Tachion przyczepił się do przygrywającego gościom pianisty i zaczął go błagać, by zaśpiewał Mozarta. Ray uśmiechnął się lubieżnie. — Poza tym przyda ci się ktoś, kto będzie strzegł twoich pleców.

W czym mógłby jej zaszkodzić? Ha.

Wymknęli się we dwoje z przyjęcia. Dotknął ramienia Joann, kierując ją ku chodnikowi prowadzącemu do bramy dostawczej ambasady. Nawet się nad tym nie zastanawiał. Ten gest był równie naturalny, jak osłonięcie oczu przed słońcem. Tkanina kombinezonu Joann chroniła ich oboje. *Tak blisko, a jednocześnie tak daleko* — pomyślała po raz chyba milionowy.

Po południu spadła wiosenna ulewa i ulice wciąż lśniły od wilgoci, a w powietrzu wisiał rześki chłodek. Muskający chodnik rąbek jej płaszcz przemół nieco.

Gdy już Joann się nad tym zastanowiła, stało się oczywiste, dokąd muszą się skierować — na Plac Waclawa. Szeroki bulwar już od dziesięcioleci był miejscem, w którym odbywały się polityczne zgromadzenia i demonstracje. Jeśli grupa Katriny i Erika planowała coś, co miało przyciągnąć możliwie dużo uwagi, z pewnością wybiorą właśnie to miejsce. Joann i Ray ruszyli w drogę na piechotę, licząc na to, że po opuszczeniu terenu ambasady złapią taksówkę. Rzecz jasna jednak w tej części miasta i o tak późnej porze taksówki widziało się rzadko. Śródmieście Pragi nie było zbyt rozległe, ruszyli więc naprzód i przeszli przez rzekę, docierając do starówki.

Gdy już się na niej znaleźli, Raya natychmiast zaatakował ogromny mężczyzna w długim płaszczu. Agent, który śledził ją wczoraj, złapał asa w pół, nie przerywając biegu, i popędził z nim na drugą stronę ulicy.

Joann oparła się plecami o mur najbliższego budynku, rozglądając się w poszukiwaniu drugiego agenta. Zauważyła go po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna czekał cierpliwie. Olbrzym walnął Rayem o mur z taką siłą, że odłamki cegieł posypały się na wszystkie strony. Oszołomiony as okłapł, ale szybko doszedł do siebie i uderzył przeciwnika w brzuch z głuchym łoskotem. Olbrzymi agent raz jeszcze walnął nim o ścianę. Napastnicy z pewnością wiedzieli, że Ray jest asem i muszą mu spuścić potężny łomot, zanim odważą się wypuścić go z rąk. Najwyraźniej byli zdecydowani tak właśnie zrobić.

Joann nie mogła do tego dopuścić. Odwróciła płaszcz na drugą stronę i zerwała się do biegu. Wyciągnęła rękę do potężnego napastnika. Jego drobniejszy partner przyglądał się temu biernie, co wzbudziło jej podejrzenia. Na co czekał? A może raczej co ukrywał?

Nie spuszczać wzroku z mniejszego agenta, który przyglądał się wydarzeniom z odległości połowy przecznicy, Joann wsparła dłoń na plecach olbrzymiego mężczyzny i pociągnęła, otwierając drzwi przed swą mocą. To było tak, jakby w jej brzuchu nagle zakręcił się wir, ziejąca dziura rozpaczliwie spragniona energii, gotowa ją połykać, dopóki sama nie eksploduje. Aska dokładnie to zaplanowała. Obali przeciwnika na ziemię, wysysając zeń prawie wszystko, a potem zmieni kierunek i wyśle większą część zabranej mu energii z powrotem do jego ciała. Nawet jeśli nie zginie natychmiast, miną tygodnie, nim powróci do zdrowia.

Nic się jednak nie wydarzyło. Trzy mała go mocno, ale nic z niego nie wypłynęło. Nie poczuła nawet najdrobniejszej iskielki. To było tak, jakby mężczyzna już nie żył, ale w jakiś sposób nadal trzymał się na nogach.

Olbrzym odwrócił się, kierując na nią martwe, kamienne spojrzenie. Potem złapał ją z zaskakującą zręcznością i uniósł nad ziemię. Nadal nie była w stanie nic mu zrobić. Spróbowała

przeciwnego podejścia. Wsparła gołe dłonie na jego barkach i uderzyła w niego potężną mocą. Energia odbiła się od niego w kaskadzie błyskawic. Mężczyzna nadal jej nie puszczał. Zaczęła się wyrywać, kopiąc i drapiąc jego dziwnie twarde i nieustępliwe ciało. Bez rezultatu. Jego mięśnie były niezwykle twarde, a twarz pozbawiona wyrazu. Zaciskał dłonie coraz mocniej.

Wreszcie znalazła kogoś, kto mógł jej dotknąć. Dotykał jej i nic mu się nie stało. Nie umierał. Ona mogła dotknąć jego, a on mógł dotknąć jej i nie przypłacić tego życiem. Ekscytowała ją ta myśl. Choć ewidentnie próbował ją zabić, omal go nie pocałowała. Hipoteza: Dla każdej mocy asa istnieje gdzieś równa i antagonistyczna moc. Każdy as ma przeciwieństwo, wobec którego jego moc jest bezużyteczna. Ta myśl sugerowała, że we wszechświecie panuje dająca poczucie bezpieczeństwa równowaga. Jeśli Joann potrafiła z każdego wyssać siłę życiową, czy nie implikowało to, że gdzieś istnieje as, którego siły życiowej nie da się wyssać?

Rzecz jasna, musiało się wtrącić prawo Murphy'ego. Mężczyzna, który mógł jej dotknąć, właśnie w tej chwili próbował ją zabić.

Unieruchomił jej ręce. Kopała go w kolana i pachwinę, ale nawet się nie wzdrygnął. Tylko poobijała sobie palce nóg o jego twarde jak kamień ciało. Jej wielka zawodowa tajemnica polegała na tym, że Joann wcale nie była zbyt biegła w sztukach walki wręcz, których opanowania zwykle wymagano od agentów federalnych pełniących funkcje ochroniarzy. Była w stanie nauczyć się ruchów, ale nie mogła znaleźć partnerów do ćwiczeń, gdyż groziłoby im to śmiercią. Zresztą potrafiła sparaliżować każdego ruchem dłoni i nikt nie sądził, by potrzebowała takich umiejętności. Okazało się jednak, że to był błąd. Unieruchomiona przez potężnego asa kobieta mogła jedynie się miotać, podczas gdy on wznacniał uścisk. Jej żebra trzeszczały. Nie mogła zaczerpnąć oddechu, gdyż jej płuca nie miały się gdzie rozszerzać.

Pieprzyć to. Zaczęła się wić, starając się zwiększyć swą śliskość, aż wreszcie osunęła się w dół i wysunęła z płaszcza. Jego uścisk zelżał. Napastnik pochwycił śliską tkaninę stroju, a Joann oddaliła się chwiejnym krokiem. Raczej instynktownie niż z namysłem odwróciła się i wypuściła z siebie rozblysk nagromadzonej energii. Błyskawica pomknęła naprzód, a grom odbił się echem od chodnika.

As zatoczył się do tyłu, osłaniając oczy ramieniem. Odrzucił płaszcz na bok. Atak Joann go nie zabił, ale wyglądało na to, że przynajmniej go osłepił.

Drugi agent nadal nie włączał się do walki. Ray wstał z chodnika, potarł się w głowę i warknął z wściekłości.

— Ray... — ostrzegła go.

— Pierdolić to. Załatwię go — mruknął i rzucił się do ataku.

Ogromny mężczyzna zacisnął pięść i spróbował uderzyć napastnika, ale odziany w biały kombinezon as zdążył już się uchylić. Potem skoczył olbrzymowi na głowę, otoczył jego szyję



ramieniem, pociągnął i wałną go pięścią w twarz. Kamienne odpryski posypały się na wszystkie strony.

Chwileczkę. Kamienne?

Drugi czeski agent wykrzyknął jakieś słowo sprzeciwu i pobiegł ku nim. Joann uniosła rękę w geście oznaczającym „stop”. Mężczyzna się zatrzymał. Oboje się odwrócili, by przyglądać się wydarzeniom.

Olbrzym zamrugał, wyraźnie zdezorientowany. Cios Raya był skutecznym. Twarz tamtego przeszły pęknięcia. Zaczynały się na policzku, a następnie okrężyły oko i przecinały znak na jego czole, coś w rodzaju blizny albo tatuażu. Uniósł rękę, chcąc się po nim podrapać, i kolejny kawałek kamienia spadł na ziemię. Symbol się rozpadł.

Mężczyzna zamarł, nieruchomy jak posąg. Pęknięcia na jego twarzy stawały się coraz szersze. Uszkodzenia objęły też resztę ciała, aż wreszcie cały rozpadł się w gruz, zostawiając tylko płaszcz i resztę ubrania spoczywające na rumowisku.

Zapadła niesamowita cisza, pełna zdumienia i czujności. Joann uklęka przy stercie kamieni i piasku, przebiegając po niej palcami. Mrugający ze zdziwienia Ray przykluczył w miejscu, w którym padł na chodnik, gdy olbrzym się rozleciał. Co tu było grane?

Twarz ocalałego czeskiego agenta nabrała twardszego wyrazu. Żal przerodził się w obojętność.

— To nieważne — mruknął po chwili. — Mogę stworzyć drugiego, a potem trzeciego.

To on był asem, nie jego potężny partner. Jego moc polegała na ożywianiu kamienia, budowie kamiennych ludzi...

Joann otworzyła szeroko oczy.

— Jesteś Żydem. Stąd bierze się twoja moc asa. Jej źródłem jest legenda o golemie.

— Jestem dobrym komunistą — odparł po prostu, jakby był przyzwyczajony do częstego powtarzania tych słów. — Ja i moi słudzy jesteśmy dobrymi agentami. Dowiem się, co zaplanowaliście...

Joann westchnęła z frustracji.

— Niczego nie zaplanowaliśmy!

— Wiem, że spiskujecie z zagranicznymi agentami, żeby sprowokować zamieszki!

Nie była w stanie powstrzymać chichotu.

— Wszystko ci się pomieszało. Chciałam tylko...

Potrząsnęła głową i dała sobie spokój z wyjaśnieniami.

Zacisnęła pięść. Poczowała przypływ mocy. Gdyby okazało się to konieczne, mogłaby go załatwić na miejscu. Był człowiekiem i energia przepływała w normalny sposób przez jego konwencjonalny system nerwowy. Nie przypominał swego kamiennego sługi. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ w żaden sposób im nie zagrażał, a tylko stał bez ruchu. Otrzępała dłonie i poszła

po płaszcz. Owinęła się nim wprawnie, a potem skryła moc pod tkaniną.

— Joann, nic ci się nie stało?

Ray zdołał już wstać. Był posiniaczony, a po czole spływała mu strużka krwi, ale poza tym zbyt nie ucierpiał. Zadała sobie pytanie, czy powinna mu powiedzieć o krwi, zanim popłami sobie kombinezon.

— Nic mi nie jest — zapewniła. Żebra miała obolałe, ale to przejdzie. Spojrzała na czeskiego agenta.

— Naprawdę nie chcę wywoływać żadnych kłopotów. Oboje możemy stąd odejść i żadne z nas nie musi o niczym meldować.

— Wy macie tu całą władzę. Możecie zdecydować, co zrobimy.

Uniósł podbródek w geście dumy i sprzeciwu.

Spodziewał się, że go zabiją. Tak właśnie by zrobił, gdyby był na ich miejscu. Wystarczyło, żeby uniosła rękę. Albo powiedziała słowo i Ray urwałby mu głowę.

— Chodźmy, Ray — rzekła, owijając się ciasniej płaszczem, i ruszyła przed siebie. — Dość już czasu zmarnowaliśmy.

— Jesteś pewna? — zapytał.

— Tak

Poszli razem ku następnemu skrzyżowaniu. Gdy obejrzała się za siebie, czeski agent już zniknął.



Zegar w jej umyśle tykał. Jak bliska aresztowania była Katrina?

O tak późnej porze ruch był bardzo niewielki, ale minęli po drodze kilkanaście radiowozów. Joann była pewna, że ich zatrzymają. Sama odwróciła płaszcz ciemną stroną na zewnątrz i nie przyciągała uwagi, ale biały kombinezon Raya świecił jak latarnia morska. Jednakże glinom wyraźnie gdzieś się śpieszyło. Wszystkie samochody jechały szybko w mniej więcej tym samym kierunku. To nie wróżyło dobrze. Joann przyspieszyła kroku. Ray podążał za nią, rozglądając się wkoło.

Nagle usłyszała śmiechy i okrzyki. Otworzyła się przed nią szeroka przestrzeń bulwaru. Wreszcie ich znaleźli.

Grupa młodzieży — od nastolatków aż po dwudziestoparoletnich punków — biegła ulicą kilka przecznic przed Joann. Od strony chaotycznego tłumu dobiegały głośne śmiechy. Aska miała wrażenie, że zauważyła chłopską spódnicę, sweter i dzokerską kończynę Katriny, nie była jednak pewna. To mógł być czyjś szalik. Grupa z pewnością wyglądała jak dzieciaki z piwnicy. Joann i Ray pobiegli za nimi, ale odległość była spora, a oni nie mieli zamiaru zwalniać. Cokolwiek zaplanowali, udało się im to zrobić, a teraz się oddalali. Dotarli do odległego rogu i zniknęli jej z oczu. Joann uznała, że nie ma sensu dalej ich ścigać. Zwolniła, zatrzymała się i obejrzała za

siebie, w kierunku Placu Waława oraz konnego pomnika króla zajmującego jego środek

Posąg pokrywały kwiaty. Opadały kaskadami z boków i szyi wierzchowca, tworzyły girlandy na głowie monarchy i sznury na jego tułowiu, wspinały się spiralą na włócznię i zwisały z jej końca niczym chorągiew. Kolejne kwiaty, które nie zmieściły się na pomniku albo z niego spadły, leżały wokół jego podstawy. Całe tony papierowych kwiatów. To właśnie produkowali w swej piwnicy. Zrobili z pomnika fantastyczny ogród, który pojawił się nagle pośrodku miasta.

Razem z kwiatami demonstranci umieścili tam transparenty, znaki oraz slogany. Większość była po czesku, a Joann nie znała tego języka, ale widziała też język niemiecki i angielski. Rosyjskiego nie było. Hasła popierające pokój i demokrację. Rysunki czołgów i bomb przekreślonych czerwonymi krzyżami, pacyfki, teksty piosenek i tak dalej. Był wśród nich piękny rysunek Katriny, słazany na zmoknięcie na deszczu, podarcie i wyrzucenie. Joann kuśilo, by go uratować. Zwinąć starannie i schować. Ale nie, jego miejsce było tutaj.

To był ich protest. Żadnych marszów, krzyków ani zamieszek. Niczego nie wysadzono ani nie podpalono. Z nadejściem świtu mieszkańcy miasta, milicja, sowieccy okupanci i fotoreporterzy ujrzą piękne, barwne dzieło sztuki, pełne energii i nadziei.

— I to wszystko? — zapytał Billy Ray, zatrzymując się obok niej. — Cały wielki protest, demonstracja czy jak to tam zwal?

— Tak jest — potwierdziła z chichotem Joann. — Nie sądzisz, że to ładne?

Ray przyjrzał się pomnikowi ze zdziwioną miną i podrapał się po krótko ostrzyżonych włosach.

— Pewnie tak. Ale nie wiem, czy nazwałbym to sztuką.

— Billy, nie rozpoznalbyś sztuki, nawet gdyby dała ci w łeb i postawiła kolację.

— Joann, to zabrzmiało prawie tak, jakbyś chciała się ze mną umówić.

To była jedna z tych chwil, gdy Joann odnosiła wrażenie, że przyciąganie Ziemi zmieniło nagle kierunek. A może zmiana dotyczyła procentu tlenu w atmosferze? Zakręciło się jej w głowie. Uświadomiła sobie, że może powiedzieć „tak”. Mogłaby go zaprosić na kolację. Ale nic by z tego nie wynikało, do niczego by nie doprowadziło. W takim razie jaki miałoby to sens? Mogła powiedzieć „tak” i mogła powiedzieć „nie”, ale nie odzywała się ani słowem. Po prostu patrzyła na niego jak na idiotę, a on przyglądał się jej z podobnym zdziwieniem. A potem się pochylił.

Był jak mały chłopiec zbliżający się ostrożnie do skraju przepaści, by spojrzeć w dół, próbujący sprawdzić, jak daleko może się posunąć i nie spaść. Może był przekonany, że nawet jeśli spadnie, z pewnością nic mu się nie stanie. W końcu był Billym Rayem. Można go było pokonać, ale nie zniszczyć.

Choć ten jeden raz nie odsunęła się od niego. Nie postawiła kaptura i nie odwróciła się bokiem. Nie próbowała chronić siebie ani przypadkowych gapiów. Jego palce musnęły jej podbródek i przebiegły wzdłuż lewego policzka. Jego dotyk pozostawił po sobie lekki dreszcz. Na mgnienie oka

pozwoili sobie wierzy, że owo wrazenie pynie tylko z ludzkiego dotyku na jej skórze, zdumiewajco delikatnego ruchu uwodzicielskich palców, zachcujcego j, by pochyli si wicej. Mogaby odwróci twarz, przytuli j do jego dloni, wycignac do niego reke. Nagle poczula, ze przewzyczenie nabytych w ciagu calego zycia odruchow nakazujcych jej unika kontaktu bylyby bardzo latwe.

Ray najwyrazniej rowniez uwierzy na chwile w pobozne zyczenia. Nagle zrobil si smielszy. Dotknal twarzy Joann otwart dlonia, zamiast tylko ostroznie muskac ja palcami, i zblizy si do kolejny krok, jakby naprawde zamierzal ja pocalowac. Niestety, to przyjemne, cieple mrowienie nie bylo ekscytacja wywolana flirtem ani zaczynajaca si gra wstepna. Bylo energia. Przeskoczyla miedzy nimi iskra sily zyciowej. Moc przeplynela z dloni Raya do skory Joann, zalala jej zakonczenia nerwowe, przeplynela przez ciało i sprawila, ze krew zawrzala. Ray syknal z bolu i zadrzal, zataczajac oczami.

A potem padl zemdlony na ziemie. Zamiast skoczyc ku niemu i zlupac go, jak postapilaby kazda normalna osoba, Joann odsunela si i owinela szczelniej plaszczem. Odciena swoja moc, wciagnela ja w siebie i uspokoila oddech, choc serce walilo jej gwałtownie. Zapanowala nad soba. Jakrobila to przez cale zycie.

Ray uderzy glowa o chodnik i przez pewien czas lezal nieruchomo. Potem jeknal i dotknal dlonia czola. Zyl. Joann poczula ulge.

— Masz cios jak ciezarówka firmy „Mack” — mruknal. — Wiedzialas o tym?

Byl jednym z twardzieli posrod asow, tych, ktorzy mogli wytrzymac bardzo wiele. Przez krotciutka chwile pomyslala, ze byc moze... Ale nic z tego.

To bylo w porzadku. Musialo byc w porzadku.

— Znales ryzyko — odparla, usmiechajac si polgębkiem.

— Nic sie nie stalo — mruknal. Oddychal ciezko, ale staral si to ukryc. — Poprosilbym, zebyś pomogla mi wstac, ale... lepiej nie. Bez obrazy.

Podniosl si z wysilkiem, jak stary czlowiek

— Pora wracac do ambasady — stwierdzila. — Musimy si upewnic, ze pijani delegaci bez szkody wraca do hotelu.

— Chyba juz wolalbym kolejny wstrzas.

Joann odzy skala juz spokój na tyle, ze mogla si rozesmiaac.



Po poludniu wyprawa Swiatowej Organizacji Zdrowia miala wyruszyc do Krakowa, ale Joann zdoiala rankiem zorganizowac spotkanie Carol Cramer z Katrina w kawiarni polozonej w polowie drogi miedzy hotelem a starowka. Nie przyciagnal tam zbyt wielkiej uwagi i beda mialy chwile prywatnosci.

Kongresmenka siedziała już za stolikiem z Joann, gdy zjawiała się Katrina. Dżokerka wyglądała na niewyspaną. To było zrozumiałe. Jej grupa z pewnością do rana świętowała udaną akcję na Placu Waclawa. Milicja szybko wszystko uprzętnęła, ale zdjęcia i tak wyładowały w porannych gazetach. Międzynarodowa prasa zdążyła na czas. Być może Katrina miała rację i protesty tego typu okażą się skuteczne — jeśli będzie ich wystarczająco wiele i będą się powtarzały przez długi okres.

Carol Cramer wstała i poprawiła nerwowo rękawy, jakby spotykała się z własną córką. Dżokerka zauważyła obie kobiety, westchnęła i podeszła do nich.

Kongresmenka wyciągnęła rękę.

— Witaj, moja droga. Nie jestem pewna, czy mnie pamiętasz...

— Pamiętam, pani Cramer. Cieszę się, że panią widzę — odparła dziewczyna i grzecznie uściśnęła wyciągniętą dłoń. Na czoło wysunęła się osobowość posłusznej córki bogatej rodziny. Ta fasada nie pasowała do artystki o płomiennym spojrzeniu, którą poznała Joann.

Dziewczyna usiadła za stolikiem, kładąc na blacie pomarańczowe węże składające się na jej kończyne. Carol Cramer pobladła nieco i gapiła się na nie przez chwilę, trzeba jednak przyznać, że szybko wróciła do siebie i przeszła do rzeczy.

— Muszę przyznać, że twoi rodzice bardzo mnie rozczarowali... — zaczęła.

— Ale z pewnością nadal będzie pani brała od nich pieniądze na kampanię.

— A ty będziesz korzystała ze swojego funduszu powierniczego. Tu nie chodzi o pieniądze. Przynajmniej mnie o nie nie chodzi. Chciałam ci po prostu powiedzieć, że masz przyjaciół. Wiem, że nie możesz się do nich zwrócić o pomoc, ale chciałam ci powiedzieć, że nie jesteś sama.

— Wiem, że nie jestem sama. Dziękuję pani.

— A gdybyś zdecydowała, że jesteś gotowa wrócić do domu...

— Na pewno będzie mnie stać na bilet lotniczy, tak samo jak wszystkich — zapewniła Katrina.

Joann zasłoniła usta dłonią, by ukryć uśmiech.

Katrina pozwoliła, by kongresmenka postawiła jej kawę i przez pół godziny rozmawiała z nią z wyraźnym skępowaniem, nim wreszcie Carol Cramer zdecydowała, że musi wracać do hotelu i dołączyć do reszty delegatów przed wyjazdem na lotnisko. Joann została na parę minut sam na sam z Katriną, gdy wychodziły razem z kawiarni.

— Ona jest taka sama jak moi rodzice — wyjaśniła dżokerka. — To znaczy, nie całkiem taka sama. Przynajmniej ma jakieś poczucie przyzwoitości. Ale rodzice chcą, żebym myślała, że to koniec świata, że moje życie jest zniszczone. — Uniosła rękę, demonstrując wijące się gniewnie węże. — Ale ja nadal mogę malować, nadal potrafię rysować. Nadal mogę poznawać świat i znaleźć sobie chłopaka. Nadal mogę mieć życie. Dobre życie. Czy tego nie rozumieją?

— Reszta nas to rozumie — zapewniła Joann, ponieważ to pytanie nie robiło wrażenia retorycznego. Katrina potrzebowała odpowiedzi, która potwierdziłaby jej wartość. Aska musiała się jednak zastanowić, by zadać to pytanie samej sobie. Nadal mogła mieć dobre życie. Sama je sobie stworzy, do licha. Podróżowała po całym świecie. Wielu ludzi o tym marzyło i nigdy nie udało się im tego zrealizować. Miała przyjaciół i miała cel. Być może kiedyś, gdzieś, spotka asa z mocą, która będzie równoważyła jej moc. Na przykład ktoś potrafiącego produkować z niczego niekończące się fontanny energii. Może będzie też inteligentny, przystojny, dowcipny i miły ...

Warto jest marzyć, czyż nie tak?

— Uważaj na siebie, Katrino — powiedziała na pożegnanie młodej kobiecie, po czym dołączyła do kongresmen Cramer, by odprowadzić ją do hotelu.

## 10 kwietnia, Sztokholm

Jestem bardzo zmęczony. Obawiam się, że mój lekarz miał rację. Ta podróż może się okazać tragiczną pomyłką — przynajmniej jeśli chodzi o stan mojego zdrowia. Mam wrażenie, że przez pierwszych kilka miesięcy trzymałem się całkiem nieźle. Wszystko wydawało mi się wtedy nowe, świeże i ekscytujące. Jednakże w ostatnim miesiącu dało się odczuć nagromadzone zmęczenie, a codzienna rutyna stała się niemal nie do zniesienia. Loty, kolacje, niekończące się powitania, wizyty w szpitalach, gettach dzokerów i instytutach badawczych — wszystko to przerodziło się dla mnie w jedną zamazaną plamę złożoną z dygnitarzy, lotników, tłumaczy, autobusów i hotelowych jadalni.

Coraz trudniej jest mi utrzymać jedzenie w żołądku i wiem też, że straciłem na wadze. Rak, wysiłek związany z podróżą, mój wiek... kto wie? Podejrzewam, że w grę wchodzi wszystkie te przyczy ny.

Na szczęście podróż już się prawie kończy. Dwudziestego dziewiątego kwietnia mamy wylądować na lotnisku Tomlin International. Zostało nam do odwiedzenia jeszcze tylko kilka krajów. Przysnaję, że czekam z niecierpliwością na chwilę powrotu i chyba nie jestem w tym odosobniony. Wszyscy czujemy się zmęczeni.

Niemniej jednak choć wysiłek był straszny, nie wyrzekłbym się tej podróży za nic na świecie. Widziałem piramidy i Wielki Mur, chodziłem po ulicach Rio, Marrakeszu i Moskwy, a wkrótce dodam do tej listy również Rzym, Paryż i Londyn. Ujrzałem na własne oczy sceny wywodzące się z marzeń i z koszmarów. Sądzę też, że wiele się nauczyłem. Mogę się teraz tylko modlić o to, bym pożył wystarczająco długo, żeby wykorzystać choć część owej wiedzy.

Szwecja jest mile widzianą odmianą po Związku Sowieckim i innych krajach Układu Warszawskiego, które odwiedziliśmy. Nie mam właściwie wyrobionej opinii na temat socjalizmu,

ale bardzo mnie znużyły modelowe „chroniska medyczne” dla dżokerów, które nam pokazywano, i mieszkający w nich modelowi dżokerzy. Raz po raz powtarzano nam, że socjalistyczna medycyna i socjalistyczna nauka z pewnością zatrumfują nad dziką kartą i że już udało się poczynić wielkie kroki naprzód, ale nawet jeśli uwierzy się w te zapewnienia, ceną dla garstki dżokerów, do których istnienia przyznają się Sowietci, jest trwająca całe życie „terapia”.

Billy Ray zapewnia, że w rzeczywistości żyją ich tam tysiące, ale Rosjanie zamknęli większość z dala od oczu populacji, w wielkich, szarych „przechowalniach dżokerów”, które nominalnie są szpitalami, a w praktyce niczym się nie różnią od więzień. Jest tam ponoć mnóstwo strażników, a za to bardzo niewiele lekarzy i równie mało pielęgniarek. Ray mówi też, że istnieje kilkunastu sowieckich asów i wszyscy potajemnie pracują dla rządu, armii, policji albo partii. Jeśli to wszystko prawda — Sowietci, rzecz jasna, zaprzeczają podobnym oskarżeniom — nie udało nam się nawet zbliżyć do żadnego z nich. Inturisti i KGB śledziły z uwagą wszystkie nasze kroki, pomimo oficjalnych zapewnień, że usankcjonowanej przez ONZ wizycie przyzna się „wszelkie możliwe ułatwienia”.

Oznajmić, że doktor Tachion nie zdołał nawiązać przyjaznych kontaktów ze swymi sowieckimi kolegami, byłoby poważnym niedopowiedzeniem. Jego pogarda dla sowieckiej medycyny ustępuje intensywności jedynie pogardzie Hiramusa dla sowieckiej kuchni. Obaj jednak najwyraźniej polubili sowiecką wódkę, gdyż spożyli jej znaczne ilości.

W Pałacu Zimowym doszło do małej, zabawnej debaty. Jeden z naszych gospodarzy tłumaczył doktorowi Tachionowi zasady dialektyki historycznej, mówiąc, że w miarę jak cywilizacja dojrzewa, feudalizm musi ustąpić miejsca kapitalizmowi, a kapitalizm socjalizmowi. Tachion wysłuchał go z zaskakującą uprzejmością.

— Mój drogi kolego — powiedział potem — w naszym małym sektorze Galaktyki istnieją dwie potężne cywilizacje, które opanowały sztukę lotów międzygwiazdnych. Na mojej rodzinnej planecie według waszych pojęć z pewnością panuje feudalizm, a Sieć jest formą kapitalizmu bardziej drapieżną i bezwzględną niż wszystko, o czym wam się śniło. Obie te cywilizacje szczęśliwie nie wykazują też żadnych oznak dojrzewania do socjalizmu. — Przerwał na chwilę. — Choć jeśli spojrzeć na to pod odpowiednim kątem, być może Rój można by uznać za komunistyczny, choć raczej niezbyt cywilizowany.

Muszę przyznać, że była to niezłe przemyślana mówka, aczkolwiek mogłaby zapewne wywrzeć na Sowietach większe wrażenie, gdyby Tachion nie był akurat ubrany w kompletny strój kozaka. Skąd on bierze takie ubrania?



O innych krajach socjalistycznych nie mam zbyt wiele do powiedzenia. W Jugosławii było najcieplej, Polska była najbardziej przygnębiająca, a Czechosłowacja najbardziej przypominała

dom. Downs napisał dla „Aces!” nadzwyczaj interesujący artykuł, w którym snuł spekulacje, że krążące wśród chłopów na Węgrzech i w Rumunii opowieści o działających współcześnie wampirach mają swój początek w przypadkach zarażenia dziką kartą. To był jego najlepszy kawałek, świetnie napisany i szczególnie fascynujący, jeśli weźmie się pod uwagę, że Kopacz oparł go wyłącznie na pięciominutowej rozmowie z cukiernikiem w Budapeszcie. W Warszawie znaleźliśmy niewielkie dzózerskie getto oraz zetknęliśmy się z szeroko rozpowszechnioną wiarą w ukrytego „solidarnościowego asa”, który wkrótce poprowadzi zdelegalizowany związek zawodowy do zwycięstwa. Niestety, nie pojawił się on podczas naszego dwudniowego pobytu w Polsce. Senatorowi Hartmannowi udało się z wielkim trudem załatwić spotkanie z Lechem Wałęsą. Mam wrażenie, że relacja agencji AP z tej rozmowy zwiększyła jego popularność w Stanach. Hiram opuścił nas na chwilę na Węgrzech — powiedział nam, że to kolejny „kryzys” w Nowym Jorku — a gdy przybyliśmy do Szwecji, wrócił do nas w nieco lepszym nastroju.

W porównaniu z wieloma innymi miejscami, które odwiedziliśmy, Sztokholm jest bardzo gościnnym miastem. Prawie wszyscy spotkani przez nas Szwedzi mówią świetnie po angielsku, możemy chodzić, dokąd chcemy (w granicach nakreślonych przez niemiłosiernie przeładowany program, rzecz jasna), a król był dla nas wyjątkowo uprzejmy. Tak daleko na północy dzókerzy są wielką rzadkością, ale on przywitał nas z całkowitym spokojem, jakby całe życie spotykał się z przedstawicielami naszego rodzaju.

Choć nasza krótka wizyta była przyjemna, doszło podczas niej do tylko jednego zdarzenia, które warto zachować dla potomności. Jestem przekonany, że odkryliśmy coś, co mogłoby przyciągnąć uwagę historyków na całym świecie, nieznaną dotąd fakt, który rzuca nowe, zdumiewające światło na znaczną część najnowszej historii Bliskiego Wschodu.

Wydarzyło się to podczas zupełnie zwyczajnego, popołudniowego spotkania między grupą delegatów a członkami Komitetu Nagrody Nobla. Sądzę, że to z senatorem Hartmannem chcieli się spotkać. Choć jego próba podjęcia rozmów z Nurem zakończyła się aktem przemocy, tutaj słusznie uważa się, że jest szczerym i odważnym człowiekiem podejmującym działania na rzecz pokoju i zrozumienia. Sądzę, że czyni go to poważnym kandydatem do przyszłorocznej Pokojowej Nagrody Nobla.

Tak czy inaczej, kilku delegatów wybrało się z Greggiem na spotkanie, które przebiegło w serdecznej atmosferze, ale nie należało do zbyt interesujących. Okazało się, że jeden z naszych gospodarzy był sekretarzem hrabiego Folkego Bernadotte'a podczas rozmów, które doprowadziły do zawarcia pokoju jerozolimskiego. Co smutne, towarzyszył mu również dwa lata później, gdy zastrzelili go izraelscy terroryści. Opowiedział nam kilka fascynujących historii o Bernadotcie, którego darzył wielkim podziwem, i pokazał kilka osobistych pamiątek z tych trudnych negocjacji. Oprócz notatek, dzienników i roboczych wersji dokumentu był tam również album ze zdjęciami.



Zerknąłem na niego pobieżnie i przekazałem dalej, podobnie jak większość moich towarzyszy. Doktor Tachion, który siedział koło mnie na kanapie, sprawiał wrażenie znudzonego rozmową i obejrzał album z większą uwagą. Rzecz jasna, na większości zdjęć uwieczniono Bernadotte'a — w towarzystwie jego grupy negocjatorów, podczas rozmowy z Davidem Ben Gurionem na jednym zdjęciu i z królem Fajsalem na następnym. Na kolejnych fotografiach widać było innych członków zespołu, w tym również naszego gospodarza, przedstawionych w mniej oficjalnych pozach — ściskali dłonie izraelskim żołnierzom, spożywali posiłek w namiocie pełnym Beduinów i tak dalej. To, co zwykle ogląda się na podobnych zdjęciach. Na najciekawszej fotografii uwieczniono Bernadotte'a w otoczeniu Nasr, asów z Port Saidu, którzy tak dramatycznie odwrócili losy wojny, gdy połączyli siły z elitarnym jordańskim Legionem Arabskim. Khôf siedzi obok Bernadotte'a pośrodku zdjęcia. Cały jest ubrany na czarno i wygląda jak żywe wcielenie śmierci. Otaczają go młodszy asowie. O ironio, ze wszystkich przedstawionych na tym zdjęciu ludzi żyje jeszcze tylko trzech, w tym wiecznie młody Khôf. Nawet niewypowiedziana wojna pochłania liczne ofiary.

To jednak nie owo zdjęcie przyściągnęło uwagę Tachiona, lecz zupełnie inne. Było bardzo nieoficjalne. Bernadotte siedział z garstką członków swej grupy w jakimś pokoju hotelowym, a na stole przed nimi wały się papiery. Przy samym brzegu zdjęcia stał młody mężczyzna, którego nie zauważyłem na innych fotografiach. Był szczupły, ciemnowłosy, miał niezwykle skupione spojrzenie i raczej miły uśmiech. Nalewał kawę do filiżanki. Wyglądało to bardzo niewinnie, ale Tachion wpatrywał się w zdjęcie przez długi czas. Potem zawołał naszego gospodarza, żeby porozmawiać z nim na osobności.

— Nie chciałbym zbytnio obciążać pańskiej pamięci, ale bardzo mnie interesuje, czy przypomina pan sobie tego człowieka? — zapytał, wskazując palcem młodzieńca. — Czy był członkiem waszej grupy?

Nasz szwedzki przyjaciel przyjrzał się uważnie fotografii i zachichotał.

— Ach, on — odparł w świetnej angielszczyźnie. — Był... jak brzmi to wasze slangowe określenie na kogoś, kto wykonuje różne drobne zlecenia?

— Przynieś-wynieś-pozamiataj — zasugerowałem.

— Ach, dokładnie tak, jak pan mówi. W rzeczy wistości był młodym studentem dziennikarstwa. Nazywał się Joshua, Joshua... coś tam. Mówił, że chce się przyjrzeć negocjacjom z bliska, żeby móc potem o nich napisać. Bernadotte z początku myślał, że to śmieszny pomysł, a nawet odmówił mu bezceremonialnie, ale ten młody człowiek był nieustępliwy. W końcu udało mu się porozmawiać z hrabią w cztery oczy i wyłuszczyć mu swe argumenty. W jakiś sposób zdołał go przekonać. Nie był więc oficjalnym członkiem zespołu, ale towarzyszył nam przez cały czas. O ile sobie przypominam, to noszenie i zamiatanie nie wychodziło mu za dobrze, ale był na tyle

sympatyczny, że i tak wszyscy go lubili. Nie sądzę, żeby w końcu napisał ten artykuł.

— Nie napisał — zgodził się Tachion. — I nic w tym dziwnego. Był szachistą, nie pisarzem.

Nasz rozmówca ożywił się wyraźnie pod wpływem tego wspomnienia.

— Tak jest! Teraz sobie przypominam, że ciągle grał w szachy. Był w tym naprawdę dobry. Zna go pan, doktorze Tachion? Często się zastanawiałem, co się z nim stało.

— Ja również — odparł po prostu Tachion z wielkim smutkiem. Następnie zamknął album i zmienił temat.

Znam doktora Tachiona już tak długo, że wolę o tym nie myśleć. Tego wieczoru, kierowany ciekawością, usiadłem obok Jacka Brauna i zadałem mu podczas posiłku kilka niewinnych pytań. Jestem pewien, że niczego nie podejrzewał. Nie miał nic przeciwko temu, żeby powspominać Czwórkę Asów, opowiedzieć o tym, czego dokonali i czego próbowali dokonać, o krajach, które odwiedzali, i, co ważniejsze, o tych, których nie odwiedzali. Przynajmniej oficjalnie.

Potem poszedłem do doktora Tachiona, który pił samotnie w swym pokoju. Zaprosił mnie do środka. Nie ulegało wątpliwości, że jest w ponurym nastroju, zagłębił się w nieszczęśliwych wspomnieniach. Żył przeszłością chyba w większym stopniu niż ktokolwiek, kogo znałem. Zapytałem go, kim był młodzieniec z fotografii.

— Nikim ważnym — odparł. — Po prostu chłopakiem, z którym grałem kiedyś w szachy.

Nie jestem pewien, dlaczego uważał, że musi mnie okłamać.

— Nie miał na imię Joshua — powiedziałem. Tachion zrobił zdumioną minę. Zastanawiam się, czy sądzi, że deformacja uszkodziła mój umysł i pamięć? — Na imię miał David i nie powinno go tam być. Czwórka Asów nigdy oficjalnie nie ingerowała w sprawy Bliskiego Wschodu, a Jack Braun mówi, że pod koniec czterdziestego ósmego wszyscy członkowie grupy poszli już swoimi drogami. Braun kręcił filmy.

— Kiepskie filmy — dodał Tachion z pewną dozą jadu w głosie.

— A Posłaniec pomagał w zawarciu pokoju.

— Nie było go przez dwa miesiące. Pamiętam, że powiedział Blythe i mnie, iż chce sobie zrobić wakacje. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mógł być w to zamieszany.

Nikomemu innemu również nie przyszło to do głowy, choć być może powinno. David Harstein nie był szczególnie religijny, sądząc z tego, co o nim wiem, był jednak Żydem i gdy asowie z Port Saidu oraz arabskie armie zagroziły istnieniu nowego państwa, postanowił zadziałać na własną rękę.

Jego moc służyła pokojowi, nie wojnie. Nie był to strach, burze piaskowe czy gromy bijące z jasnego nieba, lecz feromony, które sprawiały, że ludzie go lubili, rozpaczliwie pragnęli zdobyć jego sympatię i zgadzali się z jego opiniami. Dlatego właśnie sama obecność asa zwanego Posłańcem była de facto gwarancją powodzenia negocjacji. Jednakże ci, którzy wiedzieli o jego

zdolnościach, wykazywali niepokojącą tendencję do zrywania zawartych umów, gdy tylko działanie feromonów się skończyło. Harstein z pewnością rozważył starannie tę sytuację, a ponieważ stawka była bardzo wysoka, postanowił sprawdzić, co się stanie, jeśli jego rola w procesie negocjacyjnym pozostanie tajemnicą. Odpowiedzią był pokój jerozolimski.

Zastanawiam się, czy sam Folke Bernadotte wiedział, kim był jego młody pomocnik Zadaję też sobie pytanie, gdzie jest teraz Harstein i co sądzi o pokoju, który z takim wysiłkiem pomógł zawrzeć. Przypomina mi się to, co usłyszałem od Czarnego Psa w Jerozolimie.

Co by się stało z kruchym pokojem jerozolimskim, gdyby okoliczności jego uzgodnienia wyszły na jaw? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że powinienem wyrwać te strony z dziennika, zanim wyślę go do wydawcy. Jeśli nikt nie upije Tachiona, być może sekret się nie wyda.

Ciekawe, czy powtórzył kiedyś ten numer? Czy po Komisji do spraw Działalności Antyamerykańskiej, po więzieniu i hańbie, osławionym wcieleniu do wojska i równie osławionym zniknięciu Posłaniec uczestniczył jeszcze w jakichś negocjacjach, o czym świat nic nie wiedział? Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Uważam jednak, że to mało prawdopodobne, choć bardzo tego żałuję. Sądząc z tego, co widziałem podczas tej podróży, w Gwatemali i w Południowej Afryce, w Etiopii i w Syrii, w Jerozolimie, w Indiach, w Indonezji i w Polsce, świat potrzebuje dziś Posłańca bardziej niż kiedykolwiek

# Marionetki

VICTOR W. MILÁN

MacHeath miał w kieszeni majcher. Tak przy najmniej głosił tekst piosenki.

Mackie Majcher miał coś lepszego. I znacznie łatwiejszego do ukrycia.



Mackie wpadł do sklepu fotograficznego, przynosząc ze sobą powiew zimnego powietrza oraz dieslowskich ogarów z Kurfürstendamm. Zatrzymał się, pogwizdując swoją piosenkę. Pozwolił, by drzwi zamknęły się za nim z sykiem i znieruchomiał z pięściami wciśniętymi w kieszenie marynarki, rozglądając się wkoło.

Światło tańczyło szaleńczo na ladach oraz aparatach fotograficznych, czarnych i szklanookich. Czuł pod skórą jego cicho nuconą piosenkę. To miejsce go wkurzało. Było tak czyste i aseptyczne, że przypominało mu gabinet lekarski. Nienawidził lekarzy. Od samego początku, od chwili, gdy miał trzynaście lat i sąd w Hamburgu wysłał go na badania. Lekarze orzekli, że jest chory, i kazali go zamknąć w okręgowym zakładzie psychiatrycznym dla młodocianych. Tamtejszy sanitariusz był świnią z Tyrolu. Z gęby zawsze cuchnęło mu gorzałą i czosnkiem, a do tego próbował zmuszać Mackiego, żeby walił mu konia... ale potem Mackie wyciągnął asa i po prostu sobie stamtąd poszedł. Ta myśl przywołała uśmiech na jego twarz i wypełniła go pewnością siebie.

Na stołku obok wystawy leżał złożony egzemplarz „Berliner Zeitung”. Nagłówek głosił: „Wycieczka dzikich kart odwiedzi dziś Mur”. Mackie uśmiechnął się półgębkiem.

Tak Och, tak

Nagle z zaplecza wyszedł Dieter. Zobaczył go i stanął jak wryty z tym swoim głupim uśmiechem na twarzy.

— Mackie. Hej. Jest jeszcze trochę za wcześnie, nie?

Miał wąską, bladą twarz oraz ciemne włosy, nażelowane i zaczesane do tyłu. Jego granatowy garnitur miał nieco za dużo wyściółki w ramionach, a krawat był wąski i opalizujący. Dolna warga drżała mu nieco.

Mackie stał spokojnie. Jego oczy były jak ślepa rekina, zimne, szare i pozbawione wyrazu niczym stalowe kulki.

— Chciałem tylko, no wiesz, zrobić odpowiednie wrażenie — tłumaczył się Dieter, wskazując drżącą ręką na aparaty fotograficzne, świetłówki oraz wielkie, błyszczące plakaty przedstawiające opalone kobiety w ciemnych okularach, mające stanowczo za dużo zębów. W sztucznym świetle jego dłoń wydawała się biała jak brzuch śniętej ryby. — Kapujesz, pozory są ważne. Trzeba

uśpić podejrzliwość burżuazji. Zwłaszcza dzisiaj.

Starał się nie patrzeć na Mackiego, ale jego spojrzenie ciągle ku niemu wracało, jakby podłoga w całym sklepie opadała ku miejscu, w którym stał. As nie wyglądał zbyt imponująco. Miał może z siedemnaście lat, ale sprawiał wrażenie młodszego, pomijając tylko cerę, suchą jak stary pergamin. Miał niewiele ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, był jeszcze chudszy od Dietera, a jego ciało było jakby trochę wypaczone. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, wytartą i poszarzałą na jego pochyłych ramionach, džinsy, które były już sfatygowane w chwili, gdy wyłowił je w pojemniku na śmieci w Dahlem, oraz parę holenderskich chodaków. Gęste słomkowe włosy sterczały mu na wszystkie strony, a zapadnięta twarz sprawiała wrażenie dziwnej bezbronności, jak u męczenników z obrazów El Greco. Wargi miał wąskie i ruchliwe.

— To znaczy, że przyśpieszyłeś plan i przyjechałeś po mnie wcześniej? — zapytał trochę bez sensu Dieter.

Mackie skoczył ku niemu, złapał go za wąski krawat i pociągnął ku sobie.

— A może dla ciebie jest już z późno, towarzyszu. Może i tak być.

Sprzedawca miał dziwną cerę, bladą i lśniąca jak laminowany papier. Teraz jego twarz przybrała odcień „Berliner Zeitung” przez całą noc niesionej wiatrem po Budapesterstrasse. Widział już, co potrafi ręka asa.

— M-mackie — wyjąkał, łapiąc za chude jak patykramię.

Potem wziął się w garść i poklepał po przyjacielsku Mackiego po rękawie kurtki.

— Hej. Hej, brachu, co ci się stało?

— Chciałeś nas sprzedać, ty skurwielu! — wrzasnął tamten, spryskując śliną pachnącą płynem po goleniu twarz sprzedawcy.

Dieter szarpnął się do tyłu. Ręka go swędziała od pragnienia wytarcia sobie policzka.

— Kurwa, co ty wygadujesz, Mackie? Nigdy bym...

— Kelly. Ta australijska dziwka. Wolf pomyślał, że dziwnie się zachowuje i przycisnął ją.

— Na twarzy Mackiego pojawił się uśmiezek — Już nie pójdzie do Bundeskriminalamt, brachu. Jest z niej *Speck*. Mielone mięso.

Dieter oblizał posiniałe wargi.

— Posłuchaj, popełniliście błąd. Ona nic dla mnie nie znaczyła. Od początku wiedziałem, że to tylko grupie...

Oczy go zdradzały, nieustannie wędrując nieco w prawo. Jego ręka nagle wysunęła się spod kasy. Trzymał w niej czarny rewolwer o krótkiej lufie.

Mackie uderzył w dół lewą dłonią, wibrującą jak ostrze laubzegi. Ręka przebiła bębenek, naboje i kłębak spustowy niespełna centymetr przed czubkiem palca wskazującego Dietera. Palec zacisnął się odruchowo, kurek się naciągnął i uderzył, a tylna część bębena, której świeżo

przecięta powierzchnia lśniła jak srebro, spadła na ladę. Szyba się stłukła.

Mackie złapał Dietera za twarz i pociągnął do przodu. Sprzedawca opuścił ręce, szukając oparcia, i wrzasnął przeraźliwie, gdy przeszły przez ladę. Kawałki rozbitego szkła rozszarpały mu skórę niczym szpony, przecinając rękawy granatowego garnituru i niebieskiej francuskiej koszuli, a potem białą jak brzuch śniętej ryby skórę młodzieńca. Jego krew trysnęła na soczewki Zeissa oraz importowane japońskie aparaty, które trafiały na rynek Republiki Federalnej pomimo szowinizmu i zaporowych ceł.

— Byliście towarzyszami! Dlaczego? Dlaczego?

Chude ciało Mackiego dygotało z furii i poczucia zawodu. Łzy wypełniły mu oczy. Jego dłonie zaczęły spontanicznie wibrować.

Dieter pisnął, gdy poczuł, jak musnęły lekki cień zarostu, którego nigdy nie mógł się do końca pozbyć. To był jedyny niedostatek jego wymuskanego na nowoczesny sposób wyglądu.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz! — krzyczał. — Nie miałem zamiaru zrobić nic takiego. Tylko się z nią bawiłem.

— Łeżesz! — ryknął Mackie. Gniew przemknął przez jego ciało niczym nagły impuls prądu. Dłonie mu buczały, buczały, a Dieter wyrывał się i wył, gdy ciało zaczęło mu odchodzić od policzków. Mackie mocniej zacisnął dłonie na jego kościach policzkowych, a ich nasilająca się wibracja przeniknęła przez tkankę kostną do wilgotnej materii mózgu Dietera. Sprzedawca wybałuszył oczy i wywalił język. Gwałtowna energia zagotowała płyny w jego mózgu i głowa Dietera eksplodowała.

Mackie puścił go i zatoczył się do tyłu, wyjąc przeraźliwie, jakby trawił go ogień. Ocierał mazistą substancję, która zaklejała mu oczy i lepiła się do policzków oraz włosów. Gdy znowu mógł widzieć, wszedł za ladę i kopnął drżące ciało. Zwłoki osunęły się na podrapane linoleum. W kasie rozbłyskiwały pomarańczowe alarmy, oszkloną gablotę wypełniała krew, a wszystko pokrywały tłuste, szarżółte kawałki mózgu.

Mackie otarł kurtkę i znowu wrzasnął, zobaczywszy, że pobrudził sobie rękę.

— Ty skurwysynu! — Raz jeszcze kopnął bezgłowego trupa. — Wszystko mi zasyfiłeś, ty dupku. Dupek, dupek, dupek!

Przykucnął, złapał połę marynarki zabitego i otarł największe kawałki z twarzy, rąk oraz skórzanej kurtki.

— Och, Dieter, Dieter — szlochał. — Chciałem tylko z tobą pogadać, ty głupi skurwielu...

Ujął zimną dłoń, pocałował ją i czule ułożył na zbryzganej mózgiem kłapie. Potem poszedł do toalety, by umyć się najdokładniej, jak tylko mógł.

Kiedy wrócił, gniew i smutek już opadły, pozostawiając po sobie dziwne uniesienie. Dieter próbował wyruchać Frakcję i zapłacił za to. Co to miało za znaczenie, jeśli Mackie nie zdołał się

dowiedzieć, co go do tego skłoniło? To nie miało żadnego znaczenia. Nic go nie miało. Był asem, żywym wcieleniem MacHeatha. Był niezwykczony i za parę godzin pokaże tym lachociągom...

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka. Mackie roześmiał się pod nosem, zmienił fazę i wyszedł przez ścianę.



Deszcz zabębnił przez chwilę o dach limuzyny marki Mercedes.

— Podczas obiadu spotkamy wielu wpływowych ludzi, panie senatorze — oznajmił młody, czarnoskóry mężczyzna zajmujący siedzenie zwrócone tyłem do kierowcy. Jego wąska, pociągła twarz miała poważny wyraz. — To będzie znakomita okazja, by zademonstrować wierność ideom braterstwa i tolerancji, nie tylko dla dzokerów, lecz również dla członków wszystkich ucisnionych grup. Naprawdę znakomita.

— Nie wątpię w to, Ronnie.

Hartmann wsparł podbródek na dłoni i pozwolił, by jego spojrzenie przeniosło się z najmłodszego rangą z jego asystentów na widok za zaparowaną szybą. Mijali szeregi anonimowych bloków mieszkalnych o brązowej barwie. Tak blisko Muru zawsze odnosiło się wrażenie, że Berlin wstrzymuje oddech.

— Aide et Amitié zdobyła międzynarodowe uznanie za swą pracę dla krzewienia tolerancji — kontynuował Ronnie. — Prezes berlińskiego oddziału, Herr Prahler otrzymał niedawno nagrodę za swe wysiłki na rzecz zwiększenia społecznej akceptacji tureckich gasterbeiterów, choć, jak rozumiem, to dość, hmm, kontrowersyjna osobistość...

— Pieprzony komuch — mruknął siedzący na przednim siedzeniu Möller. Młody funkcjonariusz był wyrosniętym blondynem o wielkich dłoniach i odstających uszach, nadających mu wygląd szczeniaczka. Z szacunku dla amerykańskiego senatora mówił po angielsku, choć babcia Hartmanna urodziła się w starym kraju, a on sam zaliczył kilka kursów w college'u i całkiem nieźle radził sobie z niemieckim.

— Herr Prahler działa w Rote Hilfe, Czerwonej Pomocy, wyjaśnił kolega Möllera, Blum, siedzący na tylnym siedzeniu naprzeciwko Mordecaia Jonesa, który czasami i z wielką niechęcią odpowiadał, gdy zwracano się do niego pseudonimem Młot Harlemu. Jones skupił się na krzyżówce z „New York Timesa”, zachowując się, jakby był w mercedesie sam. — No wie pan, jest adwokatem. Bronił radykałów już za czasów złotych dni Andy'ego Baadera.

— Chciałeś powiedzieć, że pomagał cholernym terrorystom wykręcić się pogrożeniem palcem.

Blum roześmiał się i wrzucił ramionami. Był drobniejszy od Möllera i miał ciemniejszą cerę. Czarne, kędzierzawe włosy miał dość długie, nawet jak na standardy słynącej z liberalnego podejścia berlińskiej Schutzpolizei. Niemniej jego brązowe oczy artysty czujnie wszystko

obserwowały, a zachowanie wskazywało, że potrafi się sprawnie posługiwać małym pistoletem maszynowym, który miał w kaborze pod pachą, uwypuklającej się pod szarą marynarką na tyle wyraźnie, że nawet staranne niemieckie krawiectwo nie mogło jej ukryć do końca.

— Nawet radykałowie mają prawo do obrońcy. Jesteśmy w Berlinie, *Mensch*. Traktujemy tu wolność poważnie. Choćby tylko po to, by dawać przykład sąsiadom, ja?

Möller odchrząknął gardłowo z niedowierzaniem.

Ronnie poruszył się nerwowo, spoglądając na zegarek.

— Może powinniśmy trochę przyspieszyć? Nie byłoby dobrze, gdybyśmy się spóźnili.

Kierowca obejrzał się z uśmiechem przez ramię. Przypominał miniaturową wersję Toma Cruise'a, choć miał bardziej szczerzą twarz. Z pewnością nie mógł być aż taki młody, na jakiego wyglądał.

— Ulice są tu wąskie. Lepiej, żebyśmy nie spowodowali wypadku. Wtedy spóźnilibyśmy się jeszcze bardziej.

Asystent Hartmanna zacisnął usta i zaczął przerzucać papiery, które miał w aktówce trzymanej na kolanach. Senator raz jeszcze zerknął na potężną sylwetkę Mordecaia Jonesa, który niewzruszenie ignorował wszystkich. Lalkarz zachowywał się zdumiewająco spokojnie, zważywszy na to, jak bardzo bał się asów. Niewykluczone, że bliskość Młota Harlemu wydawała mu się wręcz nieco ekscytująca.

Co prawda, Jones raczej nie przypominał asa. Wyglądał jak zwyczajny czarnoskóry mężczyzna nieco przed czterdziestką, brodaty, łysiejący, solidnej budowy i nieczujący się zbyt pewnie w garniturze z krawatem. Nic nadzwyczajnego.

W rzeczy wistości jednak ważył ponad dwieście kilogramów i musiał siedzieć pośrodku, żeby wóz się nie przechylił. Niewykluczone, że był najsilniejszym człowiekiem na Ziemi, silniejszym nawet od Złotego Chłopca, ale odmawiał uczestnictwa we wszelkich konkursach, które mogłyby to rozstrzygnąć. Nie lubił być asem, nie lubił być celebrytą, nie lubił polityków i uważał całą tę podróż dookoła świata za stratę czasu. Hartmann odnosił wrażenie, że Jones zgodził się w niej uczestniczyć jedynie dlatego, że jego sąsiedzi z Harlemu bardzo się ekscytowali myślą, że znajdzie się w świetle reflektorów, a on nie chciał ich rozczarować.

Jego uczestnictwo miało czysto symboliczny charakter. Jones o tym wiedział i nie był z tego zadowolony. To był jeden z powodów, dla których Hartmann namówił go do pojechania na uroczysty obiad urządzony przez Aide et Amitié. Drugim był fakt, że bez względu na ich pełne hipokryzji zapewnienia o braterstwie, większość Niemców nie lubiła czarnych i nie czuła się dobrze w ich obecności. Starali się udawać, ale podobnych rzeczy nie sposób było ukryć przed Lalkarzem. Lalkarzowi uraza żywiona przez Jonesa i skrzepowanie ich gospodarzy wydawały się zabawne. Niemalże mógłby uznać, że warto uczyńć Jonesa swoją lalką. Ale nie do końca. Młot



Harlemu zasłynął przede wszystkim jako as mięśniak, ale pełen zakres jego mocy pozostawał tajemnicą. Nawet najmniejsze ryzyko wykrycia było zbyt wielkie dla Lalkarza.

Nie chodziło jednak tylko o drobną satysfakcję płynącą z utrudniania wszystkim życia. Hartmann miał już po dziurki w nosie Billy'ego Raya. Carnifex oburzał się i protestował, gdy senator zostawił go razem z resztą grupy pod Murem — każąc mu odwieźć do hotelu panią Hartmann oraz dwoje swych starszych rangą asystentów — nie mógł jednak powiedzieć zbyt wiele, nie obrażając gospodarzy, których ochroniarze mieli strzec senatora. Co zresztą mogłoby im zagrozić, gdy mieli ze sobą Młota Harlemu?

— *Scheisse* — warknął kierowca, skręciwszy za rogiem. Droge blokowała im wielka, szarobiała furgonetka należąca do urzędu telefonicznego, zaparkowana przy otwartej studziencie wjazdowej na jezdni. Zahamował nagle.

— Idioci — oburzył się Möller. — Nie wolno im dziś tego robić.

Otworzył drzwi po swojej stronie.

Siedzący obok Hartmanna Blum zerknął w lusterko wsteczne.

— O cholera — rzekł cicho. Jego prawa ręka powędrowała pod marynarkę.

Hartmann wyciągnął szyję. Jakieś dziesięć metrów za nimi w poprzek ulicy zaparkowała druga furgonetka. Z jej otwartych drzwi na mokry od krótkiej ulewy chodnik wyskakowali ludzie. W rękach mieli broń. Blum ostrzegł krzykiem partnera.

Przy limuzynie pojawiła się jakaś postać. Wnętrze pojazdu wypełnił metaliczny zgrzyt. Oddech uwiązał Hartmannowi w gardle, gdy czyjaś dłoń przecięła dach, sypiąc iskrami.

Möller wzdygnął się trwożnie. Wyciągnął spod marynarki pistolet maszynowy MP5K, przystawił go do szyby i wypuścił serię. Odłamki szkła posypały się na zewnątrz.

Ręka cofnęła się nagle.

— Jezu! — zawołał Möller. — Kule po prostu przeszły przez niego na wy lot!

Otworzył drzwi. Mężczyzna w kominiarce siedzący z tyłu furgonetki otworzył ogień z karabinu szturmowego.

Dźwięk raz po raz wstrząsał grubymi szybami samochodu. Wydawał się dziwnie odległy. Na przedniej szybie pojawiły się gwiazdiste pęknięcia. Człowiek, który przeciął dach, padł z krzykiem na ziemię. Möller zatoczył się trzy kroki do tyłu, osunął na błotnik mercedesa, a potem padł na ulicę, miotając się i krzycząc. Na jego piersi pojawiły się szkarłatne pająki.

Karabin szturmowy umilkł. Nagła cisza była ogłuszająca jak huk gromu. Lalkarz zacisnął palce na wyściełanej kłamce otwierającej drzwi. Krzyk Möllera podekscytował go niczym nagła dawka spidu. Westchnął pod wpływem gorącej, szalonej przyjemności mieszającej się z zimnym strachem.

— *Hände hoch!* — zawołał człowiek stojący przy furgonetce zamykającej im drogę od tyłu.

— Ręce do góry!

Mordecai Jones wsparł wielką dłoń na ramieniu Hartmanna i popchnął go na podłogę. Potem przelazł nad senatorem, uważając, by go nie zmiążdżyć, i walnął całym swym ciężarem w drzwi. Metal zgrzytnął i wypadł na zewnątrz razem z nim. W tej samej chwili Blum, bardziej konwencjonalny, szarpnął za klamkę, by odblokować zamek, a potem otworzył okno, uderzając w nie ramieniem. Uniósł MP5K, zaciskając dłoń na szcztątkowym chwycie przednim, wystawił broń za okno i wycelował.

— Nie strzelaj! — zawołał Hartmann.

Młot Harlemu pędził ku furgonetce. Terrorysta, który zastrzelił Möllera, wycelował w asa nienaladowaną broń i nacisnął spust w komicznym geście paniki. Jones uderzył go lekko na odlew. Mężczyzna poleciał aż na fasadę budynku, uderzył o nią i osunął się bezwładnie na chodnik.

Chwila zawisła w powietrzu niczym wybrzmiewający akord. Jones przykucnął i wsunął ręce pod karoserię furgonetki. Wyteżył mięśnie i wyprostował się. Pojazd uniósł się nad ziemię. Jego kierowca wrzasnął z przerażenia. Młot Harlemu przełożył dłonie i podźwignął furgonetkę nad głowę, jakby była nieszczęśliwie ciężką sztangą.

Z drugiego samochodu padła seria z broni maszynowej. Kule rozdarły tył marynarki Jonesa. As zachwiał się na nogach, omal się nie przewracając, a potem obrócił się ociężale, nadal balansując furgonetką nad głową. Potem kilku terrorystów wystrzeliło jednocześnie. Jones skrzywił się i padł na plecy.

Furgonetka wylądowała na nim.

Kierowca limuzyny otworzył drzwi. W ręce trzymał mały, czarny pistolet P7. Gdy Młot Harlemu runął na ziemię, Blum wypuścił szybką serię w kierunku furgonetki znajdującej się z nimi. Jakś mężczyzna pochylił się nagle, gdy kule kalibru 9 mm robiły okrągłe dziury w cienkim metalu. Hartmann uświadomił sobie, że to dżoker. *Co tu jest grane, do licha?*

Pochylił głowę poniżej poziomu dolnej krawędzi okna i złapał za połą marynarki Bluma. Pojazd zakołysał się od kolejnej serii kul. Kierowca wciągnął nagle powietrze i osunął się na ulicę. Hartmann usłyszał, że ktoś woła po angielsku, żeby przerwać ogień. Krzyknął na Bluma, każąc mu zaprzestać strzelania.

Policjant odwrócił się ku niemu.

— Tak jest — odparł. Potem przez otwarte drzwi wpadła kolejna seria, rozbijając szybę na drobne kawałeczki. Blum osunął się na senatora.

Ronnie wcisnął się w tył siedzenia kierowcy.

— O Boże — jęczał. — O mój Boże!

Wypadł przez drzwi wyrwane z zawiasów przez Młota Harlemu i rzucił się do ucieczki. Papiery wypadające z jego otwartej aktówki unosiły się za nim na podobieństwo białych mew.

Tymczasem terrorysta odrącony na bok przez Mordecaia Jonesa zdążył już wrócić do siebie. Przykłęknął na jednym kolanie i włożył nowy magazynek do swojego AKM. Uniósł broń do barku i opróżnił magazynek w jednej gwałtownej serii. Z ust asystenta senatora wyrwał się krzyk, a po nim krwawa mgiełka. Ronnie padł na chodnik, ślizgając się po nim jeszcze przez pewien czas.

Hartmann skulił się na podłodze limuzyny, na wpół przerażony, a na wpół pogrążony w orgazmie. Blum umierał. Uczepił się ramienia senatora. Otwory w jego piersi wciągały powietrze z młaskującym dźwiękiem niczym usta lamii, a jego siła życiowa wpływała w Hartmanna na podobieństwo arytmicznego przyboju.

— Boli — mówił policjant. — Och, mamó, mamó, proszę.

Skonał. Hartmann szarpnął się jak trafiona harpunem foka, gdy wypełniła go resztką siły życiowej zabitego.

Młody asystent senatora czołgał się po chodniku. Okulary mu się przekrzywiły. Zostawiał za sobą ślad krwi. Niski terrorysta, który go postrzelił, podszedł bliżej, wsunął do karabinu trzeci magazynek i stanął przed rannym.

Ronnie spojrział na niego, mrugając. Hartmann przypomniał sobie niejasno, że jego asystent jest rozpaczliwie krótkowzroczny i bez okularów nic prawie nie widzi.

— Proszę — wymamrotał Ronnie. Z ust popłynęła mu krew. — Proszę.

— Masz tu *Negerkuss* — oznajmił terrorysta i strzelił mu jeden raz w sam środek czoła.

— Mój Boże — rzekł Hartmann. Padł na niego cień, mroczny niczym grób. Uniósł niehumaniczne spojrzenie i zobaczył czarną sylwetkę na tle szarego, zachmurzonego nieba. Postać złapała go za ramię, jego ciało przeszły prąd i świadomość odpłynęła pośród konwulsji i ozonu.



Mackie odzyskał materialną postać, zerwał się na nogi i ściągnął kominiarkę.

— Strzeliłaś do mnie!? — wrzasnęła na Annekę. — Mogłaś mnie zabić.

Jego twarz zrobiła się prawie czarna.

Dziewczyna roześmiała mu się prosto w nos.

Świat przybrał dla niego barwy Kodachrome. Mackie rzucił się ku Annece. Jego dłoń zaczynała już bucząć. Nagle usłyszał, że za jego plecami doszło do jakiegoś zamieszania. Odwrócił się.

Karzeł złapał za nadal gorący hamulec wylotowy karabinu Ulricha i obrócił mężczyznę ku sobie, powtarzając, z pewnymi wariacjami, wypowiedź Mackiego.

— Ty głupi skurwysynu, mogłeś go zabić! — wrzasnęła. — Mogłeś wykończyć jebanego senatora!

To właśnie Ulrich wypuścił serię, która załatwiła gliniarza siedzącego z tyłu limuzyny. Choć uprawiał kulturystykę, ledwie był w stanie oprzeć się zaskakującej sile karła. Zataczali kręgi na

ulicy, pry chając na siebie jak koty.

Mackie nie mógł powstrzymać śmiechu.

Nagle pojawił się Mołnia i dotknął jego ramienia urękawiczoną dłonią.

— Kończcie z tym. Musimy się śpieszyć.

Mackie wygiął grzbiet jak kot, zachwycony tym dotykiem. Towarzysz Mołnia obawiał się, że nadal jest wściekły na Annekę za to, że do niego strzeliła, a potem się z tego śmiała.

Ale on już o tym zapomniał. Annekę śmiała się teraz nad ciałem człowieka, którego wykończyła, a Mackie musiał się śmiać razem z nią.

— *Negerkuss* — powtarzał. — Zapytałaś go, czy chce dostać *Negerkuss*. To było niezłe.

„Pocałunek Murzyna” to było małe, czekoladowe ciasteczko. To było szczególnie zabawne, ponieważ słyszał, że pocałunki Murzyna były specjalnością grupy już w dawnych czasach, gdy wszyscy oprócz Wolfa byli jeszcze młodzi.

To był nerwowy śmiech, pełen ulgi. Kiedy świnią z limuzyny strzeliła do niego, zobaczył uniesioną lufę akurat na czas, żeby zmienić fazę. Gorzał w nim czarny gniew. Pragnął sprawić, by jego ręka zawibrowała, zrobiła się twarda jak ostrze noża, a potem wbić ją w ciało jebanego gliniarza w ten sposób, by poczuł tę wibrację, poczuł gorącą krew spływającą mu po ramieniu i tryskającą mu w twarz. Ale skurwysyn nie żył i było już za późno...

Potem zaniepokoił się znowu, kiedy ten czarny mężczyzna uniósł furgonetkę, ale towarzysz Ulrich go zastrzelił. Murzyn był silny, ale nie był odporny na kule. Mackie lubił towarzysza Ulricha. Był pewny siebie, bardzo przystojny i muskularny. Kobiety go lubiły. Annekę nie mogła się od niego odkleić. Mackie mógłby mu zazdrościć, gdyby nie fakt, że był asem.

Sam nie miał broni. Nie nosił pistoletów, a poza tym nie potrzebował ich. Żadna broń nie mogłaby być lepsza niż jego ciało.

Amerykański dzoker znany jako Drapacz wyciągał już z limuzyny bezwładne ciało Hartmanna.

— Czy on nie żyje? — zawołał Mackie po niemiecku pod wpływem naglej paniki. Karzeł wypuścił z rąk karabin Ulricha i gapił się szaleńczym wzrokiem na samochód. Ulrich omal się nie przewrócił.

Drapacz spojrział na Mackiego. Szkielet zewnętrzny pozbawiał jego twarz mimiki, ale pochylona głowa wyraźnie świadczyła, że go nie rozumiał. Mackie wydukał to samo pytanie po angielsku. Nauczył się trochę tego języka od matki, zanim ta bezwartościowa suka umarła i zostawiła go samego.

Towarzysz Mołnia włożył drugą rękawiczkę. Nie nosił maski i Mackie zauważył teraz, że jego twarz pozieleniała nieco na widok całej tej krwi rozlanej na ulicy.

— Nic mu nie jest — odpowiedział za Drapacza. — Mój wstrząs pozbawił go tylko

przytomności. Chodź, musimy się śpieszyć.

Mackie uśmiechnął się i pokłiwał głową. Przewrażliwienie Mołni sprawiło mu odrobinę satysfakcji, mimo że pragnął przypodobać się rosyjskiemu asowi niemal równie gorąco, jak szefowi ich komórki, Wolfowi. Poszedł pomóc Drapaczowi, mimo że nie znosił się do niego zbliżać. Na myśl, że ten mógłby go przypadkowo dotknąć, przechodziły go ciarki.

Z wielkiego łapska towarzysza Wolfa zwiślał kałasznikow, z którego nie wystrzelił ani razu.

— Wsadźcie go do furgonetki — rozkazał. — I jego też — dodał, wskazując ruchem głowy na towarzysza Wilfrieda, który wysunął się z siedzenia kierowcy i kłęczał na wilgotnym asfalcie, wymiotując gwałtownie.

Znowu zaczęło padać. Wielkie plamy krwi na nawierzchni strzępiły się jak targane wichurą chorągwie. W oddali rozbrzmiała przerażająca pieśń syren.

Hartmanna załadowali do drugiej furgonetki. Za kierownicą usiadł Drapacz. Mołnia zajęła miejsce obok niego. Dżoker cofnął samochód na chodnik, zawrócił i odjechał.

Mackie siedział na kole, wybijając na swych udach heavymetalowy rytm. *Udało się nam! Porwaliśmy go!* Ledwie mógł usiedzieć na miejscu. Penis zeszywniał mu w dżinsach.

Przez tylne okno zobaczył, że Ulrich wypisuje czerwoną farbą na ścianie litery RAF. Znowu się roześmiał. Burzuje z pewnością zesrają się w portki ze strachu. Przed dziesięciu laty ten skrót był w Republice Federalnej synonimem terroru. A teraz powrócił. Na tę myśl Mackiego przechodziły ciarki z radości.

Dżoker spowity od stóp do głów w wytarty płaszcz napisał pod spodem całkowicie obandażowaną ręką trzy inne litery: DSS.

Druga furgonetka zawróciła, przejeżdżając po ciele czarnoskórego amerykańskiego asa i również ruszyła w drogę.



Sara szła przez hol Kempinski Hotel Bristol, trzymając pod pachą laptop firmy NEC. Przygryzała drobnymi zębami wewnętrzną powierzchnię policzka, lecz posuwała się naprzód dziarskim krokiem, który niezający jej obserwator uznałby zapewne za przejaw pewności siebie. To błędne wrażenie z przeszłości nieraz jej pomagało.

Odruchowo skierowała się do baru najbardziej luksusowego hotelu w Berlinie. *Newsy dotyczące członków wyprawy dawno już się wyczerpały. Przynajmniej takie, które możemy wydrukować. Ale spróbować nigdy nie zawadzi.* Poczula palenie w uszach na myśl, że sama jest bohaterką jednego z najbardziej skandalicznych i niecenzuralnych epizodów wyprawy.

Rzecz jasna, w środku było ciemno. Wszystkie bary grają tę samą piosenkę, ale polerowane drewno, mosiądz, stara, miękka skóra oraz kolokacje różniły refren tego lokalu od innych. Uniosła okulary przeciwsłoneczne na prawie już białe włosy, które związała dziś po południu w skromny

koński ogon, i zaczęła, aż oczy przywykną jej do ciemności. Zawsze przyzwyczały się do mroku łatwiej niż do światła.

W barze nie było tłoczno. Dwóch kelnerów noszących podwiązki do rękawów oraz koszule ze sztywno wykrochmalonymi kołnierzami poruszało się między stolikami, jakby kierował nimi radar. Trzej japońscy biznesmeni siedzący przy jednym ze stolików mówili coś do siebie, wskazując palcami na gazetę. Zależnie od rodzaju gazety mogli dyskutować o kursach giełdowych albo o zaletach lokalnych barów topless.

W łacie Hiram rozmawiał o sprawach zawodowych — oczywiście, po francusku — z miejscowym *cordon bleu*, który był niższy od niego, ale co najmniej równie korpulentny. Hotelowy szef kuchni szybko wymachiwał krótkimi rękami, kiedy mówił, co upodabniało go do tłustego pisklęcia mającego trudności z opanowaniem sztuki latania.

Poczwarła pła przy barze pogrążona we wspaniałej izolacji. Tutaj nie było mody na dzokerów. W Niemczech dyskretnie jej unikano, zamiast wynosić ją na piedestał.

Dzokerka zauważyła spojrzenie Sary i mrugnęła do niej znacząco. W wypełniającym bar półmroku dziennikarka zauważyła to jedynie dzięki temu, że wysmarowane tuszem rzęsy Poczwarłki przesunęły się na tle jej gałki ocznej. Uśmiechnęła się. W Nowym Jorku utrzymywały zawodowe kontakty i czasami rywalizowały ze sobą w handlu informacją, tej ukrytej grze nieustannie toczonej w Dzokerowie, ale podczas podróży stały się przyjaciółkami. Sarę znacznie więcej łączyło z Debrą-Jo niż z innymi dziennikarzami uczestniczącym w wyprawie — jej nominalnymi kolegami z pracy.

Tym razem Poczwarła przynajmniej się ubrała. W Europie demonstrowała inną twarz niż w kraju, którego uparcie nie chciała uznać za swoją ojczyznę. Czasami Sara zazdrościła jej skrycie. Ludzie patrzyli na nią i widzieli dzokerkę, egzotyczną, kuszącą i groteskową. Jej prawdziwej osobowości nie dostrzegali w ogóle.

— Szukasz mnie, mała pani?

Sara poderwała się nagle i odwróciła. Jack Braun siedział u końca baru, zaledwie półtora metra od niej. Nie zauważyła go. Miała tendencję wycinać go z postrzeganego obrazu. Jego siła odbierała jej pewność siebie.

— Wychodzę — oznajmiła i klepnęła komputer nieco mocniej, niżby należało. Tak mocno, że zaboląły ją od tego palce. — Na początek główną, żeby wysłać najnowsze materiały przez modem. To tutaj jedyne miejsce, gdzie można dostać transatlantyckie połączenie, które nie spieprzy wszystkich danych.

— Dziwię się, że nie poszłaś z senatorem Greggiem pobawić się w dyplomację — dodał, spoglądając na nią z ukosa spod krzaczastych brwi.

Poczwała, że policzki jej się rumienią.

— Fakt, że senator Hartmann wybrał się na bankiet, może być wabikiem dla moich kolegów, którzy lubią się uganiać za celebrytami, ale to raczej nie jest ważna wiadomość. Nieprawdaż, panie Braun?

To był spokojny dzień. Trudno było znaleźć jakieś ważne newsy, a już z pewnością nie takie, które zainteresowałyby ludzi śledzących przebieg ekspedycji Światowej Organizacji Zdrowia. Zachodnioniemieckie władze ze spokojem zapewniły gości, że w ich kraju problem dzikiej karty nie istnieje. Wykorzystały też wizytę jako atut w rozgrywce, którą toczyły ze swymi syjamskimi braćmi ze wschodu. Deszczowa, nudna uroczystość, w której uczestniczyli dziś rano, była na to najlepszym przykładem. Rzecz jasna, była to prawda. W porównaniu z wieloma innymi krajami odsetek ofiar dzikiej karty w Niemczech był minimalny, a parę tysięcy najbardziej żalonych i odrażających zamknięto dyskretnie w domach opieki albo w szpitalach. Choć Niemcy lubili szydzić z tego, jak Amerykanie traktowali dżokerów w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, sami wstydzili się własnych.

— To pewnie zależy od tego, co się wydarzy na tym bankiecie. Co planujesz zrobić, jak już wyślesz swoje dane, mała pani?

Uśmiechał się do niej jak aktor grający amanta w filmie klasy B. Na jego twarzy o kanciastych zarysach pojawiły się złote błyski. Celowo poruszał mięśniami, by wywołać efekt, któremu zawdzięczał swój pseudonim asa. Sara przymrużyła oczy z irytacji. Albo naprawdę próbował ją poderwać, albo tylko się zgrywał. Tak czy inaczej, nie podobało jej się to.

— Mam mnóstwo zajęć. Chciałabym też chociaż chwilę odpocząć. Niektórzy z nas naprawdę coś robią podczas tej podróży.

*Czy rzeczywiście dlatego poczułaś ulgę, kiedy Gregg dał do zrozumienia, że byłoby niedyskrecją, gdybyś udała się z nim na ten bankiet?* — zadała sobie pytanie. Zmarszczyła brwi, zaskoczona tą myślą, i odwróciła się.

Wielka łapa Brauna zacisnęła się na jej ramieniu. Sara wciągnęła nagle powietrze i zwróciła się ku niemu, pełna gniewu przerażającego się w panikę. Jak mogłaby się obronić przed mężczyzną potrafiącym unieść nad głowę autobus? Obiektywna obserwatorka, którą w sobie nosiła, jej wewnętrzna dziennikarka, przypomniała jej o ironii kryjącej się w fakcie, że Gregg, którego w swoim czasie nienawidziła i to obsesyjnie, był pierwszym od lat mężczyzną, którego dotykała z radością...

Jack Braun wpatrywał się jednak z zaszępioną miną w hol za jej plecami. Nagle zaroilo się tam od młodych muskularnych mężczyzn w garniturach, poruszających się z wyraźnym poczuciem celu.

Jeden z nich wszedł do baru, przyjrzał się z uwagą Złotemu Chłopcu, a potem skonsultował się z trzymaną w ręce kartką.

— Herr Braun?

— To ja. W czym mogę panu pomóc?

— Jestem z berlińskiej Landespolizei. Obawiam się, że muszę pana prosić, by nie opuszczał pan hotelu.

— A to dlaczego? — zapytał as, wysuwając żuchwę do przodu.

— Porwano senatora Hartmanna.



Ellen Hartmann zamknęła drzwi z maksymalną ostrożnością, jakby były ze szkła, po czym odwróciła się. Miała wrażenie, że wyblakłe kwitnące pnącza na dywanie owijają się wokół jej kostek, gdy szła w kierunku łóżka. Usiadła na nim.

Oczy miała suche. Śwędziały ją, ale nie płynęły z nich łzy. Uśmiechnęła się blade. Trudno jej było dać upust emocjom. Zdobyła zbyt wiele wprawy w ukrywaniu ich przed kamerami. A Gregg...

*Wiem, kim on jest. Ale poza nim nie mam nic.*

Wzięła w rękę chusteczkę leżącą na przyłóżkowym stoliku i zaczęła metodycznie drzeć ją na strzępy.



— Witaj w krainie żywych, senatorze. Przynajmniej na razie.

Hartmann powoli odzyskiwał świadomość. Usta wypełniał mu metaliczny smak, a w uszach słyszał brzęczenie. Prawe ramię bolało go, jak od porażenia słonecznego. Ktoś nucił znajomą piosenkę. Nieopodal grało radio.

Otworzył oczy, ale ujrzał tylko ciemność. Poczuł nieunikniony atak strachu przed ślepotą, ale coś uciszało jego gałki oczne, a lekkie śwędzenie z tyłu głowy powiedziało mu, że zasłonięto mu oczy opaską. Ręce związane mu z tyłu, za drewnianym oparciem krzesła.

Jego umysł skatalogował te wszystkie fakty, zanim Hartmann pozwolił sobie na rozpoznanie ochryplego głosu.

— Tom Miller — stwierdził. — Chciałbym móc powiedzieć, że cieszę się z tego spotkania.

— Ach, tak, senatorze. Ale ja mogę to powiedzieć.

Hartmann czuł triumfalną radość Gimlego równie wyraźnie, jak jego cuchnący oddech — pasta do zębów i płyn do płukania ust należały do świata natoli, oddającemu cześć temu, co powierzchowne.

— Mógłbym też dodać, że nie ma pan pojęcia, jak długo czekałem na tę chwilę, ale oczywiście wie pan to doskonale.

— Ponieważ znamy się tak dobrze, może rozwiązałbyś mi oczy, Tom.

Wypowiadając te słowa, podjął próbę sięgnięcia do karku swą mocą. Minęło dziesięć lat, odkąd



ostatnio dotknął go fizycznie, ale nie sądził, by raz nawiązana więź mogła kiedykolwiek zniknąć. Lalkarz bał się utraty kontroli bardziej niż czegokolwiek poza zdemaskowaniem, a i ono oznaczałoby tylko ostateczną utratę władzy. Jeśli uda mu się z powrotem wbić haki w duszę Millera, Hartmann będzie mógł przynajmniej stłumić panikę wzbierającą w jego gardle na podobieństwo magmy.

— Jestem Gimli! — wrzasnął karzeł, opryskując śliną usta i policzki senatora.

Hartmann natychmiast przerwał połączenie. Lalkarz zachwiał się gwałtownie. Ujrzał na moment nienawiść Gimlego, gorejącą niczym rozgrzany do czerwoności drut. *On coś podejrzewa!*

Nienawiść stanowiła większą część tego, co zobaczył. Ale pod jej warstwą, pod powierzchnią świadomego umysłu karła, czaiła się świadomość, że w Greggu Hartmannie kryje się coś niezwykłego, coś nierozzerwalnie związanego z krwawą jatką, jaką stały się Zamieszki w Dżokerowie. Hartmann był pewien, że Gimli nie jest asem, ale wrodzona paranoja karła sama w sobie była czymś zbliżonym do szóstego zmysłu.

Po raz pierwszy w życiu Lalkarz stanął w obliczu możliwości utraty lalki.

Wiedział, że pobladł, wiedział, że się wzdygnął, ale na szczęście tę reakcję można było wytłumaczyć jako obrzydzenie spowodowane opluciem.

— Jestem Gimli — powtórzył Tom Miller. Hartmann wyczuł, że karzeł odwrócił się od niego.

— Tak mam na imię. Maską zostanie na miejscu, senatorze. Mnie pan zna, ale nie można tego samego powiedzieć o wszystkich, którzy są tutaj. A oni woleliby, żeby tak pozostało.

— To się nie uda, Gimli. Myślisz, że kominiarka wystarczy, by zamaskować dżokera z porośniętą futrem kufą? Jeśli cokolwiek widział, jak mnie porwaliście, nie będzie miał większych trudności ze zidentyfikowaniem ciebie i twojej bandy.

Z opóźnieniem uświadomił sobie, że powiedział za dużo. Nie chciał, by Miller zastanawiał się zbyt intensywnie nad faktem, że Hartmann może rozpoznać jego i niektórych jego współników. To, co pozbawiło go przytomności, zrobiło mu z mózgu omlęt.

To była jakaś postać elektrowstrząsu. W latach sześćdziesiątych był przez krótki czas jeźdźcem wolności. To było coś nowego i ekscytującego, co właśnie było na fali, a do tego była też nienawiść, oszałamiająca jak wino możliwość cudownej przemocy barwy szkarlatu i indygo. Podczas protestów w Selmie jakiś redneck z policji stanowej załatwił go paralizatorem do poganiania bydła. To doświadczenie okazało się dla niego zbyt bezpośrednie i Hartmann pośpiesznie wrócił na północ. To, czego doświadczył w limuzynie, było jednak bardzo podobne.

— Daj spokój, Gimli — zabrzmiał ochryply baryton. Mężczyzna mówił po angielsku z wyraźnym akcentem, ale łatwo go było zrozumieć. — Czemu by nie zdjąć masek? Wkrótce usłyszysz o nas cały świat.

— Och, jak sobie życzy sz — zgodził się karzeł. Lalkarz nie musiał ku niemu sięgać, by wyczuć jego resentyment. Tom Miller musiał dzielić z kims miejsce na scenie i to mu się nie podobało. W kipieli rodzącej się w umyśle Hartmanna paniki zaczęły się pojawiać pęcherzyki zainteresowania.

Usłyszał odgłos kroków na nagiej podłodze. Ktoś grzebał przez chwilę z tyłu jego głowy, zaklął, a potem wstrzymał mimo woli oddech, gdy taśma odkleiła się opornie od włosów i skóry.

Pierwszym, co zobaczył senator, była twarz Gimlego, nadal wyglądająca jak sterta zgniłych jabłek. Malujący się na niej zachwyt nie poprawił urody karła. Hartmann oderwał od niego wzrok i rozejrzał się po pokoju.

Znajdowali się w małej, nędznej norze, wyglądającej mniej więcej tak samo, jak małe, nędzne nory na całym świecie. Parkiet był pełen plam, a na tapecie w paski widniały wilgotne plamy, jak pod pachami robotnika. Na podłodze walało się też mnóstwo chrzęszczących pod stopami odpadków. Wszystko to sugerowało Hartmannowi, że mieszkanie jest od dawna opustoszałe. Niemniej w okrągłym kłoszu pod sufitem paliła się żarówka, wyczuwał też kaloryfer, produkujący zbyt wiele ciepła, jak wszystkie kaloryfery w Niemczech aż do początku czerwca.

O ile wiedział, równie dobrze mógł się znajdować w sektorze wschodnim. Cóż za pocieszająca myśl. Z drugiej strony, nieraz już był w niemieckich domach, a w tym pachniało jakos inaczej.

W pokoju przebywało trzech innych ewidentnych dzokerów. Jeden był spowity od stóp do głów w zakurzony płaszcz z kapturem, drugiego pokrywała żółtawa chityna usiana maleńkimi czerwonymi pryszczami, trzecim zaś był futrzak, którego Hartmann widział przy furgonetcie. Miał też w polu widzenia troje młodych natoli. W porównaniu z dzokerami sprawiali wrażenie irtujaco normalnych.

Jego moc wyczuła też następnyc, znajdujących się za jego plecami. To dziwne. Z reguły nie potrafił wyczuwać emocji innych ludzi, chyba że emitowali je z wielką siłą albo byli lalkami. Kryjąca się w nim moc zaczęła wiercić się osobliwie.

Obejrzał się za siebie. Było ich dwóch. Wyglądali na natoli, choć chłopak opierający się o brudną ścianę obok kaloryfera miał w sobie coś osobliwego. Obok niego, na jaskrawym plastikowym krześle, siedział trzydziestoparoletni mężczyzna trzymający ręce w kieszeniach płaszcza. Hartmann odnosił wrażenie, że starszy mężczyzna podświadomie odsuwa się od młodszego. Gdy ich oczy się spotkały, przez chwilę wyczuwał w nich smutek.

*To dziwne* — pomyślał. Być może napięcie zwiększyło jego wrażliwość, a może to był tylko wytwór wyobraźni. Gdy jednak chłopak uśmiechnął się do Hartmanna, senator poczuł coś, co podrażniło wszystkie granice jego świadomości. Ponownie wykrył u Lalkarza to samo ulotne uczucie.

Coś zachrząściło pod czymś butem. Odwrócił się i zobaczył gigantycznego natola w marynarce i spodniach osobliwej, brązowawozielonej, niemalże wojskowej barwy. Mężczyzna nie nosił krawata, niezapięty kołnierzyk zwiślał mu wokół szyi, a odsłoniętą pierś porastała gęstwa siewiących blond włosów. Wielkie łapska wspierał na biodrach, a poły rozpiętej marynarki zwiślały za nim. Wyglądał jak aktor z prowincjonalnego teatru występujący w adaptacji *Przeminęło z wiatrem*. Długie włosy zaczesał sobie do tyłu, odsłaniając wysokie czoło.

Uśmiechnął się. Miał surową, brzydką twarz, jedną z tych, które w kobietach budzą miłość, a w mężczyznach zaufanie.

— Naprawdę bardzo się cieszę, że mam okazję pana poznać, senatorze.

To był ten sam, brzmiały jak fale przyboju głos, który rozłazał Gimlemu zdjęć opaskę z oczu Hartmanna.

— Pan mnie zna, ale ja pana nie.

— To prawda. Śmiem jednak twierdzić, że moje nazwisko nie jest dla pana obce. Jestem Wolfgang Prahler.

Za plecami Hartmanna ktoś cmoknął z irytacją. Prahler zmarszczył brwi, a potem się roześmiał.

— Ach, towarzyszu Molnia, czyżbym złamał zasady bezpieczeństwa? Czyż się nie zgodziliśmy, że musimy wyjść w światło dnia, by wykonać swe jakże ważne zadanie?

Podobnie jak wielu wyształconych berlińczyków mówił po angielsku z wyraźnym brytyjskim akcentem. Lalkarz wyczuł z tyłu nagły rozbłysk podenerwowania, gdy padło słowo „Molnia”. Po rosyjsku znaczyło to „błyskawica”. Sowietci wystrzelili serię satelitów telekomunikacyjnych o tej nazwie.

— Co tu właściwie jest grane? — zapytał Hartmann. Serce zabiło mu mocniej, gdy usłyszał własne słowa. Nie zamierzał przemawiać takim tonem do bezlitosnych zabójców, na których łaskę był całkowicie zdany. Jednakże Lalkarz pod wpływem nagłego ataku arogancji postanowił wziąć sprawy we własne ręce. — Czy nie mógł pan zacząć na rozpoczęcie bankietu Aide et Amitié, żeby się ze mną spotkać?

Głęboki śmiech Prahlera dobywał się prosto z pierśi.

— Znakomicie. Ale czy jeszcze się pan nie zorientował, senatorze? Nie przewidywano, by miał pan dotrzeć na bankiet. Wrobiono pana, jak mawiają Amerykanie.

— Zwabiony na przynętę i złapany — odezwała się drobna rudowłosa kobieta w czarnym golfie i džinsach. — Ser dla szczura, a piękny bankiet dla pięknego lorda.

— Szczury i lordowie — powtórzył czyjś głos. — Piękny szczur i piękny lord.

Rozległ się chichot. To był męski głos, młodzieńczy i załamujący się. Chłopak w skórzanej kurtce. Hartmann poczuł, że coś poślaskotało szew jego moszny niczym palce kurwy. Nie mogło

być wątpliwości. Odbierał jego emanacje jak zakłócenia na linii. Sugestia czegoś potężnego. Czegoś strasznego. Choć raz Lalkarz nie czuł potrzeby dalszego sondowania.

Bał się tego chłopaka. Bardziej niż pozostałych. Niż Prahlera, tych młodych ludzi od niechcienia ścisnąjących w rękach karabiny, a nawet Gimlego.

— Zadał pan sobie tyle trudu tylko po to, by pomóc Gimlemu pomścić dawną, wyimaginowaną zniewagę? — zapytał. — To wielka szczerzość z pana strony.

— Robimy to dla rewolucji — wyjaśnił młody natol z blond włosami ostrzyżonymi na flat top i wyniesioną z solarium opalenizną. Sprawiał wrażenie, że bardzo długo się trudził, by zapamiętać ten tekst. Pod jego golfem i džinsami kryło się ciało atlety. Stał pod ścianą, głaszcząc lufę sowieckiego karabinu szturmowego, ustawionego przy jego nodze.

— Pan nie ma znaczenia, senatorze — dodała kobieta, odgarniając opadające na czoło loki. — Jest pan tylko narzędziem, nawet jeśli pański egotyzm nie pozwala panu w to uwierzyć.

— Kim jesteście, do licha?

— Nosimy święte miano Frakcji Czerwonej Armii — odpowiedziała, pochylając się nad krępy młodzińcem, który siedział po turecku na podłodze, zajęty radiem stojącym na wypaczonym drewnianym stoliku. Nie chciał spojrzeć Hartmannowi w oczy.

— Przekazał nam je towarzysz Wolf — ciągnął blondyn. — Współpracował kiedyś z Baaderem, Meinhof i całą resztą. Oto, jak bliscy sobie byli — dodał, unosząc zaciśniętą pięść.

Hartmann posłał wargę. Odkąd we wczesnych latach siedemdziesiątych terroryści w pełni rozwinęli skrzydła, często się zdarzało, że radykalni adwokaci bezpośrednio włączali się w działalność tych, których bronili przed sądem. Zwłaszcza w Niemczech i we Włoszech. Najwyraźniej — zakładając, że chłopak mówił prawdę — Prahler od samego początku był jednym z przywódców grupy Baader-Meinhof i całej RAF, a władze nigdy się o niczym nie dowiedziały.

Hartmann spojrział na Toma Millera.

— Pozwólcie, że inaczej sformułuję to pytanie. Jakty się w to wplątałeś, Gimli?

— Po prostu znaleźliśmy się we właściwym miejscu o właściwym czasie, senatorze.

Karzeł uśmiechnął się do niego drwiąco. Lalkarz pragnął zetrzeć ten pyszałkowaty uśmiezek z jego twarzy, wyrwać mu wnętrzności i udusić go nimi. Frustracja była dla niego jak fizyczne cierpienie.

Kropelki potu spęły z czoła Hartmanna niczym stado wijów. Jego druga osobowość przeskoczyła nagle od gniewu do strachu, on jednak czuł się tylko zmęczony i poirytowany.

A także smutny. *Biedny Ronnie. Miał takie dobre chęci. Tak bardzo się starał.*

Rudowłosa dziewczyna nagle klepnęła siedzącego mężczyznę w ramię.

— Tam było, Wilfried, ty idioto! Omijałeś to.

Mężczyzna wymamrotał przeprosiny i pokręcił gławkę w drugą stronę.

— ...pojmany przez Frakcję Czerwonej Armii współdziałającą z towarzyszami z organizacji Dżokerzy na rzecz Sprawiedliwości Społecznej, którzy uciekli przed prześladowaniami w Ameryce. — To był głos towarzysza Wolfa, płynący z małego, taniego radioodbiornika niczym płynny bursztyn. — Warunki jego uwolnienia są następujące. Wypuszczenie z więzienia palestyńskiego bojownika o wolność, al-Muezzina. Samolot pasażerski z wystarczającym zapasem paliwa, który zabierze al-Muezzina do jednego z wyzwolonych krajów Trzeciego Świata. Gwarancja nietykalności dla wszystkich członków naszej grupy bojowej. Żądamy też, by rozebrano Mauzoleum Śmiga i na jego miejsce zbudowano ośrodek, który zapewni schronienie i opiekę medyczną dżokerskim ofiarom amerykańskiej nietolerancji. Na koniec, tylko po to, by uderzyć kapitalistyczne świnię tam, gdzie najbardziej jej zaboli, żądamy też dziesięciu milionów dolarów w gotówce, które zostaną wydane na pomoc dla ofiar amerykańskiej agresji w Ameryce Środkowej. Jeśli te warunki nie zostaną spełnione, dziś o dziesiątej wieczorem czasu berlińskiego, senatora Hartmanna czeka egzekucja. Teraz możecie już wrócić do regularnego programu.



— Musimy coś zrobić — stwierdził Hiram Worchester, dłubiąc palcami w brodzie i spoglądając przez okno na częściowo zachmurzone berlińskie niebo.

Kopacz Downs odwrócił kartę. Trójka trefl. Skrzywił się z niezadowolaniem.

Billy Ray spacerował po dywanie w apartamencie Hirama jak dręczony świadem skóry tyranozaur.

— Gdybym tam był, nigdy by do tego nie doszło — zapewnił, przesywając Mordecaia Jonesa pełnym złości spojrzeniem zielonych oczu.

Młot Harlemu siedział na łanapie. Zrobiono ją z dębiny i obito tkaniną wyszywaną w kwiaty. Podobnie jak większość umeblowania hotelu, przetrwała wojnę. Na szczęście pod koniec dziewiętnastego wieku robiono solidne meble.

Jones wydał z siebie dźwięk przypominający zgrzyt zacinającej się skrzyni biegów, nie przestając gapić się na swe wielkie dłonie, które nieustannie zaciskał między kolanami.

Drzwi się otworzyły i do środka wleciała Sokolica. A przynajmniej spróbowała to zrobić. Jej skrzydła trzepotały słabo za plecami. Miała na sobie luźną welurową bluzę oraz dżinsy, co choć częściowo maskowało fakt, że jest w zaawansowanej ciąży.

— Właśnie usłyszałam o tym w radiu. Czyż to nie straszne? — Zatrzymała się nagle, spoglądając na Młota Harlemu. — Mordecai, co ty tutaj robisz?

— To samo co ty, panno Sokolico. Nie chcę mnie wypuścić.

— Ale dlaczego nie jesteś w szpitalu? W wiadomościach mówią, że zostałeś poważnie ranny.

— To tylko drobny postrzał. — Poklepał się po brzuchu. — Mam piekielnie twardą skórę. Coś jak ten kevlar, o którym pisali w „Popular Science”.

Downs uniósł kolejną kartę. Ósemka kier.

— Niech to szlag — mruknął.

— Spadła na ciebie furgonetka — nie ustępowała Sokolica.

— Tak, ale, no wiesz, mam w kościach zamiast wapnia wszystkie te dziwaczne ciężkie metale. Dlatego są mocniejsze, bardziej giętkie i tak dalej. Moje wnętrzności też są bardziej odporne niż u zwykłych ludzi, a do tego wszystko goi mi się bardzo szybko. Odkąd zostałem asem, ani razu na nic nie zachorowałem. Jest ze mnie bardzo twardy facet.

— W takim razie czemu pozwoliłeś im zwać? — zaatakował go Billy Ray, niemalże krzyżąc.

— Cholera, byłeś odpowiedzialny za bezpieczeństwo senatora. Mogłeś skopać im tyłki.

— Mówiąc całkiem szczerze, panie Ray, to bolało jak jasna cholera. Przez pewien czas nie nadawałem się do niczego.

„Pan” zabrział w jego ustach zupełnie inaczej niż „panna” przed chwilą. Billy Ray przechylił głowę i wlepił w Jonesa złowrogie spojrzenie. Młot Harlemu go zignorował.

— Daj mu spokój, Bill — zażądała partnerka Carnifexa, Czarna Lady, która siedziała z boku, wyciągając przed siebie długie nogi skrzyżowane w kostkach.

Sokolica podeszła do Mordecaia i dotknęła jego ramienia.

— To było okropne. Dziwię się, że wypuścili cię ze szpitala.

— Nie wypuścili — wyjaśnił Downs, przerzucając talię lewą ręką, by zajrzeć do środka.

— Sam się zwolnił. Przebił ścianę. Ludzie z publicznej służby zdrowia są trochę na niego wkurzeni.

Jones wbił wzrok w podłogę.

— Nie lubię lekarzy — mruknął.

Sokolica rozejrzała się wkoło.

— Gdzie jest Sara? Biedactwo. To musi być dla niej okropne.

— Jej pozwolili pojechać do centrum kryzysowego w Ratuszu. Tylko jej. Żadnemu innemu reporterowi towarzyszącemu ekspedycji.

Downs skrzywił się z niezadowolaniem i wrócił do układania pasjansa.

— Sara przyjęła od pana Jonesa zeznanie na temat tego, co widział i słyszał podczas porwania

— dodała Czarna Lady. — Nie zdążył ich złożyć przed opuszczeniem szpitala.

Po wypadku, który doprowadził do uaktywnienia się w nim wirusa dzikiej karty, Jonesa przetrzymywano w Departamencie Zdrowia Publicznego w Oklahomie, gdzie poddawano go obserwacji. W praktyce był tam więźniem. To właśnie zrodziło w nim niemal patologiczny lęk przed medycyną i wszystkim, co się z nią wiązało.

— To cholernie zabawna sprawa — stwierdził Jones, potrząsając głową. — Leżałem tam sobie i próbowałem oddychać, choć ta pier... ta furgonetka przygniatała mi pierś, i cały czas słyszałem, jak ci ludzie wykrzykują coś do siebie. Zupełnie jak dzieciaki bijące się na podwórku.

Hiram odwrócił się od okna. Ciemne kręgi pod jego oczami, które pojawiły się już na początku wyprawy, zrobiły się jeszcze wydatniejsze.

— Rozumiem — rzekł, unosząc splecione dłonie przed piersią. To były delikatne dłonie, dziwnie kontrastujące z jego potężną masą. — Rozumiem, co się tu dzieje. To był cios dla nas wszystkich. Senator Hartmann jest nie tylko ostatnią i najlepszą nadzieją dla dzokarów zabiegających o sprawiedliwe traktowanie, i być może dla asów również, dopóki ten szaleniec Barnett może działać swobodnie. Senator jest naszym przyjacielem. Próbujemy złagodzić ten cios, unikając rozmowy o tym, co naprawdę ważne. Takbyć nie może. Musimy coś zrobić.

— To właśnie powiedziałem. — Billy Ray wałnął się pięścią w otwartą dłoń. — Skopmy parę tyłków i poznamy kilka nazwisk

— Czy ich tyłków? — zapytała Czarna Lady ze znużeniem w głosie. — Czy ich nazwisk?

— Zacznijmy od tego skurwysyńskiego kurdupla Gimlego. Trzeba było go przymlknąć, kiedy latem kręcił się po Nowym Jorku.

— A gdzie chcesz go znaleźć?

Zamachnęła się ręką.

— Cholera, dlatego właśnie powinniśmy go szukać, zamiast siedzieć na tyłkach, załamywać ręce i mówić, że bardzo nam przykro, że pierdolony senator zniknął.

— Po ulicach chodzi dziesięć tysięcy gliniarzy przeczesujących miasto — zauważyła Czarna Lady. — Myślisz, że zdołamy go odnaleźć szybciej?

— Ale co właściwie możemy zrobić, Hiram? — zapytała Sokolica. Twarz miała bladą, a jej kości policzkowe wyraźnie uwydatniały się pod skórą. — Czuję się zupełnie bezradna.

Jej skrzydła rozchyliły się nieco, a potem złożyły się znowu.

Restaurator obliznął wargi małym, różowym języczkiem.

— Soło, sam chciałybyś to wiedzieć. Musi być coś...

— Wspominali o okupie — wtrącił Kopacz Downs.

Hiram uderzył się dwukrotnie pięścią w otwartą dłoń, nieświadomie imitując Carnifexa.

— Tak jest. Tak jest! Może uda się nam zebrać pieniądze i go wykupić.

— Dziesięć milionów to kupa forsy — zauważył Mordecai.

— To tylko propozycja wyjściowa — zaoponował Hiram, zbywając ten głos sprzeciwu gestem drobnych dłoni. — Z pewnością uda się coś wytargować.

— A co z żądaniem uwolnienia tego terrorysty? W tej sprawie nic nie zdołamy.

— Gdy mówi forsa, wolność traci głos — skwitował Downs.

— Nie ujął pan tego zbyt elegancko... — Hiram uniósł się w powietrze i zaczął krążyć po pokoju niczym niezgrabna chmura. — Ale to prawda. Jeśli uda się nam zebrać potrzebną sumę, z pewnością przyjmą naszą ofertę.

— Chwileczkę... — odezwał się Carnifex.

— Jestem raczej zamożnym człowiekiem — przerwał mu restaurator, porywając w locie garść miętówek ze srebrnej tacy. — Mogę pokryć znaczną część...

— Mam pieniądze — ucieszyła się Sokolica. — Pomogę wam.

— Nie przepadam za politykami — zaczął Mordecai — ale, a niech to, czuję się winny, że go straciłem. Możecie na mnie liczyć, nawet jeśli to nie będzie zbyt wiele.

— Chwileczkę, niech to szlag! — sprzeciwił się Billy Ray. — Prezydent Reagan już zapowiedział, że nie będzie negocjował z terrorystami.

— Może się zgodzi, jeśli dorzucimy Biblię i trochę wyrzutni raketowych — zasugerował Mordecai.

— Jesteśmy prywatnymi obywatelami, panie Ray — odparł Hiram, unosząc podbródek. — Zrobimy, co zechcemy.

— Na Boga, zobaczmy...

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Xavier Desmond.

— Nie mogłem już dłużej siedzieć sam — wyznał. — Za bardzo się martwiłem... Mój Boże, Mordecai, co ty tu robisz?

— Mniejsza z tym, Des — rzekł mu Hiram. — Mamy plan.



Człowiek z Federalnej Policji Kryminalnej Niemiec postukał paczką papierosów o krawędź biurka w centrum kryzysowym w berlińskim Ratuszu, wytrząsnął ze środka papierosa i włożył go do ust.

— Do licha, co wam przyszło do głowy? Jak mogliście to nadać, nie pytając mnie o zdanie?

Nie zapalił papierosa. Miał twarz młodego mężczyzny naznaczoną zmarszczkami starego oraz żółte oczy rysia i odstające uszy.

— Herr Neumann — odparł przedstawiciel burmistrza, trzymając słuchawkę między barkiem a podwójnym podbródkiem, z powodu czego robiła się śliśka od potu — w Berlinie instynktownie unikamy cenzury. Mieliśmy jej wystarczająco wiele w dawnych złych czasach, *na ja?*

— Nie o to mi chodzi. Jak mamy zapanować nad sytuacją, jeśli nawet nie informuje się nas o podjęciu tego typu kroków? — Oparł się na krzesło i pogłaskał palcem jedną z bruzd wokół ust. — To może się zmienić w powtórkę z Monachium.

Tachion spojrział na elektroniczny zegarek wmontowany w jeden z wysokich obcasów pary butów, którą kupił wczoraj na Kurfürsterdamm. Pomijając zegarki, jego ubranie było wierną



kopią siedemnastowiecznego paradnego stroju. *Ta wyprawa od samego początku miała czysto polityczny charakter — pomyślał. Niemniej może udało się nam osiągnąć coś dobrego. Czyżby to wszystko miało się zakończyć w ten sposób?*

— Kim jest ten al-Muezzin? — zapytał.

— Naprawdę nazywa się Daud Hassani. To as obdarzony niszczycielskim głosem, podobnie jak wasz nieżyjący Wyjec — wyjaśnił Neumann. Nawet jeśli zauważył, że Tachion skrzywił się boleśnie na wspomnienie o Wyjcu, nie okazał tego po sobie. — Pochodzi z Palestyny. To jeden z ludzi Nur al-Allaha, działał w Syrii. Wziął na siebie odpowiedzialność za strącenie samolotu El Al na Orły w czerwcu poprzedniego roku.

— Obawiam się, że jeszcze nieraz usłyszymy o Świecie Allaha — stwierdził Takizjanin. Neumann skinął głową z ponurą miną. Odkąd ekspedycja opuściła Syrię, na całym świecie doszło do blisko czterdziestu zamachów bombowych mających pomścić „zdradziecki atak” na asa-proroka.

*Szkoda, że ta okropna kobieta nie dokończyła dzieła* — pomyślał Tachion. Nie powiedział jednak tego na głos. Ziemia nie potrafiła być przeczułeni na punkcie takich spraw.

Pot spływał mu po szyi, docierając pod koronkową kołnierzy bluzę. Kaloryfer buczał i jęczał od ciepła. *Wolałbym, żeby nie byli tak wrażliwi na zimno. Dlaczego Niemcy uparcie próbują uczynić tę gorącą planetę jeszcze gorętszą?*

Drzwi się otworzyły i do środka dobiegł hałas produkowany przez grupę międzynarodowych dziennikarzy tłoczących się na korytarzu. Do środka wśliznął się asystent polityczny i wyszeptał coś do ucha przedstawicielowi burmistrza. Ten wahał się ze złością słuchawką o widełki.

— Przyjechała pani Morgenstern z hotelu Kempinski — oznajmił.

— Przy prowadźcie ją natychmiast — poprosił Tachion.

Człowiek od burmistrza wysunął dolną wargę, lśniąca wilgocią w blasku jarzeniówek.

— Wykluczone. To dziennikarka, a my na czas trwania kryzysu zabroniliśmy przedstawicielom prasy wstępu do tego pokoju.

Tachion przyjrzał mu się z uwagą, kierując ku niemu swój piękny, prosty nos.

— Żądam, by panią Morgenstern wpuszczono tu natychmiast — oznajmił tonem na Takis rezerwowanym dla stajennych, którzy nadeptnęli na świeżo wyczyszczone buty, albo posługaczek, które oblały zupą sprzymierzonego psionicznego władcę będącego gościem w rezydencji.

— Wpuśćcie ją — polecił Neumann. — Ma ze sobą taśmę z zeznaniami Herr Jonesa.

Sara miała na sobie biały trencz z szerokim na dłoń pasem czerwonym jak krew. Tachion potrząsnął głową. Zawsze uważał, że z jej poczuciem mody coś jest nie w porządku.

Podeszła do niego i uściskali się pośpiesznie, nie wymieniając pocałunków. Potem się odwróciła i otworzyła ciężką torebkę. Takizjanin zadał sobie pytanie, czy dostrzeżga w jej

jasnoniebieskich oczach błysk metalu czy może to tylko łyż.



— Slyszeście? — zawołała z radością rudowłosa kobieta zwana Anneke. — Jedna z tych świń, które dziś załatwiliśmy, była Żydem.

Było wczesne popołudnie. Z radia sączyły się wiadomości i domysły na temat porwania. Terrorysty byli zachwyleni. Puszyli się i popisywali przed towarzyszami.

— Kolejna kropła krwi dla pomśczenia naszych braci w Palestynie — oznajmił dźwięcznym tonem Wolf.

— A co z tym asem czarnuchem? — zapytał ten, który wyglądał jak ratownik i reagował na imię Ulrich. — Czy już umarł?

— W najbliższym czasie się na to nie zanosi — odparła Anneke. — Według wiadomości wyszedł sobie ze szpitala zaledwie w godzinę po przyjęciu.

— Bzdura! Władowałem w niego pół magazynka! A potem spadła mu na łeb ta furgonetka.

Anneke odeszła od radia i przesunęła palcami wzdłuż zarysu żuchwy Ulricha.

— Nie sądzisz, że jeśli ktoś potrafi sam unieść furgonetkę, może być dość trudno go zabić, kochanie?

Stała na palcach w swych tenisówkach i pocałowała go tuż za uchem.

— Poza tym wykończyliśmy dwie...

— Trzy — przerwał jej towarzysz Wilfried, nadal monitorujący fale eteru. — Ten trzeci... hmm, policjant, przed chwilą umarł.

Wilfried przełknął ślinę.

Zachwycona Anneke klasnęła w dłonie.

— Widzisz?

— Ja też kogoś zabiłem — odezwał się chłopak stojący za Hartmannem. Już sam dźwięk jego głosu wypełnił Lalkarza energią. *Spokój, tylko spokój* — ostrzegł Hartmann swą drugą połówę. *Czyżbym go miał?* — zadał sobie pytanie. *Czy można nieświadomie stworzyć lalkę? A może jego emocje cały czas są tak intensywne, że czują je nawet bez połączenia?*

Moc nie odpowiedziała.

Chłopak w skórzanej kurtce powlókł się na środek pokoju. Hartmann zauważył jego garb. *Dżoker?*

— Towarzysza Dietera — wyjaśnił nastolatek — Załatwiłem go — *brrr* — o tak!

Uniósł wyciągnięte ręce przed sobą i nagle obie zawibrowały jak śmiercionośne ostrza pił mechanicznych.

As! Oddech uwiązał Hartmannowi w piersi z gwałtownością ciosu.

Wibracja ucichła. Chłopak uśmiechnął się do wszystkich, odsłaniając pożółkłe zęby. Zapadła

głęboła cisza.

Przez łomot tętna wypełniający uszy Hartmanna przebił się zgrzyt metalu trącego o drewno. Mężczyzna w płaszczu wstał z krzesła.

— Zabiłeś kogoś, Mackie? — zapytał spokojnie. Mówił po niemiecku nieco zbyt poprawnie, by mógł to być jego ojczysty język — Dlaczego?

Chłopak zwiesił głowę.

— To był kapuś, towarzyszu — wyjaśnił, przenosząc spojrzenie z Prahlera na mężczyznę w płaszczu i z powrotem. — Towarzysz Wolf rozkazał mi go zatrzymać. Ale on... on próbował mnie wykończyć! Tak to było. Wyciągnął pistolet i wtedy go rozpiłowałem.

Ponownie uniósł wibrującą rękę.

Mężczyzna w płaszczu wyszedł powoli na środek pokoju i Hartmann mógł mu się przyjrzeć uważnie. Był średniego wzrostu, dobrze — ale nie za dobrze — ubrany, a blond włosy miał starannie uczesane. Nieco przystojniejszy od przeciętnego faceta. Jedyńm, co przyciągało w nim uwagę, były grube gumowe rękawiczki na dłoniach. Hartmann przyjrzał się im z nagłą fascynacją.

— Czemu mi o tym nie powiedziano, Wolf?

Jego głos nadal brzmiał spokojnie, ale Lalkarz wyczuwał w nim niewypowiedziany krzyk gniewu. Towarzyszył mu też smutek, wyraźnie powstrzymywany przez moc. I cholernie dużo strachu.

Wolf wzruszył potężnymi ramionami.

— Dziś rano wydarzyło się bardzo wiele, towarzyszu Mołnia. Dowiedziałem się, że Dieter zamierza nas zdradzić. Dlatego wysłałem po niego Mackiego... ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Niemniej teraz wszystko jest już w porządku.

Fakty złożyły się w całość jak elementy układanki. Mołnia. Błyskawica. Hartmann nagle zrozumiał, co mu zrobiono w limuzynie. Facet w rękawiczkach był asem i pozbawił go przytomności za pomocą elektrowstrząsu.

Hartmann zacisnął szczęki, by powstrzymać przerażenie — tak mocno, że omal nie połamał sobie zębów. *Nieznany as! Przejrzy mnie, dowie się, kim jestem...*

Jego druga jaźń pozostała jednak zimna jak lód. *On o niczym nie wie.*

*Skąd ta pewność? Nie znamy jego mocy.*

*Jest lalką.*

Tylko z największym wysiłkiem Hartmann zdołał zachować kamienną twarz. *Jak to możliwe, do licha?*

*Dorwałem go, kiedy mnie poraził. Nie musiałem nic robić. Jego własna moc połączyła na moment nasze układy nerwowe. To wystarczyło.*

Mackie wiercił się nerwowo jak szczenię przyłapano na sikaniu na dywan.

— Czy postąpiłem słusznie, towarzyszu Mołnia?

Wargi asa zbieleły. Skinał głowę z wyraźnym wysiłkiem.

— Tak.. zważywszy na sytuację.

Mackie nadął dumnie pierś.

— Sami widzicie. Wykonałem wyrok na wrogu rewolucji. Nie tylko wy dziś zabiliście.

Anneke cmoknęła i przesunęła palcami po policzku Mackiego.

— Szukasz indywidualnej chwały, towarzyszu? Musisz uważać na te burzliwe tendencje, jeśli pragniesz pozostać członkiem Frakcji Czerwonej Armii.

Mackie oblizał wargi i odsunął się z rumieńcem na twarzy. Lalkarz wyczuwał emocje kipiące w jego wnętrzu niczym ogień pod powierzchnią słońca.

*A co z nim?* — zapytał Hartmann.

*Jego też. I tego blond osiłka. Obaj nas dotykali po tym, jak Rosjanin cię poraził. Wstrząs zwiększył moją wrażliwość.*

Hartmann opuścił głowę, by ukryć zasępioną minę. *Jak to wszystko mogło się zdarzyć bez mojej wiedzy?*

*Jestem twoją podświadomością, pamiętasz? Zawsze na posterunku.*



Towarzysz Mołnia wrócił z westchnieniem na krzesło. Poczuł, że włoski na grzbietach dłoni oraz na karku stanęły mu dęba, gdy jego hiperaktywne neurony wysłały serię impulsów. Nie mógł nic poradzić na tego typu drobne wyładowania elektryczne. One zachodziły spontanicznie pod wpływem stresu. Dlatego właśnie nosił rękawiczki — i dlatego niektóre z najbarwniejszych opowieści o jego nocy poślubnej powtarzanych w Akwarium o mały włos stałyby się prawdą.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nie miał żadnych powodów do niepokoju. Nawet jeśli potem go zidentyfikują, nie będzie żadnych międzynarodowych reperkusji. Na tym polegały zasady gry toczonej przez obie strony. Tak przynajmniej powiedzieli mu zwierzchnicy.

No jasne.

*Dobry Boże, czym sobie na to zasłużyłem? Dlaczego muszę uczestniczyć w tym wariactwie?* Nie był pewien, kto jest bardziej szalony — ta zbieranina wypaczonych nieszczęśników i krwiożerczych politycznych naiwniaków czy jego szefowie.

Powiedzieli mu, że taka szansa zdarza się raz na dziesięciolecie. Al-Muezzin siedział w kieszeni Wielkiego K. Jeśli go uwolnimy, z wdzięczności sam wpadnie nam w ręce. Zgodzi się pracować dla nas. Może nawet pozyska dla nas Światło Allaha.

Zapytał ich wtedy, czy warto podejmować takie ryzyko. Poświęcać podziemne kontakty, które budowali w Republice Federalnej od dziesięciu lat? Tworzyć zagrożenie wybuchem wielkiej

wojny, której żadna ze stron nie mogła wygrać, bez względu na to, co mówiły ich spisane na papierze wymyślne plany strategiczne? Prezydentem był Reagan. To kowboj, szaleniec.

Pewnych granic nie można jednak było przekraczać, nawet jeśli było się asem i bohaterem, człowiekiem, który w Boże Narodzenie w siedemdziesiątym dziewiątym pierwszy dotarł do Bala Hissar w Kabulu. Nie pozostawili mu wyjścia. Wydali mu rozkazy. Nie potrzebował niczego więcej.

Nie można powiedzieć, żeby nie zgadzał się z celami swych przełożonych. Ich odwieczni rywale, *Komitiet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* — Komitet Bezpieczeństwa Państwowego — byli arogancy, przeceniani i niekompetentni. Nikt, kto pracował dla GRU, nie mógłby mieć nic przeciwko temu, by dać tym dupkom nauczkę. Jako patriota wiedział też, że wywiad wojskowy zrobi lepszy użytek z agenta tak cennego jak Daud Hassani niż lepiej znana konkurencyjna organizacja, jaką było KGB.

Ale metody...

Nie bał się o siebie, lecz o żonę i córkę. A także o resztę świata. Ryzyko było ogromne. Jeśli coś pójdzie źle...

Sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalniczkę.

— To obrzydliwy nałóg — wycedził Ulrich na swój ociężały sposób.

Mołnia spojrział tylko na niego.

Po chwili Wolf parsknął śmiechem, który można by niemal uznać za niewymuszony.

— Dzisiejsza młodzież ma inne standardy. W dawnych czasach... ach, Rikibaby, towarzysza Meinhof, też paliła. Nigdy nie wyjmowała papierosa z ust.

Mołnia gapił się tylko na Ulricha. Oczy Rosjanina były nieco skośne — pamiątka po mongolskim jarzmie. Po chwili jasnowłosy młodzieniec skierował wzrok w inną stronę.

Mołnia zapalił papierosa, zawstydzony tym tanim zwycięstwem. Musiał jednak zapanować nad tymi młodymi, krwiozerczymi zwierzętami. Cóż za ironia. Zrezygnował ze służby w Specnazie i przeszedł do Głównego Zarządu Wywiadowczego przy Sztabie Generalnym, ponieważ miał już dość przemocy, a teraz musiał współpracować z tymi żalnymi stworzeniami, dla których rozlew krwi stał się nałogiem.

*Och, Miła, Masza, czy jeszcze was kiedyś zobaczę?*



— *Herr Doktor.*

Tachion podrapał się po nosie. Powoli ogarniał go niepokój. Siedział tu już dwie godziny i nie był przekonany, czy jego obecność cokolwiek wnosi. Na zewnątrz... no cóż, nie można było zrobić zbyt wiele, ale przynajmniej byłby z przyjaciółmi z ekspedycji, mógłby ich pocieszać i uspokajać.

— Słucham, Herr Neumann — odrzekł.

Człowiek z Federalnej Policji Kryminalnej siedział obok niego. Trzymał w palcach papierosa, lecz nadal go nie zapalił, choć dym tytoniowy wypełniający duszne pomieszczenie zrobił się już gęsty jak mgła.

— Chciałem zapytać pana o zdanie.

Tachion uniósł magentową brew. Już jakiś czas temu zorientował się, że Niemcy zaprosili go tu dlatego, że pod nieobecność Hartmanna to on przewodził ekspedycji. W przeciwnym razie nie zawracaliby sobie głowy lekarzem, w dodatku cudzoziemskim. Przedstawiciele władz i policji krążący po centrum kryzysowym okazywali mu szacunek należny jego pozycji, ale poza tym ignorowali go całkowicie.

— Proszę bardzo — odparł Takizjanin, machając ręką w geście, który był tylko lekko ironiczny. Neumann sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego i wykazywał też oznaki inteligencji, przynajmniej *in statu nascendi*, co zdaniem Tacha było rzadkością u ludzi tego typu.

— Czy zdawał pan sobie sprawę, że od około półtorej godziny kilku członków waszej ekspedycji próbuje zebrać pieniądze na okup za senatora Hartmanna?

— Nie.

Neumann pokiwał powoli głową, jakby rozważał jakiś problem. Jego żółte oczy kryły się pod opadającymi powiekami.

— Ich wysiłki napotkały poważne trudności. Wasz rząd ogłosił...

— To nie jest mój rząd.

Neumann pochylił głowę.

— Rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił, że nie będzie żadnych negocjacji z terrorystami. Nie ma potrzeby dodawać, że wprowadzone przez Amerykanów ograniczenia nie pozwoliły waszym ludziom zebrać wystarczającej kwoty w ojczyźnie, a po krótkiej chwili amerykański rząd zamroził konta każdego, kto uczestniczy w wyprawie, by uniemożliwić zawarcie separatystycznej ugody.

Tachion poczuł, że jego policzki zapłonęły.

— To już cholerna przesada.

Neumann wzruszył ramionami.

— Chciałem się dowiedzieć, co pan sądzi o tym planie.

— Dlaczego ja?

— Jest pan uznanym autorytetem w sprawach dżokerów. Rzecz jasna właśnie dlatego zaszczycił pan nasz kraj swoją obecnością. — Postukał papierosem w blat tuż obok podwiniętego rogu planu Berlina. — Co więcej, wywodzi się pan z kultury, w której porwania zdarzają się często, o ile się nie mylę.

Tach przyjrzał mu się z uwagą. Choć był celebrytą, tylko garstka Ziemiaków wiedziała wiele o jego ojczystym świecie, pomijając sam fakt, że był kosmitą.

— Rzecz jasna, nie mogę przemawiać w imieniu RAF...

— Rote Armee Fraktion w swym obecnym wcieleniu składa się głównie z młodzieży z klasy średniej. Podobnie jak jej poprzednie wcielenia, a jeśli już o tym mowa — większość rewolucyjnych ugrupowań w Pierwszym Świecie. Pieniądże nie znaczą dla nich wiele. Są dziećmi tak zwanego cudu gospodarczego i dorastali w przekonaniu, że nigdy im ich nie zabraknie.

— Z pewnością nie można tego powiedzieć o DSS — wtrąciła Sara Morgenstern, podchodząc do nich. Jeden z asystentów próbował ją powstrzymać. Wyciągnął rękę, by odprowadzić ją od ważnej męskiej rozmowy. Odsunęła się od niego, jakby przeskoczyła między nimi iskra, i przeszła go wściekłym spojrzeniem.

Neumann warknął krótko coś, czego nawet Tachion nie dosłyszał, i asystent się wycofał.

— Frau Morgenstern, pani opinia również bardzo mnie interesuje.

— Członkowie Dżokerów na rzecz Sprawiedliwości Społecznej są autentycznie biedni. Tyle przynajmniej mogę potwierdzić.

— Czy to znaczy, że pieniądze ich skuszają?

— Trudno powiedzieć. Cechują się poświęceniem dla sprawy, którego ludziom z RAF może brakować. Ale... — Machnęła ręką w geście przypominającym trzepotanie skrzydeł motyla. — Nie utracili ostatnio żadnych bliskowschodnich asów. Z drugiej strony, kiedy żądają pieniędzy na pomoc dla dżokerów, wierzę im. Dla ludzi z Frakcji może to być mniej ważne.

Tach zmarszczył brwi. Poirytowało go żądanie zburzenia Mauzoleum Śmiga i postawienia na jego miejsce hospicjum dla dżokerów. Podobnie jak większość nowojorczyków nie żałowałyby mauzoleum — brzydkiego obiektu wzniesionego dla upamiętnienia porażki i to takiej, o której osobiście wolały zapomnieć. Jednakże żądanie budowy hospicjum uznał za policzek. *Kiedy ostatnio odmówiono jakiemukolwiek dżokerowi przyjęcia do mojej kliniki? Kiedy?*

— Nie zgadza się pan z tą opinią, *Herr Doktor*? — zapytał cicho przyglądający mu się z uwagą Neumann.

— Nie, nie. Sara ma rację. Ale Gimli... — Strzelił palcami i wysunął wskazujący. — Toma Millera głęboko obchodzą problemy dżokerów, ale zawsze też czekał na wielką szansę, jak mawiają Amerykanie. Może się wam udać go skusić.

Sara skinęła głową.

— Czemu nas pan o to pyta, panie Neumann? W końcu prezydent Reagan odmawia rokowań w sprawie zwolnienia senatora.

W jej głosie pobrzmiwała gorycz, lecz mimo to Tachion poczuł się zaskoczony. Sara zawsze była bardzo pobudliwa i spodziewał się, że strach o Gregga wkrótce doprowadzi ją do załamania.

Ona jednak stawała się coraz spokojniejsza.

Neumann przyglądał się jej przez chwilę. Takizjanin zadał sobie pytanie, czy Niemiec również wie o jej romansie z Hartmannem. W końcu ta tajemnica raczej nie zaliczała się do ściśle strzeżonych, a odnosił wrażenie, że bardzo niewiele faktów umyka uwagi złotych — choć zaczerwienionych teraz od papierosowego dymu — oczu Neumanna.

— Wasz prezydent podjął swoją decyzję — rzekł cicho Niemiec — ale ja mam obowiązek doradzać swojemu rządowi w sprawie wyboru kursu. Rozumie pani, teraz to jest również problem Niemiec.



O drugiej trzydziści Hiram Worchester wygłosił przez radio oświadczenie. Mówił po angielsku, a w chwilach przerwy Tachion tłumaczył jego słowa na niemiecki.

— Towarzyszu Wolf... Gimli, jeśli tam jesteś — mówił restaurator przepojonym emocjami głosem — chcemy odzyskać senatora. Jesteśmy gotowi negocjować z wami jako prywatni obywatele. Proszę, w imię Boże, i w imię wszystkich dzokerów, asów oraz reszty ludzkości, skontaktujcie się z nami.



Molnia gapił się na drzwi. Biała farba zlazła z nich płatami. Spod jej warstwy, wokół wyłobień wyglądających, jakby ktoś ćwiczył rzucanie nożem, wykorzystując drzwi jako cel, uwidoczniły się zielone, różowe i brązowe prążki. Rosjanin niemal całkowicie ignorował pozostałych przebywających w pokoju ludzi. Nawet nieustanne nucenie szalonego chłopaka. Już dawno nauczył się je wyciszać, żeby nie zwariować.

*Niedobrze, że pozwoliłem im tam pojechać.*

Był nieprzyjemnie zaskoczony, że zarówno Gimli, jak i Wolf chcieli się spotkać z delegacją członków ekspedycji. To była chyba pierwsza sprawa, w której zgodzili się ze sobą od początku całej tej komiksowej akcji.

Pragnął im tego zabronić. Coś w tym spotkaniu pachniało mu nieładnie... ale to byłaby głupota. Reagan zamknął drzwi przed oficjalnymi negocjacjami, ale czyż przesłuchania w sprawie Irangate, którymi obecnie zabawiali się Amerykanie, nie dowodziły, że ich aktualny prezydent nie ma nic przeciwko temu, by wykorzystywać prywatne kanały do kontaktów z terrorystami, nawet jeśli publicznie zapowiada, że będzie nieustępliwy?

*Poza tym już dawno się nauczyłem, że lepiej nie wydawać rozkazów, jeśli nie ma się pewności, czy zostaną wykonane.*

W Specnazie wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ludzie, którym rozkazywał, byli zawodowcami, elitą sowieckich sił zbrojnych. Mieli wysokie morale i byli świetnie wyszkoleni, jak chirurdzy. W niczym nie przypominali tej zgrai zgorzkniałych amatorów i krwiożerczych



dy letantów.

Gdyby tylko miał ze sobą kogoś wykształconego w domu albo w którymś z państw będących klientami Związku Sowieckiego. W Korei, Iraku albo Peru. Kogoś innego niż Gimli, oczywiście. Odnosił wrażenie, że minęło już wiele lat od chwili, gdy cokolwiek poza ładunkiem plastiku mogłoby otworzyć umysł karła na tyle, by zechciał wysłuchać opinii kogoś innego, a już szczególnie natola.

Szkoda, że przynajmniej nie mógł się tam udać z nimi. Musiał jednak zostać tutaj, żeby pilnować jeńca. Gdyby stracili Hartmanna, nie mieliby nic. Poza całą kupą kłopotów.

*Czy KGB też ma tyle problemów ze swymi marionetkami?* Myśląc racjonalnie, zapewne tak. W ciągu lat zawalił kilka naprawdę ważnych operacji — weterani nadal krzywili się boleśnie na wzmiankę o Meksyku — a GRU miało też dowody na mnóstwo mniejszych błędów, które Wielkie K starało się ukryć.

Niemniej propagandyści na usługach KGB wykonywali dobrą robotę — po obu stronach tego, co nosiło dziwaczną nazwę żelaznej kurtyny. Nawet Mołnia nie potrafił się do końca uwolnić od ukrytego w głębiach jego mózgu, znacznie poniżej przodomózgowia, obrazu tej instytucji jako wszechwiedzącego władcy marionetek, którego sznurki oplatały cały świat niczym pajęczna sieć.

Spróbował wyobrazić sobie siebie jako pajęczego władcę, ale tylko się uśmiechnął na tę myśl.

*Nie, ja nie jestem pajakiem. Tylko małym, przerażonym człowieczkiem, którego ktoś kiedyś nazwał bohaterem.*

Pomyślał o córce, Ludmile, i zadrżał.

*Do mnie również przytwierdzono sznurki i to nie ja za nie pociągam.*



*Chcę go dostać.*

Hartmann rozejrzał się po nędznym pokoiku. Ulrich spacerował wkłó z twarzą zastygłą w grymasie zawodu z powodu tego, że go tu zostawiono. Tęgi Wilfried z obsesyjną dbałością czyścił swój karabin szturmowy. Dwójka żołnierzy, których również tu zostawiono, siedziała obok siebie, nie odzywając się słowem. Rosjanin rozparł się na krześle, palił i gapił się na ścianę.

Unikał patrzenia na chłopaka w starej skórzanej kurtce.

Mackie Majcher nucił starą piosenkę o reklinie, jego zębach i o człowieku mającym nóż oraz eleganckie rękawiczki. Hartmann pamiętał ugłaskaną wersję popularną w latach jego młodości. Śpiewał ją Bobby Darin albo jakiś inny idol nastolatków. Przypominał też sobie jednak inne wykonanie. Usłyszał je po raz pierwszy w gęstym od marihuanowego dymu pokoju na Starym Campusie w Yale. To było w sześćdziesiątym ósmym, gdy jako antywojenny aktywista wrócił, by udzielać wykładów. Była mroczna i złowieszcza, dosłownie przetłumaczona z oryginału, i śpiewał ją charakterystycznym sznapsbarytonem człowiek, który — podobnie jak sam Bertolt

Brecht — uwielbiał grać rolę Baala: Thomas Marion Douglas, nieszczęsny wokalista Destiny. Hartmann przypomniał sobie, jak owej odległej nocy słowa przebiegały wzdłuż jego kręgosłupa niczym ciarki i zadrżał na to wspomnienie.

*Chcę go dostać.*

*Nie!* — krzyknął jego umysł. *To szaleniec. Jest niebezpieczny.*

*Ale mógłby się okazać użyteczny, gdy już nas stąd wydostanę.*

Ciałem Hartmanna zawładnęła nagły spazm przerażenia. *Nie! Nic nie rób! Terrorysty przystąpili do negocjacji. Wydostaniemy się stąd.*

Poczuł pogardę Lalkarza. Rzadko się zdarzało, by jego drugie ja wydawało mu się aż tak obce, aż tak odrębne. Idioci. Czy choć raz się zdarzyło, by Hiram Worchester uczestniczył w czymś, co się udało? Negocjacje szlag trafi.

*W takim razie po prostu zaczekajmy. Prędzej czy później znajdzie się jakieś rozwiązanie. Zawsze tak się dzieje. Czuj śliskie pnącza potu, oplatające jego ciało pod zakrwawioną koszulą i kamizelką.*

*Jak długo, twoim zdaniem, będziemy musieli czekać? Ile czasu minie, nim nasi dzokerzy i ich przyjaciele terrorysty odstrzelą sobie nawzajem łby? Mam lalki. Tylko one dadzą nam drogę wyjścia.*

*Ale co one mogą? Nie potrafię po prostu kazać komuś, żeby mnie wypuścił. Nie jestem tym kurdupłowatym władcą umysłów Tachionem.*

Poczuł w swym wnętrzu pełną samozadowolenia wibrację.

*Nie zapominaj o siedemdziesiątym szóstym — powiedział swej mocy. Wtedy też wydawało ci się, że sobie poradzisz.*

Moc roześmiała się tylko. Zamknął oczy, skoncentrował się i zmusił ją do milczenia.

*Czy on stał się demonem, który mnie opętał?* — zadał sobie pytanie. *Czy jestem tylko jedną z lalek Lalkarza?*

*Nie, to ja jestem tu panem. Lalkarz to tylko wytwór wyobraźni. Uosobienie mojej mocy. Gra, w którą gram sam ze sobą.*

Po splątanych korytarzach jego duszy poniósł się echem triumfalny śmiech.



— Znowu pada — odezwał się Xavier Desmond.

Tach skrzywił się, ale powstrzymał się przed pochwaleniem dzokera za jego niezwykły talent do postrzegania tego, co oczy wiste. W końcu Des był jego przyjacielem.

Przełożył ręce na uchwycie parasolki, którą z nim dzielił, szukając pocieszenia w myśli, że ulewa wkrótce minie. Berlińczycy spacerujący po ścieżkach przeszywających trawiasty park Tiergarten albo poruszający się znacznie szybciej po chodnikach pobliskiej Bundesallee najwyraźniej byli o tym przekonani, a przecież oni wiedzieli lepiej. Starzy mężczyźni

w kapeluszach, młode kobiety z wózkami, pełni pasji młodzieńcy w ciemnych wełnianych swetrach, sprzedawca kiełbasy o policzkach przy pominających dojrzałe brzoskwinie — typowy przekrój Niemców wykorzystujących każdą chwilę w miarę znośnej pogody podczas długiej pruskiej zimy.

Zerknął na Hirama. Gruby restaurator prezentował się wspaniale w swym trzyczęściowym garniturze w paski, noszonym na bakier kapeluszu oraz z czarną, kędzierzawą brodą. W jednej ręce trzymał parasol, a w drugiej lśniącą, czarną walizkę. Sara Morgenstern kroczyła sztywno obok niego, starannie unikając fizycznego kontaktu.

Z ronda ozdobionego piórem kapelusza Tacha skąpywała deszczówka, która zdołała się jakoś przedostać przez osłonę taniego plastikowego parasola. Po trąbie Desa również służył strumyczek wody. Takizjanin westchnął.

*Jak to możliwe, że dałem się na to namówić?* — zapytał sam siebie po raz czwarty czy piąty. Nie miało to jednak sensu. Gdy tylko Hiram zadzwonił do niego z informacją, że zachodnoniemiecki przemysłowiec, który pragnie pozostać anonimowy, zaoferował, że wyłoży za nich pieniądze na okup, Tachion natychmiast zrozumiał, że chce w tym uczestniczyć.

Sara była zupełnie sztywna. Wyczuwał jej drżenie, niemal podprogowo. Twarz kobiety przybrała kolor jej płaszcza przeciwdeszczowego, ale jej jasne oczy i tak w jakiś sposób z nią kontrastowały. Takizjanin wolałby, żeby się nie uparła, że musi im towarzyszyć, była jednak najważniejszą dziennikarką w ekspedycji i musieliby ją gdzieś zamknąć, żeby pozbawić ją szansy napisania relacji ze spotkania z porywaczami Hartmanna. Rzecz jasna, była też osobiście zainteresowana tą sprawą.

Hiram odchrząknął.

— Idą — poinformował ich głosem o tonacji wyższej niż zwykłe.

Tachion zerknął w prawo, nie odwracając głowy. Restaurator się nie mylił. W Niemczech Zachodnich nie było aż tylu dzókerów, by dwóch z nich znalazło się tu przypadkowo akurat w tej chwili. Tożsamość niskiego brodatego mężczyzny posuwającego się naprzód krokiem jak z obrazów Toulouse-Lautreca u boku kogoś wyglądającego jak beżowy mrówkojad chodzący na tylnych łapach również nie budziła wątpliwości.

— Tom — odezwał się Hiram ochryplym nagle głosem.

— Jestem Gimli — odparł karzeł, ale w jego słowach nie było złości. Oczy mu rozbłysły na widok walizki dyndającej w dłoni grubasa. — Przyniosłeś je.

— Oczywiście... Gimli. — Hiram wręczył parasol Sarze i otworzył walizkę. Karzeł stanął na palcach, by zajrzeć do środka, a potem wydał wargi, gwizdząc bezgłośnie. — Dwa miliony amerykańskich dolarów. Dwa kolejne, kiedy oddacie nam senatora Hartmanna.

Gimli wyszczerzył w uśmiechu krzywe zęby.

— To była propozycja negocjacyjna.

Hiram poczerwieniał.

— Przez telefon zgodziłeś się...

— Zgodziliśmy się rozważyć waszą propozycję, jeśli udowodnicie, że złożyliście ją w dobrej woli — odparł jeden z dwojga towarzyszących Gimlemu i dzokerowi natoli. Był wysokim mężczyzną, a w płaszczu przeciwdeszczowym wydawał się jeszcze bardziej barczysty niż w rzeczywistości. Ciemnoblond włosy, mokre teraz od padającego z przerwami deszczu, zacesał sobie do tyłu, odsłaniając zaznaczającą się łysinę. — Jestem towarzysz Wolf. Przy pominięciu wam, że jest też sprawa wolności dla naszego towarzysza al-Muezzina.

— Co sprawia, że Niemieccy socjaliści ryzykują życie i wolność dla fundamentalistycznego muzułmańskiego terrorysty? — zapytał Tachion.

— Wszyscy jesteśmy towarzyszami w walce z zachodnim imperializmem. A co sprawia, że Takizjanin naraża swe zdrowie w naszym ohydny klimacie dla senatora z kraju, który kiedyś wygnał go ze swego terytorium jak wściekłego psa?

Zaskoczony Tach odchylił głowę do tyłu. A potem się uśmiechnął.

— Tu mnie pan ma.

Wymienili z Wolfem spojrzenia świadczące, że świetnie się nawzajem rozumieją.

— My jednak możemy wam dać jedynie pieniądze — odezwał się Hiram. — Nie jesteśmy w stanie spowodować uwolnienia pana Hassaniego. Mówiliśmy wam o tym.

— W takim razie nici z interesu — skwitowała towarzysząca Wolfowi rudowłosa kobieta. Tachion mógłby ją uznać za atrakcyjną, gdyby nie obrznięta dolna warga wysunięta w grymasie niezadowolenia oraz lekko sina cera. — Po co nam papier toaletowy, jakim są wasze pieniądze? Zażądaliśmy ich tylko po to, by uderzyć świnie tam, gdzie je zabił.

— Chwileczkę — sprzeciwił się karzeł. — Ta forsja mogłaby bardzo pomóc dzokerom.

— Czy aż tak bardzo pragniesz wkupić się w konsumpcyjny faszyzm? — zadzwiała kobieta.

Gimli zrobił się fioletowy na twarzy.

— Pieniądze są tutaj, a Hassani jest w Rikers. To daleko stąd.

Wolf gapił się na karła ze spektakularnym marszem na twarzy. Gdzieś w pobliżu wystrzelił gaźnik

Kobieta prychnęła jak kotka i odskoczyła do tyłu. Twarz miała pobladła, a oczy dzikie.

Kącikiem oka Tach zauważył jakieś poruszenie.

Gruby sprzedawca kielbas otworzył pokrywę swojego wózka i wyciągnął spod niej czarny pistolet maszynowy H&K.

Zawsze podejrzliwy Gimli przeszedł spojrzeniem Takizjanina.

— To pułapka! — wrzasnął i rozchylił płaszcz. Pod spodem miał mały karabinek szturmowy

Krinkow.

Tachion wykopnął skróconego kałasznikowa z ręki karla szpicem eleganckiego buta. Natolka wyciągnęła spod swojego płaszcza pełnowymiarowy AKM i wypuściła serię, trzymając broń w jednej ręce. Takizjaninowi omal nie pękły bębenki w uszach od huku.

Sara krzyknęła. Tach skoczył na nią i obalił ją na wilgotną, wonną trawę. Terrorystka przerzuciła broń z ręki do ręki. Jej twarz zamarała w grymasie czegoś przypominającego ekstazę.

Ze wszystkich stron otoczyła ich nagła aktywność. Starzy mężczyźni w kapeluszach, młode kobiety z wózkami i pełni pasji młodzieńcy w swetrach wyciągali pistolety maszynowe i pędzili ku skupionej pod dwoma parasolami grupce.

— Stójcie! — zawołał Hiram. — Wszystko to nieporozumienie.

Pozostali terroryści również wyciągnęli już broń i strzelali na wszystkie strony. Przechodnie uciekali z krzykiem. Gładkie podeszwy półbutów mężczyzny trzymającego w jednej ręce karabin maszynowy pośliznęły się na mokrej trawie i ich właściciel runął na ziemię. Inny napastnik, odziany w garnitur i trzymający w jednej ręce MP5K, potknął się o wózek dziecięcy pchany przez kobietę, która zamarała nagle w bezruchu, i zwałił się na twarz.

Sara leżała pod Tachionem, sztywna jak posąg. Jej tyłek wciśnięty w jego krocze był bardziej jędrny, niżby się tego spodziewał. *To jedyna okazja, gdy będę ją miał pod sobą* — pomyślał z żalem. Poczłł niemal fizyczny ból, uświadomiwszy sobie, że to jego dotyk, a nie strach przed świszczącymi nad nimi kulami tak ją sparaliżował.

*Gregg, naprawdę masz farta. O ile uda ci się jakoś wyjść z życiem z tej kabały.*

Szarpiący się ze swoją bronią Gimli wpadł nagle na wysokiego natola, który spróbował go pochwycić. Nieproporcjonalnie silny karzeł złapał go za nogę i cisnął prosto w trzech jego nadbiegających towarzyszy niczym Szkot rzucający kłodą.

Des kochał się z trawą. *Bystrzak z niego* — pomyślał Tachion. Jego umysł wypełniał odór prochu strzelniczego oraz zielone i brązowe aromaty wilgotnej murawy. Oszołomiony Hiram wędrował przez tę horyzontalną burzę ognia, wymachując rękami.

— Stójcie, stójcie! — krzyczał. — To nie tak miało wyglądać!

Terroryści rzucili się do ucieczki. Gimli przebiegł między nogami kolejnego próbującego go złapać natola, uniósł rękę, walnął drugiego w jaja i popędził za towarzyszami.

Tach usłyszał pisk bólu. Dżoker z wydłużonym pyskiem padł na ziemię. Spod brzucha wypływały mu strumienie lepkiej krwi. Gimli złapał go w biegu i przerzucił sobie przez ramię jak zwinięty dywan.

Grupa uczennic katolickiej szkoły rozpięzchła się na wszystkie strony, gdy wpadli w nią uciekający terroryści. Warkoczyki dziewczynek podskakiwały w biegu. Tachion zauważył jakiegoś mężczyznę, który opadł na jedno kolano i uniósł pistolet maszynowy, celując w zbiegów.

Sięgnął ku niemu umy słem. Mężczyzna natychmiast zasnął i padł na trawę.

Silnik furgonetki obudził się do życia z głośnym rykiem i pojazd zjechał z krawężnika. Gimli wyciągnął krótkie ręce i złapał za klamki otwartych drzwi.

Hiram siedział na mokrej trawie, łkając w otwarte dłonie. Czarna walizka stojąca obok niego płakała plikami banknotów.



— To była Policja Polityczna — wyjaśnił Neumann tonem takim, jakby próbował wypluć z ust kawałek zepsutego jedzenia. — Nie bez powodu nazywają ich „Popo”.

— Herr Neumann — zaczął błagalnym tonem mężczyzna w kombinezonie mechanika.

— Niech pan się zamknie. Doktorze Tachion, jestem panu winien osobiste przeprosiny.

Neumann zjawił się zaledwie pięć minut po ucieczce terrorystów, akurat na czas, by uratować Tachiona przed aresztowaniem za obrzucanie obelgami policyjnych intruzów.

Takizjanin wyczuł blisko za sobą obecność Sary, bladej jak pokrywająca ziemię szadz. Kobieta właśnie skończyła nagrywanie skrótovej relacji z tego, co się przed chwilą wydarzyło, za pośrednictwem uruchamianego głosem mikrofonu wpiętego w klapę płaszcza. Sprawiała wrażenie spokojnej.

Tachion wskazał na karetki, toczące się za policyjnym kordonem jak wieloryby z wirującymi niebieskimi światłami na grzbietach. Kapelusz miał zmiętoszony po upadku na ziemię.

— Ilu ludzi postrzelili wasi szaleńcy?

— Rany postrzałowe odniosło trzech przypadkowych przechodniów oraz jeden policjant. Drugi funkcjonariusz również wymaga hospitalizacji, ale jego, hmm, nie postrzelono.

— Co wam odbiło? — wrzasnął Tachion. Wydawało mu się, że całą furie wyładował już na tajniakach, którzy ciągle pytali siebie nawzajem, jakto możliwe, że terrorystom udało się uciec. Teraz jednak wściekłość wróciła, wypełniając go aż po dziurki w nosie. — Niech mi pan powie, co mieli zamiar osiągnąć pańscy ludzie?

— To nie byli moi ludzie — tłumaczył się Neumann. — To był polityczny wydział berlińskiej policji. Bundeskriminalamt nie miał z tym nic wspólnego.

— To od początku była pułapka — stwierdził Xavier Desmond, głaszcząc się po trąbie zdrętwiały mi palcami. — Ten milioner filantrop, który pożyczył nam pieniądze na okup...

— Był przy krywką dla policji politycznej.

— Herr Neumann. — Funkcjonariusz Popo z plamami od trawy na kolanach jeszcze przed chwilą pięknie wyprasowanych spodni wskazał oskarżycielskim palcem na Tachiona. — On pozwolił terrorystom uciec. Pauli miał ich na muszce, a on... on pozbawił go przytomności tą swoją mocą umysłu.

— Ten funkcjonariusz celował w tłum, przez który uciekali terroryści — odparł nerwowo

Takizjanin. — Gdyby zaczął strzelać, z pewnością trafiłby niewinnych przechodniów. A może mylę się co do tego, kto tu jest terrorystą?

Tajniak poczerwieniał na twarzy.

— Uniemożliwił pan wykonanie zadania jednemu z moich funkcjonariuszy! Mogliśmy ich powstrzymać...

Neumann wyciągnął rękę i uszczypnął go w policzek.

— Niech pan sobie stąd idzie — rzekł cicho. — Naprawdę.

Mężczyzna przełknął ślinę i oddalił się, rzucając przez ramię na Tachiona pełne złości spojrzenia. Kosmita uśmiechnął się i pokazał mu środkowy palec.

— Och, Gregg — zawodził Hiram. — Co my zrobiliśmy? Teraz już nigdy go nie odzyskamy.

Tachion pociągnął go za łokieć, raczej po to, by zachęcić go do wstania, niż żeby mu pomóc. Zapomniał o tym, że Hiram panuje nad grawitacją. Grubas zerwał się w jednej chwili.

— Dlaczego tak mówisz, przyjacielu? — zapytał Takizjanin.

— Oszalałeś, doktorze? Teraz na pewno go zabiją.

Sara wciągnęła nagle powietrze. Gdy Tach zerknął na nią, odwróciła pośpiesznie wzrok, jakby nie chciała, by zobaczył jej oczy.

— Nieprawda, proszę pana — zapewnił Neumann. — Nie tak wyglądają zasady tej gry.

Wsadził ręce do kieszeni spodni i spojrzał na szereg spowitych mgiełką drzew, maskujący ogrodzenie zoo.

— Ale teraz cena wzrośnie.



— Skurwysyny! — Gimli odwrócił się, strząsając wodę z płaszcza przeciwdeszczowego, i zaczął tuc pięściami w poplamione ściany. — Lachociągi! To była pułapka!

Całun i Drapacz skulili się na cienkim, brudnym materacu. Mrównik leżał obok, jęcząc cicho. Wszyscy poza nimi kłębili się po pokoju pełnym ludzi i wilgoci.

Hartmann siedział na krześle, osłaniając głowę mokrym od potu kołnierzem. Zgadzał się z opinią Gimlego na temat swych towarzyszy. *Czy ci debile chcą, żeby mnie zabili?*

Nagła myśl uderzyła go z siłą harpuna z ładunkiem wybuchowym. *Tachion! Czy ten demon z kosmosu coś podejrzewa? Czy to jakiś wymyślny takizjański spisek, mający mu pozwolić pozbyć się mnie bez wywoływania skandalu?*

Lalkarz wyśmiał ten pomysł. „*Nigdy nie przypisuj złej woli temu, co można wystarczająco wyjaśnić głupotą*” — rzekł mu. Hartmann znał ten cytat. Czarna Lady powiedziała tak kiedyś Carnifexowi podczas jednego z jego ataków szału.

Mackie Majcher stał, potrząsając głową.

— To nie jest w porządku — stwierdził na wpuł błagalnym tonem. — Mamy senatora. Czy

o tym nie wiedzą?

Zaczął się miotać po pokoju niczym zapędzony w ślepią uliczkę wilk, warcząc i przecinając dłońmi powietrze. Wszyscy pośpiesznie usuwali się z drogi jego rękoma.

— Co oni sobie myślą? — wrzeszczał Mackie. — Kogo próbują wyruchać? Coś wam powiem. Powiem wam, co zrobić. Może powinniśmy im wysłać parę kawałków senatora, żeby wiedzieli, na czym stoją.

Jego brzęcząca dłoń przemknęła kilka centymetrów od nosa więźnia.

Hartmann szarpnął głową do dołu. *Jezu, o mało co by mnie załatwił!* Naprawdę miał zamiar tak zrobić. Lalkarz wyczuł jego intencje, wyczuł, że Mackie zawahał się w ostatniej milisekundzie.

— Uspokój się, Detlev — rzekła mu słodko Anneke. Strzelanina w parku wyraźnie ją podekscytowała. Od chwili powrotu z akcji ciągle się wierciła i śmiała bez powodu, a na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy przypominające aktorski makijaż. — Kapitałiści nie zapłacą nam za uszkodzony towar tyle, ile chcemy dostać.

Twarz chłopaka zbiałała. Lalkarz wyczuł nowy przypływ gniewu, który eksplodował z siłą bomby.

— Mackie! Jestem Mackie Majcher, ty jebana suko! Mackie Nóż, jak w mojej piosence.

Hartmann przypomniał sobie, że *Detlev* to slangowe określenie znaczące „pedał”. Wstrzymał oddech.

Anneke uśmiechnęła się do młodocianego asa. Hartmann zauważył kącikiem oka, że Wilfried pobladał, a Ulrich z pozoru od niechcenia sięgnął po AKM. Senator nie podejrzewał blond terrorysty o takie zdolności aktorskie.

Wolf otoczył ramieniem barki chłopaka.

— Spokój, Mackie, spokój. Anneke nie chciała cię obrazić.

Jej uśmiech zadawał kłam jego słowom, ale Mackie przytulił się do boku potężnie zbudowanego mężczyzny i pozwolił się uspokoić. Młotnia odchrząknął, a Ulrich odstawił karabin.

Hartmann wypuścił powietrze z płuc. Wybuch nie nastąpił. Na razie.

— To dobry chłopak — oznajmił Wolf. Uścisnął raz jeszcze Mackiego, a potem go puścił. — Syn amerykańskiego dezertera i kurwy z Hamburga. Kolejna ofiara waszej imperialistycznej awantury w Azji Południowo-Wschodniej, senatorze.

— Mój ojciec był generałem! — krzyknął po angielsku chłopak.

— Tak, Mackie, skoro tak mówisz. Chłopak wychowywał się w porcie i w zaułkach, czasem zamykano go w zakładzie, a czasem odzyskiwał wolność. W końcu trafił do Berlina jako kolejna ofiara dryfująca bezwładnie na falach naszej oszalałej konsumpcyjnej kultury. Zobaczył plakaty i zaczął uczęszczać na lekcje w Wolnym Uniwersytecie. Biedny dzieciak jest ledwie piśmienny. Tam właśnie go znalazłem i zwerbowałem.



— I tak baaardzo nam pomógł — dodała Anneke, spoglądając szyderczo na Ulricha, który parsknął śmiechem. Mackie zerknął na nich, ale szybko odwrócił wzrok



Wygrałeś — oznajmił Lalkarz.

Słucham?

Miałeś rację. Nie potrafię zapanować nad nimi w pełni. A ten chłopak jest zbyt nieprzewidywalny, zbyt... przerażający.

Hartmann omal nie zaśmiał się w głos. Pokora z pewnością była ostatnim, czego by się spodziewał po zamieszkującej w nim mocy.

Cóż za marnotrawstwo. Byłby idealną lalką. Jego emocje są tak gwałtowne i piękne... jak narkotyk. Ale śmiertelnie groźne.

Zatem dałeś za wygraną. Hartmanna zalała ulga.

Nie. Chłopak po prostu musi umrzeć.

...bez obaw. Wszystko zaplanowałem.



Całun stał nad Mrównikiem niczym troskliwa mumia, myjąc sobie czoło kawałkiem własnego bandaża, umoczonego w wodzie z jednego z pięciolitrowych plastikowych zbiorników ustawionych w sypialni.

Anneke zbliżyła się do niego tanecznym krokiem. W jej oczach lśnił błysk złośliwości.

— Myślisz o tych pięknych pieniążkach, które straciłeś, towarzyszu?

— Przelano dzokerską krew. Po raz kolejny — odparł ze spokojem Całun. — Lepiej, żeby to nie poszło na darmo.

Kobieta podeszła do Ulricha.

— Szłoda, że ich nie widziałeś, kochanie. Byli cali gotowi oddać im senatora Schweinfleischa w zamian za walizkę pełną dolarów. — Wyduła usta. — Byli tak podekscytowani, że chyba całkiem zapomnieli o frontowym bojowniku, którego mieliśmy uwolnić.

— Zamknij się, ty suko! — ryknął Gimli. Ze środkowego punktu jego brody trysnęła ślina. Rzucił się na kobietę. Drapacz poderwał się nagle ze zgrzytem chityny o drewno i objął swego szefa rogowymi ramionami. Sięgnięto po broń.

Rozległ się głośny trzask. Wszyscy zamarli w bezruchu. Mołnia wstał i uniosł nagą dłoń przed twarzą, wyciągając palce, jakby trzymał w niej jakiś kulisty obiekt. Między nerwami jego dłoni przebiegły efemeryczne błękitne błyski.

— Jeśli będziemy walczyć między sobą, jedynie nasi wrogowie na tym skorzystają — oznajmił spokojnie.

Tyko Lalkarz wiedział, że ten spokój był kłamstwem.

Rosjanin wciągnął nieśpiesznie rękawiczkę.

— Zdradzono nas. Czegoż innego mogliśmy się spodziewać po kapitalistycznym systemie, z którym walczymy? — Uśmiechnął się. — To powinno wzmocnić naszą determinację. Trzymajmy się razem, a sprawimy, że zapłacą za swoją zdradę.

Potencjalni antagoniści odsunęli się od siebie.

Hartmann się bał.

Lalkarz triumfował.



Koniec dnia pokrył brandenburską równinę położoną na zachód od miasta cieniem przypominającym warstwę zanieczyszczonej wody. Z radia w sąsiednim bloku dobiegały blaszane dźwięki bliskowschodniej muzyki. Wewnątrz pokoiku panował tropikalny żar płynący z kaloryfera — choć cały blok się sypał, towarzysz Wilfried, który był prawdziwą złotą rączką, zdołał uruchomić ogrzewanie i podłączyć prąd — a także od spoconych ciał zestresowanych ludzi.

Ulrich zasunął tanie zasłony i odwrócił się od okna.

— Jezu, ależ tu śmierdzi — stwierdził, wykonując parę ćwiczeń gimnastycznych. — Ci jebani Turcy chyba szczają po kątach.

Leżący na brudnym materacu pod ścianą Mrównik mocniej ucisnął raniony brzuch i jęknął.

Gimli podszedł bliżej i dotknął jego czoła. Brzydka twarz karła skrzywiła się w wyrazie zatroskania.

— Kiepsko z nim — stwierdził.

— Może powinniśmy zabrać go do szpitala — zasugerował Drapacz.

Ulrich wysunął kwadratową żuchwę i potrząsnął głową.

— Nie ma mowy. Podjęliśmy już decyzję.

Całun ukłękął przy swoim szefie, ujął rękę Mrównika i pomacał jego niskie, owłosione czoło.

— Ma gorączkę.

— Skąd wiesz? — zapytał Wilfried z niepokojem na szerokiej twarzy. — Może naturalna temperatura jego ciała jest wyższa od ludzkiej? Jak u psów albo coś w tym rodzaju?

Gimli znalazł się na drugim końcu pokoju tak szybko, jakby się teleportował. Jednym kopnięciem zwałił Wilfrieda z nóg, usiadł na jego piersi i zaczął go ołkładać pięściami. Całun i Drapacz musieli go odciągnąć.

— Hej, hej, co takiego zrobiłem? — zapytał Wilfried, unosząc dłonie przed twarzą. Wydawał się bliski łez.

— Ty głupi skurwysynu! — ryknął karzeł, wymachując szaleńczo rękami. — Wcale nie jesteś lepszy niż reszta pierdolonych natoli! Żaden z was nie jest lepszy!

— Towarzy sze, proszę — zaczął Mołnia.

Ale Gimli go nie słuchał. Jego twarz przybrała odcień surowego mięsa. Jednym ruchem potężnych ramion cisnął dwoma dżokerami na boki i pomaszzerował do Mrównika.



Lalkarz był bardzo niezadowolony z tego, że pozwala Gimlemu odejść. Któregoś dnia będzie musiał zabić tego wrednego kurdupla.

Jednakże przetrwanie było ważniejsze nawet od zemsty. W pierwszej kolejności musiał ograniczyć przewagę liczebną przeciwnika, a w ten sposób zrobi to najszybciej.



Po pryszczatych policzkach Gimlego spływały łzy.

— Dość już tego — łkał. — Zabieramy go do lekarza i to natychmiast.

Pochylił się i przerzucił sobie przez kark bezwładną, porośniętą futrem rękę. Całun rozejrzał się wkóło z czujnym błyskiem w widocznych nad bandażami oczach, a potem dołączył do niego.

Towarzysz Wolf stanął przed drzwiami.

— Nikt stąd nie wyjdzie.

— Kurwa, co ty gadasz, mały człowieczku? — poparł go wojowniczym tonem Ulrich.  
— Wcale nie jest tak ciężko ranny!

— A kto tak powiedział, he? — zapytał Całun. Hartmann po raz pierwszy zauważył, że dżoker mówi z kanadyjskim akcentem.

Twarz Gimlego wykrzywiła się jak zmięta szmata.

— Nie pierdol. On cierpi. Jest umierający. Wypuść nas, do cholery.

Ulrich i Annekę sięgali ukradkiem po broń.

— Zjednoczeni wytrwamy, podzieleni upadniemy, bracie — zacytował Wolf. — Jak mawiają u was w Ameryce.

Rozległ się podwójny trzask. Wszyscy odwrócili głowy. Drapacz stał pod przeciwległą ścianą i mierzył z karabinu szturmowego prosto w sprzączkę wojskowego pasa blond terrorysty.

— W takim razie właśnie upadliśmy, towarzysze — oznajmił. — Bo jeśli Gimli powiedział, że idziemy, to idziemy.

Wolf wciągnął nagle wargi. Wyglądał jak starzec, który zapomniał sztucznej szczęki. Zerknął na Ulricha i Annekę. We dwoje oskrzydłali dżokerów. Gdyby wszyscy zaatakowali jednocześnie...

Trzymający Mrównika za jeden z nadgarstków Całun uniósł wolną ręką AKM.

— Tylko spokojnie, natolu.

Mackie poczuł, że dłonie zaczynają mu brzęczeć. Tylko dotyk dłoni Mołni na jego ramieniu powstrzymał go przed poszatkowaniem na plasterki jakiegoś dżokera. *Paskudne potwory!*

*Wiedziałem, że nie można im ufać.*

— A co ze sprawami, za które walczymy? — zapytał Rosjanin.

Gimli pociągnął za rękę Mrównika.

— Walczymy za niego. Jest dzokerem. I potrzebuje pomocy.

Twarz towarzysza Wolfa przybrała kolor bakłażana. Żyły na jego skroniach uwydatniły się jak połamane palce.

— Dokąd się wybieracie? — warknął przez zaciśnięte zęby.

— Prosto za Mur — odparł ze śmiechem Gimli. — Tam czekają na nas przyjaciele.

— Zatem idźcie. Porzućcie nas. Porzućcie marzenia o wielkich rzeczach, których mieliście dokonać dla innych potworów, takich jak wy. Nadal mamy senatora. Zwycięży my. A jeśli was kiedyś złapiemy...

— Jak to się skończy, trudno wam będzie złapać nawet oddech — przerwał mu ze śmiechem Drapacz. — Zapewniam, że świnie wkrótce was obleżą. Totalnie wszystko spierdoliliście. Już czuję ten zapach.

Ulrich łypnął na niego wojowniczo, nie zważając na wy celowany w jego brzuch karabin.

— Nie — powstrzymał go Mołnia. — Pozwólmy im odejść. Jeśli zaczniemy ze sobą walczyć, wszystko będzie stracone.

— Zmiatajcie stąd — rzucił Wolf.

— Jasne — zgodził się Gimli. Na spółkę z Całunem wynieśli ostrożnie Mrównika na nieoświetlony korytarz opuszczonego bloku. Drapacz osłaniał ich, dopóki nie zniknęli mu z oczu, a potem podbiegł do wejścia. Zatrzymał się i uśmiechnął do wszystkich w takim stopniu, w jakim pozwalała mu na to chityna, po czym zamknął za sobą drzwi.

Ulrich cisnął o nie kałasznikowem. Na szczęście broń nie wystrzeliła.

— Skurwysyny!

Anneke wzruszyła ramionami. Najwyraźniej cała ta psychodrama mocno ją znudziła.

— Amerykanie — skwitowała.

Mackie podeszedł do Rosjanina. Wszystko było nie tak. Ale Mołnia to naprawi. Wierzył w to głęboko.



Rosyjski as był łatwy jak bułka z masłem.



Ulrich odwrócił się błyskawicznie, zaciskając potężne łapska w pięści.

— I co teraz zrobimy, he?

Wolf siedział na stołku, wspierając brzuch na udach, a ręce na kolanach. Gdy podniecenie wywołane wielką przygodą minęło, postarzał się wyraźnie. Być może smak wielkiego czynu,

mającego być zwieńczeniem podwójnego życia, które wiódł przez tyle lat, stał się gorzki na jego języku.

— O co ci chodzi, Ulrich? — zapytał zmęczonym głosem.

Potężnie zbudowany terrorysta spojrział na niego z oburzeniem.

— O to, że właśnie nadszedł nasz ostateczny termin. Jest dziesiąta. Słyszałeś, co mówili w radiu. Nadal nie spełniono naszych warunków.

Uniósł AKM i wprowadził nabój do lufy.

— Czy możemy już zabić skurczybyka?

Anneke parsknęła śmiechem dźwięcznym jak dzwon.

— Twoje głębokie zrozumienie polityki nie przestaje mnie zdumiewać, Kochanie.

Wolf podwinął rękaw płaszcza i spojrział na zegarek

— Oto, co zrobimy. Ty, Anneke, i ty, Wilfried, wyjdziecie i przekazecie uzgodnioną przedtem przez nas wiadomość do centrum kryzysowego, które władze tak dogodnie dla nas ustanowiły. Obie strony udowodniły już, że potrafią grać na przeczekanie. Pora trochę przyśpieszyć sprawę.

— Nie — sprzeciwił się towarzysz Mołnia.



Strach narastał. Kawaleczek po kawaleczku skupiał się w raka, czarnego i bezkształtnego, wypełniającego środek jego mózgu. Z upływem każdej minuty tętno Mołni zdawało się przyśpieszać o jedno uderzenie. Miał wrażenie, że zebra mu wibrują od szybkich uderzeń serca. W gardle czuł suchość i ból, a policzki mu płonęły, jakby zaglądał przez otwarte drzwi do wnętrza krematorium. W ustach czuł smak odpadków. Musiał stąd wyjść. Wszystko od tego zależało.

Wszystko.

Nie — sprzeciwiła się część jego jaźni. *Musisz tu zostać. Tak wyglądał plan.*

Ujrzał oczami duszy obraz córki. Ludmiła siedziała w obróconym w gruzy budynku, a stopione oczy spływały jej po pokrytych pęcherzami policzkach. *Oto jak wygląda stawka, Walentinie Michajłowiczu* — odpowiedział inny, głębszy głos. *Nic nie może pójść źle. Czy odważysz się powierzyć wykonanie zdania tym niedorostkom?*

— Nie — sprzeciwił się. Wysznięte podniebienie omal nie pozbawiło go zdolności mowy. — Ja pójdę.

Wolf zmarszczył brwi. A potem uniósł w uśmiechu kąciki szerokich ust. Z pewnością nasunęła mu się myśl, że w ten sposób zdobędzie całkowite panowanie nad sytuacją. *Świetnie. Niech sobie myśli, co chce. Muszę się stąd wydostać.*

Mackie zablokował drzwi. Mackie Macher ze łzami wypływającymi z oczu. Mołnia poczuł przeszywające ukłucie strachu. Omal nie zerwał z dłoni rękawiczki, by porazić stojącego mu na drodze chłopaka. Wiedział jednak, że młody as nigdy by go nie skrzywdził. I wiedział też

dłaczego.

Wymamrotał przeprosiny i odsunął chłopaka na bok. Gdy drzwi się zatrzasnęły, za nimi rozległo się łkanie. Potem nie słyszał już nic poza echem własnych kroków, podążającym za nim wzdłuż pogrążonego w mroku korytarza.



*To był jeden z moich lepszych występów* — pogratulował sobie Lalkarz.

Bułka z masłem.



Mackie tłukł otwartymi dłońmi o drzwi. Mołnia go opuścił. To go zabolalo i nie mógł zrobić nic, by złagodzić ten ból. Nawet gdyby kazał swym rękóm zabrzączuć tak mocno, że mogłyby przebić stalowy pancerz.

Wolf nadal tu był. Wolf go obroni... ale on nigdy tego nie robił. Nie naprawdę. Pozwalał, żeby inni się z niego śmiali. Z niego, asa Mackiego, Mackiego Majchra. To Mołnia się za nim ujmował w ciągu kilku ostatnich tygodni. Mołnia otaczał go opieką.

Ale teraz odszedł. Choć nie powinien odchodzić. Ale odszedł.

Odrócił się ze łzami w oczach i osunął powoli na podłogę pod drzwiami.



Lalkarza wypełniła ekstaza. Wszystko szło zgodnie z jego planami. Jego lalki tańczyły tak, jak im rozkazał, i niczego nie podejrzewały. A on siedział sobie w zasięgu oddechu od nich i popijał ich emocje niczym brandy. Niebezpieczeństwo tylko dodawało im smaku. Był Lalkarzem i panował nad wszystkim.

W końcu nadeszła chwila, by skończyć z Mackie Majchrem i ulotnić się stąd.

Anneke przy stanęła nad młodocianym asem.

— Beka — szydziła z niego. — I ty chcesz się zwać rewolucjonistą?

Chłopak wstał, skomląc jak zagubione szczenię.

Lalkarz złapał za sznurek i pociągnął.

— Dlaczego nie poszedłeś sobie z resztą dzokerów, ty mały, brzydki pedale? — zapytał towarzysz Ulrich.



— Kreuzberg — stwierdził Neumann.

Osunięty bezwładnie na krzesło Tachion ledwie znalazł energię na to, by unieść głowę.

— Słucham? — zapytał. Dziesiąta wieczorem dawno już przeszła do historii. Obawiał się, że to samo można by powiedzieć o senatorze Hartmannie.

— Mamy ich — odparł z uśmiechem Niemiec. — To trwało piekielnie długo, ale w końcu udało się nam wytropić furgonetkę. Są w Kreuzbergu. To tureckie getto pod samym Murem.

Sara wciągnęła głośno powietrze i odwróciła szybkó wzrok.

— Ekipa antyterrorystów z GSG 9 jest gotowa do akcji — dodał Neumann.

— A czy oni znają się na tej robocie? — zapytał Tach, przypominając sobie popołudniowe fiasko.

— Są najlepsi. To oni w siedemdziesiątym siódmym odbili boeinga 737 Lufthansy, porwanego przez ludzi Nur al-Allaha do Mogadiszu. Hans-Joachim Richter osobiście dowodzi akcją.

Richter był szefem Zespołu nr 9 Federalnej Straży Granicznej, specjalnie powołanego do celów zwalczania terroryzmu po masakrze w Monachium w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. W Niemczech powszechnie uważano go za bohatera. Ponoć był asem, choć nikt nie wiedział, na czym mogłyby polegać jego moce.

Tachion wstał z krzesła.

— No to ruszajmy.



Lewa ręka Mackiego przecięła ciało towarzysza Ulricha od podstawy szyi aż po biodro. To było przyjemne wrażenie, a pocałunekkości podelscy tował go niczym dopalacz.

Ręka Ulricha odpadła. Mężczyzna gapił się na Mackiego. Rozdziawił usta, odsłaniając perfekcyjne zęby, i kłapnął nimi trzy razy, jak coś, co można zobaczyć na wystawie sklepu z pamiątkami.

Spojrzał na swe ciało, które jeszcze przed chwilą było ciałem pięknego zwierzęcia, i wrzasnął przeraźliwie.

Mackie przyglądał się temu z fascynacją. Gdy Ulrich krzyczał, jego odsłonięte płuca poruszały się niczym worek w odkurzaczu — szarawioletowe, wilgotne i poprzeszywane niebieskimi i czerwonymi żyłkami. Potem wnętrzości zaczęły się wylewać na zewnątrz, spadając na leżący na podłodze karabin. Upływ krwi pozbawił go siły, która pozwalała mu stać. Ulrich padł na ziemię.

— Święta Mario, Matko Boża — zawołał Wilfried. Z kącika ust popłynęły mu wymiociny, gdy odsuwał się od szczątków towarzysza. Nagle spojrzał gdzieś za plecy Mackiego.

— Nie... — zawołał.

Annekę wycelowała kałasznikowa w krzyż asa, zaciskając mocno palce z porażającego strachu.

Mackie zmienił fazę. Seria rozbryzgała Wilfrieda po ścianie.



Mołnia zatrzymał się z rękami wspartymi na kolanach, a plecami opartymi o pozbawiony kół wrak volvo. Oddychał głęboko, wciągając w płuca głębokie hausty pachnącego dieslowskimi spalinami powietrza berlińskiej nocy. W tej części miasta obcy raczej nie powinni pokazywać się

sami, ale on się tym nie przejmował. Bał się tylko strachu.

*Co się ze mną stało? Nigdy w życiu tak się nie czułem.*

Uciekł z mieszkania w ataku gorejącej paniki, ale gdy tylko znalazł się na zewnątrz, to uczucie zniknęło jak woda rozlana na rozgrzaną słońcem skałę na Przełęczy Chajberskiej. Próbował teraz wziąć się w garść, nie wiedząc przez chwilę, czy wykonać misję, czy wrócić i wysłać parę wściekłych szczeniaków Wolfa.

*Papiertin miał rację — powiedział sobie. Zrobiłem się za miękki i...*

Z góry dobiegł znajomy, ciężki terkot. Krew płynęła przez jego żyły niczym freon, gdy uniósł głowę i zobaczył rozbłyśki ognia tańczące na perkalowych zasłonach na drugim piętrze.

Po chwili było po wszystkim.

*Jeśli mnie tu nie znajdą, to być może, kto wie, nie zacznie się dziś trzecia wojna światowa.*

Odwrócił się i bardzo szybko oddalił.



Hartmann leżał na boku, czując, jak deski podłogowe wibrują pod siniakiem, którego zrobił sobie na policzku. Przewrócił krzesło kopniakiem, gdy tylko się zaczęło.

*Co poszło nie tak, do licha? — zastanawiał się z desperacją. Skurwysyn nie miał nic mówić. Tylko strzelać.*

To była powtórka z siedemdziesiątego szóstego. Lalkarz w swej arogancji ponownie posunął się za daleko. To jeszcze może kosztować go życie.

Nozdrza wypełniał mu smród gorącego smaru, krwi oraz świeżego, wilgotnego gówna. Słyszał, jak dwoje ocalałych terrorystów chodzi po pokoju, pokrzykując do siebie. Ulrich kopał jakiś metr od niego, charcząc głośno. Hartmann czuł wypływającą z niego energię.

— Gdzie on jest? Gdzie zniknął ten skurwiel? — zapytał Wolf.

— Przeszedł przez ścianę — odpowiedziała Anneke. Hiperwentylowała się, wydierając słowa z powietrza jak kawałki tkaniny.

— Miej oczy otwarte. Jezus Maria.

Ich strach miał intensywność ukrzyżowania. Stali obok siebie, starając się pokryć swymi karabinami wszystkie trzy wewnętrzne ściany. Hartmann również był przerażony. Wypaczony as wpadł w amok.

Ktoś krzyknął przeraźliwie i umarł.



Mackie zatrzymał się na chwilę z ręką zanurzoną po łokieć w plecach Anneke. Wyłączył brzęczenie, pozwalając, by jego dłoń sterczała z jej mostka niczym miecz. Krew wypływała ospale na skórzaną rękaw kurtki w miejscu, gdzie ręka Mackiego znikła w jej tułowiu. Podobał mu się ten widok, a także intymny dotyk serca Anneke przylegającego do jego ramienia. Ci



durnie nawet nie patrzyli w jego stronę, gdy wysunął się przez ścianę z sypialni. Zresztą i tak by to im nie pomogło. Trzy szybkie kroki i było po malej, rudej towarzysze Annekę.

— Pierdol się — rzekł i zachichotał.

Jej serce zadrżało konwulsyjnie po raz ostatni i znieruchomiało. Mackie włączył lekkie brzęczenie i wyszarpnął rękę. W tej samej chwili zatoczył krąg jej ciałem.

Wolf nadal stał obok Policzki mu drżały. Uniósł karabin w tej samej chwili, gdy Mackie się odwrócił. Chłopak cisnął w niego ciałem. Wolf wystrzelił. Mackie rozeźmiał się i zmienił fazę.

Mężczyzna opróżnił magazynek jedną, drżącą serią. Pokój wypełniły chmury sproszkowanego tylnu. Zwłoki Annekę spadły na senatora. Mackie odzyskał fizyczną postać.

Wolf błagał go o zmiłowanie, krzycząc po niemiecku i po angielsku. Mackie wyrwał mu broń, przy cisnął go do drzwi i, nie śpiesząc się, przepiłował mu głowę na dwie równe części.



*Skąd mi to przyszło do głowy?* — zadała sobie pytanie Sara Morgenstern. Jechała opancerzoną furgonetką, a różnobarwne światła berlińskiego śródmieścia padały na nią, a także na twarze i broń siedzących obok ludzi z GSG-9.

Nie była pewna, czy chodzi jej o to, co robi teraz, czy też o to, co wydarzyło się przedtem. Wiele tygodni przedtem, gdy wdała się w romans z Greggiem Hartmannem.

*Jakie to dziwne, jakie bardzo dziwne. Jak mogłam pomyśleć, że Kocham kogoś takiego? Teraz nie czuję do niego zupełnie nic.*

Nie była to jednak do końca prawda. Próżnię pozostawioną przez miłość wypełniło poprzednie uczucie, dodatkowo skażone toksycznym posmakiem zdrady.

*Andreo, Andreo, co ja uczyniłam?*

Przygryzła wargę. Komandos z GSG-9 siedzący naprzeciwko niej zauważył to i uśmiechnął się. W jego poczerwionej twarzy rozbłysły białe zęby. Natychmiast poczuła się zaniepokojona, ale w jego uśmiechu nie było nic seksualnego, tylko sympatia pozwalająca na chwilę odwrócić uwagę od czekającej go walki, o której myślał z przyjemnością i strachem. Odwzajemniła uśmiech i przytuliła się mocniej do siedzącego obok Tachiona.

Takizjanin objął ją ramieniem. To nie był czysto braterski gest. Nawet perspektywa niebezpieczeństwa nie przegnała całkowicie z jego głowy myśli o seksie. O dziwo, nie miała nic przeciwko temu, być może dlatego, że zdawała sobie sprawę, jak nedorzecznie tu wyglądają — para barwnych papużek siedząca pośród panter.

A Gregg... czy w ogóle obchodziło ją, co się z nim stanie?

*A może wolalabym, żeby nie wyszedł stamtąd żywy?*



Krzyki ucichły i odgłosy piłowania również. Hartmann bał się, że będą trwać bez końca.

Dławił się od smrodu przy palonych włosów oraz kości.

Czuł się jak postać ze średniowiecznej opowieści przedstawionej na obrazach Boscha. Żartok, któremu podano najwspanialszą ucztę, ale wszystkie przysmaki zmieniały się w popiół w jego ustach. Lalkarz nie zaspokoił głodu śmiercią terrorystów. Był prawie tak samo przerażony jak oni.

Usłyszał nucenie, zbliżające się powoli do niego — Morität, *Ballada o Mackiem Majchrze*. Szalony as pogrążony w morderczym amoku skradał się ku niemu, a z jego straszliwej ręki nadal ślapywały kawałki mózgu. Hartmann szarpał się w więzach. Ciało kobiety przebitej przez Mackiego przygniatało mu nogi. Za chwilę zginie. Chyba że...

Żółć podeszła mu do gardła na myśl o tym, co będzie musiał zrobić. Przełknął ją, sięgnął po sznureki pociągnął. Mocno.

Nucenie umilkło. Podobnie jak cichy stukot chodaków o drewnianą podłogę. Hartmann uniósł wzrok Mackie pochyłał się nad nim z bliskim w oczach.

Ściągnął trupa Anneke z nog senatora. Był silny, jak na swoje rozmiary. A może to było natchnienie? Postawił pionowo krzesło Hartmanna. Senator skrzywił się ze strachu przed dotknięciem. Bał się śmierci, ale alternatywy obawiał się niemal równie mocno.

Jego własny oddech niemalże go ogłuszał. Wyczuwał wzbierające w Mackiem uczucie. Wziął się w garść i zaczął je pieścić, pobudzać, sprawiać, że rosło.

Chłopak opadł na kolana przed krzesłem. Rozpiął rozporek Hartmanna, wsunął palce do środka, wyciągnął senatorskiego kutasa w wilgotne powietrze wypełniające izbę i wziął w usta jego żołądź. Zaczął poruszać głową w górę i w dół, najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Jego językowijał się wokół penisa niczym kaduceusz.

Hartmann jęknął. Nie mógł dopuścić, żeby sprawiało mu to przyjemność.

*W przeciwnym razie to się nigdy nie skończy* — zdrwił Lalkarz.

*Co ty mi robisz?*

*Ratuj ci życie. I zdobywam dla nas najlepszą lalkę ze wszystkich.*

*Ale on jest taki potężny... taki... nieprzewidywalny.*

Mimowolna rozkosz rozbijała jego myśli na kalejdoskopowe fragmenty.

*Ale teraz już go mam. Dlatego, że on chce zostać moją lalką. Kocha cię tak, jak ta neurotyczna suka Sara nigdy nie mogłaby cię pokochać.*

*Boże, Boże, czy nadal jestem mężczyzną?*

*Żyjesz. I przemycisz to stworzenie do Nowego Jorku. Od tej chwili każdy, kto stanie nam na drodze, zginie. A teraz odpręż się i ciesz się tym.*

Lalkarz przejął nad nim kontrolę. Mackie ciągnął mu laskę, a on wyciągał emocje z umysłu chłopaka, aż wytrysnęły w niego, gorące, wilgotne i słone.

Hartmann odchylił głowę do tyłu i zakrzyknął mimo woli.

Nie zaznał takiej rozkoszy od chwili śmierci Sukuba.



Senator Gregg Hartmann przepchnął się przez drzwi, w których dawno już wybito szybę. Oparł się o zimną metalową framugę i wyjrzał na ulicę. Nie było na niej nic poza wrakami samochodów oraz zielskiem wyrastającym ze szczelin w nawierzchni.

Wtem z dachu sąsiedniego budynku padł na niego biały blask reflektora, palący jak wiązka lasera. Uniósł głowę, mrugając.

— Mój Boże! — zawołał ktoś po niemiecku. — To senator.

Ulica wypełniła się samochodami, migotliwym blaskiem kogutów oraz hałasem. Wydarzyło się to dosłownie w mgnieniu oka. Hartmann zobaczył magentowe błyski sypiące się jak skry z włosów Tachiona, ujrzał też Carnifexa w jego komiksowym kostiumie. W drzwiach i za porzuconymi samochodami nagle pojawili się całkowicie spowici w czerń ludzie, którzy ruszyli naprzód ostrożnym truchtem, trzymając w rękach krótkie pistolety maszynowe.

Za nimi wszystkim i ujrzał Sarę w białym płaszczu będącym wyzywającą antytezą kamuflażu.

— U... uciekłem — odezwał się głosem skrzypiącym jak nienaoliwione zawiasy. — Wszyscy ... pozabijali się nawzajem.

Przesunął się po nim blask telewizyjnych reflektorów, biały i gorący jak mleko prosto z piersi. Spojrzał w oczy Sary i uśmiechnął się, ale jej wzrok wbił się w niego jak dwa żelazne pręty.

Zimny i twardy. *Wymknęła mi się. Z tą myślą nadszedł ból.*

Ale Lalkarz nie był zainteresowany bólem. Nie w takiej chwili. Wtargnął przez oczy prosto w nią.

A ona pobiegła ku niemu, rozpościerając ramiona. Jej usta były czerwonym otworem, z którego wypływały słowa wyrażające miłość. Hartmann poczuł, że jego lalka obejmuje go ramionami, a jej barwne od makijażu łzy spływają mu na kołnierz. Wypełniła go nienawiść do tej części jego własnej jaźni, która uratowała mu życie.

Ale w głębinach, do których światło nigdy nie docierało, Lalkarz się uśmiechnął.

# Zwierciadła duszy

MELINDA M. SNODGRASS

*Kwiecień w Paryżu.* Kasztany spowite w piękne różowo-białe szaty. Ich kwiecie opadające jak wonny śnieg do stóp posągów w Ogrodach Tuileries i unoszące się niczym kolorowa piana na błotnistych wodach Sekwany.

*Kwiecień w Paryżu.* Piosenka absurdalnie wypełniająca jego myśli, gdy stał przy prostym nagrobku na Cimetière Montmartre. Tak obrzydliwie nieadekwatna. Przegnał ją, ale po chwili wróciła z jeszcze większą intensywnością.

Poirytowany Tachion pochylił jeden bark i mocniej ścisnął prosty bukiet złożony z fiołków i konwalii. Zielony papier, w który owinięto je w kwiaciarni, szeleścił głośno na popołudniowym wietrze. Daleko po lewej słyszał niecierpliwe tony klaksonów. Niemalże stykające się ze sobą zderzakami samochody posuwały się powoli przez Rue Norvins, zmierzając ku Sacré-Coeur. Ze swymi lśniącobiałymi murami oraz kopułami bazyliki wyglądała jak budynek z tysiąca i jednej nocy unoszący się nad tym miastem światła i marzeń.

*Kiedy ostatnio widziałem Paryż.*

Earl o twarzy cechującej się pełną wyrazistością hebanowego posągu. Lena, zarumieniona i pełna pasji.

— Musisz to zrobić! — zawołała, szukając u Earla pomocy i pocieszenia.

— Tak zapewne będzie najlepiej — odparł cicho. Linia najmniejszego oporu. Coś bardzo dziwnego u tego akurat człowieka.

Tachion uklęknął i strzepnął płatki kwiatów pokrywające kamienną płytę.

Earl Sanderson Jr.

„Noir Aigle”

1919–1974

*Żyłes za długo, przyjacielu. Tak przynajmniej mówiono. Wszystkim tym wścibskim, hałaśliwym aktywistom przydałbyś się bardziej, gdybyś miał na tyle rozsądku, by umrzeć w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Albo — jeszcze lepiej — zginąć podczas wyzwania Argentyny lub Hiszpanii, czy może ratując Gandhiego.*

Położył bukiet na grobie. Nagły powiew sprawił, że delikatne dzwonki konwalii zdrząły jak rzęsy młodej dziewczyny tuż przed pocałunkiem. Albo jak rzęsy Blythe, zanim załała się łzami.

*Kiedy ostatnio widziałem Paryż.*

Zimny, posępny grudzień, park w Neuilly.

*Blythe van Renssaeler, znana też jako Lokata, zmarła wczoraj...*

Wstał niezgrabnie, otrząpął chusteczką do nosa kolana spodni, a potem wysmarował się z emfazą. Na tym właśnie polegał problem z przeszłością. Nigdy nie dało się jej pogrzebać na dobre.

Na płycie leżał wielki, zdobny wieniec. Róże, gladiole i całe metry wstążki. Wieniec dla niezującego bohatera. Mała stopa uniosła się i strąciła wieniec z grobu. Tachion przeszedł po nim z pogardą, miażdżąc obcasami kruche płatki.

*Nie da się przebłagać przodków, Jack. Ich duchy nie przestaną za tobą podążać.*

Jego duchy z pewnością nie przestały.



Na Rue Etex zatrzymał taksówkę, poszukał kartki i przeczytał po francusku, z wyraźnym akcentem, nazwę kawiarni na Lewym Brzegu. Potem usiadł spokojnie i czytał nazwy zgaszonych neonów, które mijali. *XXX. Le Filles! Les Sexy.* To dziwne, że cały ten seksbiznes ulokował się u stóp wzgórza, którego nazwa znaczyła dosłownie „Góra Męczenników”. Na Montmartre zginęli święci. W roku tysiąc pięćset trzydziestym czwartym na wzgórzu założono Towarzystwo Jezusowe.

Posuwali się naprzód hałaśliwymi, pełnymi przekleństw, zrywami. Taksówka pędziła jak szalona, po czym zatrzymała się gwałtownie. Słychać było klaksony i wymianę kreatywnych obelg. Przemknęli przez Place Vendome, mijając Ritza, w którym zatrzymali się członkowie delegacji. Tachion pochylił się nisko, choć nie było prawdopodobne, by ktoś go zauważył. Miał już ich wszystkich po dziurki w nosie. Sara, cicha, ugrzeczniona i tajemnicza jak mangusta. Zmieniła się po wizycie w Syrii, ale nie chciała się mu z niczego zwierzyć. Sokolica obnosiła się ze swoją ciężką i nie zamierzała przyjąć do wiadomości, że ma niewielkie szanse na wygraną w tej loterii. Mistral, młoda i piękna. Była taktowna, pełna zrozumienia i nie zdradziła jego wstydlivego sekretu. Fantazja, podstępna i ironiczna. Ona nie zachowała dyskrecji. Poczul, że do twarzy napływa mu gorąca krew. Jego upokarzająca przypadłość stała się publiczną tajemnicą. Ludzie śmiali się z niego i dyskutowali na ten temat tonem wahającym się od współczucia do wesołości. Zaciśnął mocno rękę na kartce. Przynajmniej jednej kobiecie będzie mógł spojrzeć w oczy bez wstydu. Była jednym z jego duchów, ale w obecnej chwili wolał jej towarzystwo od towarzystwa żywych.

Wybrała kawiarnię na Boulevard Saint-Michel, w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej. W tej okolicy zawsze gardzono burżuazją. Tachion zastanawiał się, czy Danelle nadal pozostała wierna tego rodzaju opiniom. A może upływ lat złagodził jej rewolucyjny zapał? Mógł tylko mieć

nadzieję na to, że jej inne zapaly zachowały swą moc. Potem sobie przypomniał i zapadł się w siebie.

No cóż, skoro nie czuł już smaku namiętności, mógł przy najmniej o niej pamiętać.

Spotkali się w sierpniu roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego. Miała dziewiętnaście lat i studiowała na uniwersytecie filozofię polityki, seks oraz rewolucję. Danelle z wielką chęcią pocieszyła ofiarę kapitalistycznego polowania na czarownice, nowego ulubieńca francuskiej lewicy intelektualnej. Jego cierpienia wypełniały ją dumą, jakby mistyczna aura męczeństwa mogła się przenosić przez cielesny kontakt.

Wykorzystała go. Ale, na Ideał, on również ją wykorzystał. Stała się dla niego całunem, zaporą przed bólem i wspomnieniami. Utonął w jej piździe i w winie. Siedział w penthousie Leny Goldoni na Champs-Élysées, ściskając butelkę wina i słuchając namiętnych rewolucyjnych mów. Retoryka interesowała go znacznie mniej niż pasja. Czerwone paznokcie stykały się na moment z czerwienią ust, gdy Dani niewprawnie zaciągała się wywołującym swędzenie krtani gauloisem. Czarne włosy, gładkie jak hebanowy hełm osłaniający drobną głowę. Bujne piersi rozciągające za ciasny sweter oraz krótkie spódnice odsłaniające niekiedy kuszącą biel wewnętrznych powierzchni ud.

Boże, ależ się ze sobą pieprzyli! Czy łączyło ich jakieś uczucie, czy tylko używali się nawzajem? Może i łączyło, ponieważ była jedną z ostatnich osób, które go potępiły i odrzuciły. Nawet się z nim spotkała owego mroźnego styczniowego dnia. Miał jeszcze wtedy bagaż i zachował resztki godności osobistej. Na peronie dworca Montparnasse wcisnęła mu pieniądze i butelkę koniaku. Nie odmówił. Z koniaku bardzo się ucieszył, a pieniądze oznaczały, że będzie go stać na kolejną butelkę.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim zadzwonił do Dani, gdy po kolejnej przegranej walce o więź z władzami Niemiec był zmuszony wrócić do Francji. Liczył na kolejną butelkę koniaku, następny datek i jeszcze jeden akt desperackiego cudzołóstwa, ale telefon odebrał mężczyzna, w tle było słycać płacz dziecka, a gdy wreszcie podeszła do telefonu, jej przekaz brzmiał jasno: „Pierdol się, Tachion”. Z chichotem zasugerował, że po to właśnie zadzwonił. Odpowiedział mu nieprzyjemny sygnał przerwonego połączenia.

Później, w zimnym parku w Neuilly, przeczytał o śmierci Blythe i nic więcej nie miało dla niego znaczenia.

Ale teraz, gdy delegacja przybyła do Paryża, Dani skontaktowała się z nim. Znalazł kartkę w swej skrzynce w Ritzu. Spotkanie na Lewym Brzegu, o porze, gdy srebrnoszare paryskie niebo przybierało różową barwę, a wieża Eiffla stawała się pajęczyną diamentowych świateł. Może mimo wszystko zależało jej na nim. Może, ku jego zawstyżeniu, to on był wobec niej obojętny.

Dôme była typową paryską kawiarnią dla klasy pracującej. Małe stoliki ściśnięte na

chodniku, barwne, niebiesko-białe parasole, zagonieni, zasępieni kelnerzy w niezbyt czystych białych strojach. Zapach kawy i *grillade*. Tach przyjrzał się garstce klientów. Jak na Paryż było jeszcze wcześniej. Miał nadzieję, że nie usiadła w środku, gdzie było gęsto od dymu papierosowego. Zatrzymał spojrzenie na tegiej kobiecie w znoszonym, czarnym płaszczu. Na jej zmęczonej twarzy widniał wyraz skupienia i...

*Dobry Boże, czy to może być... NIE!*

— *Bon soir*, Tachion.

— Danelle — zdołał wykrzusić słabym głosem i złapał się oparcia krzesła.

Uśmiechnęła się do niego enigmatycznie, wypila łyk kawy i zgasiła papierosa w brudnej popielniczce. Potem zapaliła nowego, odchyliła się do tyłu w okropnej parodii swej dawnej, seksownej pozy i przyjrzała mu się przez obłoki dymu.

— Nie zmieniłeś się.

Poruszył ustami, a ona roześmiała się smutno.

— Trochę trudno ci wydusić z siebie odpowiedni banał? Pewnie, że się zmieniłam. Minęło trzydzieści sześć lat.

*Trzydzieści sześć lat. Blythe miałaby teraz siedemdziesiąt pięć.*

Intelektualnie zdawał sobie sprawę z faktu, że życie Ziemiaków trwa żałośnie krótko. Ale nad tym szczególnie do tej pory się nie zastanawiał. Blythe umarła. Braun pozostawał niezmienny. David zaginął, dlatego w jego wspomnieniach wciąż były młody i pełen wdzięku, tak samo jak Blythe. Jego nowi przyjaciele, Tommy, Anielska Buzia i Hiram, dopiero wracali w nieprzyjemny okres wielki średniego. Mark był z nich najmłodszy. Ale czterdzieści jeden lat temu to ojciec Marka skonfiskował statek Tachiona. A on sam nawet się wtedy jeszcze nie urodził!

Wkrótce (przynajmniej według takizjańskiej rachuby czasu) będzie zmuszony przyglądać się, jak przechodzą z młodości w nieunikniony schyłek, a potem w śmierć. Jego tyłek dotknął zimnego, kutego żelaza. Cieszył się, że krzesło zapewnia mu oparcie.

— Danelle — powtórzył.

— Nie pocałujesz mnie na pamiątkę dawnych czasów, Tachy?

Pod wyblakłymi oczami miała ciężkie, żółtawe worki. Szare, łamliwe włosy związała w niedbały kok, a głębokim bruzdom wokół ust szkarłatna szminka nadawała wygląd krwawiących ran. Pochyliła się bliżej, uderzając go falą cuchnącego oddechu. Mocny tytoń, tanie wino, kawa i zepsute zęby tworzyły razem mieszankę, od której skręcało mu żołądek.

Wzdrygnął się. Tym razem jej śmiech sprawiał wrażenie wymuszonego, jakby nie spodziewała się takiej reakcji i próbowała ukryć ból. Ochryply rechot przeszedł w długi atak kaszlu. Zerwał się z krzesła i podbiegł do niej, ale odrzuciła w irytacją jego kojącą rękę.

— Rozedma. I nie praw mi cholernych kazań, *le petit docteur*. Jestem już za stara, żeby rzucić

palenie, i za biedna, by przyciągnąć uwagę lekarzy, gdy nadejdzie pora umrzeć. Dlatego pałę więcej, licząc na to, że śmierć nadejdzie szybciej i w ten sposób nie będzie to kosztowało zbyt wiele.

— Danelle...

— *Bon Dieu*, Tachion! Ależ z ciebie tępak. Nie chciałeś mnie pocałować na pamiątkę dawnych czasów i konwersacja też nie idzie ci najlepiej. Choć przypominam sobie, że przed laty również nie byłeś zbyt rozmowny.

— Wszelki kontakt, jakiego potrzebowałem, znajdowałem na dnie butelki koniaku.

— Ale nie widzę, żeby ci to zbyt wiele zaszkodziło. Spójrzcie! Oto wielki człowiek!

Widziała w nim światową sławę o ciągle szczupłej sylwetce, odzianą w brokaty i koronki, ale on, spoglądając wstecz na odbicie tysiąca wspomnień, dostrzegał kawałkę utraconych lat. Tanie pokoje cuchnące potem, wymiotami, moczem i rozpaczą. Jęki w hamburskim zaułku, gdzie pobito go prawie na śmierć. Zawarcie diabelskiego paktu z uśmiechającym się łagodnie mężczyzną w zamian za kolejną butelkę. Halucynacje na jawie w więzieniu Tombs.

— Czym się zajmujesz, Danelle?

— Jestem pokojówką w Hotel Intercontinental. — Najwyraźniej odgadła bieg jego myśli.

— Tak, to mało chwalebny koniec dla tego całego rewolucyjnego ferworu. Rewolucja nigdy nie nadeszła, Tachy.

— To prawda.

— Nie sprawiasz wrażenia, by zламаło ci to serce.

— To również prawda. Nigdy nie akceptowałem waszej wizji utopii.

— Ale zostałeś z nami. Dopóki cię nie wyrzuciliśmy.

— Tak. Byliście mi potrzebni i wykorzystałem was.

— Mój Boże, cóż za szczere, płynące z głębi duszy wyznanie! Tego typu spotkania zwyczajowo ograniczają się do „*bonjour*”, „*Comment allez-vous*” i „Ojej, w ogóle się nie zmieniłaś”. Ale to wszystko już odbębniłszy, prawda?

Gorzki, drwiący ton dodawał ostrości jej słowom.

— Czego chcesz, Danelle? Dlaczego prosiłaś mnie o to spotkanie?

— Dlatego, że wiedziałam, że to nie będzie dla ciebie przyjemne. — Niedopałek drugiego gauloisa podążył w ślad za pierwszym na spotkanie okrutnej śmierci w popielnicze. — Nie, to nieprawda. Widziałam waszą kolumnę samochodów. Flagi i limuzyny. To mi przypominało inne lata i inne chorągwie. Chciałam sobie przypomnieć. Tak się pechowo składa, że z upływem lat wspomnienia młodości stają się bledsze i mniej rzeczywiste.

— Niestety, mnie ta łaska nie dotyczy. My nie zapominamy.

— Biedny mały książę.



Znowu rozkaszła się wilgotno.

Tachion wyciągnął portfel z kieszeni na piersi i wy dobył z niego banknoty.

— A co to ma być?

— To za pieniądze i koniak, które dałaś mi wtedy. Z odsetkami za trzy dzieści sześć lat.

Wzdrygnęła się. W jej oczach rozbłysły nieprzelane łzy.

— Nie prosiłam cię o jałmużnę ani o litość.

— No pewnie. Po prostu pragnęłaś się na mnie odegrać i mnie zranić.

Odwróciła się.

— Nie. Chciałam tylko przypomnieć sobie inne czasy.

— One nie były zbyt dobre.

— Może dla ciebie. Ja je kochałam. Byłam szczęśliwa. I nie schlebiam sobie. Nie z twojego powodu.

— Wiem o tym. Twoją pierwszą i jedyną miłością była rewolucja. Trudno mi uwierzyć, że z niej zrezygnowałaś.

— A kto powiedział, że zrezygnowałam?

— Ty sama... myślałem...

— Nawet starzy mogą się modlić o zmiany. Być może gorliwiej niż młodzi. Swoją drogą...

— dopiła kawę z głośnym siorbnięciem — ...dlaczego nam nie pomogłeś?

— Nie byłem w stanie.

— Ach, czy wieście, mały księżę jest zagorzałym rojalistą. Lud nigdy cię nie obchodził.

— Nie w tym sensie, w jakim wy używacie tego słowa. Redukujecie ludzi do sloganów. Ja urodziłem się po to, by ich prowadzić, bronić i dbać o nich indywidualnie. Nasz sposób jest lepszy.

— Jesteś pasażerem!

Na moment ujrzał w jej twarzy cień dziewczyny, którą była kiedyś.

— Nie, jestem arystokratą — odparł z bliskim smutku uśmiechem. — Zapewne mogłabyś twierdzić, że to jest samo. — Dotknął długim palcem wskazującym stosiku franków.

— Cokolwiek możesz na ten temat sądzić, to nie arystokratyczne sentymenty powstrzymały mnie przed użyciem mocy dla wsparcia waszej sprawy. To, co robiliście, było stosunkowo nieszkodliwe. Nie przypominaliście współczesnych radykałów, którzy nie mają nic przeciwko zabijaniu ludzi tylko dlatego, że dobrze im się powodzi.

Zgarbiła się nieco.

— Proszę, przejdź do rzeczy.

— Straciłem moc.

— Co? Nigdy nam o tym nie powiedziałaś.

— Nie chciałem utracić swej mistycznej aury.

— Nie wierzę ci.

— Mówię prawdę. A wszystko to przez tchórzostwo Jacka. — Jego twarz pociemniała. — Komisja do spraw Działalności Antyamerykańskiej kazała Blythe zeznawać ponownie. Domagali się, żeby podała im nazwiska wszystkich znanych asów, a znalazła je, ponieważ przechowywała mój umysł. Już miała ich zdradzić, ale użyłem swej mocy, by ją powstrzymać, i w ten sposób ją zniszczyłem. Wtrąciłem kobietę, którą kochałem, w nieuleczalny obłąd.

Uniosł drżące palce do wilgotnego czoła. Ponowne opowiedzenie tej historii w tym akurat mieście przywróciło jej pełną, bolesną moc.

— Minęły lata, nim uwolniłem się od poczucia winy. Dopiero Żółw mi to umożliwił. Zgubiłem jedną kobietę, ale uratowałem drugą. Czy to zrównoważyło szalę?

Mówił raczej do siebie niż do niej.

Danelle nie była jednak zainteresowana jego dawnymi cierpieniami. Jej własne wspomnienia były zbyt intensywne.

— Lena okropnie się wściekła. Powiedziała, że jesteś odrażającym wyzyskiwaczem. Ciągłe tylko bierzesz i nic nie dajesz w zamian. Wszyscy chcieli cię wyrzucić, bo zniszczyłeś nasz piękny plan.

— Tak i nikt nie opowiedział się po mojej stronie. Nawet Earl. — Jego mina złagodniała, gdy ujrzał za zniszczeniami spowodowanymi przez czas młodą dziewczynę, którą pamiętał. — Nie, to nieprawda. Ty mnie broniłaś.

— Tak — mruknęła w odpowiedzi. — Ale nic to nie dało. Minęły lata, nim odzyskałam szacunek towarzyszy.

Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w blat.

Tachion zerknął na zegarek, który miał w obcasie. Wstał.

— Dani, muszę już lecieć. Delegacja ma o ósmej odwiedzić Wersal. Muszę się przebrać. To było... — Spróbował jeszcze raz. — Bardzo się cieszę, że się ze mną skontaktowałaś.

Te słowa nawet jemu samemu wydawały się wymuszone i nieszczerze.

Jej twarz wykrzywiła się w grymasie smutku, a potem zastygła w wyrazie goryczy.

— I to wszystko? Czterdzieści minut i *au revoir*? Nawet się ze mną nie napijesz?

— Przepraszam, Dani. Mój harmonogram...

— Ach, prawda. Jesteś wielkim człowiekiem. — Stosik banknotów nadal leżał między nimi na blacie. — No dobra, wezmę je jako przykład twojej *noblesse oblige*.

Uniosła bezkształtną torebkę i wyciągnęła z niej sfatygowany portfel. Następnie zebrała banknoty i wepchnęła je do niego. Znieruchomiała na chwilę, wpatrując się w jedno ze zdjęć, które w nim miała. Jej pomarszczone wargi rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

— Nie, jeszcze lepiej. Dam ci za te pieniądze coś wartościowego.

Sęlate, artretyczne palce wyjęły fotografię z portfela i rzuciły ją na stół.

Widniała na niej młoda kobieta o zapierającej dech w piersiach urodzie. Rzęka rudych włosów na wpół przesłaniała wąską, ukrytą w cieniu twarz. Oczy spoglądały ku górze, figlarne i świadome. Dziewczyna dotykała delikatnym palcem wskazującym pełnej dolnej wargi, jakby chciała uciszyć tego, kto na nią patrzył.

— Kto to jest? — zapytał Tachion, choć czuł porażającą pewność, że zna odpowiedź.

— Moja córka. — Spojrzeli sobie w oczy. Dani uśmiechnęła się szerzej. — I twoja również.

— Moja.

To słowo wyrwało się z jego ust jako radosne westchnienie zachwytu.

Całe znużenie i ból wywołane podróżą ulotniły się w jednej chwili. Widział prawdziwe okropności. Dżokerów kamienowanych w slumsach Rio. Ludobójstwo w Etiopii. Ucisk w Południowej Afryce. Głód i choroby wszędzie. Utracił z tego powodu nadzieję, czuł się pokonany. Ale jeśli ona chodziła po tej planecie, wszystko będzie można znieść. Nawet cierpienia wywołane impotencją zbladły. Wraz z męskością utracił znaczną część samego siebie. Ale teraz powetował sobie tę stratę.

— Och, Dani, Dani! — Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń. — Nasza córka. Jak ma na imię?

— Gisele.

— Muszę się z nią zobaczyć. Gdzie ona jest?

— Gnije. Umarła.

Te słowa roztrzaskały się w powietrzu wokół Tachiona. W głąb jego duszy wbiły się odłamki lodu. Z ust wyrwał mu się krzyk bólu. Rozplakał się. Łzy przeciekały mu przez palce.

Danelle sobie poszła.



Wersal, najwspanialszy hołd dla boskich praw królów, jaki kiedykolwiek zbudowano. Tachion, głośno stukający obcasami o parkiet, zatrzymał się nagle i przyjrzał otaczającej go scenerii przez zniekształcający obraz kryształ kieliszka z szampanem. Mógłby przez chwilę uwierzyć, że jest w domu. Tęsknota, jaka go dopadła, była niemal dotykalna w swej intensywności.

*Na tym świecie rzeczywiście nie ma piękna. Jakżebym pragnął opuścić go na zawsze.*

*Nie, to nieprawda* — poprawił się po chwili, spoglądając na twarze przyjaciół. *Wielu tu zasługuje na miłość.*

Obok niego zatrzymał się jeden z ulizanych asystentów Hartmanna. Czy to był ten, któremu uśmiech losu pozwolił przeżyć porwanie w Niemczech, czy też sprowadzono go specjalnie na tę okazję, by służyć jako mięso armatnie na użytek tej bardzo kosztownej wyprawy? No cóż, może dzięki wzmocnionej ochronie zdoła wrócić żywy do domu.

— Doktorze, de Valmy chciały się z panem spotkać.

Młody mężczyzna utorował mu drogę przez tłum. Kosmita z uwagą przyjrzał się najpopularniejszemu od czasów de Gaulle'a kandydatowi na prezydenta Francji. Wielu ludzi nie wątpiło, że Franchot de Valmy okaże się zwycięzcą następnych wyborów. Wysoki i szczupły polityk swobodnie poruszał się w tłumie. Jego gęste, kasztanowe włosy przesywało szerokie na pięć centymetrów pasmo bieli. Wyglądało to uderzająco. Jeszcze bardziej uderzający, choć mniej oczywisty, był fakt, że de Valmy jest dziką kartą. Asem. W kraju, który szalał na punkcie asów.

Hartmann i de Valmy uściśli sobie dłonie w perfekcyjnym pokazie politycznej opery mydlanej. Dwóch głodnych łowców wykorzystujących nawzajem swe wpływy i popularność, by sięgnąć po najwyższy urząd w swych krajach.

— Panie de Valmy, doktor Tachion.

De Valmy skierował na kosmitę całą moc swych oszałamiająco zielonych oczu. Tachion, wychowany w kulturze, która bardzo wysoko ceniła uroki charyzmy, musiał przyznać, że Francuz posiada obie te cechy na niemal takizjańską skalę. Zadał sobie pytanie, czy na tym właśnie polega jego dar dzikiej karty.

— Doktorze, czuję się szaszyczony — rzekł de Valmy po angielsku.

— To mnie spotkał szaszycyt — odparł Tachion po francusku, kładąc drobną dłoń na piersi.

— Interesuje mnie, co pan sądzi o pracach naszych uczonych nad wirusem dzikiej karty.

— No cóż, przybyłem tu dopiero przed chwilą. — Dotknął kłapy marynarki, uniósł wzrok i przeszył de Valmy'ego ostrym spojrzeniem. — Czy mam pomówić o tym ze wszystkimi kandydatami w wyborach? Czy oni również chcieliby usłyszeć moje uwagi?

Senator Hartmann postąpił mały krok naprzód, ale de Valmy wybuchnął śmiechem.

— Jest pan bardzo bystry. To prawda, jak mawiają Amerykanie, pragnę wykorzystać swoją szansę.

— I słusznie — poparł go z uśmiechem Hartmann. — W końcu obecny prezydent namaścił pana na swojego następcę.

— To z pewnością zapewnia przewagę — zgodził się Tachion. — Ale status asa również panu nie zaszkodził.

— To prawda.

— Chętnie bym się dowiedział, na czym polega pana moc.

De Valmy zasłonił oczy.

— Och, *monsieur* Tachion, wstydę się o niej wspominać. To naprawdę zawstydzający drobiazg. Zwykłe sztuczki iluzjonisty.

— Jest pan bardzo skromny.

Asystent Hartmanna łypnął na niego ze złością. Takizjanin ze spokojem odwzajemnił jego

spojrzenie, choć żałował tej chwili sarkazmu. Był zmęczony i nieszczęśliwy, ale odgrywanie się z tego powodu na innych świadczyło o złym wychowaniu.

— Nie jestem ponad to, by robić użytek z darów, które otrzymałem, doktorze, ale mam nadzieję, że to program i zdolności przywódcze zapewnią mi prezydenturę.

Tachion roześmiał się cicho, spoglądając w oczy Greggowi Hartmannowi.

— Czyż nie ma ironii w tym, że we Francji dzika karta ułatwia kandydatowi zdobycie najwyższego urzędu, podczas gdy w naszym kraju podobna informacja doprowadziłaby do jego porażki?

— Leo Barnett — odparł senator z grymasem niezadowolenia.

— Kto taki? — zapytał wyraźnie zdezorientowany de Valmy.

— To fundamentalistyczny kszonozieja, który zdobył w naszym kraju spore poparcie.

Chciałby przywrócić wszystkie dawne prawa przeciwko dzikim kartom.

— Obawiam się, że jest nawet gorzej, senatorze. Podejrzewam, że zamknąłby wszystkich zarażonych w obozach odosobnienia i poddał ich przymusowej sterylizacji.

— No cóż, to nieprzyjemny temat. Jest też jednak inny, równie nieprzyjemny temat, który chciałbym z tobą omówić, Franchot. Chodzi mi o to, co sądzisz o wycofaniu z Europy pocisków średniego zasięgu. Co prawda, nie mam żadnych wpływów w obecnej administracji, ale moi koledzy z senatu...

Ujął de Valmy'ego pod pachę i obaj się oddalili. Ich liczni asystenci podążali za nimi niczym ryby piloty liczące na udział w łupach.

Tach przelknął łyk szampana. Żyrandole odbijały się w długim szeregu luster, zwiększających po stołcość ich liczebność. Ich jaskrawe światła wbijały się w jego bolącą głowę jak odłamki szkła. Wypił kolejny łyk szampana, choć wiedział, że alkohol jest częściowo odpowiedzialny za dręczące go dolegliwości — podobnie jak nieustanny szmer setek głosów, dźwięk smyczków poruszających się pracowicie po strunach oraz pełne podziwu tłumy na zewnątrz. Był wrażliwym telepatą i ich myśli napierały na niego jak głodne, niecierpliwe morze.

Gdy kolumna samochodów jechała długim, obsadzonym kasztanami bulwarem, mijali setki gapiów, machających rękami i wyciągających szyje, by choć przez chwilę ujrzeć *les ases fantastiques*. Sprawilo im to wielką ulgę po nienawiści, z jaką spotkali się w innych krajach. Mimo to Tachion cieszył się, że został im już tylko jeden kraj do odwiedzenia, zanim będą mogli wrócić do domu. Nawet jeśli nie czekało go tam nic poza kolejnymi problemami.

*Na Manhattanie po ulicach krąży James Spector. Wcielona śmierć wyrwała się na swobodę. Kolejny potwór stworzony przez moją ingerencję. Po powrocie do domu muszę rozwiązać ten problem. Wytropić go. Odnaleźć. Powstrzymać. Postąpiłem straszliwie głupio, zostawiając go, by popędzić za Ruletką.*

A co stało się z nią? Gdzie się teraz podziewa? Czy popełniłem błąd, uwalniając ją? Z pewnością jestem głupcem, gdy chodzi o kobiety.

— Tachion. — Radosny głos Sokolicy wzmocniony tonami Mozarta wyrwał go z zamyślenia.  
— Musisz to zobaczyć.

Przywołał z powrotem na twarz uśmiech, unikając spoglądania na jej coraz bardziej wydatny brzuch. Mordecai Jones, mechanik samochodowy z Harlemu czujący się wyraźnie nieswojo w smokingu, nerwowo spoglądał za wysoką lampę ze złota i kryształu, jakby obawiał się ataku z jej strony. Długi szereg zwierciadeł przywoływał wspomnienia Gabinetu Luster, a obecność Desa wzmacniała dodatkowo to skojarzenie. Palce na końcu słoniowej trąby dżokera drżały lekko. Tachion czuł się, jakby z barków zwiślał mu martwy ciężar przeszłości.

Grupa przyjaciół i towarzyszy podróży rozstała się, odsłaniając zgarbioną, wypaczoną postać. Dżoker obrócił się wkoło i uśmiechnął do Tacha. Miał przystojną twarz. Szlachetną, lekko zmęczoną, z bruzdami wokół oczu i ust pozostałymi po dawnych cierpieniach. To była miła twarz... twarz samego Tachiona. Zebrani parsknęli śmiechem, widząc, jak Takizjanin gapi się na własne odbicie.

Twarz poruszyła się jak ugniatana glina albo wyciskana gąbka i dżoker odzyskał oryginalny wygląd. Wielka, kanciasta głowa, brązowe, pełne wesołości oczy, siwa czupryna oraz karłowate, wypaczone ciało

— Niech mi pan wybaczy — rzekł ze śmiechem. — Nie mogłem przepuścić takiej okazji.

— Najlepsza w tym była twoja mina, Tachy — dodała Poczwardka.

— Ty możesz się śmiać, bo jesteś bezpieczna — burknął Des. — Ciebie nie podrobi.

— Tach, to jest Claude Bonnell, *Le Miroir*. Wsławił się występami w Lido.

— Robi sobie jaja z polityków — mruknął Mordecai.

— Ma rewelacyjny numer z Ronaldem i Nancy Reaganami — dodała z chichotem Sokolica.

Jack Braun, przyciągnięty śmiechami, zatrzymał się na skraju grupy. Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Tachiona, ale kosmita nie raczył go zauważyć. Jack przesunął się na przeciwną stronę kręgu.

— Claude próbował nam wyjaśnić całą tę serię skrótowców składającą się na francuską politykę — tłumaczył Kopacz. — Opowiadał o imponującym wyczynie de Valmy'ego, który zdołał zmontować koalicję złożoną z RP, CDS, JSS, PCF...

— Nie, nie, panie Downs, nie może pan wymieniać mojej partii pośród tych, które popierają de Valmy'ego. Komuniści mają lepszy gust i własnego kandydata.

— Który nie ma szans — warknął Braun, spoglądając z góry na małego dżokera.

Rysy twarzy Bonnella znowu się zamazały.

— Niektórzy popierali cele światowej rewolucji — rzekł cicho Earl Sanderson Jr.

Jack pobladł śmiertelnie i zatoczył się do tyłu. Kieliszek pękł w jego rękach z cichym trzaskiem. Pojawiła się złota luna biologicznego pola siłowego asa, które obudziło się do życia, by go osłaniać. Zapadła pełna skrępowania cisza. Potężnie zbudowany as odszedł.

— Dziękuję — rzekł chłodnym tonem Tachion.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Przybył pan tu jako przedstawiciel dzikich kart?

— Częściowo, ale mam też oficjalną pozycję jako przedstawiciel kongresu partii.

— Jest pan wielką szychą wśród komuchów — stwierdził Kopacz i zagwizdał z typowym dla siebie brakiem taktu.

— Tak

— Skąd pan wziął twarz Earla? A może po prostu zadał pan sobie trud, by zapoznać się z życiorysami uczestników ekspedycji? — zapytała Poczwarła.

— Posiadam słaby talent telepatyczny. Potrafię odczytywać twarze tych, którzy wywarli na kogoś głęboki wpływ.

Do Tachiona znowu podszedł asystent Hartmanna.

— Doktorze, przyjechał doktor Corvisart. Chciałby się z panem spotkać.

— Wybaczcie, panowie i panie — rzekł Takizjanin z przepraszającym wyrazem twarzy.

— Wzywają mnie obowiązki i muszę na chwilę zapomnieć o przyjemnościach.

Uklonił się i odszedł.

Po godzinie słuchał już małej orkiestry kameralnej, pozwalając, by uspokajające dźwięki kwintetu Schuberta *Pstrąg* wywarły na niego swe magiczne działanie. Zaczynały go boleć nogi. Uświadomił sobie, że czterdzieści lat spędzonych na Ziemi pozbawiło go umiejętności stania przez wiele godzin bez przerwy. Przypomnił sobie dawne lekcje manier. Wciągnął brzuch, rozprostował ramiona i uniośł podbródek. Ulga była natychmiastowa, ale doszedł do wniosku, że kolejny kieliszek również mu pomoże. Wypatrzył kelnera i sięgnął po szampana. Nagle się zachwiał i wpadł ciężko na niego. O jego tarcze uderzył osłepiający, nieukierunkowany atak mentalny.

*Kontrola umysłu.*

*Źródło?*

*Gdzieś na zewnątrz.*

*Cel?*

Do jego umysłu niejasno docierał brzęk tłuczonych kieliszków. Tachion osunął się na zaskoczzonego kelnera. Wysiłkiem woli otworzył powieki, które nagle zrobiły się niewiarygodnie ciężkie. Zniekształcający efekt potężnej kontroli umysłu i jego własnych psionicznych poszukiwań był tak silny, że sama rzeczywistość stała się dziwnie niepewna. Jaskrawe barwy strojów gości

wyblakły, przechodząc w szarość. „Widział” mentalną sondę jako jasną linię światła. U źródła stawała się zamazana, uniemożliwiająca ścisłą lokalizację. Było też jednak halo:

Mężczyzna.

Mundur.

Jeden z oficerów ochrony.

Dyplomata.

BOMBA!

Sięgnął umysłem do oficera i zapanował nad nim. Mężczyzna przez chwilę wiał się i tańczył jak cma w płomieniach, gdy jego operator i Tachion walczyli o panowanie nad nim. Obciążenie okazało się zbyt wielkie dla jego ludzkiego umysłu. Świadomość zgasła jak zdmuchnięta świeca i major runął na podłogę, rozpościerając szeroko nogi. Tach poczuł, że jego palce zaciskają się na czarnej skórzanej dyplomacie, choć nie pamiętał, jak się przy niej znalazł.

*Operator wie, że utracił kontrolę nad celem. Zapalnik zegarowy czy detonowany na sygnał? Nie ma czasu się nad tym zastanawiać.*

Rozwiązanie, gdy nadeszło, było niemal nieświadome. Sięgnął na zewnątrz, by ustanowić swe panowanie. Jack Braun zeszytniał, wypuścił z ręki kieliszek i popędził ku długim oknom wychodzącym na ogród przed pałacem oraz fontanny. Ludzie padali jak kręgle, gdy potężnie zbudowany as przedzierał się przez tłum. Tachion uniósł rękę, pomodlił się do przodków o celność i siłę, a potem rzucił mu teczkę.

Jack, jak bohater futbolowego filmu z lat czterdziestych, skoczył w górę, złapał w locie wirującą dyplomatkę, przycisnął ją sobie mocno do piersi i wyskoczył przez okno. Jego lśniące złotym blaskiem ciało otoczyła aureola odłamków szkła. W okamgnieniu potężna eksplozja potłukła wszystkie pozostałe szyby w Galerii Zwierciadlanej. Kobiety krzyczały, gdy ostre jak brzytwa odłamki wbijały się w ich nieosłoniętą skórę. Szkło i żwir z dziedzińca sypały się na drewnianą podłogę niczym małąbryczny deszcz.

Ludzie podbiegli do okna, by sprawdzić, co z Braunem.

Tachion odwrócił się do nich plecami i ukłęknął nad oddychającym spazmatycznie majorem. Trzeba mieć właściwe priorytety.



— Omówmy to raz jeszcze.

Tach przesunął obolały tyłek na twardym plastikowym krześle, zmieniając pozycję tak by móc ukradkiem spojrzeć na zegarek. Dziesięć minut po północy. Naprawdę nie sposób było wątpić, że policja na całym świecie jest taka sama. Zamiast okazać wdzięczność za to, że zapobiegł tragedii, potraktowano go jak przestępcę. Jackowi Braunowi oszczędzono tego wszystkiego, ponieważ władze uparły się, by zabrać go do szpitala. Rzecz jasna, nic mu się nie



mogło stać. Dlatego właśnie Tachion go wybrał. Rankiem wszystkie gazety z pewnością będą wychwalały bohaterkiego amerykańskiego asa. *A o mnie nikt nie wspomni* — pomyślał skwaszony Takizjanin.

— *Monsieur?* — ponaglił go Jean Baptiste Rochambeau z francuskiej Sûreté.

— W jakim celu? Wszystko już wam powiedziałem. Wyczułem działanie potężnej postaci naturalnej kontroli umysłu. Ponieważ jej użytkownik był niewyszkolony i nie panował w pełni nad swoją mocą, udało mi się zlokalizować jej źródło. Dotarłem do umysłu operatora, przeczytałem w nim obecność bomby, zapanowałem na umysłem Brauna, rzuciłem mu walizkę, on wyskoczył przez okno, bomba eksplodowała, a jemu nic się nie stało. Co najwyżej miał na sobie parę kawałków krzewów.

— Pod oknami Galerii Zwierciadlanej nie rosną krzewy — poinformował go policjant asystujący Rochambeau wysokim, nosowym głosem.

Tach obrócił się na krześle.

— To był taki żarcik — wyjaśnił delikatnym tonem.

— Doktorze Tachion, nie wątpimy w pańską opowieść. Chodzi po prostu o to, że to niemożliwe. We Francji nie ma równie potężnego... mentata? — Spojrzał na Tachiona z prośbą o potwierdzenie. — Jak tłumaczył doktor Corvisart, rejestrujemy wszystkich nosicieli zarówno jawnych, jaki utajonych.

— W takim razie jakiś wam się wymknął.

Corvisart, arogancki, siwowłosy mężczyzna o pulchnych policzkach jak u susła i małych, wyduńczonych ustach, potrząsnął z uporem głową.

— Wszystkie niemowlęta testuje się i rejestruje zaraz po urodzeniu. Wszystkich imigrantów sprawdza się na granicy. Każdy turysta musi się poddać testowi, zanim otrzyma wizę. Jedyńm rozwiązaniem jest to, co podejrzewałem od dawna. Wirus zmutował.

— To całkowity i oczywisty absurd! Z całym szacunkiem, doktorze, to ja jestem największym autorytetem w sprawie wirusa dzikiej karty na tym świecie i na każdym innym.

Być może była to lekka przesada, ale z pewnością wybaczalna. Już od wielu godzin musiał cierpliwie tolerować głupców.

— Nasze badania powszechnie uważa się za najlepsze na świecie — warknął Corvisart, drżąc z oburzenia.

— Ach, ale ja nie publikuję swoich wyników. — Tachion wstał. — Nie muszę tego robić. — Postąpił krok naprzód. — Mam coś, co zapewnia mi przewagę. — Kolejny krok — Pomogłem stworzyć to cholerstwo! — ryknął Francuzowi prosto w twarz.

Corvisart uparcie nie ustępował.

— Myli się pan. Mentat istnieje, nie jest zarejestrowany, *ergo* wirus zmutował.

— Chciałbym zobaczyć wasze wyniki, powtórzyc badania i obejrzeć te sławetne rejestry.

To ostatnie zdanie było skierowane do Rochambeau, który mógł mieć duszę policjanta, ale przynajmniej nie był idiotą.

Oficer Sûreté uniósł brwi.

— Ma pan coś przeciwko temu, doktorze Corvisart?

— Chyba nie.

— Chce pan zacząć już teraz?

— Czemu by nie? I tak już dzisiaj nie pośpię.



Zostawili go w gabinecie Corvisarta, udostępniając mu godny podziwu komputer, aktówki wypełnione wynikami badań, wysoką na prawie pół metra stertę dyskielek oraz filiżankę mocnej kawy, do której Tach dodał sporą dawkę brandy z manierki noszonej u pasa.

Badania były solidne, ale ukierunkowane na potwierdzenie ulubionej hipotezy Corvisarta. Nadzieja na zdobycie sławy dzięki odkryciu zmutowanej postaci wirusa — *Wild Cardus Corvisartus*? — dyskretnie wpływała na interpretację danych przez Francuza. Wirus nie mutował.

*Dzięki Bogom i przodkom* — uradował się ze szczerego serca Tach.

Gdy przeglądał machinalnie rejestr dzikich kart, jego uwagę przy ciągnęła jakaś anomalia. Coś tu było nie w porządku. Była piąta rano, niezbyt odpowiednia pora na to, by cofnąć się o kilka lat i sprawdzić, czy rzeczywiście zobaczył to, co mu się zdawało, ale wpojone mu zasady i wrodzona ciekawość wzięły górę. Po kilku minutach gorączkowego klepania w klawiaturę udało mu się podzielić ekran na dwie części i wyświetlić oba dokumenty jednocześnie. Usiadł wygodnie, miętosząc nerwowo palcami i tak już rozczochrane włosy.

— A niech mnie szlag — rzekł głośno w pustym pokoju.

Drzwi się otworzyły i mówiący przez nos sierżant wsadził głowę do środka.

— *Monsieur*? Czy czegoś potrzeba?

— Nie, dziękuję.

Wyciągnął błyskawicznie rękę i skasował kompromitujące dokumenty. Nie podzieli się z nikim swoim odkryciem. To był polityczny dynamit. Ta informacja zakłóciłaby wybory, pozbawiła najpoważniejszego kandydata prezydentury i podważyłaby podstawy zaufania elektoratu.

Tach wcisnął ręce w krzyż, rozciągnął się tak mocno, że aż usłyszał trzask kręgow, i zwiesił głowę jak zmęczony koń.

— Sierzancie, obawiam się, że nie znalazłem nic, co mogłoby mi pomóc. Czuję się już bardzo zmęczony. Czy moglibyście odwieźć mnie do hotelu?



Jednakże łóżko w Ritzu również nie dało mu odpoczynku ani pocieszenia. Dlatego opierał się

teraz o barierkę na Pont de la Concorde i obserwował płynące dołem barki z węglem, radując się wonią pieczonego chleba, która zdawała się wypełniać całe miasto. Wszystkie części jego drobnego ciała cierpiały z powodu jakichś dolegliwości. Oczy piekły go jak dwie dziury wypalone w kocu, plecy nadal miał obolałe od tego niewiarygodnego krzesła, a jego żołądek domagał się pożywienia. Najgorsze było jednak to, co nazywał mentalną niestrawnością. Zobaczył albo usłyszał coś ważnego i dopóki nie znajdzie rozwiązania, jego mózg nie przestanie kłpieć jak powidła gotujące się na piecu.

— Czasami czuję się tak, jakbyś miał własny umysł — oznajmił swemu umysłowi.

Ruszył przez Place de la Concorde, na którym Maria Antonina straciła głowę. To miejsce upamiętnia obecnie starożytny egipski obelisk. Miał do wyboru mnóstwo restauracji — Hotel de Crillon; Hotel Intercontinental, odległy zaledwie o dwie przecznice, gdzie Dani z pewnością wzięła się już do pracy; wreszcie Ritz. Od czasu dramatycznych wydarzeń poprzedniego wieczoru nie widział nikogo ze swych towarzyszy. Z pewnością przywitaliby go głośnymi okrzykami i gratulacjami. Postanowił, że daruje sobie to wszystko.

Nadal miał na sobie zdobny strój z wczorajszego dnia — jasnolawendowy i różowy, ozdobiony koronkami. Zmarszczył brwi, gdy taksówkarz wybałuszył oczy na jego widoki i wjechał na chodnik, omal nie uderzając w jedną z fontann. Zawstydzony Tachion przedostał się na drugą stronę zdobnego żelaznego ogrodzenia, do ogrodu Tuileries. Po obu bokach miał Jeu de Paume oraz Orangerie, a przed sobą równe szeregi kasztanów i fontann oraz całe mnóstwo posągów.

Zmęczony Tach usiadł na skraju fontanny, która obudziła się do życia. Twarz kosmity pokryła delikatna mgiełka wody. Przez chwilę siedział tam z zamkniętymi oczami, radując się chłodnym dotykiem wilgoci. Potem przeniósł się na pobliską ławkę, wyjął zdjęcie Gisele i przez chwilę przyglądał się jej delikatnym rysom. Dlaczego, gdy przyjeżdżał do Paryża, zawsze znajdował tu tylko śmierć?

Nagle ostatni kawałek wpasował się na swoje miejsce. Układanka leżała przed nim rozwiązana. Zerwał się na nogi z krzykiem radości i pobiegł przed siebie jak szalenciec. Wysokie obcasy jego zdobnych czółenek ślizgały się po żwirze. Zatrzymał się z przekleństwem na ustach i zdjął buty. Trzymając je w dłoniach, wbiegł na schody i wpadł na Rue de Rivoli. Klaksony trąbiły, opony piszczwały, kierowcy wrzeszczeli, ale on pędził naprzód, nie zważając na to wszystko. Zatrzymał się zdyszany dopiero przed szkłano-marmurowym wejściem do Hotel Intercontinental. Napotkawszy zdumione spojrzenie portiera, włożył buty, poprawił płaszcz, przyglądał rozczochrane włosy i wszedł sobie spokojnie do holu.

— *Bonjour.*

Recepcjonista — przystojny, trzydziestokilkuletni mężczyzna o gładko przyczesanych kasztanowych włosach oraz ciemnoniebieskich oczach — uniósł wzrok z narastającym

zdumieniem, rozpoznając ekstrawagancko odzianego gościa, którego miał przed sobą.

— Pracuje tu kobieta nazwiskiem Danelle Moncey. Muszę koniecznie z nią porozmawiać.

— Moncey? Nie, *monsieur* Tachion, nie ma tu nikogo...

— Cholera! Wyszła za mąż. Zapomniałem o tym. Jest pokojówką, po pięćdziesiątce, ma czarne oczy i siwe włosy.

Serce waliło mu mocno, co z kolei powodowało łomotanie w skroniach. Młody mężczyzna przyglądał się nerwowo jego dłoniom. Tachion zacisnął je mocno na kłapach marynarki recepcjonisty, wciągając go na blat. Takizanin puścił go i potarł koniuszki palców.

— Błagam o wybaczenie. Jak pan widzi, to bardzo ważne... bardzo ważne dla mnie.

— Bardzo mi przykro, ale nie pracuje tu żadna Danelle.

— Jest komunistką — dodał zdesperowany Tachion.

Recepcjonista znowu potrząsnął głową.

— Nie, nie, François — odezwała się nagle dziarska blondynka stojąca za ladą kantoru. — No wiesz, Danelle.

— To znaczy, że ona tu jest?

— Och, *mais oui*. Na trzecim piętrze...

— Mogłaby ją pani tu przyprowadzić?

Tachion obdarzył dziewczynę swym najlepszym zachęcającym uśmiechem.

— *Monsieur*, ona pracuje — sprzeciwił się recepcjonista.

— Zajmę jej tylko chwilę.

— *Monsieur*, nie mogę przyprowadzić sprzątaczkę do holu Intercontinentala — zaprotestował mężczyzna bliskim płaczu głosem.

— Na krew! Zatem ja pójdę do niej.



Danelle była zajęta wpychaniem pościeli do kosza. Wciągnęła nagle powietrze na jego widok i spróbowała go ominąć, używając swojego wózka jako tarana. Odsunął się na bok tanecznym krokiem i złapał ją za nadgarstek.

— Musimy porozmawiać — oznajmił, uśmiechając się jak głupi.

— Pracuję.

— Weź dzień wolny.

— Stracę robotę.

— Nie będziesz już jej potrzebowała.

— Niby dlaczego?

Jakieś małżeństwo wyszło z pokoju i popatrzyło na nich z zainteresowaniem.

— Tak nie może być — stwierdziła, spoglądając na niego, po czym zerknęła na tani zegarek.

— Zostało mi już niedużo czasu do przerwy obiadowej. Spotkajmy się w Café Morens tuż obok hotelu, przy Rue du Juilliet. Kup mi jakieś papierosy i to, co zawsze.

— To znaczy co?

— Będą wiedzieli. Zawsze tam jem.

Ujął twarz kobiety w dłonie i pocałował ją. A potem się uśmiechnął na widok jej zdumionej miny.

— Co ci się stało?

— Opowiem ci w kawiarni.

Biegąc przez hol, zauważył, że recepcjonista właśnie odkłada słuchawkę w jednej z budek telefonicznych.

— Znalazł ją pan? — zawołała młoda blondynka, machając do Tachiona ręką.

— Znalazłem. Bardzo pani dziękuję.



Tachion wiercił się nerwowo za jednym z małych stolików ustawionych na ulicy przed kawiarnią. Ulica była tak wąska, że parkujące tu samochody musiały wjeżdżać dwoma kołami na chodnik.

Dani zjawiła się po chwili i zapaliła gauloisa.

— O co w tym wszystkim chodzi?

— Okłamałaś mnie. — Pogroził jej żartobliwie palcem przed nosem. — Nasza córka nie umarła. W Wersalu... to nie była dzika karta. To był ktoś z mojej krwi. Nie mam ci za złe, że chciałaś mnie zranić, ale pozwól, bym wszystko ci wynagrodził. Zabiorę was obie do Ameryki.

Ulicą przemknął mały samochód. Od szarych murów budynków odbił się echem terkot automatycznej broni. Danelle poderwała się nagle na krzesło. Tachion złapał kobietę i rzucił się razem z nią na chodnik za jednym z zaparkowanych pojazdów. Jego udo przeszył ból przypominając rozżarzony pogrzebacznik, a łokieć uderzył o chodnik z głośnym trzaskiem. Leżał nieruchomo, przyciskając policzek do nawierzchni. Czuł, że po dłoni spływa mu coś ciepłego. Noga mu odrętwiała.

Danelle oddychała chrapliwie. Tachion przejął kontrolę nad jej umysłem. Pojawiła się Gisele, odbijająca się milion razy w milionie różnych wspomnień. *Gisele*. Cudowny, gorejący robaczek świętojański.

Sięgnął ku niej z desperacją, ale oddalała się od niego. Zagubiona nieuchwytna magia dziewczyny znikła w mroczniejszych korytarzach jej umierającej matki.

Danelle umarła.

Gisele umarła.

Ale pozostawiła część siebie. Syna. Tach uczył się jej umierającego umysłu, gwałcąc

wszystkie zasady zaawansowanej mentatyki. Zawładnęła nim panika i uciekł od tej straszliwej granicy.

W świecie fizycznym w powietrzu unosiło się przeraźliwe wycie syren. *Och, przodkowie, co mam teraz zrobić?* Pozwolić, by znaleziono go tu z zamordowaną pokojówką? Absurd. Zadawalioby mu pytania. Dowiedzieliby się o jego wnuku. Jeśli dzięki karty uważano tu za skarb narodowy, o ile bardziej wartościowy byłby ćwierćkrwi Takizjanin?

Nadchodził ból. Tachion poruszył na próbę nogą i przekonał się, że kula ominęła kość. Od wysiłku zalał go pot, a do gardła podeszła mu żółć. Jak mógłby dotrzeć do Ritza? Zacisnął zęby. Był księciem z klanu Ilkazamów. *To tylko dwie przecznice* — dodał sobie odwagi.

Położył delikatnie Danelle na chodniku, złożył jej ręce na piersiach i pocałował ją w czoło. *Matka mojego dziecka*. Potem odbędzie po niej przepisaną żałobę. Pierwszeństwo miała zemsta.

Kula czysto przeszła miękką część jego uda. Nie stracił zbyt wiele krwi. Na razie. Gdy ruszył w drogę, zaczęła wypływać przy każdym kroku. Kamuflaż, coś, co pozwoli zamaskować krew, na chwilę wystarczająco długą, by mógł przejść przez recepcję i dotrzeć do pokoju. Sprawdził zaparkowane obok samochody. Złożona gazeta. A okno było otwarte. To nie było idealne rozwiązanie, ale wystarczyło. Musiał tylko zapanować nad sobą na tyle, by nie umykać przez krótką drogę od drzwi frontowych do windy.

Bułka z masłem, jak powiedziałyby Mark. Szkolenie było wszystkim. I krew. Krew zawsze da o sobie znać.



Jack Braun spróbował zasnąć, ale nic mu to nie dało. Wreszcie, o szóstej, odkopnął na bok zmiętą koldrę, zdjął przepoconą piżamę, ubrał się i poszedł poszukać czegoś do jedzenia.

Pięć miesięcy pochylania głowy i ukradkowego oglądania się za siebie. Pięć miesięcy, a on nie odezwał się do Jacka ani słowem. Nie chciał nawet spojrzeć mu w oczy. Czy rzeczywiście warto było narażać się na takie piekło dla nadziei rehabilitacji?

Wszystko to przez inwazję Roju. To ona wyrwała go z bezpiecznego łona handlu nieruchomościami, kalifornijskich wieczorów i seksu na brzegach basenów. To był prawdziwy kryzys. Ucieszą się z każdego asa, nawet skalanego. Sprawił się dobrze, wykańczając mnóstwo potworów w Kentucki i w Teksasie. Dokonał też ciekawego odkrycia. Większość młodych asów nie miała pojęcia, kim właściwie był. Nieliczni, jak Hiram i Żółw, wiedzieli i to miało znaczenie, ale mógł to jakoś znieść. Może jednak będzie mógł wrócić. Znowu zostać bohaterem.

Potem Hartmann ogłosił, że organizuje podróż dookoła świata.

Jack zawsze podziwiał senatora za jego walkę o uchylenie niektórych przepisów Ustawy o Kontroli Egzoty cznych Mocy. Zadzwoił do niego i obiecał, że pokryje część kosztów. Politycy zawsze chętnie przyjmowali pieniądze, nawet jeśli nie mogli ich wykorzystać w kampanii. Jack

kupił sobie miejsce w samolocie.

W większej części nie było to takie złe. Odnosił wiele sukcesów u kobiet, zwłaszcza u Fantazi. Pewnej nocy we Włoszech, gdy leżeli razem w łóżku, opowiedziała mu ze złośliwym humorem o impotencji Tachiona. Śmiał się za długo i zbyt głośno. Pragnął zlekceważyć kosmitę. Sprawić, by wydał mu się mniej groźny.

Z biegiem lat dowiedział się co nieco o takizjańskiej kulturze dzięki wywiadam, które przeczytał. Zemsta z pewnością stanowiła ważny element ich kodeksu. Dlatego był ostrożny i czekał na atak Tachiona.

Ale nic się nie wydarzyło.

Napięcie wpędzało go do grobu.

Aż wreszcie nadeszła ostatnia noc.

Posmarował masłem ostatnią bułeczkę w koszu i popił twardy kąsek łykiem niewiarygodnie mocnej francuskiej kawy. Żeby tylko te Francuziki wiedziały, jak powinno wyglądać prawdziwe śniadanie. Rzecz jasna, mógłby zamówić amerykańskie śniadanie, ale jego cena była równie niewiarygodna jak moc kawy. Ten koszt pieczywa plus kawa kosztował go dziesięć dolarów. Gdyby dodał do tego parę jajek na boczku, cena wzrosłaby do trzydziestu. Za śniadanie!

Nagle uświadomił sobie absurdalność tej myśli. Był bogaty. Nie był już chłopakiem z farmy w Dakocie Północnej urodzonym w czasach Wielkiego Kryzysu. Pieniądze, którymi wsparł tę ekspedycję, wystarczyłyby, by kupić kawałek jumbo jeta, a przynajmniej zapłacić za paliwo zużyte podczas...

Do hotelu wszedł Tachion. Włoski na karku Jacka stanęły dęba. Drzwi restauracyjki, w której siedział, pozwalały mu na tylko ograniczony widok. Po chwili kosmita zniknął mu z oczu. Poczul, że mięśnie jego szyi i karku rozluźniają się. Uniósł z westchnieniem palec i zamówił pełne amerykańskie śniadanie.

*Tachion wyglądał dziwnie* — pomyślał, przenosząc machinalnie widelec między talerzem a ustami. *Poruszał się bardzo sztywno.* Z tą gazetą trzymaną przy udzie przypominał żołnierza na defiladzie. Ale to w końcu nie jego interes, co kombinuje ten skurczybyk.

Jednakże to, co wydarzyło się wczoraj, było jego interesem.

Gniew palił go w brzuchu niczym fizyczny ból. Rzecz jasna, bomba nie mogła mu zrobić krzywdy, ale... *zapanował nad moim umysłem.* Ot tak, jakby wziął sobie miętówkę ze stołu. W okamgnieniu zmienił go z człowieka w przedmiot.

Dokończył zótko. Gniew i oburzenie narastały w nim z każdą chwilą. Niech to szlag! Głupio było się bać kurdupłowatej cioty w wymyślnych fatalaszkach.

*To nie jest strach* — poprawił uprzejmie Jacka jego umysł. Trzymał się z dala od kosmity ze względu na uprzejmość, dlatego, że zdawał sobie sprawę, jak bardzo Tachion go nienawidzi. Ale

teraz Takizjanin zmienił zasady. Zapanował nad jego umysłem. Jack nie zamierzał tego tolerować.



Wyglądały jak para małych, czerwonych ust. Otwór wlotowy i wylotowy. Tach usiadł na krześle, odziany tylko w gacie, wbił sobie strzykawkę, opróżnił jej zawartość i zaczęła, aż środek przeciwbólowy zacznie działać. Na wszelki wypadek zaszczerpił się też przeciwko tężcowi i zrobił sobie zastrzyk z penicyliny. Zużyte strzykawki walały się na blacie obok gotowego do użytku gazika oraz bandaży. Na razie jednak pozwolił ranie się sączyć. Musiał się zastanowić. Zatem Danelle nie kłamała. Po prostu nie powiedziała mu wszystkiego. Gisele nie żyła. Pytanie brzmiało, dlaczego umarła. Czy jednak miało to znaczenie? Zapewne nie. Liczył się jedynie fakt, że wyszła za męża i urodziła syna. *Mojego wnuka*. Musiał go odnaleźć.

*A co z ojcem?* No właśnie, co? Zakładając, że jeszcze żył, nie był odpowiednim opiekunem dla chłopaka. To właśnie on — albo jakieś inne, niezbrane osoby — manipulował takizjańskim darem celem szerzenia chaosu.

Od czego miał zacząć? Z pewnością od mieszkania Danelle. Potem sprawdzi kartoteki, w poszukiwaniu aktu małżeństwa oraz świadectwa urodzin.

Jednakże atak na Danelle i na niego z pewnością nie był przypadkiem. Kimkolwiek byli, obserwowali go. Choć brzydził się tej myśli, będzie musiał uciec się do kamuflażu.



Braun zwlekał w korytarzu przez kilka chwil, ale w końcu oburzenie wzięło górę nad ostrożnością. Sprawdzał drzwi, przekonał się, że są zamknięte, szarpnął mocno za kłamkę i złamał ją. Następnie wszedł do środka i zamarł w bezruchu, zdumiony widokiem Tachiona. Kosmita siedział w fotelu i trzymał w ręce nożycki otoczony kręgiem obciętych, czerwonych loków.

Takizjanin wlepił w niego spojrzenie, trzymając w ręce ostatni kosmyk swych nieprawdopodobnych włosów.

— Jak śmiesz?

— Co ty wyprawiasz, do cholery?

To były pierwsze słowa, jakie wymienili od blisko czterdziestu lat. Z pewnością czegoś im brakowało.

Reszta sceny dotarła do świadomości Jacka w krótkich urywkach przypominających ujęcia kamery. Wyciągnął palec wskazujący.

— To jest rana postrzałowa.

— Nonsens. — Tachion pośpiesznie owiązał gazą białe udo porośnięte rudozłotymi włosami. — A teraz wynoś się z mojego pokoju.

— Najpierw muszę usłyszeć od ciebie kilka odpowiedzi. Kto do ciebie strzelał, do cholery?



— Strzelił palcami. — Bomba w Wersalu. Masz kontakty z ludźmi...

— NIE! — zaprzeczył Tachion stanowczo za szybko i zdecydowanie zbyt głośno.

— Czy zawiadomiłeś władze?

— Nie ma potrzeby. To nie jest rana postrzałowa. Nic nie wiem o żadnych terrorystach.

Obciął ostatni kosmyk gwałtownym ruchem nożyczek. Lok opadł na podłogę, ironicznie układając się w kształt bardzo przypominający znak zapytania.

— Dlaczego obcinaś włosy?

— Dlatego, że mam taką ochotę! A teraz zjeżdżaj, zanim zapanuję nad twoim umysłem i zmuszę cię do tego.

— Jeśli to zrobisz, wrócę i złamię ci ten cholerny kark. Nigdy mi nie wybaczyłeś...

— Tu akurat masz rację!

— Rzuciłeś we mnie cholerną bombą!

— Niestety, wiedziałem, że nic ci się nie stanie.

Długie, smukłe palce dotknęły głowy, poprawiając loki, by nie sterczały na wszystkie strony. Tachion nagle wydał się bardzo młody.

Braun podszedł bliżej i wsparł ręce na obu ramionach fotela, w praktyce więżąc kosmitę między nimi.

— Ta wyprawa jest ważna. Jeśli wykręcisz jakiś wariacki numer, możesz zaszkodzić reputacji wszystkich. Ciebie to guzik obchodzi, ale Gregg Hartmann jest ważny.

Kosmita odwrócił wzrok, gapiąc się beznamiętnie przez okno. Choć miał na sobie tylko gacie i koszulkę, i tak wyglądał po królewsku.

— Pójdę do Hartmanna.

W głębi liliowych oczu pojawił się błysk niepokoju, ale Takizjanin szybko go stłumił.

— Proszę bardzo, idź. Wszystko dobre, co pomoże mi się ciebie pozbyć.

Na długą chwilę zapadła między nimi cisza.

— Masz kłopoty? — zapytał nagle Braun. Kosmita nie odpowiedział. — Jeśli tak, powiedz mi. Może mógłbym ci jakoś pomóc.

Długie rzęsy się uniosły i Tachion spojrzał mu prosto w oczy. W tej chwili jego szczupła twarz nie miała w sobie nic młodego. Wydawała się stara, zimna i nieubłagana jak śmierć.

— Dziękuję, wystarczy mi już twojej pomocy, jak na jedno życie.

Jack niemalże wybiegł z pokoju.



Tachion zdjął miękki, brązowy kapelusz i miętosił go nerwowo w dłoniach. Maleńkie, dwupokojowe mieszkanie wyglądało, jakby przeszedł przez nie cyklon. Szuflady były otwarte, a na podrapanym blacie stała żałośnie pusta tania oprawka na zdjęcie. Co takiego ważnego w niej

umieszczono, że trzeba to było usunąć?

*Policja?* — zadał sobie pytanie. Nie, gliniarze byliby ostrożniejsi. To znaczyło, że byli tu zabójcy Dani, a policja jeszcze się nie zjawiała. Musiał się śpieszyć. Sztywny dotyk kupionych dopiero co dżinsów drażnił mu skórę. Takizjanin poprawił je nerwowo w kroczu, przerzucając książki w miękkiej oprawie, walające się we frontowym pokoju

Z sypialni dobiegł jakiś cichy zgrzyt. Tachion zamarł, podkradł się bezgłośnie do płytki do podgrzewania potraw i chwycił nóż leżący obok niej. Potem przeszedł błyskawicznie na drugą stronę pokoju i wcisnął się w ścianę, gotowy pchnąć nożem tego, kto wyjdzie z łączących pomieszczenia drzwi.

Kroki były ostrożne i ciche, ale spowodowały wibrację wystarczająco silną, by Takizjanin mógł się zorientować, że jego przeciwnik jest potężnie zbudowany. Dwa ciche oddechy — po jednym po obu stronach dzielącej od siebie pokoje ściany. Tach wstrzymał swój oddech i czekał. Mężczyzna wypadł z sypialni. Takizjanin pochylił się nisko i uderzył, gotowy wbić mu nóż pod żebra. Ostrze się złamało. Na brudne ściany mieszkania padł złoty blask Jack Braun złożył dłoń na kształt pistoletu i wsparł mocno palec wskazujący między oczami Tachiona.

— Pif, paf, nie żyjesz.

— NIECH CIĘ SZLAG! — Rozwścieczony Tach cisnął złamanym nożem o ścianę. — Skąd się tu wziąłeś?

— Śledziłem cię.

— Nie widziałem cię!

— Wiem. Jestem w tym dobry.

Implikacje były oczywiste.

— Czemu nie... zostawisz... mnie... w... spokoju?

— Dlatego, że wpakowałeś się w naprawdę poważne kłopoty.

— Poradzę sobie.

Jack Braun prychnął pogardliwie.

— Gdyby to był ktoś inny, już by nie żył! — zawołał Tach.

— Tak? A gdyby było ich więcej? I gdyby mieli pistolety?

— Nie mam teraz czasu dyskutować z tobą na ten temat. Zaraz może się tu zjawić policja — rzucił kosmita, oglądając się przez ramię. Wpadł do sypialni i kontynuował tam swe poszukiwania.

— Policja? CHWILECZKĘ! Co tu jest grane? Dlaczego policja?

— Dlatego, że kobietę, która tu mieszkała, zamordowano dziś rano.

— Rewelacja. A co ty masz z tym wspólnego? — Takizjanin zacisnął uparcie usta. Braun złapał go za koszulę i uniósł nad podłogę tak, że patrzyli sobie prosto w oczy, niemalże dotykając

się nosami. — Tachion — warknął ostrzegawczo.

— To prywatna sprawa.

— Nie, jeśli jest w nią włączona policja.

— Sam sobie poradzę.

— Nie sądzę. Nawet mnie nie zauważyłeś. — Tachion zrobił naburmuszoną minę. — A teraz powiedz mi, co tu jest grane. Może potrafię ci pomóc.

— No dobra — warknął poirytowany kosmita. — Szukam wskazówek, które pozwoliłyby mi ustalić miejsce pobytu mojego wnuka.

To wymagało dość długich wyjaśnień. Tachion opowiedział wszystko w szybkich, wypowiedzanych staccato zdaniach. Obaj jednocześnie grzebali w walających się w mieszkaniu rupieciami, ale nie znaleźli tam absolutnie nic.

— Teraz rozumiesz, dlaczego muszę go odszukać i wywieźć z kraju, zanim francuskie władze się zorientują, co mają w rękach — zakończył i położył rękę na kłamce. W tej samej chwili usłyszeli zgrzyt klucza w zamku.

— O cholera — wyszeptał Tach.

— Policja? — zapytał niemal bezgłośnie Jack.

— Z pewnością — odpowiedział równie cicho Takizjanin.

— Schody przeciwpożarowe.

Braun wskazał za swoje plecy.

Uciekli.



— Zobaczmy, co mamy.

Jack zatrzymał się, by zapalić papierosa. Tachion przerwał pożeranie ogromnego i bardzo opóźnionego obiadu, by wyszarpnąć z kieszeni kartkę. Rzucił ją Braunowi, ale nagły powiew zaniósł papierek do słoika z musztardą.

— Uwważaj, do diabła — mruknął poirytowany Jack i wytarł kartkę serwetką.

Tachion nie przestawał pochłaniać jedzenia. As odchrząknął z niezadowolaniem, wyjął okulary do czytania i zabrał się do odcyfrowywania tekstu napisanego ozdobnym charakterem Takizjanina.

*Gisele Bacourt i François Andrieux zawarli cywilny ślub piątego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego.*

*Jedno dziecko, Blaise Jeannot Andrieux, urodzone siódmego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego.*

*Gisele Andrieux zginęła w strzelaninie z ochroną osobistą przemysłowca Simona de Montfort dwudziestego ósmego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego.*

Mąż i żona byli członkami Francuskiej Partii Komunistycznej.

François Andrieux zatrzymano celem przesłuchania, a następnie zwolniono z uwagi na brak wystarczających dowodów.

Najpierw spróbowali najprostszego sposobu — sprawdzili w książce telefonicznej — ale nie byli zdziwieni, gdy okazało się, że Andrieux w niej nie figuruje. Jack westchnął, zakłosał się na krześle i schował okulary do kieszeni. Wieża Eiffla rzucała wydłużony cień na ustawione na chodniku stoliki kawiarni.

— Robi się już późno, a mamy dziś kolację w Tour Eiffel.

— Ja nie idę.

— Tak?

— Muszę pogadać z Claude'em Bonnellem.

— Z kim?

— Z Bonnellem. *Le Miroir*, pamiętasz?

— A po co?

— On jest ważną figurą w partii komunistycznej. Może zdobędzie dla mnie adres Andrieux.

— A jeśli to się nie uda?

Dym z papierosa palonego przez Brauna utworzył pętlę między nimi.

— Wolę o tym nie myśleć.

— Jeśli naprawdę chcesz znaleźć tego faceta, to lepiej pomyśl.

— Co sugerujesz?

— Spróbuj wytropić źródło materiałów, których użyto w bombie. Muszą gdzieś je kupować.

— To mi wygląda na długą i nudną robotę — odparł Tach, krzywiąc się z niezadowoleniem.

— Bo faktycznie taka jest.

— W takim razie wolę liczyć na Bonnella.

— Proszę bardzo, licz sobie. Ja tymczasem zajmę się bombą. Oczywiście, nie jestem pewien, gdzie możemy znaleźć tę informację. Pewnie mógłbyś zajrzeć do Rochambeau i po prostu przeczytać to z jego mózgu...

Tachion uniósł dłonie przed twarz, złączył palce w piramidkę i popatrzył na Jacka nad jej szczytem.

— Mam lepszy pomysł.

— Jaki?

— Nie bądź taki podejrzliwy. Moglibyście z Billym Rayem pogadać z Rochambeau o tej bombie. Powiedzieć mu, że myślicie, że była przeznaczona dla senatora, bo w końcu, o ile wiemy, mogło rzeczywiście tak być, a potem zasugerować wymianę informacji.

— To mogłoby się udać. — Jack dogasił papierosa. — Billy Ray jest asem z Departamentu

Sprawiedliwości i ochroniarzem Hartmanna. Oczywiście, na pewno zapyta, dlaczego się tym interesuję.

— Powiedz mu, że dlatego, że jesteś Złotym Chłopcem — odpowiedział Tachion tonem przesyconym stężonym jadem.



Garderoba Bonnella na zapleczu Lido wyglądała typowo. Wypełniał ją intensywny odór cold creamu, szminki aktorskiej oraz lakieru do włosów, nakładający się na delikatniejsze wonie wyschniętego potu oraz starych perfum.

Tachion usiadł okrakiem na krześle, wspierając ramiona na jego oparciu, i obserwował kończącego makijaż dzokera.

— Czy mógłby pan podać mi kołnierz?

Bonnell otoczył nim szyję, wstał, raz jeszcze przyjrzał się krytycznie czarno-białemu kostiumowi arlekina i z powrotem usiadł na sfatygowanym drewnianym krześle.

— Proszę bardzo, doktorze. Jestem gotowy. Proszę mi powiedzieć, co mogę dla pana zrobić.

— Chciałem pana prosić o przy usługę.

Rozmawiali po francusku.

— A na czym miałyby ona polegać?

— Czy macie listę członków? Chodzi mi o ich adresy.

— Jakrozumiem, mówimy o partii.

— Och, proszę mi wybaczyć. Oczywiście.

— W takim razie tak mamy taką listę.

Bonnell nie wykazywał zbyt wielkiej chęci pomocy, ale skrzępowany Tachion brnął dalej.

— A czy mógłby pan znaleźć dla mnie pewien adres?

— To zależy, do czego pan go potrzebuje.

— Zapewniam, że to nic podejrzanego. Chodzi o sprawę osobistą.

— Hmm. — Bonnell poprawił słoczkę i tubkę na toaletce, choć i tak już stały idealnie równo.

— Doktorze, pozwala pan sobie na bardzo wiele. Spotkaliśmy się tylko raz, a pan prosi mnie o prywatną informację. A gdybym zapytał, po co panu ten adres?

— Wolałbym nie odpowiadać.

— Podejrzałem, że tak właśnie pan powie. W takim razie obawiam się, że muszę odmówić.

Wyzerpanie, napięcie i pulsujący ból nogi opadły na Tacha na podobieństwo sztormowej fali. Ujął głowę w ramiona. Powstrzymał łzy. Chciał już dać za wygraną, gdy delikatna, lecz stanowcza dłoń ujęła go za podbródek i uniosła jego głowę ku górze.

— To znaczy dla pana bardzo wiele, prawda?

— Więcej, niż pan sobie wyobraża.

— Więc niech mi pan o tym opowie, żebym nie musiał sobie wyobrazić. Potrafi mi pan zaufać? Chociaż odrobinę?

— Przed wielu laty mieszkałem w Paryżu. Od dawna jest pan komunistą?

— Odkąd tylko miałem jakiegokolwiek pojęcie o polityce.

— W takim razie dziwię się, że nigdy pana nie spotkałem. Znałem ich wszystkich. Thoreza, Lenę Goldoni... Danelle.

— Nie mieszkałem wtedy w Paryżu. Nadal siedziałem w Marsylii, gdzie ciągle dostawałem komot od ponoć normalnych sąsiadów. — Uśmiechnął się z goryczą. — Francja nie zawsze dobrze traktowała swe dzikie karty.

— Przykro mi.

— Dlaczego miałyby być panu przykro?

— Dlatego, że to moja wina.

— To wyjątkowo głupia i samolubna opinia.

— Serdecznie panu dziękuję.

— Przeszłość jest martwa i pogrzebana. Odeszła bezpowrotnie i nie sposób przywołać jej z powrotem. Tylko teraźniejszość i przyszłość mają znaczenie, doktorze.

— A ja uważam, że to pańska opinia jest głupia i nazbyt uproszczona. Czyny popełnione w przeszłości mają wpływ na teraźniejszość i przyszłość. Przed trzydziestu sześciu laty przybyłem do tego kraju, złamany i zgorzkniały. Sypiałem tu z młodą dziewczyną. A teraz wróciłem i przekonałem się, że zostawiłem po sobie ślad trwalszy, niż mi się zdawało. Spłodziłem córkę, która narodziła się, żyła i umarła, a ja nawet nie wiedziałem o jej istnieniu. Mógłbym przeklinać za to jej matkę, ale niewykluczone, że postąpiła mądrze. Przez pierwszych trzy naście lat jej życia jej ojciec był zapijaczną szmatą. Cóż mógłbym jej wówczas dać?

Wstał, oddalił się o kilka kroków i stanął sztywno przed ścianą. Potem odwrócił się błyskawicznie i oparł plecami o chłodny tynk

— Z nią utraciłem szansę, ale Ideał przyznał mi następną. Miała syna, mojego wnuka. Pragnę go odnaleźć.

— A jego ojciec?

— Jest członkiem waszej partii.

— Mówi pan, że pragnie go odnaleźć. W jakim celu? Czy zamierza go pan ukraść ojcu?

Tach potarł znużone powieki. Czterdzieści osiem godzin bez snu dawało się odczuć coraz silniej.

— Nie wiem. Nie wybiegałem myślą tak daleko naprzód. Wiem tylko, że pragnę go zobaczyć, spojrzeć w twarz swej przyszłości.

Bonnell klepnął się dłońmi w uda i wstał z krzesła.

— *C'est bien*, doktorze. Człowiek zasługuje na szansę ujżenia skrzyżowania swej przeszłości,

teraźniejszości i przeszłości. Znajdę dla pana tego mężczyznę.

— Proszę mi tylko podać jego adres. Nie musi się pan do tego mieszać.

— Może się wystraszyć. Mógłbym go uspokoić, umówić was na spotkanie. Jak on się nazywa?

— François Andrieux.

Dżoker zapisał sobie nazwisko.

— Znakomicie. Porozmawiam z nim, a następnie zadzwonię do pana do Ritza...

— Już tam nie mieszkam. Może mnie pan znaleźć w Lys, na Lewym Brzegu.

— Rozumiem. Miał pan jakiś szczególny powód do przeprowadzki?

— Nie.

— Muszę poćwiczyć taką niewinną minę. Wygląda bardzo uroczo, choć niezbyt przekonująco.

— Tachion się zaczerwienił. Bonnell parsknął śmiechem. — Spokojnie, niech pan się nie obraża. Zdradził mi pan już dziś wystarczająco wiele swoich tajemnic. Nie będę pana pytał o nic więcej.



Członkowie wycieczki jedli kolację w drogim lokalu na wieży Eiffla.

Tachion, wsparty o poręcz na galerii widokowej, wiercił się nerwowo, czekając na przybycie Brauna. Przez okna restauracji widział, że na przyjęciu nadeszła już pora na brandy, kawę, cygara i mowy. Drzwi się otworzyły i rozchichotana Mistral wypadła na zewnątrz. Podążył za nią kapitan Donatien Racine, jeden z najslawniejszych francuskich asów. Jego jedyną mocą była umiejętność latania, ale w połączeniu z faktem, że był zawodowym żołnierzem, wystarczyło to, by prasa nadała mu imię Tricolor. Nie znosił tego przezwiska.

Racine objął Amerykankę w szczupłej talii i wyprowadził oboje za ochronną balustradę. Mistral pocałowała go krótko, uwolniła się z jego uścisku i odplynęła na łagodnym wietrze dmącym wokół wieży. Jej obszerna niebiesko-srebrna peleryna rozpostarła się szeroko, nadając dziewczynie wygląd egzotycznej ćmy przywabionej przez sieć spowijających wież światła. Obserwując parę, która krążyła w powietrzu, pogrążona w wymyślnej grze w berka, Tachion poczuł się bardzo stary, zmęczony i przykuty do ziemi.

Drzwi restauracji otworzyły się nagle i delegacja wypłynęła z nich jak woda przez pękającą tamę. Po pięciu miesiącach uroczystych kolacji i niekończących się mów, nie było nic dziwnego w tym, że uciekali tak szybko.

Braun, elegancko wyglądający w białym krawacie i fraku, zatrzymał się, by zapalić papierosa. Tachion dotknął go nitką telepatii.

Jack.

Złoty Chłopiec zeszywniał, ale nic po sobie nie okazał.

Gregg Hartmann obejrzał się za siebie.

— Jack, idziesz?

— Później was dogonię. Chcę przez moment odetchnąć świeżym powietrzem, obejrzeć widoki i popatrzeć na tę szaloną parę latających dzieciaków.

Wskazał na Mistral i Racine'a.

Po paru chwilach podszedł do stojącego przy poręczy Tachiona.

— Bonnell umówi nas na spotkanie.

Braun chrząknął i strząsnął popiół z papierosa.

— Kiedy wróciłem do hotelu, była już tam Sûreté. Starali się zachować dyskrecję, wypytując członków delegacji o miejsce twojego pobytu, ale dziennikarze zaczęli już węszyć. Czują sensację.

Takizjanin zbył to wzruszeniem ramion.

— Pójdiesz ze mną? Na to spotkanie?

Przodkowie, omal się nie udławił myślą, że musi go prosić o pomoc.

— Jasne.

— Mogę potrzebować pomocy, żeby sobie poradzić z ojcem.

— Zatem zamierzasz...

— Zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby dostać tego chłopaka.



*Montmartre*. Miejsce, gdzie artyści, autentyczni i niezupełnie, złatywali się niczym szarańcza, gotowi opaść na nieostrożnego turystę. *Portret pańskiej pięknej żony, monsieur*. O cenie uprzejmie nie wspominało, ale po ukończeniu obrazu okazywało się, że można by za nią nabyć dzieło jednego ze starych mistrzów.

Wycieczkowe autobusy wspinały się z wysiłkiem na wzgórze, by wysadzić tam rozentuzjarmowanych pasażerów. Cygańskie dzieci, krążące wokół niczym sępy, ruszały do akcji. Europejscy turyści, znający zwyczaje tych złodziei o niewinnych twarzach, odganiaли je głośnymi krzykami. Japończycy i Amerykanie, uspieni błyskami w czarnych oczach osadzonych w ciemnych twarzach, pozwalali im podejść bliżej. Później tego pożałują, gdy odkryją brak portfeli, zegarków i biżuterii.

Tak wielu ludzi i tylko jeden mały chłopiec.

Braun wsparł ręce na biodrach i rozglądał się z uwagą po placu przed Sacré-Coeur. Tłum był gęsty. Sztalugi wyrastały z niego niczym maszty na barwnym, wzburzonym morzu. Spojrzał z westchnieniem na zegarek

— Spóźniają się.

— Cierpliwości.

Ostentacyjnie zerknął na zegarek po raz drugi. Cyganiątka, zwabione widokiem wąskiego, złotego paska Longinesa, podkradły się bliżej.



— Zjeżdżać stąd! — ryknął Jack — Jezu, skąd one wszystkie się biorą? Czy mają tu fabrykę Cyganów, taksamo jak fabrykę dziwek?

— Matki z reguły sprzedają je „łowcom talentów” z Francji i Włoch. Potem uczą się je kraść i pracować dla właścicieli jak niewolnicy.

— Jezu, to brzmi jak coś z książek Dickensa.

Tachion osłonił oczy szczupłą dłonią, wypatrując Bonnella.

— Czy wiesz, że masz dziś wystąpienie na konferencji badawczej?

— Tak

— A czy zadzwoniłeś, żeby je odwołać?

— Zapomniałem. Mam w tej chwili na głowie sprawę ważniejszą niż genetyka.

— Odnoszę wrażenie, że chodzi ci właśnie o nią — zauważył z ironią Braun.

Podjechała taksówka i Bonnell wygramolił się z niej z wysiłkiem. Podążali za nim mężczyźni i mały chłopiec. Tachion wpił palce głęboko w biceps Jacka.

— Spójrz. Dobry Boże!

— Słucham?

— Ten facet. To recepcjonista z hotelu.

— Hę?

— Był w Intercontinentalu.

Cała trójka ruszyła w ich stronę. Nagle ojciec zamarł, wskazał z emfaticznym gestem na Jacka, złapał chłopca za rękę i popędził z powrotem do taksówki.

— Nie. O mój Boże, nie...

Takizjanin postąpił kilka kroków naprzód, sięgnął ku nim swą mocą i zacisnął ją na ich umysłach niczym imadło. Znieruchomieli. Ruszył ku nim powoli. Czuł, że brakuje mu tchu w piersiach, gdy pożerał wzrokiem małą upartą buzię i rudą czuprynę. Chłopiec walczył z naprawdę poważną mocą, a przecież był tylko w jednej czwartej Takizjaninem. Tacha wypełniła duma.

Nagle obalono go na ziemię. Posypały się na niego ciosy i kamienie. Trzymał się rozpaczliwie swej mocy, podczas gdy cygańskie dzieci szarpały go, zabrały mu portfel i zegarek, ani na jedną chwilę nie przerywając histerycznego ataku. Jack podszedł bliżej i zaczął ściągać z niego uliczników.

— Nie, nie! Złap ich! Mną się nie przejmuj! — krzyczał Tach. Zatoczył krąg nogą, przewrócił dwójkę napastników, podniósł się na jedno kolano, usztynił palce i uderzył nimi w gardło chudego nastolatka. Chłopak padł na ziemię, dławiąc się gwałtownie.

Po chwili wahania Jack zerwał się do biegu i popędził za Andrieux i chłopcem. Tachion śledził go wzrokiem, zapominając o otoczeniu. Nim zdążył się zorientować, otrzymał kopniaka w głowę.

Jego skroń eksplodowała bólem. Usłyszał w oddali czyjś krzyk. Potem nadeszła nieprzenikniona ciemność.



Gdy wreszcie odzyskał przytomność, Bonnell przecierał mu twarz wilgotną chusteczką. Tachion z desperackim wysiłkiem wsparł się na łokciach, ale zaraz osunął się z powrotem na ziemię. Ten ruch spowodował nagły atak zawrotów głowy oraz podchodzących do gardła mdłości.

— Dogoniłeś ich?

— Nie. — Jack trzymał w rękach zderzak, jakby z dumą demonstrował trofeum. — Kiedy padłeś na ziemię, natychmiast pobiegli do taksówki. Próbowałem ją złapać, ale zderzak się urwał — dodał niepotrzebnie. Następnie zerknął na otaczający ich tłum ciekawskich i przegonił wszystkich.

— To znaczy, że ich straciliśmy.

— A czego się pan spodziewał? Zjawia się pan w towarzystwie Asa Judasza — odparł gniewnie Bonnell.

Jack wzdrygnął się boleśnie.

— To było dawno temu — wyszeptał przez zeszytwniałe wargi.

— Niektórzy z nas nie zapominają. A inni nie powinni. — Łypnął ze złością na Tachiona.

— Myślałem, że mogę panu zaufać.

— Jack, zostaw nas.

— Ty też się pierdol.

Braun oddalił się długimi, nerwowymi krokami i zniknął w tłumie.

— To dziwne, ale czuję się winny z tego powodu. — Otrząsnął się. — I co zrobimy teraz?

— Najpierw wyciągnę od pana obietnicę, że nie wykręci pan już więcej takiego numeru.

— Zgoda.

— W takim razie przełożę spotkanie na wieczór. Tym razem niech pan przyjdzie sam.



Jack nie był pewien, dlaczego właściwie to robi. Po zniewadze, jaką usłyszał od Tachiona, powinien po prostu umyć ręce od całej sprawy albo nawet powiedzieć Sûreté wszystko, co wiedział. Zamiast tego zjawił się w Lys z workiem z lodem oraz aspiryną.

— Dziękuję, ale mam własną apteczkę.

Jack podrzucił kilka razy buteleczkę z tabletkami.

— Tak? W takim razie zabiorę je ze sobą. Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa.

Tach zdjął lód z oka.

— Dlaczego ty?

— Leż spokojnie i zostaw to na miejscu. — Podrapał się po podbródku. — Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy wszystko to nie wydaje ci się trochę podejrzanę?

— Pod jakim względem? — zapytał niski kosmita. Jego ton świadczył jednak, że Jack trafił w czuły nerw.

— Zamiast podać ci adres Andrieux, Bonnell uparł się, że zorganizuje spotkanie. Potem postanowili się rozdzielić...

— Dlatego, że ty tam byłeś.

— Jasne. Zapanowałaś nad ich umysłami, ale nagle zaatakowała cię banda małych Cyganów. Wypytałam o to ludzi. Te dzieciaki nigdy się tak nie zachowują. Myślę, że ktoś zaaranżował to z góry, żeby się upewnić, że nie będziesz mógł zrobić użytku ze swojego talentu. A co z Andrieux? Mówiłeś, że był recepcjonistą w hotelu. W takim razie dlaczego zaprzeczył, że zna Danelle? Na Boga, była jego teściową. To cholernie śmierdząca sprawa.

Tachion cisnął workiem z lodem o ścianę.

— Co zatem sugerujesz?

— Przerwij kontakty z Bonnellem. Nie chodź na żadne spotkania. Przekonajmy się, czy dojdę do czegoś z tymi odłamkami bomby. Rochambeau zgodził się współpracować z Rayem.

— To może potrwać całe tygodnie. Odlatujemy za kilka dni.

— Kurwa, masz obsesję na tym punkcie!

— Tak!

— Dlaczego? Czy chodzi o twoją impotencję? Czy to jest sedno problemu?

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Wiem, że nie chcesz, ale nie masz innego wyjścia! Nie przemyślałeś sprawy porządnie, Tachion. Tęgo, jak może ona zaszkodzić ekspedycji i twojej reputacji. Mojej również, jeśli już o tym mowa. Ukrywamy kluczowe dowody w sprawie o morderstwo.

— Nie musiałeś się w to mieszać.

— Wiem o tym. Jezu, czasami żałuję, że to zrobiłem. Ale stało się i teraz muszę doprowadzić sprawę do końca. Zgodzisz się siedzieć cicho i zacząć, żeby się przekonać, czego się dowiem?

— Tak. Zaczekam, żeby się przekonać, czego się dowiesz.

Jack obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

— No cóż, to chyba będzie musiało mi wystarczyć.

— Aha, Jack — Potężnie zbudowany as zatrzymał się z ręką na kłamce i obejrzał za siebie.

— Przepraszam za popołudnie. — Postąpiłem niewłaściwie, odsyłając cię.

Twarz Takizjanina wyraźnie świadczyła, jak wiele go to kosztowało.

— Nie ma sprawy — mruknął Braun w odpowiedzi.



To był stary dom, bardzo stary. Znajdował się w dzielnicy uniwersyteckiej. Brudny tynk na murach poprzesywały liczne szczeliny, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Bonnell mocno uściśnął ramię Tachiona.

— Niech pan nie liczy na zbyt wiele. Dziecko pana nie zna.

Takizjanin ledwie go słyszał, a już z pewnością nie zwracał żadnej uwagi na jego słowa. Nasty chmiast popędził po schodach na górę.

W pokoju było pięciu ludzi, ale Tachion widział tylko chłopca. Jego wnuk siedział na stołku i machał nogą, uderzając rytmicznie piętą w sfatygowaną drewnianą nogę mebla. Jego pięknym, prostym włosom brakowało miedzianego połysku włosów dziadka, miały jednak intensywnie rudą barwę. Tach poczuł nagły przypływ dumy, ujrawszy ten dowód siły swych genów. Proste, rude brwi nadawały szczupłej twarzy dziecka dziwnie poważny wyraz. Jego oczy miały piękną, ciemnofioletową barwę.

Za nim stał Andrieux, trzymający dłoń na ramieniu syna w geście posiadacza. Tachion obrzucił go krytycznym spojrzeniem takizjańskiego psionicznego władcy oceniającego materiał hodowlany. Niezły. To człowiek, oczywiście, ale niezły. Z pewnością był przystojny i sprawiał też wrażenie inteligentnego. Niemniej trudno to było określić. Gdyby tylko mógł przeprowadzić testy... Spróbował zamknąć umysł przed nieprzyjemnym podejrzeniem, że ten człowiek jest odpowiedzialny za śmierć Dani.

Przeniósł spojrzenie na Blaise'a i zauważył, że chłopiec przygląda mu się z równym zainteresowaniem. W jego oczach nie było śladu nieśmiałości. Nagle tarcze Tacha odparły potężny atak mentalny.

— Chcesz się na mnie odegrać za wczoraj.

— *Mais oui*. Zabrałeś mi umysł.

— Ty też zabierasz ludziom umysły.

— Jasne. Nikt nie potrafi mnie powstrzymać.

— Ja potrafię. — Brwi chłopca połączyły się nagle w złowrogim marsie. — Jestem Tachion.

Twój dziadek

— Nie wyglądasz na dziadka.

— Mój rodzaj żyje bardzo długo.

— I ja też będę długo żył?

— Dłużej niż człowiek

Dziękując wyraźnie się ucieszył z tego niejasnego nawiązania do jego obcego pochodzenia.

Podczas rozmowy Tachion sprawdził wstępnie talenty wnuka. Chłopiec posiadał niewiarygodne zdolności panowania nad umysłem jak na tak młody wiek. Co więcej, sam się tego nauczył, a to już było naprawdę zdumiewające. Jeśli będzie miał dobrego nauczyciela,

może stać się kimś naprawdę wybitnym. Zero telekinety, prekognicji, a co najgorsze również prawie całkowity brak telepatii, równający się de facto ślepotcie umysłowej.

*Takie są skutki niekontrolowanego i nieplanowanego rozmnażania.*

— Doktorze — odezwał się Claude. — Czy zechce pan usiąść?

— Najpierw chciałbym uściskać Blaise'a.

Spojrzał pytająco na chłopca, który skrzywił się z niezadowoleniem.

— Nie lubię uścisków ani pocałunków.

— A dlaczego?

— Czuję się od nich, jakby chodziły po mnie mrówki.

— To reakcja typowa dla mentatów. W moim przypadku jej nie poczujesz.

— A dlaczego?

— Dlatego, że jestem twoim współplemieńcem i krewniakiem. Rozumiem cię lepiej niż ktokolwiek na tym świecie.

François Andrieux poruszył się gniewnie.

— W takim razie spróbuję — oznajmił chłopiec i zsunął się ze stołka. Kosmita ponownie ucieszył się z jego pewności siebie.

Gdy Tachion objął drobne ciało wnuka, oczy wypełniły mu łzy.

— Płaczesz — oskarżył go Blaise.

— Tak

— A dlaczego?

— Dlatego, że bardzo się cieszę, że cię odnalazłem. Jestem szczęśliwy, że istniejesz na tym świecie.

Bonnell odchrząknął, cicho i dyskretnie.

— Z wielką niechęcią przerywam tę rozmowę, ale obawiam się, że naprawdę muszę to zrobić, doktorze. — Tachion zeszywniał nieufnie. — Mamy do omówienia pewien interes.

— Interes? — powtórzył Takizjanin niebezpiecznie cichym głosem.

— Tak. Dałem panu to, czego pan chciał. — Wskazał małą dłoń na Blaise'a. — A teraz pan da mi to, czego ja chcę. François, wyprowadź chłopca.

Ojciec i syn opuścili pokój. Tachion przyjrzał się z zainteresowaniem mężczyznom, którzy w nim pozostali.

— Niech pan nie liczy na to, że moce umysłu umożliwią panu ucieczkę. Na zewnątrz czeka więcej naszych ludzi. Co więcej, moi towarzysze są uzbrojeni.

— Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że tak będzie. — Tach usiadł na zapadającej się kanapie, wzbijając w powietrze tumany kurzu. — Zatem jest pan członkiem tego małego gangu galopujących terrorystów.

— Nie, doktorze. Jestem jego szefem.

— Hmm, i kazał pan zabić Dani.

— Nie. To był niewiarygodnie głupi czyn i François otrzymał za niego... reprimendę. Nie lubię, jak moi podkomendni działają z własnej inicjatywy. Bardzo często zdarza się im spieszyć sprawę. Czyż nie mam racji?

Tachionowi przypomniał się jego nieżyjący kuzyn Rabdan. Mimo woli pokiwiał głową. Wyprostował się. W tej swobodnej konwersacji było coś naprawdę dziwnego. W końcu w Wersalu jego rozmówca próbował zabić setki ludzi.

— Ojej, a ja tak bardzo liczyłem na to, że Andrieux jest inteligentny — zmartwił się Tachion.

— Czy to porwanie dla okupu? — zapytał.

— Z pewnością nie, doktorze. Pan jest bezcenny.

— Też zawsze tak uważałem.

— Potrzebuję pańskiej pomocy. Za dwa dni odbędzie się wielka debata między wszystkimi kandydatami na prezydenta. Zamierzamy zabić tyłu spośród nich, ilu tylko zdołamy.

— Wasze go kandydata też?

— Rewolucja czasami wymaga poświęceń. Muszę pana jednak poinformować, że nie czuję zbyt wielkiej lojalności wobec partii. Jej przywódcy zdradzili lud, utracili wolę walki i brak im siły potrzebnej do podejmowania trudnych decyzji. Mandat przeszedł w nasze ręce.

Tach wsparł czoło na dłoni.

— Och, proszę nie powtarzać mi sloganów. Upodobanie do nich to jedna z waszych najbardziej uciążliwych cech.

— Czy mogę przedstawić panu swój plan?

— Nie widzę, w jaki sposób mógłbym pana przed tym powstrzymać.

— Ochrona z pewnością zostanie silnie wzmocniona.

— Z pewnością.

Bonnell łypnął ostro na Tacha, dosłyszawszy ironię w jego głosie. Takizjanin odpowiedział mu niewinnym spojrzeniem.

— Zamiast próbować przedostać się przez tę barierę z naszą bronią, wykorzystamy tę, która już będzie na miejscu. Pan i Blaise zapanujecie nad umysłami jak największej liczby wartowników i każecie im ostrzelać podium z broni maszynowej. To powinno przynieść oczekiwane przez nas rezultaty.

— To ciekawe, ale jakich właściwie korzyści się spodziewacie?

— Po wyeliminowaniu francuskiej elity władzy w kraju zapanuje chaos. Wtedy nie będę już potrzebował pańskich ezoterycznych mocy. Wystarczą mi karabiny i bomby. Czasami najprostsze rozwiązania są najlepsze.

— Ależ z pana filozof. Być może powinien się pan zająć nauczaniem młodzieży.

— Już to zrobiłem. Dla Blaise'a jestem jego ulubionym wujkiem Claude'em.

— No cóż, to była bardzo pouczająca rozmowa, ale z wielkim żalem muszę panu odmówić.

— Nie zaskoczył mnie pan, doktorze. Spodziewałem się tego. Proszę jednak rozważyć fakt, że mam pańskiego wnuka.

— Nie skrzywdzi go pan. Jest dla pana zbyt cenny.

— To prawda. Ale nie grozę panu jego śmiercią. Jeśli odmówi pan współpracy, będę zmuszony potraktować pana w bardzo nieprzyjemny sposób, ale tak by nie stracił pan życia, a potem zniknąć z Blaise'em. Jako przykuty do łóżka kaleka miałby pan wielkie trudności z wytropieniem nas.

Uśmiechnął się z satysfakcją na widok przerażenia na twarzy Tachiona.

— Jean odprowadzi pana do pokoju. Będzie pan tam mógł rozważyć moją propozycję. Jestem przekonany, że postanowi pan mi pomóc.

— Wątpię w to — warknął Tachion. Odzyskał panowanie nad głosem, ale jego słowa były tylko czczą pogroźką i Bonnell z pewnością o tym wiedział.



„Pokój” okazał się bardzo zimnym i wilgotnym pomieszczeniem w piwnicy. Po wielu godzinach zjawił się Blaise z kolacją.

— Przyszedłem cię odwiedzić — oznajmił chłopiec. Tachion westchnął, po raz kolejny z żalem podziwiając spryt Bonnella. Najwyraźniej dzoker bardzo starannie przestudiował jego osobowość oraz kulturę, z której się wywodził.

Zaczął jeść. Blaise wsparł podbródek na złączonych dłoniach i przyglądał mu się z namysłem.

— Nic nie mówisz — zauważył Tach, odkładając widelec. — Myślałem, że przyszedłeś mnie odwiedzić.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. To bardzo dziwne.

— Co jest takie dziwne?

— To, że się o tobie dowiedziałem. Teraz nie jestem już taki niezwykły. To mnie martwi, ale z drugiej strony, cieszę się...

Przerwał.

— Że nie jesteś sam — zasugerował łagodnie Tach.

— Tak

— Dlaczego im pomagasz?

— Dlatego, że mają rację. Dawne instytucje muszą upaść.

— Ale zginęli ludzie.

— Tak — zgodził się radośnie.

— Czy to cię nie martwi?

— Nie. To były burżuazyjne kapitalistyczne świnie. Zasłużyli na śmierć. Czasami przelew krwi jest najlepszym rozwiązaniem.

— To bardzo takizjańskie podejście.

— Pomożesz nam, prawda? To będzie fajne.

— Fajne!

*To skutki wychowania* — pocieszał się Tachion. Każde pozbawione nadzoru dziecko dysponujące tak wielką mocą reagowałoby podobnie.

Rozmawiali przez pewien czas. W umyśle Tachiona uformował się obraz niczym nieskrępowanej swobody, niemal całkowitego braku wykształcenia oraz ekscytacji zrodzonej z nieustannej gry w chowanego z władzami. Bardziej niepokojąca była wiadomość, że Blaise nie wycofywał się z umysłów swych ofiar, kiedy umierały. Wolał się napawać przerażeniem i bólem towarzyszącym ich ostatnim chwilom.

*Będzie jeszcze czas, by to wszystko naprawić* — obiecał sobie.

— Pomożesz nam? — odezwał się chłopiec, zeskakując z krzesła. — Wujek Claude mówił, żebym nie zapomniał cię o to zapytać.

Sekundy przechodziły w minuty, a on nie przestawał się zastanawiać. Szlachetnym rozwiązaniem byłoby kazać Bonnellowi iść do diabła. Przy pominięciu sobie delikatnie sformułowane groźby dzokera i zdrzał. Od dzieciństwa uczono go szukania szans i wykorzystywania ich, obracania kłęski w zwycięstwo. Będzie się tego trzymał. Z pewnością na wiecu nie zdołał go strzec aż tak dokładnie.

— Powiedz Claude'owi, że się zgadzam.

Chłopiec z radością go uściskał.

Gdy Tachion został sam, nadal poszukiwał drogi wyjścia. Miał jeszcze jedną szansę. Jack... który z pewnością uświadomił sobie, że wydarzyło się coś bardzo niedobrego, i zawiadomi Sûreté. Jego nadzieja opierała się jednak na człowieku, którego słabości świetnie znał, źródłem jego obaw był natomiast ktoś pomimo uprzejmego zachowania całkowicie pozbawiony człowieczeństwa.



Minęły już dwadzieścia cztery godziny od chwili zniknięcia małego skurczybyka. Jack zamachnął się pięścią, ale w ostatniej chwili powstrzymał uderzenie. Gdyby rozwalili ścianę w Ritzu, w niczym by mu to nie pomogło.

Czy Tachion miał kłopoty?

Czy pomimo złożonej obietnicy spotkał się z Bonnellem? I czy musiałoby to doprowadzić do kłopotów? A może po prostu urwał się, żeby spędzić czas z wnuczką?

Może był z nim teraz w zoo albo coś w tym rodzaju? Gdyby Jack zawiadomił Sûreté



i w rezultacie władze dowiedziałyby się o istnieniu Blaise'a, Tachion nigdy by mu tego nie wybaczył. To byłaby kolejna zdrada. Być może ostatnia. Tym razem Takizjanin znalazłby jakiś sposób na wyrównanie rachunku.

*Ale jeśli naprawdę ma kłopoty?*

Pukanie do drzwi wyrwało go z niespokojnych myśli. Na korytarzu stał jeden z nieodróżnialnych od siebie asystentów Hartmanna.

— Panie Braun, senator prosi pana, by zechciał pan udać się z nim na jutrzejszą debatę.

— Debatę? Jaką debatę?

— Wszystkich tysiąc jedenastu kandydatów — zaczął mężczyzna z protekcyjnym śmieszkiem — czy ilu ich tam właściwie uczestniczy w tym wariackim wyścigu, weźmie jutro udział we wspólnej debacie w Ogrodach Luksemburskich. Senator chciałby, by zjawilo się tam maksymalnie wielu uczestników wycieczki, by okazać wsparcie dla wielkiej europejskiej demokracji, jeśli Francję rzeczywiście można tak nazwać. Panie Braun... dobrze się pan czuje?

— Ehe, nic mi nie jest. Niech pan powie senatorowi, że tam będę.

— A doktor Tachion? Senatora bardzo niepokoi jego przedłużająca się nieobecność.

— Myślę, że mogę bezpiecznie zapewnić pańskiego szefa, że doktor również się tam zjawi.

Jack zamknął drzwi, podszedł pośpiesznie do telefonu i zadzwonił do Rochambeau. Prawdopodobny atak terrorystyczny na kandydatów. Nie ma potrzeby wspominać o dziecku. Musi zwołać siły.

A potem przez całą noc modlić się o to, by odgadł trafnie i jego decyzja okazała się słuszna.



Powinien się przespać, przygotować umysł i ciało na to, co wydarzy się jutro. Jeśli ma uratować życie i przyszłość swego rodu, musi liczyć na własne umiejętności, szybkość i spryt.

*A także na Jacka Brauna.* Było w tym wiele ironii.

Jeśli Jack wyciągnął właściwe wnioski. Jeśli zaalarmował Sûreté. Jeśli będzie tam wystarczająco wielu funkcjonariuszy. Jeśli Tachion potrafi rozciągnąć swój talent poza wszelkie granice i zapanować nad bezprecedensową liczbą umysłów.

Usiadł na rozkładanym łóżku, trzymając się za brzuch. Potem osunął się na pościel, próbując się odprężyć. Najwyraźniej jednak czekała go noc wypełniona wspomnieniami. Twarze z przeszłości. Blythe, David, Earl, Dani.

*Stawiam życie swoje i swojego wnuka na człowieka, który doprowadził do zguby Blythe. Cudownie.*

Groźba śmierci może jednak stać się bodźcem do przyjrzenia się sobie. Pod warunkiem, że zmusimy się do odrzucenia pocieszających kłamstewek, które oddzielają nas od najgłębiej skrywanych żalów i wyrzutów sumienia.

— Proszę podać nazwiska!

— Dobrze... dobrze.

*Jego moc... uderzyła, rozbijając na kawałki jej umysł... jej umysł... jej umysł.*

Ale o niczym by się nie dowiedzieli, gdyby nie Jack A ona nie wchłonęłaby ich umysłów, gdyby nie Holmes, ani nie znalazłaby się tam, gdyby nie paranoja, która ogarnęła cały kraj. *I nikt by nie cierpiał, gdyby się nie urodził* — pomyślał Tach, cytując ulubione powiedzenie ojca. Czasami trzeba przestać szukać wymówki przyjmując odpowiedzialność za popełnione czyny.

*Tisianne brant Ts'ara. Jack Braun nie zgubił Blythe. To była twoja wina.*

Wzdrygnął się, gotowy na ból wywołany tą myślą. Ale zamiast tego poczuł się lepiej. Stał się lżejszy i bardziej wolny. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat ogarnął go spokój. Zaczął się śmiać, ale wcale się nie zdziwił, gdy śmiech przeszedł w cichy płacz.

Łzy płynęły przez pewien czas. Gdy burza wreszcie się skończyła, położył się na plecach, wyczerpany, ale spokojny. Gotowy na jutro. Potem wróci do domu, stworzy dla siebie dom, i wychowa dziecko. Ze spokojem i lekkim żalem odwrócił się plecami do przeszłości.

Nazywał się Tisianne brant Ts'ara sek Halima sek Ragnar sek Omian i był księciem klanu Ilkazamów. Jutro jego wrogowie z bólem i żalem przekonają się, co to znaczy stanąć mu na drodze.



Claude, Blaise i kierowca zostali w samochodzie zaparkowanym w odległości niecałej przecznicy od ogrodów. Tachion, połączony lułą beretty z wpatrzonym w niego z kamienną twarzą Andrieux, znajdował się na samym skraju gigantycznego tłumu. Paryżanie zawsze cechowali się entuzjastycznym podejściem do polityki. W tym morzu na podobieństwo podstępnej infekcji kryło się jednak jeszcze piętnastu innych członków terrorystycznej komórki Bonnella. Czekali na rozlew krwi, który zaspokoi ich gwałtowne marzenia.

Na podium zebrało się wszystkich siedmiu kandydatów. Mniej więcej połowa członków delegacji Światowej Organizacji Zdrowia siedziała na krzesłach tuż przed obwieszonymi flagami podwyższeniem. Nie mieli szans uniknąć obrażeń, jeśli Tachionowi się nie powiedzie i zacznie się strzelanina. Pojawił się Jack Spacerował przed podium z rękami głęboko wepchniętymi w kieszenie spodni i spoglądał na tłum z zaszępną miną.

Blaise szperał w umyśle Tachiona, gotowy wykryć najdrobniejszą próbę użycia telepatii. Jego moc mogła być niewielka, lecz posiadał wystarczającą wrażliwość, by wyczuć przesunięcie mentalnego ogniska, jakiego wymagała tego typu komunikacja. Obecność chłopca nie przeszkadzała jego dziadkowi. To tylko ułatwi mu zadanie.

Tachion ostrożnie skonstruował umysłowy obraz sceny. Falszywkę, która uspi czujność jego wnuka. Obudował ją osłonami i zademonstrował Blaise'owi. Następnie sięgnął spod tej zasłony do

umysłu Jacka.

*Nie podrywaj się, patrz uważnie w tłum.*

*Gdzie jesteś?*

*Obok bramy. Na granicy drzew.*

*Mam cię.*

*Sûreté?*

*Wszędzie. Terrorysty?*

*Też wszędzie.*

*Jak...!?*

*Przyjdą do ciebie.*

*Co...???*

*Zaufaj mi.*

Wycofał się i starannie skonstruował pułapkę. Przypominała łącze między nim a Maleńką, gdy statek wzmacniał jego naturalne moce, umożliwiając transprzezrzną komunikację. Była jednak nieporównanie potężniejsza. Jej zęby sięgały bardzo głęboko. Mogła coś zrobić Blaise'owi? Nie. Teraz nie było czasu na wątpliwości.

Pułapka umysłu się zatrzasnęła. Usłyszał mentalny krzyk przerażonego chłopca. Po rozpaczliwej walce nastąpiła zdyszana rezygnacja. Jeździec zmienił się w wierchowca.

Tachion dołączył moc Blaise'a do własnej. Była jak snop białego, gorącego światła. Ostrożnie rozszczępił ją na pasma. Każda włtka uderzyła niczym płonący bicz, zatrzymując się na którymś z jego strażników. Wszyscy znieruchomieli niczym posągi.

Dyszał z wysiłku, na czoło wystąpił mu pot, zalewający jego oczy. Polecił im maszerować niczym oddział zombie. Gdy Andrieux odsunął się od niego, Tachion nakazał swojej dłoni się poruszyć, zamknąć się w pistolecie i wyrwać go z bezwładnego uścisku niewolnika.

Braun podskakiwał jak szalony, gesty kulował, wzywał pomocy szerokimi ruchami rąk  
*Szybko! Szybko!*

Tachion musiał ich powstrzymać. Wszy stłch. Jeśli mu się uda.

Blaise znowu zaczął się wyrywać. To było jak cała seria kopniaków w brzuch. Jedna z nici się zerwała. Ta, która prowadziła do Claude'a Bonnella. Tachion uwolnił z krzykiem niewolników i popędził ku bramie. Za jego plecami rozległ się złowieszczy warkot uzi. Najwyraźniej któryś z jego jeńców próbował uciekać i załatwili go francuscy funkcjonariusze. Może to był Andrieux. Kolejne strzały i krzyki. Nagły strumień ludzi omal nie zwałił go z nóg. Zacisnął dłoń na pistolecie i zaczął biec szybciej. Wypadł zza rogu w tej samej chwili, gdy oszołomiony kierowca sięgał po

kłuczyk Po mentalnym ciosie Tachiona osunął się na kierownicę. Do pandemonium dołączyły dźwięki klaksonu.

Bonnell wygramolił się z samochodu, ciągnąc Blaise'a za rękę, a potem pokuściła w boczną uliczkę, wąską i opustoszałą.

Tach popędził za nimi, złapał wnuka za wolną rękę i wyszarpnął go z uścisku dzokera.

— PUŚĆ MNIE! PUŚĆ MNIE!

W jego nadgarstek wbiły się ostre zęby. Tachion uciszył chłopca miażdżącym imperatywem. Śpiące dziecko wsparło się na jego ramieniu. Takizjanin i Bonnell popatrzyli na siebie nad jego bezwładną sylwetką.

— Brawo, doktorze. Przechytrył mnie pan. Mój proces z pewnością będzie wielkim wydarzeniem medialnym.

— Obawiam się, że nie.

— Słucham?

— Potrzebuję ciała. Zarażonego dzięki kartą. Żeby Sûreté dostała swojego tajemniczego asa mentata i zaprzestała dalszych poszukiwań.

— Z pewnością nie mówi pan poważnie! Nie zabije mnie pan z zimną krwią. — Bonnell wyczytał odpowiedź w nieublaganych liliowych oczach Tachiona. Zatoczył się do tyłu, oparł o mur i zwilżył wargi językiem. — Dobrze pana traktowałem. Nie zaznał pan ode mnie żadnej krzywdy.

— Ale inni nie mieli tak wiele szczęścia. Popelnił pan błąd, wysyłając do mnie Blaise'a. Chłopiec z radością opowiedział mi o innych pańskich triumfach. O niewinnym bankierze kontrolowanym przez Blaise'a, który zaniósł do banku własną śmierć. Ten wybuch zabił siedemnaście osób. To z pewnością należy uznać za triumf.

Oblicze Bonnella zmieniło się nagle w twarz Thomasa Tudbury'ego, Wielkiego i Potężnego Żółwia.

— Proszę. Błagam. Niech pan przynajmniej przyzna mi prawo do procesu.

— Nie. — Twarz znowu się zmieniła. Mark Meadows, Kapitan Trips, popatrzył ze zdziwieniem na lufę pistoletu. — Myślę, że jego rezultat i tak jest łatwy do przewidzenia. — Danelle, ale taka, jaką była przed laty. — Po prostu przyśpieszę pańską egzekucję.

Ostatnia transformacja. Czarne włosy opadały kaskadą na ramiona, długie, również czarne rzęsy muskające policzki uniosły się nagle, odsłaniając głęboko granatowe oczy. Blythe.

— Tachy, proszę.

— Przykro mi, ale nie żyjesz.

Zastrzelił go.



— Ach, doktor Tachion. — Franchot de Valmy wstał zza biurka i wyciągnął rękę. — Francja ma wobec pana wielki dług wdzięczności. Jak moglibyśmy go kiedykolwiek spłacić?

— Wystawiając mi paszport i wizę.

— Obawiam się, że nie rozumiem. Z pewnością ma pan...

— Nie dla mnie. Dla Blaise'a Jeannota Andrieux.

— Dlaczego nie można po prostu o to wystąpić? — zapytał De Valmy, bawiąc się długopisem.

— Dlatego, że jego prawnym opiekunem jest obecnie François Andrieux. Przeprowadzi się testy, a do tego nie możemy dopuścić.

— Czy nie rozmawia pan ze mną zbyt bezpośrednio?

— Bynajmniej. Wiem, że jest pan ekspertem, gdy chodzi o fałszowanie dokumentów.

— Francuz zamarł, po czym oparł się wygodniej na krześle. — Wiem, że nie jest pan asem, *monsieur de Valmy*. Zastanawiam się, jak zareagowałaby francuska opinia publiczna na wiadomość o podobnym oszustwie. To kosztowałoby pana porażkę w wyborach.

— Jestem bardzo zdolnym urzędnikiem państwowym — wycedził de Valmy przez zaciśnięte usta. — Mógłbym wiele naprawić we Francji.

— To prawda, ale podobne sprawy nie są równie atrakcyjne jak dzika karta.

— To, o co pan prosi, jest niemożliwe. Co, jeśli ktoś wykryje, że maczałem w tym palce? Co, jeśli... — Tachion sięgnął po telefon. — Co pan robi?

— Dzwonię do prasy. Ja też mogę w jednej chwili zorganizować konferencję prasową. To jeden z przywilejów, które zapewnia sława.

— Dostanie pan te dokumenty.

— Dziękuję.

— Dowiem się, do czego pan ich potrzebuje.

Tachion zatrzymał się w drzwiach i obejrzał na niego.

— W takim razie obaj będziemy znali swoje tajemnice, nieprawdaz?



Na czas krótkiego nocnego lotu do Londynu w samolocie wygaszono światła. W przedziale dla pierwszej klasy nie było nikogo poza Tachem, Jackiem i Blaise'em, który spał sobie smacznie w ramionach dziadka. Ten żywy obraz miał w sobie coś, co kazało innym trzymać się z dala.

— Jak długo będziesz go trzymał w uśpieniu?

Dwie rude głowy zapłonęły w blasku jednej lampki do czytania.

— Dopóki nie dotrzemy do Londynu.

— Czy ci kiedykolwiek wybaczy?

— Nie dowie się.

— O Bonnellu być może, ale resztę będzie pamiętał. Zdradziłeś go.

— Tak — Jego cicha odpowiedź ledwie się przebiła przez szum silników. — Jack?

— Słucham?

— Wybaczam ci.

Spojrżeli sobie w oczy.

Człowiek wyciągnął rękę i delikatnie odsunął jedwabisty kosmyk z czoła dziecka.

— W takim razie może dla ciebie również jest nadzieja.

# Legendy

MICHAEL CASSUTT

## II

Kwiecień nie przyniósł zbyt wielkiej ulgi niemogącym się pozbierać po wyjątkowo mroźnej zimie moskwanom. Po krótkim okresie wiatrów z południa, który przywołał chłopaków na świeżo zazielenione boiska i zachęcił ładne dziewczęta do zdjęcia płaszczy, niebo znowu poczerniało i zaczęły się ponure, szare deszcze. Poliakowowi ta pogoda kojarzyła się raczej z jesienią, co było jak najbardziej na miejscu. Jego szefowie, uginający się przed nowym wiatrem wiejącym z Kremla, zarządzili, że będzie to dla niego ostatnia wiosna w Moskwie. Jego miejsce zajmie młodszy, mniej umaczany Jurczenko, a Poliakow przejdzie w stan spoczynku i odeśle się go na położoną daleko od stolicy daczę. *I bardzo dobrze* — pomyślał. Uczeni mówili, że pogoda zmieniła się na dobre z powodu eksplozji jądrowych na Syberii. Niewykłuczone, że w Moskwie nigdy już nie będzie porządnej wiosny.

Tak czy inaczej stolica nawet w jesiennym stroju nie przestawała go inspirować. Widział przez okno ślupisko drzew w miejscu, gdzie rzeka Moskwa stykała się z parkiem Gorkiego. Dalej, spowite w nadającej im odpowiednio średniowieczny wygląd mgie, znajdowały się kopuły Soboru Wasyla Błogosławionego oraz sam Kreml. W oczach Poliakowa starość równała się mocy, ale przecież sam był stary.

— Chcieliście się ze mną zobaczyć?

Głos wyrwał go z zamyślenia. Do środka wszedł młody major w mundurze Głównego Zarządu Wywiadowczego przy Sztabie Generalnym, znanego jako GRU. Miał około trzydziestu pięciu lat. *Trochę za dużo, by nadal być majorem, pomyślał Poliakow, zwłaszcza w przypadku kogoś odznaczonego orderem Bohatera Związku Sowieckiego.* Ze swymi klasycznymi rysami białego Rosjanina i rudoblond włosami mężczyzna przypominał niewiarygodnych oficerów, których zdjęcia codziennie ukazywały się na okładce „Krasnoj Zwiezdy”.

— Mołnia. — Poliakow postanowił zwracać się do młodego oficera kryptonimem, zamiast z imienia i otczestwa. Zaczynanie od przestrzegania form było jedną ze sztuczek, których uczono śledczych. Wyciągnął rękę. Major zawahał się, a potem ją uściśnął. Poliakow z zadowoleniem zauważył, że Mołnia ma na rękach czarne gumowe rękawiczki. — Usiądźmy.

Popatrzyli na siebie nad wypolerowanym blatem stołu konferencyjnego. Ktoś pamiętał o przyniesieniu wody.

— Macie tu bardzo przyjemną salę konferencyjną — zauważył Poliakow, wskazując na

butelki.

— Jestem pewien, że nie może się równać z tymi na placu Dzierżyńskiego — odgryzł się Mołnia z odpowiednią dawką beczelności. Na placu Dzierżyńskiego znajdowała się siedziba KGB.

— W gruncie rzeczy wygląda identycznie, dzięki centralnemu planowaniu — odparł ze śmiechem Poliakow. — Jakrozumiem, Gorbaczow ma z tym skończyć.

— Nam również się zdarzało czytać korespondencję Biura Politycznego.

— Znakomicie. To znaczy, że wiecie, kim jestem i kto mnie tu przysłał.

Mołni i GRU polecono współpracować z KGB w tej sprawie. Rozkazy pochodziły z samej góry. Ten fakt mógł mu zapewnić pewną przewagę... ale była ona, jak to mówią, palcem na wodzie pisana. Poliakow był starym człowiekiem, a Mołnia wielkim sowieckim asem.

— Czy mówi wam coś nazwisko Huntington Sheldon?

— Był dyrektorem CIA w latach od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego do siedemdziesiątego drugiego — odparł Mołnia ze znużeniem w głosie, wiedząc, że to próba.

— Tak To był bardzo niebezpieczny człowiek... a w ostatnim numerze „Time’a” zamieszczono zdjęcie, na którym stoi przed samą Łubianką i wskazuje palcem na pomnik Dzierżyńskiego!

— Może kryje się w tym jakaś nauczka... luzynie.

*Martwcie się o własne bezpieczeństwo i nie mieszajcie się do naszych operacji!*

— Nie byłoby mnie tutaj, gdybyście nie ponieśli tak spektakularnej porażki.

— Za to KGB jest nieomyłne.

Mołnia nawet nie próbował ukrywać pogardy.

— Och, zdarzały się nam niepowodzenia, luzynie. Rzecz w tym, że nasze akcje zatwierdza Rada Wywiadu. Jesteście członkiem partii. Nie moglibyście ukończyć Politechniki Charkowskiej, gdybyście nie poznali choć podstawowych zasad kolektywnego myślenia. Sukcesami należy się dzielić. Porażkami również. Ale ta operacja, którą przygotowaliście z Dołgowem... chyba braliście lekcje u Olivera Northa.

Mołnia skrzywił się, usłyszawszy nazwisko Dołgowa, które było tajemnicą państwową, a co ważniejsze również tajemnicą GRU.

— Niepokoi was treść naszej rozmowy, majorze? — ciągnął Poliakow. — Nie ma powodu. To jest najczystsze pomieszczenie w całym Związku Sowieckim. Oczyszczili je moi sprzątacze — dodał z uśmiechem. — Wszystko, co tu powiemy, zostanie między nami. Dlatego możecie mi śmiało opowiedzieć o tym, co, do cholery, wydarzyło się w Berlinie.



Reperkusje nieudanego porwania Hartmanna były bardzo nieprzyjemne. Choć tylko garstka pravicowych gazet w Niemczech i w Ameryce wspominała o sowieckim tropie, CIA i inne



zachodnie agencje wywiadowcze potrafiły dodać dwa do dwóch. Mimo że ciała młodocianych terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii były zmasakrowane, CIA zdołała ustalić ich miejsce zamieszkania, pseudonimy, konta bankowe oraz kontakty, niszcząc w ciągu kilku dni siatkę, którą budowano przez dwadzieścia lat. Wydalono dwóch wojskowych attaché, w Berlinie oraz w Wiedniu. Wszystko wskazywało też, że na tym nie koniec.

Fakt, że znany adwokat, jakim był Prahler, uczestniczył w równie brutalnej i nieudolnej akcji, uniemożliwił wszelkie działania innym głęboko zakonspirowanym agentom podobnej rangi... a także utrudnił werbowanie nowych.

A kto wiedział, co jeszcze miało do przekazania amerykański senator?

— Wiedziecie co, Mołnia? W ciągu minionych lat moja służba umieściła kretów w samym sercu brytyjskiej Intelligence Service... mieliśmy nawet takiego, który działał jako oficer łącznikowy z CIA.

— Philby, Burgess, Maclean i Blount. A także starszek Churchill, jeśli wierzyć zachodnim powieściom szpiegowskim. Czy ta historia ma do czegoś zmierzać?

— Po prostu próbuję wam uświadomić, jak wielkie szkody spowodowaliście. Te krety sparaliżowały brytyjski wywiad na okres z górą dwudziestu lat. To samo może się przydarzyć obu naszym organizacjom. Wasi szefowie z GRU nigdy się do tego nie przyznają, a już z pewnością nie przed wami, ale teraz będę musiał posprzątać ten bałagan. Jeśli cokolwiek o mnie wiecie...

— Poliakow był pewien, że Mołnia wie o nim tyle samo, co KGB, co znaczyło, że nie wie jednej, bardzo ważnej rzeczy. — Zdaje pan sobie sprawę, że jestem sprawiedliwy. Mogę być stary, gruby i anonimowy... ale jestem obiektywny. Za cztery miesiące przechodzę w stan spoczynku i nie mam nic do zyskania na nowej wojnie między naszymi służbami.

Mołnia odwzajemniał tylko jego spojrzenie. No cóż, Poliakow nie czuł się tym zaskoczony. W przeszłości zdarzało się, że jednej z konkurencyjnych organizacji udawało się zastrzelić przywódcę drugiej. Nic nie trwa dłużej niż pamięć instytucji.

— Rozumiem. — Poliakow wstał. — Przepraszam, że zawracałem wam głowę, majorze. Najwyraźniej sekretarz generalny się mylił i nie macie mi nic do powiedzenia...

— Zadajcie swoje pytania!



Po czterdziestu minutach Poliakow usiadł z westchnieniem w swym fotelu. Wystarczyło, by lekko się odwrócił, by mógł wyglądać przez okno. Siedzibę GRU zwano Akwarium z uwagi na szklane ściany. To była odpowiednia nazwa. Gdy inny oficer GRU odwoził go, mijając budynek Instytutu Problemów Medyczo-Biologicznych — który razem z rzadko używanym lotniskiem imienia Frunzego otaczał Akwarium — Poliakow zauważył, że ten budynek — być może najbardziej niedostępny, a nawet niewidzialny w całej Moskwie — wydaje się niemal zupełnie

przezroczysty. Piętnastopiętrowy gmach z oknami sięgającymi od podłogi do sufitu na każdej kondygnacji!

Byłoby błędem uznać ten widok za zaproszenie. Poliakowowi było żal teoretycznego przy padkowego gościa. Przed dotarciem do wewnętrznego kręgu trzeba było się przedostać przez zewnętrzny, złożony z trzech tajnych lotniczych biur konstrukcyjnych, jeszcze bardziej tajnego biura konstrukcyjnego statków kosmicznych Czełomiejja oraz Akademii Lotnictwa Wojskowego Czerwonego Sztabu.

Na końcu położonego niżej podwórka, pod nieprzeniknionym betonowym murem otaczającym Akwarium, znajdowało się krematorium. Opowiadano, że podczas ostatniej rozmowy przed przyjęciem do GRU każdemu kandydatowi pokazywano ten przysadzisty zielony budynek oraz pewien film.

Była to relacja z przeprowadzonej w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym egzekucji pułkownika GRU Popowa, przyłapanego na szpiegowaniu dla CIA. Popowa przywiązano mocnym drutem do noszy i po prostu wtoczono żywcem do ognia. W pewnej chwili procedurę przerwano, by spalić trumnę innego, bardziej zasłużonego pracownika GRU.

Przekaz był jasny: GRU można opuścić tylko przez krematorium. Jesteśmy ważniejsi niż rodzina i ojczyzna. Człowiek taki jak Mołnia, wyszkolony przez podobną organizację, był niewrażliwy na wszelkie sztuczki, jakie mógł zastosować Poliakow. W ciągu prawie godziny zdołał z niego wyciągnąć tylko szczegóły operacyjne... nazwiska, daty, miejsca wydarzeń. Materiały, które miał już przedtem. Poliakow był pewien, że za tym wszystkim kryje się coś innego. Jakaś tajemnica, której nikomu nie udało się wydobyć z Mołni. Być może nikt poza Poliakowem nawet nie podejrzewał, że ona istnieje. Jak mógł skłonić Mołnię do mówienia?

Co mogło być dla niego ważniejsze od krematorium?



— Z pewnością trudno jest być sowieckim asem.

Jeśli nawet Mołnię zaskoczyły te nagłe słowa Poliakowa, niczego po sobie nie okazał.

— Moja moc jest tylko kolejnym narzędziem, którego możemy użyć przeciwko imperialistom.

— Nie wątpię, że wasi zwierzchnicy chcieliby w to uwierzyć. Boże broń, byście zechcieli użyć jej we własnym interesie. — Poliakow znowu usiadł. Tym razem nalał sobie szklankę wody. Podsunął butelkę Mołni, ale ten potrząsnął głową. — Z pewnością macie już dosyć żartów na ten temat. Woda i prąd.

— Tak — przyznał znużonym głosem as. — Muszę być ostrożny, gdy pada deszcz. Nie mogę się kąpać. Lubię wodę tylko pod postacią śniegu... bardzo niewielu ludzi wie o moim istnieniu i to naprawdę zdumiewające, ile żartów na swój temat słyżałem.

— Mają waszą rodzinę, tak? Nie odpowiadajcie. To nie jest fakt, który znam. Po prostu... tylko w ten sposób mogliby nad wami zapanować.

Gdy wirus dzięki karty dotarł do Związku Sowieckiego, jego moc zdążyła już stosunkowo osłabnąć, ale nadal pozostawała wystarczająco potężna, by tworzyć dzokarów i asów. Doprowadziło to do powołania tajnego komitetu państwowego mającego się uporać z tym problemem. W typowy dla stalinizmu sposób asów izolowano, by poddać ich „edukacji” w specjalnych obozach. Dzokarzy po prostu zniknęli. Pod wieloma względami było to gorsze niż wielka czystka, którą Poliakow przeżył jako nastolatek. W latach trzydziestych pułano do drzwi członków partii... tych, których ambicje uznano za niesłuszne. Podczas czystki Dzikich Kart każdy mógł być zagrożony.

Nawet ci z Kremla. Nawet ci najwyżej postawieni.

— Znałem kogoś takiego jak wy, Mołnia. Kiedyś dla niego pracowałem, niedaleko stąd, w gruncie rzeczy.

As po raz pierwszy opuścił gardę.

— Zatem legenda jest prawdziwa? — zapytał z autentycznym zainteresowaniem.

— Która? Ta, która mówi, że towarzysz Stalin był dzokarem i zginął z sercem przebitym kółkiem osinowym? Czy ta, która twierdzi, że to Łysenko był zarażony? — Poliakow widział, że Mołnia zna je wszystkie. — Jestem szczerze wstrząśnięty, że oficerowie wywiadu wojskowego powtarzają podobne wymysły!

— Chodziło mi o tę, że po Stalinie nie pozostało nic, co można by pochować... a zwłoki wystawione na widok publiczny stworzyli ci sami geniusze, którzy opiekują się ciałem Lenina.

*Bardzo blisko*, pomyślał Poliakow. Co wiedział as?

— Jesteście bohaterem wojennym, Mołnia. A mimo to uciekliście z tego budynku w Berlinie jak zielony rekrut. Dlaczego?

To była kolejna stara sztuczka, niespodziewane przejście do spraw bieżących.

Gdy Mołnia odpowiedział, że naprawdę nie pamięta chwili ucieczki, Poliakow okrążył stół, przesunął sobie krzesło i usiadł obok człowieka z GRU. Tak blisko, że czuł woń mydła, a pod nią zapach potu... i jeszcze czegoś, co mogło być ozonem.

— Potraficie określić, czy ktoś jest asem?

Mołnia wreszcie zaczął się robić niespokojny.

— Nie... chyba że w jakiś sposób zademonstruje swoją moc.

— A co teraz myślicie? — zapytał Poliakow, ścisząc głos, i dźgnął palcem order Bohatera Związku Sowieckiego, lśniący na piersi asa.

Twarz Mołni poczzerwiała. W jego oczach pojawiły się łzy. Odepchnął Poliakowa.

— Palilem się!

— Tak, wystarczy sekundy, by ciało spłonęło.

— To wy nim jesteście. — Na twarzy Mołni fascynacja malowała się równie silnie co strach. W końcu mieli ze sobą bardzo wiele wspólnego. — To kolejna z legend. O drugim asie. Ale mieliście być wysoko postawionym członkiem partii, jednym z ludzi Breżniewa.

Poliakow wzruszył ramionami.

— Drugi as nie należy do nikogo. Bardzo starannie przestrzega tej zasady. Jest lojalny tylko wobec Związku Sowieckiego. Wobec sowieckich ideałów i potencjału, nie żalosnej rzeczywistości. — Nadal siedział blisko Mołni. — Poznaliście moją tajemnicę. Co możecie mi powiedzieć... jak as asowi?



Dobrze było opuścić Akwarium. Ale lata nienawiści między instytucjami sprawiły, że budynek otaczała niemalże fizyczna bariera — jak ładunek elektryczny — odpychająca wszystkich wrogów, ale zwłaszcza ludzi z KGB.

Poliakow powinien być zachwycony. Udało mu się wyciągnąć z Mołni pewne ważne informacje. Nawet sam as z GRU nie wiedział, jak bardzo ważne. Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego porwanie Hartmanna zakończyło się kląpą, ale to, co spotkało Mołnię, najłatwiej można było wytłumaczyć obecnością ukrytego asa, posiadającego moc panowania nad zachowaniem innych. Rzecz jasna, Mołnia nie mógł wiedzieć, że w Syrii wydarzyło się coś bardzo podobnego. Ale Poliakow widział raport i obawiał się, że zna odpowiedź.

Człowiek, który miał wielkie szanse zostać następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, był asem.

## II

— Przewodniczący was teraz przyjmie.

Ku zaskoczeniu Poliakowa była młodą, bardzo piękną kobietą — blondynką wyglądającą jak wyjęta wprost z amerykańskiego filmu. Sieriegin, stary odźwierny Andropowa, o twarzy nasuwającej na myśl obuch topora i odpowiedniej do tego osobowości, zniknął bez śladu. Sieriegin był w pełni zdolny kazać bez końca czekać w przedpokoju członkowi Biura Politycznego, a w razie potrzeby również fizycznie wyrzucić każdego, kto był tak lekkomyślny, że próbował złożyć niezapowiedzianą wizytę przewodniczącemu Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, szefowi KGB.

Poliakow podejrzewał, że ta szczupła kobieta może być śmiertelnie groźna w takim samym stopniu jak Sieriegin, niemniej cały ten pomysł wydawał mu się śmieszny. Próba dodania tygrysowi uśmiechniętej twarzy. Poznajcie nowy, radosny Krem! Dzisiejsze, przyjazne KGB!

Sieriegin zniknął. Ale Andropow również. A sam Poliakow nie był już mile widzianym

gościem na ostatnim piętrze... chyba że miał zaproszenie przewodniczącego.

Przewodniczący wstał zza biurka i ucałował Poliakovą na przywitanie, nie pozwalając mu dokończyć salutu.

— Gieorgiju Władimirowiczu, bardzo się cieszę, że was widzę. — Wskazał gościowi kanapę, kolejny nowy dodatek, przeznaczony do prywatnych rozmów kącik w urządzonym przedtem po spartańsku gabinecie. — Rzadko was tu teraz widzujemy.

*To wasza decyzja* — pomyślał.

— Obowiązki nie dają mi na to czasu.

— Oczywiście. Wymogi pracy oficera operacyjnego. — Przewodniczący, który jak większość szefów KGB od czasów Stalina był politycznym nominatem, pracował kiedyś dla tej instytucji jako kapuś — stukacz — a nie oficer operacyjny czy analityk. To czyniło go znakomitym liderem organizacji złożonej z milionów stukaczy. — Opowiedzcie mi o swojej wizycie w Akwarium.

Szybko przechodził do rzeczy. To była kolejna cecha charakterystyczna stylu Gorbaczowa. Poliakov zdał szczegółową do granic nudy relację z przesłuchania, ale ominął jeden znaczący fakt. Liczył na sławetną niecierpliwość przewodniczącego i nie rozczarował się.

— Te operacyjne szczegóły z pewnością są bardzo istotne, Gieorgiju Władimirowiczu, ale biednym biuromatom nie warto zwracać nimi głowy, tak? — Uśmiechnął się z fałszywą skromnością. — Czy GRU udzieliło wam wszelkiej niezbędnej pomocy, zgodnie z poleceniem sekretarza generalnego?

— Tak. Niestety — odparł Poliakov, prowokując równie sławny śmiech przewodniczącego.

— Czy zdobyliście informacje potrzebne do odtworzenia naszej europejskiej siatki?

— Tak.

— Jak się do tego zabieracie? Jak rozumiem, zwijamy całą działalność w Niemczech. Codziennie wraca do nas Aerofłotem kolejna grupa naszych agentów.

— Tych, których nie czeka proces na Zachodzie, tak jest — zgodził się Poliakov. — Berlin stał się dla nas pustkowiem. Większa część Niemiec pozostanie nim przez wiele lat.

— Kartagina.

— Mamy jednak inne atuty. Głęboko zakonspirowanych agentów, z których usług nie korzystaliśmy od lat. Proponuję, byśmy uaktywnili tego, który jest znany jako Tancerz.

Przewodniczący wyciągnął długopis i zapisał sobie, że ma polecić, by przyniesiono mu z archiwum akta Tancerza. Skinął głową.

— Jak długo waszym zdaniem potrwałaby... odbudowa?

— Co najmniej dwa lata. To skłania mnie do poruszenia kwestii osobistej — podjął Poliakov. — Chodzi o moje przejście w stan spoczynku.

— Tak, wasze przejście w stan spoczynku. — Przewodniczący westchnął. — Chyba jedynym wyjściem będzie jak najszybciej wciągnąć we wszystko Jurczenkę, ponieważ to on będzie musiał zakończyć tę sprawę.

— Chyba żebym pozostał na służbie jeszcze przez jakiś czas.

Poliakow powiedział to, czego nie wolno było mówić, i przyglądał się, jak przewodniczący radzi sobie z niezwykleym dla siebie zadaniem poszukiwania niezaprogramowanej odpowiedzi.

— No cóż, to by było trudne, nieprawdaż? Wszystkie papiery już podpisano. Awans Jurczenki zatwierdzono. Otrzymacie promocję do stopnia generała i trzeci order Bohatera Związku Sowieckiego. Jesteśmy gotowi ogłosić to na plenum w przyszłym miesiącu. — Przewodniczący pochylił się ku niemu. — Czy chodzi o pieniądze, Gieorgiju Władimirowiczu? Nie powinienem o tym wspominać, ale często przyznaje się dodatek do emerytury w zamian za... wartościowe usługi.

To nie mogło się udać. Przewodniczący mógł być tylko politycznym nominatem, ale swoje wiedział. Kazano mu posprzątać w KGB i wykona polecenie. W tej chwili bał się Gorbaczowa bardziej niż starego szpiega.

— Chcę tylko dokończyć swoją robotę — odparł z westchnieniem Poliakow. — Ale jeśli... życzenia partii są inne, przejdę w stan spoczynku, jak uzgodniono.

Przewodniczący spodziewał się walki i wyraźnie się ucieszył z tak szybkiego zwycięstwa.

— Zdaję sobie sprawę, że wasze położenie jest trudne, Gieorgiju Władimirowiczu. Wszyscy znamy waszą nieustępliwość. Za mało mamy takich ludzi jak wy. Ale Jurczenko sobie poradzi. W końcu... to wy go wyszkoliliście.

— Wprowadzę go.

— Coś wam powiem — ciągnął przewodniczący. — Oficjalnie przechodzicie na emeryturę dopiero pod koniec sierpnia.

— W moje sześćdziesiąte trzecie urodziny.

— Nie widzę powodu, byśmy do tego czasu mieli pozbawiać się możliwości korzystania z waszych usług. — Przewodniczący znowu coś sobie zapisał. — Jak wiecie, to bardzo niezwykle rozwiązanie, ale dlaczego nie mielibyście polecić tam z Jurczenką? Hmm? Gdzie przebywa ten Tancerz?

— W tej chwili we Francji albo w Anglii.

Przewodniczący wyraźnie się ucieszył.

— Jestem pewien, że moglibyśmy sobie wyobrazić gorsze miejsca na wyprawę służbową. — Sporządził kolejną notatkę. — Upoważnię was do towarzyszenia Jurczence... by pomóc mu w przejściu obowiązków. To uroczą biurokratyczną frazą.

— Dziękuję.

— Nonsens, zasłużyliście sobie na to. — Przewodniczący wstał i podszedł do kredensu. To przynajmniej się nie zmieniło. Wyciągnął prawie pustą butelkę wódki i wypełnił dwa kieliszki, opróżniając ją do końca. — Zakazany toast, za koniec ery!

Wypili.

Przewodniczący znowu usiadł.

— A co się stanie z Mołnią? Nawet jeśli paskudnie schrzanił robotę w Berlinie, jest zbyt cenny, by miał skończyć w tym ich okropnym piecu.

— Obecnie uczy taktyki w Moskwie. Jeśli będzie dobrze sobie radził, może pozwoli mu wrócić do pracy w terenie.

Przewodniczący zadrżał wyraźnie.

— Cóż za paskudna sprawa. — Uśmiechnął się nerwowo, odsłaniając parę stalowych zębów.

— Zastanawiam się, czy w ogóle da się spać, jeśli pracuje dla ciebie dzięki karta?

— Ja bym nie spał — odparł Poliaków.

### III

Poliaków uwielbiał angielskie gazety — „The Sun”, „The Mirror”, „The Globe” — z ich krzykłiwymi, wysokimi na trzy cale nagłówkami informującymi o najnowszych konfliktach w rodzinie królewskiej i zdjęciami nagich kobiet. Były chlebem i igrzyskami w jednym. Obecnie jakiegoś członka Parlamentu postawiono w stan oskarżenia za skorzystanie z usług prostytutki, co kosztowało go pięćdziesiąt funtów. „The Sun” informował o tym z typową dla siebie powściągliwością: „Nie była warta tej sumy!” („Bardzo szybko było po wszystkim, mówi dziwka!”). Rosjanin zadał sobie pytanie, co jest większym grzechem.

Małeńki artykulik na tej samej stronie informował, że do Londynu przybyła Wyprawa Asów.

Być może sympatia Poliakowa do tych gazet brała się z profesjonalnego uznania. Przebywając na Zachodzie, zawsze korzystał z maski korespondenta TASS, co zmusiło go do opanowania podstawowych umiejętności dziennikarskich, choć większość zachodnich reporterów, z którymi się spotykał, i tak z założenia uważała go za szpiega. Nigdy nie nauczył się sprawnie pisać artykułów — z pewnością nie z szaloną elokwencją swych kolegów z Fleet Street — ale znał podstawy tego zawodu i umiał wyszukiwać newsy.

Przynajmniej na tym poziomie dziennikarstwo i szpiegostwo można było ze sobą pogodzić.

Niestety, miejsca, które zwykł dawniej odwiedzać, nie były odpowiednie na spotkanie z Tancerzem. Gdyby rozpoznano kóregoś z nich, stałoby się to katastrofą dla nich obu. Żaden publiczny lokal nie wchodził w grę.

Co gorsza, Tancerz był niekontrolowanym agentem — „dobrowolnym współpracownikiem” w coraz bardziej bezbarwnym żargonie używanym przez moskiewską centralę. Poliaków nie

widział go od z górą dwudziestu lat, a i wtedy było to przypadkowe spotkanie po wielu latach rozłąki. Nie mieli żadnych uzgodnionych sygnałów, skrytek kontaktowych ani pośredników, żadnych kanałów, które pozwoliłyby Poliakowowi zawiadomić Tancerza, że przybył po spłatę długu. Choć otaczająca go sława wykluczała pewien rodzaj kontaktów, pod jednym względem ułatwiała Rosjaninowi zadanie. Jeśli będzie chciał odnaleźć tego agenta...

...wystarczy, że przeczyta gazetę.



Jego asystent i wkrótce również następca, Jurczenko, był zajęty wkupywaniem się w łaski miejscowego rezydenta. Obaj mężczyźni okazywali tylko niewielkie zainteresowanie poczynaniami Poliakowa. Żartowali sobie, że ich wkrótce mający odejść na emeryturę kolega spędza czas z kurwami z King's Cross.

— Tylko uważajcie, żeby nie wylądować w gazetach, Gieorgiju Władimirowiczu — zakpił Jurczenko. — A gdyby już miało do tego dojść, niech przynajmniej będzie warta tej sumy!

W końcu podobne zachowanie nie było w przypadku Poliakowa czymś niezwykłym. No cóż... nigdy się nie ożenił, a lata spędzone w Niemczech, zwłaszcza w Hamburgu, nauczyły go lubić młode, ładne usta za niewygórowaną cenę. Było też prawdą, że w KGB nie ufano agentom, którzy nie mieli wyraźnych słabości. Jeden słaby punkt tolerowano, pod warunkiem że było to coś łatwego do kontrolowania — alkohol, pieniądze albo kobiety — a nie, powiedzmy, religia. Jeśli dinozaur, taki jak Poliakow — na Boga, pracował jeszcze dla Berii! — lubił miód... no cóż, uchodziło to za przejaw męskości, a nawet mogło budzić sympatię.

Opuścił biuro TASS znajdujące się przy Fleet Street i udał się do Grosvenor House Hotel jedną ze sławnych czarnych angielskich taksówek — choć ta akurat była w rzeczywistości własnością ambasady. Pojechali Park Lane przez Kingsbridge, a potem Kensington Road. Był ranek dnia roboczego i taksówka pełzała przez morze samochodów i ludzi. Słońce grzało mocno, rozpraszając poranną mgłę. Zapowiadał się piękny wiosenny dzień.

W Grosvenor House Poliakow musiał wspomóc się elokwencją, by ominąć kilku ewidentnych strażników. Zauważył też innych, znacznie bardziej dyskretnych. Pozwolono mu dotrzeć aż do portierni, gdzie ku swej irytacji ponownie znalazł młodą kobietę zamiast znajomego starszka. Nawet wyglądem przypominała nową sekretarkę przewodniczącego.

— Czy mogę się stąd połączyć telefonicznie z piętami, na których zatrzymała się Wyprawa Asów?

Kobieta zmarszczyła brwi, próbując sformułować odpowiedź. Najwyraźniej o obecności asów w hotelu nie wiedziano powszechnie. Rosjanin nie pozwolił jej na dalsze pytania, pokazując legitymację prasową, podobnie jak w przypadku strażników. Przyjrzała się dokumentowi — swoją drogą autentycznemu — i zaprowadziła go do telefonów.



— Możliwe, że o tej porze nikt nie odbierze, ale to są bezpośrednie połączenia.

— Dziękuję.

Zaczekał, aż kobieta się oddali, po czym poprosił telefonistkę o połączenie z pokojem, którego numer ustalił przedtem jeden z pracujących dla ambasady lokajów.

— Słucham?

Rosjanin nie spodziewał się, że głos się zmieni, ale i tak zdziwił się, że się nie zmienił.

— Dawno się nie widzieliśmy... Tancerzu.

Poliakowa nie zdziwiła cisza, która zapadła w słuchawce.

— To ty, prawda? — usłyszał wreszcie.

Ucieszyło go to. Tancerz zachował wystarczająco wiele umiejętności, by wiedzieć, że z rozmowy przez telefon nie powinno wynikać nic konkretnego.

— Czyż nie obiecałem, że kiedyś cię odwiedzę?

— Czego chcesz?

— Spotkać się, czegóż by więcej? Zobaczyć cię.

— To raczej nie jest odpowiednie...

— Przed wejściem czeka taksówka. Łatwo ją zauważysz. W tej chwili nie ma tam innej.

— Za parę minut zejde.

Rosjanin odwiesił słuchawkę i pośpiesznie wrócił do taksówki, nie zapominając skłaniać głową do kobiety w recepcji.

— Poszczęściło się panu?

— W wystarczającym stopniu. Dziękuję.

Wsunął się dyskretnie do taksówki i zamknął za sobą drzwi. Serce mu waliło. *Mój Boże* — pomyślał. *Jakbym był nastolatkiem czekającym na dziewczynę!*

Wkrótce potem drzwi się otworzyły i Poliakowa zalał zapach Tancerza. Wyciągnął rękę na zachodnią modłę.

— Doktor Tachion, jak mniemam?



Kierowca — Uzbek z ambasady — był z zawodu analitykiem ekonomicznym, ale jego największą zaletą była umiejętność milczenia. Wykazywał całkowity brak zainteresowania poczynaniami Poliakowa, a do tego poruszanie się po zatłoczonych ulicach Londynu nastręczało mu wiele trudności. Zapewniło to dwójce rozmówców potrzebną prywatność.

Dzika karta Rosjanina nie miała twarzy. Dzięki temu nigdy nie podejrzewano go o to, że jest asem albo dżokerem. To, a także fakt, że użył swych mocy tylko dwa razy.

Pierwszy raz podczas długiej i srogiej zimy z roku czterdziestego szóstego na czterdziesty siódmy, wkrótce po uwolnieniu wirusa dzikiej karty. Był wtedy porucznikiem. Wojnę spędził jako

zampolit, oficer polityczny, w fabryce amunicji na Uralu. Po kapitulacji Niemiec moskiewska centrala przydzieliła go do sił ścierających się z ukraińskimi nacjonalistami, „leśnymi ludźmi”, którzy walczyli z Niemcami, a teraz nie mieli zamiaru przestać. Walki trwały aż do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego.

Dowódcą jego oddziału był zbir nazwiskiem Suwin. Kiedyś przyznał się po pijanemu, że podczas wielkiej czystki był katem na Łubiance. Tam naprawdę polubił tortury. Poliakow zastanawiał się, czy to jedyna możliwa reakcja na pracę, w której codziennie trzeba zabijać innych członków partii strzałem w kark. Pewnego wieczoru przyprowadził na przesłuchanie młodego Ukraińca. Suwin był pijany i zaczął biciem wyduszać z niego przyznanie się do winy. Była to strata czasu, bo chłopak już się przyznał do kradzieży żywności, ale Suwin pragnął połączyć go z buntownikami.

Poliakow najlepiej pamiętał fakt, że był zmęczony. Często bywał też głodny, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Związku Sowieckiego w tamtym roku, nawet ci najwyżej postawieni. Przyznawał teraz ze wstydem, że to znużenie, a nie współczucie i człowieczeństwo kazało mu rzucić się na Suwina i odepchnąć go na bok. Tamten obalił go na ziemię i zaczęli walczyć. Leżący na plecach Poliakow zdołał zacisnąć ręce na gardle przeciwnika. Nie było szans, by mógł go udusić, ale Suwin nagle zrobił się czerwony — niebezpiecznie czerwony — i dosłownie stanął w płomieniach.

Młody więzień był nieprzytomny i niczego nie zauważył. Ponieważ każdą śmierć w strefie walk rutynowo przy pisywano „atakowi nieprzyjaciela”, bydlak jakim był Suwin, oficjalnie zginął „bohaterską” śmiercią z powodu „poważnych urazów klatki piersiowej” oraz „poparzeń”, co było eufemistycznym określeniem zwęglenia. Ten incydent przeraził Poliakowa. W pierwszej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy, co się wydarzyło: wszelkie informacje o wirusie dzikiej karty były utajnione. W końcu jednak uświadomił sobie, że ma moc... że jest asem. Przysiągł, że nigdy już nie użyje tej mocy.

Złamał tę przysięgę tylko raz.

Jesienią roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego Georgij Władimirowicz Poliakow, w owym czasie kapitan „organów”, przebywał w Berlinie Zachodnim, udając młodego reportera TASS. O asach i dzoklerach mówiło się wtedy bardzo wiele. Ludzie z TASS śledzili relacje z waszyngtońskich przesłuchań z przerażeniem — niektórym przypominało to wielką czystkę — lecz również z zachwytem. Potężnych amerykańskich asów zneutralizowali ich własni rodacy!

Wiedzano, że niektórzy z asów oraz ich takizjański władca marionetek (jak nazywała go „Prawda”) uciekli ze Stanów Zjednoczonych po pierwszych przesłuchaniach HUAC. Wszyscy stali się priorytetowymi celami dla Ósmego Dyrektoriatu KGB, odpowiedzialnego za Europę Zachodnią. Dla Poliakowa najważniejszym z nich był Tachion. Być może Takizjanin posiadał

jakis klucz do tajemnicy wirusa dzikiej karty... wiedzial cos, co tłumaczilo jego dzialanie... co pozwoliloby sie od niego uwolnic. Gdy tylko uslyszal, ze Takizjanin stacza sie powoli w Hamburgu, natychmiast tam wyruszył.

Poliakow juz przedtem odwiedzal hamburska dzielnice czerwonych swiateł w celach „rozpoznania” i w związku z tym wiedzial, które burdele najchętniej obslugują nietypowych klientów, takich jak Tachion. Znalazł kosmitę w trzecim lokalu, który sprawdzil. Takizjanin był pijany, nieprzytomny i bez grosza przy duszy. Tachion powinien być mu wdzieczny. Niemcy jako rasa mieli bardzo niewiele sympatii dla zapijaczonych nędzarzy, a właściciele domów publicznych w Hamburgu mieli jej jeszcze mniej. Miałby szczęście, gdyby wrzucono go do kanału żywego.

Poliakow zabral go do kryjówki w Berlinie Wschodnim, gdzie po długiej dyskusji z rezydentami zaczęto mu dostarczać alkohol oraz kobiety w kontrolowanych dawkach. Wracal powoli do zdrowia... a Poliakow i kilkunastu innych agentów przesłuchiwalo go starannie. Nawet sam Szelepin oderwal się na chwile od swych moskiewskich spisków, by przyleciec do Berlina.

Po trzech tygodniach stalo się jasne, ze Tachion nie ma im juz nic więcej do powiedzenia. Poliakow podejrzewal jednak, ze Takizjanin po prostu odzyskal siły w wystarczającym stopniu, by oprzec się dalszym przesłuchaniom. Niemniej dostarczył im bardzo wiele informacji na temat amerykańskich asów, takizjańskiej historii i nauki oraz samego wirusa dzikiej karty. Poliakow niemalze się spodziewal, ze jego przełożeni dadzą kosmicie order i rentę.

Ofiarowali mu coś niemal równie dobrego. Podobnie jak niemieckich inżynierów rakietowych wziętych do niewoli po wojnie, Tachiona czekala dyskretna repatriacja... w jego przypadku do Berlina Zachodniego. Poliakowa w tej samej chwili przeniesiono do nielegalnej kwatery w tym mieście, licząc na to, ze obaj nadal będą utrzymywac ze sobą kontakty. Z powodu tego, co wydarzyło się w Berlinie Wschodnim, nigdy nie będą przyjaciółmi, ale czas spędzony razem w sektorze zachodnim sprawil, ze nigdy nie zostaną stuprocentowymi wrogami.

— W ciągu czterdziestu lat spędzonych na tym świecie nauczyłem się codziennie modyfikować swe oczekiwania — rzekł mu Takizjanin. — Byłem szczerze przekonany, ze nie żyjesz.

— Nie zostało mi juz zbyt wiele — przyznał Rosjanin. — Za to ty wyglądasz teraz lepiej niż w Berlinie. Dla was czas faktycznie płynie powoli.

— Czasami zbyt powoli.

Umilkli na chwile, udając, ze podziwiają widoki. Obaj chcieli uporządkować swe wspomnienia o rozmówcy.

— Po co tu przyjechałeś? — zapytał wreszcie Tachion.

— Zażądać spłaty długu.

Takizjanin skinął lekko głową. Ten gest świadczył, jak głęboko zasy miliował się na Ziemi.

— Tak też myślałem.

— Wiedziałeś, że kóregoś dnia to się zdarzy.

— Oczywiście. Proszę, nie zrozum mnie źle! Nasz lud szanuje zobowiązania. Uratowałeś mi życie. Masz prawo do wszystkiego, co mogę ci dać. — Rozciągnął zaciśnięte usta w wąskim uśmiechu. — Ten jeden raz.

— Jak dobrze znasz senatora Gregga Hartmanna?

— Jest nominalnym przywódcą tej wyprawy, więc utrzymywałem z nim pewne kontakty. Rzecz jasna, po tych okropnych wydarzeniach w Berlinie widujemy się znacznie rzadziej.

— A co o nim sądzisz jako o człowieku?

— Za słabo go znam, by go osądzać. To polityk, a ja z założenia gardzę politykami. Z tego punktu widzenia wydaje mi się mniej zły od pozostałych. Na przykład, chyba szczerze popiera dzokerów. W twoim kraju zapewne nie jest to zbyt poważny problem, ale w Ameryce budzi wielkie emocje, porównywalne z kwestią aborcji. — Przerwał. — Bardzo wątpię, by zgodził się na jakiś... układ, jeśli o to pytasz.

— Widzę, że zaczęłeś czytać powieści szpiegowskie — zauważył Poliakow. — Bardziej mnie interesuje... nazwijmy to analizą polityczną. Czy to możliwe, że zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych?

— Bardzo możliwe. Obecny kryzys osłabił Reagana, a poza tym w mojej opinii jego stan zdrowia nie jest najlepszy. Nie ma oczywistego następcy, a sytuacja gospodarcza przed wyborami zapewne się pogorszy.

*Pierwszy element układanki: tylko jeden amerykański polityk zostawił za sobą ślad tajemniczych śmierci godny Berii albo Stalina. Drugi element: tego samego polityka porwano. Dwa razy. I udało mu się uciec w tajemniczych okolicznościach. Również dwa razy.*

— Demokraci mogą wystawić kilku kandydatów, ale każdy z nich ma znaczące słabe punkty. Hart z pewnością sam siebie wyeliminuje. Biden, Dukakis i cała reszta równie dobrze mogliby jutro zniknąć. Jeśli Hartmann zdoła stworzyć solidną organizację i nadarzy się odpowiednia szansa, może wygrać.

Najnowsze oceny Moskiewskiego Centrum przewidywały, że następnym prezydentem będzie Dole. Analitycy z Instytutu przygotowywali już psychologiczny model senatora z Kansas. Byli to jednak ci sami specjaliści, którzy przewidywali, że Ford pokona Cartera, a Carter Reagana. Zgodnie z zasadą mówiącą, że prognozy ekspertów nigdy się nie sprawdzają, Poliakow był skłonny uwierzyć Tachionowi.

Nawet teoretyczna możliwość zwycięstwa Hartmanna miała znaczenie... jeśli rzeczywiście był asem! Trzeba będzie go obserwować i powstrzymać, jeśli okaże się to konieczne, ale

Moskiewskie Centrum nigdy nie zatwierdzi podobnej operacji, zwłaszcza jeśli będzie sprzeczna z wynikami jego kosztownych analiz.

Kierowca, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, zawrócił ku Grosvenor House. Resztę drogi poświęcili na wspomnianie dwóch Berlinów, a nawet Hamburga.

— Nie czujesz się usatysfakcjonowany, prawda? — zapytał wreszcie Takizjanin.

— Z pewnością pragnęłeś ode mnie czegoś więcej niż powierzchowna polityczna analiza.

— Znasz odpowiedź na to pytanie.

— Nie mam żadnych tajnych dokumentów, które mógłbym ci przelażać. Za bardzo rzucam się w oczy, bym się nadawał na szpiega.

— Masz moce, Tachion...

— A także ograniczenia! Wiesz, co mogę, a czego nie mogę zrobić.

— Nie jestem twoim wrogiem, Tachion! Tylko ja pamiętam o twoim długu, a w sierpniu przechodzę na emeryturę. W tej chwili jestem tylko starym człowiekiem, który próbuje poskładać w całość elementy układanki.

— Opowiedz mi o tej układance...

— Przecież wiesz, że tego nie zrobię.

— W takim razie jak mogę ci pomóc? — Poliaków nie odpowiedział. — Boisz się nawet zadać mi bezpośrednie pytanie, żebyś nie dowiedział się zbyt wiele. Jakże to rosyjskie!

Przez chwilę Poliaków żałował, że jego moc dzikiej karty nie pozwala mu czytać w myślach. Tachion miał bardzo wiele ludzkich cech, ale był Takizjaninem... i nic, czego Poliaków nauczył się przez lata, nie pozwalało mu ocenić, czy mówi prawdę. Czy musiał zawierzyć takizjańskiemu honorowi?

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku i kierowca otworzył drzwi. Ale Tachion nie wysiadł.

— I co teraz z tobą będzie? — zapytał.

*No właśnie, co?*

— Zostanę szanowanym emerytem, jak Chruszczow. Będę mógł kupować bez kolejki i spędzać dni na czytaniu albo opowiadaniu przy wódce o swych wyczynach ludziom, którzy nie uwierzą w ani jedno moje słowo.

Tachion się zawahał.

— Przez wiele lat cię nienawidziłem. Nie za to, że wykorzystałeś moją słabość, ale za uratowanie mi życia. Ale teraz wreszcie mam po co żyć... choć od bardzo niedawna. Dlatego jestem ci wdzięczny.

Wysiadł z taksówki i zatrzaskał za sobą drzwi.

— Jeszcze się spotkamy — rzekł, licząc na zaprzeczenie.

— Tak — potwierdził Poliaków. — Z pewnością.

Taksówka ruszyła. Rosjanin zauważył w lusterku wstecznym, że Tachion śledził ich wzrokiem jeszcze przez pewien czas, zanim wrócił do hotelu.

Z pewnością zadawał sobie pytanie, kiedy Poliakow zjawi się znowu. On jednak został sam... współpracownicy z niego drwili, a partia go odrzuciła. Był wierny tylko jakiemuś ideałowi, który sam ledwie pamiętał. Pod pewnymi względami przypominał nieszczęsnego Mołnię, którego wysłano z bezsensowną misją, by potem go porzucić.

Przeznaczeniem sowieckiego asa jest być zdradzonym.



Miał zostać w Londynie jeszcze kilka tygodni, ale jeśli nie był w stanie wyciągnąć użytecznych informacji ze względnie skłonnego do współpracy źródła, jakim by Tancerz, nie było potrzeby, by siedział tu dłużej. Wieczorem się spał, gotowy wrócić do Moskwy, gdzie czekała na niego emerytura. Po kolacji, przy której towarzyszyła mu tylko butelka Stolicznej, wybrał się na spacer po Sloane Street, pełnej modnych butików. Jak nazywali młode kobiety, które tu kupowały? Sloane Rangers. Sądząc po przypadkowych przykładach wracających pośpiesznie do domu o tej późnej porze, a także po dziwacznych manekinach widocznych na wystawach, wszystkie były chude jak szkielety. Stanowczo za kruche dla Poliakowa.

Tak czy inaczej miejscem, ku któremu zmierzał — jego pożegnaniem z Londynem i Zachodem — był King's Cross, gdzie kobiety miały bardziej konkretne kształty. Gdy dotarł na Pont Street, zauważył jednak śledzącą go czarną taksówkę. W parę chwili rozważył wszystkich możliwych napastników, od amerykańskich agentów działających na własną rękę, przez terrorystów Świata Allaha, aż po angielskich bandytów... ale po chwili przeczytał w odbiciu w szybie wystawowej numer rejestracyjny i zorientował się, że samochód jest własnością Ambasady Sowieckiej. Przyjrzał się dokładniej i zauważył, że kierowcą jest Jurczenko.

Zaprześcił uników i po prostu podszedł do samochodu. Z tyłu siedział mężczyzna, którego nie znał.

— Gieorgiju Władimirowiczu! — zawołał Jurczenko. — Wsiadajcie!

— Nie ma potrzeby krzyczeć — zgał go Poliakow. — Nie przyciągajcie uwagi.

Jurczenko był jednym z tych młodych mężczyzn, którzy nabywali zawodowych umiejętności tak łatwo, że często nie robili z nich użytku, jeśli ktoś im o tym nie przypominał.

Gdy tylko Poliakow usiadł na przednim siedzeniu, samochód włączył się do ruchu. Najwyraźniej wybierali się na przejażdżkę.

— Myśleliśmy, że was tracimy — oznajmił miłym głosem Jurczenko.

— O co tu chodzi? — zapytał Poliakow. — Kim jest wasz przyjaciel? — dodał, wskazując na milczącego mężczyznę na tylnym siedzeniu.

— To Dołgow z GRU. Przekazał mi pewne bardzo niepokojące informacje.

Poliaków po raz pierwszy zaczął się naprawdę bać. Czy tak miało wyglądać jego przejście w stan spoczynku? „Przypadkowa” śmierć za granicą?

— Nie trzymajcie mnie w napięciu, Jurczenko. O ile mi wiadomo, nadal jestem waszym szefem.

Jurczenko nie był w stanie na niego patrzeć.

— Takizjanin jest podwójnym agentem. Pracuje dla Amerykanów od trzydziestu lat.

Poliaków spojrział na siedzącego z tyłu mężczyznę.

— Zatem GRU nagle zaczęło się dzielić z nami swymi cennymi informacjami. Cóż za wielki dzień dla Związku Sowieckiego. Jak sądzę, mnie również podejrzewacie o bycie agentem.

— Co dał wam Takizjanin? — zapytał człowiek z GRU, odzywając się po raz pierwszy.

— Nie rozmawiam z wami. To, co dają mi moi agenci, należy do KGB.

— Zatem GRU podzieli się z wami informacją. Tachion ma wnuka imieniem Blaise. Znalazł go w Paryżu, w zeszłym miesiącu. Blaise jest asem nowego rodzaju... potencjalnie najpotężniejszym i najgroźniejszym na całym świecie. Skradziono go nam sprzed nosa i zabrano do Ameryki.

Samochód minął Lambeth Bridge, zmierzając ku szarej i przygnębiającej dzielnicy przemysłowej. To było idealne miejsce na kryjówkę... a także na egzekucję.

*Tachion ma wnuka obdarzonego mocą!* Przypuśćmy, że to dziecko wejdzie w kontakt z Hartmannem. Potencjał byłby przerażający. Życie w świecie zagrożonym nuklearną zagładą byłoby bezpieczne w porównaniu z życiem na Ziemi zdominowanej przez Ronalda Reagana z dziłą kartą. Jak mógł być aż tak głupi?

— Nie wiedziałem o tym — odparł po chwili. — Tancerz nie był aktywnym agentem. Nie było potrzeby go obserwować.

— Ależ była — sprzeciwił się Dołgow. — Po pierwsze, to cholerny kłusita! Nawet gdyby sam fakt jego uczestnictwa w wyprawie nie wystarczył, dochodzi jeszcze paryski incydent!

GRU nie miało trudności ze szpiegowaniem kogoś, kto przebywał w Paryżu. W tamtejszej ambasadzie roilo się od jego agentów. Rzecz jasna siostrzanej służby o niczym nie poinformowano. Gdyby Poliaków wiedział o Blaisie, inaczej rozmawiałby z Mołnią!

Musiał się zastanowić. Przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech. To był zły nawyk

— Sprawa jest poważna. To oczywiste, że musimy ze sobą współpracować. Jestem gotowy zrobić wszystko, co będę...

— W takim razie dlaczego się spakowaliście! — przerwał mu Jurczenko. Ból w jego głosie brzmiał szczerze.

— Obserwowaliście mnie?

Przeniósł spojrzenie z Jurczenki na Dołgowa. *Boże, oni naprawdę myśleli, że zamierzam*

*prysnąć!*

Odwrócił się lekko i dotknął dłonią Jurczenki, który odskoczył jak uderzony. Ale Poliakow nie puścił. Taksówka uderzyła bokiem w zaparkowany przy krawężniku samochód, odbiła się i wróciła do ruchu. W tej samej chwili oczy Jurczenki zapadły się w głąb czaszki. Żar ugotował już jego mózg.

Dołgow rzucił się na przednie siedzenie, złapał kierownicę i zdołał wjechać prosto w kolejny zaparkowany samochód. Zatrzymali się. Poliakow zapał się nogami, przygotowując się na wstrząs, który zrzucił z niego dymiące ciało młodszego agenta... pozwalając mu sięgnąć ku Dołgowowi, który popełnił ten błąd, że złapał go za rękę.

Twarz człowieka z GRU stała się na moment obliczem Wielkiego Przywódcy, Ojca Narodu Sowieckiego... który sam zmienił się w morderczego dzokera. Poliakow był wówczas tylko młodym kurierem, przewożącym wiadomości między Kremlem a daczą sekretarza generalnego. Obdarzono go zaufaniem i wtajemniczono w sekret kłątwy, która dotknęła Wielkiego Stalina, ale nie był zabójcą. Nigdy nie pragnął nim zostać. Jednakże Stalin zarządził już egzekucję wszystkich dzikich kart.

Jeśli otrzymał tę moc, z pewnością było mu przeznaczone z niej korzystać. Wtedy wyeliminował Stalina, a teraz Dołgowa. Nie pozwolił mu na ostatnie słowo, ani nawet na gest sprzeciwu, a po prostu wypalił z niego życie.

Przednie drzwi po obu stronach zablokowały się pod wpływem wstrząsu i Poliakow musiał się wyczołgać tyłem. Przedtem jednak wyjął z kieszeni Dołgowa ciężki rewolwer, broń, którą człowiek z GRU miał mu przystawić do łarku. Wystrzelił jeden raz w powietrze, a potem włożył rewolwer z powrotem na miejsce. Scotland Yard i GRU mogły sobie myśleć, co tylko zechcą... kolejne zagadkowe zabójstwo, po którym winni sami padli ofiarą wypadku.

Ogień z dwóch ciał dotarł do strumyka benzyny rozlanego w chwili zderzenia... Dołgow nie trafił do krematorium.

Wybuch i płomień z pewnością przyciągną uwagę. Poliakow wiedział, że powinien stąd zniknąć... ale ogień miał w sobie coś atrakcyjnego. Jakby stary, lojalny pułkownik KGB również tu zginął, by odrodzić się jako superbohater, jedyny prawdziwy sowiecki as...

Tak będzie wyglądała legenda o jego narodzinach.

#### IV

W terminalu British Airways na lotnisku Robert Tomlin International było mnóstwo znaków w języku rosyjskim, umieszczonych tu przez organizację World Jewish Relief, której siedziba znajdowała się w pobliskim Brighton Beach. To była Ellis Island dla Żydów uciekających z bloku wschodniego, nawet tych, którzy zamierzali się osiedlić w Palestynie. Wśród tych, którzy



wysiedli z samolotu tego majowego dnia, znajdował się tęgi, sześćdziesięcioparoletni mężczyzna, ubrany jak typowy imigrant z klasy średniej. Brązową koszulę zapiął pod szyją, a jego szara marynarka była znoszona. Podeszła do niego kobieta z Jewish Relief.

— *Zdrawstwuje w Sojedinionnych Szatach* — przywitała go po rosyjsku. Witajcie w Stanach Zjednoczonych.

— Dziękuję — odparł mężczyzna po angielsku.

— Dobrze, że zna pan język — ucieszyła się. — To bardzo ułatwi panu życie. Czy mogę w czymś panu pomóc?

— Dziękuję, wiem, co robię.

Gdzieś tam w mieście czekał doktor Tachion, żyjąc w strachu przed ich następnym spotkaniem i niepokojący się myślą, co będzie ono oznaczało dla jego tak bardzo niezwykłego wnuka. Na południu był Waszyngton i senator Hartmann, bardzo trudny cel. Jednakże Poliakow nie będzie pracował sam. Zaraz po zniknięciu skontaktował się z rozproszonymi resztkami siatki Mołni. W przyszłym tygodniu Gimli dołączy do niego w Stanach Zjednoczonych...

Czekał, aż jego skromny bagaż przejdzie przez kontrolę celną, wyglądając przez okna na piękny letni dzień w Ameryce.

# Z dziennika Xaviera Desmonda

27 kwietnia, gdzieś nad Atlantykiem

Świata w samolocie wyłączono przed kilkoma godzinami i większość moich towarzyszy dawno już śpi. Mnie jednak ból nie pozwala zasnąć. Wziąłem kilka tabletek i trochę mi pomogły, ale sen nadal nie przychodzi. Mimo to czuję dziwną euforię, niemalże spokój ducha. Zbliża się koniec mojej podróży zarówno tej dużej, jak i tej małej. Pokonałem długą drogę i wreszcie mogę powiedzieć, że jestem z niej zadowolony.

Czeka nas jeszcze jeden postój — krótka wizyta w Kanadzie, szybkie jak błyskawica odwiedziny w Montrealu i Toronto, a potem spotkanie z rządem w Ottawie. Później wracamy do domu. Lotnisko Tomlin International, Manhattan, Dżokerowo. Dobrze będzie znowu zobaczyć Gabinet Luster.

Chciałbym móc powiedzieć, że nasza wyprawa osiągnęła wszystkie cele, jakie sobie stawiała, ale to raczej nie byłoby prawdą. Zaczęliśmy niezłe, lecz akty przemocy, do których doszło w Syrii, Niemczech Zachodnich i we Francji, położyły kres naszemu niewypowiedzianemu marzeniu o tym, że dzięki nam opinia publiczna zapomni o rzezi w Dniu Dzikiej Karty. Mogę tylko mieć nadzieję, że większość uswiadomi sobie, iż terroryzm jest złowrogim elementem świata, w którym żyjemy, i że istniałby również bez dzikiej karty. Krwawą łaźnię w Berlinie zgotowała grupa składająca się z dzokerów, asów i natoli. Powinniśmy o tym pamiętać i z naciskiem przypominać o tym światu. Jeśli obciążymy całą winą za rzeź Gimlego i jego żalonych zwolenników albo dwóch zbiegłych asów, wciąż jeszcze poszukiwanych przez niemiecką policję, skorzystają na tym jedynie Leo Barnett, Nur al-Allah i inni, im podobni. Nawet gdyby Takizjanie nie obdarzyli nas swoją kłątwą, na świecie nie zabrakłoby zdesperowanych, szalonych i złych ludzi.

Osobiście dostrzegam złowrogą ironię w fakcie, iż to odwaga i współczucie, jakimi cechuje się Gregg, spowodowały, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, a uratowała go nienawiść, która kazała porywaczom zwrócić się przeciwko sobie i doprowadziła do bratobójczej rzezi.

Ten świat jest naprawdę dziwny.

Modłę się o to, byśmy już nigdy nie ujrzeli Gimlego, mam też jednak powody do radości. Po Syrii nie wydawało się prawdopodobne, by któkolwiek mógł wątpić, że Gregg Hartmann potrafi zachować odwagę w obliczu nieprzyjaciela, ale jeśli byli tacy ludzie, bez wątpienia Berlin uspokoił ich obawy. Po tym, jak „Post” opublikował wyłączny wywiad przeprowadzony przez Sarę Morgenstern, poparcie dla Hartmanna wzrosło w sondażach o dziesięć procent. Idzie teraz prawie łeb w łeb z Hartem. W samolocie uważa się, że Gregg z pewnością wystartuje.

Powiedziałem to Kopaczowi w dublińskim hotelu, gdy siedzieliśmy przy guinnessie i świetnym irlandzkim chlebie sodowym. Downs zgodził się ze mną. Posunął się nawet dalej i przepowiedział, że Hartmann zdobędzie nominację. Nie byłem tego taki pewien i przypomniałem mu, że Gary Hart nadal wydaje się bardzo poważną przeszkodą, ale Downs potarł tylko złamany nos, uśmiechnął się w ten swój irytująco tajemniczy sposób i powiedział:

— No wiesz, mam takie przeczucie, że Gary spieprzy sprawę i zrobi coś naprawdę głupiego. Nie pytaj mnie dlaczego.

Jeśli zdrowie pozwoli, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zorganizować w Dżokerowie poparcie dla kandydatury Hartmanna. Nie sądzę też, bym był osamotniony w swych poglądach. Po wszystkich, czego świadkami byliśmy w kraju i za granicą, z pewnością wielu wpływowych asów i dżokerów zechce poprzeć senatora. Hiram Worchester, Sokolica, Mistral, Ojciec Kalamarnica, Jack Braun. Być może nawet doktor Tachion, pomimo jego osławionej pogardy dla polityki i polityków.

Bez względu na terroryzm i rozlew krwi jestem przekonany, że udało nam się osiągnąć trochę dobrego. Mogę tylko mieć nadzieję, że nasz raport otworzy oczy niektórych osób w kręgach rządowych, a fakt, że przyciągnęliśmy spojrzenia prasy na wszystkich kontynentach, zwrócił uwagę opinii publicznej na problem losu dżokerów w Trzecim Świecie.

Jeśli zaś chodzi o bardziej osobiste sprawy, Jack Braun zrobił wiele, by się zrehabilitować, a nawet zdołał położyć kres trwającej trzydzieści lat wrogości Tachiona. Sokolica wręcz promienieje radością spowodowaną ciężką; udało nam się też, choć późno, uwolnić biednego Jeremiaha Straussa z trwającej dwadzieścia lat niewoli pod postacią małpy. Pamiętam Straussa z dawnych dni, gdy Gabinet Luster należał do Angeli, a ja pracowałem tam jako *maitre d'hôtel*. Zaproponowałem mu angaż, jeśli zechce wznowić artystyczną karierę jako Projekcjonista. Ucieszył się, ale nie chciał się do niczego zobowiązywać. Nie zazdrozczę mu okresu adaptacji, który go czeka. Można go właściwie uznać za podróżnika w czasie.

Natomiast doktor Tachion... no cóż, jego nowa punkowa fryzura jest niezwykle brzydka, nadal utyka na zranioną nogę i teraz cały samolot już wie o jego seksualnej niesprawności, ale to mu zupełnie nie przeszkadza od chwili, gdy we Francji na pokład wsiadł mały Blaise. Wypowiadając się publicznie, Tachion zawsze udzielał wymijających odpowiedzi na jego temat, ale oczywiście wszyscy znają prawdę. Nie jest tajemnicą państwową, że spędził we Francji kilka lat, a jeśli nawet kolor włosów chłopca nie stanowi wystarczającego dowodu, jego zdolność panowania nad umysłami nie pozostawia wątpliwości, czyim jest potomkiem.

Blaise jest dziwnym dzieckiem. Początkowo wydawał się zachwycony widokiem dżokerów, zwłaszcza Poczworki, której przezroczy sta skóra wyraźnie go zafascynowała. Z drugiej strony, nie brak mu okrucieństwa typowego dla dzieci, których nie wychowano w odpowiedni sposób

(a uwierzcie mi, każdy dzoker wie, jak okrutne potrafią być bachory). Podczas naszego pobytu w Londynie ktoś zadzwonił do Tachiona i doktor musiał nas na kilka godzin opuścić. Pod jego nieobecność Blaise zaczął się nudzić i dla rozrywki zapanował nad umysłem Mordecaia Jonesa, kazał mu wejść na stół i recytować wierszyk *Jestem małym czajniczkiem*, którego przed chwilą nauczył się na lekcji angielskiego. Stół załamał się pod ciężarem Młota Harlemu i nie sądzę, by Jones miał zapomnieć o tym upokorzeniu. Już przedtem raczej nie przepadał za doktorem Tachionem.

Rzecz jasna, nie wszyscy zachowali z podróży miłe wspomnienia. Nie da się ukryć, że dla niektórych z nas była ona bardzo ciężkim przeżyciem. Sara Morgenstern napisała kilka znakomych artykułów, być może najlepszych w całej swej karierze, ale mimo to z każdym dniem staje się coraz bardziej wybuchowa i znerwicowana. Jeśli zaś chodzi o kolegów po fachu podróżujących razem z nią z tyłu samolotu, Josh McCoy chwilami sprawia wrażenie zakochanego do szaleństwa w Sokolicy, a czasami bezgranicznie na nią wściekłego. Z pewnością nie jest mu łatwo, jako że cały świat wie, iż nie jest ojcem jej dziecka. Natomiast profil Kopacza nigdy już nie będzie wyglądał tak samo.

Downs jest jednak w takim samym stopniu niespożyty, jak nieodpowiedzialny. Nie dalej jak przedwczoraj powiedział Tachionowi, że jeśli udzieli mu wyłącznego wywiadu na temat Blaise'a, może uda mu się nie wspomnieć o impotencji doktora. Tachion nie przyjął tej propozycji zbyt dobrze. Kopacz zakumpłował się też ostatnio z Poczwarką. Pewnej nocy w londyńskim barze podsłuchałem bardzo dziwną rozmowę między nimi.

— Wiem, że tak jest — zapewniał Kopacz.

Poczwarka odpowiedziała mu, że wiedzieć coś, a móc to udowodnić, to dwie zupełnie różne sprawy. Kopacz powiedział potem, że pachną dla niego inaczej i wiedział już od chwili, kiedy się spotkali. Poczwarka roześmiała się tylko i odparła, że wszystko to pięknie, ale zapachy, których nikt inny nie czuje, nie mają żadnej wartości jako dowód, a poza tym zdradziłyby się, gdyby o tym wspomniał publicznie. Kiedy wyszedłem z baru, nadal rozmawiali na ten temat.

Myślę, że nawet Poczwarka ucieszy się z powrotu do Dżokerowa. Z pewnością świetnie się czuła w Anglii, ale biorąc pod uwagę jej anglofilskie tendencje, trudno to uznać za niespodziankę. Doszło tylko do jednego nerwowego incydentu. Podczas przyjęcia przedstawiono ją Churchillowi, a ten bez ogródek zapytał ją, czego właściwie próbuje dowieść swym afektowanym brytyjskim akcentem. Z jej niepowtarzalnej twarzy trudno jest cokolwiek wyczytać, ale przez chwilę byłem pewien, że Poczwarka zabije staruszką na oczach królowej, pani premier i kilkunastu brytyjskich asów. Na szczęście zgrzytnęła tylko zębami i złożyła te słowa na karb zaawansowanego wieku sir Winstona. W końcu nawet gdy był młodszy, raczej nie miał oporów przed dobitnym wyrażaniem swego zdania.

Hiram Worchester być może wycierpiał podczas podróży najwięcej z nas wszystkich. Wszelkie rezerwy sił, jakie jeszcze w nim pozostały, wypaliły się w Niemczech. Od tej pory sprawia wrażenie do cna wyczerpanego. Kiedy odlatywaliśmy z Paryża, pękło pod nim specjalne siedzenie. Podejrzewam, że popełnił jakiś błąd w panowaniu nad grawitacją, ale odlot opóźnił się przez to o prawie trzy godziny, gdyż musieliśmy czekać, aż naprawią fotel. Hiramowi również puszczają ostatnio nerwy. Podczas tego incydentu z fotelem Billy Ray powiedział jeden dowcip o grubasach za dużo i Worchester w końcu stracił cierpliwość. Naskoczył na Raya w gniewie, nazywając go (między innymi) „małym niekompetentnym pyskaczem”. To wystarczyło. Carnifex wykrzywił usta w tym swoim niewyraźnym uśmiechu.

— Za to skopię ci tyłek, grubasie — oznajmił i zaczął się podnosić z fotela.

— Nie powiedziałem, że wolno ci wstać — odparł Hiram.

Potem zacisnął pięść i potroił ciężar Billy'ego, spychając go z powrotem na fotel. Billy uparcie próbował wstać, a Hiram wciąż zwiększał jego ciężar. Nie potrafię zgadnąć, na czym by się skończyło, gdyby doktor Tachion nie uspił ich obu za pomocą kontroli umysłu.

Kiedy widzę, jak sławni na cały świat asowie kłócą się jak niegrzeczne dzieci, nie wiem, czy się śmiać, czy czuć niesmak Hirama przynajmniej usprawiedliwia zły stan zdrowia. Wygląda teraz okropnie: bładny na twarzy, opuchnięty, spocony, zdyszany. Ma na karku, tuż poniżej kołnierza, wielkiego, ohydneho strupa i drapie się po nim, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Poradziłbym mu, żeby poszukał pomocy lekarza, ale jest ostatnio w tak nieprzyjemnym nastroju, że wątpię, by posłuchał mojej rady. Niemniej jednak podczas naszej podróży krótkie wizyty w Nowym Jorku zawsze bardzo mu pomagały, możemy więc mieć nadzieję, że powrót do domu przywróci mu zdrowie i podniesie na duchu.



Na koniec muszę napisać o sobie.

Obserwacja moich towarzyszy i pisanie o tym, co zyskali, a co stracili, było łatwym zadaniem, trudniej jest podsumować własne doświadczenia. Jestem teraz starszy i mam nadzieję, że również mądrzejszy niż przed rozpoczęciem podróży. Nie sposób też zaprzeczyć, że jestem o pięć miesięcy bliżej śmierci.

Pan Ackroyd zapewnia, że bez względu na to, czy ten dziennik zostanie opublikowany, osobiście dostarczy jego egzemplarze moim wnukom i uczyni wszystko, co w jego mocy, by się upewnić, że je przeczytają. Być może więc to właśnie do nich piszę te ostatnie słowa... do nich i do innych, takich jak one.

Robercie, Cassie, nigdy się nie spotkaliśmy, i wina spada w równym stopniu na mnie, co na waszą matkę i babcię. Jeśli się zastanawiacie dlaczego, przypomnijcie sobie, co napisałem o wstręcie do samego siebie i zrozumcie, proszę, że nie byłem wyjątkiem. Nie oszczędzajcie mnie

zbyt surowo... podobnie jak waszej matki i babci. Joanna była stanowczo za mała, żeby zrozumieć, co się stało, gdy jej tata się zmienił, a jeśli chodzi o Mary... kiedyś się kochaliśmy, i nie mogę pójść do grobu z nienawiścią do niej. Prawda wygląda tak, że gdyby sytuacja była odwrotna, równie dobrze mógłbym postąpić tak samo. Wszyscy jesteśmy ludźmi i musimy grać kartami, jakie nam rozdano.

Wasz dziadek był dzokerelem, to prawda. Mam jednak nadzieję, że czytając te słowa, uświadomicie sobie, iż był również kimś więcej. Że osiągnął to i owo, bronił swego ludu, zrobił trochę dobrego. DLZ jest zapewne dziedzictwem, z którego można być dumnym. Uważam, że to lepszy pomnik niż piramidy, Tadź Mahal czy Mauzoleum Śmiga. Zważywszy wszystko razem, nie spisałem się najgorzej. Zostanie po mnie kilku przyjaciół, którzy mnie kochali, wiele miłych wspomnień i mnóstwo niedokończonych spraw. Zanurzyłem stopę w Gangesie, słyszałem, jak Big Ben wybija godziny, i chodziłem po Wielkim Murze. Widziałem swą nowo narodzoną córkę i trzymałem ją w ramionach, spotykałem się z asami i gwiazdami telewizji, prezydentami i królami.

Co najważniejsze, wydaje mi się, że świat stał się dzięki mnie odrobinę lepszy. To wszystko, czego naprawdę można wymagać od kóregokolwiek z nas.

Opowiedzcie o mnie swoim dzieciom, jeśli zechcecie.

Nazywałem się Xavier Desmond i byłem człowiekiem.

# Z „New York Timesa”

17 lipca 1987

Xavier Desmond, założyciel i emerytowany prezes Dżokerskiej Ligi przeciw Zniesławieniu (DLZ), od z górą dwóch dziesięcioleci jeden z przywódców społeczności ofiar dzikiej karty, zmarł wczoraj po długiej chorobie w Klinice Pamięci Blythe van Renssaeler.

Desmond, często zwany „burmistrzem Dżokerowa”, był właścicielem Gabinetu Luster, popularnego klubu nocnego przy Bowery Street. Działalność polityczną rozpoczął w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym, kiedy to założył DLZ, organizację walczącą z uprzedzeniami wobec ofiar dzikiej karty i szerzącą w społeczeństwie wiedzę na temat wirusa oraz skutków jego działania. DLZ z czasem stała się największą i najbardziej wpływową w całym kraju organizacją walczącą o prawa dżokerów, sam Desmond zaś ich najbardziej szanowanym orędownikiem. Zasiadał w wielu komitetach doradczych przy burmistrzu i uczestniczył w niedawnej wyprawie dookoła globu sponsorowanej przez Światową Organizację Zdrowia. Choć w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym zrezygnował ze stanowiska prezesa DLZ, tłumacząc się wiekiem i złym stanem zdrowia, aż do śmierci wywierał wpływ na politykę organizacji.

Pozostawił byłą żonę, Mary Radford Desmond, córkę, Joannę Horton, oraz dwoje wnuków, Roberta van Nessa i Cassandrę Horton.

# Posłowie

GEORGE R.R. MARTIN

*Dzikie karty* zaczęły się od umowy podpisanej na trzy książki, lecz od samego początku miały być otwartą serią. Dlatego, gdy pierwsze trzy książki otrzymały znakomite recenzje i osiągnęły bardzo dobre wyniki sprzedaży, Bantam Books poprosiły o więcej. Ja i moi pisarze z radością spełniliśmy tę prośbę. Pokochaliśmy ten świat i zamieszkujące go postacie i wiedzieliśmy, że możemy o nich opowiedzieć jeszcze bardzo wiele historii.

Pytanie brzmiało, w jakim kierunku powinniśmy teraz pójść?

*Szalejący dzokerzy* spektakularnie zakończyli pierwszą triadę. Astronom zginął, jego egipcjscy masoni zostali rozbici i rozpierzchli się na cztery wiatry, a w otchłani kosmosu Rój poskromiono i odwrócono od Ziemi... ale nasi bohaterowie ocaleli, a tylko bardzo nieliczni z nich mogli od tej pory żyć długo i szczęśliwie. Yeoman nadal krążył z łukiem po ulicach, tocząc jednoosobową wojnę z Widmową Pięścią. Croyd Crenson wciąż po każdym okresie snu budził się przeobrażony. James Spector pozostawał na wolności, a jego spojrzenie niesło śmierć. Wielki i Potężny Żółw zginął w *Szalejących dzokerach*... a może nie? Czy Żółw, którego potem widziano, był autentyczny? Co się stało z Tomem Tudburym po tym, jak słudzy Astronoma zrzucili jego skórę do Hudson River?

Musieliśmy też rozstrzygnąć sprawy o bardziej fundamentalnym charakterze. Świetnie się bawiliśmy, każąc naszym asom walczyć z Rojem oraz ze złem Astronoma, ale tymi ścieżkami wędrowały przed nami tysiące innych. Kosmici i superlotry występowali w komiksach już od czasów, gdy pierwszy z nich wyszedł spod prasy drukarskiej. Nasze wersje mogły być mroczniejsze i bardziej chwytające za gardło, ale w tego typu opowieściach przygodowych nie było nic nowego.

Najwyżej ocenianym opowiadaniem w pierwszych trzech tomach był nominowany do Nebuli *Świadek* Waltera Jona Williamsa, poruszająca opowieść o ludzkiej słabości, w której roli czarnego charakteru nie grał Rój czy Astronom, lecz Komisja ds. Działalności Antyamerykańskiej (niektórzy z naszych czytelników najwyraźniej sądzili, że ona również była wytworem wyobraźni Waltera, ale mniejsza z tym). Płynęła z tego lekcja, którą powinniśmy wziąć pod uwagę, jeśli chcieliśmy, by *Dzikie karty* stały się tym, czym mogły się stać. Było bardzo wiele komiksów o superbohaterach walczących z superłotrą albo z inwazjami kosmitów, ale znacznie mniej takich, które poważnie zastanawiały się nad głębszymi problemami, jakie pojawiłyby się, gdyby garstka nadludzi rzeczywiście zdobyła „moce i możliwości dalece



wykraczające poza zdolności śmiertelników”. Nad odpowiedzialnością i pokusami związanymi z wielkimi mocami przyznani mi przypadkowo wybranym osobom. Nad tym, jak społeczeństwo poradzi sobie z tymi, którzy stali się kimś więcej niż ludzie, a także z nową podklasą, jaką byli dzokerzy. Asowie jako obiekt kultu bohaterów i jako postacie budzące strach. Kult celebrytów. Wszystko to powinno się stać mąką dla naszego młyna, sercem i duszą *Dzikich kart*.

Chcieliśmy także powiększyć naszą scenę. Pierwsza triada bardzo mocno skupiała się na Nowym Jorku. Co prawda, połączyliśmy urywki tego, co działo się na szerokim świecie podczas wojny z Rojem, a także wcześniej, gdy Czwórka Asów przegnała Perona z Argentyny i straciła Chiny na rzecz komunistów... ale wszystko to były wyłącznie urywki. Nasze spojrzenie skupiało się na wieżowcach Manhattanu i mrocznych zaułkach Dżokerowa. Pora już, byśmy pokazali, co takizjański wirus uczylił reszcie świata.

W posłowniu do wznowienia *Szalejących dzokerów* wydanego przez ibooks pisałem, że jestem przekonany, iż najbardziej efektywnymi ze „wspólnych światów” są te, które maksymalizują swój wspólny charakter. Ta myśl dobrze się nam przysłużyła podczas pisania drugiej triady. Chcieliśmy stworzyć serię, której całość zawsze będzie większa od sumy części. Udało mi się zgromadzić najbardziej utalentowaną grupę autorów, jaka kiedykolwiek pracowała nad projektem tego typu. W pierwszych trzech książkach stworzyli oni bogaty szczegółowy świat mający własną historię, pełen fascynujących postaci i konfliktów... ale by zbudować coś więcej na tych fundamentach, musieliśmy podjąć współpracę ściślejszą niż dotąd. Pragnąłem połączyć nasze wątki fabularne i uczynić drugą triadę *Dzikich kart* znacznie bardziej zintegrowaną niż pierwsza.

W późniejszych latach znaczną część pracy nad tworzeniem fabuły *Dzikich kart* wykonywaliśmy w sieci, za pomocą prywatnej funkcji usługi Genie BBS, ale w owych czasach zarówno seria, jak i Internet były jeszcze w powijakach. Grupa autorów *Dzikich kart* z Nowego Meksyku spotykała się wówczas w salonie starego domu Melindy Snodgrass przy Drugiej Ulicy, gdzie spieraliśmy się przy kawie i od czasu do czasu dzwoniliśmy też do niektórych naszych współpracowników mieszkających gdzie indziej, by ich również wciągnąć do dyskusji.

Podobnie jak w przypadku poprzedniej triady, zdecydowaliśmy, że dwa pierwsze tomy będą się składały z serii odrębnych opowiadań połączonych wspólną narracją, podczas gdy trzeci i ostatni połączy wszystkie wątki w jedną mozaikową powieść na modłę *Szalejących dzokerów*. W pierwszych trzech książkach podstawowym zagrożeniem był Astronom i jego masoński kult, w nowej triadzie tę rolę miał zaś odegrać senator Gregg Hartmann, cudownie skomplikowana postać ukazująca światu twarz szlachetnego idealisty walczącego o prawa dzokerów, a jednocześnie ukrywająca w swym wnętrzu Lalkarza, asa sadystę. W pierwszej książce opisywaliśmy, jak Hartmann ubiegał się o prezydenturę w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Wtedy mu się nie powiodło, ale nie było powodu, by nie mógł

ponowić próby.

Historia Hartmanna miała być najważniejszym wątkiem, łączącym w całość wszystkie trzy książki — nazywaliśmy ją centralną fabułą — ale toczyły się też inne konflikty. John Miller i Leanne Harper już przedtem dali nam szansę ujżenia nowojorskiego świata przestępczego i starcie między azjatyckimi kryminalistami Johna a staromodną rodziną mafijną Leanne wydawało się nieuniknione. To właśnie stało się kolejnym głównym wątkiem, ośrodkiem drugiej książki triady, a piątej całego cyklu, która potem otrzymała tytuł *Down & Dirty*.

Czwartą książkę — tę, którą właśnie skończyliście czytać — postanowiliśmy zbudować wokół wycieczki dookoła świata zorganizowanej przez senatora Hartmanna. Jej celem miało ponoć być przyjrzenie się efektom pojawienia się wirusa dzikiej karty w innych częściach świata. W ten sposób pragnęliśmy ponownie wprowadzić senatora Hartmanna oraz Lalkarza i zapoczątkować centralną fabułę. Jednocześnie mogliśmy dzięki temu opowiedzieć kilka historii, które nie zmieściłyby się w cyklu skoncentrowanym na wydarzeniach rozgrywających się w Nowym Jorku.

Rzecz jasna, nie było to takie proste. Nic, co wiązało się z *Dzikimi kartami*, nigdy nie cechowało się prostotą. Czasami zdarzało mi się porównywać ten cykl z wielką orkiestrą symfoniczną, ale pisarze nie są przyzwyczajeni do słuchania wskazówek dyrygenta. W tej orkiestrze niekiedy dwaj różni autorzy chcieli grać to samo solo, zawzięcie próbując zagłuszyć się nawzajem. W innych przypadkach, gdy większa część orkiestry chciała wykonać Piątą Symfonię Beethovena, jeden oboista z boku upierał się przy Mozarcie, a inny muzyk wyjmował harmonijkę i zaczął grać temat z sitcomu *My Mother, the Car*. Jako redaktor czułem się czasem tak jakbym próbował tresować koty. Wielkie koty, a ja nie miałem krzesła ani bicz, ale za to miałem książeczkę czekową, która czasami działa na pisarzy lepiej niż bicz.

Triada zaczynająca się *Wyprawą asów* rzeczywiście okazała się znacznie lepiej zintegrowana od pierwszej... choć nie do tego stopnia, co niektóre z późniejszych triad. *Dzikie karty* eksponowały swój wspólny charakter znacznie mocniej niż jakakolwiek osadzona we wspólnym świecie antologia, która ukazała się przedtem (albo i potem, jeśli już o tym mowa), ale oznaczało to, że eksplorujemy dziewicze terytorium i tak naprawdę nikt z nas nie znał drogi. Nawet Wasz Skromny Redaktor, choć — jak powszechnie wiadomo — redaktorzy z reguły są nieomylni. Gdy po tych wszystkich latach spoglądam wstecz na pozycję *Wyprawy asów*, myślę sobie, że w kilku punktach powinienem silniej strzelić z książeczki czekowej służącej mi jako bicz. Dwukrotne porwanie Hartmanna podczas tej samej podróży było lekką przesadą, powinienem był też nalegać, by moi autorzy uporali się z żonglowaniem kulami, które już były w powietrzu, zanim pozwoliłem im rzucić tak wiele nowych. To miło, kiedy fabuła staje się bogatsza, ale jeśli z tym przesadzicie, mogą was rozboleć nadgarstki.

Niemniej wszystko jakoś się w końcu ułożyło. Niewykluczone, że wprowadziliśmy za dużo nowych postaci, ale wiele z nich miało znacznie wzbogacić cykl w następnych tomach. Tu właśnie po raz pierwszy spotkaliśmy Żywych Bogów i Ti Malice, tu Mackie Majcher po raz pierwszy wyciął sobie krwawą drogę do waszych serc, tu zadebiutowali Heroiczni Bliźniacy, Czarny Pies, ukochany wnuk doktora Tachiona Blaise, a także kahina i Nur al-Allah. Po raz pierwszy na scenę wkroczył też Poliaków oraz aborygeński szaman Wyungare stworzony przez Eda Bryanta... choć nowa postać, która miała potem odegrać największą rolę, wcale nie była nowa.

Był nią Jerry Strauss, wprowadzony w pierwszej książce jako Projekcjonista. Potem na półtora dziesięciolecia stał się Wielką Małpą, ale dopiero gdy w *Wyprawie asów* przywrócono mu człowieczeństwo, nasi czytelnicy, podobnie jak doktor Tachion, uderzyli się ze zdziwieniem w czoła, przypominając sobie, że dzika karta nigdy nie działa na zwierzęta. Jako Projekcjonista i Wielka Małpa Jerry był tylko pionkiem, ale jako Nikt wreszcie stał się kimś. Że tak powiem.

*Wyprawa asów* to też książka pełna pożegnań. Heroiczny alfons Fortunato stworzony przez Lew Shinera zaliczał się do głównych bohaterów *Dzikich kart* już od pierwszego tomu. W tych wczesnych dniach był też jedną z naszych dwóch najpopularniejszych postaci, sądząc po listach od czytelników oraz rozmów z nimi na konwentach (jedyną postacią dorównującą mu popularnością był doktor Tachion, ale ci, którzy kochali Tacha, zawsze nie znosili Fortunata, i na odwrót. Nazywaliśmy to „dychotomią rajfura i fircyka”). Po rozstrzygającej walce stoczony przez Fortunata z Astronomem w *Szalejących dzokerach*, Lew wysłał go do Japonii, chcąc w ten sposób zakończyć jego historię. Ale Gail Gerstner-Miller odrzuciła mu kulę, pisząc w swym opowiadaniu, że Sokolica zaszła w ciążę ze stworzonym przez niego bohaterem... a potem zaprowadziliśmy naszych bohaterów do Japonii, pod sam jego próg. To pozwoliło nam wydusić z Lew jeszcze jedno opowiadanie o Fortunacie, po czym rajfur zszedł ze sceny, pozwalając fircykowi królować niepodzielnie, przynajmniej przez pewien czas.

*Wyprawa asów* przynosi też koniec mojego bohatera, Xaviera Desmonda, „burmistrza Dżokerowa”, którego głos wykorzystałem w narracji łączącej książkę w całość. Pisanie tych oplatających całość fragmentów zawsze było jednym z najtrudniejszych zadań podczas tworzenia kolejnych tomów cyklu. Nie tylko trzeba było samemu opowiedzieć interesującą historię, lecz również powiązać ze sobą pozostałe, załatać dziury pozostawione przez innych autorów i zadbać o spójność narracji. W późniejszym okresie powierzałem tworzenie tych integrujących opowiadań innym odważnym autorom, ale początkowo zawsze pisałem je sam. Uważam, że z dziennika Xaviera *Desmonda* było najbardziej udanym z tych moich sklejających książkę w całość opowiadań i jednym z najlepszych tekstów, jakie kiedykolwiek napisałem dla *Dzikich kart*.

Druga triada cyklu wystartowała z chwilą, gdy nasza grupa asów i dzokerów wsiadła na pokład „Ułożonej Tali”, by wyruszyć w podróż dookoła świata, nie zdając sobie sprawy ze sztormów czekających zarówno na postacie, jak i na autorów i redaktora szaleństwa, jakim okazało się *Down & Dirty* oraz niepowstrzymanego, lawinowego rozrostu tomu szóstego.

Ale to już opowieść na inne posłowia.

George R.R. Martin

2 stycznia 2002

## Nota wydawnicza

- „The Tint of Hatred” copyright © 1988 by Stephen Leigh.
- „The Journal of Xavier Desmond” copyright © 1988 by George R.R. Martin.
- „Beasts of Burden” copyright © 1988 by John J. Miller.
- „Blood Rights” copyright © 1988 by Leanne C. Harper.
- „Down by the Nile” copyright © 1988 by Gail Gerstner-Miller.
- „The Teardrop of India” copyright © 1988 by Walton Simons.
- „Warts and All” copyright © 2014 by Kevin Andrew Murphy.
- „Down in the Dreamtime” copyright © 1988 by Edward Bryant.
- „Zero Hour” copyright © 1988 by Lewis Shiner.
- „Puppets” copyright © 1988 by Victor W. Milan.
- „Mirrors of the Soul” copyright © 1988 by Melinda M. Snodgrass.
- „Always Spring in Prague” copyright © 2014 by Carrie Vaughn.
- „Legends” copyright © 1988 by Michael Cassutt.